

WSPOMNIENIA REWOLUCYONISTY

.....

Książę PIOTR A. KRAPOTKIN

RS

WSPOMNIENIA
REWOLUCYONISTY

Z PRZEDMOWĄ

JERZEGO BRANDESA

PRZEKŁAD Z ROSYJSKIEGO M. SARNECKIEJ



LWÓW
NAKŁADEM TŁOMACZA
1903

<http://rcin.org.pl/ifis>



32765

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCYCA I SPÓŁKI.

K.


11-6-66

A. 218/66

ms.

<http://rcin.org.pl/ifis>

PRZEDMOWA.

 Autobiografie wielkich ludzi można było niegdyś odnieść do jednego z trzech następujących typów: «Oto, jak zeszedłem z drogi sprawiedliwości i oto, jak powróciłem na nią». (św. Augustyn); albo: «Patrzcie, jak byłem pogrążony w nieprawości, ale któż ośmieli się uważać się za lepszego» (Rousseau); albo: «oto, jak rozwijał się geniusz, organicznie, przy sprzyjających okolicznościach» (Goethe). We wszystkich tych rodzajach samoprzedstawienia się, autor — wyłącznie prawie — zajmował się sam sobą.

W wieku XIX autobiografie znakomitych ludzi bardzo często układały się wedle następujących dwóch wzorów: «Oto, jak byłem utalentowaną i miłą, jak się mną zachwycali i jak mię cenili», (Joanna Luiza Heiberg. «Życie, przeżyte we wspomnieniach»); albo: «Byłem genialny i godzien miłości; ale — mimo to — nie ceniono mię; oto te ciężkie próby, jakie przebyłem, zanim osiągnąłem wieniec sławy» (Hans Chrystyan Andersen. «Historia mego życia»). W tych dwóch typach życiorysowych, autor zajmuje się głównie tem, co współcześni myśleli i mówili o nim.

Autor autobiografii, leżącej przed nami, nie myśli o swoim geniuszu i talentach, i dlatego nie mówi nam o walce, którąby musiał być przejść, aby zdobyć uznanie swych zasług. Jeszcze mniej zajmują go sądy jego współczesnych. O tem, co drudzy myśleli o nim, nie wspomina ani jednym słowem.

W książce tej autor nie pieści się wyobrażeniem swego własnego ja. Nie należy on do liczby tych, którzy z upodobaniem mówią o sobie; przeciwnie, czyni to z pewną niechęcią i nieśmiałością. Czytelnik nie znajdzie tu ani poufnych zwierzeń, ani sentymentalizmu, ani rubasznej szczeroci. Kropotkin nie mówi ani o swych niedostatkach, ani o swych cnotach; nie wchodzi z czytelnikiem w żadną trywialną poufałość. Wcale nie opowiada o swych miłostkach i w ogóle tak mało nadmienia o znajomościach swoich z płcią piękną, że przemilcza nawet o własnem ożenieniu się i tylko pobieżnie dowiadujemy się, że jest żonatym. On, — ojciec i ojciec bardzo czuły, ale wspomnieć o tem uważa za stosowne tylko raz, gdy szybko streszcza szesnaście ostatnich lat swego życia.

Więcej go zajmuje psychologia współczesnych, aniżeli jego własna. I w książce jego znajdujemy psychologię Rosyi: Rosyi urzędowej i jej ludowych mas; Rosyi, walczącej o postęp, i Rosyi reakcyjnej. Autor chętniej opowiada o swych współczesnych, niż o sobie samym. I dlatego historia jego życia zawiera w sobie historię Rosyi współczesnej mu epoki, a także historię ruchu robotniczego w Europie w ciągu ostatniego pół-stulecia. Kiedy autor pograża się w swój świat wewnętrzny, widzimy, jak cały zewnętrzny świat w nim się odbija.

Zawsze jednak jest w książce tej pewne podobieństwo z tem, ku czemu dążył Goethe w «*Dichtung und Wahrheit*». Widzimy w niej, jak się ukształtował wy-

bitny umysł. Można ją także porównać z «Wyznaniami» św. Augustyna, ponieważ przedstawia historię duchowego przesilenia, odpowiadającego temu, co niegdyś nazywano «nawróceniem». W rzeczy samej, przesilenie to staje się zwrotnym punktem i istotną treścią całej książki.

W obecnej chwili znamy tylko dwóch wielkich Rosyan, którzy myślą dla rosyjskiego ludu, i myśl których należy do całej ludzkości: Lew Tołstoj i Piotr Kropotkin. Tołstoj często opowiadał nam w artystycznej formie różne epizody swego życia. Kropotkin daje nam tu, po raz pierwszy, nie posługując się artystyczną przeróbką belletrystycznego utworu, pobieżny przegląd całej swej działalności.

Mimo, że dwaj ci ludzie radykalnie różnią się między sobą, można jednak przoprowadzić pewną równoległą linię w ich życiu i w ich pojmowaniu życia. Tołstoj — artysta, Kropotkin — uczoney. Ale w życiu jednego i drugiego była chwila, gdy nie mogli już znaleźć uspokojenia w tej pracy, w którą każdy z nich włożył wielkie przyrodzone swoje zdolności. Tołstoja sprowadziły z drogi, po której kroczył, religijne refleksje, a Kropotkina — refleksje społeczne.

Obaj kochają ludzkość i obaj surowo potępiają objętność, bezmyślność, zatwardziałość i okrucieństwo klas wyższych; obaj zarówno — serdecznie skłaniają się ku uciskany i upośledzonym. Obaj widzą w świecie więcej tchórzostwa, niż głupoty. Obaj — idealisci i obaj obdarzeni temperamentem reformatorów. Obaj z przyrodzenia — ludzie usposobieni pokojowo, a Kropotkin najwięcej pokojowy z nich dwóch, mimo że Tołstoj stale głosi pokój i surowo osądza tych, którzy uciekają się do siły dla obrony swych praw, a Kropotkin usprawiedliwia ich i utrzymuje przyjacielskie stosunki z terrorystami. Najbardziej różnią się w je-

dnym punkcie: w zapatrywaniach swych na inteligentnego, wykształconego człowieka, i na naukę w ogóle. Tołstoj — w swym religijnym zapale — pogardza uczonym i nauką, nie przyznając im żadnej wartości, podczas gdy Kropotkin odnosi się do nich z poważaniem, choć zarazem potępia uczonych, zapominających o ludzkiej i cierpieniach mas.

Niejedni dokonali wielkich czynów, choć nie żyli życiem wielkim. Wielu ludzi interesuje nas, choć życie ich — być może — było nic nieznaczące i banalne. Życie Kropotkina równocześnie jest wielkie i zajmujące.

W książce tej znajdzie czytelnik połączenie wszystkich żywiołów, z których składa się obfite w wypadki życie, tu spotyka się idylla i tragedia, dramat i romans.

Dzieciństwo autora, przepędzone w Moskwie i na wsi, portrety matki, sióstr, nauczycieli, starych, wiernych sług, liczne obrazy patryarchalnego życia — wszystko to tak prawdziwie opisane, że wzruszy każde serce. Obrazy przyrody, opowiadanie o niezwykle silnej wzajemnej miłości dwóch braci, — to wszystko naj-niewinniejsza sielanka.

Ale wspólnie z tem — niestety, wiele łez i cierpienia: nieokrzesanie rodzinnego życia, dzikie obchodzenie się z pańszczyźnianymi chłopami, ciasnota umysłu i okrucieństwo serc tych, którzy rządzą losami ludzi.

Jest wielka rozmaitość i są dramatyczne katastrofy: życie dworskie i życie w więzieniu; życie w wyższych sferach rosyjskiego towarzystwa, w bliskości carów i wielkich książąt — i życie w ubóstwie, wpośród proletaryatu, w Londynie i Szwajcaryi. Tu znajdujemy przebieranie się, jak w dramacie: główny, czynny bohater dniem zjawia się w wykwintnym stroju w Pałacu Zimowym, a wieczorem, w chłopskim pół-kożuszkudaje się na przedmieścia, by głosić wśród chłopów

rewolucję. Nie brak i sensacyjnego elementu, właściwego romansom. Choć trudno wystawić sobie coś bardziej naturalnego, prostszego, jak styl i ton Kropotkina, są jednak w opowiadaniu miejsca, które przez sam charakter przedstawianych wydarzeń, porywają daleko silniej, niż wszystko, co znajdujemy w roman-sach, pisanych wyłącznie w celach sensacyi. Czy może być coś bardziej porywającego, jak opowiadanie o przygotowaniach do ucieczki ze szpitala więziennego i śmiałe wykonanie planu?

Niewielu znało, jak Kropotkin, wszystkie warstwy społeczeństwa, dlatego, że żyli sami wpośród nich. Co za obrazy! Oto Kropotkin w dzieciństwie: ufryzowany, w maskaradowym kostyumie stoi przy boku Mikołaja I.; oto on — jako paź, pędzi za Aleksandrem II., by go ochronić od niebezpieczeństwa; oto on w strasz-nem więzieniu, gdzie daje zasłużoną odprawę W. Ks. Mikołajowi Mikołajewiczowi i gdzie słyszy dzień po dniu wciąż bardziej pomieszane, bardziej gorączkowe bredzenie chłopa, siedzącego w dolnej celi pod nim i zapadającego powoli w obłąkanie.

Prowadził on życie arystokraty i robotnika; był pokojowym paziem cesarza i bardzo biednym pisarzem. Był studentem, oficerem, uczonym, eksploratorem niez-nanych krajów, administratorem i rewolucjonistą. Na wygnaniu często — zdarzało mu się żyć — jak rosyjskiemu chłopu, samą herbatą i chlebem; szpiegowano go i starano się zamordować, jak rosyjskiego cesarza.

Niewielu przeżyło tak wiele. Podobnie, jak geolog — Kropotkin może objąć przedhistoryczną ewolucję w przeciągu tysięcy wieków, — i może także zdać so-bie sprawę z historycznej ewolucyi swojej własnej epoki. Z wykształceniem literackim i naukowym, na-bytem w uniwersytecie i w pracowni, to jest ze zna-

jomością języków, literatury pięknej, filozofii i wyższej matematyki — Kropotkin, od wczesnych lat — połączył wiedzę nabytą w warsztacie rzemieślniczym, w laboratorium i w polu, t. j. nauki przyrodnicze i wojenne, fortyfikację, tajemnicę fachów mechanicznych i przemysłowych. Wiadomości jego są uniwersalne.

Ileż musiał wycierpieć, ten ruchliwy umysł w przymusowej bezczynności więzienia! Co za szkoła cierpliwości i stoicyzmu! W jednym miejscu powiada Kropotkin, że podstawą wszelkiej organizacyi powinna być wysoko rozwinięta moralna jednostka. Można to zastosować wprost do niego samego. Życie uczyniło go jednym z węglanych kamieni budowy przyszłości. Krytyczny przełom w życiu Kropotkina zawiera dwa momenty, które należy zaznaczyć.

Oto zbliża się on do trzydziestego roku życia, decydującego wieku w życiu ludzkim. Duszą i sercem jest on mężem nauki; właśnie co dokonał cennego naukowego odkrycia. Znalazł, że mapy Azji północnej są fałszywe; że nie tylko poprzednie wyobrażenia o geografii Azji są kłamliwe, ale że i teorye Humboldta nie zgadzają się z faktami. W ciągu dwóch lat pogrąża się w starannych poszukiwaniach. Raz — jak błyskawica — olśniło go prawdziwe znaczenie faktów. Pojął, że główne linie budowy Azji idą nie z północy na południe, nie z zachodu na wschód, lecz z południo-zachodu na północ-wschód. Sprawdza więc swoje odkrycie, zastosowuje do masy oddzielnych faktów, i wszystkie je stwierdzają. Tym sposobem, poznaje on w najbardziej szlachetnej i czystej formie radość, jaką daje naukowe odkrycie, a zarazem doświadcza, jak ono podnosi i uszlachetnia duszę.

Wtedy następuje moment krytyczny. Myśl o tem, że radości tej mogą doznawać jednostki tylko bardzo

nieliczne, męczy go. Zadaje sobie pytanie, czy ma on prawo — sam jeden — rozkoszować się wiedzą? Czuje, że istnieje wyższy obowiązek, że raczej należy zanieść masom nabyte już wiadomości, niż pracować nad nowymi odkryciami.

Co do mnie, nie sądzę, żeby autor miał słuszość. Wychodząc z tych myśli Pasteur nie mógłby być stać się tym dobroczyńcą ludzkości, jakim został. Końcem końców, z postępem czasu, wszystko obraca się na korzyść mas. Przekonany jestem, że człowiek czyni wszystko, co leży w jego siłach, dla uszczęśliwienia wszystkich, jeżeli z największą wytrwałością wypełnia to, co może wykonać. Ale ta zasadnicza idea charakteryzuje Kropotkina. Wypowiada się on w niej cały.

I ten skład umysłu pociąga go dalej. W Finlandyi, gdzie stoi na progu nowego naukowego odkrycia, gdzie dojrzewa w nim myśl, wtedy jeszcze uważana za herezję, że w czasach przedhistorycznych cała Europa znajdowała się pod powłoką lodową, — tak żywo tknięty jest współczuciem ku biednym, ku cierpiącym, ku ginącym z głodu, i tym, których życie jest rzeczywistą, ciągłą walką o byt, — że uważa za swój wielki obowiązek, obowiązek! absolutny, stać się dla tej olbrzymiej, trudzącej się, upośledzonej masy, nauczycielem i podporą.

Wkrótce potem otwiera się przed nim nowy świat — życie klas robotniczych i uczy się sam u tych, których chciał uczyć.

W pięć lub sześć lat potem następuje druga faza kryzysu. Jeszcze w czasie pierwszej swej wycieczki do Szwajcaryi, Kropotkin opuścił grupę socjalistów państwowych z obawy ekonomicznego despotyzmu, z nienawiści do centralizacyi i zamiłowania swobody osobistej i gminnego ustroju. Ale tylko po długim uwięzieniu w Rosyi i w czasie powtórnego pobytu

wpośród rozwiniętych, inteligentnych robotników Szwajcaryi francuskiej, — niejasne jeszcze wyobrażenie przyszłego ustroju socjalistycznego przyjęło u niego więcej określoną formę — federacyi gmin, działających wspólnie, podobnie jak to czynią obecnie kompanie kolei żelaznych, albo instytucye pocztowe różnych krajów. Od tego czasu światopogląd jego ukształtował się już ostatecznie. On wie, że nie może wskazać obowiązującej drogi dla przyszłości, przekonany jest, że wszystko winno wynikać z twórczej działalności mas; ale porównywa, dla większej wyrazistości, przyszły ustrój społeczny z korporacyami i wzajemnymi ich stosunkami, jakie istniały w wiekach średnich i były również wynikiem działalności mas. On nie wierzy w różnicę między rządzącymi i rządzonymi, ale muszę wyznać, że jestem jeszcze na tyle starozaconny, iż ucieszyłem się, gdy z lekką niekonsekwencyą, wychwała w jednym miejscu swego przyjaciela, mówiąc o nim, jako o «przyrodzonym wodzu ludzi».

Kropotkin nazywa siebie rewolucjonistą i całkiem słusznie. Ale rzadko bywają tacy ludzie i łagodni rewolucyoniści. Czytelnik zdumiewa się, gdy z powodu o mało co nie wybuchłego zbrojnego starcia z policją szwajcarską, przejawia się u autora instynkt wojowniczy, tkwiący w każdym z nas. Kropotkin mówi, że nie mógłby wtenczas powiedzieć z całkowitą pewnością, czy cieszył się on z przyjaciółmi, czy też smucił, że nie przyszło do starcia. Lecz ten wyraz oburzenia pozostaje całkiem odosobniony. Autor nigdy nie był mścicielem, zawsze męczennikiem. On nie żądał samopoświęcenia się od drugich, zostawiał to stale dla siebie. Całe życie tak postępował, ale tak mało mówi o tem, jak gdyby go ofiary nic wcale nie kosztowały. I mimo całą jego energię, duch zemsty

tak jest w nim słaby, że wspominając o jednym łotrze, lekarzu więziennym, Kropotkin ogranicza się uwagą: «im mniej powiemy o nim, tem lepiej».

To rewolucjonista, wolny od nadętości i bez głośnych słów. On drwi z przysiąg i ceremonii, któremi spiskowcy zobowiązują się w dramatach i operach. Człowiek ten jest uosobieniem prostoty. Co do charakteru można go śmiało porównać z każdym bojownikiem za wolność jakiegokolwiek kraju. Nikt nie był nadeń bezinteresowniejszy i nikt, więcej niż on, nie kochał ludzkości.

Ale on nie pozwoli mi wypowiedzieć w przedmowie do jego książki to wszystko dobre, co myślę o nim. I jeślibym to uczynił, to musiałbym znacznie przekroczyć zwykłe rozmiary przedmowy.

Jerzy Brandes.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

DZIECIŃSTWO.

I.

Moskwa rosła powoli. Wskutek tego różne jej części dziś jeszcze nad podziw dokładnie zachowały charakterystyczne cechy, wyrażające kolejne okresy historycznego rozwoju miasta. Dzielnica za rzeką, (t. zw. «Zamoskworjecze») ze swemi szerokimi, sen-nemi ulicami i jednostajnymi, szarymi, niskimi do-mami, o bramach na głucho zamkniętych dniem i nocą, była zawsze ulubioną siedzibą kupiectwa i warownią surowych, despotycznych «starowierów», zakrzepłych w sztywnym formalizmie. Kreml i dziś jeszcze uważa się za warownię państwa i cerkwi. Ogromny plac przed nim, zabudowany tysiącami sklepów i szpichlerzy, stanowił od niepamiętnych czasów typowy targowy rynek i dotąd pozostaje środkowym punktem we-wnętrznego handlu rozległego imperyum. Przy ulicy Twerskiej i Moście Kuźnieckim ześrodkowały się zdaw-na przeważnie modne magazyny, podczas gdy za-mieszkałe przez lud rzemieślniczy Pluszczycha i Do-

rogomiłowka zachowały te same cechy, które wyróżniały niegdyś ich burzliwą ludność za czasów carów moskiewskich. Każda dzielnica tworzy swój oddzielny światek — z właściwym sobie charakterystycznym wyglądem i żyje swoim własnym, odrębnym życiem. Nawet składy i warsztaty, ciężko naładowane wagony i parowozy kolei żelaznych, gdy te ostatnie wtargnęły do starodawnej stolicy — i one zebrały się oddzielnie, w osobnych centrach, na kresach starego miasta.

Ze wszystkich zaś moskiewskich dzielnic, żadna inna może nie jest równie typową, jak labirynt czystych, spokojnych, pochyłych ulic i zaułków, rozrzuconych za Kremlem, między Arbatem i Przeczystienką (dzielnice w Moskwie), znany pod nazwą «Starej Koniusznej». Około pół wieku temu, żyła tu i wymierała powoli stara moskiewska szlachta, której nazwiska wspominają się często w historyi Rosyi aż do czasów Piotra I. Nazwiska te zniknęły powoli, ustępując miejsca nazwiskom nowych ludzi «nieszlachty», przedstawicieli wszelkich stanów, powołanych do służby rządowej przez założyciela rosyjskiego imperyum. Widząc się wypartą z należnych sobie stanowisk, szlachta rodowa usunęła się z petersburskiego dworu do Starej Koniusznej, albo do swych malowniczych posiadłości pod Moskwą. Ztąd spoglądała ona z niejaką pogardą i tajną zawiścią na różnorodną, pstrą gawiedź, która pozajmywała prawie wszystkie wyższe państwowe urzędy w nowej stolicy nad brzegami Newy.

W młodych swych latach wielu z nich próbowało także szczęścia w rządowej, po większej części — wojskowej służbie, ale dla jednych lub drugich przyczyn wkrótce rzucali ją, nie dobiwszy się nawet wyższych «czynów», («czyn» — ranga w wojskowej lub cywilnej służbie w Rosyi). Najszcześliwsi (mój ojciec był w ich liczbie) otrzymywali jaką spokojną, zaszczytną

posadę w rodzinnem mieście; większość zaś poprostu podawała się do dymisyi. Ale choć w najdalszy kąt Rosyi rzucona przez służbę, szlachta rodowa umiała zawsze z dziwną zręcznością osiągnąć swój cel ostateczny, to jest powrócić na stare lata do swego własnego domu w Starej Koniusznej, by umrzeć w pobliżu tej samej cerkwi, gdzie ich chrzczono i gdzie odmawiano ostatnie modlitwy przy trumnie ich rodziców.

Stare korzenie wypuszczały nowe pędy. Niektórzy z pośród młodego pokolenia odznaczyli się — mniej lub więcej — na rozmaitych krańcach Rosyi; niektórzy nabywali wspanialsze, w nowym stylu domy w drugich dzielnicach Moskwy, lub w Petersburgu; ale za prawdziwą reprezentantkę rodu uważała się zawsze ta gałąź, niezależnie od położenia jej w genealogicznem drzewie, która mieszkała w pobliżu zielonej, żółtej, różowej albo brązowej cerkwi, którą wydarzenia rodzinne uczyniły drogą sercu. Względem staromodnego przedstawiciela rodu zachowywali się z wielkim szacunkiem, choć — muszę wyznać — nie bez pewnej domieszki lekkiej ironii, nawet ci młodzi członkowie rodu, którzy opuścili swoje miasto rodzinne, znęcani widokami świetnej karyery w gwardyi lub na dworze; starzec pozostawał zawsze wobec młodych uosobieniem starożytności rodu i jego tradycyi.

W tych cichych ulicach, położonych na uboczu, zdala od wrzawy i zabiegów Moskwy handlowej, wszystkie domy są bardzo podobne do siebie. Po większej części są to domy drewniane, z jaskrawozielonemi, żelaznemi dachami; wszystkie mają front ozdobiony kolumnami i wszystkie są otynkowane w jasne, wesole barwy. Prawie wszystkie jednopiętrowe, o siedmiu lub dziewięciu dużych, wychodzących na ulicę, przezroczystych oknach. Drugie piętro znaj-

dowało się tylko w oficynie, wychodzącej na obszerny dziedziniec z licznymi gospodarskimi zabudowaniami, mianowicie: kuchniami, stajniami, wozowniami, szopami, piwnicami i izbami czeladnymi, t. zw. «ludzkimi». Na dziedziniec wiodły szerokie wrota, a na miedzianej tablicy po nad nimi znajdował się zwykle napis: «dom porucznika, albo sztabowego rotmistrza i kawalera-takiego-to». Rzadko można było spotkać «generał-major», albo odpowiedni cywilny stopień. Ale — jeśli przypadkiem — zobaczyło się dom paradniejszy, otoczony połączanemi sztachetami z żelazną bramą, to na tablicy na pewno przeczytać było można: «radca handlowy», albo «honorowy obywatel»-taki-to. Był to intruz, który się wcisnął do dzielnicy nieproszony, i dlatego nieuznawany przez sąsiadów.

W tych cichych ulicach sklepy nie były tolerowane, wyjąwszy chyba małego kramiku owocowego lub spożywczego, który tulił się w drewnianym domku, należącym do parafialnej cerkwi. Za to na rogu z pewnością znajdowała się budka policyjna, u drzwi której we dnie ukazywał się sam wartownik, z hallebardą w ręku, pilnie oddając tą niewinną bronią należne honory wojskowe przechodzącym oficerom. Gdy zmierzch wieczorny zapadał, zamykał się on znowu w swej ciemnej budce, gdzie zajmował się albo łataniem butów, albo przyrządzaniem jakiej wyjątkowo mocnej, pachnącej tabaki, która cieszyła się wielkim popytem ze strony starszych sług z sąsiednich domów.

Życie płynęło cicho i spokojnie, przynajmniej dla postronnego oka w tem moskiewskim przedmieściu Saint-Germain. Z rana nikogo nie spotykało się na ulicach. W południe zjawiały się dzieci, które pod opieką guwernerów — Francuzów, — albo nianiek — Niemek, — odbywały spacer po zaspanych śniegiem bulwarach. Później trochę można było widzieć panie

w saniach w parę koni, z lokajami na tylnych stopniach, albo też w staromodnych, wielkich i przestronnych, na wysokich, wiszących resorach, karetach, zaprzężonych w czwórkę koni, z forysiem na przedzie i dwoma lokajami z tyłu. Wieczorem większość domów bywała rześcicie oświetlona, a ponieważ okiennice nie zamykały się, przechodnie mogli podziwiać dowoli grających w karty, lub tańczących pań i panów. W tych dniach «idee» nie były jeszcze w obiegu; jeszcze nie przyszła ta pora, gdy w każdym z tych domów zawrzała walka między «ojcami i dziećmi», walka, kończąca się albo rodzinną tragedią, albo nocną wizytą żandarmów. Pięćdziesiąt lat temu nikt nie myślał o niczem podobnem. Wszędzie było cicho i spokojnie, przynajmniej na powierzchni.

W tej Starej Koniusznej urodziłem się ja w 1842 roku; tu spędziłem pierwsze piętnaście lat mego życia. Ojciec sprzedał dom, w którym umarła nasza matka i kupił drugi; potem sprzedał i ten, i kilka zim przeżyliśmy w wynajmowanych domach, póki ojciec nie znalazł trzeciego wedle swego gustu, o kilka kroków od cerkwi, w której go chrzczono i grzebano jego matkę. I wszystko to było w Starej Koniusznej. Opuszczaliśmy ją tylko, aby spędzić lato w naszej wsi.

II.

Wysoka, obszerna, rogowa izba w naszym domu. W niej białe usłane łoże, na którym leży matka. Nasze dziecinne stoliki i krzeselka przysunięte blisko do łóżka. Pięknie nakryte stoły, zastawione cukierkami i ładniutkimi słoikami szklanymi z galaretą; — i do tej izby nas, dzieci wprowadzono w porze niezwykłej; — takie są moje pierwsze, zmaćcone wspomnienia. Nasza

matka umarła na suchoty. Miała zaledwie trzydzieści pięć lat. Zanimby nas rzuciła na wieki, chciała nas widzieć około siebie, pieścić nas, na jedno mgnienie być szczęśliwą naszą uciechą; obmyśliła więc ten maleńki poczęstunek u swego łóżka, z którego już powstać nie miała. Przypominam sobie jej bladą, wychudłą twarz, jej wielkie, ciemne, czarne oczy. Patrzy na nas i pieśczośliwie, serdecznie zaprasza nas do jedzenia, pozwala wdrapywać się na swoją pościel — i wtem, nagle zaczyna kaszlać i zalewa się łzami... Nas wyprawdzają.

Wkrótce potem nas dzieci, t. j. mnie i brata Aleksandra przenieśli z dużego domu do maleńkiej oficyny w podwórzu. Niewielki pokoik tonie w promieniach kwietniowego słońca, ale bona Niemka, pani Burman i niania Uljana każą nam iść spać. Twarze ich mokre od łez. Szyją nam czarne bluzki z szerokimi białymi szlakami. Lecz my spać nie możemy. Niepewność przeraża nas; przysłuchujemy się cichej rozmowie nianiek. One mówią coś o naszej matce, coś, czego zrozumieć nie możemy. Wyskakujemy nakoniec z łóżeczek i pytamy:

— Gdzie mama? gdzie mama?

Obie kobiety zaczynają lkać głośno, głaszczą nasze kędzierzawe główki, nazywają nas — biednymi sierotami. — Uljana nie może już skrywać dłużej prawdy i mówi:

— Wasza mama uleciała tam, do nieba, do aniołków.

— Jakto do nieba? — Po co? — Nasza dziecinna wyobraźnia daremnie siliła się odpowiedzieć na te pytania.

Było to w kwietniu 1816 r. Miałem zaledwie półczwarta roku, a brat Aleksander nie skończył jeszcze pięciu lat. Nie wiem, gdzie byli wtedy starszy brat i siostra — Mikołaj i Helena; prawdopodobnie wyjechali już uczyć się. Mikołaj liczył rok 12-ty, a Helena 11-ty.

Zawsze przebywali z sobą razem i znaleźmy ich bardzo mało. Tym sposobem ja z Aleksandrem zostaliśmy w oficy pod opieką pani Burman i Uljany. Dobra, stara Niemka, nie mająca ani własnego kąta, ani jednej krewniej duszy żywej, zastąpiła nam matkę. Wychowała nas, jak umiała; od czasu do czasu kupowała nam proste, niewymyślne zabawki, i obkarmiła nas pierniczkami, którymi handlował zachodzący czasem do nas drugi, stary Niemiec, zapewne taki samotny biedak, jak i pani Burman. Rzadko widywaliśmy ojca. Dwa następne lata przeszły, nie pozostawiwszy żadnego wspomnienia w mojej pamięci.

III.

Ojciec mój bardzo szczylił się ze swego rodu i z niezwykłą, uroczystą powagą wskazywał pergamin, wiszący na ścianie, w gabinecie. W pergaminie tym, ozdobionym naszym herbem (herbem księstwa Smoleńskiego), pokrytym płaszczem gronostajowym i uwiecznionym czapką Monomacha, — zaświadczało się i stwierdzało imieniem Departamentu Heroldyi, że ród nasz wie dzie swój początek od Rościsława Mścisławowicza Śmiałego — i że przodkowie nasi byli Wielkimi Książętami Smoleńskimi.

— Ja za pergamin ten zapłaciłem trzysta rubli, — mawiał nam często ojciec.

Jak większość ludzi jego pokolenia nie był on zbyt silnym w historii rosyjskiej i cenil swój pergamin głównie dla jego pieniężnej wartości, nie dla historycznych wspomnień.

Nasz ród — w rzeczy samej — bardzo dawny; ale, jak wiele innych rodów, pochodzących od Ruryka, zeszedł z widowni, gdy skończył się okres księstw udzielnych, a na tron wstąpił Romanowy i rozpoczęli dzieło



zjednoczenia Rosyi. W ostatnich czasach nikt z Kropotkinych — zdawało się — nie żywił szczególnej chęci do służby państwowej. Mój pradziad i dziad służyli wojskowo, ale podali się do dymisyi, będąc jeszcze całkiem młodymi ludźmi i śpiesznie usunęli się do swych rodowych posiadłości. Trzeba zresztą dodać, że jedna z nich, Urusowo, znajdujące się w gubernii Rjazańskiej i rozłożone na wysokiem wzgórzu, wśród pól czarownych, znęciłoby każdego urokiem swych cienistych lasów, bezkreśnych łąk, przerżniętych wstęgą krętej rzeczki. Mój dziad, wzięwszy dymisję w randze porucznika, osiedlił się w Urusowie, gdzie zajął się gospodarstwem i począł skupywać majątki w sąsiednich guberniach.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i nasze pokolenie zrobiłoby to samo; ale nasz dziad ożenił się z księżną Gagariną, pochodzącą z zupełnie innego rodu. Brat jej był znany jako namiętny miłośnik sceny. Urządził sobie swój własny teatr i ku wielkiemu przerażeniu całej rodziny, ożenił się nawet ze swoją poddaną, artystką Siemionową, pierwszą twórczynią realistyczno-dramatycznej szkoły w Rosyi. Niewątpliwie — i co do swego charakteru — była Siemionowa jedną z najbardziej czarujących osobistości teatralnego świata. Ku zgorszeniu «całej Moskwy» — Siemionowa i po zamążpójściu nie zaprzestała swych scenicznych występów.

Nie wiem, czy moja babka posiadała te same artystyczne i literackie upodobania, co jej brat. Pamiętam ją tylko, gdy już była ubezwładnioną wskutek paraliżu i mogła mówić zaledwie szeptem. Nie ulega jednakże wątpliwości, że następne pokolenie w naszej rodzinie okazywało skłonności literackie. Jeden z synów księżnej Gagariny pisał wiersze i wydał nawet całą książkę, fakt, o którym ojciec mój wstydził się

wspominać. Moi cioteczni bracia, mój brat — i ja sam, w mniejszym lub większym stopniu, braliśmy udział w literackim ruchu naszych czasów.

Ojciec mój był typowym mikołajewskim oficerem. Nie — żeby był obdarzony wyjątkowo wojowniczym duchem, albo znajdował szczególne upodobanie w życiu obozowym; wątpię nawet, czy spędził choć jedną noc u biwacznego ognia, lub czy uczestniczył choć w jednej bitwie; — ale za Mikołaja miało to podrzędne znaczenie. «Prawdziwym» wojskowym w tych czasach był ten, kto uwielbiał mundur i pogardzał cywilnym strojem; czyi żołnierze byli tak wymusztrowani, że mogli wykonywać niewiarogodne prawie obroty, tak zwane «sztuki» nogami i bronią, (jedną ze słynnych «sztuk» owoczesnych — było n. p. złać kolbę, prezentując broń); kto na paradzie wojskowej mógł wystawić tak prawidłowy i nieruchomy szereg żołnierzy, jak gdyby to nie byli żywi ludzie, lecz ~~o~~łowiane żołnierzyki dziecinne.

→ Bardzo dobrze — powiedział raz Wielki Książę Michał, przetrzymawszy całe pół godziny pułk na nogach, z bronią na ramieniu, — ale oni oddychają!

Ideąłem mojego ojca było — naturalnie — stać się jak najbardziej podobnym do typu «prawdziwego» wojskowego tych czasów.

Właściwie brał on udział w wojnie tureckiej 1828 roku, ale udało mu się zręcznie unikać trudów obozowych i cały czas wojny przesłużył w różnych sztabach. I kiedy my, dzieci, korzystając ze sposobnej chwili, gdy ojciec znajdował się w wyjątkowo dobrym humorze, prosiliśmy go, by nam opowiedział co o wojnie, mógł popisać się przed nami tylko tą jedną przygodą, jak raz on i jego wierny sługa, Froł, zostali w przejeździe przez jakąś wieś opadnięci przez całe

dziesiątki rozwścieklonych psów. Ojciec i Froł musieli użyć szabel, by się opędzić od zgłodniałych bestyi. Bez wątpienia — woleliśmy, żeby to był oddział Turków, wreszcie, od biedy, zgodzaliśmy się i na psy; lecz kiedy — po długich naleganiach -- udawało się nam skłonić ojca do opowiedzenia, za co otrzymał Annę z mieczami i złotą szablę, tu już byliśmy całkiem rozczarowani. Historia była nad wyraz prozaiczna. We wsi, w której kwaterowali oficerowie głównego sztabu, wybuchł pożar. W mgnieniu oka płomień ogarnął domy, a w jednym z nich pozostało małe dziecko. Matka szlochala w rozpacz. Froł, nieodstępnie towarzyszący ojcu, rzucił się w ogień i uratował dziecko. Głównokomenderujący, świadek tego czynu, zaraz na miejscu wynagrodził ojca krzyżem za męstwo.

— Ależ, papo — wołaliśmy — przecież to Froł uratował dziecko.

— No, więc cóż — odpowiadał ojciec najnaiwniej w świecie — albow on nie mój poddany? Wszak to wszystko jedno.

Ojciec mój uczestniczył także w wojnie z Polakami w czasie rewolucyi 1831 r. W Warszawie poznał się i zakochał w młodej córce komendanta korpusowego, generała Sulimy. Ślub odbył się bardzo uroczyście w Łazienkowskim pałacu. «Ojcem ślubnym» ze strony narzeczonej był Paszkiewicz.

— Ale wasza matka — dodawał zawsze ojciec — nie przyniosła mi żadnego posagu.

Było to niezaprzeczoną prawdą. Ojciec jej, Mikołaj Siemionowicz Sulima, nie umiał zrobić karyery, ani majątku. Zapewne w żyłach jego płynęło zbyt wiele krwi Zaporozców, którzy umieli ucierać się z świetnie uzbrojonymi, walecznymi Polakami i z trzykroć liczniejszymi tureckimi armiami; ale nie umieli ustrzedz się chytrych sieci moskiewskiej dyplomacyi.

Wiadomo, że po strasznem powstaniu 1648 r., które było początkiem końca Rzeczypospolitej Polskiej i wojny z Polakami, Kozacy wpadli pod jarzmo rosyjskich carów i stracili wszystkie swe swobody. Jeden z Sulimów został wtedy ujęty przez Polaków i zamęczony na śmierć w Warszawie; ale pozostali pułkownicy równego mu hartu, walczyli jeszcze uporniej — i Polska utraciła Małorosyę.

Co się tyczy mojego dziada, to potrafił on w 1812 roku na czele pułku kirasyerów wrąbać się w kadry Francuzów, bez względu na las najeżonych bagnatów i — pozostawiony, jako umarły — na polu walki, zdołał jednakże przyjść do siebie i, wrócić do zdrowia, wyniósłszy tylko głęboką szramę na głowie; ale zostać lokajem wszechpotężnego Arakcezejewa nie zechciał, więc zesłano go — jako na swego rodzaju honorowe wygnanie — z nominacją generał-gubernatora zrazu do Zachodniej Syberyi, a potem do Wschodniej. Stanowisko podobne uważało się w tych czasach za więcej dochodne, niż kopalnia złota; ale mój dziad powrócił z Syberyi równie niezamożnym człowiekiem, jakim wyjechał. Pozostawił też trzem swoim synom i trzem córkom tylko bardzo niewielki spadek. Kiedy w 1862 roku byłem w Syberyi, często słyszałem imię jego wspomинane z wielkim szacunkiem. Potworne złodziejstwa, panujące wówczas w Syberyi, z którymi dziad mój nie miał sił walczyć, przyprowadzały go do rozpacz.

Matka moja była — jak na swą epokę — bez wątpienia niepospolitą kobietą. W wiele lat po jej śmierci znalazłem w kąci, w spiżarni, w naszym wiejskim domu stos zeszytów, zapisanych jej równem, ładnym pismem. Były to jej dzienniki, w których opisywała piękności przyrody w Niemczech, mówiła o swych smutkach i marzeniach szczęścia. Tu znajdowały się

także kajety z zakazanemi rosyjskiemi poezjami, między innymi były tu n. p. dumy Rylejewa. Inne zawierały nuty, dramaty francuzkie, wiersze Lamartine'a i poemata Byrona. Znalazłem także dużo akwarel, malowanych ręką mojej matki.

Wysoka, wysmukła, z falą pysznych, ciemno-kasztanowatych włosów po nad czołem, o głębokich, czarnych oczach, maleńkich ustach, spogląda ona, jak żywa, z portretu, wykończonego z widocznem zamiłowaniem — olejnymi farbami — przez utalentowanego malarza. Była zawsze wesołą, swobodną i namiętnie lubiła tańce. Wieśniaczki w Nikolskiem opowiadały nam często, jak zwykła z upodobaniem przypatrywać się z balkonu ich tanecznym korowodom — i po jakimś czasie, porwana ogólną wesołością, niezdolna wstrzymać się dłużej, sama się do nich przyłączała. Była to natura artystyczna. Przeziębivszy się na balu, matka moja dostała zapalenia płuc, a w następstwie suchot, które ją przywiodły do grobu.

Wszyscy, którzy ją znali, kochali ją. Słudzy ubóstwiali jej pamięć. Dla niej pani Burman podjęła się opieki nad nami. Przez pamięć o niej tak nas kochała Uljana. Nieraz — czesząc nas rano, lub żegnając nasze czoła przed snem, przymawiała:

— Biedne sierotki! Teraz wasza mama patrzy na was z nieba i płacze za wami.

Całe moje dzieciństwo przeplecione jest wspomnieniami o niej. Jak często, gdzieś w ciemnym korytarzu, ręka stróża pieśczoćliwie dotykała się mnie i brata Aleksandra. Jak często, wieśniaczka, spotkawszy nas w polu, pytała:

— Czy wyrośniecie tak dobrymi, jaką była wasza matka? Ona litowała się nad nami, i żałowała nas, a wy, czy będziecie nas też żałować?

To «nas» oznaczało, naturalnie, pańszczyźnianych

poddanych. Nie wiem, co by się z nami było stało, gdybyśmy nie byli znaleźli w naszym domu wśród dworskiej służby tej atmosfery miłości, którą dzieci powinny być otoczone. My byliśmy dziećmi naszej matki; byliśmy podobni do niej — i wskutek tego nasi poddani chłopci otaczali nas staraniami, czasem, jak się okaże dalej, w dziwnie wzruszający sposób.

Ludzie pożądamy nieśmiertelności; ale często zapominają o tem, że pamięć na prawdę dobrych ludzi żyje wiecznie. Wyciska się ona na następnem pokoleniu i przechodzi znowu na dzieci. Czyż mało ludziom takiej nieśmiertelności?

IV.

W dwa lata po śmierci matki ojciec mój ożenił się po raz drugi. Upatrzył już był sobie piękną narzeczoną z bogatej rodziny, lecz wtem losy jego rozstrzygnęły się inaczej. Pewnego poranku, gdy ojciec siedział jeszcze w szlafroku, wbiegli nagle przerażeni słudzy z doniesieniem o przybyciu generała Timofiejewa, komendanta szóstego liniowego korpusu, w którym ojciec służył. Ulubieniec Mikołaja I. był strasznym człowiekiem. Za pomyłkę na paradzie zdolny był kazać zaćwiczyć żołnierza prawie na śmierć różgami. Mógł zdegradować oficera i zesłać go na Sybir, jeżeli go spotkał na ulicy z rozpiętymi haftkami wysokiego, sztywnego kołnierza. Słowo generała Timofiejewa znaczyło wszystko u Mikołaja. Tego rana generał, który nigdy przedtem nie bywał u nas, zjawił się osobiście, aby poswatać ojcu siostrzenicę żony, pannę Elżbietę Markownę Karandino, jedną z córek admirała floty czarnomorskiej, młodą osobę, wówczas, jak mówiono, bardzo piękną, o regularnym greckim profilu. Ojciec

zgodził się i drugie wesele, jak i pierwsze, odbyło się z wielkim przepychem i uroczystością.

— Wy, młodzież, nic się nie rozumiecie na podobnych sprawach — kończył zwykle ojciec, gdy z trudnym do oddania, subtelnym humorem opowiadał mi następnie tę historję: — A czy ty wiesz, co wtedy znaczył «korpusowy»? — I wtem on sam, czort jedno-oki zjawił się swatem! Naturalnie cały posąg składał się z jednego dużego kufra, wypchanego babskimi szmatami, na którym siedziała jedyna jej poddana dziewczka, Marta, czarna, jak cyganka!

Nic już dziś nie pamiętam z całego tego wydarzenia. Przypominam sobie tylko duży salon, bogato umeblowany, a w salonie tym młodą, o sympatycznej powierzchowności damę, z czarnemi, przenikliwemi oczyma, zdradzającemi jej południowe pochodzenie. Dama ta bawi się z nami i powtarza:

— Widzicie, jaką wesołą mamę będziecie mieli!

Na to ja i Sasza, zachmurzywszy się, odpowiadamy:

— Nasza mama uleciała do nieba.

Trochę podejrzanem wydawało nam się to zbyt niezwykle ożywienie.

Z nadejściem zimy zaczęło się dla nas nowe życie. Ojciec sprzedał stary dom i kupił drugi, umeblowawszy go przytem całkiem na nowo. Zniknęło wszystko, co mogłoby przypominać naszą matkę: jej portrety, rysunki, robótki kanwowe. Daremnie błagała pani Burman, żeby ją pozostawiono w domu, obiecując poświęcić się całkiem dziecku, którego oczekiwała macocha, — odprawiono ją.

— Nie chcę mieć u siebie nikogo z domu Sulimy — powtarzała macocha.

Zerwała wszelkie stosunki z całą naszą rodziną, z naszymi wujami, ciotkami i babką. Uljana została klucznicą i wydano ją za Froła, którego mianowano

«marszałkiem» domu. Pomyślano też o naszym wykształceniu i przyjęto drogiego guwenera Francuza, Mr. Poulain i za tanie pieniądze rosyjskiego studenta, N. P. Smirnowa. W wielu domach w Moskwie znajdowali się wówczas francuzcy guwernerzy, rozbitki napoleońskiej armii. Poulain także należał do ich liczby. Dopiero co właśnie ukończył on wychowanie młodszego syna romansopisarza Zagoskina, Sierjoży (zdrobniła forma od Sergiusz). Zagoskin uchodził w Starej Koniusznej za tak przykładowego i świetnie wykształconego młodzieńca, że ojciec mój bez wahania — umówił pana Poulain za wysoką, jak na owe czasy, cenę 600 rubli rocznie.

Poulain zjawił się ze swym myśliwskim psem, Trezorem, napoleonowskim imbrykiem do kawy, francuzkimi podręcznikami i zaczął rządzić nami i poddanym Matwiejem, przeznaczonym do naszych usług. Jego plan wychowawczy był bardzo prosty. Rano — zbudziwszy nas, sam przyrządzał sobie kawę, którą pił w swoim pokoju. Podczas gdyśmy odrabiali lekcye, zajmował się bardzo pilnie swą toaletą: zaczesywał swoje siwe włosy tak, aby skryć coraz dalej rozpełzającą się łysinę, nakładał frak, spryskiwał się i wycierał wodą kolońską, a po tem wszystkiem prowadził nas na dół dla oddania dzień dobry rodzicom. Ojca i macochę zastawaliśmy zwykle przy rannej kawie. Zbliżywszy się do nich, powtarzaliśmy urzędowym tonem: *Bonjour, mon cher papa*, — *Bonjour, ma chère maman*, a następnie całowaliśmy oboje w rękę. Pan Poulain uczenie i z elegancją wykręcał się na pięcie, mówiąc: *Bonjour, monsieur le prince*, — *Bonjour, madame la princesse*. Wykonawszy to wszystko, natychmiast wracaliśmy do siebie na górę. Ta ceremonia powtarzała się każdego rana.

Potem rozpoczynała się nasza nauka. Monsieur Poulain — zamiast fraka, oblekał się w szlafrok, przykrywał głowę skórzaną czapeczką, zagłębiał się w fotel i mówił:

— No, wydawajcie lekcję.

Wydawaliśmy «na pamięć» — od jednego miejsca, zaznaczonego paznogciem, do drugiego. Pan Poulain przyniósł z sobą — pamiętną niejednemu pokoleniu rosyjskich chłopców i dziewcząt — gramatykę Noël'a i Chapsal'a, tomik francuzkich wokabuł, historię powszechną w jednym tomie i geografję powszechną, także w jednym. Musieliśmy «wykuć» gramatykę, słówka, historię i geografję. Z gramatyką, zaczynającą się słynnem zapytaniem: «co to jest gramatyka»? — «Sztuka poprawnego mówienia i pisania», z gramatyką, powiadam, rzecz kończyła się pomyślnie. Ale, na nie szczęście, historia zaczynała się od wstępu, w którym się wyliczały wszystkie korzyści, wypływające ze znajomości tej nauki. Pierwsze zdania szły dosyć gładko. Powtarzaliśmy: «Panujący znajduje w historii przykłady wspaniałomyślności, aby je naśladował w swych rządach nad ludem; dowódca uczy się z niej szlacheckiej sztuki wojskowej». Ale, gdyśmy tylko dochodzili do prawodawstwa, wszystko się psuło. «Prawodawca znajduje w historii»; ale co właściwie znajduje on, tego nie zdołaliśmy się dowiedzieć. Trudne słowo «prawodawca» psuło wszystko. Ledwieśmy dobrnęli doń, wnet stawaliśmy.

— Na kolana! *gros pouff!* (to do mnie), wołał Poulain. — Na kolana! *grand dada!* (to pod adresem brata).

I postusznie — klęczeliśmy, zalewając się łzami i darmo siląc się zrozumieć, co znajduje prawodawca w historii.

Wstęp ten drogo nas kosztował! Uczyliśmy się już o Rzymianach. Rzucaliśmy «jak Brennus» nasze kije

na szalki wag Uljany, gdy ważyła na nich ryż. Za przykładem Kurycusza — dla zbawienia ojczyzny, skakaliśmy w przepaść ze stołu; — ale p. Poulain wciąż jeszcze od czasu do czasu powracał do wstępu i znów musieliśmy klęczeć, zawsze z łaski tego nie-szczęsnego prawodawcy. Cóż dziwnego, że ja i mój brat powzięliśmy nieprzewyciężony wstręt ku wszelkiemu prawodawstwu.

Nie wiem, coby było z geografją, gdyby książka p. Poulain zawierała także jaki wstęp. Na szczęście ktoś wyrwał pierwsze dwadzieścia stronnic (domyślam się, że tę nieocenioną przysługę zawdzięczaliśmy Sierjoży Zagoskinowi). Dzięki temu nasze lekcye geografii zaczynały się wprost od 21 stronnicy, od słów: »z po-śród rzek, oblewających Francję»...

Muszę wyznać, że nie zawsze kończyło się na klęczeniu. W klasie znajdowała się jeszcze różga, którą chwycił p. Poulain, gdy postępy nasze we «wstępie» i w dyalogach o cnocie i przyzwoitości nie rokowały żadnej nadziei. Ale razu pewnego siostra nasza, Lena, która niedawno powróciła z petersburskiego instytutu pańien cesarzowej Katarzyny i zajmowała pokój pod naszą klasą, usłyszawszy nasz płacz, wbiegła gwałtownie — zalana łzami — do gabinetu ojca i zaczęła mu gorzko wyrzucać, że powierzył nas całkowicie macoszce, która zdała nas na łaskę i niełaskę «dymisyonowanemu francuzkiemu doboszowi».

— Ma się rozumieć, — wołała wśród łez — tu nikt się nie ujmie za nimi, ale ja nie mogę patrzeć spokojnie, jak ten «dobosz» obchodzi się z moimi braćmi.

Ojciec, zaskoczony znienacka, zmieszal się zrazu i zląkał siostrę, ale w końcu pochwalil jej miłość braterską. Odtąd różga służyła już tylko do wpajania Trezorowi zasad «dobrego wychowania».

Załatwiwszy się z ciężkimi nauczycielskimi obowiązkami, p. Poulain błyskawicznie przeobrażał się: mieliśmy już przed sobą nie srogiego pedagoga, a wesołego, miłego towarzysza. Po śniadaniu szedł z nami na przechadzkę i niezmordowanie bawił nas swemi opowiadaniem. Paplaliśmy, jak gadatliwe szpaki. Mimo że nie przeszliśmy z p. Poulain poza pierwsze stronicie okładki, prędko nauczyliśmy się «mówić poprawnie», więcej, nauczyliśmy się «myśleć po francuzku». A gdy przedyktował nam pół książki o mitologii (poprawiał błędy z książki i nigdy nie starał się nawet objaśnić, dla czego dane słowo powinno się pisać tak, a nie inaczej), to pojęliśmy nawet, jak «poprawnie pisać».

Po obiedzie zajmowaliśmy się z nauczycielem rosyjskiego języka, studentem prawnego wydziału Moskiewskiego uniwersytetu. Uczył on wszystkich «rosyjskich» przedmiotów: gramatyki, arytmetyki i t. p. W tych latach nauka poważna jeszcze się nie zaczynała. Równocześnie dyktował on nam stronicę z historii rosyjskiej i tym sposobem nauczyliśmy się sposobem praktycznym wkrótce całkiem poprawnie pisać po rosyjsku.

Nasze najlepsze czasy bywały w niedzielę, gdy wszyscy nasi, oprócz dzieci, udawali się na obiad do generałowej Timofiejewej. Czasem zdarzało się też, że p. Poulain i N. P. Smirnow także otrzymywali tego dnia urlop. W tym wypadku zostawaliśmy na opiece Uljany. Pośpiesznie zjadłszy obiad, udawaliśmy się do sali bawialnej, gdzie wkrótce zjawiała się młodzież ze służby pokojowej. Rozpoczęły się przeróżne gry: w ciuciubabkę, w jastrzębia — etc. Potem majster do wszystkiego, Tichon, ukazywał się ze skrzypkami. Następowaly tańce; nie modne, miarowe tańce, pod kierunkiem tanemistrza francuza «na kau-

czukowych nóżkach» (tańce wchodziły w program naszego wychowania), ale żywy taniec, nie lekcya. Dwa-dzieścia par kręciło się w różne strony, lecz był to tylko wstęp do jeszcze bardziej ożywionego kozaczka. Tichon wręczał wtedy skrzypce komu ze starszych i zaczynał wyrzucać nogami takie dziwne figury, że w drzwiach ukazywali się kucharze, a nawet furmani, chcąc przyjrzeć się miłemu ich sercu tańcowi.

O dziewiątej posyłała się po naszych kareta. Tichon, uzbroiwszy się w szczotkę, froterował z zapalem posadzkę, żeby przywrócić na nowo jej dziewiczy połysk. W domu zapanowywał wzorowy porządek. I jeśliby na drugi dzień poddano mnie i brata najsurowszemu badaniu, nie wymówilibyśmy się ani słówkiem o rozrywkach poprzedniego wieczoru. Za nic w świecie nie wydali-byśmy nikogo ze służących — tak samo, jak żaden z nich nie wydałby nas.

Raz w niedzielę ja z bratem bawiliśmy się sami w wielkiej sali i w biegu zawadziliśmy o postument, podtrzymujący cenną lampę. Lampa rozbiła się w drobne kawałki. Natychmiast słudzy zebrali naradę. Nikt nie czynił nam wymówek. Postanowiono, że nazajutrz rano Tichon, na własny strach i odpowiedzialność, wykradnie się cichutko, pobiegnie na Kuźniecki most i tam kupi taką samą lampę. Kosztowała piętnaście rubli, — dla służby suma ogromna. Ale lampę kupili, a nam nie wypomniał tego nikt i słówkiem.

Kiedy myślę teraz o przeszłości i w pamięci mojej wstają wszystkie te sceny, przypominam sobie jeszcze, że w czasie tych zabaw nie słyszeliśmy nigdy nieprzystojnych słów; nie widzieliśmy także w tańcach nic takiego, czem teraz bawią nieraz dzieci w pantomi-nach. W czeladni — między sobą, słudzy często naturalnie — używali wyrażen nieprzyzwoitych. Ale my byliśmy dziećmi, — jej dziećmi i to chroniło nas od wszystkiego.

W tych czasach dzieci nie zarzucano taką masą zabawek, jak teraz. Właściwie mówiąc, nie mieliśmy ich prawie wcale i zmuszeni byliśmy radzić sobie własną pomysłowością. Z drugiej strony nabraliśmy z bratem wcześniej zamiłowania do teatru. Wrażenie, wywarłe na nas karnawałowemi szopkami, z ich przedstawieniami, bitwami i rozbójnikami, trwało niedługo; my sami aż nadto dobrze bawiliśmy się w kozaków i rozbójników. Ale przybyła do Moskwy baletowa gwiazda pierwszej wielkości, Fanny Elsler, i zobaczyliśmy ją. Kiedy ojciec kupował bilet do teatru, to brał zawsze najlepszą łóżę, nie żałując pieniędzy; ale za to chciał, żeby za te pieniądze bawiła się cała rodzina. Wzięli i mnie, mimo że byłem jeszcze wtedy bardzo mały. Fanny Elsler wywarła na mnie takie głębokie wrażenie wdziękiem, powiewnością i wykwinnością każdego poruszenia, że odtąd tańce — należące raczej do dziedziny gimnastycznych ćwiczeń, aniżeli sztuki, — nigdy młę już nie zajmowały.

Nie ma co mówić, że «Gitanę, hiszpańską cygankę», balet, w którym występowała Elsler, postanowiliśmy wystawić w domu, to jest, treść baletu, nie tańce. Mieliśmy gotową scenę: drzwi z sypialni do klasy zasłaniały się firanką. Kilka krzeseł, ustawionych w półkole i fotel dla p. Poulain stanowiło parter i cesarską łóżę. Publiczność prędko zebraliśmy: składała ją Uljana, rosyjski nauczyciel i dwie czy trzy pokojówki. Postanowiliśmy koniecznie przedstawić dwie sceny: tę, w której cygani przywożą do taboru maleńką Gitanę w taczce i tę, w której Gitana po raz pierwszy zjawia się na scenie, zbiega z pagórka i przechodzi przez mostek po strumieniu, w którym odbija się jej obraz. Widzowie zaczęli wówczas bić wściekle oklaski i orzekliśmy, że oklaski wywołane były tem odbiciem w strumieniu.

Dla roli Gitany wybraliśmy jedną z najmniejszych dziewczynek w garderobie. Jej porwana, drelichowa sukienka nie stanowiła przeszkody. Przewrócony stół całkowicie zastąpił taczkę. Ale strumień! Z dwóch krzesel od deski do prasowania krawca Andrzeja urządziliśmy most, a z kawałka niebieskiej kitajki — strumień. Dla otrzymania odbicia użyliśmy małego okrągłego zwierciadła, przed którym golił się pan Poulain; ale mimo wszelkich naszych wysiłków nie mogliśmy osiągnąć odbicia naturalnej wielkości. Po wielu nieudanych próbach — musieliśmy zaniechać doświadczeń ze zwierciadłem. Uprosililiśmy tylko Uljanę, aby zachowała się tak, jak gdyby widziała odbicie w strumieniu i klaskała głośno. Tym sposobem, sami w końcu zaczynaliśmy wierzyć, że kto wie? — może być — i w rzeczy samej — coś widać.

Rasynowska «Phèdre», a przynajmniej — ostatni akt tragedyi, udawał się także wcale nieźle, a mianowicie, Sasza prześlicznie deklamował dźwięczne wiersze:

A peine nous sortions des portes de Trézène.

A ja siedziałem całkiem nieruchomo — podczas całego tragicznego monologu, oznajmającego mi o śmierci syna, aż do chwili, gdy zgodnie z książką — powinienem był odpowiedzieć westchnieniem: *oh Dieux!*

Ale w cobyśmy się nie bawili, wszystkie nasze przedstawienia nieodmiennie kończyły się piekłem. Gasiliśmy wszystkie świece — oprócz jednej, którą stawialiśmy na przezroczystym ekranie, wysmarowanym minią, co miało wyobrażać płomień. Potem chowaliśmy się obaj z bratem i zaczynaliśmy rozpaczliwie wyć, niby jako potępieni grzesznicy. Uljana nie lubiła wspominać czorta pod noc i bała się, ale ja zadaję sobie pytanie, czy to aż nadto dotykalne wyobrażenie piekła — przy pomocy łojowej świeczki i arkusza pa-

pieru, nie przyczyniło się do tego, że ja i brat od wczesnych lat pozbyliśmy się lęku przed gehenną ognistą. Nasze wyobrażenie było zbyt realne, aby nie miało obudzić sceptycyzmu.

Prawdopodobnie byłem bardzo mały, kiedy zobaczyłem słynnych moskiewskich aktorów: Szczepkina, Sadowskiego i Szumskiego w «Rewizorze» i w «Weselu Kreczyńskiego». Ale mimo to — żywo pamiętam nie tylko wszystkie wybitniejsze sceny w obu komedjach, ale nawet intonację naszych wielkich aktorów realistycznej szkoły: gra ich silnie wraziła się w moją pamięć tak, że kiedy następnie widziałem te same sztuki w Petersburgu, w wykonaniu aktorów francuskiej deklamatorskiej szkoły, nie mogłem znieść ich. Porównywałem tych aktorów ze Szczepkinym i Sadowskim, którzy wyrobili mój smak w sztuce dramatycznej. To mi nasuwa myśl, że rodzice, chcący wykształcić w swych dzieciach smak artystyczny, powinni brać je od czasu do czasu do teatru, aby im pokazać dobrych aktorów w dobrych sztukach, nie zaś tak nazwane dziecinne pantominy.

V.

Liczyłem ósmy rok życia, gdy zaszło wydarzenie, które rozstrzygnęło o dalszych kolejach mego wychowania. Nie wiem dokładnie w skutek jakiej okoliczności, ale zdaje mi się, że z powodu 25-letniej rocznicy wstąpienia na tron Mikołaja I, przygotowywał się w Moskwie wspólny bal. Dwór miał przybyć do starej stolicy i moskiewska szlachta postanowiła upamiętnić ten wypadek balem kostyumowym, w którym dzieci miały przyjąć wybitny udział. Postanowiono, że witać cesarza będą rozliczne narodowości, wcho-

dzące w skład imperyum. I u nas i u sąsiadów naszych robiono wielkie przygotowania. Dla naszej macychy zamówiony był świetny kostyum norodowy rosyjski. Ojciec, jako wojskowy — naturalnie — powinien był wystąpić w mundurze, ale ci z naszych krewnych, którzy nie służyli, nie mniej od pań zajęci byli przygotowaniem rosyjskich, greckich, kaukaskich, mongolskich i innych kostyumów. Kiedy szlachta moskiewska wydaje bal cesarzowi, wieczór musi wyróżniać się niebywałym przepychem. Mnie i brata uważano za zbyt małych, abyśmy mogli byli przyjąć udział w uroczystości.

Jednakże — końcem końców, dostałem się przecie na bal. Matka nasza była w wielkiej przyjaźni z Nazimową, żoną generała, który był wileńskim gubernatorem, gdy zaczęto mówić o oswobodzeniu poddanych. Nazimowa, bardzo piękna kobieta, miała wystąpić w towarzystwie dziesięcioletniego syna, w wspaniałym stroju perskiej królowej. Odpowiednio do tego i syn powinien był być w bardzo bogatym kostyumie, przepasanym pasem, ozdobionym drogimi kamieniami. Ale chłopczyk zachorował przed samym balem i Nazimowa postanowiła, że jeden z synów jej najlepszej przyjaciółki najlepiej zastąpi chorego. Powieziono więc mnie i Saszę do Nazimowej dla przymierzenia kostyumu. Okazał się on za krótkim dla Aleksandra, który znacznie przewyższał mnie wzrostem; ale dla mnie był w samą miarę. Z tej racji postanowiono że perskiego carewicza przedstawiać będę ja.

Olbrzymia sala Zebrań szlachty moskiewskiej zapelniona była gośćmi. Każdemu z dzieci wręczono berło z herbem jednej z sześćdziesięciu gubernii Cesarstwa rosyjskiego. Na mojem berle wyobrażony był orzeł, szybujący po nad błękitnem morzem, co, jak dowiedziałem się następnie, przedstawiało herb

gubernii Astrachańskiej. Ustawiono nas szeregiem w końcu olbrzymiej sali; potem, parami podchodziliśmy do wzniesienia, gdzie znajdował się cesarz z rodziną. Za zbliżeniem się, rozstępowaliśmy się na prawo i na lewo, ustawiając się tym sposobem, w jednym szeregu przed wzniesieniem. Wtedy, stosownie do otrzymanego rozkazu, pochyliliśmy wszystkie berła z herbami przed Mikołajem. Apoteoza samowładztwa wypadła bardzo efektownie. Mikołaj był zachwycony. Wszystkie prowincye oddawały hołd najwyższemu władcy. Poczem my, dzieci, zaczęliśmy powoli ustępować w głąb sali.

Ale tu wkradło się małe zamieszanie. Szambelani w haftowanych złotem mundurach podbiegli ku nam i wyprowadzono mię z szeregów. Mój wuj, książę Gagarin, przebrany za Tunguza (nie mogłem się napatrzeć na jego kaftan z cienkiej zamszowej skórki, na jego łuk i kołczan, pełen strzał), wziął mię na ręce i postawił na wzniesieniu przed cesarzem.

Nie wiem, czy dla tego, że byłem najmniejszy w całej procesyi, czy że moja okrągła twarzyczka z puklami włosów wydawała się szczególnie zabawną pod wysoką barankową astrachańską czapką, dość, że Mikołaj życzył sobie widzieć mię na wzniesieniu.

Powiedziano mi potem, że Mikołaj, lubiący zawsze kazarmowe dowcipy, wzięwszy mię za rękę, podprowadził do Maryi Aleksandrowny (żony następcy tronu), która była wtedy w oczekiwaniu trzeciego dziecka i — po żołniersku — powiedział jej: «oto, jakich zuchów mi potrzeba». Dowcip ten wywołał naturalnie rumieniec na twarz Maryi Aleksandrowny. W każdym razie, bardzo dobrze pamiętam, jak Mikołaj zapytał: czy chcę cukierków? na co odpowiedziałem, że chciałbym mieć rogaliki, jakie nam podawano do herbaty

w uroczystych zdarzeniach. Mikołaj skinął na lokaja i wysypał całą pełną tacę do mojej czapki.

— Zaniosę je Saszy, — powiedziałem Mikołajowi.

Wkońcu — jednakże, brat Mikołaja, Michał, o wyglądzie feldwebła, słynący za dowcipnisia, potrafił rozdrażnić mię aż do płaczu.

— Kiedy jesteś caca-dziecko, to cię pieszczą ot tak — powiedział on — i przesunął swoją dużą rękę po mojej twarzy od góry do dołu.

— A kiedy dokazujesz, to głaszczą cię, ot tak — przesunął rękę w górę, naciskając silnie nos, który i sam przez się, okazywał się skłonny do rosną w górę. W oczach moich ukazały się łzy, które nadaremnie starałem się powstrzymać. Damy — zresztą, ujęły się za mną. Dobra Marya Aleksandrowna wzięła mię pod swą opiekę. Posadziła mię obok siebie na wysokim, z pozłoconymi poręczami, aksamitnem krześle. Mówiono mi potem, że prędko zasnąłem, położywszy głowę na jej kolanach, a ona nie wstawiała z miejsca w ciągu całego balu. Pamiętam także, że krewni, podczas gdyśmy oczekiwali karety, głaskali mię po głowie, całowali i mówili: — Piotrusiu, zostałeś mianowany paziem! — na co odpowiedziałem:

— Ja nie jestem paż, ja chcę do domu — i byłem bardzo zajęty moją czapką, w której leżały przeznaczone dla Saszy rogaliki.

Nie wiem, czy wiele ich dostał Sasza; ale pamiętam, że mnie serdecznie uściskał, gdy mu powiedziano jak niepokoilem się o czapkę. Być zapisanym między kandydatów do korpusu paziów — uważało się wtedy za wielką łaskę. Mikołaj rzadko ją okazywał moskiewskiej szlachcie. Ojciec mój był zachwycony i marzył już o świetnej karyerze, która czeka syna przy dworze. Kiedy moja macocha, opowiadała o tem wy-

darzeniu, nigdy nie omieszkała dodać: — «a to wszystko dla tego, że go pobłogosławiłam przed balem».

Nazimowa była też zachwycona i zamówiła portret akwarelą, na którym przedstawioną była ona w perskim kostyumie i ja — obok niej.

W rok potem rozstrzygnął się też los Aleksandra. Obchodzono wówczas w Petersburgu jubileusz Izmajłowskiego pułku, w którym ojciec mój służył w młodości. Raz nocą, gdy wszyscy w domu byli pogrążeni w głębokim śnie, zatrzymała się u bramy, brzęcząc dzwoneczkami, «trojka». Z kibitki wyskoczył feldjeger i głośno krzyknął: — «Otwórzcie! Rozkaz od Jego Cesarskiej Mości, imperatora!...» — Nie trudno sobie wyobrazić, jakim strachem przejęły cały dom te nocne odwiedziny. Ojciec drżący zeszedł do gabinetu! «Sąd wojenny! degradacya na prostego żołnierza!» — majaczyło się wówczas każdemu oficerowi. To były przecież straszne czasy! Okazało się jednak, że Mikołaj zapragnął poprostu mieć imiona wszystkich synów oficerów, którzy kiedykolwiek służyli w Izmajłowskim pułku, żeby porozmieszczać chłopców po wojskowych naukowych zakładach, jeżeli to jeszcze nie było zrobionem. W tym to celu posłano z Petersburga do Moskwy kuryera, który dniem i nocą dobijał się do domów wszystkich byłych oficerów Izmajłowskiego pułku.

Drżącą ręką zapisał ojciec, że jego starszy syn, Mikołaj, uczy się już w pierwszym moskiewskim kadecim korpusie, że najmłodszy syn, Piotr, jest kandydatem do korpusu paziów i że pozostaje tylko średni, Aleksander, który jeszcze nie wstąpił do żadnego wojennego naukowego zakładu. W kilka tygodni potem przyszedł papier, oznajmujący ojcu o «monarszej łasce.» Aleksandra kazano umieścić w Orłowskim

kadeckim korpusie. Nie mało starań i pieniędzy kosztowało ojca, żeby uzyskać pozwolenie umieszczenia Aleksandra w moskiewskim kadeckim korpusie. Nową «łaskę» okazano tylko dla tego, że starszy syn już się uczył w tym korpusie.

Tym sposobem, z woli Mikołaja I. mieliśmy obaj otrzymać wojenne wychowanie, choć w kilka lat potem zniechęciliśmy służbę wojskową dla jej bezmyślności. Ale Mikołaj pilnie przestrzegał, aby synowie szlachty, wyjąwszy słabowitych, obierali tylko wojskową karierę. I — dzięki temu, ku wielkiemu uradowaniu ojca — wszyscy trzej mieliśmy zostać oficerami.

VI.

W tym czasie zamożność mierzyła się liczbą «dusz» któreimi władał obywatel. «Dusze» — oznaczały poddanych płci męskiej. Kobiety nie przyjmowały się w rachubę. Mój ojciec liczył się za bogatego człowieka. Miał 1200 dusz w trzech różnych guberniach i jeszcze więcej ziemi. Żył też odpowiednio do swego stanowiska. To znaczyło, że dom był otwarty dla gości i że ojciec trzymał liczną służbę. W domu było nas osiem, czasem dziesięć, albo dwanaście osób, ale pięćdziesiąt ludzi usługi w Moskwie i około sześćdziesięciu we wsi nie uważało się za zbyt wielki etat. Wtedy wydawałoby się nie zrozumiałem, jak można się obejść bez czterech stangretów, pilnujących dwunastu koni, bez trzech kucharzy dla państwa i kucharek dla służby, bez dwunastu lokai, usługujących przy stole w czasie obiadu (za każdym obiadującym stał lokaj z talerzem) i bez niezliczonych pokojówek w garderobie.

W tych czasach najgorętszym pragnieniem każdego

posiadacza dóbr było, żeby wszystkie artykuły niezbędne w gospodarstwie były wyrabiane przez własnych jego poddanych chłopów. A to wszystko ot, dla czego. Jeżeli kto z gości zauważył:

— Jak dobrze nastrojony państwa fortepian! Stroiciel państwa pewno Schimmel?

To prawdziwy «pan» odpowiadał:

— Ja mam własnego stroiciela.

— Jakie prześliczne ciasto! — wykrzyknie — bywało, kto z gości, gdy pod koniec obiadu ukazywało się swego rodzaju arcydzieło z lodów i ciast. Przyznaj się księżę, to od Tremblé'go (modny cukiernik w tych czasach)?

— Nie, to robił mój własny cukiernik, uczeń Tremblé'go! Pozwoliłem mu dzisiaj popisać się swą sztuką.

Najgorętszem pragnieniem każdego bogacza i znakomitszego obywatela było mieć meble, hafty, uprząż, słowem wszystko od własnych majstrów. Gdy dzieci służby dworskiej kończyły lat dziesięć, oddawano je na naukę do modnych rzemieślniczych warsztatów. Pięć lub siedem lat zamiatały sklepik, otrzymywały w nagrodę niezliczoną ilość szturchańców i używane były głównie do posyłek. Muszę powiedzieć, że niewielu wyuczało się w zupełności swego rzemiosła. Krawcy i szewcy mogli szyć odzież i obuwie tylko dla służby; kiedy zaś naprawdę okazywało się potrzebne dobre ciasto, to je zamawiano u Tremblé'go, a nasz cukiernik tymczasem bił w bęben w pańszczyźnianej orkiestrze. Ta orkiestra była drugim punktem próżności mego ojca. Prawie każdy z czeladzi, po za swym rzemiosłem, figurował jeszcze jako bas albo klarinet w orkiestrze. Stroiciel Makar, pomocnik marszałka dworu, grał także na flecie. Krawiec Andrzej grał na waltorni.

Powinnością zaś cukiernika było zrazu bić w bę-

ben, ale czynił to z taką gorliwością, że ogłuszał wszystkich. Wtedy kupiono mu olbrzymią trąbę w nadziei, że może nie będzie w stanie płucami robić tyle hałasu, co rękami. Ale gdy i ta nadzieja zawiodła, oddano go do wojska. Co się zaś tyczy dziobatego Tichona, to oprócz nieprzeliczonych obowiązków, wypełnianych w domu, w roli lampiarza, frotera i podróznego lokaja, pomagał on jeszcze nie bez korzyści w orkiestrze, dziś na trombonie, jutro na kontrabasie, albo wreszcie jako drugie skrzypce.

Dwie pierwsze skrzypce stanowiły jedyny wyjątek od reguły. Były tylko skrzypcami. Ojciec kupił tych ludzi za duże pieniądze, wraz z ich rodzinami, u sióstr (nigdy nie kupował poddanych u obcych, ani też nie sprzedawał im swoich ludzi). I oto wieczorami, gdy ojciec nie wyjeżdżał do klubu, albo jeżeli u nas byli goście, grała orkiestra z dwunastu lub piętnastu muzykantów i grała wcale nieźle. Na orkiestrę naszą okazywał się wielki popyt, gdy sąsiedzi, zwłaszcza na wsi, urządzali wieczory tańcujące. W każdym z podobnych wypadków — naturalnie — trzeba było prosić pozwolenia u ojca.

Nie nie sprawiało ojcu więcej zadowolenia, jak gdy zwracano się doń z prośbą, z powodu orkiestry, albo czego bądź innego, n. p. żeby umieścić chłopca na rządowy koszt w szkole, albo oswobodzić kogo od kary, nałożonej przez sąd. Chociaż ojciec umiał czasem unosić się gniewem, aż do wybuchów wściekłości, z natury był on niewątpliwie dosyć miękkim człowiekiem. I kiedy zwracano się doń z prośbą o protekcję, rozpisywał dziesiątki listów na wszystkie strony, do wszystkich wysoko położonych osób, które mogłyby być pożytecznymi dla jego «protégé». W tych wypadkach i tak sama przez się liczna jego korespondencya, powiększała się jeszcze o całe pół tuzina specjalnych

listów, pisanych w wybitnie charakterystycznym, pół-urzędowym, pół-żartobliwym tonie. Każdy list, naturalnie, zapieczętowywał się herbową pieczęcią ojca. Duża kwadratowa koperta szeleściła, jak dziecinna grzechotka od piasku, którym się list gęsto posypywał. Bibuły wtedy jeszcze nie znano. Im trudniejszą była prośba, tem większą energię wykazywał ojciec, póki nie uzyskał nakoniec tego, o co prosił dla swego «protégé», którego nieraz nigdy i na oczy nie widział.

Ojciec mój lubił, żeby go odwiedzali goście. Jedliśmy obiad o 4-tej, a o 7-mej cała rodzina zgromadzała się około wielkiego samowaru. W tej porze mógł przychodzić każdy, należący do naszego koła. Zwłaszcza nie brakowało gości, gdy Lena wróciła z instytutu. Jeżeli w oknach, wychodzących na ulicę, widać było światło, znajomi wiedzieli, że nasi są w domu — i że gościom będą radzi.

Goście schodzili się prawie każdego wieczora. W sali rozkładały się stoliki do gry. Młodzież zaś i damy pozostawali w salonie, albo też zbierali się około fortepianu Leny. Po odejściu dam, gra w karty przeciągała się aż do świtu i duże sumy przechodziły wtedy z rąk do rąk. Ojciec mój stale przegrywał. Niebezpieczeństwo jednakże przedstawiała dlań gra nie w domu, ale w angielskim klubie, gdzie stawki były wyższe. Szczególnie niebezpiecznem było, kiedy ojca zapraszano na partyę «z bardzo szanownymi panami», do jednego z najbardziej poważanych domów w Starej Koniusznej, gdzie gruba gra szła całą noc. W podobnych wypadkach ojciec przegrywał bardzo wiele.

Dość często miały miejsce wieczory tańcujące, nie mówiąc już o dwóch obowiązkowych balach każdej zimy. W takich razach ojciec nie liczył się z kosztami, a starał się urządzić wszystko, jak najlepiej. Równocześnie zaś — w powszedniem naszym życiu prakty-

kowało się takie skąpstwo, że gdybym zaczął opowiadać szczegóły, wziętoby to za przesadę. O jednym pretendencie do tronu francuskiego, który wsławił się wspaniałymi myśliwskimi wyprawami, opowiadają, że w domu jego nawet ogarki z łojówek rachowały się. Taką drobnostkową oszczędność we wszystkim zachowywano i w naszym domu i skąpstwo posuwało się tak daleko, że my, dzieci, gdy wyrosliśmy, znienawidziliśmy oszczędność i wyrachowanie. Zresztą, w Starej Koniusznej taki sposób życia wzbudzał tylko tem większy ogólny szacunek dla mego ojca.

— Stary księżę — mówili wszyscy, skąpy trochę w domowych wydatkach, ale za to wie, jak należy się żyć szlachcicowi.

W naszych cichych i czyściutkich ulicach takie właśnie życie było w szczególnem poważaniu. Jeden z naszych sąsiadów, generał D., prowadził dom na szeroką stopę, a mimo to codziennie między panem i kucharzem zachodziły przekomiczne sceny. Po śniadaniu, stary generał, smokcząc fajkę, sam dysponował obiadem.

— No, bracie, — mówił on kucharzowi w śnieżnobiałej kurtce i kołpaku — dziś nas będzie nie wielu, nie więcej niż dwóch, trzech gości — ugotuj nam zupę, z jakąbądź nowalijką, z zielonym groszkiem, fasolką...

— Słucham — jaśnie wielmożny panie!

— Potem — na drugie danie, co sam chcesz.

— Słucham, jaśnie wielmożny panie.

— Szparagi — naturalnie, jeszcze trochę za drogie, choć widziałem wczoraj takie piękne pęczki..

— Akuratnie tak, jaśnie wielmożny panie, po cztery ruble za pęczek.

— Tak, doprawdy? No, słuchaj, twoje pieczone z kurcząt i indyka sprzykrzyło się już nam śmiertelnie! Wymyśl co nowego.

— Może jaką zwierzynę? jaśnie wielmożny panie.

— Tak, tak, bracie, można i zwierzynę, cobądź dla odmiany.

Gdy wszystkie sześć dań zostały w taki sposób obmyślane, generał zapytywał:

— No, a ile chcesz na wydatki? Chyba trzy ruble wystarczy?

— Dziesięć rubli, jaśnie wielmożny panie.

— Et, kochanku, nie pleć głupstw! Ot, masz trzy ruble. Sam wiesz, że to aż nadto dosyć.

— Cztery ruble — szparagi, pół-trzecia — jarzyna...

— Ależ kochanku, miej sumienie! No, zresztą, masz jeszcze rubla, ale, pamiętaj, oszczędzaj!

Targi przeciągały się około pół godziny. Wreszcie zgadzali się na sumę 7 rubli 25 kopiejek, ale pod warunkiem, że obiad następnego dnia będzie kosztował tylko półtora rubla. Generał uszczęśliwiony, że załatwił wszystko tak łatwo i pomyślnie, kazał zaprzęgać do sań i objeżdżał modne magazyny; powracał promieniejący i przywoził żonie flakonik wykwintnych perfum, które kosztowały go szaloną cenę w pierwszym francuskim magazynie. Córce jedynaczce oznajmiał przytem, że przyniosą po południu od «madame» takiej to — do przymierzenia, bardzo «skromniutką» a bardzo drogą aksamitną narzutkę.

Cała nasza bardzo liczna rodzina ze strony ojca żyła w taki sam sposób. Jeśli czasami budziły się jakie nowe dążności, przyjmowały zwykle formę religijną. Tak na przykład, ku wielkiemu zgorszeniu «całej Moskwy», jeden z książąt Gagarinych wstąpił do zakonu Jezuitów; drugi młody książę zamknął się w klasztorze i kilka starych dam zostało zapamiętałami dewotkami.

Bywały i wyjątki. Jeden z naszych blizkich krewnych, nazwę go Mirskim, spędził młodość w Peters-

burgu, gdzie służył w gwardyi. Mało dbał o zaszczyt posiadania własnego poddanego krawca lub tapicera. Dom jego był wspaniale urządzony, umeblowany z całym przepychem nowego stylu, a sam ubierał się u najlepszego krawca. Nie lubił gry i grał tylko z paniami, za to słabą jego stroną stanowił smaczny stół, na który tracił niebywale sumy. Zwłaszcza nie szczędził kosztów i zachodu w czasie Wielkiego Postu i Świąt Wielkanocy. W poście zagłębiał się cały w wymyślaniu najwykwintniejszych rybnych potraw. W tym celu przetrząsał wszystkie magazyny w obu stolicach. Ze swych wsi dziedzicznych wyprawiał gońców do ujść Wołgi — po olbrzymiego jesiotra, albo jaką niezwykłą konserwę rybną, którą natychmiast wysyłano mu ekstrakcją, gdyż koleje nie były jeszcze znane. Kiedy zaś nadchodziła Wielkanoc, pomysłowość jego nie miała granic.

Wielkanoc najbardziej uroczyste i radosne święto w Rosyi — święto wiosny. Topnieją olbrzymie zasy śnieżne, leżące całą zimę i burzliwe potoki zalewają ulice. Wiosna przychodzi — nie jak złodziej, skradając się zcicha i niepostrzeżenie, ale śmiało i otwarcie. Każdy dzień przynosi widoczną zmianę, a wraz ze znikającym śniegiem drzewa okrywają się rozwijającymi się pączkami. Przymrozki nocne tylko zlekka opóźniają odwilż.

Za czasów mego dzieciństwa Wielki Tydzień obchodził się niezwykle uroczyście. Tłumy ludu cisnęły się do cerkwi, zwłaszcza w Wielki Czwartek i słuchały z głębokiem przejęciem tych wzruszających ustępów Ewangelii, w których mówi się o meście Chrystusa. Podczas Wielkiego Tygodnia wstrzymywano się nawet od rybnych potraw, a najpobożniejsi nie przyjmowali żadnego posiłku w Wielki Piątek. Tem bardziej rażącym było przejście do Wielkiejnocy. W Sobotę wszyscy udawali się do cerkwi na rezurekcyę. Początek nabo-

żeństwa, jak wiadomo, bardzo smutny. Ale o północy ogłasza się nagle wesola wieść o Zmartwychwstaniu Chrystusowem! Wszystkie cerkwie odrazu rozświetlają się blaskiem niezliczonych świec i lamp; setki dzwonic rozbrzmiewają radośnym hejnałem dzwonów. Nastaje powszechne wesele... Cerkwie, zalane morzem światła, pstrzą się strojnemi tualetami pań. Nawet najuboższa kobieta postara się na Wielkanoc o nowy przydziewek — i jeżeli szyje sobie nową suknię tylko raz na rok, to uszyje ją sobie napewno na ten właśnie dzień.

Wtedy, jak i dzisiaj, Wielkanoc podawała kuszącą sposobność do wielkiej niewstrzeżliwości w jedzeniu. W bogatych domach przyrządzają się wówczas najwymyślniejsze »paski« (sery śmietankowe) i pieką najsmakowitsze »kulicze« (kołaczki świąteczne). Najbiedniejsi nawet muszą mieć na stole tego dnia choć jedną paskę i maleńki kulicz i choć jedną czerwoną »kraszankę« (jajko ufarbowane), poświęcane w cerkwi.

Pospolicie zasiadano do jedzenia zaraz po powrocie z rezurekcyi — w nocy, gdy poświęcane kulicze przyniesiono z cerkwi. Ale w bogatszych, pańskich domach czekano do Niedzieli wielkanocnej. Olbrzymi stół nakrywał się rano białym obrusem i zastawiał przeróżnemi ciastami i mięsiami — i gdy państwo udawali się do jadalni, cała liczna służba domowa, aż do ostatniej pomywaczki, przychodziła życzyć im wesółych świąt i zamienić z nimi trzy pocałunki tradycyjalne i małe czerwone jajko¹⁾.

Przez cały tydzień Wielkanocny stał w sali zastawiony stół i każdego gościa zapraszano na zakąskę.

¹⁾ W Rosyi panuje zwyczaj, że w dzień Wielkanocy wszyscy witają się trzykrotnym pocałunkiem w twarz, słowami «Chrystus zmartwychstał» i zamieniają między sobą »kraszanki«, małe farbowane czerwono jajka.

I przy tej sposobności ks. Mirski przechodził sam siebie. Gdziekolwiek się znajdował, w Moskwie czy w Petersburgu, umyślni posłańcy przywozili mu ze wsi specjalnie przyrządzony ser do pasek, z którego kucharz wyrabiał swego rodzaju arcydzieła sztuki. Drugi posłaniec pędził do wsi nowogrodzkiej po niedźwiedzią szynkę, wędzoną wyłącznie dla książęcego wielkanocnego stołu.

Księżna oddawała się przez cały Wielki Tydzień skrusze i pokutnym rozmyślaniami. Zwiedzała z dwiema córkami najsurowsze klasztory, gdzie nabożeństwa nocne przeciągały się po trzy i cztery godziny i posilała się zaledwie kawałkiem czarnego chleba — w przerwach między nabożeństwami i kazaniami protestanckich, katolickich i prawosławnych kaznodziei, na które pilnie uczęszczała, a mąż jej — tymczasem — objeżdżał co rana słynne sklepy Milusina, gdzie gastronomi znajdują delikatesy, nagromadzone ze wszystkich stron świata. Tu książę wybierał do wielkanocnego stołu najdroższe i najwykwintniejsze przysmaki, a gdy świętami odwiedzały go setki gości, proszono ich »skosztować« tylko tej lub owej osobliwości.

Skończyło się na tem, że książę zdołał literalnie przejeść cały swój niezmierny majątek. Jego zbyt koźnie umeblowany dom i przesliczne dobra ziemskie zostały sprzedane i na starość nie pozostało obojgu księstwu nic z dawnego przepychu — nawet własnego kąta. Musieli mieszkać przy dzieciach.

Tak płynęło życie w naszych stronach. Nic dziwnego więc, że po uwłaszczeniu włościan prawie cała Stara Koniuszna została zrujnowaną. Ale nie chcę wyprzedzać wypadków.

VII.

Byłoby rzeczą zbyt kosztowną utrzymywać taką liczną służbę, jak nasza, jeśliby cała prowizya musiała się zakupywać w Moskwie. Ale za czasów poddaństwa wszystko urządziło się w sposób bardzo prosty. Gdy nadchodziła zima, ojciec siadał za stołem i pisał:

«Rządcy memu, siola Nikolskiego, Kałuskiej gubernii, Mieszczowskiego powiatu, nad rzeką Sireń, od kniazia Aleksego Piotrowicza Kropotkina, pułkownika i kawalera — instrukcja.

«Po otrzymaniu niniejszego, jak tylko ustali się sanna droga, poleca się ci wysłać do mego domu, do miasta Moskwy, dwadzieścia pięć chłopskich sani w parę koni, licząc jednego konia z chaty, a człowieka i sanie z drugiej; naładowawszy na nie tyle to ćwierci owsa, tyle pszenicy, tyle żyta, a także tyle to kur, gęsi, kaczek, które powinny być zarżnięte tej zimy, dobrze zamrożone, dobrze upakowane i wysłane pod opisem z wiernymi ludźmi». W tym sensie ciągnęły się dwie stronnice do punktu. Dalej wyliczały się kary, które grożą winnym, jeżeli zapasy nie przybędą w porę i w dobrym stanie do domu pod takim-to numerem i przy takiej-to ulicy.

Okolo Bożego Narodzenia dwadzieścia pięć chłopskich sani rzeczywiście wjeżdżało w bramę i zapełniało cały wielki dziedziniec.

Gdy tylko oznajmiono ojcu o tem ważnem zdarzeniu, zaczął wołać głośno:

— Froł! Kirjuszka! Jegorka! Gdzie wy? Wszystko rozkradną? Froł, idź przyjmować owies! Uljana, idź przyjmować drób! Kirjuszka, wołaj księżnę.

W całym domu wszczynano się zamieszanie. Słudzy rzucali się jak oparzeni — we wszystkie strony, biegli

z przedpokoju w podwórze i z podwórza do przedpokoju, ale przede wszystkim do garderoby, żeby opowiedzieć kobietom nikolskie nowiny. «Pasza wychodzi za mąż po Bożem Narodzeniu; ciotka Anna oddała Bogu ducha» i t. d. Przychodziły także i listy ze wsi. Niebawem która z pokojówek przekradała się na górę do mego pokoju.

— Piotrusiu, sam jesteś, nauczyciela niema?

— Nie, jest w uniwersytecie.

— To bądź łaskaw, przeczytaj list od matki.

I czytałem naiwny list, zaczynający się stale temi samemi słowami: «Rodzice przesyłają ci swoje błogosławieństwo, na wieki». Potem szły nowiny. «Ciotka Afrosinia chora. Bołą ją wszystkie kości. Brataniec jeszcze się nie ożenił, ale mamy nadzieję, że się ożeni na przewodnią niedzielę. Krowa ciotki Stefanidy zdechła na Wszystkich Świętych». Po nowinach następowały dwie stronnice ukłonów: «Brat Paweł zasyła ukłon i siostry Marya i Darya zasyłają ukłon i jeszcze niski ukłon od wuja Mitrego...» i t. d. Mimo jednostajności tego wyliczenia, każde imię wywoływało jakąś uwagę. «Znaczy się, jeszcze żyje, biedna! Ot już dziewięć lat, jak leży plackiem». Albo: «Patrzcie! nie zapomniał o mnie! Znaczy, wrócił na Boże Narodzenie. Taki dzielny parobek! Napiszecie mi list? Żeby to wtedy i o nim nie zapomnieć». Obiecywałem, ma się rozumieć i w należytych czasie pisałem list w takim samym rodzaju.

Gdy sanie zostały wypróżnione, sień napełniała się chłopami. Stali w jarmakach¹⁾, narzuconych na półkożuszki i wyczekiwali, aż ojciec zawoła ich do gabinetu, by się rozpytać, jaki śnieg wypadł i jakie są wi-

¹⁾ Rodzaj kaftanu, zwykły strój chłopów rosyjskich.

doki na urodzaj. Nieśmiało stąpali po woskowanej posadzce i niewielu decydowało się przysiąc na brzeźku dębowej ławki. Stanowczo odmawiali się od krzesel. Tak' wyczekiwali całymi godzinami, patrząc smutnym, znużonym wzrokiem na każdego wchodzącego do, lub wychodzącego z gabinetu.

Trochę później, zwykle na drugi dzień, ktobądź ze służby ukradkiem przemykał się do naszego pokoju klasowego:

— Książę, sami jesteście ?

— Tak.

— To biegnijcie, książę, prędzej do przedpokoju. Chłopi chcą was widzieć. Przywieźli gościńce od mamki.

Gdy zeszedłem do przedpokoju, ktoś z pomiędzy chłopów wręczał mi węzełek z gościńcem. Kilka żytnich placuszków, z pół tuzina jaj na twardo i kilka jabłek. Wszystko to było związane w pstrej perkalowej chustce.

— Oto dla ciebie gościńce od mamki Wasilisy. Czy nie zamarzyły przypadkiem jabłka ? Zdaje się nie. Całą drogę trzymałem je w zanadrzu. Nie daj Boże, jaki mróz! I szeroka, brodata twarz promieniała uśmiechem, a z pod gęstej strzechy wąsów błyszczały dwa rzędy oślepiającej białości zębów.

— A to dla brata od jego mamki, Anny — dodawał drugi, wręczając mi taki sam węzełek. — Biedaczek — mówiła ona — pewno nigdy nie doje porządnie tam, w korpucie.

Czerwieniałem i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nakoniec mamrotałem: «Powiedz Wasilisie, że całuję ją; to samo powiedz Annie od brata».

Przy tych słowach twarze chłopów jeszcze bardziej się rozjaśniały.

— Dobrze, pewno powiem, to się rozumie.

Kiryła, stróżujący u drzwi gabinetu ojca, zaczynał

szeptać: «biegnijcie czem prędzej na górę, paniczu, papa zaraz wyjdzie». — «Nie zapomnijcie chustki, oni chcą ją zabrać z sobą z powrotem», szeptał znowu, doganiając mię na schodach, — i gdy składałem zmiętą chustkę, brała mię ogromna chęć posłać jaki podarek Wasilisie. Ale nie miałem nic swego — nie miałem nawet zabawek. Nigdy nie dostawaliśmy kieszonkowych pieniędzy na nasze drobne wydatki.

Najlepsze nasze czasy bywały naturalnie na wsi. Gdy minęła Wielkanoc i Zielone Świątki, pochłonięci byliśmy tylko jedną myślą — o Nikolskiem. Ale czas upływał. Wedle naszych obliczeń bez dawno już powinien był przekwitnąć na wsi, lecz tysiąc interesów zatrzymywało jeszcze ojca w mieście. Nakoniec, dnia jednego wjeżdżało w podwórze pięć lub sześć chłopskich wozów, które zabierały wszystkie sprzęty niezbędne na wsi. Wytaczała się z wozowni i jeszcze raz opatrywała starodawna karetka i drugie pojazdy, którymi jeździliśmy na wieś. Zaczynały się pakować kufry. Nauka nasza postępowała coraz wolniej. Co chwila przerywaliśmy nauczycielowi pytaniami, czy mamy zabrać z sobą tę lub ową książkę. Znacznie wcześniej, niż drudzy, zaczynaliśmy pakować nasze książki, tablice i samodzielnego naszego wyrobu zabawki.

Nareszcie wszystko było gotowe. Przed gankiem stały wozy, naładowane różnymi sprzętami, skrzyniami z naczyń kuchennem i niezliczonymi pustymi słojami, które miały się na wsi napełnić konfiturami i konserwami. Chłopi całymi godzinami wyczekiwali codziennie w przedpokoju. Ale rozkaz wyruszenia w drogę jeszcze nie wychodził. Ojciec po całych rankach wciąż pisał w gabinecie, a wieczory spędzał w klubie. Nakoniec wdawała się w to macocha, której poko-

jówka ośmieliła się szepnąć, że chłopom już dawno pora powracać do domu, bo zbliża się czas sianozęcia.

Nazajutrz rano wołano do gabinetu marszałka Froła i «pierwsze skrzypce», Michajłę Alejewa. Marszałek dostawał sakiewkę ze «strawnymi» pieniędzmi, t. j. trochę miedziaków na wyżywienie w drodze 40—50-ciu ludzi, towarzyszących nam zwykle do Nikolskiego i «rejestr». W tym ostatnim wyliczali się wszyscy uczestnicy podróży: więc naprzód orkiestra w komplecie, potem kucharze i kuchciki, praczki i pod-praczka, obdarzona sześciorgiem dzieci, Polka Krzywa, Domna Duża i Domna Mała. O nikim nie zapomniano.

»Pierwsze skrzypce« otrzymawały marszrutę. Pamiętam ją dobrze, bo ojciec, widząc, że sam nigdy się ze wszystkim nie załatwi, kazał mi zwykle przepisywać marszrutę w książce dla «ekspedycyi».

«Mojemu dworowemu Michajle Alejewowi, od księcia Aleksandra Piotrowicza Kropotkina, pułkownika i kawalera — instrukcyja.

»Rozkazuje się ci wyruszyć z moim obozem 19-go maja, o 6-tej godzinie rano, z miasta Moskwy do wsi mojej, Nikolskie, Kałuskiej gubernii, Mieszczowskiego powiatu, nad rzeką Sireń, o 200 wiorst od tego domu; przestrzegać dobrego zachowania się ludzi, powierzonych ci, a jeśli który z nich zawini pijaństwem, lub nieposłuszeństwem, to powinieneś dostawić winnego do naczelnika służby garnizonowej, razem z przyłączonym cyrkularzem, i prosić o ukaranie go (pierwsze skrzypce rozumiały już kogo) dla przykładu drugim.

»Rozkazuje się ci przede wszystkim doglądać całości powierzonych ci rzeczy i jechać zgodnie z marszrutą: pierwszego dnia zatrzymać się w takiej-to wsi dla popasu koni; na drugi dzień przenocować w mie-

ście Podolsku». I tak dalej dokładnie wskazywało się, jak przebyć wszystkie siedm czy ośm dni drogi.

Nazajutrz, o dziesiątej, zamiast o szóstej — akuratność nie zalicza się do rzędu cnót rosyjskich («Chwała Bogu, my nie Niemcy!») — tabor wozów wyruszał w drogę. Słudzy musieli iść pieszo. Tylko dzieciom robiono miejsce, gdziebądź w wannie lub w skrzyni, na samym szczycie naładowanego wozu — i kobiety mogły czasem przysiąść na brzegu telegi. Reszta szła pieszo całych dwieście wiorstw. Póki szli przez Moskwę, póty zachowywała się karność: bezwarunkowo było wzbromionem wpuszczać szarawary w buty i opasywać się pasem. Ale gdy, w jakie dwa dni potem, dopędzaliśmy tabór, zwłaszcza, jeżeli było wiadomem, że ojciec pozostał w Moskwie, znajdowaliśmy trochę inny obraz. Mężczyźni i kobiety, w jakichś niemożliwych jarmakach, podpasanych chustkami, kroczyli, podpierając się kijami, wyrżniętymi w lesie po drodze. Opaleni od słońca lub też przemoczeni deszczem, podobni byli raczej do koczującego cygańskiego taboru, niżeli do «domowników» bogatego obywatela. Tak podróżowała w tych czasach służba wszystkich pańskich domów. Kiedy widzieliśmy gromadę sług, przechodzących po jednej z naszych ulic, wiedzieliśmy, że Apuchtiny, albo Piramisznikowy opuszczają miasto. Wozy odjeżdżały nareszcie, my wciąż jeszcze pozostawialiśmy na miejscu. O mało nie chorowaliśmy z nudów i oczekiwania. Ojciec zaś bezustannie pisał «instrukcye» dla swoich rządców i pilnie przepisywał je do książki. — Nakoniec wychodził i dla nas rozkaz wyjazdu. Wszyscy wzywali się na dół. Tu ojciec odczytywał głośno marszrutę dla «księżnej Kropotkinej, żony księcia Aleksieja Piotrowicza Kropotkina, pułkownika i kawalera». W dokumencie tym szczegółowo wyliczały się miejscowości gdzie powinniśmy byli zatrzymywać się dla odpoczynku

w ciągu pięciodniowej podróży. Co prawda «instrukcja» opiewała na 30-sty maja i wyjazd oznaczał się na 6-tą rano; ale maj upływał i wyjeżdżaliśmy, zamiast o 6-tej, w południe, co gmatwało wszelkie obliczenia. Na szczęście, jak to zwykle bywa w wojennych rozkazach marszowych, okoliczność ta została przewidziana i omówioną w następującym paragrafie: «Jeśli zaś — wbrew oczekiwaniom — wyjazd Waszej Wielmożności nie nastąpi w oznaczonym dniu i godzinie, upoważnia się Waszą Wielmożność postąpić wedle własnego rozumienia, aby podróż tę doprowadzić do pomyślnego końca».

Potem cała rodzina i służba siadała na chwilę. — Wszyscy w milczeniu czynili znak krzyża, po chwili wstawali i żegnali się z ojcem. «Błagam cię, Aleksy, nie chodź do klubu», szeptała macocha. Ogromna karetka, zaprzężona czwórka koni, z forysiem na przedzie, oczekiwała w ganku. Za nią stały drugie powozy. Miejsca nasze w karecie były dokładnie wskazane w marszrucie, ale ponieważ nie mogliśmy się pomieścić wszyscy, macocha zaraz na miejscu musiała «rozporządzić się wedle własnego rozumienia». — Wreszcie, ku ogólnemu zadowoleniu — ruszaliśmy.

Droga stanowiła niewyczerpane źródło przyjemności dla nas, dzieci. Etapy dzienne były krótkie i tylko dwa razy na dzień zatrzymywaliśmy się dla popasu koni. Ponieważ panie krzyczały przy najmniejszej nierówności drogi, więc za każdym razem, gdy przychodziło się wjeżdżać pod górę, lub zjeżdżać z góry, t. j. prawie nieustannie, musieliśmy wysiadać. Korzystaliśmy z tego, aby zajrzeć do lasku przy drodze, albo przebiez się nad brzegiem przejrzystego strumienia. Przytem, na prześlicznej moskiewsko-warszawskiej szosie, którą jechaliśmy czas jakiś, spotykaliśmy wiele rzeczy bardzo zajmujących: tabory wozów, partye po-

bożnych pielgrzymów i dużo różnego ludu. Dwa razy na dzień zatrzymywaliśmy się w wielkich, ruchliwych siołach i natargowawszy się do woli o cenę siana, owsa i samowaru, wjeżdżaliśmy we wrota zajezdnego domu. Kucharz, Andrzej, kupował kurę i gotował rosół, a my tymczasem uciekaliśmy do lasu, albo oglądaliśmy podwórze. Nocowaliśmy zazwyczaj w Małym Jarosławcu, gdzie w 1812 r. Rosyanie daremnie usiłowali zatrzymać Napoleona w czasie jego odwrotu z Moskwy. Panu Poulain, który był ranny w hiszpańskiej kampanii, znane były, ma się rozumieć, a przynajmniej zapewniał, że zna wszystkie okoliczności, dotyczące się boju przy Małym Jarosławcu. Prowadził nas na pole bitwy i objaśniał nam, jak Rosyanie starali się zatrzymać Napoleona i jak wielka armia odparła ich i przerznęła się przez nasze linie bojowe. Opowiadał wszystko z takimi szczegółami, jak gdyby sam osobiście brał udział w bitwie. Tu kozacy próbowali obejść Francuzów, ale Davoust, czy jaki drugi marszałek, rozbił ich i gnał — het! aż do tego wzgórza, które widać na prawo. Ot tam, lewe skrzydło Napoleońskiej armii wywróciło rosyjską piechotę, a tu — sam Napoleon poprowadził starą gwardyę na sam centr armii Kutuzowa i okrył siebie i gwardyę nigdy nie wiedzłą sławą.

Raz pojechaliśmy starą Kałuską drogą i zatrzymaliśmy się w Tarutinie. Tu pan Poulain nie był tak wymowny, bo tu, po krwawej bitwie, Napoleon, który zamierzał iść na południe, zmuszony był cofać się starą drogą na Smoleńsk i powtórnie przechodzić przez miejscowości, spustoszone podczas pochodu na Moskwę. Ale — (tak wypadło z opowiadań pana Poulain) wszystko to nastąpiło jedynie dla tego, że Napoleon został oszukany przez swoich marszałków. Inaczej, poszedłby na Kijów i Odessę i orły jego rozpostarłyby się po nad brzegami Czarnego morza.

Za Kaługą droga ciągnęła się siedm wiorst wśród cudnego sosnowego lasu. Las ten łączy się u mnie z najmilszemi wspomnieniami dzieciństwa. Piasek w lasku był tak głęboki, jak w pustyni afrykańskiej. Cały czas szliśmy pieszo; konie wlokły powoli karetę i zatrzymywały się co chwila. Wtedy wyprzedzałem wszystkich i szedłem cały czas sam. Po obu stronach rosły stuletnie czerwone sosny. Ucho chwyciło zaledwie szelest wysokich drzew. W maleńkim jarze szerał przejrzysty strumyczek, przy którym ktoś zostawił dla użytku przechodni mały dzbanuszek z kory brzozonej, przytwierdzony do rozszczepionego widłowato kija. Gdzieś — w górze — cicho przemykała się wiewiórka. W dole wszystko było równie tajemnicze, jak i na wierzchołkach drzew... W tym lesie narodziła się moja miłość przyrody i niejasne pojęcie o nieskończonem jej życiu.

Za lasem, przeprawiwszy się promem przez Ugrę, zwracaliśmy z głównej drogi na uboczną. Zielone kłosa żyta zaglądały w okna karety, konie szczypały w biegu trawę po skrajach drogi wąskiej, jak przekop szancowy. Nakoniec ukazywały się trzy samotne wierzby przy drodze, znak, że wieś nasza już blisko i niebawem, gdy się wjechało na pagórek, nagle wypływała na horyzoncie smukła, jasnożółta dzwonnica nikolskiej cerkwi.

Nikolskie najdoskonalej odpowiadało cichemu życiu ówczesnych obywateli wiejskich. Nie było tam przepychu, jaki się spotyka w bogatszych siedzibach. Ale smak artystyczny przejawiał się w rozkładzie zabudowań, ogrodu i w całym urządzeniu. Oprócz jednego, niedawno wystawionego przez ojca domu, znajdowało się jeszcze w dużem podwórzu kilka oficyn. Dawaly one swoim mieszkańcom większą swobodę i nie naruszały zarazem blizkich stosunków, które wytwarzało

wspólne pożycie rodzinne. Rozległy owocowy «górnny sad» ciągnął się do cerkwi; na południowym skłonie, prowadzącym do rzeki, znajdował się ogród spacerowy. Tu rozciągały się kwiatowe klomby naprzemian z alejami, wysadzanymi lipami, bzem i akacyami. Z balkonu głównego domu roztaczał się wspaniały widok na rzekę i szczątki usypanej z ziemi Sereńskiej «twierdzy», w której niegdyś Rosyanie bronili się mężnie przed oblegającymi Tatarami. Dalej — rozścielało się olbrzymie, żółciejące morze kłosów, obramowane na horyzoncie ciemno-zielonym szlakiem lasów.

Od najpierwszych lat, jakie przypomnieć mogę, zawsze w lecie my dwaj z panem Poulain zajmowaliśmy sami jedną z oficyn. Odkąd system nauczania naszego nauczyciela złagodniał — wskutek interwencji Leny, byliśmy z nim w najprzyjaźniejszych stosunkach. Ojca nigdy prawie nie było w domu; całe lato spędzał na przeglądach wojsk. Macocha nie wiele zajmowała się nami, zwłaszcza od czasu, gdy urodziła się jej córka, Paulina. Byliśmy więc cały czas z p. Poulain, który umiał sam używać rozkoszy wiejskich i pozwalał też używać i nam. Ileż przyjemności i miłych rozrywek spotykaliśmy na każdym kroku! Lasy, spacerowanie nad rzeką, wdrapywanie się na wzgórza starej twierdzy, gdzie Poulain objaśniał nam, jak Rosyanie jej bronili i jak Tatarzy ją wzięli — czasami przypadkowe spotkania z wilkami. Zdarzały się i maleńkie przygody. Raz p. Poulain wyrósł w oczach naszych na bohatera: wyratował z rzeki tonącego Aleksandra. Czasem wybierała się na przechadzkę wielką partją cała rodzina z pokojówkami na grzyby. Wtedy herbatę piliśmy w lesie w pasiece, gdzie mieszkał stuletni pasiecznik z wnukiem. Albo też robiliśmy wycieczkę do jednej z naszych wsi, gdzie był wykopany głęboki staw, w którym polawiano tysiące złocistych karasi-

Część połowu szła na rzecz dziedzica, a reszta rozdzielała się pomiędzy chłopów. Moja mamka mieszkała w tej wsi. Rodzina jej liczyła się do najbiedniejszych. Składała się ona — oprócz męża — z maleńkiego chłopczyka, już pomagającego w gospodarstwie — i dziewczynki, mojej mlecznej siostry, która została w przyszłości kaznodziejką i «bogarodzicą» odszczepieńczej sekty, do której należała. Mamka była ogromnie rada, gdy przychodziłem ją odwiedzić. Uczęstować mię mogła tylko śmietanką, jajami, jabłkami i miodem. Ale jej miłość i pieszczoty czyniły na mnie głębokie wrażenie. Nakrywała stół obrusem śnieżnej białości (czystość — religijny kult odszczepieńców), podawała poczęstunek na lśniących drewnianych talerzach, serdecznie rozmawiała ze mną, jak z rodzonym synem. Muszę powiedzieć to samo o mamkach moich dwóch starszych braci, Mikołaja i Aleksandra. Należały one także do rodzin, przyjmujących czynny udział w dwóch odszczepieńczych sektach w Nikolskiem. Rzadko kto wie, ile dobroci kryje się w sercu rosyjskiego chłopca, choć, zdawałoby się — wieki całe srogiego ucisku powinnyby były zniechęcić go i rozgoryczyć.

W dni słotne pan Poulain posiadał dla nas niewyczerpany zapas historyi, zwłaszcza o wojnie hiszpańskiej. Bezustannie prosiliśmy go, by nam na nowo opowiedział, jak został raniony w bitwie i za każdym razem, gdy dochodził do miejsca, jak poczuł, że ciepła krew spływa mu do buta, osypywaliśmy go pocałunkami i nadawaliśmy mu różne najtkliwsze imiona.

Wszystko, jak się zdawało, usposabiało nas do zawodu wojskowego. Uprzedzenie ojca (jedyną zabawką, którą — o ile sobie przypominam, kupił nam, była strzelba i maleńka budka strażnicza), wojenne opowiadania Poulain'a, więcej jeszcze, nawet biblioteka, znajdująca się w naszym rozporządzeniu. Biblioteka

ta należała niegdyś do dziada naszej matki, księcia Riepińskiego, wybitnego wojennego działacza XVIII w. i składała się z dzieł, po większej części francuskich, poświęconych historii wojen, taktyce i strategii, pięknie oprawnych w skórę i ozdobionych licznymi rycinami. Najmilszą naszą rozrywką w czasie niepogody było przeglądać te obrazki, przedstawiające różną broń z czasów żydowskich i plany wszystkich bitw od czasów Aleksandra macedońskiego. Ciężkie tomy były też wspaniałym budowlanym materiałem dla wznoszenia silnych twierdz, które czas jakiś wytrzymywały ciosy tarana i pocisków, wyrzucanych z Archimedesowej katapulty (ta ostatnia, zresztą, wkrótce została wzbroniona, bo kamienie zawsze niechybnie trafiały w okna). Mimo to ani ja, ani Aleksander, nie zostaliśmy wojskowymi. Literatura lat sześćdziesiątych zatarła w nas pamięć tego wszystkiego, czego nas uczono w dzieciństwie.

Pan Poulain był tego samego zdania o rewolucjach, co orleański tygodnik «*Illustration Française*», którego stare numery otrzymywał i którego rysunki znaliśmy bardzo dobrze. Przez długi czas wyobrażałem sobie rewolucję nie inaczej, tylko w postaci śmierci, pędzącej na koniu, z czerwonym sztandarem w jednej ręce i kosą w drugiej, żeby kosić ludzi. Tak było narysowane w «*Illustration*». Teraz myślę jednakże, że nieprzyjaźń Poulain'a ograniczała się tylko do powstania 1848 r., ponieważ jedno z jego opowiadań o rewolucji 1789 r. wywarło na mnie głębokie wrażenie.

Tytuł «*jaśnie oświecony*» używał się w naszym domu przy każdej odpowiedniej i nieodpowiedniej sposobności. Prawdopodobnie — raziło to niemile Poulain'a, bo raz począł nam opowiadać, co wiedział, o wielkiej rewolucji. Nie mogę sobie teraz przypomnieć wszystkiego, co mówił, pamiętam tylko co nastę-

puje. Poulain opowiedział, jak «hrabia Mirabeau» i drudzy zrzekli się swoich tytułów i jak Mirabeau, żeby wykazać pogardę dla arystokratycznych pretensyi, otworzył warsztat z szyldem «krawiec Mirabeau» (opowiadam historję, jak ją słyshałem od Poulain'a). Przez długi czas potem rozmyślałem, jakie zajęcie wybrałbym sobie, żeby mójz wypisać na szyldzie: «taki-to rzemieślnik, Kropotkin». Potem, mój nauczyciel N. P. Smirnow i ogólny demokratyczny duch literatury rosyjskiej skłonił mię sam przez się ku temu i gdy zacząłem pisać powieści — co nastąpiło w dwunastym roku mego życia — podpisywałem się po prostu: «P. Kropotkin». To samo robiłem i później, gdy byłem w wojskowej służbie, nie zważając na uwagi mych zwierzchników.

VIII.

W jesieni 1852 r. Aleksander wstąpił do korpusu kadetów i odtąd widywaliśmy się tylko w święta albo w niedzielę. Od naszego domu do kadeckiego korpusu było wiorst siedm — ale chociaż trzymaliśmy z dziesiątek koni, zawsze jakoś tak wypadalo, że gdy trzeba było posłać sanie do korpusu po brata, wszystkie konie znajdowały się w rozjeździe. Mikołaj przyjeżdżał do domu bardzo rzadko. Dzięki względnej swobodzie, z jakiej Aleksander korzystał w szkole wojskowej — i wpływowi dwóch profesorów literatury, rozwijał się on bardzo szybko. Dalej jeszcze będę mówił o tym dobroczynnym wpływie, jaki wywarł on na mój rozwój. Przypadło mi w udziale wielkie szczęście posiadać kochającego, rozwiniętego starszego brata.

Ja tymczasem, zostawałem w domu. Trzeba było oczekiwać, kiedy przyjdzie moja kolej postąpienia do

korpusu paziów, a przyszła ona, gdy miałem już prawie piętnaście lat. Poulain około tego czasu został oddalony, a w jego miejsce przyjęto nauczyciela Niemca, jednego z tych idealistów, których często spotkać można wpośród Niemców. Zwłaszcza pamiętam, jak czytał Schillera; naiwna jego deklamacya wprawiała mię w prawdziwy zachwyty. Przebył on u nas tylko jedną zimę. Następnej oddano mię do moskiewskiego gimnazjum i zostałem ostatecznie powierzony opiece N. P. Smirnowa. Wkrótce poprzyjaźniliśmy się, zwłaszcza gdy ojciec wziął nas obu do swej wsi rjazańskiej. W drodze płataliśmy przeróżne figle i wymyślaliśmy najrozmaitsze historye, w których działającymi osobami byli spotykani przez nas ludzie. Wrażenie, wywarłe na mnie drogą, przecinającą górzystą miejscowość w powiecie Aleksieńskim, gdyśmy przejeżdżali z Rjazania do Tuły — wzmogło jeszcze bardziej rozwijającą się we mnie miłość przyrody. Pod wpływem Smirnowa począł się też rozwijać mój smak literacki i w przerwach między 1854—1857-tym rokiem całkiem się wyrobił. Mój nauczyciel skończył w tym czasie uniwersytet i otrzymał niewielką posadę w Izbie sądowej, gdzie przepędzał cały ranek, — ja zaś zostawałem sam do obiadu. Po odrobieniu lekcji i przechadzce, pozostawało mi jeszcze dużo czasu, żeby czytać, a zwłaszcza pisać. Jesienią zaś, gdy nauczyciel wracał do Moskwy, do swojej Izby, a my wciąż jeszcze zostawaliśmy na wsi — byłem znów sam. Nie miałem żadnych lekcji; — pogawędziwszy w rodzinie i pobawiwszy się z małą siostrzyczką, Paulinką, mogłem dowoli oddawać się czytaniu i pisaniu.

Porządki poddańcze i pańszczyźniane dożywały wtedy ostatnich swych lat. Wszystko to było jeszcze tak niedawno, jakby wczoraj, a tymczasem, rzadko kto

w Rosyi ma dokładne pojęcie o tem, czem były te porządki. Większość niejasno pojmuje, że warunki ówczesne były złe; ale jak odbijały się te warunki fizycznie i moralnie na żywych istotach — chyba nie wielu rozumie. Wprost uderzającym jest, jak prędko zapomnianą została instytucya i społeczne warunki, zrodzone przez nią, ledwie tylko instytucya sama istnieć przestała. Tak zmienne są okoliczności i ludzie! Postaram się więc opowiedzieć, jak się żyło za czasów poddaństwa. Opowiadać będę nie to, co słyszałem, a to, co sam widziałem.

Klucznica Uljana stoi w korytarzu, prowadzącym do gabinetu ojca i żegna się. Nie śmie ani wejść, ani wrócić nazad. Nakoniec szepce modlitwę, wchodzi do gabinetu i ledwie dosłyszalnym głosem oznajmia, że zapas herbaty prawie już wyczerpany, że cukru zostało się tylko wszystkiego dwadzieścia funtów i że reszta prowizyi także wyjdzie niebawem.

— Złodzieje! rabusie! — woła ojciec. — A ty taka sama, jak i oni!

Głos jego grzmi po całym domu. Macocha posłała Uljanę, żeby na niej spędził się pierwszy gniew.

— Froł! zawołaj księżnę! — krzyczy ojciec. — Gdzie ona? I kiedy macocha wchodzi, wita ją w taki sam sposób.

— I ty taka sama, jak to chamskie plemię! Ty ich zawsze bronisz! — i tak dalej w ciągu całej pół godziny, a czasem i dłużej.

Potem ojciec zaczyna sprawdzać rachunki. Przytem przypomina sobie o sianie. Posyła się Froł, żeby zważył, ile go pozostało; macosze rozkazuje się być obecną przy ważeniu, a ojciec wyrachowuje, ile siana powinno być w szopie; okazuje się rzekomo, że zginęło wiele pudów, a Uljana nie umie powiedzieć, jak wydano kilka funtów takiej-to prowizyi.

Głos ojca staje się coraz bardziej i bardziej groźnym. Uljana drży. Teraz wołają do śledztwa furmana. Na niego zwala się cała burza. Ojciec rzuca się nań i zaczyna go bić. Furman powtarza jedno: «jaśnie oświecony ksiązę pan raczył się omylić».

Ojciec znowu zaczyna rachować. Tym razem wypada, że w szopie jest więcej siana, niż go być powinno. Krzyki nie ustają. Teraz ojciec łaje furmana, że daje koniom mniej paszy, niż im się należy; ale furman świadczy się wszystkimi świętymi, że konie dostają tyle paszy, ile potrzeba. Froł wzywa na świadka Bogarodzieę, że furman mówi prawdę.

Ale ojciec nie chce się uspokoić. Woła stroiciela i pod-marszałka Makara i wylicza mu wszystkie jego niedawne występki i przewinienia. Makar zeszłego tygodnia upił się i z pewnością był pijany i wczoraj, bo stłukł przecie kilka talerzy. W gruncie rzeczy, właśnie te stłuczone talerze były pierwszą przyczyną całego hałasu. Macocha powiedziała o tem ojcu rano; wskutek tego Uljana została przywitana gwałtowniejszem łajaniem, niż zazwyczaj w podobnych razach, wskutek tego nastąpiło sprawdzenie siana. Ojciec krzyczy dalej, że chamskie plemię zasługuje na najsroższą karę.

Nagle robi się cisza. Ojciec siada za stołem i pisze kartkę: «Poślijcie Makara z tą kartką na policyę. Niech mu tam wyliczą sto kijów!»

W domu strach i przerażenie.

Bije czwarta. Schodzimy wszyscy do obiadu, ale nikt nie ma apetytu. Nikt nie tknął rosołu. Siedzi nas przy stole dziesięć osób. Za każdym stoją skrzypce, albo trombon z czystym talerzem w lewej ręce, ale Makara nie ma.

— Gdzie Makar? — zapytuje macocha — zawołać go.

Makar się nie zjawia i rozkaz powtarza się znowu.

Wchodzi Makar, blady, ze zmienioną twarzą, zawstydzony, ze spuszczonei oczyma. Ojciec patrzy w talerz. Macocha, widząc, że nikt z nas nie tknął rosołu, próbuje ożywić nas.

— Czy nie znajdujecie, dzieci, — mówi po francusku — że rosół dzisiaj doskonały?

Łzy duszą mię. Po obiedzie wybiegam, dopędzam Makara w ciemnym korytarzu i chcę go pocałować w rękę; ale on wrywa ją i mówi na wpół z wyrzutem, na wpół pytająco: «zostaw mię; czekaj, gdy wyrośniesz i ty taki będziesz?»

— Nie, nie, nigdy!

A przecież ojciec mój nie należał do panów okrutnych. Przeciwnie nawet, słudzy i chłopci uważali go za dobrego pana. Ale to, co tylko co opisałem, miało miejsce wszędzie, często w daleko dzikszysp sposób. Chłosta poddanych wchodziła w zakres obowiązków policyi i strażników pożarnych.

Raz jeden obywatel spytał drugiego: «dlaczego to w pańskich dobrach liczba dusz tak powoli rośnie? Pan, zapewne, mało dbasz o to, żeby się ludzie żenili».

W kilka dni potem generał wrócił do swej wsi. Kazał podać sobie spis wszystkich chłopów, pozaznaczał imiona wszystkich parobków, którzy rozpoczęli rok ośmnasty i dziewczyn, które skończyły szesnaście t. j. wszystkich tych, których wedle prawa można żenić. Potem generał wydał rozporządzenie: Iwan niech żeni się z Anną, Paweł z Paraszką, Fiodor z Praskowią» itd., ogółem pięć par. «Pięć ślubów -- opiewał rozkaz — powinny odbyć się w niedzielę, za dziesięć dni».

Podniósł się lament w całej wsi. W każdym domu zawodziły głośno kobiety — młode i stare. Anna spodziewała się wyjść za Grzegorza, rodzice Pawła już umówili się byli o swoją dorastającą córkę z rodzi-

cami Fedota. W dodatku pora była orać, a nie bawić się w wesela. I jak można przysposobić się do wesela w dziesięć dni! Chłopi tuzinami przychodzili do dworu błagać łaski pana. Gromadki bab wiejskich, ze sztukami cienkiego płótna w rękach, wyczekiwały u wejścia do kuchni na panią, aby uprosić ją o pośrednictwo przed panem. Ale wszystko napróżno. Pan oświadczył, że śluby powinny się odbyć za dziesięć dni — i tak się też stać musiało.

W oznaczony dzień weselne orszaki, przypominające raczej pogrzeb, podążały do cerkwi. Kobiety lamentowały i zawodziły, jak po nieboszczykach. Jednego z lokaj dworskich posłano do cerkwi, żeby obecnym był przy ceremonii zaślubin i zawiadomił pana, gdy się skończy. Wkrótce jednak lokaj przybiegał błądy i zmieszany, mnąc czapkę w rękach.

— Paraszka upiera się — oznajmiał — nie chce wychodzić za Pawła. Gdy batiuszka — (ojciec — tak nazywają popów w Rosyi) spytał: «czy masz wolną wolę?», głośno krzyknęła: «Nie, nie! nie chcę!»

Pan wpadał we wściekłość: «Idź i powiedz temu długogrzywemu pijakowi (popi rosyjscy noszą długie włosy), wołał, że jeżeli natychmiast nie zaślubi Paraszki Pawłowi, zaskarżę go przed archirejem jako pijaka. Jak on śmie, nędznik, sprzeciwiać się mojej woli. Powiedz, że zgnije w klasztorze, — a rodziców Paraszki zeszlę daleko — do stepowej wsi!

Lokaj powtórzył rozkaz i groźbę. Paraszkę otoczyli pop i rodzice. Matka rzuciła się jej do nóg, błagając z płaczem, by nie gubiła ich wszystkich. Dziewczyna wciąż powtarzała: «nie chcę», — ale coraz ciszej, potem szeptem, nakoniec umilkła. Włożono jej na głowę koronę weselną (wedle zwyczaju w kościele prawosławnym trzymają w czasie ślubu koronę nad głową pań-

stwa młodych). Nie sprzeciwiała się. Lokaj pośędził do dworu z pożądaną wieścią: «zaślubieni!»

W pół godziny potem u wrót pańskiego domu zabręczały dzwonki weselnego wozu. Pięć par zszło z teleg (długie wozy, używane w Rosyi), przeszli podwórze i stanęli w przedpokoju. Pan powitał ich i poczęstował kieliszkiem wódki. Rodzice, stojący poza swemi zapłakanemi córkami, kazali im pokłonić się do nóg panu...

Śluby przymusowe były rzeczą tak zwykłą, że pomiędzy naszą służbą domową, młodzi ludzie nie lubiący się wzajemnie, przewidując, że mogą ich pożenić, zwykle zawierali z sobą kumostwo. Wedle prawa — małżeństwo staje się wtedy niemożliwem. Podstęp zwykle się udawał, ale raz zakończył się tragedją. Krawiec Andrzej pokochał dziewczynę, należącą do sąsiedniego obywatela. Andrzej spodziewał się, że ojciec uwolni go na czynsz i że pracując pilnie, zdoła zebrać pieniądze, żeby wykupić dla dziewczyny akt, zwalnający z poddaństwa. Inaczej, wyszedłszy za mąż za poddanego, stałaby się też poddaną ojca. Przewidując jednak, że mogą go przymusowo ożenić z jedną z naszych pokojówek, postanowił zawrzeć z nią kumostwo. I w rzeczy samej, stało się to, czego się obawiali. Zawołano ich pewnego razu do gabinetu ojca i rozkazano pobrać się.

— Zawsze radzi jesteśmy spełnić waszą wolę — odpowiedzieli oni, — ale kilka tygodni temu trzymaliśmy wspólnie dziecko do chrztu. Andrzej zwierzył się przytem ojcu ze swoim zamiarem. Skończyło się na tem, że go oddano w żołdaty.

Za Mikołaja I nie było powszechnej powinności wojskowej, jak obecnie. Szlachta i kupcy nie byli obowiązani służyć w wojsku. Kiedy ogłaszano nowy po-

bór, obywatele powinni byli dostarczyć pewnej oznaczonej liczby rekrutów. Zwykle w każdej wsi chłopci sami określali swą kolej; ale służba dworska zależała duszą i ciałem od dziedzica. Jeżeli pan był zagniewany na sługę, odsyłał go do wojskowego urzędu i otrzymywał kwit rekrucki, przedstawiający znaczną pieniężną wartość, gdyż można go było sprzedać tym, których oczekiwał jeszcze pobór wojskowy.

Służba żołnierska w tych czasach była straszna; trwała dwadzieścia pięć lat. Zostać żołnierzem — znaczyło na zawsze zostać oderwanym od wsi rodzinnej i krewnych, i znajdować się w całkowitej władzy takiego komendanta, jak naprzykład: Timofiejew, o którym już wspominałem. Plagi, różgi, pałki sypały się codzien! Okrucieństwo przytem — przewyższało wszelkie wyobrażenie. Nawet w korpusach kadetów, gdzie wychowywały się dzieci szlachty, skazywano czasem na tysiąc różg, w obecności całego korpusu, za palenie papierosa. Przy katowanym chłopcu stał doktor i przerzywał egzekucję tylko wtedy, gdy puls przestawał już prawie uderzać. Skrwawioną, omdlałą ofiarę zanoszono do szpitala. W. Ks. Michał, naczelnik szkół wojskowych, prędko oddaliłby dyrektora, u którego nie zdarzyłoby się choć jednego, lub dwu takich wypadków w ciągu roku. «Karności brak», powiedziałyby.

Z prostymi żołnierzami obchodzono się, naturalnie, jeszcze gorzej. Jeżeli kto zostawał oddany pod sąd wojenny, wyrok zapadał prawie zawsze: przepędzić przez różgi, t. j. przez t. zw. «strój». Wtedy ustawiano dwoma szpalerami tysiąc żołnierzy, uzbrojonych w pałki grubości małego palca (zachowały one swoją niemiecką nazwę: szpicróżgi). Skazańca wleczono «przez strój» trzy, cztery, pięć i siedem razy, przyczem każdy żołnierz uderzał go różgą. Podoficerowie przestrzegali, żeby żołnierze bili z całych sił. Po tysiącu lub dwóch

tysiącach pałek zalaną krwią ofiarę zabierano do szpitala, gdzie leczono ją po to tylko, aby kara mogła być wykonaną do końca, ledwie żołnierz przyszedł trochę do siebie. Jeśli umierał pod pałkami, wyrok dokonywał się na trupie — aż do ostatniego uderzenia. Mikołaj i brat jego Michał nie znali litości. Żadne złagodzenie kary nie mogło mieć miejsca pod żadnym pozorem.

— Ja cię przepędzę przez strój! Skórę zedrę z ciebie pod pałkami! — taką była zwykła groźba w tych czasach.

Ponure przerażenie ogarniało cały nasz dom, gdy rozchodziła się wieść, że kogo ze służby mają «oddać w żołdacy». Biedaka, okutego w kajdany, zamykano pod strażą w kancelaryi, żeby się przypadkiem nie zabił. Potem zajeżdżał wóz i nowobrańca wyprowadzano — zawsze z dwoma strażnikami. Cała służba dworska otaczała go. On kłaniał się wszystkim nisko i prosił każdego o przebaczenie, jeśli co przeciw komu świadomie lub nieświadomie przewinił. Jeśli rodzice jego mieszkali we wsi, przychodzili także pożegnać syna — może na zawsze. On bił im niskie pokłony — do samej ziemi, podczas gdy matka wspólnie z drugimi krewnymi zawodziły głośno — pół płacząc, pół — śpiewem, jak po nieboszczyku: «Komu zostawiasz nas? Kto będzie myślał o tobie w cudzej stronie? Kto ciebie, sierotę, przed ludźmi złymi obroni?»

I tak oczekiwała Andrzeja ciężka 25-letnia żołnierska służba. Wszystkie jego marzenia o szczęściu jak dym się rozwiały.

Losy jednej z naszych pokojówek, Pelagii, albo Poli, jak ją zdrobniale nazywano, były jeszcze tragiczniejsze. Gdy była jeszcze małą dziewczynką, oddano ją do magazynu, gdzie wyuczyła się ozdobnego

haftu. Zdolna i zręczna, stała się prawdziwą artystką w swoim rzemiośle. W Nikolskiem krośna jej stały w pokoju Leny — i często brała Pola udział w rozmowach siostry mojej z mieszkającą w tym samym pokoju siostrą naszej macochy. I z rozmowy i z obejścia się Pola wyglądała raczej na panienkę, niż na pokojówkę.

Ale zdarzyło się z nią nieszczęście. Popełniła fałszywy krok i spostrzegła, że wkrótce zostanie matką. Zwierzyła się ze wszystkim macosze, która wybuchnęła gwałtownymi wyrzutami: «Nie chcę cierpieć dłużej w moim domu tej nędzniczy!.. Nie zniosę w moim domu takiej hańby! ty, bezwstydnico! podła! drań!» i tak dalej. Łzy i prośby Leny nic nie pomogły. Poli ucięto warkocz i wygnano ją z dworu do brudnej, lichej chatki na folwarku, ale ponieważ wtedy właśnie haftowała prześliczną spódnicę, więc robotę kazano jej kończyć na folwarku, w brudnej i ciasnej izdebce, u mikroskopijnego okienka. Pola skończyła tę robotę — i potem wiele jeszcze innych pięknych, artystycznych haftów, w nadziei otrzymania przebaczenia. Ale przebaczenie nie przyszło. Ojciec dziecka Poli, poddany naszego sąsiada, błagał, by mu pozwolono ożenić się z nią. Nie miał jednak pieniędzy — i odprawiono go z niczem. «Szlacheckie maniery» Poli uznano za okoliczność, obciążającą jej winę. Czekala ją gorzka dola! Pomiedzy naszą służbą domową znajdował się młody parobek nader małego wzrostu, który wskutek tego służył u nas jako foryś. W dzieciństwie uderzył go silnie koń kopytem, odtąd przestał rósć. Nazywano go: Filka Kosolapy. Nogi miał wygięte w kablak, stopy odwrócone wewnątrz, nos przelamany i skrzywiony, szczękę zeszpeconą. Za tego potwora postanowiono wydać Polę — i wydano. Wydano gwałtem. Nowożeńców osiedlono potem we wsi Rjazańskiej,

gdzie musieli odrabiać zwykłą, ciężką chłopską pańszczyznę.

Ludzkie uczuć u poddanych nie uznawano, nikt nie podejrzywał nawet, żeby je mogli posiadać. Kiedy Turgeniew napisał «Mumu», a Grigorowicz swoje powieści, w których kazał publiczności wzruszać się nieszczęściami poddanych, dla wielu czytelników było to prawdziwym odkryciem. «Czyż to możliwe! poddani kochają zupełnie tak, jak my!» — wykrzykiwały sentymentalne damy, które — czytając francuskie romanse, opłakiwały tylko cierpienia bohaterów i bohaterek.

Wykształcenie, które niektórzy obywatele dawali swoim poddanym, stawało się dla tych ostatnich tylko nowym źródłem nieszczęść. Razu pewnego ojciec mój, zauważywszy przypadkowo w jakiejś wiejskiej chacie zdolnego chłopca, oddał go do felczerskiej szkoły. Oczekiwania ojca nie zawiodły: chłopiec był pilny i w ciągu kilku lat uczynił znaczne postępy. Kiedy wrócił do domu, ojciec kupił wszystkie niezbędne przybory apteczne i urządził aptekę bardzo wygodnie w jednej z oficyn w Nikolskiem. Latem «Sasza doktor», jak nazywano u nas młodzieńca, pilnie zbierał i suszył liczne lecznicze zioła. Wkrótce stał się on bardzo znanym w Nikolskiem i w całej okolicy; chorzy chłopcy schodzili się doń ze wszystkich sąsiednich wsi. Ojciec bardzo się pysznił z powodzenia swej apteki. Nie trwało to długo. Raz zimą przyjechał ojciec do Nikolskiego, zabawił kilka dni — i odjechał. Tej samej nocy Sasza zastrzelił się, wypadkiem, jak mówiono. Ale przyczyną była nieszczęśliwa miłość. Pokochał dziewczynę, z którą nie mógł się żenić, gdyż była poddaną drugiego obywatela.

Losy drugiego młodzieńca, Gierasima Krugłowa, którego ojciec wysłał do moskiewskiej rolniczej szkoły, były prawie równie smutne. Skończył świetnie — ze

złotym medalem. Dyrektor wszelkimi sposobami starał się nakłonić ojca, żeby zwolnił Krugłowa z poddaństwa i przez to otworzył mu wstęp do uniwersytetu, dokąd poddanych nie przyjmowano.

— Krugłow pewno będzie niepospolitym człowiekiem — mówił dyrektor, — być może — chwałą Rosyi. Będziesz pan mógł szczerzyć się tem, że oceniłeś jego zdolności i dałeś takiego człowieka rosyjskiej nauce.

— Potrzebuję go w mojej wsi — odpowiadał ojciec na wszelkie uporczywe prośby, zanoszone za młodzieńcem. — W rzeczy zaś samej przy pierwotnym systemie prowadzenia gospodarstwa, od którego ojciec mój za nicby nie odstąpił, Gierasim Krugłow był całkiem zbyteczny. Zdjął plan wsi, a potem kazano mu siedzieć w przedpokoju i stać z talerzem w ręku przy obiedzie. Musiało to, naturalnie, w przygnębiający sposób oddziaływać na biedaka. On marzył o uniwersytecie, o naukowej działalności. Widok jego wyrażał cierpienie; macocha zaś znajdowała szczególną przyjemność w upokarzaniu Gierasima przy każdej sposobności. Raz jesienią powiew wiatru otworzył bramę. Macocha krzyknęła nań: «Gieraśka! idź, zamknij bramę?» To była ostatnia kropla. Gierasim odpowiedział: «Od tego trzymacie stróża» i poszedł swą drogą.

Macocha wpadła z płaczem do gabinetu ojca i zaczęła mu wyrzucać: «twoi ludzie obrażają mnie w twoim domu!...»

Gierasima natychmiast okuto i posadzono pod strażą, żeby go oddać w żołdacy. Pożegnanie jego ze starymi rodzicami było jedną z najcięższych scen, jakie zdarzyło mi się widzieć w życiu.

Tym razem jednak los zemścił się. Mikołaj I umarł i służba wojskowa stała się mniej uciążliwą. Wybitne zdolności Gierasima wkrótce zostały zauważone i po upływie kilku lat został on jednym z głównych sekre-

tarzy i w gruncie rzeczy duszą jednego z departamentów ministerium wojny. Otóż zdarzyło się, że ojciec mój, człowiek nienaruszonej uczciwości, nigdy nie biorący łapówek — a to w takim czasie, gdy wszyscy łapówkami dorabiali się majątków — przełamał raz surowe przepisy służby i dopuścił się pewnej nieprawidłowości, żeby się przysłużyć swemu korpusowemu komendantowi: zapisał w rzędzie niezdolnych do służby jednego z żołnierzy, który służył u korpusowego w charakterze rządcy. Ojciec o mało co nie przypłacił tego generalską rangą, którą miał otrzymać. Główny, jedyny cel całej jego trzydziesto-pięcioletniej służby został zagrożony. Macocha popędziła do Petersburga, żeby zatrzeć sprawę. Po długich staraniach powiedziano jej nakoniec, że nie pozostaje jej nic innego, tylko udać się do jednego z sekretarzy takiego-to departamentu. Choć jest on tylko prostym głównym pisarzem, powiedziano jej — ale w rzeczywistości on rządzi wszystkim i może zrobić, co zechce. Nazwisko jego — Gierasim Iwanowicz Krugłow.

— Wyobraź sobie — opowiadała mi potem macocha — nasze Geraśko! Zawsze wiedziałam, że on ma wielkie zdolności. Poszłam do niego i opowiedziałam mu całą sprawę, a on mi na to: «Nic nie mam przeciw staremu księciu i zrobię dlań wszystko, co będę mógł».

Gierasim dotrzymał słowa: złożył pomyślny raport i ojciec został awansowany. Nakoniec wolno mu było nałożyć tak dawno pożądane czerwone spodnie, szynel na czerwonej podszewce i kask z pióropuszem.

Takie to były rzeczy, które sam widziałem w dzieciństwie. Obraz wypadłby jeszcze bardziej ponury, gdybym zaczął powtarzać to, co słyszałem w tych latach; opowiadania o tem, jak mężczyźni i kobiety odrywano od rodziny, sprzedawano, przegrywano w karty, albo

wymieniano na parę chartów, a potem osiedlano na kresach Rosyi, celem założenia nowej osady; opowiadania o tem, jak odbierano dzieci rodzicom i sprzedawano okrutnym, albo rozpustnym panom; o tem, jak codziennie, z niesłychanem okrucieństwem sieczono różgami w stajni; o dziewczynie, która utopiła się, aby ująć przed zgwałceniem; o starcu, który posiwił na służbie u pana i potem powiesił się przed jego oknami; o chłopskich buntach, które uśmierzali Mikołajewscy generałowie, batożąc na śmierć każdego dziesiątego człowieka i pustosząc całe wsie. Po wojskowej egzekucyi — chłopci, pozostali przy życiu, szli na żebrzy pod oknami. Co się tyczy tej nędzy, którą widywałem w czasie podróży w niektórych wsiach, zwłaszcza «udzielnych», które należały do członków rodziny cesarskiej — to brak słów, aby opisać wszystko.

Najgorętszem marzeniem poddanych było otrzymać akt, zwalnający z poddaństwa. Ale marzenie to niełatwo dawało się urzeczywistnić, ponieważ za akt taki trzeba było zapłacić obywatelowi wielką sumę pieniędzy.

— Czy wiesz — powiedział mi kiedyś ojciec — wasza matka zjawiała mi się raz po śmierci. Wy, młodzież, nie wierzycie w takie rzeczy, a jednakże to prawda. Drzemie raz późno nocą, w fotelu — u biurka. Wtem — patrzę, ona wchodzi, cała w bieli, blada, z pałającymi oczyma. Kiedy twoja matka umierała, musiałem jej przyrzec, że zwolnię pokojówkę Maszę z poddaństwa. Potem — wśród tych i owych spraw — cały rok nie mogłem spełnić obietnicy. I oto, twoja matka przyszła i powiada mi głuchym głosem: «Aleksis, obiecałeś mi uwolnić Maszę; czyżbyś zapomniał?» Strach mię zdjął. Zrywam się z fotelu, lecz ona już znikła. Wołam ludzi, ale nikt nic nie widział. Na drugi dzień odprawilem

panichidę¹⁾ na grobie i natychmiast dałem wolność Maszy.

Po śmierci ojca Masza przyszła na pogrzeb i mówiłem z nią. Była już zamężną i bardzo szczęśliwą. Brat Aleksander powtórzył jej opowiadanie ojca; spytaliśmy ją, co wie o tem nocnem zjawisku.

— Wszystko to było już bardzo dawno, tak, że mogę wam powiedzieć prawdę — odpowiedziała Masza. — Widzę ja, że ksiązę całkiem zapomniał o swej obietnicy; więc ubrałam się biało, jak wasza mama i przypomniałam mu przyrzeczenie. Wy — przecież, nie będziecie się gniewać za to na mnie?

— Ma się rozumieć, nie!

W dziesięć czy dwanaście lat po wypadkach, o których była mowa w początku tego rozdziału, rozmawiałem raz z ojcem w nocy — w jego gabinecie o przeszłości. Poddaństwo było już zniesione; ojciec utyskiwał, choć nie bardzo, na nowy porządek rzeczy. Pogodził się z nim bez wielkiego szemrania.

— A jednak przyznaj się — rzekłem — że często okrutnie karałeś służbę, czasem nawet bez żadnej racyi.

— Z tymi ludźmi — odpowiedział — nie można było inaczej.

Potem ojciec oparł się o poręcz fotela i zamyślił czas niejaki.

— Ale to, co ja robiłem, zaczął znowu po długiej pauzie — to była drobnostka i mówić nie warto. A ot, choćby — na przykład, ten Sablew! tak wydaje się łagodnym i mówi takim słodkim głosikiem, a tymczasem czego nie wyprawiał z poddanymi! Ile razy usiłowali oni go zabić. Ja przynajmniej — nigdy nie ruszałem moich dziewczek. A ten stary czort T., ten był

¹⁾ Żałobne nabożeństwo — w rodzaju egzekwii.

taki, że jego poddani zrywali się, by go ciężko okaleczyć!... No, żegnaj. Bonne nuit!

IX.

Dobrze pamiętam wojnę krymską. W Moskwie, właściwie mówiąc, nie wzbudzała ona głębokiego zainteresowania. Prawda — w każdym domu, wieczorami skubano szarpie — ale niewiele dostawały jej rosyjskie wojska; większą część rozkradano i sprzedawano nieprzyjacielowi. Lena i drugie młode dziewczęta śpiewały patryotyczne pieśni, ale zwykły bieg towarzyskiego życia nie został w niczem naruszony wielką toczącą się walką. Na wsi zaś, przeciwnie, wojna wywołała głębokie przygnębienie. Rekruckie pobory następowały jedne po drugich. Bezustannie słyszeliśmy zawodzenia włościanek. Lud patrzył na wojnę, jak na karę Bożą i ztąd zachowywał się wobec niej z powagą, stanowiącą jaskrawe przeciwieństwo z lekkomyślnością, którą spotykałem następnie w zachodniej Europie. Choć byłem jeszcze bardzo młody, jednak i wtedy już rozumiałem to uczucie uroczystego poddania się losowi, jakie panowało wówczas po wsiach.

Brat Mikołaj — na równi z drugimi — porwany wojenną gorączką, zaciągnął się do armii kaukazkiej, nie skończywszy kadeckiego korpusu. Więcej już go nigdy nie widziałem.

W 1854 r. rodzina nasza powiększyła się: przyjechały dwie siostry macochy. Posiadały one dom i winnice w Sewastopolu, ale teraz pozostały bez dachu i zamieszkały z nami. Kiedy armie sprzymierzone wylądowały w Krymie, mieszkańcom Sewastopola oznajmiono, że nie mają się czego obawiać i że każdy może sobie żyć spokojnie. Ale po klęsce przy Almie kazano

wszystkim wynosić się jak najprędzej, ponieważ miasto zostanie zajęte po kilku dniach. Brakło koni; w dodatku drogi były zatamowane przechodem wojsk, które udawały się na południe. Najać podwodę okazało się prawie niemożliwym. Siostry macochy musiały zostać w drodze prawie cały swój majątek i nacierpiały się niemało, póki przyjechały do Moskwy.

Wkrótce poprzyjaźniłem się z młodszą z sióstr, trzydziestoletnią panną, która paliła papierosy jeden po drugim, gdy opowiadała mi o wszystkich trwogach podróży. Ze łzami w oczach mówiła o prześlicznych wojennych okrętach, które musiano zatopić przy wejściu do sewastopolskiej zatoki i często powtarzała, że nie rozumie, jak będą bronić Sewastopola od strony lądu, gdyż miasto nie posiada właściwie żadnych oszańcowań.

Zacząłem 13-sty rok, gdy umarł Mikołaj. Późnym wieczorem, 18-go lutego, policyjanci miejscy roznosili po domach biuletyny, w których oznajmiano o chorobie cara, a ludność zapraszano do cerkwi modlić się o wyzdrowienie Mikołaja. Tymczasem car już umarł i władze wiedziały o tem, bo Petersburg i Moskwa były połączone telegraficznie. Ale ponieważ do ostatniej chwili ani słowa nie wspomniano o chorobie cara, zwierzchność uważała za konieczne stopniowo przygotować ludność. Wszyscy chodziliśmy do cerkwi i modliliśmy się bardzo gorąco.

Następnego dnia, w sobotę, powtórzyło się to samo. Nawet w niedzielę rano wyszły biuletyny o stanie zdrowia cara. Dopiero w południe dowiedzieliśmy się od sług, powracających z rynku, o śmierci cesarza. Gdy się wieść rozeszła, przerażenie ogarnęło i nasz i sąsiednie domy. Opowiadano, że ludność na bazarze zachowuje się bardzo podejrzanie i nietylko nie okazuje współczucia, ale przeciwnie, zdradza niebezpieczne my-

śli. Dorośli rozmawiali tylko szeptem, a macocha wciąż powtarzała: «ach! nie mówcie przy ludziach!» Słudzy — w swoją kolej — szeptali o «woli», którą ogłoszą niebawem. Obywatele oczekiwali co chwila buntu poddanych, nowej rzezi pugaczewskiej.

Wówczas — na ulicach Petersburga — ludzie inteligentni spotkawszy się, ściskali się, udzielając sobie wzajemnie milej nowiny. Wszyscy przeczuwali, że następuje koniec i wojny — i strasznych warunków życia, stworzonych przez «żelaznego tyrana». Mówiono, że Mikołaj otruł się; przytaczano na dowód szybki rozkład ciała. Prawda — jednakże — wyszła na jaw powoli. Śmierć nastąpiła w skutek przyjęcia przez Mikołaja zbyt silnej dozy podniecającego lekarstwa.

Na prowincyi, latem 1855 r. śledzono ze skupionem zajęciem przebieg bohaterskiej walki pod Sewastopolem, obliczano każdy arszyn zburzonych szańców. Z naszego domu dwa razy tygodniowo posyłano umyślnego posłańca do powiatowego miasta po gazety i gdy powracał, wrywano mu je i rozpieczętowywano prędkiej, nim zdołał zsiąść z konia. Czytaliśmy głośno wszystkim Lena, albo ja. Nowiny niezwłocznie rozchodziły się między służbą w czeladnej izbie, w kuchni w kantorze, na probostwie, a potem wśród chłopów.

Ze łzami słuchali wszyscy o ostatnich dniach Sewastopola, o strasznym bombardowaniu i wyjściu naszych wojsk z miasta. Wszędzie w obywatelskich domach strata Sewastopola oplakiwała się, jak śmierć blizkiego krewnego, choć wszyscy pojmowali, że teraz — straszna wojna niebawem się już zakończy.

X.

W czerwcu 1857 r. przyszła moja kolej wstąpienia do korpusu paziów i zawieziono mię do Petersburga.

Miałem wtedy prawie piętnaście lat. Wyjechałem z domu dzieckiem: ale charakter człowieka wyrabia się w sposób określony daleko wcześniej, niż zazwyczaj przypuszczają — i nie wątpię — że niezależnie od mego dzieciennego wieku — w znacznej mierze i wtedy byłem już tem, czem się stałem później. Moje upodobania i skłonności już się wyrobiły.

Pierwsze pobudzenie w moim rozwoju wyszło, jak powiedziałem, od mego nauczyciela rosyjskiego języka. Bardzo cenię ówczesny zwyczaj, niestety — zanikający teraz, przyjmowania do domu studenta, któryby pomagał dzieciom w odrabianiu lekcji, zarówno chłopcom, jak dziewczynkom, nawet wtedy, gdy dzieci wstąpią już do gimnazyum. Pomoc takiego nauczyciela jest nieocenioną — i żeby prędzej i łatwiej przyswoić sobie naukę szkolną i żeby wogóle rozszerzyć zakres swoich wiadomości. Więcej, tym sposobem wprowadza się do rodziny żywioł cywilizacyjny. Student staje się starszym bratem młodzieży, często nawet więcej, niż starszym bratem, ponieważ jest on do pewnego stopnia odpowiedzialny za postępy swoich uczniów. A ponieważ metody nauczania zmieniają się z każdym pokoleniem, student może łatwiej pomóc dzieciom, niż najbardziej inteligentni rodzice.

Mikołaj Pawłowicz Smirnow posiadał rozwinięty smak literacki. W dzikiej epoce Mikołajewskich rządów wiele całkiem niewinnych utworów naszych najlepszych pisarzy nie mogło wcale być wydrukowanych. Inne rzeczy były tak okaleczone przez cenzurę, że traciły wszelki sens. Na przykład, w genialnej komedyi Grybojedowa, pułkownika Skołozuba trzeba było nazwać, «panem Skołozubem», na czem ucierpiał i sens i niektóre wiersze. Wystawić pułkownika w śmiesznym charakterze uważałoby się za obrazę armii. Drugiej części takiej niewinnej książki, jak «Martwe Dusze»

nie pozwolono wcale drukować, a zakazano drugiego wydania pierwszej części, gdy się pierwsze wydanie rozeszło.

Wiele poezji Puszkina, Lermontowa, Aleksego Tołstoja, Rylejewa i drugich poetów nie zostało przepuszczonych przez cenzurę. Nie mówię już o poezjach, zawierających jakąbądź myśl polityczną, albo krytykujących istniejący porządek. Ale wszystkie te poezye krążyły w rękopisach. Smirnow przepisywał je, a nawet większe dzieła Gogola i Lermontowa dla siebie, albo dla przyjaciół — i pomagałem mu czasem w tej robocie. Jako prawdziwy mieszkaniec Moskwy, żywił on głęboki szacunek dla pisarzy, mieszkających w Moskwie (niektórzy z nich nawet w Starej Koniusznej). Ze czcią pokazywał mi dom hrabiny Salias (Eugonii Tur), naszej najbliższej sąsiadki. Co się zaś tyczy domu Herzena, to Mikołaj Pawłowicz pokazywał mi go nietylko z poważaniem — ale z pewną czcią religijną.

Dom, w którym mieszkał Gogol, stanowił dla nas obu przedmiot wyjątkowego uwielbienia. Choć miałem tylko dziewięć lat, kiedy umarł Gogol (1852 r) i nie czytałem jeszcze wtedy żadnego z jego dzieł, pamiętam jednak dobrze, jak zasmuciła Moskwę ta śmierć. Turgeniew dobrze wyraził ten ogólny smutek w zapisce, za którą Mikołaj wsadził go do aresztu, a potem zesłał na wieś.

«Eugeniusz Oniegin» nie sprawił na mnie silnego wrażenia. I dotychczas więcej zachwycam się dziwną prostotą i pięknnością formy tego romansu, aniżeli jego treścią. Za to Gogol, którego czytałem, mając jedenaście, czy dwanaście lat, przejął mię ogromnie. Moje pierwsze próby literackie, naśladując Gogola, pisałem w humorystycznym rodzaju. «Jerzy Miłosławski» Zagoskina, «Kapitańska córka» i «Królowa Margot» Du-

mas'a długo zajmowały mię swoją intrygą. Co się tyczy innych francuskich romansów, zacząłem je czytać dopiero, gdy się zjawili Zola i Daudet. Od dziecka Nekrasow był moim ulubionym poetą. Wiele jego poezyi umiałem na pamięć.

Mikołaj Pawłowicz wcześniej zachęcił mię do pisania. Z jego pomocą napisałem długą «Historję Dzieiesięciokopiejkówki». Obmyślaliśmy razem rozmaite charaktery ludzi, w ręce których dostawała się dziesięciokopiejkówka. Sasza okazywał wówczas więcej poetyckich skłonności. Pisał romantyczne historye i wczesnie zaczął układać bardzo dźwięczne wiersze, które przychodziły mu bardzo łatwo. Z pewnością stałby się znamienitym poetą, gdyby nie oddał się potem całkowicie naukom przyrodniczym i filozofii. Lekko pochyły dach pod naszym oknem był w tych czasach najulubieńszem jego miejscem, gdzie szukał poetycznego natchnienia; a ja, naturalnie, nie mogłem się powstrzymać, by go nie drażnić: «Oto siedzi poeta u komina i wiersze kleci!» Droczenie to kończyło się potężnem wyczubieniem się, co przyprowadzało Lenę do rozpaczy. Ale Sasza nie był mściwy. Prędko przychodziło do zgody, ja zaś z Saszą kochaliśmy się namiętnie. U chłopców miłość i wzajemne bójki często idą ręka w rękę.

Próbowałem nawet wtedy zostać dziennikarzem. Mając rok dwunasty zacząłem wydawać codzienną gazetę. Ponieważ papier wydzielał nam się bardzo oszczędnie, gazeta moja składała się zaledwie z jednej trzydziestej drugiej części arkusza. A ponieważ wojna krymska jeszcze się wtedy nie zaczynała i ojciec otrzymywał tylko «Moskiewskie Policyjne Wiadomości», nie miałem zbyt wielkiego wyboru do naśladowania. Tym sposobem gazeta moja składała się z króciutkich rubryk, donoszących o nowinach dnia, w rodzaju nastę-

pujących: «Poszliśmy do lasu. N. P. Smirnow zastrzelił moc drożdów...» i t. d.

Wkrótce jednak przestało mię to zadawałniać i w 1855 r. zacząłem wydawać miesięcznik, w którym wychodziły wiersze Aleksandra, moje powieści i różne inne rozmaitości. Materyalny byt dziennika był całkiem zabezpieczony, gdyż posiadał on masę prenumeratorów: naprzód samego redaktora-wydawcę i po drugie, Smirnowa, który nawet po opuszczeniu naszego domu — akuratnie wnosil swoję placcę prenumeracyjną, a mianowicie, oznaczoną liczbę arkuszy papieru. Za to przepisywałem na czysto dla stałego prenumeratora drugi egzemplarz.

Kiedy Smirnow opuścił nas, zastąpił go student medycyny, N. M. Pawłow, który pomagał mi w wydawnictwie. Dostał dla dziennika poemat jednego ze swych przyjaciół -- i co ważniejsza, prelekcję wstępną moskiewskiego profesora wykładającego geografię fizyczną. Ma się rozumieć, prelekcya nigdzie jeszcze się nie ukazała; nasz dziennik nigdyby się nie zniżył do przedruku.

Chyba zbyt cieżnym jest dodawać, że Sasza żywo był zainteresowany dziennikiem, który pozyskał wkrótce szeroki rozgłos wśród ścian kadeckiego korpusu. Kilku wiele obiecujących, młodocianych pisarzy zamierzyło wydawać dziennik współzawodniczący. Sprawa przyjmowała obrót poważny. Co się tyczy wierszy i powieści, przewaga była po naszej stronie — ale konkurent posiadał «krytyka». A «krytyk», poruszający, z powodu ukazania się nowych belletrystycznych utworów, najprzeróżniejsze kwestye, które nie mogą być omawiane w inny sposób, jest, jak wiadomo, duszą rosyjskiego dziennika. Konkurent miał krytyka, a my nie! Krytyk ten napisał nawet artykuł do pierwszego numeru i pokazał go bratu. Artykuł zresztą, był pretensjonalny

słaby i Aleksander natychmiast napisał antykrytykę, w której rozbił i wyśmiał autora. Wtedy, na wiadomość, że antykrytyka ukaże się w naszym najbliższym numerze, przygnębienie ogarnęło obóz przeciwników. Wyrzekli się myśli wydawania dziennika i najlepsi ich pisarze przeszli do nas. Z tryumfem ogłosiliśmy, że pozyskaliśmy współpracownictwo tylu znamienitych pisarzy.

Dziennik przestał wychodzić w sierpniu, 1857 r. po dwu-letnim istnieniu. Jechałem do Petersburga, gdzie czekało mię nowe otoczenie i nowe życie. Z żalem opuszczałem dom, tem bardziej, że teraz cała odległość między Moskwą i Petersburgiem miała mię oddzielać od Aleksandra. Poza tem uważałem już za nieszczęście samo wstąpienie do szkoły wojskowej.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZEŚĆ DRUGA.

KORPUS PAZIÓW.

I.

Najdroższe pragnienie mego ojca spełniło się. Znalazło się nakoniec jedno miejsce wolne w korpusie paziów, które mogłem zająć, zanim doszedłem wieku, powyżej którego już nie przyjmowano. Macocha odwiozła mię do Petersburga i wstąpiłem do korpusu. W tym uprzywilejowanym zakładzie, łączącym w sobie podwójny charakter szkoły wojskowej, korzystającej z wyjątkowych praw — i szkoły nadwornej, znajdującej się w zawiadywaniu dworu cesarskiego — otrzymywało wykształcenie ogółem 150-ciu chłopców, przeważnie synów dygnitarzy dworskich. Po cztero lub pięcio-letnim pobycie w korpusie — kończący go wychowañcy — po zdaniu odpowiednich egzaminów, otrzymywali stopień oficera z prawem wyboru jakiegokolwiek pułku gwardyi, albo armii liniowej, niezależnie od tego, czy znajdowały się w nim wolne wakanse, czy nie. Każdego roku pierwszych szesnastu uczni wyższej klasy mianowano paziami pokojowymi różnych członków rodziny cesarskiej: cara, carowej, Wiel-

kich Książąt i Wielkich Księżnych, co — ma się rozumieć — uważało się za wielki zaszczyt. Oprócz tego — młodzieńcy, których spotkał ten honor, stawali się znanymi na dworze, co im dawało sposobność szybkiego awansu na adjutantów cesarza, albo którego z Wielkich Książąt i tem samem otwierało widoki świetnej kariery na przyszłość. Wskutek tego papusie i mamusie, mający stosunki przy dworze, starali się najusilniej, żeby ich synowie przyjętymi zostali do korpusu paziów, choćby z ujmą drugich kandydatów, którym prawie niepodobna już było doczekać się drugiego wakansu. Teraz, kiedy ja nakoniec dostałem się do korpusu, ojciec mógł puścić wodze swoim ambitnym marzeniom.

Korpus dzielił się na pięć klas, z których najwyższa nazywała się pierwszą, a najniższa piątą — i ja zdawałem egzamin do klasy czwartej. Ponieważ jednak wykazała się na egzaminie moja niedostateczna znajomość ułamków dziesiętnych, więc — zamiast do czwartej klasy, trafiłem do piątej, zwłaszcza, że w czwartej było już około 40-stu uczni, a w piątej zaledwie dwadzieścia.

Niepowodzenie to mocno mię zmartwiło. I tak niezbyt chętnie wstępowałem do szkoły wojskowej, a tu jeszcze — wypadło mi w niej pozostawać pięć lat zamiast czterech. Co ja będę robić w piątej klasie, kiedy umiem wszystko, czego tam uczą? Ze łzami w oczach powiedziałem to inspektorowi, ale on odrzekł mi żartobliwie: «a pamiętasz słowa Cezara: «lepiej być pierwszym we wsi, niż drugim w Rzymie?» Na co z zapałem odparłem, że wolałbym być ostatnim, byle tylko jak najprędzej ukończyć szkołę wojskową.

— Może jednak z czasem polubisz korpus — zauważył inspektor. Odtąd zaczął mi okazywać wiele życzliwości.

Nauczycielowi arytmetyki, który także usiłował mię pocieszać, poprzysiągłem, że nigdy nie otworzę podręcznika jego przedmiotu — «i mimo to, będziesz mi pan zawsze stawiał dwanaście» dodałem. Słowa dotrzymałem. Widać, że uczeń i wtedy już miał swe fantazy.

A jednak, teraz, mogę tylko wdzięcznym być za to, że mię zostawiono w niższej klasie. Ponieważ w pierwszym roku powtarzałem tylko rzeczy już znane, przyzwyczailem się do wyuczania się lekcyi w klasie; przysłuchując się objaśnieniom nauczyciela. Tym sposobem, po ukończeniu zajęć klasowych, miałem dosyć czasu czytać i pisać, ile mi się żywnie podobało. Nigdy nie przygotowywałem się do egzaminów. W godzinach, przeznaczonych po temu, czytałem zwykle głośno kilku towarzyszom Ostrowskiego, albo Szekspira. Kiedy przeszedłem do wyższych specjalnych klas, byłem dobrze przysposobiony do słuchania różnych przedmiotów, które się tam wykladały, chociaż większą połowę pierwszej zimy spędziłem w szpitalu. Jak wszystkie dzieci, urodzone nie w Petersburgu, złożyłem daninę stolicy «chłodnych, fińskich brzegów»; przebyłem kilka paroksyzmów miejscowej cholery i wreszcie powalił mię tyfus.

W chwili gdy wstępowałem do korpusu paziów, jego życie wewnętrzne ulegało właśnie zupełnemu przeobrażeniu. Cała Rosya ocknęła się wtedy z głębokiego snu i otrząsała z ciężkiej zmory Mikołajowskich porządków. To ogólne przebudzenie odbiło się i na naszym korpusie. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, coby się było stało ze mną, gdybym był wstąpił do korpusu o rok lub dwa wcześniej. Albo wola moja zostałaby nieodwołalnie złamaną, albo wykluczonyby mię, Bóg wie, z jakimi następstwami. Na szczęście

dla mnie, w 1857 r. peryod przejściowy znajdował się już w pełnym rozwoju.

Dyrektorem korpusu był najpocziwszy starzec, generał Zeltuchin; ale on był tylko nominalną głową korpusu. Rzeczywistym zaś naczelnikiem korpusu był «Pułkownik», Francuz w służbie rosyjskiej, pułkownik Girardot. Mówiono, że należał on do zakonu Jezuitów i sądzę, że tak było w samej rzeczy. Jego taktyka, w każdym razie, opierała się na zasadach Loyoli, a metoda pedagogiczna zapożyczoną była od jezuickich francuskich kolegów.

Wyobraźcie sobie maleńkiego, wyjątkowo chudego człowieka, z zapadłą piersią, z czarnemi, przesywającymi, ruchliwemi oczyma, z krótko przystrzyżonymi wąsami, czyniącymi go podobnym do kota; człowieka bardzo powściągliwego i pewnego siebie; nie obdarzonego zbyt szczególnymi zdolnościami umysłowemi, ale niepospolicie chytrego; despotę z natury, zdolnego nienawidzić i nienawidzić gwałtownie chłopca, nie podającego się bezwzględnie jego wpływowi — i umiającego wykazywać tę nienawiść nie bezmyślnemi zaczepkami, a nieustannie, całym swem zachowaniem się, gestem, uśmiechem, okrzykiem. On nie chodził, raczej ślizgał się, a badawcze spojrzenia, które rzucał w około, nie odwracając głowy, jeszcze więcej dopełniały jego podobieństwa z kotem. Pieczęć chłodu i oschłości leżała na jego ustach nawet wtedy, gdy starał się być dobrodusznym. Wyraz ten stawał się jeszcze bardziej przykrym, gdy usta Girardot'a wykrzywiały się uśmiechem niezadowolenia, albo pogardy. I z tem wszystkim, nie miał on w sobie nic zwierzęczego. Na pierwszy rzut oka można było pomyśleć, że pobłażliwy ojciec rozmawia z dziećmi, jak z dorosłymi ludźmi. A jednak — odrazu czuło się, że on pragnął wszystkich i wszystko poddać swej woli. Biada temu

chłopcu, który nie czuł się szczęśliwym lub nieszczęśliwym w miarę większej lub mniejszej życzliwości, którą mu pułkownik okazywał.

Słowo «pułkownik» było nieustannie na wszystkich ustach. Wszyscy inni oficerowie mieli przydomki, ale nikt nie ośmielał się nadać przydomka Girardot'owi. Otaczała go swojego rodzaju tajemniczość, jak gdyby był wszędzie obecnym i wszechwiedzącym. I — faktycznie — przepędzał on dzień cały i większą część wieczoru w korpusie. Podczas gdyśmy siedzieli w klasach, pułkownik szperał wszędzie, zaglądał do naszych szuflad, które otwierał własnymi kluczami. Po nocach zaś, do późnej godziny zaznaczał w książeczkach (miał ich całą bibliotekę) osobnymi znaczkami, różnokolorowym atramentem i w różnych rubrykach, przewinienia i odznaczenia się chłopców.

Wszelkie gry, żarty, rozmowy wnet ustawały, gdy tylko dostrzeżono, jak powoli, pochylając się naprzód i w tył, posuwał się on przez nasze olbrzymie sale, pod rękę z którym ze swych ulubieńców. Uśmiechnie się do jednego z chłopców, ostro spojrzy w oczy drugiemu, prześliznie obojętnym wzrokiem po trzecim i zlekka skrzywi usta, przechodząc koło czwartego. I po tych spojrzeniach wszyscy poznawali, że Girardot kocha pierwszego, obojętny jest dla drugiego, umyślnie nie spostrzega trzeciego i nienawidzi czwartego. Nienawiść ta wystarczała, żeby przeniknąć strachem większość jego ofiar, zwłaszcza, że nikt nie znał jej przyczyny. Chłopców wrażliwych do rozpacz przyprowadzał i ten niemy, żywo okazywany wstręt i podejrzliwe spojrzenia. U innych spowodowywało to zupełny zanik woli, jak to wykazał w swym autobiograficznym romansie autor «Chorób Woli», Teodor Tołstoj, także jeden z wychowañców Girardot'a.

Życie wewnętrzne w korpusie — pod rządami Girardot'a, było godne litości. We wszystkich internatach w ogóle prześladowają nowicyuszów. Przechodzą oni swego rodzaju próbę. «Starsi» chcą poznać wartość nowicyuszy. Czy nie staną się oni szpiegami i donosicielami. Następnie «starsi» chcą wykazać nowoprzybyłym w całym blasku potęgę koleżeństwa. Tak się mają rzeczy po szkołach i w więzieniach. Ale pod rządami Girardot'a prześladowania zaostrzały się i pochodziły nie od kolegów z jednej klasy, a od wychowawców klasy wyższej, paziów pokojowych, podoficerów, którzy zajmowali u Girardot'a wyjątkowo uprzywilejowane stanowisko. System pułkownika polegał na tem, że starszym wychowawcom pozwalał on robić, co się im święcie podobało; udawał, że nawet nie wie nic o tych okropnościach, których się dopuszczali: za to utrzymywał przez pośrednictwo paziów pokojowych surową karność. Za czasów Mikołaja odpowiedzieć uderzeniem na uderzenie pazia, znaczyło to, jeżeli fakt dochodził do wiadomości władzy zwierzchniej, dostać się do kantonistów. Jeśli zaś malec nie poddawał się kaprysom pazia pokojowego, pociągało to za sobą następujące miłe skutki: dwudziestu wyrostków, uzbroiwszy się w ciężkie dębowe linie, rzucało się — za milczącym zezwoleniem Girardot'a — na zarażonego buntowniczym duchem krnąbrnika i poskramiało go nielitościwą chłostą.

Wskutek tego pazie pokojowi robili wszystko, co chcieli. Jeszcze na rok przed mojem wstąpieniem do korpusu, najulubieńszą ich zabawą było, zebrawszy w nocy młodszych uczni do jednego pokoju, przepędzać ich — w nocnych koszulach w okrąg koła, jak konie w cyrku. Jedni kamerpaziowie stali w kole, drudzy zewnątrz niego i gumowymi biczami bez miłosierdzia smagali biedaków. «Cyrk» zwykle kończył się

wstrętną orgią — na wschodni sposób. Moralne pojęcia, panujące wówczas i rozmowy, któremi zabawiano się w korpusie, a które najczęściej obracały się około «cyrku», były takie, że im mniej się o nich wspomina, tem lepiej.

Pułkownik wiedział o wszystkim. Zorganizował on godną podziwu sieć szpiegowską i nie nie mogło ukryć się przed nim. Ale w systemie jego leżało także patrzeć przez palce na wszystkie figle starszej klasy.

W korpusie jednakże powiało nowe życie i zaledwie na kilka miesięcy przed mojem wstąpieniem wybuchła rewolucya. W tym roku trzecia klasa dobrała się wyjątkowo. Wielu uczyło się na seryo i czytało, niektórzy z nich zostali nawet następnie sławnymi ludźmi. Moja znajomość z jednym z tych ostatnich — nazwę go tu von Szauf — pamiętam, zaczęła się, gdy czytał «Krytykę Czystego Rozumu» Kanta. Przytem w trzeciej klasie znajdowali się najwięksi siłacze korpusu, jak n. p., niezwykłej siły Kosztow, wielki przyjaciel von Szaufa. Trzecia klasa nie ulegała — tak pokornie — jak jej poprzedniczki, jarzmu kamer-paziów. W następstwie jednego zajścia, o którem lepiej nie mówić, przyszło między pierwszą a trzecią klasą do gwałtownej bójki. Kamer-paziowie zostali okrutnie zbici. Girardot pokrył cały ten wypadek milczeniem, ale powaga pierwszej klasy została poderwaną. Bicz pozostały wprawdzie, lecz wyszły całkiem z użycia. Co zaś do cyrku i drugich igrzysk, to przeszły one w sferę podań.

Tym sposobem wiele wygrano, ale najniższa klasa, złożona z bardzo małych, niedawno przybyłych do korpusu chłopców, musiała jeszcze ulegać drobnym kaprysom kamer-paziów. Posiadaliśmy prześliczny, stary ogród. Piąta klasa jednak mało zeń korzystała. Uczniowie jej musieli obracać karuzel, gdy kamer-pa-

ziom zachciało się przejechać na niej, albo podawać im kule przy grze w kręgle. W parę dni po mojem przybyciu, widząc, jak się rzeczy mają w ogrodzie, nie poszedłem tam, lecz zostałem na górze. — Czytałem właśnie książkę, gdy wszedł rudy, z twarzą, okrytą brodawkami, paż pokojowy i rozkazał mi natychmiast iść do ogrodu, obracać karuzel.

— Nie pójdę. Czyż nie widzisz, że czytam — odpowiedziałem.

Gniew wykrzywił i samą przez się niepiękną twarz kamer-pazia. Gotów był rzucić się na mnie. Stałem w obronnej postawie. Próbował bić mię po twarzy czapką. Odbijałem uderzenia, jak umiałem. Wtedy rzucił czapkę na ziemię.

— Podnieś!

— Sam podnieś.

Fakt podobnego nieposłuszeństwa był niesłychanem zuchwalstwem w korpusie. Nie wiem, dla czego nie zbił mię na miejscu. Był starszy i silniejszy odemnie.

Nazajutrz i następnych dni otrzymywałem takie same rozkazy — i nie spełniałem ich. Wtedy rozpoczął się cały szereg systematycznych, drobnych prześladowań, które zdolne są doprowadzić malców do ostatniej rozpaczki. Na szczęście byłem zawsze w dobrym humorze i odpowiadałem żartami, albo nie zwracałem na zaczepki uwagi.

Zresztą, wszystko się prędko skończyło. Zaczęły lać deszcze — i większą część czasu spędzaliśmy w czterech ścianach pokoju. W ogrodzie pierwsza klasa mogła palić dosyć swobodnie; wewnątrz zakładu gabinetem do palenia była «wieża». Utrzymywała się ona bardzo czysto i na kominku paliło się cały dzień.

Paziowie karali ostro każdego chłopca, którego złapali z papierosem w ustach, ale sami bezustannie sie-

dzieli przy kominku, palili i gawędzili. Najulubieńszą ich porą do palenia był czas po 10-tej wieczorem, gdy wszyscy kładli się spać. Posiedzenia w «wieży» przeciągały się do pół do dwunastej, ażeby zabezpieczyć się przed nieoczekiwanymi odwiedzinami Girardot'a, zmuszano nas strażować. Malców piątej klasy ściganano po kolei, parami z łóżek i kazano im błąkać się po schodach do pół do dwunastej, żeby za nadejściem pułkownika mogli podnieść alarm. Postanowiliśmy skończyć raz z tem nocnem strażowaniem. Długo ciągnęły się narady: zwrócono się o radę, jak postąpić do wyższych klas i otrzymano nareszcie ich rezolucyę: «nie zgadzajcie się stać na straży; jeżeli zaś paziowie zaczną bić was, co — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — nastąpi, zbierzcie się jak największą gromadą i przywołajcie Girardot'a. On, naturalnie, wie o wszystkim, ale wtedy zmuszonym będzie położyć koniec tym zebraniom». Wątpliwość, czy nie będzie to «donosicielstwem», została rozstrzygniętą przecząco przez znawców spraw honorowych: wszak paziowie nie postępowali z nami po koleżeńsku. Tej nocy kolej stania na straży przypadła na niejakiego Szachowskiego, jednego ze «starych» i na niezwykle nieśmiałego nowicyusza, Sielianowa, mówiącego nawet cieniutkim, jak u dziewczynki, głosem. Naprzód zawołano Szachowskiego, ten odmówił i zostawiono go w spokoju. Potem dwaj kamer-paziowie przyszli do Sielianowa, który leżał w łóżku; ponieważ i on odmówił, zaczęli go w okrutny sposób smagać rzemiennymi szelkami. Szachowski zbudził kilku towarzyszy, którzy spali bliżej i wszyscy razem pobiegli do Girardot'a.

Ja też leżałem w łóżku, gdy dwóch paziów podszło do mnie i kazali mi stanąć na straży. Odmówiłem. Wtedy pochwycili dwie pary szelek (składaliśmy zawsze nasze ubranie w wielkim porządku na taborecie

przy łóżku, szelki na wierzchu, a halsztuk na krzyż) i zaczęli okładać mię niemi. Siedziałem na łóżku i brońnięłem się rękami; oberwałem już kilka gorących razów, gdy rozległ się okrzyk: «pierwsza klasa do pułkownika!» Dzicy pogromcy wnet uciszyli się i poczęli pośpiesznie układać moje rzeczy w porządku.

— Pamiętajcie, nie mówcie pułkownikowi! — szeptali.

— Połóżcie halsztuk, jak należy w porządku — żartowałem, choć plecy i ręce paliły od uderzeń.

Co Girardot mówił z pierwszą klasą, tego nie dowiedzieliśmy się, ale nazajutrz, kiedy ustawiliśmy się szeregami, aby zejść do sali jadalnej, pułkownik zwrócił się do nas z mową — w mocno minorowym tonie. Mówił, jak to przykro, że paziowie napadli na chłopca, który miał słuszość, że nie chciał iść. I na kogo napadli? Na nowicyusza, na takiego nieśmiałego chłopczyka, jak Selianow! Cały korpus ze wstrętem słuchał tej jezuickiej mowy.

Nie ma co, zdaje się, dodawać, że nocne dyżury ustały. Równocześnie zadany został ostateczny cios systemowi gnębienia nowicyuszy.

Zajście to zadało także cios autorytetowi Girardot'a który wziął to wszystko bardzo do serca. Zaczął się bardzo nieprzyjaźnie zachowywać wobec naszej klasy, a zwłaszcza wobec mnie (historia z karuzelą została mu, naturalnie powtórzoną) i okazywał to przy każdej odpowiedniej sposobności.

Pierwszej zimy często leżałem w szpitalu. W grudniu zachorowałem na tyfus. Doktor i dyrektor pielęgowali mię w czasie choroby z ojcowską troskliwością. Po tyfusie zapadałem kilkakrotnie na ostrą, męczącą gorączkę gastryczną. Zastając mię w czasie swoich codziennych obchodów często w szpitalu, Girardot począł mówić do mnie półżartem po francusku:

«ot, wyleguje się w szpitalu młodzieniec mocny, jak nowy most». Raz czy dwa odpowiedziałem żartami, ale nakoniec, oburzyła mię ta złośliwa niechęć, przejawiająca się w ciągłym powtarzaniu jednych i tych samych słów.

— Jak śmiesz pan tak mówić! — zawołałem. — Poproszę doktora, żeby zabronił panu wchodzić do tej sali. I tak dalej, w podobnym tonie.

Girardot odstąpił na jakie dwa kroki. Jego czarne oczy zaiskrzyły się; jego wąskie usta jeszcze bardziej się zacisnęły. Nakoniec wymówił: «obrazilem cię? nieprawdaż? Dobrze, w sali rekreacyjnej mamy dwie armaty. Czy chcesz się pojedynekować?»

— Ja nie żartuję — ciągnąłem dalej — i uprzedzam pana, że nie chcę dłużej znosić pańskich przymówek!

Odtąd pułkownik nie powtarzał już swego żartu, ale obrzucał mię jeszcze bardziej nieprzyjaznym spojrzeniem, niż poprzednio.

Wszyscy mówili o nienawiści, którą Girardot żywił ku mnie, ale ja nie zwracałem na to uwagi; moja obojętność — prawdopodobnie — podsycała jeszcze silniej niechęć pułkownika.

Przez całe pół roku nie dawał on mi naramienników, które zwykle dają się nowicyuszom w miesiąc lub dwa po wstąpieniu do szkoły, gdy uczeń oznajomi się trochę z frontową służbą. Ale czułem się bardzo szczęśliwym i bez tej ozdoby. Nakoniec jeden oficer, najlepiej znający musztrę w korpusie, podjął się wyuczyć mię jej. Przekonawszy się, że wykonywuję — jak należy — wszystkie obroty — przedstawił mię do odznaczenia Girardot'owi, ale pułkownik odmówił raz i drugi — tak, że oficer wziął to za osobistą obrazę. I gdy razu pewnego dyrektor spytał się go, dlaczego nie mam naramienników, oficer wprost odpowiedział: «chłopiec wszystko umie, ale pułkownik nie chce». Dzięki temu, najpraw-

dopodobniej na skutek uwagi dyrektora, Girardot natchmiał przeegzaminował mię i otrzymałem naramienniki tego samego dnia.

Wpływ pułkownika znacznie już ucierpiał. Zmienił się cały charakter korpusu. Całe dwadzieścia lat przeprowadzał Girardot w szkole swój ideał, polegający na tem, żeby pazikowie byli starannie przyczesani i u fryzowani, jak bywali nimi dworzanie Ludwika XIV-go.

Czy paziowie uczyli się czego, czy nie, to było mu obojętnem. Do ulubieńców jego liczył się ten, kto w swych puzderkach toaletowych posiadał jak najwięcej przeróżnego rodzaju szczoteczek do paznogi i flakoników z perfumami; czyj «własny» mundur (nakładano go, wychodząc na miasto za urlopem niedzielnym) był najlepiej uszyty i kto umiał składać najbardziej elegancki «salut oblique». Girardot często urządzał próby ceremonii dworskich. W tym celu jednego z paziów otulano w czerwoną, papierową kape, gdyż miał on przedstawiać cesarzową podczas «baise-main». Niegdyś chłopcy prawie z nabożeństwem wypełniali obrządek ucałowania ręki mniemanej cesarzowej i oddalali się z eleganckim ukłonem na stronę. Ale teraz nawet ci, którzy odznaczyli się swoją elegancją i wytwornością na dworze, zbywali ukłony z takim niedźwiedzim wdziękiem, że śmiech ogólny nie ustawał, a Girardot wściekał się ze złości. Niegdyś pazikowie, których fryzowano, gdy mieli jechać na wielkie przyjęcie u dworu, starali się po skończonej ceremonii jak najdłużej zachować swoją fryzurę nienaruszoną; teraz zaś, wróciwszy z pałacu, biegli pod kran i oblewali głowę zimną wodą, aby wygładzić włosy. Wygląd zniechęcały wyśmiewano. Uczestniczenie w uroczystościach dworskich, t. j. właściwie figurowanie na nich w roli jednej dekoracyi więcej, uważało się już nie za łaskę, a za swego rodzaju pańszczyznę. Pazikowie,

których wożono czasem do dworu dla wspólnej zabawy z małymi W. Książętami, zauważyli raz, że jeden z tych ostatnich, usiłował jak najmocniej skrócić przy grze w pytki swoją chustkę, aby tem dotkliwiej uderzać nią towarzyszy zabawy. Jeden z paziów uczynił wówczas to samo i tak wychłostał książątko, że rozplakało się z bólu. Girardot przeraził się niewymownie, choć wychowawca młodego księcia, stary sewastopolski admirał, pochwalił nawet postępek pazia.

Nowy duch ogarnął nasz korpus, podobnie jak inne rosyjskie szkoły ówczesne: rozwinęły się poważniejsze dążności, obudziło się nieznane przedtem upodobanie w nauce. Za poprzednich lat paziowie byli przekonani, że tak — czy inaczej, otrzymają bez trudu stopnie, uważane za konieczne, aby módz wstąpić do gwardyi. Wskutek tego w ciągu pierwszych lat nikt nie robił; zaczynano się uczyć coś niecoś dopiero w ostatnich dwóch klasach. Teraz i niższe klasy uczyły się bardzo dobrze. Zapanowała też atmosfera moralna całkiem odmienna w porównaniu z tem, co było dawniej. Parę usiłowań przywrócenia przeszłości zakończyło się skandalami, których rozgłos przeniknął nawet do petersburskich salonów. Girardot musiał się podać do dymisyi. Pozwolono mu jednak pozostać na starem kawalerskiem mieszkaniu w budynku korpusu — i często widywaliśmy go potem, gdy otulony w szynel przechadzał się, pogrążony w rozmyślaniach; według wszelkiego prawdopodobieństwa były to smutne rozmyślania, ponieważ pułkownik nie mógł nie potępiać tych nowych prądów, które prędko rozszerzały się w korpusie.

II.

Cała Rosya mówiła wtedy o oświacie. Gdy po zawarciu pokoju paryskiego osłabiła się nieco surowość cenzury, rozpoczęto z zapalem roztrząsać kwestyę wychowania. Najulubieńszymi tematami rozpraw w prasie, w kołach inteligencji i nawet w salonach wielkiego świata były: ciemnota ludu, przeszkody, stawiane dotąd chcącym uczyć się, brak szkół po wsiach, przestarzałe metody nauczania i pytanie, jak temu zaradzić. Pierwsze gimnazya żeńskie otworzone zostały 1857 r. Program i obsada nauczycieli nie pozostawiała nic do życzenia. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wystąpił cały szereg nauczycieli i nauczycielek, którzy nietylko oddali się całą duszą sprawie, ale wykazali także niepospolite pedagogiczne zdolności. Prace ich zajęłyby wybitne miejsce w literaturze zachodniej — jeśliby były znane za granicą.

I na korpusie paziów odbił się wpływ tego ożywienia. Z małymi wyjątkami, wszystkie trzy młodsze klasy poczęły okazywać wiele chęci do nauki. Żeby pobudzić tę pilność inspektor Winkler (wykształcony pułkownik artyleryjski, dobry matematyk i postępowy człowiek), wpadł na bardzo trafny pomysł. Przyjął dla klas niższych, zamiast poprzednich miernot, najlepszych nauczycieli. Był on tego przekonania, że dobrzy nauczyciele najlepiej potrafią udzielić rozpoczynającym naukę chłopcom pierwszych elementarnych pojęć. W tej myśli do wykładów algebry początkowej w 4-tej klasie Winkler powołał doskonałego matematyka i urodzonego pedagoga, kapitana Suchonina. Cała klasa odrazu zapaliła się do matematyki. Między innymi wspomnę tu, że kapitan wykladał także następcy tronu, Mikołajowi Aleksandrowiczowi i że następca przyjeżdżał wsku-

tek tego raz na tydzień do korpusu paziów, żeby być obecnym na lekcjach algebry. Cesarzowa Marya Aleksandrówna była kobietą wykształconą i myślała, że być może towarzystwo pilnych chłopców zachęci do nauki i jej syna. Następca siedział na ławce razem z drugimi i jak wszyscy, odpowiadał na pytania. Ale zazwyczaj — w czasie lekcji Mikołaj Aleksandrowicz albo rysował (wcale nieźle), albo opowiadał szeptem sąsiadom śmieszne historye. Był to młodzieniec dobroduszny i łagodnego charakteru, ale przytem lekkomyślny i w nauce i — jeszcze więcej — w przyjaźni.

Do wykładów w klasie 5-tej zaprosił inspektor dwóch niepospolitych ludzi. Pewnego razu cały promieniejący wszedł on do naszej klasy i oświadczył, że spotkało nas niezwykle szczęście. Słynny znawca klasycznej i rosyjskiej literatury, profesor Kłossowski — powiedział nam Winkler — zgodził się wyklądać nam gramatykę rosyjską i będzie przechodził z nami z klasy do klasy, kolejno, w ciągu pięciu lat, aż do ukończenia zakładu. To samo — co się tyczy języka niemieckiego, uczyni drugi profesor uniwersytetu, Bekker, bibliotekarz cesarskiej publicznej biblioteki. Winkler oświadczył przytem, iż pewnym jest, że będziemy się cicho zachowywać w klasie, ponieważ profesor Kłossowski czuje się cierpiącym tej zimy. Sposobność pozyskania tak dobrego nauczyciela zbyt jest pożądaną, żeby ją utracić.

Winkler nie omylił się. Byliśmy bardzo dumni z tego, że wykładają nam profesorowie uniwersytetu. W «Kamczatce»¹⁾ co prawda — byli zdania, że «kielbaśnika» należy bez długich ceregieli ugnieść na miękki wosk; ale ogólna opinia klasy oświadczyła się za pro-

¹⁾ Nazwa «oślej ławki» w szkołach rosyjskich.

fesorem. «Kielbaśnik» jednakże odrazu zawojował nasz szacunek. Do klasy wszedł wysoki człowiek, z szerokim wyniosłym czołem i dobrymi, mądrymi oczami, z tłącą się w nich iskrą humoru — i całkiem poprawnym rosyjskim językiem oświadczył nam, że zamierza podzielić klasę na trzy grupy. Do pierwszej wejdą Niemcy, którzy znają język i dla których będzie on wyjątkowo wymagającym. Drugiej grupie będzie wykladał gramatykę, a następnie literaturę niemiecką — wedle przyjętego programu. Do trzeciej zaś grupy, dodał profesor z miłym uśmiechem, wejdzie Kamczatka. «Od niej będę wymagał tylko, żeby każdy — w czasie lekcji przepisał z książki cztery wiersze, które mu wskażę. Kiedy Kamczatka przepisze swoje cztery linijki, może robić, co chce, pod jednym warunkiem: nie przeszkadzać drugim. Ja zaś obiecuję wam, że po pięciu latach nauczycie się trochę niemieckiego języka i literatury. No, kto idzie do grupy Niemców? Pan, panie Sztackelberg? Pan, panie Lamsdorf? Może kto z Rosyan życzy sobie także? A kto do Kamczatki?» Pięciu czy sześciu z pomiędzy nas, nie rozumiejących ani słowa po niemiecku, osiedliło się na dalekim półwyspie. Sumiennie przepisywali oni swoje cztery wierszyki, w wyższych klasach — dwanaście do dwudziestu, a Bekker tak dobrze wybierał te «wierszyki» i tak starannie zajmował się uczniami, że po upływie pięciu lat «Kamczadalowie» nabyli w istocie pewnego pojęcia o języku i literaturze niemieckiej. Przyłączyłem się do Niemców. Sasza w listach swych tak przekonywująco zachęcał mię do nauki niemieckiego języka, który nie tylko posiada bogatą literaturę, ale w którym można także znaleźć przekład każdej książki, przedstawiającej naukowy interes — że sam już wziąłem się do tej nauki. Tłómaczyłem wówczas i uczyłem się na pamięć trudnego dosyć pod względem stylu poetycznego

opisu burzy. Za radą profesora wyuczyłem się wszystkich koniugacyi czasowników, przysłówków i przymi-
ków i zacząłem tłómaczyć. Jest to doskonały sposób
wyuczenia się języków. Bekker poradził mi oprócz
tego zaprenumerować tani ilustrowany tygodnik.
Obrazki i króciutkie opowieści zachęcały do czy-
tania.

Pod koniec zimy poprosiłem Bekkera, żeby mi dał
«Fausta». Czytałem go w rosyjskim tłómaczeniu; czy-
tałem także prześliczną powieść Turgeniewa »Faust«
i teraz pragnąłem poznać wielkie dzieło w oryginale.

— Nic z niego nie zrozumiesz — powiedział mi
Bekker ze swym dobrym uśmiechem — jest to utwór
zbyt filozoficzny. Mimo to przyniósł mi maleńką, kwa-
dratową książeczkę, z połówkami od czasu kartkami.
Filozofia Fausta i muzyka języka porwały mię do głębi.
Zacząłem od przepięknej, wspaniałej dedykacyi i wkrót-
ce umialem całe stronnice na pamięć. Monolog Fausta
w lesie zachwycał mię aż do ekstazy, zwłaszcza te
wiersze, w których mówi o pojmwaniu przyrody:

«Erhabner Geist, du gabst mir, gabst mir alles,
Warum ich bat. Du hast mir nicht umsonst
Dein Angesicht in Feuer zugewendet...»

I teraz jeszcze miejsce to czyni na mnie głębokie
wrażenie. Każdy wiersz stawał się powoli moim naj-
droższym przyjacielem. Czy może być rozkosz bar-
dziej estetyczna, jak czytać wiersze w trochę jeszcze
obcym nam języku! Wszystko przesłania się wtedy
lekką mgłą, która tak przystoi poezyi. Te słowa,
które — jeżeli znamy codzienny język, rzną nam uszy
swoją niezgodnością z pojęciem, które mają wyrażać,
zachowują swoje subtelne, podniosłe znaczenie. Mu-
zykalność wiersza staje się szczególniej uchwytną.

Pierwsza lekcya Bł. Ign. Kłossowskiego była dla nas prawdziwym objawieniem. Liczył lat około 50-ciu; niewielkiego wzrostu, prędko w ruchach, miał oczy, iskrzące się dowcipem i sarkazmem — i wysokie czoło poety. Przyszedłszy na pierwszą lekcję, powiedział nam cicho, że nie może mówić głośno, gdyż cierpi na zadawnioną chorobę i dlatego poprosił nas, żebyśmy usiedli bliżej niego. Kłossowski postawił swoje krzesło tuż przy pierwszym rzędzie stołów i otoczyliśmy go, jak rój pszczół.

Miał nam wyklądać gramatykę — ale zamiast nudnego przedmiotu, usłyszeliśmy całkiem co innego. Naturalnie, mówił o gramatyce; ale to zestawiał porównanie z «byliny»¹⁾ z wierszem Homera, albo Mahabaratty, których piękność dawał nam poznać w rosyjskim przekładzie; to przytaczał jaką strofę Schillera, to wstawiał sarkastyczną uwagę, tyczącą się jakiego współczesnego przesądu. Potem następowała znowu gramatyka, a po niej znowu jakie szerokie, poetyczne lub filozoficzne uogólnienia.

Ma się rozumieć, nie wszystko rozumieliśmy i nie jedno traściło dla nas swoje głębokie znaczenie; ale czyliż czarująca siła nauki nie zawiera się właśnie w tem, że bezustannie otwiera ona przed nami nieoczekiwane horyzonty? Nie pojmujemy jeszcze w zupełności wszystkiego, ale nęci nas iść wciąż dalej i dalej ku temu, co zrazu wydaje się tylko niejasnym zarysem.. Jedni z nas leżeli prawie na plecach towarzyszy, inni stali obok Kłossowskiego. Wszystkich oczy błyszczały. Chciwie chwytałyśmy jego słowa. Pod koniec lekcyi głos profesora opadł całkiem ze znużenia, ale z tem większą uwagą słuchaliśmy, wstrzymując

¹⁾ Epiczne utwory ludowe w literaturze rosyjskiej, w rodzaju np. pieśni o Igorze.

oddech. Inspektor uchylił na chwilę drzwi, żeby zobaczyć, jak się zachowujemy w obec nowego nauczyciela, ale ujrzawszy rój nieruchomych uczniów, oddalił się na palcach. Nawet Daurow, charakter w ogóle buntowniczy — i ten wpił się oczami w Kłossowskiego, jak gdyby chciał powiedzieć: «Tak, ot ty jaki!» Nie ruchomo siedział nawet najbardziej tępy z uczniów Klejnau, Kaukazyk z niemieckim nazwiskiem. W sercach większości uczniów budziło się coś dobrego, wzniosłego, jak gdyby otwierał się przed nimi nowy świat, istnienia którego dotąd nie podejrzewaliśmy. Na mnie Kłossowski wywarł ogromny wpływ, który z latami tylko wzrastał. Przepowiednia Winklera, że ostatecznie może polubię szkołę, sprawdziła się.

Europa zachodnia, a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i Ameryka nie znają tego typu nauczyciela, który jest tak popularny w Rosji. Nie ma nikogo z pomiędzy wybitniejszych naszych działaczy i działaczek w zakresie literatury lub życia społecznego, ktoby pierwszego pobudzenia w swym rozwoju umysłowym nie zawdzięczał swemu nauczycielowi literatury. W każdej szkole, wszędzie — powinienby się znajdować taki nauczyciel. Każdy wykładający ma swój przedmiot i między różnymi przedmiotami nie ma łączności. Jeden tylko wykładający literaturę — jeżeli kieruje się programem tylko w ogólnych jego zarysach i jeżeli ma pozostawioną swobodę wypełniania tego programu wedle własnego rozumienia — może połączyć w jedno wszystkie humanitarne nauki, uogólnić je w szerokim, filozoficznym światopoglądzie i obudzić tym sposobem w sercach młodych słuchaczy dążność ku wzniosłemu ideałowi. Ponieważ mówi on o rozwoju języka, o pierwotnym eposie, o pieśniach ludowych i muzyce, a następnie o współczesnej belletrystyce i poezji, o naukowych, politycznych i filozo-

ficznych prądach, odbijających się w tej ostatniej; — to powinien połączyć z tem zarazem i uogólniające pojęcia o rozwoju rozumu ludzkiego, co wyjaśnia się po części osobno w każdym z oddzielnych przedmiotów.

Tak samo należałoby postępować przy wykładzie nauk przyrodniczych. Niewiele uczyć fizyki i chemii, astronomii i meteorologii, zoologii i botaniki. W jaki bądź sposób prowadzoneby były wykłady nauk przyrodniczych w szkole, należy powiedzieć uczniom o filozofii wiedzy przyrodniczej, wpoić im ogólne idee o przyrodzie, na wzór — naprzykład — uogólnień, które dał Humboldt w pierwszej połowie «Kosmosu». Filozofia i poezya przyrody, metoda nauk ścisłych i szerokie pojmowanie życia przyrody powinny wejść do wykładu. Nauczyciel geografii mógłby najlepiej wypełnić to zadanie, ale wówczas potrzebniby byli całkiem inni nauczyciele tego przedmiotu w szkołach średnich i całkiem inni profesorowie na katedrach geografii w uniwersytecie.

Drugi nauczyciel zdobył sobie naszą burzliwą klasę w całkiem odmienny sposób. Był to nauczyciel kaligrafii, ostatnia kłódka u koła pedagogicznego wozu. Jeżeli względem «pogan», t. j. nauczycieli francuskiego i niemieckiego języka, żywiono mało szacunku, to tem mniej cieszył się nim nauczyciel kaligrafii, Ebert, żyd niemiecki. Stał się on prawdziwym męczennikiem. Znieważać go — uważało się u paziów za szyk wyjątkowy. Prawdopodobnie tylko ubóstwo jego było przyczyną, że nie zrzekł się lekcyi w korpusie. Najgorzej zachowywali się wobec nauczyciela t. zw. «staruszkowie», uczniowie, którzy po dwa i trzy lata siedzieli w piątej klasie — bez nadziei wylezienia z niej. Ale mniejsza, w taki lub inny sposób — Ebert zawarł z nimi umowę: «jeden figiel na lekcję — nie więcej!»

Niestety, muszę wyznać, że nie zawsze uczciwie dochowywaliśmy umowy

Raz mieszkaniec dalekiej Kamczatki zmoczył gąbkę w atramencie, posypał kredą i rzucił w męczennika kaligrafii. «Ebert, łapaj!» — zawołał, uśmiechając się głupkowato. Gąbka trafiła w ramię. Biaława ciecz bryznęła Ebertowi w twarz i zalała koszulę.

Byliśmy przekonani, że tym razem Ebert wyjdzie z klasy i poskarży się inspektorowi; ale wyjął tylko bawełnianą chustkę, obtarł się i powiedział: «panowie, jeden figiel, więcej nie wolno». — «Koszula splamiona!» — dodał przygnębionym głosem i dalej poprawiał czyjeś zeszyty.

Siedzieliśmy zawstydzeni i odurzeni. Dlaczego zamiast się poskarżyć dyrektorowi, on przedewszystkiem wspomniął o umowie? Przychylność klasy odrazu przeszła na stronę nauczyciela.

— Zrobiłeś świństwo! — wyrzucaliśmy koledze. On człowiek ubogi, a ty mu splamiłeś koszulę!

Winowajca natychmiast wstał i zaczął przeproszać.

— Uczyć się trzeba, panowie, uczyć! — smutnie odpowiedział Ebert. — I więcej nic.

Po tem zajściu klasa odrazu uspokoiła się. Następnej lekcji, jakby zmówiwszy się, większość nas gorliwie kreśliła litery i szła pokazywać kajety Ebertowi, który promieniał — i czuł się szczęśliwym tego dnia.

Wypadek ten uczynił na mnie głębokie wrażenie i nie zatarł się w mej pamięci. Do dziś dnia wdzięczny jestem temu niezwykłemu człowiekowi za jego naukę.

Z nauczycielem rysunku, Hantzem, nigdy nie mogły zapanować u nas pokojowe stosunki. Wciąż «zapisywał» dowodzących w czasie jego lekcji chłopców. Wedle zaś naszych pojęć nie miał on prawa tak postępować: po pierwsze dla tego, że był tylko nauczy-

cielem rysunku, po drugie, i co najważniejsze, że nie był człowiekiem sumiennym. W czasie lekcyi nie zwracał on na większość nas żadnej uwagi, ponieważ poprawiał rysunki tylko tym, którzy brali u niego lekcyę prywatne, albo zamawiali rysunki egzaminowe. Nie mieliśmy nic przeciw towarzyszom, którzy to czynili. Przeciwnie, uważaliśmy jako rzecz całkiem naturalną, że uczniowie, którzy nie okazywali zdolności do matematyki, albo obdarzeni byli zbyt słabą pamięcią, żeby się wyuczać dobrze geografii i ztąd otrzymywali z tych przedmiotów złe stopnie, mają prawo zamawiać u rysownika dobry rysunek, albo topograficzną kartę, żeby otrzymać «całych dwanaście» i poprawić takim sposobem ogólny wynik. Tylko pierwszym dwóm uczniom nie wypadało tego czynić. Ale samemu nauczycielowi nie przystoi — rozumowaliśmy — wykonywać rysunki na zamówienie. A jeśli to czyni, to niechże znosi pokornie nasz hałas i nasze swawole. Ale Hantz zamiast się poddać, skarżył się po każdej lekcyi i na każdej coraz więcej i więcej «zapisywał».

Kiedyśmy przeszli do klasy 4-tej i poczuliśmy się pełnoprawnymi obywatelami korpusu, postanowiliśmy okiełznać Hantza.

— Samiście winni, że on tak puszy się u was — mówili nam starsi koledzy. Myśmy go trzymali krótko. Wtedy i my postanowiliśmy wyszkolić go.

Razu pewnego dwóch uczni z naszej klasy, najulubieńsi nasi koledzy, podeszło do Hantza z papierosami w ustach i poprosili go ognia. Ma się rozumieć, był to tylko żart; nikt nie myślał palić w klasie. Wedle naszego zapatrywania, Hantz powinien był poprostu powiedzieć swawolnikom: »idźcie precz!«, ale zamiast tego zapisał ich do dziennika i obu surowo ukarano. Była to kropla, która przepelniła czarę. Postanowi-

wiliśmy urządzić Hantz'owi «szopkę». Znaczyło to, że cała klasa, uzbroiwszy się w pożyczone u starszych paziów linie, zacznie bębnić niemi po stołach póty póki nauczyciel nie wyniesie się precz.

Wykonanie spisku przedstawiało jednakże pewne trudności. W klasie naszej było niemało «maminych synków», którzy mogli byli przyobiecać swój udział w demonstracyi, lecz w stanowczej chwili, stchórzyliby i cofnęli się. Wtedy nauczyciel mógł zaskarżyć resztę. Tymczasem — wedle naszego mniemania — w podobnego rodzaju przedsięwzięciach jednomyślność stanowi wszystko, ponieważ kara, jakąkolwiekby ona była, jest zawsze lżejszą, gdy dotyka całą klasę, a nie tylko niewielu.

Przeszkodę przewyciężono z czysto machiawelistyczną zręcznością. Umówiono się, że na dany sygnał, wszyscy obrócą się plecami do Hantza i wtedy dopiero zaczną bębnić liniami, które będą leżeć w tym celu w pogotowiu na stołach drugiego rzędu. Tym sposobem widok Hantza nie przestraszy «maminych synków». Ale sygnał? Rozbójniczy świst, jak w bajce, krzyk lub nawet kichnięcie, nie nadawały się. Hantz natychmiast oskarżyłby tego, kto by świsnął, albo kichnął. Należało obmyśleć niemy sygnał. Postanowiono, że jeden z nas, dobrze rysujący, pójdzie pokazać Hantzowi rysunek. Sygnałem będzie, gdy wróci i siądzie na miejscu.

Wszystko szło jak z płatka. Niesadow zaniósł rysunek, a Hantz poprawiał go kilka minut, które wydały się nam całą wiecznością. Ale, oto Niesadow wrócił nareszcie, zatrzymał się chwilę, spojrzął na nas, potem siadł... W mgnieniu oka cała klasa zwróciła się plecami do nauczyciela; linie rozpaczliwie zatrzeszczały po stołach. Niektórzy, zagłuszając trzask, wołali: «Hantz ruszaj precz!» Hałas powstał ogłuszający. Wszystkie

klasy wiedziały, że Hantz otrzymał wspaniałą «benefis». On wstał, coś zamruczał, nakoniec wyszedł... Wbiegł oficer. Hałas nie przerywał się. Wleciał podinspektor, a za nim i sam inspektor. Hałas wnet ustał. Rozpoczęła się ostra bura.

• — Primus do aresztu! — zakomenderował oficer. Ponieważ pierwszym uczniem byłem ja, powędrowałem więc do karceru. Wskutek tego nie byłem obecny przy tem, co nastąpiło dalej. Zjawił się dyrektor. Zażądano, by Hantz wskazał głównych podżegaczy »buntu«, ale nie umiał nazwać nikogo.

— Oni wszyscy razem odwrócili się do mnie plecami i zaczęli hałasować, — odpowiedział. — Wtedy całej klasie kazano zejść na dół. Chociaż kara cielesna dawno już wyszła z użycia w naszym korpusie, jednak tym razem obito dwóch paziów, którzy prosili u Hantza ognia do papierosów. Różgi tłómaczono tem, że benefis urządzony został przez zemstę za ukaranie swawolników.

Dowiedziałem się o tem wszystkim co zaszło, w dziesięć dni potem, gdy mi pozwolono wrócić do klasy. Starto moje imię z czerwonej tablicy, czem się wcale nie zasmuciłem. Za to muszę wyznać — dziesięć dni bez książek w karcerze wydały mi się trochę długimi. Dla skrócenia czasu ułożyłem w topornych rymach odę, opiewającą sławne czyny 4-tej klasy.

Zostaliśmy naturalnie bohaterami korpusu. Cały miesiąc potem opowiadaliśmy drugim klasom ze wszystkimi szczegółami pamiętne wydarzenie i otrzymywaliśmy gorące pochwały za to, że postępowaliśmy tak jednomyślnie, iż nikogo nie przyłapano z osobna. Ale cała klasa została ukaraną. Nikomu nie pozwolono wychodzić w niedzielę na miasto. Musieliśmy więc przez wszystkie niedziele i święta, aż do Bożego Narodzenia, siedzieć w klasie. Ponieważ jednak siedzieliśmy

wszyscy razem, było nam bardzo wesoło. «Mamini synkowie» otrzymywali z miasta całe kosze łakoci. Kto miał pieniądze, zakupywał góry ciastek i pierożków, tak, że mieliśmy zawsze coś posilnego przed obiadem i słodycze na deser po obiedzie. Wieczorami koledzy z drugich klas dostarczali dzielnej czwartej klasie — drogą kontrabandy — niezliczoną masę owoców. Hantz nie zapisywał już więcej nikogo, ale rysunkom daliśmy też za wygranę. Nikt nie chciał uczyć się więcej u tego sprzedajnego człowieka.

III.

Sasza w tej epoce uczył się w Moskwie w korpusie kadetów. Prowadziłem z nim ożywioną korespondencję. Póki byłem w domu, nie mogliśmy pisywać do siebie, bo ojciec uzurpował sobie prawo otwierania wszystkich listów, które przychodziły do domu i prędkoby położył koniec wszelkiej niebanalnej korespondencji. Teraz mieliśmy zupełną swobodę rozprawiać w listach, o czem się nam podobało. Zachodziła tylko jedna trudność: zkąd otrzymać pieniędzy na koszta pocztowe. Wkrótce jednakże przyzwyczailiśmy się pisać tak drobnem pismem, że udawało nam się pomieścić nieprawdopodobną masę rzeczy w jednym liście. Aleksander pisał w sposób prawdziwie zadziwiający.

Umiał on zmieścić cztery arkusze druku na jednej stronicy zwykłego arkusza papieru listowego. I mimo to jego mikroskopijne literki czytały się z taką łatwością, jak wyrazisty nonpareil. Ogromna szkoda, że te listy, które przechowywałem, jak świętość, zaginęły. Żandarmi zabrali je u brata podczas rewizyi. W pierwszych listach mówiliśmy przeważnie o drobiazgach korpusowego życia, ale wkrótce korespondencya nasza

przyjęła poważniejszy charakter. Brat nie umiał pisać o głupstwach. Nawet w towarzystwie ożywiał się tylko wtedy, gdy zawiązywała się rozmowa poważna i skarżył się, że doświadcza «fizycznego bólu głowy», jak mówił, gdy się znajduje wpośród ludzi, paplających o bezmyślnych fraszkach. Sasza wyprzedził mnie znacznie w rozwoju i pobudzał mnie w tym względzie. W tym celu poruszał kolejno różne kwestye filozoficzne, naukowe, przysyłał mi całe uczone dysertacye w swych listach, zachęcał mię, radził mi czytać i uczyć się. Jak szczęśliwym się czuję, że miałem takiego brata, który przytem kochał mię namiętnie. Jemu po nad wszystko i przed wszystkimi zawdzięczam mój rozwój umysłowy.

Czasem, na przykład, radził mi czytać wiersze i przysyłał w listach długie ustępy, a czasem i całe poematy Lermontowa, A. K. Tołstoja i t. d., które pisał na pamięć. «Czytaj poezję; przez nią człowiek staje się lepszym», pisał on. Jak często potem przypominałem sobie te słowa i przekonywałem się o ich słuszności! Sasza sam był poetą i potrafił pisać dziwnie dźwięczne wiersze. Ale reakcyja przeciw sztuce, zaszła w poglądach młodzieży w początkach 60-ych lat (wyobrażona u Turgeniewa w «Ojcań i Dzieciach») sprawiła, że Sasza z lekceważeniem zapatrywał się na swe poetyczne próby. Pochłonęły go całkiem nauki przyrodnicze. Muszę jednak powiedzieć, że moim najulubieńszym poetą był nie ten, którego mi brat najbardziej zalecał tak co do muzykalności wiersza, jak i co do upodobania w filozoficznych tematach. Ulubionym poetą Aleksandra był Wenewitinow, moim zaś Nekrasow. Prawda, że wiersze Nekrasowa często bywają niedźwięczne; ale przemawiały one do mego serca tem, że ujmowały się za «upośledzonymi i skrzywdzonymi».

«Człowiek powinien mieć określony cel w życiu» --

pisał mi brat; «bez celu — życie nie jest życiem». I radził mi stworzyć sobie taki cel, dla którego byłoby warto żyć. Byłem wtedy zbyt młody, żeby cel taki znaleźć; ale już samą mocą tego wezwania coś nieokreślonego, niejasnego, «dobrego» budziło się we mnie, choć ja sam nie mógłbym powiedzieć, czym będzie to «dobre».

Ojciec dawał nam bardzo mało kieszonkowych pieniędzy. Nigdy nie miałem ich tyle, żeby módz kupić choć jedną książkę. Ale jeżeli Aleksander dostawał kilka rubli od jakiej ciotki, nie wydawał ani kopiejki osobiście dla siebie, lecz kupował książkę i posyłał mi ją. Sasza powstawał przeciwko czytaniu bez systemu. «Zabierając się do czytania książki, każdy powinien stawiać sobie pytanie — pisał on — na któreby chciał znaleźć odpowiedź». Wówczas jednakże nie zupełnie oceniłem słuszność tej uwagi. Dzisiaj sam zdumiewam się, jaką ogromną masę książek, czasem całkiem specjalnej treści, przeczytałem wtedy, książek, traktujących o wszelkich gałęziach wiedzy, a zwłaszcza historii. Przestałem tracić czas na romanse francuskie, odkąd Aleksander określił mi je w następujący sposób w swych listach: «są one głupie i wymyślają sobie w nich brzydkiemi słowami».

Głównym tematem naszej korespondencji była naturalnie kwestya Weltanschauung, kwestya wytworzenia sobie światopoglądu. W dzieciństwie nie odznaczyliśmy się nigdy religijnością. Brano nas wprawdzie do cerkwi; ale w małej cerkwi wiejskiej uroczysty nastrój ludu wywiera daleko silniejsze wrażenie, aniżeli samo nabożeństwo. Z tego wszystkiego, co słyzałem w cerkwi, tylko dwie rzeczy uczyniły na mnie wrażenie: czytanie w Wielki Czwartek dwunastu Ewangelii i modlitwa Jefrema Sinina, która w rzeczy samej

jest przepiękna swą prostotą i głębią uczucia. Puszkin przetłómaczył ją, jak wiadomo, wierszami.

«Władco dni moich! ducha bezczynności smutnej,
Zmysłów rozkoszy, żmii ukrytej tej —
I słów marności — odejmij duszy mej».

Później — w Petersburgu, byłem kilka razy w katolickim kościele; ale uderzyła mię tam teatralność i brak rzeczywistego uczucia. Wrażenie to było jeszcze silniejsze, gdy widziałem prostą wiarę dymisyonowanych polskich żołnierzy, albo włościanek, modlących się w odległym kąciku. Wstępowałem także i do protestanckiej kirchy; ale gdy wychodziłem ztamtąd, złapałem się na tem, że szeptałem wiersze Goethego:

«Bewundrung von Kindern und Affen,
Wenn euch darnach der Gaumen steht;
Doch werdet ihr nie Herz zu Herzen schaffen,
Wenn es euch nicht von Herzen geht».

Aleksander ze zwykłym sobie zapalem przejął się wówczas luteranizmem. Przeczytał książkę Michelet'a o Servecie i utworzył sobie własną wiarę na wzór tego słynnego antitrynitaryusza. Z entuzjazmem przestudyował Augsburską Deklarację, którą przepisał i przysłał mi. Nasze listy wypełnione były wówczas rozprawami o łasce i cytatami z listów apostołskich św. Pawła i Jakóba. Słuchałem brata, ale rozmowy teologiczne nie zajmowały mię zbyt głęboko. Zacząłem czytać książki zupełnie innego rodzaju, gdy powstałem z tyfusu. Lena była już wtedy zamężna, mieszkała w Petersburgu i w sobotę wieczorami odwiedzałem ją. Mąż jej posiadał wcale niezłą bibliotekę, w której znajdowali się encyklopedyści i wybitniejsze dzieła współczesnych filozofów francuskich. Zagłębiłem się w czytaniu tych książek. Były one zakazane

i nie mogłem zabierać ich z sobą do korpusu, ale za to w sobotę do późnej nocy czytałem encyklopedystów: «Słownik filozoficzny» Woltera, dzieła stoików, zwłaszcza Marka Aurelego i t. d. Nieskończoność wszechświata, potęga przyrody, poezya i wiecznie tętniące jej życie, czyniły na mnie coraz głębsze wrażenie — i to wieczne życie i harmonia przyrody pogrążyły mię w tę płomienną ekstazę, której tak pożądają młode natury. Równocześnie z tem znajdowałem u moich ulubionych poetów odpowiednie obrazy dla wyrażenia tej przebudzającej się miłości i wiary w postęp, która opromienia młodość i pozostawia niezatarte wrażenie na całe życie.

Aleksander tymczasem doszedł stopniowo do Kantowskiego krytycyzmu. Listy jego napęłniły się «względnością wyobrażeń», «wyobrażeniami w czasie i przestrzeni; w czasie tylko» i t. d. Pismo stawało się coraz bardziej mikroskopijnem w miarę tego, jak rosło znaczenie przedmiotu. Ale ani wtedy, ani później, gdy nieraz całemi godzinami rozprawialiśmy o filozofii Kanta, nie udało się bratu uczynić ze mnie wielbiciela królewieckiego filozofa.

Moimi ulubionymi przedmiotami stały się nauki ścisłe: matematyka, fizyka i astronomia.

W 1858 r., jeszcze przed ukazaniem się nieśmiertelnej pracy Darwina, profesor zoologii moskiewskiego uniwersytetu, K. F. Roulié, wydał trzy wykłady o transformizmie. Brat mój w tej chwili przejął się ideą o zmienności gatunków; ale — nie zadowolnił się mniej więcej przybliżonymi dowodami, a zajął się przestudyowaniem specjalnych prac o dziedziczności i t. d. W listach swych komunikował mi główne fakty, a także swoje wnioski i wątpliwości. Ukazanie się «Pochodzenia Gatunków» nie rozstrzygnęło jego wątpliwości co do niektórych specjalnych punktów. Książka poru-

szyla tylko szereg nowych pytań, które pobudzały go do tem większej gorliwości w pracy. Później roztrząsaliśmy — a rozprawy nasze ciągnęły się długie lata — różne kwestye, tyczące się powstawania zmian w gatunkach, możności przechodzenia tych zmian drogą dziedziczenia i wzrostu ich. Słowem, zajmowały nas te słabe punkta teoryi doboru naturalnego, które niedawno poruszone zostały w naukowym sporze między Spencerem i Weismannem, w badaniach Galtona i pracach współczesnych Neo-Lamarksistów. Dzięki swemu filozoficznemu i krytycznemu umysłowi, Aleksander wnet spostrzegł, jakie ważne znaczenie posiadają te pytania, niedostrzeżone wówczas przez wielu uczonych, dla teoryi zmienności gatunków.

Muszę też wspomnieć o dorywczej wycieczce w dziedzinę ekonomii politycznej. W latach 1858—59 wszyscy w Rosyi zajmowali się ekonomią polityczną. Wykłady o protekcyonizmie i wolnym handlu ściągały masę słuchaczy. Gorąco, choć nie na długo, zainteresował się kwestyami ekonomicznymi i Aleksander, który nie był jeszcze wtedy tak absolutnie pochłonięty pochodzeniem gatunków. Przysłał on mi do czytania kurs Jana B. Say'a; przeczytałem, ale tylko kilka rozdziałów: taryfy i operacye bankowe nie przedstawiały dla mnie wielkiego zajęcia. Za to Aleksander tak silnie przejął się temi kwestyami, że pisał nawet o nich do macochy i starał się zainteresować ją systemem podatków celnych. Później — w Syberyi — odczytywaliśmy te listy. Śmieliśmy się, jak dzieci, nad listem, w którym Sasza gorzko utyskiwał na niezdolność macochy, zainteresowania się nawet takimi palącymi pytaniami, i złościł się z powodu jakiegoś przekupnia jarzyn o ośleję głowie, którego przyłapał na ulicy. Z wielu wykrzyknikami Sasza pisał: «Czy uwierzysz że mimo to, iż jest on przecie handlarzem, bałwan

ten ze świńską obojętnością zachowywał się wobec kwestyi celnych».

Każdego lata połowa wszystkich paziów wychodziła do obozu w Peterhofie, dwie niższe klasy były jednak od tego wolne. Dzięki temu dwa lata spędziłem wakacje w Nikolskiem. Opuścić korpus, pojechać koleją do Moskwy i zobaczyć się tam z Aleksandrem, było dla mnie takim szczęściem, że liczyłem dni, oddzielające mnie od niego. Ale w Moskwie oczekiwał mnie wielki zawód. Aleksander nie zdał egzaminu i pozostał na drugi rok w tej samej klasie. W gruncie rzeczy był on jeszcze zbyt młody dla klas specjalnych; ale mimo to ojciec rozgniewał się i nie pozwolił nam widzieć się. Zasmuciło mnie to niewymownie. Nie byliśmy już dziećmi i mieliśmy wiele do powiedzenia sobie wzajemnie. Próbowałem wyprosić się do ciotki Sulimy, w której domu spodziewałem się spotkać brata, ale otrzymałem stanowczą odmowę. Od czasu, jak się ojciec powtórnie ożenił, zabroniono nam uczęszczać do krewnych matki.

Tej wiosny nasz moskiewski dom był pełen gości. Co wieczora sale bawialne oświetlały się rzęsiście, grała orkiestra, cukiernik przygotowywał lody i ciasta, a gra w karty w wielkim salonie ciągnęła się do późnej nocy. Ja zaś błąkałem się bez celu wśród zalanych światłem pokoi i czułem się nieszczęśliwym.

Pewnego razu, — późnym wieczorem — po dziesiątej godzinie, ktoś ze sług wywołał mnie skinieniem z sali i szepnął, żebym wyszedł do przedpokoju. Wyszedłem. «Idźcie, do czeladnej izby — szepnął stary marszałek, Froł, Aleksander Aleksiejewicz tam».

Popędziłem przez podwórze, prędko wbiegłem na ganek, do czeladni. W nawpół ciemnym pokoju — u ogromnego stołu — zobaczyłem Aleksandra.

— Sasza, mój drogi, ty zkąd! — Rzuciliśmy się sobie w ramiona. Czas jakiś nie mogliśmy nic mówić ze wzruszenia.

-- Ciszej! Gotowi jeszcze was usłyszeć! — szepnęła kucharka Praskowja, ocierając oczy rogiem fartucha. — Biedne sierotki! Gdyby to wasza mama żyła!... Stary Froł także stał, spuściwszy głowę, — i on miał łzy w oczach.

— Pamiętaj, Piotrusiu, nikomu ani słowa, słyszysz, nikomu! — powtarzał.

Praskowja tymczasem postawiła na stole przed Aleksandrem garnek z kaszą.

Jaśniejący zdrowiem Sasza począł już opowiadać różne rozmaitości, zajadając równocześnie kaszę. Garnek opróżniał się. Ledwie mogłem dowiedzieć się na koniec od Saszy, w jaki sposób zjawił się tak późno. Mieszkaliśmy wtenczas około Smoleńskiego Bulwaru, o kilka kroków od domu, w którym umarła matka, a korpus kadecki znajdował się na drugim końcu Moskwy, w odległości siedmiu wiorstw.

Sasza położył na swoim łóżku, pod kołdrą bałwana, sporządzonego z różnych sztuk ubrania, potem spuścił się niespostrzeżenie przez okno «wieży» i całe siedm wiorst przeszedł pieszo.

— I nie bałeś się przechodzić przez puste place około korpusu? — spytałem.

— Czego miałem się bać! Chyba, że opadły mię psy, ale ja sam je rozdrażniłem. Jutro wezmę z sobą tasak.

Tymczasem schodzili się furmani i inni słudzy. Wzdychali patrząc na nas, potem siadali u ściany i chwilami rozmawiali cichym szeptem między sobą, żeby nam nie przeszkadzać. A my, objawszy się, przesiadzieliśmy do północy, rozprawiając o plamach mgławicowych i hipotezie Laplace'a, o budowie materyi,

o walce papieżkiej i cesarskiej władzy za Bonifacego VIII i t. d. Od czasu do czasu wbiegał kto ze sług i mówił:

— Piotrusiu, idź, pokaż się w salonie; wstali od kart i mogą spostrzedz, że cię niema.

Błagałem Saszę, żeby nie przychodził następnej nocy, ale mimo to zjawił się on znowu, stoczywszy poprzednio utarczkę z psami, przeciw którym uzbroił się w tasak.

Jeszcze prędzej, niż dnia poprzedniego — poleciałem następnego wieczoru, gdy wezwano mię do czeladni. Tym razem część drogi przejechał Sasza dorożką. Zeszłej nocy jeden ze sług przyniósł mu pieniądze, które otrzymał od gości, grających w karty; — Sasza na usilne jego nalegania wziął trochę drobnych na dorożkę i dzięki temu przybył wcześniej.

Zamierzał przyjechać i dnia następnego; ale ponieważ widzenia nasze mogły ściągnąć biedę na głowy służących, postanowiliśmy rozstać się do jesieni. Z krótkiego, urzędowego listu, który otrzymałem nazajutrz, dowiedziałem się, że nocne jego wyprawy nie zostały wykryte. Jeśliby się o nich dowiedziano w korpusie, kara byłaby straszną. Strach nawet pomyśleć o tem. Chłosta różgami — w obecności całego korpusu, aż do utraty przytomności, póki nie wyniosą nieszczęsnego na prześcieradle do szpitala, a potem degradacya do kantonistów, — wszystko było możliwe w tych czasach.

Nie mniej okrutnie ucierpieliby słudzy, jeśliby ojciec dowiedział się o naszych widzeniach. Ale umieli oni zachowywać tajemnicę i nie wydawać się wzajemnie. Cała służba wiedziała o odwiedzinach Aleksandra; ale nikt nie wymówił się ani słowem wobec nikogo z naszych. Tylko oni i ja — w całym domu — wiedzieliśmy o tem.

IV.

Do tego też roku odnosi się moja pierwsza próba bliższego zapoznania się z życiem ludu. Zbliżyła mię ona o jeden krok do naszych włościan, pokazała mi ich w nowem świetle, a także przydała mi się następnie w Syberyi.

Każdego roku w lipcu, w dzień Matki Boskiej Kazańskiej, w święto doroczne naszej cerkwi, bywał w Nikolskiem wielki jarmark. Zjeżdżali się kupcy z sąsiednich miast; kilka tysięcy chłopów zbierało się ze wsi okolicznych, o jakie 40 wiorstw. Nikolskie wrzało wtedy życiem całe dwa dni. Tego roku Aksakow wydał swoje znamienite szkice o jarmarkach ukraińskich. Sasza, którego zapal do ekonomii politycznej dosięgał wówczas swego szczytu, poradził mi wypracować statystyczny opis naszego jarmarku w celu skreślenia jego obrotu. Usłuchałem rady i z wielkiem mojem zdziwieniem praca ta udała mi się wcale nieźle. Moje wyrachowania obrotu, o ile mogę sobie teraz przypomnieć, były równie wiarogodne, jak różne wyniki wielu statystycznych poszukiwań.

Jarmark nasz trwał mało co więcej nad dobę. W wigilię święta plac jarmarczny kipiał życiem. Na prędcie wznosił się długi szereg namiotów, w których sprzedawały się perkale, nici, wstążki i różne wiejskie przyodziewki. W dużej murowanej wozowni ustawiano stoły i krzesła, ławki i zamieniano ją w traktyernię. Podłoga jej posypywała się błyszczącym, żółtym piaskiem. Stawiały się trzy nowe szynki, ściągające z daleka uwagę chłopów miotłą, nasadzoną na długim kijku. Ze zdumiewającą szybkością wyrastały rzędy małych sklepików, w których sprzedawało się naczynie, buty, pierniki i różne drobiazgi. U jednego krańca jarmar-

cznego placu wykopywano w ziemi kuchni połowe. W olbrzymich kotłach gotowały się całe barany, garnce pszennych i hreczanych krup. Tu gotowano barszcz i kaszę dla całego jarmarku. Około południa wszystkie cztery drogi, prowadzące do wsi, niemożliwe były do przejechania z powodu zapelniających je stad bydła, chłopskich teleg i wozów, naładowanych naczyniem glinianem, beczkami z dziegciem i zbożem. Nieszpory odznaczały się w naszej cerkwi niezwykłą uroczystością. Odprawiano je w asystencji około dziesięciu księży i dyakonów z sąsiednich wsi. A diaczkowie, przy pomocy młodych kupczyków, wywodzili swe pienia nie gorzej od archierejskich «piewczych»¹⁾ w Kałudze. Cerkiew bywała natłoczoną. Wszyscy modlili się gorliwie. Kupcy prześcigali się wzajemnie w liczbie i wielkości świec, zapalanych przed obrazami na intencję korzystnego targu. W cerkwi było tak pełno, że ci, co przyszli później, nie mogli docisnąć się do ołtarza. Wskutek tego nieustannie od drzwi do ołtarza przechodziły z rąk do rąk, stosownie do za-
możności modlącego się, grube i cienkie, białe i żółte świece. Podający je szeptali: «Pośredniczce naszej, Najświętszej Kazańskiej Matce Bożej», «Mikołajowi Wyznawcy», «Frołowi i Ławrowi», albo wprost «wszystkim świętym», bez dalszych określeń.

Zaraz po nieszporach rozpoczynał się pierwszy wstępny targ. Oddałem się z zapalem mej robocie. Wypytywałem setki ludzi o cenę przywiezionego przez nich towaru. Robota szła nad podziw szybko. Naturalnie i mnie także pytano: «Na co wam się to zdało? czy nie dla starego księcia? Czy nie zamyśla on czasem podnieść targowego?» Ale moje zapewnienie, że «stary książę» o niczem nie wie i wiedzieć nie powinien (ma

¹⁾ Chór śpiewaków cerkiewnych.

się rozumieć uważałby on za najwyższą hańbę podobne zajęcie: rozpraszało wszystkie wątpliwości. Prędko nauczyłem się, w jakiej formie stawiać należy pytania, — a po wypiciu z przekupniami z pół tuzina szklanek herbaty w traktyerni (jakby się przeraził ojciec, gdyby się dowiedział o tem!) wszystko szło już jak po maśle. Praca moja obudziła zajęcie nikolskiego starosty, Wasilego Iwanowa, przystojnego mężczyzny, z inteligentną twarzą i jasno-blond brodą.

— Dobrze, jeśli ci to potrzebne dla twojej nauki, to rób sobie; powiesz nam potem, coś wynalazł, może i my skorzystamy — powtarzał mi i tłumaczył potem chłopom, że wszystko jest w porządku i w robocie mojej nie ma nic podejrzanego.

Krótko mówiąc «przywóz» dał się określić dosyć dokładnie. Ale odnośnie do handlu dnia następnego zachodziły pewne trudności. Kupcy towarów łokciowych sami jeszcze nie wiedzieli, za ile sprzedali. W sam dzień świąteczny młode wieśniaczki cisnęły się do sklepów wprost szturmem. Każda z nich sprzedała trochę płótna domowego wyrobu i śpieszyła kupić wstążkę, perkalu w kratki, pasy lub kwiaty, kolorową chusteczkę na głowę dla siebie, chustkę na szyję dla męża i skromne podarunki dla rodziców — staruszków i dzieci, pozostałych w domu. Ci zaś chłopci, którzy sprzedawali naczynie gliniane, pierniki, bydło albo konopie, a zwłaszcza baby, odrazu określali sumę utargowaną.

— Cóż, dużo sprzedałaś, babko? — pytałem którą.

— Grzech skarżyć się. Grzech Boga gniewać. Prawie wszystko już sprzedałam.

I z groszowych sum, które mi podawali, w ogólnym rachunku w moim notatniku rosły sumy na dziesiątki tysięcy rubli. Jeden tylko punkt nie został wyjaśniony. Na spiece słonecznej stały setki bab. Każda przyniosła na sprzedaż sztukę płótna domowego wy-

robu, czasem niezwyklej cienkości. Handlarze o cudzoziemskich cygańskich twarzach i jastrzębich oczach całymi dziesiątkami krążyli wśród tłumu, kupując płótno. Tego rodzaju targi mogłem określić tylko w przybliżeniu, z pomocą Wasilego Iwanowa.

Wtedy jeszcze nie filozofowałem nad moją próbą i tylko poprostu cieszyłem się, że mi się udało. Ale zdrowy rozsądek i bystrość pojęcia rosyjskiego chłopca, które wykazały przedemną te dwa dni, uczyniły na mnie głębokie wrażenie. Następnie, kiedy zajmowaliśmy się propagandą rewolucyjną wśród ludu, nieraz dziwiłem się, że towarzysze, którzy otrzymali daleko demokratyczniejsze wychowanie odemnie, nie wiedzieli, jak przystąpić do chłopca lub do robotnika fabrycznego. Starali się oni przyswoić sobie ludową gwarę, wprowadzali wiele tak zwanych «ludowych» zwrotów, ale mowa ich przez to stawała się jeszcze bardziej niezrozumiałą.

Wszystko to jest wcale niepotrzebnem, gdy się mówi lub pisze dla ludu. Chłop wielkorosyjski doskonale rozumie człowieka inteligentnego, jeśli tylko ten ostatni nie przeplata swojej mowy cudzoziemskimi słowami. Chłop nie rozumie tylko pojęć oderwanych, jeżeli te nie są wyjaśnione naoczными przykładami. Wogóle przekonałem się z doświadczenia, że nie ma takiej kwestyi z dziedziny nauk przyrodniczych albo socjologii, którejby nie można całkiem zrozumiale wyjaśnić chłopom i wogóle wiejskiemu ludowi wszystkich krajów. Trzeba tylko samemu rozumieć zupełnie jasno, o czym się mówi i mówić poprostu, wychodząc z łatwo dostępnych przykładów. Główna różnica między człowiekiem wykształconym a niewykształconym polega na tem, że ten ostatni nie umie objąć całego łańcucha wniosków. Dostrzega on pierwszy może i drugi; ale trzeci już go nuży, jeżeli nie widzi jeszcze ostate-

cznego wyniku, do którego się dąży. Zresztą, jak często widzimy to samo i u ludzi wykształconych.

Wyniosłem jeszcze jedno wrażenie z tej młodzieńczej pracy, choć sformułowałem je znacznie później. Zapewne ździwi ono niejednego czytelnika. Mam na myśli ducha równości, który zaznacza się bardzo wyraźnie nie tylko u rosyjskich chłopów, ale w ogóle u ludu wiejskiego wszystkich krajów. Chłop może być niewolniczo uległym wobec pana lub urzędnika policyjnego; spełnia on bezwzględnie ich wolę; ale wcale nie uważa ich za wyższych ludzi. Za minutę ten sam chłop będzie rozmawiał z panem, jak równy z równym, jeżeli zajdzie rozmowa o zimie lub polowaniu. W każdym razie nigdy nie spotykałem u rosyjskiego chłopca tej służalczości, która stała się drugą naturą, a z którą drobny urzędnik mówi o swym zwierzchniku, albo lokaj o swym panu. Chłop zbyt łatwo ulega sile, ale się przed nią nie korzy.

Tego lata wróciłem z Nikolskiego do Moskwy odmienną, niż zwykle, drogą. Wówczas nie było jeszcze drogi żelaznej między Kaługą a Moskwą, a był niejaki Koziół, który utrzymywał coś w rodzaju dyliżansów pocztowych między obu miastami. Nasi, ma się rozumieć, nigdy nie jeździli w taki sposób; od tego były własne konie i powozy. Ale ojciec, chcąc oszczędzić macosze podwójnej podróży, zaproponował mi pół-żartem pojechać dyliżansem «na Koźle». Z radością przyjąłem tę propozycję. Macocha odwiozła mnie do Kaługi a zamtąd wyjechałem kozłowskim powozem. W powozie było nas tylko cztery osoby: bardzo gruba, stara kupcowa i ja w głębi powozu, oraz jakiś kupiec i mieszczanin na przednim siedzeniu. Podróż była zachwycającą. Przedewszystkiem jechałem sam (miałem zaledwie 16-ty rok), a potem — kupcowa zaopa-

trzymała się na trzydniową podróż w olbrzymi kosz z domowymi zapasami i cały czas częstowała mię przerozniętymi piernikami, ciastami i owocami.

Głównie zapamiętałem jeden wieczór. Zatrzymaliśmy się w zajeździe, w dużej wsi. Stara kupcycha kazała podać samowar, a ja poszedłem błąkać się po ulicach. Uwagę moją zwróciła «biała garkuchnia»¹⁾ i zaszedłem tam. Przy stołach, nakrytych białymi obrusami, siedzieli chłopci i pili herbatę. Kazałem i ja podać sobie szklanę.

Wszystko było tu dla mnie nowe. Wieś była nie pańską, a skarbowych chłopów, stosunkowo dość zasobnych, ponieważ we wsi uprawianem było tkanie płótna na szeroką skalę. Za stołami prowadzono cichą, spokojną rozmowę, tylko z rzadka rozlegał się śmiech. Ktoś zapytał mię, kto jestem i dokąd jadę, i wkrótce zawiązała się między mną i chłopami rozmowa o urodzajach w naszych okolicach, o pogodzie i sianie. Potem zaczęto mi zadawać różne pytania. Chłopci chcieli się dowiedzieć wszystkiego o Petersburgu, a zwłaszcza o krążących wtedy wieściach o blizkiem uwłaszczeniu. I ogarnęło mię jakieś dziwnie ciepłe uczucie prostoty, serdeczności i poczucia równości, uczucie, którego zawsze doświadczałem później wpośród chłopów. Nic szczególnego nie zdarzyło się tego wieczoru — tak, że zapytuję nawet samego siebie, czy warto wspominać o nim. A jednakże, ciepła, ciemna noc, która okryła wieś, maleńka garkuchnia, ciche rozmowy chłopów, ich ciekawe pytania, tyjące się całej masy przedmiotów, leżących poza obrębem ich codziennego życia. — wszystko to sprawiło, że odtąd biedna biała garkuchnia stała się ponętniejszą dla mnie, niż bogata, modna restauracya.

¹⁾ Rodzaj traktyerni z szynkiem, otwartej całą noc.

V.

Korpus nasz przeżywał burzliwe czasy. Po usunięciu się Girardot'a ze służby, miejsce jego zajął jeden z naszych oficerów, kapitan B. W gruncie rzeczy był to niezły człowiek, ale wbił sobie w głowę, że nie szanujemy go odpowiednio do wysokiego stanowiska, jakie zajmował. Otóż więc nasz kapitan postanowił wpoić w nas większy szacunek i cześć dla siebie, a zaczął od tego, że począł prześladować wyższą klasę o każdą drobnostkę. Co się nam wydało jeszcze bardziej nieznośnem, targnął się nawet na nasze «swobody», których pochodzenie gubiło się w pomroce czasów. Prawa te były bardzo niewielkie, ale my ceniliśmy je bardzo wysoko.

W rezultacie doszło do tego, że korpus nasz kilka dni «buntował». Nastąpiła ogólna kara i wydalenie z korpusu dwóch paziów pokojowych, naszych ulubieńców.

Potem ten sam kapitan zaczął zachodzić do klas, gdzie w ciągu godziny przed rozpoczęciem się lekcji, odrabialiśmy zadania. My zaś mniemaliśmy, że w klasie powinniśmy być wolni od nadzoru zwierzchności frontowej, ponieważ znajdujemy się tu w zawiadywaniu inspektora. Wtargnięcie do klasy dotknęło nas głęboko i razu pewnego oświadczyłem głośno kapitanowi, że tu jest miejsce inspektora klasowego. Za to zuchwalstwo odsiedziałem kilka tygodni w karczerze. Zostałbym wydalony, jeżeliby inspektor, pomocnik jego i nawet nasz stary dyrektor nie orzekli, że ja głośno wypowiedziałem to, co oni sami mówili po cichu między sobą.

Ledwo się te zaburzenia skończyły, gdy śmierć

cesarzowej-wdowy przerwała znowu prawidłowy bieg zajęć.

Pogrzeby osób rodziny cesarskiej urządzają się zawsze w taki sposób, aby wyrzeć jak najsilniejsze wrażenie na lud. Zwłoki cesarzowej sprowadzono z Carskiego Sioła, gdzie umarła, do Petersburga i z dworca kolejowego przewieziono je przez główne ulice do Petropawłowskiej twierdzy. Za trumną szła cała rodzina cesarska, wyżsi dygnitarze, dziesiątki tysięcy urzędników i niezliczone korporacje. Trumnę poprzedzały setki popów i śpiewaków. Sto tysięcy gwardyi ustawiono szpalerem wzdłuż ulic. Tysiące ludzi w paradnych uniformach uczestniczyło w procesyi, towarzysząc wozowi pogrzebowemu lub wyprzedzając go. U rogu każdej ulicy śpiewano litanię. Bicie kościelnych dzwonów, śpiew licznych chórów, zlewające się z sobą dźwięki połączonej wojskowej oskiestry — wszystko to powinno było wpoić ludowi przekonanie, że olbrzymi tłum rzeczywiście oplakuje śmierć cesarzowej.

Przez cały czas, póki trumna stała w katedralnej cerkwi Petropawłowskiej twierdzy, paziowie stali na straży przy niej dniem i nocą. Trzech paziów pokojowych i trzy frejliny dyżurowali bezustannie przy samej trumnie, ustawionej na wysokim katafalku, a ze 20-tu paziów stało na wzniesieniu, gdzie dwa razy dziennie odprawiano «panichidy» (nabożeństwa żałobne) w obecności cesarza i całej jego rodziny. W tym celu wożono co tygodnia do twierdzy prawie połowę naszego korpusu. Zmienialiśmy się co dwie godziny i w dzień czuwać nie było trudno. Ale ciężko było wstawać w nocy, ubierać się w dworskie paradne suknie, a potem iść do cerkwi przez ciemne i ponure podwórza twierdzy, przy smutnym odgłosie zegarów, bijących z wieży. Dreszcz mię przechodził na wspomnienie wię-

źniów, zamurowanych tu... gdzieś, w tej rosyjskiej Bastylii. «Kto wie — myślałem — może i mnie kiedyś, w przyszłości, sądzą znaleźć się w ich liczbie».

Pogrzeb zakłócony został wypadkiem, który mógłby być mieć bardzo poważne następstwa. Po nad trumną, pod kopułą soboru, wznosił się olbrzymi baldachim, uwieńczony dużą pozłacaną koroną. Z jej szczytu, ku czterem olbrzymim pilastrom, podtrzymującym kopułę, spadał olbrzymi purpurowy płaszcz, podbity gronostajami. Wrażenie otrzymywało się potężne; ale my, paziowie, wkrótce odkryliśmy, że pozłacana korona zrobiona jest z kartonu i drzewa, że tylko dolna część płaszcza była z aksamitu, a górna z czerwonej zwykłej bawełnianej tkaniny i że zamiast gronostai użyto białego barchanu, naszytego popielicowymi ogonkami. Okryte krepą tarcze herbowe były także z kartonu. Ale tłumy ludu, któremu pozwolono wieczorem przechodzić koło katafalku, by dotknąć się ustami złotogłowia, pokrywającego trumnę, nie miały czasu rozróżnić barchanowych gronostai i kartonowych tarcz. Pożądaný teatralny efekt osiągał się i w dodatku tanim kosztem.

W czasie żałobnego nabożeństwa członkowie cesarskiej rodziny stali — jak jest we zwyczaju — z zapalonemi świecami, które gasiły się po odmówieniu pewnych modlitw. Raz jeden z małych wielkich książąt zauważywszy, że «starsi» gaszą świece, odwróciwszy je ku dołowi, uczynił to samo i przypadkiem zapalił czarną krepę, spadającą po za nim z tarczy. W mgnieniu oka tarcza i bawełniana materya zajęły się płomieniem. Olbrzymi ognisty język wzbil się błyskawicznie w górę po ciężkich fałdach rzekomego gronostajowego płaszcza.

Nabożeństwo przerwało się. Oczy wszystkich po-

dążyły z przerażeniem za tym ognistym językiem, który wzbijał się coraz wyżej i wyżej, dosięgając korony z kartonu i drewnianej ramy, podtrzymującej całe rusztowanie. Zaczęły spadać kawałki płonącej materii, grożąc zapaleniem żałobnych welonów pań.

Aleksander II stracił głowę tylko na chwilę, ale wnet odzyskał przytomność umysłu. «Trzeba wynieść trumnę» — rozkazał. Pazie pokojowi natychmiast przykryli trumnę złotogłowiem i wszyscy razem zaczęli zbliżać się, żeby ją podnieść. Ale w tej chwili właśnie olbrzymi płomienny język rozpadł się na małe błękitne ogniki, które popęły po gręplowaniu materii. Powoli i one zagasły wśród popiołu i sadzy, nagromadzonych u góry.

Nie umiem powiedzieć, co więcej przykuło mój wzrok: pełznący ognisty język, czy majestatyczne, kształtne postacie trzech frejlin, stojących przy trumnie. Czarne koronkowe welony opadały im na ramiona, a długie ogony żałobnych sukien pokrywały stopnie katafalku. Żadna nie drgnęła. Stały, jak przesłiczne posągi. Tylko w oczach jednej z nich, Gamalei, zabłysły łzy, jak perły. Była ona Ukrainką rodem i wyjątkową pięknnością wśród wszystkich frejlin.

W korpucie wszystko szło na opak. Zajęcia przerwały się. Ci z pomiędzy nas, którzy wracali ze straży w twierdzy, zajmowali tymczasowo osobne pomieszkania. Ponieważ nie było co robić, wymyślaliśmy różne figle. Tak, na przykład, odkryliśmy stojącą w pokoju szafę, w której znajdowała się wspaniała kolekcya okazów zwierząt, przeznaczona do wykładów zoologii. Właściwie mówiąc, takie było urzędowe przeznaczenie tej kolekcji; ale nam nigdy nie pokazywano zwierząt. Za to teraz postanowiliśmy skorzystać z okazów. Z czaszki, którą znaleźliśmy w szafie, zrobiliśmy widmo, żeby straszyć nocą kolegów i oficerów. Zwierzęta zaś poustawialiśmy w najkomiczniejszych poło-

żeniach i grupach: małpy jeździły wierzchem na lwach, owce bawiły się z lampartami, żyrafy tańcowały ze słoniami i t. d. Zdarzyło się, że do korpusu przyjechał książę pruski, przybyły na pogrzeb (zdaje się ten sam, który został następnie cesarzem Fryderykiem). Nasz dyrektor nie omieszkał pochwalić się wspianiami pedagogicznymi kolekcjami i przywiódł gościa do nieszczęsnej szafy. Ale zaledwie książę pruski rzucił okiem na naszą zoologiczną klasyfikację, zadrgała mu twarz i szybko odwrócił się. Dyrektor skamieniał z przerażenia; nie mógł wyjąkać ani słowa i tylko wskazywał ręką na gwiazdy morskie, przechowywane w szklanych pudełkach obok szafy. Świta książęca udawała, że nic nie widzi, ukradkiem obrzucając wzrokiem ciekawą kolekcję. A my z trudnością zaledwie zdołaliśmy się powstrzymać od głośnego śmiechu.

VI.

Życie szkolne młodzieży w Rosyi różni się rażąco od życia zachodnio-europejskiego. U nas młodzież w uniwersytecie albo w szkole wojskowej żywo interesuje się kwestyami społecznymi, politycznymi i filozoficznymi. Prawda, że ze wszystkich zakładów naukowych korpus paziów stanowił grunt najmniej odpowiedni dla takiego rozwoju, ale w tej epoce ogólnego ożywienia idee postępowe przenikły i do nas i opanowały niektórych z pośród nas. To zresztą nie przeszkadzało nam przyjmować czynnego udziału w benefisach i innych figlach.

W 4-tej klasie zajęła mię historia. Za pomocą notatek, spisanych w czasie lekcji i książek (Sasza naturalnie, przysłał mi historię powszechną Lorentz'a),

ułożyłem sobie cały kurs początkowej historii wieków średnich. Następnego roku zainteresowała mnie walka władzy świeckiej z papieżką za Bonifacego VIII i Filipa IV; ogromnie pragnąłem otrzymać pozwolenie zajmowania się w Bibliotece Publicznej, żeby przestudyować gruntownie ten wielki spór. Ale było to niezgodne z przepisami, gdyż uczniowie średnich zakładów naukowych nie mieli do biblioteki wstępu. Kochany Bekker jednak, załatwił wszystkie trudności; dopuszczono mię do świątyni. Mogłem teraz zasiąść na jednej z ponsowych aksamitnych kanapek, przed jednym ze stolików, stanowiących wówczas umeblowanie czytelnicy, Zaznajomiwszy się z podręcznikami, a potem z książkami, które się znajdowały w naszej bibliotece, przeszedłem do źródeł. Nie znałem łaciny, ale wkrótce znalazłem bogate źródła w językach staroniemieckim i starofrancuskim. Archaiczne formy i wyrazistość języka kronikarzy francuskich sprawiała mi wysokie, estetyczne zadowolenie. Poznałem całkiem nowy społeczny ustrój; cały nieznany świat najbardziej złożonych i powikłanych wzajemnie stosunków politycznych i społecznych — odkrył przedemną swoje tajemnice. Odtąd nauczyłem się cenić historyczne źródła więcej, niż nowsze dzieła, które starają się zmodernizować i spopularyzować przedmiot, i w których partyjne tendencje albo też modne formuły zasłaniają rzeczywiste życie opisywanej epoki historycznej. Dodam jeszcze, że nic tak nie pobudza umysłowego rozwoju, jak samodzielne studia w jakiejkolwiek dziedzinie nauki lub sztuki i te moje młodzieńcze prace okazały mi się bardzo pożytecznymi w znacznie późniejszych czasach.

Na nieszczęście musiałem przerwać moje zajęcia historyczne, gdy przeszedłem do drugiej (przedostatniej) klasy. Paziowie w ciągu dwóch lat obowiązani byli przejść to, co w drugich wojskowych szkołach

przechodzi się w trzech specjalnych klasach. Pracy więc było wiele. Nauki przyrodnicze, matematyka, szkolne nauki wojskowe, odsunęły historię na drugi plan. W drugiej klasie zaczęliśmy poważnie studiować fizykę. Nauczyciel nasz, Czaruchin, wykładał doskonale, dowcipny, sarkastyczny, nie cierpiał «kucia» i chciał, żebyśmy się uczyli *myśleć*, a nie poprostu tylko wyuczali się na pamięć faktów.

Był on dobrym matematykiem i kładł wielki nacisk na analizę algebraiczną w fizyce. Przytem posiadał zadziwiający dar objaśniania zasadniczej myśli każdego fizycznego prawa i użytku fizycznych przyrządów, nie gubiąc się w drobnostkach, jak to czyni większość układaczy podręczników fizyki. Niektóre jego pytania były tak oryginalne, a objaśnienia tak wyborne i dokładne, że na zawsze wraziły mi się w pamięć.

Podręcznik fizyki Lentza, którego używaliśmy, nie był zły (większa część podręczników do użytku szkół wojskowych była ułożoną przez najwybitniejszych uczonych współczesnych), ale już trochę przestarzały. Wskutek tego nauczyciel nasz, który trzymał się własnej metody, począł układać krótki ogólny zarys lekcji swego przedmiotu. Zdarzyło się raz tak, że w ciągu kilku tygodni redakcja zarysu mnie powierzona została. Czarnuchin, jako dobry pedagog, pozostawił mi to całkowicie i przeglądał tylko korektury. Rozdziały o ciepłe, elektryczności i magnetyzmie wypadło mi pisać na nowo, uwzględniając najświeższe teorie i w ten sposób ułożyłem prawie zupełny podręcznik fizyki, który został następnie odlitografowany dla użytku korpusu. Łatwo ocenić, jak mi się przydała później ta praca.

W 2-giej klasie zaczęliśmy także uczyć się chemii. Wykładał nam ją też doskonały nauczyciel, oficer artylerii, Pietruszewski, namiętnie rozmiłowany

w swym przedmiocie, w którym dokonał kilku ważnych badań. Lata 1856—61 były epoką rozkwitu nauk ścisłych. Grove, Clausius, Joule i Séguin dowiedli, że ciepło i elektryczność są tylko różnymi formami ruchu. Około tego czasu Helmholtz rozpoczął swoje badania dźwięku, które stworzyły epokę w nauce. Tyn-dall w swoich popularnych wykładach, otarł się, żeby się tak wyrazić — o same atomy i molekuly. Gérard i Avogardo ustanowili teorię strąceń chemicznych, a Mendelejew, Meyer i Newlands odkryli peryodyczną prawidłowość chemicznych pierwiastków. Darwin swoim «Pochodzeniem Gatunków» dokonał absolutnego przewrotu w naukach biologicznych, a Karol Vogt i Moleschot, wstępując w ślady Claude Bernard'a, stworzyli psychologię fizyologiczną.

To były czasy powszechnego naukowego ożywienia. Nieprzezwyčajony prąd porywał wszystkich ku naukom przyrodniczym i w Rosyi wyszło wtedy wiele bardzo dobrych dzieł przyrodniczo-naukowych w rosyjskim przekładzie. Prędko zrozumiałem, że gruntowna znajomość nauk przyrodniczych, wraz z ich metodami, niezbędną jest każdemu, niezależnie od działalności, do której się przygotowuje. Połączyliśmy się w pięciu czy sześciu i utworzyliśmy coś w rodzaju chemicznego laboratoryum. Przy pomocy najprostszych przyrządów, wskazanych dla początkujących w wybornym podręczniku Steckhardta, przystąpiliśmy w pokoju dwóch kolegów, braci Zasiockich, do naszych chemicznych doświadczeń. Muszę dodać, że raz o mało co nie podpaliliśmy domu i zatruwaliśmy powietrze w sąsiednich pokojach chlorem i tem podobnemi mało wonnemi substancjami. Ale stary admirał zapatrywał się na to bardzo dobrodusznie. Kiedyśmy raz przy obiedzie opowiadali poczciwemu starcowi nasze przygody, on także opowiedział nam, jak razu pewnego

wspólnie z kolegami o mało co nie podpalił domu w celu mniej pożytecznym niż nasz, a mianowicie przyrządzając poncz grzany. A matka towarzyszy powtarzała w przerwach między atakami duszącego kaszlu: «cóż robić, nie ma rady, jeśli wasza nauka zmusza was porać się z takimi obrzydliwościami». Po obiedzie siadała zwykle do fortepianu i do późnej nocy śpiewaliśmy duety, tria i całe chóry z oper; albo też braliśmy partyturę jakiej opery, nieraz «Rusłana» — i śpiewaliśmy ją całą, od początku do końca. Matka Zasieckich i siostra śpiewały partye primadon, a my — po połowie z biedą — wypełnialiśmy pozostałe partye. Chemia i muzyka szły takim sposobem ręka w rękę.

Wyższa matematyka zajęła także nie mało mego czasu. Wielu z nas postanowiło już, że nie pójdziemy do gwardyi, gdzie służba frontowa i parady wojskowe zabrałyby cały czas. Zamierzaliśmy po wyjściu z korpusu postąpić do artyleryjskiej albo inżynierskiej akademii. W tym celu musieliśmy przejść geometryę analityczną, rachunek różniczkowy i początki integralnego — i braliśmy lekcyę prywatne. Astronomię początkową wykładano nam wówczas jako matematyczną geografię i zacząłem, zwłaszcza w czasie ostatniego roku mego pobytu w korpusie, czytać z zapalem dzieła astronomiczne. Wieczne, nieprzerwane życie wszechświata, który rozumiałem jako *życie* i ewolucyę, stało się dla mnie niewyczerpanem źródłem poetycznych rozkoszy, i powoli filozofią mego życia stało się poczucie jedności człowieka z przyrodą, zarówno żywo-tną, jak i nieżywo-tną.

Jeśliby wykładali się u nas tylko powyżej wyliczone przedmioty, to i wtedy cały nasz czas byłby najzupełniej zapełniony. Ale wykładali nam jeszcze

nauki humanitarne: historię, prawoznawstwo, tj. ogólne obeznanie się z kodeksem praw, potem zasady ekonomii politycznej i statystyki porównawczej. Oprócz tego trzeba było opanować olbrzymie kursy nauk wojskowych: taktyki, historii wojen (kampanie 1812 i 1815 r. w najdrobniejszych szczegółach), artyleryi i fortyfikacji polnej. Gdy przypominam sobie teraz przeszłość, przychodzę do wniosku, że program nasz (wyjawszy nauk wojskowych, zamiast których mogliśmy z większą korzyścią studyować nauki ścisłe) był nie zły i mimo swą różnorodność nie przechodził sił młodzieńca średnich zdolności. Zawdzięczając dobrej znajomości początkowej matematyki i fizyki, której nabywaliśmy w niższych klasach, większość wcale dobrze dawała sobie radę z programem. Wielu z nas — ma się rozumieć — zajmowało się niektórymi przedmiotami bardzo niedbale, jak np. prawoznawstwem, albo historią najnowszą, którą wykladał nam bardzo nieudolnie zgrzybiały Szulgin; trzymano go tylko, do wysłużenia pełnej pensyi. Zostawiano nam zresztą pewną swobodę w wyborze ulubionych przedmiotów. Z tych ostatnich egzaminowano nas bardzo surowo, z reszty, dość pobłaźliwie. Wogóle względne powodzenie, z jakim przechodziliśmy cały ten obszerny program, można objaśnić konkretnym charakterem całego nauczania. Skoro tylko poznajomiliśmy się z geometryą elementarną, natychmiast zaczęliśmy zastosowywać ją praktycznie w polu przy pomocy tyk, łańcucha mierniczego, a potem astrolabium i kompasu. Po takich poglądowych lekcjach astronomia początkowa nie przedstawiała już dla nas trudności, zdej-mowanie zaś planów samo przez się sprawiało nam wiele przyjemności. Ten sam system nauki poglądowej stosował się i przy wykładach fortyfikacji. Zimą rozwiązywaliśmy zadania w rodzaju następujących:

Posiadając do rozporządzenia tysięcy żołnierzy, wznieść w terminie dwutygodniowym jak najsilniejsze obwarowanie, aby obronić przed wrogiem i utrzymać most dla cofającej się armii; i rozwiązawszy zadanie gorąco broniliśmy potem naszych projektów, gdy nauczyciel krytykował je. W lecie zaś zastosowywaliśmy nasze teoretyczne wiadomości w praktyce, w polu. Tym sposobem, dzięki praktycznym ćwiczeniom, większość z pomiędzy nas, w wieku 17 — 18 lat przyswajała sobie wcale nieźle całą tę masę różnych przedmiotów.

Z tem wszystkim zostawało nam jeszcze dosyć czasu dla rozrywek i figli wszelkiego rodzaju. Najlepsze nasze czasy zaczynały się z końcem egzaminów; mieliśmy prawie cały miesiąc zupełnie swobodny przed wyjściem do obozu, a po powrocie z obozu znowu byliśmy wolni całych trzy lub cztery tygodnie. Ci, którzy pozostawali w szkole, a było ich niewielu, korzystali wtedy z absolutnej swobody i urlopów w każdym dowolnym czasie. Do korpusu wracaliśmy tylko jeść i spać. Ja pracowałem w tym czasie w publicznej bibliotece, chodziłem do ermitażu; studyowałem obrazy, kolejno wszystkie malarskie szkoły, albo zwiedzałem rządowe przędzalnie, odlewnie, huty szklane i szlifierskie fabryki, do których wstęp zawsze każdemu otwarty. Czasem jeździliśmy całym towarzystwem łódkami po Newie i przepędzaliśmy białe noce — kiedy wieczorna zorza spotyka się z poranną i kiedy o północy można czytać bez świecy książkę, — na rzece, albo u rybaków na wybrzeżu. Mieliśmy na to wszystko aż nadto dosyć czasu.

Wtedy już wyniosłem ze zwiedzania fabryk zamiłowanie do potężnych, dokładnych maszyn. Zrozumiałem poezję maszyn, gdy widziałem, jak olbrzymia parowa łapa, wysuwająca się z tartaku, wyławia belkę

z Newy i zręcznie podrzuca ją pod maszynę, która rozpiłowuje kłodę na deski; albo też widziałem, jak rozpalona do czerwoności sztaba żelazna, przeszedłszy między dwoma cylindrami, przekształca się w szynę. W fabrykach współczesnych maszyna zabija osobiistość robotnika. Zamienia się on w dożywotniego niewolnika danej maszyny i nigdy już nie może stać się czem innym. Ale jest to tylko wynik nierozumnej organizacji — i winną jest temu nie maszyna. Nadmierna praca i nieprzerwana jednostajność jej zarówno są szkodliwe, czy się posługujemy ręcznym narzędziem, czy maszyną. Jeśli zaś usunąć przepracowanie, to łatwo pojmuję zadowolenie, jakie wzbudzać może w człowieku poczucie potęgi jego maszyny, celowy charakter jej pracy, wdzięk i ścisłość każdego jej ruchu. Nie-nawiść, którą żywił ku maszynom William Morris dowodzi tylko, że — niezależnie od jego wielkiego talentu — potęga i piękność maszyn były mu niedostępne.

Muzyka też grała ważną rolę w moim rozwoju. Była ona dla mnie jeszcze większem źródłem rozkoszy i zachwyty, niż poezya. W tej epoce opera rosyjska prawie jeszcze nie istniała; ale był to okres rozkwitu opery włoskiej. Była ona nadzwyczaj popularną w Petersburgu i liczyła nie mało wielkich talentów. Kiedy zachorowała primadonna Bozio, tysiące ludzi, zwłaszcza młodzieży, wystawało do późnej nocy u drzwi hotelu, pytając o zdrowie divy. Nie była ona piękną, ale wydawała się tak prześliczną, gdy śpiewała, że można było naliczyć całe setki młodzieńców, zakochanych w niej do szaleństwa. Gdy Bezio umarła, wyprawiono jej taki pogrzeb, jakiego Petersburg dotąd jeszcze nie oglądał.

Cały Petersburg dzielił się wtedy na dwa obozy: na wielbicieli opery włoskiej i na stałych bywalców

teatru francuskiego, pole pierwszych popisów podkaszanej muzyki Offenbachowskiej, która w kilka lat potem zaraziła tchem swoim całą Europę. Nasza klasa także rozpadła się na dwa obozy i ja przyłączyłem się do Włochów. Wstęp do krzeseł i na galerye był nam wzbroniony, a łoże w operze włoskiej rozchwytywały się na wyścigi na kilka miesięcy przed rozpoczęciem sezonu, za abonamentem — a w niektórych domach abonamenty przekazywały się w spadku. Nie pozostało nam nic innego, jak przekradać się do opery w soboty — na górną galeryę, gdzie cisnęliśmy się w ciasnym «przejściu» i pocili jak w łaźni. Aby skryć nasze rzucające się w oczy mundury, musieliśmy nawet tam, nie zważając na zaduch, stać w zapiętych czarnych wатовanych szynelach z futrzanymi kołnierzami. Dziwna rzecz, że nikt z nas nie przypłacił tego zapaleniem płuc, zwłaszcza, że — rozgrzani owacyami na scenie — wystawialiśmy nieraz potem długo na ulicy u przysionka teatralnego, żeby jeszcze raz ujrzeć naszych ulubieńców i jeszcze raz pożegnać ich hucznyimi oklaskami. Wytworzyła się wówczas jakaś dziwna łączność między operą włoską a ruchem radykalnym. Rewolucyjne recitativa w «Wilhelmie Tellu», albo «Purytanach» wywoływały zawsze hałaśliwe owacye, które w niemały kłopot wprawiały Aleksandra II. Na szóstym piętrze, w fumoirze i przysionku zbierała się najwyborowska młodzież petersburska, połączona wspólnym kultem szlachetnej sztuki. Wszystko to może się teraz wydawać dzieciństwem, ale wtedy niejedna czysta idea i niejedno czyste dążenie obudził w duszy naszej ten szczerzy hołd, składany naszym ulubionym artystom.

VII.

Latem wychodziliśmy do obozu w Peterhofie, wspólnie z drugimi wojskowemi szkołami petersburskiego okręgu. Wogóle żyło się tam bardzo dobrze i bez wątpienia poprawialiśmy się znacznie na zdrowiu w czasie pobytu w obozie. Spaliśmy w obszernych namiotach, kąpaliśmy się w morzu i wracaliśmy do miasta ze świeżym zapasem sił.

Głównym celem życia polowego w obozie dla uczni szkół wojskowych jest naturalnie musztra. Cierpieć jej wszyscy nie mogliśmy, ale nudy nasze rozpraszały się czasem udziałem, jaki braliśmy w manewrach. Raz, gdyśmy się już kładli spać, rozkazał nagle Aleksander II zatrąbić na alarm. W jednej chwili ożywił się cały obóz. Kilka tysięcy malców skupiło się w gotowości bojowej około sztandarów. Wśród nocnej ciszy rozległ się głuchy turkot armat szkoły artyleryjskiej. Cały wojskowy Peterhof przygalopował do obozu, ale wskutek jakiegoś nieporozumienin cesarzowi nie podawano konia. Popędzili we wszystkie strony ordynansi po konia dla cesarza, ale konia nie było. Aleksander II nie był dobrym jeźdźcem, nie mógł więc dosiadać obcego wierzchowca; zajście to mocno rozgniewało cesarza i gdy przypędził doń ordynans, raportując: «Konia Waszej Cesarskiej Mości prowadzę z Babjigony», ostro wybuchnął: «Głupcze, czyż ja mam tylko jednego konia?»

Zgęszczający się mrok, armatnie wystrzały, tętent kawaleryi, wszystko to działało na nas, chłopców, w wysoce podniecający sposób i kiedy Aleksander II ruszył naszą kolumnę do ataku, stojąc jeszcze sam na przdzie jej, o małośmy go nie stratowali. W zwartych szeregach, z pochylonymi bagnietami, musieliśmy za-

pewne wyglądać groźnie; widziałem, jak cesarz, który ciągle jeszcze stał pieszo, trzema olbrzymimi susami oczyścił drogę dla kolumny. I zrozumiałem wtedy, co znaczy kolumna, idąca zwartymi szeregami, podniecona muzyką i atakiem. Przed nami stał imperator, nasz wódz, uwielbiany przez nas wszystkich. A mimo to czułem, że żaden z nas nie posunąłby się ani na cal i nie zatrzymał, aby go przepuścić. My tworzyliśmy kolumnę w ruchu, on stanowił przeszkodę i kolumna stratowałaby go. W podobnych wypadkach chłopcy z bronią w ręku bywają niebezpieczniejsi od starych żołnierzy.

Następnego roku, kiedy wzięliśmy udział w wielkich manewrach pod Petersburgiem, powziąłem pewne wyobrażenie o tem, co to jest wojna. Przez dwa dni z rzędu nie robiliśmy, tylko posuwaliśmy się naprzód i w tył na przestrzeni około dwudziestu wiorstw. Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia o tem, co się dzieje w około, ani o tem, w jakim celu poruszamy się. Działa grzmiały to około nas, to gdzieś dalej. Chwilami w lesie i na wzgórzach rozpoczynała się gorąca karabinowa strzelanina. Ordynansi galopowali i przywozili rozkaz to iść naprzód, to się cofać. A my wciąż szliśmy, szliśmy i szliśmy — nie widząc sensu w tych pochodach. Kawalerya przeszła tą samą drogą i zamieniła ją w szeroką rzekę ruchomego piasku, po którym ledwośmy się wlekli naprzód i w tył. Nakoniec wszelka karność zerwała się w naszej kolumnie. Z harmonijnej całości obróciła się ona w tłum znużonych wędrowników. Na drodze zostali tylko sami podchorążowie; reszta zaś wlokła się powoli skrajem lasu. Rozkazy i błagania oficerów nic nie skutkowały.

Nagle z tyłu rozległ się krzyk: «Cesarz jedzie!»

Oficerowie poczęli biegać między nami, błagając, byśmy się ustawili w szeregach, ale nikt nie słuchał.

Cesarz przyjechał i kazał jeszcze raz cofać się.

— Na lewo, marsz! rozległa się komenda. Pano wie cesarz za wami. «Proszę się odwrócić!», szeptali oficerowie. Ale batalion nie zwrócił żadnej prawie, uwagi ani na komendę, ani na prośby. Na szczęście Aleksander II nie był fanatykiem służby frontowej. Powiedziawszy parę słów, żeby dodać nam ducha, i przyobiecawszy nam odpoczynek niedługo, odjechał.

Zrozumiałem wtedy, jak wiele zależy w czasie wojny od ducha wojska i jak mało można zrobić za pomocą samej tylko dyscypliny, w tych razach kiedy wymaga się od żołnierzy więcej, niż średniego wysiłku. Samą dyscypliną nie można przyprowadzić znużony oddział w oznaczonej godzinie na pole bitwy. Tylko zapał i zaufanie mogą w podobnych chwilach skłonić żołnierza, by uczynił niemożliwe. A powodzenie wojny wymaga bezustannie wykonywania «niemożliwego». Jak często wspominałem później ten naoczny przykład w Syberyi, gdzie podczas naukowych ekspedycji musieliśmy na każdym kroku wypełniać «niemożliwe».

Nauka musztry i manewry zabierały jednakże tylko niewielką część naszego czasu w obozie. Zajmowaliśmy się wiele zdejmowaniem planów i fortyfikacją. Po kilku wstępnych ćwiczeniach, dawano nam busołą i mówiono: «zdejmijcie plan tego jeziora, albo parku z jego ulicami. Wymierzajcie kąty za pomocą busoli, a odległość krokami».

Wczesnym rankiem, zjadłszy na prędcie śniadanie, kadet albo paż napełniał swoje przestronne, wojskowe kieszenie kromkami razowego chleba i udawał się na cztery — pięć godzin do parku. Rzucił na plan prześliczne cieniste ulice, strumienie, jeziora. Praca jego

porównywała się następnie ze ściśłymi kartami i tytułem nagrody otrzymywał do wyboru instrumenty optyczne, albo geometryczne. Mnie to zajęcie sprawiało niewysłowioną przyjemność. Samodzielny charakter pracy, zajęcie, jakie budziła, samotność pod stuletnimi drzewami, życie leśne, któremu mogłem oddawać się bez przeszkody, pozostawiły głęboki ślad w mojej pamięci. I gdy następnie zostałem badaczem Syberyi, a niektórzy z moich kolegów badaczami Azji środkowej, znaleźliśmy, że zdejmowanie planów w korpusie posłużyły nam za dobrą przygotowawczą szkołę.

W ostatniej klasie małe oddziały z czterech paziów udawały się co drugi dzień do wsi leżących w znacznej odległości od obozu. Tam robiliśmy dokładne plany z pomocą teleskopu i mierniczych narzędzi. Czasem przyjeżdżali oficerowie generalnego sztabu dla przejrzania naszych prac i udzielenia wskazówek. Życie zaś wpośród chłopów, w wiejskich chatach, świetnie wpływało na nasz rozwój moralny i umysłowy.

W tym samym czasie wprawialiśmy się w sypaniu w rozmiarach naturalnej wielkości różnych części obwarowań. Udawaliśmy się z oficerami na otwarte pole i tu polecano nam usypać środek bastyonu albo skombinowanego szańca mostowego. Zbijaliśmy gwoździemi belki i żerdzie w taki sposób, jak to robią inżynierowie. Przy budowaniu baterii odkrytych i strzelnic musieliśmy czynić bardzo żmudne wyrachowania, żeby określić pochYLENIE i przecięcie różnych płaszczyzn, ale potem stereometria nie przedstawiała już dla nas trudności, a sinusy i tangensy posiadały dotykalne, określone znaczenie.

Robota ta tak nam się podobała, że raz — już w mieście — znalazłszy w ogrodzie kupę gliny i żwiru

zaczęliśmy wznosić prawdziwe obwarowanie w zmniejszonych rozmiarach. Baterye, proste i pochyłe strzelnice były starannie wyrachowane. Wszystko było zrobione bardzo wytwornie. Marzyliśmy teraz o tem, gdzieby dostać desek, żeby zrobić pomost dla dział i postawić na nim modele armat, wzięte z naszej klasy. Ale niestety! nasze pantalone były w oplakanyim stanie.

— Co wy tu robicie! wołał na nas kapitan. Popatrzcie na siebie! Podobni jesteście do kopaczy (to właśnie stanowiło naszą dumę w tej chwili). Co będzie, jeżeli przyjedzie W. Książę i zobaczy was w tym stanie.

— Pokażemy mu nasze obwarowanie i poprosimy, żeby kazał nam wydać narzędzia i belki dla pomostów.

Ale daremnie protestowaliśmy. Nazajutrz dziesięciu robotników wywiozło taczkami nasze śliczne obwarowanie, jakby ono było tylko kupą gruzu.

Wspominam o tem dla tego, żeby wykazać, jak dzieci i młodzież lubią zastosowywać w praktyce nabyte w szkole wiadomości i jak ograniczonymi są wychowawcy, którzy nie umieją wykorzystać tej dążności w pedagogicznych celach. W korpusie naszym wszystko — ma się rozumieć — było skierowanem ku temu, żeby obudzić w nas wojennego ducha; ale my z takim samym zapalem przeprowadzalibyśmy kolej żelazną, budowalibyśmy chatę, albo też uprawialibyśmy pole i ogród warzywny. Zamiłowanie dzieci w żywej, istotnej pracy przepada bezowocnie dla tego, że w szkole panuje dotąd jeszcze duch scholastyki, przekazany nam w spadku przez średniowieczne klasztory.

VIII.

Lata 1857 — 61 były, jak wiadomo, epoką umysłowego rozwoju Rosyi. Wazystko to, o czem pokolenie,

które przedstawiali w literaturze Turgeniew, Tołstoj, Herzen, Bakunin, Ogarew, Kawelin, Dostojewski, Grigorowicz, Ostrowski i Nekrasow, mówili tylko szepem, — w przyjaznej pogadance, zaczęło teraz przenikać do druku. Cenzura wciąż się jeszcze srożyła; ale czego nie można było powiedzieć otwarcie w politycznym artykule, to przekradało się drogą kontrabandy w formie powieści, szkicu humorystycznego, w zamaskowanej krytyce zachodnio-europejskich stosunków. Wszyscy umieli czytać między wierszami i rozumieli, co znaczy «Krytyka chińskiego systemu finansowego».

Nie miałem znajomych w Petersburgu, wyjąwszy kolegów szkolnych i ciasnego kółka krewnych. Stałem tym sposobem na uboczu, daleko od radykalnego ruchu tego czasu. Mimo to jednak (i stanowi to może najbardziej charakterystyczną cechą ruchu) idee przenikały nawet do tak prawomyślnej szkoły, jak nasza i odbijały się nawet w kole naszych moskiewskich krewnych.

Niedziele i święta spędzałem teraz u mojej ciotki, księżnej Mirskiej, o której już wspominałem wyżej. Książę Mirski myślał tylko o niezwykłych śniadaniach i obiadach, a księżna i księżniczka spędzały czas bardzo wesoło. Moja cioteczna siostra liczyła dwudziesty rok życia. Była bardzo ładną i miłą. Wszyscy cioteczni bracia kochali się w niej na zabój; ona także pokochała serdecznie jednego z nich i chciała mu oddać swą rękę. Ale małżeństwo ciotecznych krewnych — wielki grzech wedle zapatrywań cerkwi prawosławnej i księżna daremnie starała się o specjalną dyspensę u przedstawicieli wyższej hierarchii kościelnej. Przywiozła więc córkę do Petersburga w nadziei, że może wybierze z pośród legionu swych wielbicieli kogo więcej odpowiedniego na męża, niż rodzono-ciotecznego

brata. Niestety! zabiegi księżnej do niczego nie doprowadziły, choć w domu jej było zawsze pełno świetnej młodzieży z gwardyi i dyplomacyi.

Można było przypuścić, że gdzie jak gdzie, ale do takiego domu idee rewolucyjne w żadnym razie przystępu mieć nie powinny. A jednak — właśnie tam zaznajomiłem się po raz pierwszy z literaturą rewolucyjną. Było to w czasie, gdy Herzen zaczynał wydawać w Londynie «Gwiazdę Polarną», która z błyskawiczną niemal szybkością rozpowszechniła się wśród najszerszych warstw publiczności i wzniciła zamieszanie nawet w kołach dworskich. Moja kuzynka dostawała w jakiś sposób te książki i czytaliśmy je razem. Serce jej było wzburzone przeszkodami, które zniszczyły jej szczęście i umysł jej tem chętniej przyswajał sobie Herzenowską ostrą krytykę samowładztwa i całego spróchniałego ustroju państwowego. Prawie z religijną czcią spoglądałem na wyciśnięty na okładce «Gwiazdy Polarnej» medalion z wyobrażeniem głów powieszonych dekabrystów: Bestużewa, Kachowskiego, Pestela, Rylejewa i Murawiewa-Apostoła. Piękność i potęga utworów Herzena, siła rozpędowa jego myśli, jego gorąca miłość Rosyi porywały mię nieprzeparcie. Czytałem i odczytywałem zawsze z tym samym zapalem te kartki, iskrzące się dowcipem i przeniknięte głębokiem uczuciem. Turgeniew prawdę powiedział, że Iskander (pseudonim Herzena) pisał łzami i krwią i że nikt u nas nie pisał już tak po nim.

W 1857 r., czy też w początkach 1860-go zacząłem wydawać pierwszą moją rewolucyjną gazetę. W tym wieku — ma się rozumieć — mogłem być tylko konstytucjonistą i z zapalem wykazywałem w mojej gazecie konieczność konstytucyi dla Rosyi. Pisałem o szalonej rozrzutności dworu, o sumach strwonionych w Nicei na całkiem bezużyteczną eskadrę, towarzy-

szą cesarzowej wdowie, zmarłej 1860 r. Wspominałem o nadużyciach urzędników, które bezustannie obijały mi się o uszy i dowodziłem konieczności prawnego, konstytucyjnego porządku. Przepisałem moją gazetę w trzech egzemplarzach i wsunąłem je ukradkiem do szuflady kilku moim kolegom z wyższych klas, o których przypuszczałem, że się interesują sprawami społecznymi. Prosiłem moich czytelników, by położyli swoją odpowiedź za dużym zegarem w naszej bibliotece

Z bijącym sercem wszedłem nazajutrz do biblioteki, by zobaczyć, czy nie ma czego dla mnie. Istotnie, za zegarem leżały dwie kartki. Dwóch towarzyszy pisało, że podzielają zupełnie moje przekonania — i radzili mi tylko nie narażać się zanadto. Wypuściłem drugi numer, jeszcze ostrzejszy. Wykazywałem w nim konieczność zjednoczenia się wszystkich w imię wolności!... Tym razem nic nie znalazłem za zegarem, ale za to dwaj koledzy sami przyszli do mnie.

— Przekonani jesteśmy, że gazetę wydajesz ty, powiedzieli — i chcemy pomówić z tobą w tej kwestyi. Zgadzą się z tobą zupełnie i przyszliśmy ci powiedzieć: «bądźmy przyjaciółmi». Ale gazety nie należy wydawać dalej. W całym korpusie jest jeszcze dwóch towarzyszy, których rzeczy te zajmują. Jeżeli zaś stanie się wiadomem, że istnieje podobna gazeta, następstwa dla nas będą straszne. Lepiej zawiążmy kółko i będziemy mówić w niem o wszystkim. Może uda się przekonać o czem i drugich.

Słowa ich były tak rozsądne, że pozostawało mi tylko zgodzić się i stwierdziliśmy nasze przymierze silnym uściskiem dłoni. Staliśmy się odtąd wielkimi przyjaciółmi, razem czytaliśmy i razem roztrząsaliśmy różne pytania.

Uwłaszczenie włościan pochłaniało wtedy uwagę wszystkich myślących ludzi.

Rewolucya 1848 r. odbiła się głuchem echem wśród rosyjskich chłopów. Bunty poddanych zaczęły od 1850 r. przyjmować bardzo poważne rezmiary. Kiedy wybuchła wojna Krymska i zaczęto w całej Rosyi zwoływać pospolite ruszenia, powstania chłopów rozszerzyły się z niewidzianą dotąd siłą. Kilku obywateli zostało zamordowanych przez chłopów. Bunty przyjęły taki groźny charakter, że dla uśmierzenia ich musiano posyłać całe pułki — z działami, podczas gdy przedtem niewielkie oddziały żołnierzy przejmowały strachem chłopów i przywracały porządek.

Te wybuchy z jednej strony i głęboka odraza ku poddańczym stosunkom, jaką przejęte było pokolenie, które stało na czele społeczeństwa przy wstąpieniu na tron Aleksandra II, — uczyniły z kwestyi oswobodzenia chłopów kwestyę dnia. Aleksander II, sam niechętny porządkom poddańczym, popierany, a raczej pobudzany we własnej rodzinie przez żonę, brata Konstantego i W. Kieźnę, Helenę Pawłówną, — uczynił pierwszy krok w tym kierunku. Chciał on, żeby inicjatywa reformy wyszła od samych obywateli. Ale w żadnej gubernii nie można było nakłonić tych ostatnich do podania podobnego adresu cesarzowi. W marcu 1857 r. Aleksander II sam zwrócił się do szlachty moskiewskiej z mową, w której dowodził konieczności reformy; ale odpowiedzią było głuche milczenie. Aleksander II rozgniewał się i zakończył mowę pamiętnymi słowami Herzena: «lepiej, panowie, żeby oswobodzenie przyszło z góry, niż czekać, aż przyjdzie z dołu». Ale i te słowa nie poziały. Początek zrobiły nareszcie litewskie gubernie; Grodzieńska, Wileńska i Kowieńska, w których Napoleon zniósł (na papierze) w 1812 r. poddaństwo. Ge-

nerał-gubernator Litewski, Nazimow, zdołał namówić szlachtę litewską do podania pożądanego adresu i w lipcu 1857 r. opublikowany został słynny reskrypt na imię Wileńskiego generał-gubernatora, w którym Aleksander II oznajmił o swym zamiarze oswobodzenia włościan. Ze łzami w oczach czytaliśmy głośny artykuł Herzena: «Zwyciężyłeś, Galilejczyku!» Wygnańcy londyńscy oświadczały, że odtąd nie uważają Aleksandra II za wroga i będą go popierać w wielkiej sprawie oswobodzenia włościan.

Zachowanie się chłopów było w wysokim stopniu godne uwagi. Zaledwie rozeszła się wieść, że namiętnie pożądana wolność wkrótce nadaną zostanie, bunt prawie całkiem ustały. Chłopi czekali. Kiedy Aleksander II objeżdżał środkową Rosyę, tłumy ludu otaczały go i błagały o nadanie «woli». Ale na te powtarzające się prośby Aleksander zapatrywał się nieprzychylnie. Ciekawe, jednakże, do jakiego stopnia trwała jest tradycya wielkiej rewolucyi: wpośród chłopów krążyła wieść, że Napoleon żądał — przy zawarciu pokoju — od Aleksandra II nadania swobody ludowi. Nieraz to słyszałem. Nawet w przeddzień oswobodzenia chłopi powątpiewali, żeby im dano swobodę bez nacisku z zewnątrz. «Jeżeli Garibaldi nie przyjdzie, nie nie będzie», — mówił w Petersburgu jeden chłop memu koledze, który tłómaczył mu, że wkrótce «dadzą wolę». I tak myślało wielu.

Po chwili powszechnej radości nastąpiły lata trwogi i powątpiewań. W guberniach i Petersburgu pracowały specjalnie obrane komitety; ale Aleksander II, widocznie wahał się. Cenzura przestrzegała z wyjątkową surowością, żeby w druku nie omawiano kwestyi uwłaszczenia włościan w szczegółach. Po nure wieści krążyły w Petersburgu i przenikały do naszego korpusu.

Wśród szlachty nie brakło młodych ludzi, którzy szczerze pracowali dla sprawy zupełnego oswobodzenia chłopów. Ale partya stronników poddaństwa coraz ciaśniejszym pierścieniem otaczała Aleksandra i wywierała nań groźny nacisk. Szeptali oni, że w dzień oswobodzenia chłopów rozpocznie się ogólna rzeź obywateli i że Rosyę oczekuje nowy bunt Pugaczowski, jeszcze straszniejszy, niż w 1773 r. Aleksander II był człowiekiem słabego charakteru i przysłuchiwał się tym złowróżbnym przepowiedniom. Ale olbrzymia machina do wypracowania «ustawy» była już puszczona w ruch. Komitety obradowały. Dziesiątki memoriałów z projektami uwłaszczenia posyłały się carowi, krążyły w rękopisach, albo drukowały się w Londynie. Herzen, ze współudziałem Turgeniewa, który powiadał go o stanie rzeczy, roztrząsał szczegóły każdego projektu w «Kołokole» («Dzwonie») i «Gwiazdzie Polarnej». To samo robił Czernyszewski w organie «Współczesnik» (Sowremiennik). Słowianofile, zwłaszcza Aksakow i Bielajew, skorzystali natychmiast z względnie szerszej swobody druku, żeby ideę oswobodzenia włościan jak najszerzej rozpowszechnić. Roztrząsali oni też szczegółowo, z wielką znajomością technicznej strony kwestyi — w jaki sposób przeprowadzić uwłaszczenie. Cały wykształcony Petersburg zgadzał się z Herzenem, a zwłaszcza z Czernyszewskim. Pamiętam, jak bronili go nawet oficerowie gwardyi konnej, których widywałem w niedzielę — po paradzie wojskowej, w czasie procesyi w cerkwi — u mojego ciotecznego brata, Dymitra Mikołajewicza Krapotkina, pułkowego adjutanta i fligel-adjutanta. Nastrój Petersburga, w salonach i na ulicy, jawnie okazywał, że teraz już cofać się nie można. Uwłaszczenie włościan musiało być dokonaniem. Wywalczonym został i drugi punkt: a mianowicie uwłaszczenie z nadaniem ziemi.

Ale zwolennicy poddaństwa nie tracili nadziei. Dobijali się oni teraz odroczenia reformy, zmniejszenia działów ziemi i tak wysokiego wykupu za nią, że uczyniłoby to ekonomiczną niezależność chłopów tylko urojeniem. I to powiodło się im zupełnie. Aleksander II oddalił Mikołaja Milutina (brata ministra wojny), który był duszą całej sprawy.

— Bardzo mi przykro rozstawać się z panem — powiedział, ale jestem zmuszony: szlachta nazywa pana «czerwonym».

Pierwsze komitety, które wypracowały projekt uwłaszczenia, zostały rozwiązane. Nowe komitety rozpatrywały teraz cały plan w interesie stronników poddaństwa. Na prasę znowu nałożono kaganiec.

Sprawy przedstawiały się więc w dość ponurem świetle. Teraz już powstawało pytanie, czy utrzyma się samo uwłaszczenie! Z gorączkowym zajęciem śledziłem tę walkę i w niedzielę — gdy towarzysze moi wracali z miasta do korpusu, wypytywałem ich, co mówią ich rodzice? W jesieni 1860 r. wiadomości stawały się coraz gorsze. «Partya Wałujewa wzięła górę». «Chce rozpatrzyć na nowo całą sprawę». «Krewni książęnej D. (przyjaciółka cara) wywierają silny wpływ na cara». Oswobodzenie chłopów odroczone; boją się rewolucji».

W styczniu 1861 r. zaczęły, zresztą, pojawiać się wieści więcej pocieszające. Wszyscy spodziewali się teraz, że 19-go lutego, w rocznicę wstąpienia Aleksandra na tron, zostanie ogłoszony jakiś manifest o uwłaszczeniu.

Przyszedł i ten dzień, ale nie przyniósł nic. Byłem tego dnia w pałacu, gdzie zamiast wielkiego, było tylko małe przyjęcie. Na takie przyjęcia posyłano paziów drugiej klasy, żeby oznajomić ich ze zwyczajami,

panującymi przy dworze i 19-go była moja kolej. Towarzyszyłem jednej z Wielkich księżn przy wyjściu z cerkwi, a gdy jej mąż nie przychodził, poprosiła mnie, bym go odszukał. Wywołano go z gabinetu cesarza i powiedziałem mu półzartem, jak niespokojną jest jego żona. Nie podejrzywałem nawet, jaka ważna kwestya roztrząsała się tego dnia w gabinecie. Wyjąwszy kilku zaufanych, nikt w pałacu nie wiedział, że manifest był podpisany 19-go lutego. Trzymali go w tajemnicy przez dwa tygodnie, tylko dla tego, że za tydzień, 26-go lutego, zaczynała się «maślanica» (ostatnie dni karnawału w Rosyi, zapusty). Bano się, że po wsiach pijaństwo może wywołać w te dnie bunty. Nawet zapustne budy jarmarczne przeniesiono w tym roku z Placu Dworcowego na Marsowe Pole, dalej od cesarskiego pałacu — w obawie ludowego powstania. Wojska otrzymały najsurowsze instrukcye, jak mają uśmierzać nieporządki.

Dwa tygodnie potem, 5-go marca, ostatniego dnia zapust, byłem w korpusie, ponieważ w południe miałem iść na paradę wojskową w maneżu Michajłowskim. Leżałem jeszcze w łóżku, gdy wbiegł mój ordynans Iwanow, z tacą od herbaty w rękach i zawołał: «Książę, wola!» Manifest wywieszony w «Gościnnym Dworze»¹⁾ (naprzeciw korpusu).

— Sam widziałeś manifest?

— Tak. Lud stoi w okolo. Jeden czyta, a wszyscy słuchają. Wola.

W dwie minuty ubrałem się i byłem na ulicy.

— «Krapotkin! Wola!» zawołał wchodzący do korpusu kolega. — «Oto manifest. Mój wuj dowiedział się wczoraj, że mają go czytać po rannej mszy w soborze św. Izaaka. Ludu było niewiele, sami chłopci. Po mszy

¹⁾ bazar kupiecki.

przeczytano i rozdano manifest. Chłopi dobrze pojęli jego znaczenie. Kiedy wychodziłem z soboru, kilku chłopów wałęsało się w przysionku. Dwóch stało w drzwiach i tak śmiesznie powiedzieli mi: «co, panie? teraz — fiut!» — Kolega mimiką powtórzył, jak chłopci pokazali mu drogę. Lata całe dręczącego oczekiwania wypowiedziały się w tym geście wyrzucania «pana».

Czytałem i odczytywałem manifest. Był on zredagowany przez zgrzybiałego metropolitę moskiewskiego, Filareta, w napuszonym stylu. Cerkiewno-słowiańskie zwroty zaciemniały tylko sens.

Ale to była «wola», bez żadnej wątpliwości, choć nie natychmiastowa. Chłopi pozostawali poddanymi jeszcze dwa lata, do 19-go lutego, 1863 r., nie mniej przeto jedno było jasnym: prawo poddańcze zniesiono i chłopci otrzymają działki ziemi. Będą musieli kupić je, ale piętno niewoli zmazane. Niowolników już nie ma. Reakcyi nie udało się wziąć górę.

Udaliśmy się na paradę. Po skończeniu ceremonii wojskowej, Aleksander II, który wciąż jeszcze siedział na koniu, głośno zawołał: «panowie oficerowie, proszę do mnie!» Oficerowie otoczyli cesarza, a on zaczął głośno mówę o wielkiem wydarzeniu dnia.

— Panowie oficerowie..., przedstawiciele szlachty w armii..., dolatywały do nas urywki mowy... Położony koniec wiekowej niesprawiedliwości... Oczekuję ofiar od szlachty... zacna szlachta zjednoczy się około tronu!...» I tak dalej. Kiedy Aleksander skończył, odpowiedziano mu głośnymi okrzykami: «hurra!»

Raczej dobiegliśmy, niż doszliśmy z powrotem do korpusu. Śpieszyliśmy do opery włoskiej, na ostatnie w tym sezonie dzienne przedstawienie. Nie ulegało wątpliwości, że będą jakieś manifestacye. Pośpiesznie rzuciliśmy wojenny rynsztunek i z kilku kolegami

popędziłem do teatru na galeryę 6-go piętra. Teatr był przepelniony.

Zaraz w czasie pierwszego antraktu fumoiry wypełniły się wzburzoną młodzieżą. Znajomi i nieznanymi z uniesieniem udzielali sobie wzajemnych wróż. Tu — na miejscu — postanowiliśmy wrócić do sali i odśpiewać razem ze wszystkimi: «Boże, cara chroń!»

Ale oto doleciały nas dźwięki muzyki i pośpieszyliśmy z powrotem do sali. Orkiestra grała już hymn, ale dźwięki jego ginęły w ogłuszających krzykach wszystkich widzów: «hurra!» Widziałem, jak dyrygujący orkiestrą Bavieri — wywijał laską, ale nie mógł uchwycić ni jednego dźwięku olbrzymiej orkiestry. Bavieri skończył, ale pełne uniesienia krzyki «hurra!» nie ustawały. Znowu podniósł laskę; widziałem ruch smyczków, widziałem, jak nadymały się policzki muzykantów, grających na miedzianych instrumentach; ale zapalone krzyki znowu zagłuszały muzykę. Bavieri po raz trzeci rozpoczął hymn. I tylko wtedy — pod sam koniec — pojedyncze dźwięki instrumentów dętych zaczęły chwilami przebijać się wśród szumu głosów ludzkich.

Takie same — pełne uniesienia — sceny powtarzały się na ulicach. Tłumy inteligentnej publiczności i chłopów stały przed pałacem zimowym i krzyczały: «hurra!» Kiedy się cesarz pokazał na ulicy, uradowany lud popędził za jego powozem. Herzen miał słuszość, mówiąc w dwa lata potem, gdy Aleksander II zatapiał powstanie polskie w rzekach krwi, a Murawiew-Wieszatiel (Wieszający — przydomek słynnego gen. gubernatora Wileńskiego w 1863 r.) dławił je na rusztowaniu. «Aleksandrze Mikołajewiczu, dla czego nie umarłeś w tym dniu? Zostałbyś bohaterem w historii!»

A gdzie były bunty, przepowiadane przez stronników poddaństwa? Trudno byłoby stworzyć położenie bardziej niepewne, niż to, jakie wprowadzała «ustawa». Jeśli co mogło wywołać powstanie, to właśnie powikłana nieokreśloność warunków, wytworzonych przez nowe prawo. A tymczasem, wyjąwszy dwóch miejscowości, gdzie były zaburzenia i drobnych zakłóceń porządku gdzie niegdzie, wywołanych głównie przez nieporozumienie, cała Rosya pozostawała spokojną, spokojniejszą, niż kiedykolwiek. Ze zwykłym sobie zdrowym rozsądkiem chłopci zrozumieli, że poddaństwu położony został koniec i że przyszła swoboda i przyjęli nałożone na nich warunki, bez względu na ich ciężar.

Odwiedziłem Nikolskie w sierpniu 1861 r. a potem znowu latem 1863 r. i uderzyło mię, jak rozsądnie i spokojnie pogodzili się chłopci z tymi nowymi warunkami. Wiedzieli oni bardzo dobrze, jak ciężko będzie im płacić wykup, który, właściwie mówiąc, był wynagrodzeniem za darowaną pracę odebranych dusz; ale tak wysoko cenili oni swoje osobiste wyswobodzenie z niewoli, że przyjęli nawet takie rujnujące warunki. Prawda, — nie obchodziło się to bez szemrania, ale chłopci poddawali się konieczności. W ciągu pierwszych miesięcy święcili po dwa dni w tygodniu, zapewniając, że grzech pracować w piątek; ale kiedy nastąpiło lato, wzięli się do roboty jeszcze z większą gorliwością, niż poprzednio.

Kiedy w piętnaście miesięcy po uwłaszczeniu zobaczyłem naszych nikolskich chłopów, nie mogłem dosyć nacieszyć się nimi. Wrodzona ich dobroć i łagodność pozostały, ale piętno niewolnictwa znikło. Chłopci rozmawiali ze swoimi dawnymi panami jak równi z równymi, jak gdyby nigdy inne stosunki nie panowały między nimi. Przytem wystąpiły już z po-

między chłopów takie jednostki, które umiałyby bronić swych praw, «Ustawa» była to wielka i ciężko napisana księga. Straciłem niemało czasu, nim ją wyrozumiałem. Ale gdy razu pewnego starosta nikolski, Wasil Iwanow, przyszedł do mnie z prośbą, żeby mu objaśnić jedno ciemne miejsce w «Ustawie», przekonałem się, że orientuje się on doskonale w zawikłanych rozdziałach i paragrafach, choć czytał sam bardzo niepłynnie.

Najgorzej było służbie dworskiej, t. zw. «dworowym». Oni nie otrzymali działów w ziemi i możeby nawet nie wiedzieli, co robić z nią, jeśliby otrzymali. Dano im wolność i nic więcej. W naszej okolicy prawie wszyscy porzucili swoich dawnych panów: u mojego ojca n. p., nikt nie pozostał. Rozproszyli się w poszukiwaniach za pracą. Wielu znalazło natychmiast miejsce u kupców, którzy pysznili się tem, że służy u nich stangret takiego-to księcia, albo kucharz takiego-to generała. Ci, którzy znali jakie rzemiosło, znajdowali pracę w mieście. Tak na przykład orkiestra mojego ojca pozostała orkiestrą, zarabiała nieźle w Kałudze i zachowywała przyjazne stosunki z naszym domem. Źle powodziło się tym, którzy nie znali żadnego rzemiosła. A jednak większość wolała biedę klepać, niż pozostawać u dawnych panów.

Co się tyczy obywateli, to wieley właściciele ziemscy poruszyli wszystkie sprężyny w Petersburgu, żeby wznowić poddaństwo pod jakąkolwiek nową nazwą (po części, udało im się to przy Aleksandrze III); ale większa część pozostałych obywateli poddała się reformie, jak nieuniknionemu nieszczęściu. Młode pokolenie dało Rosyi owych znakomitych t. zw. pośredników, czyli rozjemców pokojowych (urząd cywilny) a potem sędziów pokoju, którzy tak wiele przyczynili

się do pokojowego przeprowadzenia emancypacji. Ludzie zaś starszego pokolenia marzyli tylko o tem, by zastawić swoje wykupne świadectwa (ziemia była oceniona znacznie wyżej po nad swą wartość) i rozważali, jak przehulać te pieniądze w restauracjach, albo puścić je za zielonym stolikiem. I w rzeczy samej, większość z nich przehulała lub przegrała wykupne pieniądze, ledwo je otrzymawszy.

Dla wielu obywateli uwłaszczenie włościan okazało się w gruncie rzeczy korzystnym interesem. Tak na przykład, ta sama ziemia, którą ojciec mój, przewidując uwłaszczenie, sprzedawał małemi działami po 11 rs. za dziesięcinę, chłopom oddawała się po 40 rubli, to jest $3\frac{1}{2}$ razy więcej. Tak było wszędzie w naszym okręgu. W tambowskim zaś majątku stepowym mego ojca gmina wydzierżawiła całą ziemię na 12 lat i ojciec otrzymywał dwa razy więcej dochodu, niż pierwszej, gdy ziemię uprawiali poddani.

W dziesięć lat po tym pamiętnym dniu pojechałem do tambowskich dóbr, które dostały mi się w spadku po ojcu. Zabawiłem tam kilka tygodni. Wieczorem, po moim wyjeździe, nasz młody ksiądz, rozumny, wolnomyślny (tacy zdarzają się czasem w południowych guberniach) poszedł przejść się. Był wspaniały zachód słońca. Od stepu wiał przepojony aromatem wietrzyk. Za wsią, na wzgórzu spotkał on niezbyt starego jeszcze chłopą, Antoniego Saweljewą, który czytał psalterz. Chłop z trudnością sylabizował cerkiewne pismo i często czytał książkę, zaczynając od ostatniej stronnicy. Przedewszystkiem podobał mu się sam proces czytania; potem uderzało go czasem jakieś słowo i powtarzanie tego słowa sprawiało mu przyjemność. Teraz czytał 106 psalm, w którym się często powtarza: «raduję się».

— Co czytacie, Antoni Saweljewicz? spytał ksiądz.

— A ot, batuszka, opowiem wam. Czternaście lat temu przyjechał tu stary książę. Było to zimą. Właśnie dopiero co wróciłem do domu i przemarzłem do kości. Szalała zawierucha. Ledwo się zacząłem rozbierać, słyszę, starosta stuka do okna i woła: ruszaj do księcia; kazał zawołać cię. Tu my wszyscy, moja baba i dzieciaki przestraszyliśmy się. «Co też może chcieć książę!» strwożyła się moja baba. Przeżegnałem się i poszedłem. Kiedy przechodziłem przez grobę, zawieja zasypała mi całkiem oczy. No, skończyło się wszystko szczęśliwie! Stary książę spał po obiedzie, a kiedy się wyspał, to tylko zapytał mnie: «A co, Antoni Saweljewicz, umiesz tynkować?»

— Umiem, jaśnie oświecony książę panie.

— No, to przyjdź jutro, poprawisz otynkowanie w tym pokoju.

Poszedłem do domu całkiem wesół. Ledwo weszłem na grobę, patrzę, baba moja stoi. Cały czas, w taką zamieć, przestała ona z dzieckiem na rękę, wyczekiwała mnie!

— Co słychać, Saweljicz? zapytuje.

— «Nic, — mówię — wszystko dobrze! wołał, żeby tynk poprawić». Tak oto, ojczy, jak to było za staro księcia. A teraz ot, przyjechał młody książę. Poszedłem ja popatrzeć się na niego. Siedzi w ogrodzie, w cieniu, przy domie, herbatę pije. Wy, ojczy, siedzicie z nim i wołostny starszyna¹⁾ z medalem, tuż przy was.

— «Chcesz herbaty Saweljicz? — pyta się książę. Siadaj. Daj mu krzesło, Piotrze Grigorjewiczu». I Piotr Grigorjicz — ach! jakim czortem był on dla nas, kiedy służył jako rządca u staro księcia! — niesie krzesło! Siedliśmy około stołu gawędzimy, a on wszystkim

¹⁾ urząd wiejski w gminie.

herbatę nalewa! — No, ojciec, dziś takie błogosławieństwo Boże! wieczór piękny, od stepu wiatr wieje lekki; tak — ot, siedzę i czytam: «Raduję się, raduję się!»

Oto, co znaczyła «wola» dla chłopów.

IX.

W czerwcu 1861 r. zostałem mianowany sierżantem korpusu paziów. Muszę wyznać, że niektórym z naszych oficerów nie podobało się to. Mówili oni, że z takim sierżantem nie utrzyma się żadna karność. Ale nie mogli temu przeszkodzić. Zwykle zostawał sierżantem pierwszy uczeń wyższej klasy, a ja byłem pierwszym uczniem już od kilku lat. Awans uważał się za szczególnie pożądany nie tylko dla tego, że sierżant zajmował wyjątkowe stanowisko w korpusie i korzystał z przywilei oficera, ale i dla tego, że był on równocześnie paziem pokojowym cesarza. W skutek tego stawał się osobiście znajomym cesarzowi, co uważało się, ma się rozumieć, za ważny krok w dalszej karierze.

Dla mnie najważniejszym było to, że awans uwalniał mnie od uciążliwej powinności dyżurów w samym korpusie, która przypadła w udziale paziom pokojowym i że odtąd będę miał do moich zajęć osobny pokój, dokąd się będę mógł chronić przed hałasem szkolnym. Co prawda, była i odwrotna strona medalu. Nie lubiłem nigdy przechodzić miarowym krokiem pokoju; wydawało mi się to zbyt nudnem; wołałem raczej pędzić cwałem, co było surowo wzbronionem. Teraz już nie można będzie przelatywać przez wszystkie sale, a przyjdzie się kroczyć poważnie z księgą do zapisywania dyżurów pod pachą. Ta ważna kwestya była nawet przedmiotem narady moich kolegów, którzy po-

stanowili, że od czasu do czasu zawsze będę mógł się trochę przebiec; a co się tyczy moich stosunków z drugimi uczniami, to odemnie samego zależy postawić je na koleżeńskiej stopie — co też uczyniłem.

Paziowie pokojowi często bywali w pałacu, na wielkich i małych przyjęciach, na balach, audyencyach, paradnych obiadach i t. d. W czasie świąt Bożego Narodzenia, na Nowy Rok i na Wielkanoc wzywano nas do pałacu prawie co dzień, a czasem i dwa razy na dzień. Oprócz tego ja, jako feldwebel, powinienem był każdej niedzieli raportować cesarzowi w czasie parady wojskowej, że «w kompanii korpusu paziów wszystko pomyślnie», nawet jeżeli trzecia część wychowalców leżała chora. — «Czy raportować dzisiaj, że nie wszystko pomyślnie?» zapytałem raz pułkownika, gdy nie omal pół-korpusu przechodziło jakąś ciężką chorobę. «Broń Boże!» przestraszył się, — «tak raportować można tylko wtedy, jeżeli w korpusie wybuchnie bunt!»

Życie dworskie — bez wątpienia — ma w sobie wiele malowniczości. Elegancka wytworność manier (choć może powierzchowna), surowa etykieta, świetna wystawa, niewątpliwie czynią wrażenie. Wielkie przyjęcie — ładne widowisko. Nawet skromne posłuchanie kilku dam u cesarzowej różni się wybitnie od zwykłej wizyty. Posłuchanie odbywa się we wspaniałej sali; gości wprowadzają szambelanowie w haftowanych złotem mundurach; za cesarżową postępują w bogatych strojach paziowie i frejliny i wszystko odbywa się z niezwykłą uroczystością. Dla chłopca moich lat przyjmować czynny udział w życiu dworskiem, było — naturalnie — więcej niż ciekawem. Przytem, trzeba dodać, że na Aleksandra II patrzyłem wtedy, jak na bohatera w swym rodzaju: nie przywiązywał on wiel-

kiej wagi do ceremonii dworskich, zaczynał pracować o godzinie szóstej rano i zacięcie walczył z partją reakcyjną, o cały szereg reform, w rzędzie których uwłaszczenie włościan stanowiło tylko pierwszy krok.

Ale w miarę tego, jak przypatrywałem się życiu dworskiemu z jego strony zewnętrznej, a od czasu do czasu zaglądałem mimochodem, co się robi za kulisami, — przekonałem się o nicości tych ceremonii, któremi słabo tylko pokrywa się to, co się pragnie ukryć przed oczami tłumu. Więcej, przekonałem się, że te drobnostki do takiego stopnia pochłaniają uwagę dworu, że zasłaniają przed nim zjawiska pierwszej wagi i że teatralność często każe zapominać o rzeczywistości. Powoli zaczęła blednąć i ta aureola, którą otoczyłem Aleksandra II. I jeżeliby kiedykolwiek pieścił się illuzją co do przyszłej mojej działalności w sferach dworskich, straciłbym ją zaraz przy końcu pierwszego roku.

W uroczyste święta i w dni galowe bywało u dworu wielkie przyjęcie. Tysiące oficerów, począwszy od generałów do kapitanów, a także wyżsi cywilni urzędnicy ustawiali się szeregiem w olbrzymich pałacowych salach, żeby złożyć głęboki ukłon, gdy cesarz z rodziną będzie przechodził uroczyście do cerkwi. Wszyscy członkowie rodziny cesarskiej zbierali się w tym celu w salonie i gawędzili wesoło, póki nie następowała chwila przybrania uroczystej maski. Potem procesya szykowała się. Cesarz podawał rękę cesarzowej i szedł naprzód. Za nim postępował jego paź pokojowy, a za tym ostatnim generał-adjutant, który miał dyżur tego dnia i minister dworu. Za cesarzową, albo raczej za nieskończonym ogonem jej sukni, szło dwóch paziów pokojowych, którzy podnosili ten ogon przy zakrętach drogi i potem znów go rozpościerali

w całej jego wspaniałości. Dalej szli: następca tronu, który liczył wówczas 18-ście lat, Wielcy książęta i Wielkie Księżne wedle kolejnego porządku swych praw do następstwa tronu. Za każdą z nich postępował jej paź pokojowy. A dalej ciągnął się długi szereg starych i młodych dam honorowych, w tak zwanych rosyjskich narodowych strojach, to jest w zwykłej balowej sukni, która, niewiadomo z jakiego powodu — uważała się za podobną do «sarafanu» (rodzaj szlafroku, strój dawnych bojaryń rosyjskich, zachowany u dzisiejszych kobiet wiejskich w Rosyi).

Kiedy procesya przechodziła, uważałem, jak każdy z obecnych wojskowych i cywilnych dygnitarzy starał się — zanim złożył głęboki ukłon — pochwycić ukradkiem wzrok cesarza. I jeżeli ten ostatni odpowiedział mu uśmiechem, jednym lub paru słowami, a choćby ledwo dostrzegalnem kiwnięciem głowy, to pełen dumy szczęśliwiec spoglądał z tryumfem po swych sąsiadach, oczekując należnych mu gratulacyi.

Z cerkwi procesya wracała w takim samym porządku. Potem każdy śpieszył do swych zajęć. Oprócz nielicznych fanatyków etykiety dworskiej i kilku młodych dam — wszyscy zresztą uważali te ranne przyjęcia dworskie za nudną pańszczyznę.

Dwa albo trzy razy dawano zimą w cesarskim pałacu wielkie bale, na które zapraszały się tysiące gości. Cesarz rozpoczynał tańce polonezem, a potem każdy mógł się bawić, jak chciał. Młode dziewczęta znajdowały w olbrzymich, rześisto oświetlonych salach dosyć miejsca, aby ukryć się przed czujnym okiem swoich mam i ciotek. Młodzież bawiła się wesoło w czasie tańców, a przy kolacyi zawsze tak jakoś się zdarzało, że młode pary zasiadały w oddaleniu od starszych. Moja służba na balach nie należała do łatwych. Aleksander II nie tańczył i nie siedział, a cały czas prze-

chadzał się między gośćmi. Kamerpaż musiał postępować za cesarzem w pewnej odległości tak, żeby nie sterczeć zbyt blisko i zarazem znajdować się pod ręką, aby zjawić się na każde zawołanie. To skojarzenie obecności z nieobecnością nie przychodziło łatwo. Nie żądał tego cesarz; on wolałby, żeby go pozostawiono samego; ale tak wymagał zwyczaj i cesarz musiał mu ulegać. Najgorzej było, kiedy Aleksander II wchodził w tłum pań, które stały zwartym szeregiem w około tańczących W. Książąt — i powoli poruszał się między nimi. Nielatwem było przedzierać się przez ten żywy ogród kwiatowy, który wprawdzie rozstępował się przed cesarzem, ale natychmiast zamykał za nim. Setki pań i panien nie tańczyły, lecz stały tu — w nadziei — że który z Wielkich Książąt zauważy je i zaprosi do polki lub walca. O budującym wpływie dworu na towarzystwo petersburskie można sądzić z następującego faktu. Jeżeli rodzice spostrzegli, że Wielki Książę zwrócił uwagę na ich córkę, dokładali wszelkich starań, żeby dziewczyna zakochała się w wysokiej osobie, choć wiedzieli bardzo dobrze, że nie może się to zakończyć małżeństwem. Nie mógłbym nawet powtórzyć tych rozmów, które słyszałem raz w «poważanej» rodzinie z powodu, że następca tronu tańczył parę razy z młodą, 17-letnią panią. Rodzice jej wysnuwali ztąd różne, wedle ich widzenia rzeczy, świetne plany.

Za każdą naszą bytnością w pałacu, jedliśmy tam obiad i śniadanie. Lokaje pałacowi opowiadali nam wtedy, czy chcieliśmy ich słuchać, czy nie — całą skandaliczną kronikę dworu. Faktycznie, wiedzieli wszystko, co się działo w pałacu. To był ich żywioł. W interesie prawdy muszę powiedzieć, że w tym roku, o którym mówię, kronika skandaliczna była uboższą w wyda-

rzenia, niż w 70-tych latach. Bracia Aleksandra II dopiero co się pożenili wówczas, a synowie jego byli jeszcze zbyt młodzi. Ale o stosunkach cesarza z księżną N., którą Turgeniew tak dobrze odmalował w «Dymie» pod imieniem Ireny, — w pałacu cesarskim mówiono jeszcze otwarciej, niż w petersburskich salonach. Razu pewnego, gdy weszliśmy do pokoju, w którym przebieraliśmy się zawsze, powiedziano nam, że «księżna N. otrzymała dziś dymisyę, tym razem zupełną». W pół godziny potem zobaczyłem księżną N. Przyszła do cerkwi z zapuchniętymi od płaczu oczyma. Podczas całego nabożeństwa połykała łzy. Inne panie trzymały się zdala od nieszczęsnej, jakby dla tego, żeby ją jeszcze lepiej widziano. Służba знаła już wszystkie szczegóły zajścia i omawiała je po swojemu. Było coś odrażającego w sądach tych ludzi, którzy jeszcze dzień przedtem czołgali się u nóg tej samej damy.

System szpiegowski, praktykowany na zamku, a zwłaszcza około samego cesarza, może wydać się całkiem nie do uwierzenia osobom niepoświęconym; ale następujący wypadek da o nim niejakię pojęcie. W latach 70-tych jeden z W. Książąt otrzymał dobrą naukę od pewnego mieszkańca Petersburga. Wymówił on W. Księciu wstęp do swego domu. Razu pewnego wróciwszy niespodziewanie i zastawszy W. Księcia w salonie, rzucił się nań z kijem. Młodzieniec pędem zbiegł ze schodów i zdążył już prawie wskoczyć do karety, gdy goniący za nim obywatel dopadł go i uderzył kijem. Rewirowy, stojący u wjazdu, pobiegł z raportem do ober-policmajstra Trepowa, a ten, w swoją kolej, skoczył na dorożkę i poleciał do cesarza, żeby zaraportować o «smutnem wydarzeniu». Aleksander II zawołał W. Księcia i rozmówił się z nim. W dwa dni potem, pewien stary urzędnik, służący w trzecim wy-

dziale, powtórzył w domu mego kolegi, gdzie uważał się za blizkiego człowieka, całą rozmowę między cesarzem i W. Księciem.

— Cesarz był bardzo zły, — opowiadał urzędnik — i powiedział nakoniec W. Księciu: «to dziwne, jak ty nie umiesz się urządzać!» Urzędnika — naturalnie — spytano, jakim sposobem może on wiedzieć o rozmowie w cztery oczy i odpowiedź jego była bardzo charakterystyczną: «Słowa i zapatrywania Jego Cesarskiej Mcści muszą być znane naszemu wydziałowi. Bo czyliż inaczej można byłoby zawiadywać taką ważną instytucją, jaką jest policya państwowa? Mogę was upewnić, że nikt nie jest pilniej śledzony w Petersburgu, jak Jego Cesarska Mość».

W słowach tych nie było chętności. Każdy minister, każdy generał-gubernator przed udaniem się z referatem do gabinetu cesarza, wywiadywał się pierwiej u kamerdynera cesarskiego, w jakim humorze znajduje się dzisiaj Najjaśniejszy Pan? Stosownie do odpowiedzi minister albo przedstawiał cesarzowi jaką drażliwą sprawę, albo też trzymał ją w tece, oczekując przyjaźniejszej chwili. Kiedy przyjeżdżał do Petersburga generał-gubernator Syberyi Wschodniej, posyłał zawsze przez swego służbowego adjutanta piękny podarunek cesarskiemu kamerdynerowi. «Bywają dni — mówił generał-gubernator — kiedy cesarz wpadłby w wściekłość i oddałby pod sąd wszystkich — i mnie w tej liczbie, jeślibym mu przedstawił pewne sprawy; ale bywają także dni, kiedy wszystko załatwia się gładko. Złoty człowiek, ten kamerdyner». Posiadać dokładne codzienne informacye o usposobieniu cesarza uważało się za konieczne dla tych, którzy pragnęli utrzymać się na swem wysokim stanowisku. Sztukę tę posiadli później w zupełności hr. Szuwałow i Trepow, a także hrabia N. P.

Ignatjew. Zresztą, o ile go znałem, Ignatjew umiałby nawet obejść się bez kamerdynera.

W początkach mojej służby byłem pełen zachwytu dla Aleksandra II, jako dla cara-oswobodziciela. Wyobraźnia często unosi młodego chłopca za granice rzeczywistości, i uczucie moje wtedy było tego rodzaju, że jeśliby kto w mojej obecności wykonał jaki zamach na cesarza, własną pierśią zasłoniłbym Aleksandra II.

Raz, w pierwszych dniach stycznia 1862 r. spostrzegłem, że Aleksander II wystąpił z orszaku i sam jeden skierował się ku sali, gdzie były uszykowane dla przeglądu kompanie ze wszystkich pułków petersburskiego garnizonu. Przegląd ten miał zwykle miejsce na placu, ale tego dnia, z powodu silnego mrozu, odbywał się w salach. Aleksander II musiał w skutek tego przejść pieszo przed wojskami, zamiast przełapować przed nimi na koniu. Wiedziałem, że moja służba na dworze kończy się z chwilą, gdy cesarz występuje, jako głównodowodzący wojskami i że powinienem iść za nim tylko dotąd, nie dalej. Obejrzawszy się jednak, zobaczyłem, że pozostał on sam jeden. Fligel-adjutant i generał-adjutant gdzieś zniknęli.

Nie wiem, czy śpieszył się Aleksander tego dnia, czy miał jakie inne przyczyny, dla których życzył sobie, żeby się przegląd jak najprędzej skończył, dość — że literalnie przeleciał przed szeregami. Robił takie prędkie i wielkie kroki (był on bardzo wysokiego wzrostu), że musiałem iść bardzo szybko, a chwilami prawie biedz. Śpieszył tak, jak gdyby uciekał przed grożącym niebezpieczeństwem. Podniecenie jego udzieliło się i mnie i każdej chwili gotów byłem rzucić się naprzód, żałując tylko, że nie mam przy sobie mojej własnej szpady z toledską klingą, która przebijala miedziane monety pięciokopiejkowe a zwykłą służ-

bową. Aleksander II zwolnił kroku tylko wtedy, gdy minął ostatni pułk. Przy wejściu do drugiej sali obejrzał się i spotkał z moim wzrokiem, błyszczącym od podniecenia i szybkiego chodu. Młodszy fligel-adjutant pędził cwałem przez dwie sale za nami. Przygotowany byłem na ostrą wymówkę, tymczasem Aleksander II, zdradzając — być może — tajne myśli swoje, powiedział mi: «ty tu? zuch z ciebie!» I oddalając się powoli — utkwiał w przestrzeni ten nieruchomy, zagadkowy wzrok, który coraz to częściej zacząłem spostrzegać u niego.

Takim był wtedy mój sposób myślenia. Ale cały szereg drobnych wydarzeń i reakcyjny charakter, który coraz wyraźniej przyjmowała polityka Aleksandra II, zaczęły budzić wątpliwości w mem sercu. Co roku — 6-go stycznia — jak wiadomo, na miejsce pół-chrześcijański i pół-pogański obrządek święcenia wody na Jordanie. Zachowuje on się także na dworze. Na przeciwko pałacu stawia się na tratwie pawilon. Rodzina cesarska, poprzedzana przez duchowieństwo, przechodzi z pałacu wzdłuż wspaniałego wybrzeża Newy do pawilonu, gdzie po nabożeństwie zanurza się krzyż w wodę. Tysiące ludu na wybrzeżu i na lodzie przypatrują się ceremonii. Wszyscy, ma się rozumieć, stoją w czasie ceremonii z odkrytą głową. Tego dnia był niezwykle silny mróz i pewien stary generał nałożył przez ostrożność perukę; ale gdy, przed wyjściem na ulicę, pośpiesznie narzucił szynel w przedpokoju, nie zauważył, że peruka jego zsunęła się na bok i przedział włosów wypadł całkiem krzywo. Konstanty Mikołajewicz spostrzegł to i podczas całego nabożeństwa stroił drwiny z biedaka wspólnie z młodymi W. Książętami. Wszyscy oni spoglądali na generała, który uśmiechał się głupkowato, nie pojmując, czem mógł wzbudzić taką wesołość. Konstanty — nakoniec — sze-

pnął coś bratu, który także spojrzął na generała — i roześmiał się.

W kilka chwil potem, gdy procesya — wracając — znowu znalazła się na wybrzeżu Newy, jakiś stary chłop, precyzyjnie się przez podwójny łańcuch żołnierzy, stojących wzdłuż drogi, upadł na kolana przed cesarzem, wznosząc w górę prośbę.

— «Ojcie, carze, ratuj!» zawołał ze łzami i w tym okrzyku wyraził się cały wiekowy ucisk chłopów. Ale Aleksander II, wyśmiewający się przed chwilą ze skrzywionej na bok peruki, teraz przeszedł obok, nie zwróciwszy nawet uwagi na chłopca. Szedłem za Aleksandrem i zauważyłem tylko u niego lekkie drgnięcie przestachu, gdy chłop zjawił się nagle i upadł przed nim. Potem przeszedł, nie obdarzywszy nawet spojrzeniem człowieka, leżącego u nóg jego. Obejrzałem się. Fligel-adjutantów nie było. Konstanty, idący za nami, także nie zwrócił uwagi na proszącego, jak i jego brat. Nie było nikogo, ktoby mógł wziąć papier. Wtedy wziąłem go ja, choć widziałem, że spotka mię za to wymówka; przyjmować prośby nie było moją rzeczą; ale pomyślałem sobie, ile musiał wycierpieć chłop, póki dostał się do Petersburga, a potem, póki precyzyjnie się przez szeregi policyi i żołnierzy. Jak wszyscy chłopcy, podający prośbę cesarzowi, mógł śmiałość swą przypłacić uwięzieniem, Bóg wie — na jak długo.

W dniu oswobodzenia chłopów Aleksander II był ubóstwiany w Petersburgu, ale rzecz godna uwagi, że po za tą chwilą entuzjazmu, nie lubiono go zresztą w stolicy. Brat jego, Mikołaj, nie wiadomo dla czego, był bardzo popularny, choćby wpośród drobnych przekupni i dorożkarzy. Ale ani Aleksander II, ani Konstanty, wódz partii reform, ani Michał nie cieszyli się szczególną miłością ani jednej klasy ludności stolicy.

Aleksander II oddziedziczył po ojcu wiele cech charakteru despoty — które przebijały się czasem — mimo zwykłej dobroduszości jego obojętnością. Łatwo unosił się gniewem i często z niezwykłym lekceważeniem traktował swych dworzan. Ani w kwestyach polityki, ani w swych sympatyach osobistych nie był on człowiekiem, na którym możnaby było polegać niezachwianie, a przytem odznaczał się mściwością. Wątpię, żeby szczerze kochał kogokolwiek. Otaczali go i byli mu bliżcy — chwilami — ludzie godni najwyższej pogardy, jak n. p. hrabia Adlerberg, za którego Aleksander płacił bezustannie długi, — podczas gdy inni wstawiali się swem kolosalnem złodziejstwem. Już począwszy od 1862 r. można był obawiać się, że Aleksander II wprowadzi na nowo najgorsze porządki Mikołajowskich czasów. Było wprawdzie wiadomem, że chce zreorganizować sądownictwo i armię, że straszna kara cielesna znosi się, i że Rosya otrzyma samorząd miejscowy, a może i jeszcze jaki inny pozór konstytucyi. Ale najmniejsze zaburzenia przytłumiały się — z jego rozkazu — z bezlitością surowością. Każde takie zaburzenie uważał on za swą osobistą obrazę. Wskutek tego ciągle można było oczekiwać od Aleksandra II najreakcyjniejszych miar. Zaburzenia studenckie w październiku 1861 r. w uniwersytetach Petersburskim, Moskiewskim i Kazańskim uśmierzały się z coraz wzmagającą się surowością. Uniwersytet Petersburski zamknięto; zamknięto także wolne kursy, które wielu profesorów rozpoczęło w magistracie miejskim i najlepsi profesorowie musieli się podać do dymisji. Później, wkrótce po uwłaszczeniu chłopów, rozpoczął się silny ruch celem zakładania szkół niedzielnych. Otwierały je osoby prywatne i instytucye; wszyscy nauczyciele, ma się rozumieć, zajmowali się bezinteresownie, a w liczbie nauczycieli znajdowali się studenci, ofice-

rowie i nawet kilku paziów. Chłopi i robotnicy, starsi i młodszy, podążyli do tych szkół i wkrótce wyrobiła się taka metoda, że w dziewięć — dziesięć lekcyi wyuczaliśmy chłopów czytać. Po kilku latach byłaby się w tych szkołach — bez żadnych wydatków ze strony rządu, większość chłopów nauczyła czytać i pisać. Ale nagle — wszystkie niedzielne szkoły zostały zamknięte. W Polsce, gdzie rozpoczęły się patryotyczne manifestacye, aresztowano tysiące ludzi po kościołach i koźacy, ze zwykłym sobie okrucieństwem, rozpędzali tłumy nahajkami. W końcu 1861 r. ¹⁾ strzelano nawet na ulicy do ludu i kilka osób zostało zabitych. Przy uśmierzaniu zaś nielicznych buntów chłopskich znowu przywrócono «przepędzanie przez strój» (t. j. przez różgi, między dwoma szpalerami żołnierzy), ulubioną karę Mikołaja I. Tak więc, już w 1869 r. można było przewidzieć, że Aleksander II zostanie tym despotą, jakim się okazał następnie w siedemdziesiątych latach.

Z całej cesarskiej rodziny niewątpliwie najsympatyczniejszą była cesarzowa Marya Aleksandrowna. Odznaczała się ona szczerością i jeżeli okazywała komu uprzejmość, to niebyło to udaniem. Byłem głęboko wzruszony sposobem, w jaki raz dziękowała mi za jakąś drobną grzeczność (po audyencji posła Stanów Zjednoczonych). Tak nie dziękuje kobieta, przyzwyczajona do pochlebstw dworu. Nie ulega wątpliwości, że nie była ona szczęśliwą w życiu rodzinnem. Nie lubiły jej także damy dworu, które znajdowały ją zbyt surową; nie mogły zrozumieć, dla czego Marya Aleksandrowna przejmując się tak bardzo «wybrykami» swego męża. Teraz wiadomo, że Marya Aleksandrowna przyjmowała niemały udział w sprawie oswobodzenia ludu.

¹⁾ Krapotkin myli się — w lutym i kwietniu.

Ale wtedy mało o tem wiedzieli. Za przywódców partii reform na dworze uważali się W. Ks. Konstanty i W. Księżna Helena Pawłowna, główna protektorka Mikołaja Milutina w wyższych sferach. Więcej znanym był czynny udział, jaki przyjęła Marya Aleksandrowna w zakładaniu żeńskich gimnazyów. Zostały one od samego początku postawione na bardzo dobrej stopie, z szerokim programem i w duchu demokratycznym. Przyjaźń jej z Uszyńskim ochroniła znakomitego pedagoga od losu wielu utalentowanych ludzi tego czasu, t. j. od zesłania.

Marya Aleksandrowna sama otrzymała wysokie wykształcenie i chciała dać je też swemu starszemu synowi. W tym celu powołała jako nauczycieli najwybitniejszych specjalistów w różnych gałęziach wiedzy, między innymi Kawelina, choć wiedziała o jego przyjaźni z Herzenem. Kiedy Kawelin wspomniał jej o tem, Marya Aleksandrowna odpowiedziała, że urażoną jest na Herzena tylko za jego ostre wyrażenia o cesarzowej wdowie.

Następca tronu był niezwykle piękny, może nawet za kobieco piękny. Nie był on wcale dumny i w czasie przyjęć u dworu po przyjacielsku rozmawiał z kamer-paziami. (Pamiętam nawet, że podczas noworocznego przyjęcia korpusu dyplomatycznego starałem się wytłómaczyć mu, o ile korzystniej skromnie ubrany poseł Stanów Zjednoczonych, Washburn, wyróżniał się z pomiędzy wystrojonych, jak papugi, reszty posłów). Ale ci, którzy dobrze znali następcę, zupełnie słusznie odzywali się o nim, jako o skończonym egoiście, całkiem niezdolnym przywiązać się do kogokolwiek. Co się tyczy nauki, to wszystkie starania matki spęły na niczem. W sierpniu 1861 r. następca ostatecznie ściał się na egzaminach, które się odbywały w obecności ojca. Pamiętam nawet, jak

w kilka dni po tej kompromitacyi, podczas parady wojskowej w Peterhofie, którą komenderował następcę tronu, rozdrażniony jakąś pomyłką z jego strony, Aleksander krzyknął nań tak głośno, że wszyscy słyszeli: «Nawet tego nie możesz się nauczyć!» Jak wiadomo, następcę umarł, mając lat 22, na jakąś chorobę mlecza pacierzowego.

Aleksander Aleksandrowicz, który został następcą tronu 1865 r., stanowił zupełne przeciwieństwo ze swym bratem. Tak przypominał mi on z twarzy i z poczucia swej wielkości Pawła I, że często mówiłem: «jeśli Aleksander wstąpi kiedykolwiek na tron, będzie on drugim Pawłem I w Gatchynie i spotka go taka sama śmierć z ręki własnych dworzan, jak i jego pradziada». Uporczywie nie chciał się nic uczyć. Mówiono, że Aleksander II naumyślnie nie kazał uczyć drugiego syna, a zwrócił całą swą uwagę na następcę, ponieważ sam doznał niemało przykrości z tego powodu, że brat jego, Konstanty, przewyższał go wykształceniem. Wątpię jednak, żeby tak było. Aleksander Aleksandrowicz od dziecka nie mógł cierpieć nauki. Pisał (widziałem jego telegramy do narzeczonej w Kopenhadze) po nad wyraz wszelki — nieortograficznie. Po francusku pisał tak: „*Ecri à oncle á propos parade... les nouvelles sont mauvaisent...*“ a po rosyjsku jeszcze gorzej.

Mówią, że pod koniec życia charakter jego zmienił się na lepsze, ale w 1870 r. i znacznie później okazywał on się nieodrodnym potomkiem Pawła I. Znałem w Petersburgu oficera, Szweda z pochodzenia (rodem z Finlandyi), którego miano wysłać właśnie do Stanów Zjednoczonych z poleceniem obstalowania broni dla armii rosyjskiej. W czasie audyencji cesarzewicz puścił wodze swemu miłemu charakterowi i zaczął po grubiańsku mówić z oficerem. Ten, prawdopodobnie,


odpowiadał z godnością. Wtedy Wielki Książę wpadł w całem słowa tego znaczeniu we wściekłość i począł lajać oficera obelżywemi słowami. Oficer należał do tego typu absolutnie lojalnych ludzi, umiejących jednak zachować swą godność, który często spotyka się wpośród szwedzkiej szlachty w Rosyi. Wyszedł natychmiast i przysłał cesarzewiczowi list, w którym żądał, żeby go Aleksander Aleksandrowicz przeprosił. Dodawał, że jeżeli w ciągu dwudziestu czterech godzin przeproszenie nie nastąpi — zastrzeli się. Był to rodzaj japońskiego pojedynku. Aleksander Aleksandrowicz nie przeprosił — i oficer dotrzymał słowa. Widziałem go u mego blizkiego przyjaciela w chwili, gdy co chwila oczekiwał, że cesarzewicz przysze swe przeproszenie. Nazajutrz nie było go już między żyjącymi. Aleksander II bardzo się rozgniewał na syna i kazał mu iść za trumną oficera aż do samego grobu; ale nawet i ta straszna nauka nie wyleczyła młodzieńca z romanowskiej pychy i popędliwości.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

CZEŚĆ TRZECIA.

S Y B E R Y A.

I.

 połowie maja 1862 r., na kilka tygodni przed opuszczeniem korpusu, polecił mi nasz kapitan przedstawić mu spis pułków, do których każdy z nas życzyłby sobie zostać przyjętym. Mogliśmy wstąpić — wedle wyboru — do jakiegokolwiek pułku gwardyi w pierwszej randze oficerskiej, albo do pułku armii liniowej w trzeciej randze porucznika. Wziąłem spis uczni naszej klasy i zacząłem obchodzić towarzyszy. Każdy znał już bardzo dobrze pułk, do którego zamierzał wstąpić. Wielu paradowało już w ogrodzie w oficerskiej czapce swego pułku.

— «Pułk kirasyerów Jego Cesarskiej Mości»; «pułk Przeobrażeński»; «do gwardyi konnej», zaznaczałem w spisie.

— No, a ty, Krapotkin, dokąd? do kozaków? do artyleryi? zapytywano mię ze wszęch stron. Ogarnął mię smutek, niepewność, nie wiedziałem co odpowiedzieć. Poprosiłem kolegę, żeby dokończył za mnie

spisu i zamknąłem się w swoim pokoju, chcąc jeszcze raz zastanowić się nad moją ostateczną decyzją.

Dawno już postanowiłem, że nie wstąpię do gwardyi i nie zmarnuję życia na dworskie bale i parady. Marzyłem o uniwersytecie; chciałem uczyć się i żyć studenckiem życiem. Znaczyło to zerwać stanowczo z ojcem, który marzył zupełnie o czem innym — i utrzymywać się z lekcyi Tysiące studentów tak żyje i takie życie wcale mię nie przerażało. Ale jak przewyciężyć pierwsze trudności na drodze nowego życia? Za kilka tygodni opuszczę szkołę i będę musiał sprawić sobie własną odzież, nająć mieszkanie... Nie miałem czem opędzić nawet pierwszych tych drobnych wydatków i nie wiedziałem zkąd wziąć pieniędzy. Zwątpiwszy o możności wstąpienia do uniwersytetu, oddawna już, i coraz częściej w ostatnich czasach myślałem o akademii artyleryi. To uwołniloby mię na dwa lata od służby czynnej, od nieznośnej blagi musztry i parad, a poza wojennemi naukami mógłbym studyować w akademii matematykę i fizykę. Ale w Petersburgu dął już wiatr reakcyi. Zeszłej zimy oficerów akademii traktowano, jak uczniaków. W dwóch akademiach wybuchły wtedy rozruchy i z jednej z nich — inżynierskiej — wystąpili wszyscy oficerowie.

Wobec tego coraz uporczywiej zatrzymywałem się na myśli o Syberyi. Kraj Nadamurski dopiero co został wówczas przyłączonym do Rosyi. Dużo czytałem o tym Mississipi dalekiego Wschodu, o górach, przerżniętych rzekami, o podzwrotnikowej roślinności Ussuri i myślami unosiłem się dalej — ku pasowi równikowemu, który tak pięknie opisał Humboldt i ku wielkim teoryom Rittera, któremi się tak zachwyciałem. Oprócz tego przypuszczałem, że Syberya przedstawia nieograniczone pole dla zastosowania reform, już wypracowanych, lub dopiero zamyślonych. Tam —

zapewnie, pracowników mało i znajdę łatwo szerokie pole dla prawdziwej, nie fikcyjnej działalności. Najgorzej było to, że wyjazd pociągał za sobą rozstanie z Saszą; ale właśnie musiał on wystąpić z uniwersytetu z powodu zaburzeń i liczyłem (a liczyłem trafnie), że tak czy inaczej, za rok lub dwa będziemy razem. Pozostawało tylko wybrać pułk w okręgu Amurskim. Kraj Ussuryjski pociągał mię najbardziej, ale, niestety! tam stał tylko jeden batalion piechoty kozackiej; byłem jeszcze, bądź co bądź, trochę dziecko i «kozak pieszy» wydawał mi się czemś zbyt lichem, tak że w ostatku, wybrałem stanowczo Amurskie konne wojsko kozackie.

Tak też zaznaczyłem w spisie, ku wielkiemu zmartwieniu mych kolegów. «To tak daleko!» mówili oni. A przyjaciel mój, Daurow, porwał dziennik oficerski i wśród ogólnego przerażenia wszystkich obecnych, zaczął czytać: «mundur z czarnego sukna, z prostym czerwonym kołnierzem, bez haftu. Bermyca ¹⁾ ze skórek psich, albo jakiego innego futra, stosownie do miejscowości; szarawary — z czarnego sukna».

— Pomyśl tylko, co za mundur! zawołał on. Bermyca jeszcze pół biedy; możesz nosić wilczą albo niedźwiedzią. Ale szarawary! Pomyśl tylko: szare, jak u furmanów pułkowych. Zmartwienie przyjaciół moich jeszcze bardziej wzrosło po tem czytaniu.

Odcinałem się żartami, jak umiałem — i zaniósłem spis kapitanowi.

— Krapotkin zawsze musi wypłatać jakiego figla! zawołał on. Mówiłem przecie panu, że spis trzeba dziś jeszcze odesłać W. Księciu.

Ale gdy mu wytłómaczyłem, że wcale nie żartuję,

¹⁾ wysoka czapka futrzana.

na twarzy poczciwego kapitana odbiło się zdumienie, a nawet prawdziwy smutek.

Następnego dnia, jednak, o mało nie zmieniłem postanowienia, zobaczywszy, jak je przyjął Kłossowski. Życzył on sobie, żebym wstąpił do uniwersytetu i w tym celu udzielał mi nawet lekcji łacińskiego języka. Ja zaś nie śmiałem powiedzieć mu, dlaczego nie mogę zostać studentem. Wiedziałem, że — jeżeli powiem, Kłossowski zechce podzielić się ze mną ostatkiem tego, co miał.

Potem ojciec mój telegrafował, że zabrania mi wyjeżdżać na Syberyę. Doniesiono o tem W. Księciu, naczelnikowi wojskowych zakładów naukowych. Zawezwano mię do jego pomocnika i w odpowiedzi na pytania tego ostatniego — zacząłem mu opisywać roślinność wybrzeży Amuru i piękności podróży... Obawiałem się — a miałem poważne dane po temu, że jeżeli choć słówkiem wydam się z mojem życzeniem wstąpienia na uniwersytet, ktoś z rodziny cesarskiej ofiaruje mi stypendyum, czego w żadnym razie nie chciałem.

Trudno powiedzieć, jak by się to wszystko było skończyło, gdyby nie jeden bardzo ważny wypadek — wielki pożar w Petersburgu, który uboczną drogą rozstrzygnął moje trudności.

Dnia 26-go maja, na drugi dzień Zielonych Świątek, wszczął się straszny pożar t. zw. «Apraksynowskiego dworu»¹⁾. Środek «Dworu», obejmujący około wiorstwy kwadratowej, zajmował bazar tandeciarski, zabudowany drewnianymi straganami i kramikami. Sprzedawała się tu wszelkiego rodzaju starzyzna. W kramikach i przejściach pomiędzy nimi, a nawet na dachach leżały całe stosy starych mebli, pie-

¹⁾ rynek handlowy w Petersburgu.

rzyn, znoszonych sukien, książek, naczyń. Słowem wszelkie stare graty zwoziły się tu ze wszystkich krańców miasta. Po za tym olbrzymim składem palnego materiału, znajdowało się ministerjum spraw wewnętrznych, w którego archiwum przechowywały się wszystkie dokumenty, dotyczące się sprawy uwłaszczenia chłopów, a przed bazarem, który otaczał szereg sklepów murowanych, wznosił się po drugiej stronie Sadowej ulicy Bank Państwa, Wązki zaułek, zabudowany po części murowanymi sklepami, oddzielał «Apraksynowski Dwór» od jednego skrzydła budynku korpusu paziów. Niższe piętra tego skrzydła zajmowały sklepy bakalijne i korzenne, a na górze znajdowały się kwatery oficerów. Prawie naprzeciw Ministerjum spraw wewnętrznych, na drugim brzegu Fontanki, mieściły się olbrzymie składy drzewa. «Apraksynowski Dwór» i składy drzewa zajęły się prawie równocześnie, o czwartej godzinie po południu.

Gdyby w tym czasie dał silny wiatr, ogień zniszczyłby pół Petersburga, a między innymi bank państwowy, kilka ministerjów, rynek główny, korpus paziów i publiczną bibliotekę.

Byłem tego dnia w korpusie i jadłem obiad u jednego z oficerów. Popędziliśmy na pożar natychmiast, gdy zobaczyliśmy z okien pierwsze czarne kłęby dymu. Widok był straszliwy! Ogień syczał i trzaskał. Jak potworna żmija przerzuczał się na wszystkie strony i obejmował pierścieniem kramiki. Potem nagle podejmował się olbrzymim słupem, wysuwał z boków swoje ogniste języki i lizał nimi coraz nowe kramy i stosy towarów. Powstały wichry ognia i dymu — i gdy wichur zawirował chmurą palącego się pierza ze składów z pościelą, pozostawać dłużej na targu było rzeczą niepodobną. Trzeba było rzucić wszystko na łaskę ognia.

Władze straciły zupełnie głowę. W całym Petersburgu nie było wtedy ani jednej parowej sikawki pożarnej. Jacyś robotnicy ofiarowali się przywieźć ją z odlewni Kołpińskich, t. j. o trzydzieści wiorstw od Petersburga koleją. Kiedy maszynę przywieziono do Petersburga, lud sam zaciągnął ją na miejsce pożaru. Z czterech rur jedna okazała się zepsutą, niewiadomo przez kogo, pozostałe zaś trzy skierowano na budynek ministryum spraw wewnętrznych.

Przyjechali na pożar Wielcy Książęta — i wkrótce odjechali. Późnym wieczorem, gdy bank państwowy był już po za obrębem niebezpieczeństwa, zjawił się Aleksander II i kazał ratować korpus paziów, jako centralny punkt pozycyi. O tem i bez niego wszyscy wiedzieli. Było jasnem, że jeśli zapali się korpus paziów, spłonie biblioteka publiczna i połowa Newskiego Prospektu.

Tłum, — lud, — czynił wszystko możliwe, żeby wstrzymać ogień. Była chwila, kiedy bank państwowy był silnie zagrożony. Powynoszone ze sklepów towary zwalono stosami na ulicy Sadowej, pod ścianami skrzydła banku. Padające głównie zapalały wciąż towary, leżące na ulicy; ale tłum, dusząc się w nieznośnem gorącu, nie pozwalał palić się towarom, złożonym koło banku. Lud zrozpaczony lajał władze, które nie postarały się tu ani o jedną sikawkę. «Co oni tam, czorci, robią w ministryum spraw wewnętrznych, gdy tu tylko patrzeć, jak zapali się Bank Państwa i dom podrzutek? Wszyscy powarjowali, czy co? — Gdzie oberpolicmajster? Czemu nie posyła straży pożarnej na ratunek banku?» Oberpolicmajstra, generała Annienkowa, znałem osobiście, gdyż spotykałem go w domu pomocnika inspektora, dokąd Annienkow uczęszczał razem ze swym bratem, słynnym krytykiem. Podjąłem się więc wyszukać go i rzeczy-

wiście wyszukałem. Błąkał się bezcelowo po ulicy. Kiedy mu przedstawiłem położenie rzeczy, to on, jakkolwiek to się dziwnem wydać może, polecił mnie, młodemu chłopcu, sprowadzić jedną pożarną komendę od budynku ministerjum do banku. Zaprotestowałem, ma się rozumieć, że strażacy nie zechcą mię słuchać i prosiłem o rozkaz na piśmie; ale Annienkow nie miał przy sobie, albo wymawiał się tylko, że nie ma, ani kawałka papieru.

Poprosiłem więc jednego z naszych oficerów, aby poszedł ze mną oznajmić rozkaz. Nakoniec udało się nam uprosić jakiegoś brandmajstra, besztającego świat cały i swych naczelników nie zbyt wyborowemi słowami, żeby udał się ze swą komendą na Sadową.

Palilo się nie ministerjum spraw wewnętrznych, lecz archiwum. Dużo młodzieży, przeważnie kadetów i paziów, z pomocą służących z kancelaryi, wynosiło z gorejącego budynku paki papierów i składali je na dorożki. Czasem paczka spadała na ziemię, a wiatr podchwytywał oddzielne kartki i pędził je po placu. Po przez czarne chmury dymu widać było złowieszcze ognie palających składów drzewa na drugim brzegu Fontanki.

Wązki zaułek Czernyszewa, oddzielający korpus paziów od Apraksyńskiego rynku, był w rozpaczliwym położeniu. Znajdywały się tam nagromadzone w sklepach wielkie zapasy siarki, oleju drzewnego, terpentyny i tym podobnych materiałów palnych. Olbrzymie, różnobarwne, ogniste języki, podrzucane nagłymi wybuchami, lizwały dach skrzydła budynku korpusu paziów, wychodzącego na drugą stronę zaułka. Ramy okien i krokwie zaczęły się już tlić. Paziowie i kadeci, opuściwszy budynek, polewali dach jego wodą z niewielkiej sikawki pożarnej kadeckiego korpusu, wodę zaś w tym celu — z pewnemi dłuższemi

przerwami dowożono w beczkach. Trzeba je było napełniać szaflikami. Na palącym się dachu stało paru strażaków i cały czas krzyczeli rozpaczliwymi głosami: «wody! wody!» Nie mogłem znieść tych krzyków i pobiegłem na Sadową, gdzie przemocą prawie zawróciłem na nasze podwórze jedną z beczek pożarnych, należąca do policyi. Ale gdy chciałem to uczynić po raz drugi, strażak stanowczo odmówił mi posłuszeństwa. «Pójdę pod sąd, jeśli zawrócę», powiedział. Ze wszystkich stron koledzy naglili mię: «idź i znajdź kogo, policmajstra, albo W. Księcia. Powiedz im, że bez wody nie możemy ratować paziowskiego korpusu».

— Czy nie zawiadomić dyrektora? zaproponował ktoś.

— Dyabeł ich bierz wszystkich! Teraz i z latarnią nie znajdziesz nikogo. Idź i zrób wszystko sam.

Pobiegłem znowu szukać Annienkowa. Powiedziano mi na koniec, że znajduje się on zapewne w podwórzu Banku Państwa. Stało tam kilku oficerów około generała, w którym poznałem petersburskiego generał-gubernatora, ks. Suworowa. Ale brama była zamknięta. Urzędnik bankowy, stojący przy niej, stanowczo nie chciał mię wpuścić. Nalegałem, groziłem i na koniec puszczono mię. Wtedy podeszłem wprost do ks. Suworowa, który pisał jakąś kartkę na plecach jednego ze swych adjutantów.

Kiedy oznajmiłem o stanie rzeczy, Suworow przede wszystkim zapytał: «kto pana przysłał?»

— Nikt, odpowiedziałem. Koledzy.

— Więc pan mówisz, że korpus paziów także wkrótce się zapali?

— Tak.

Książe Suworow natychmiast wyszedł na ulicę, podniósł porzucone pudełko tekturowe od kapelusza, na-

krył niem głowę i pobiegł co tchu w zaułek. Po jednej stronie płonęły sklepy, po drugiej tliły się ramy okien i krokwie korpusu. Bruk zaś pokryty był pustymi beczkami, skrzyniami drewnianymi, słomą i t. p. Ks. Suworow począł działać energicznie.

— W waszem podwórzu stoi rota żołnierzy. Weź oddział i natychmiast wyjdź z nim na ulicę. Zaraz przeprowadzą tu jedną z rur pożarnej sikawki parowej. Kierujcie nią. Powierzam ją panu osobiście.

Nie łatwo było ruszyć żołnierzy z naszego ogrodu. Wypróbnili oni całą zawartość beczek i skrzyń, napełnili kieszenie ziarnkami kawy, schowali każdy po dużym kawałku cukru w kaszkiecie i teraz — w tę ciepłą wiosenną noc, odpoczywali sobie w chłodzie, gryząc orzechy. Nikt nie chciał ruszyć się z miejsca, póki się w to nie wdał oficer. Nakoniec ulica została opróżnioną i rurę puszczone w ruch. Moi koledzy byli zachwyceni. Każde 20 minut zmienialiśmy, kierujących rurą. Staliśmy tuż obok nich, nie zważając na piekielny żar.

Około godziny trzeciej czy czwartej rano było już rzeczą widoczną, że ogień udało się opanować. Korpusowi paziów nie już nie groziło. Ugasiwszy pragnienie kilku szklankami herbaty w «białej garkuchni», która była już otwartą, pół żywi ze znużenia, rzuciliśmy się spać na pierwsze niezajęte łóżka w szpitalu korpusu. Nazajutrz wstałem wcześniej i nałożywszy niegdyś biały, sukienny, a teraz czarny od sadzy kaszkiet, poszedłem obejrzeć pogorzelnisko. Wróciwszy do korpusu, zastałem W. Ks. Michała, — i zgodnie z wymaganiami służby, — towarzyszyłem mu, gdy obchodził budynek. Paziowie podnosili głowy z poduszek. Wszyscy mieli twarze poczerwiałe od dymu, oczy i powieki zapuchnięte; u wielu były opalone włosy. Trudno było poznać tak zwykle eleganckich paziów,

ale byli oni dumni świadomością, że nie okazali się delikacikami i pracowali nie gorzej od drugich.

Te odwiedziny W. Księcia usunęły wszystkie przeszkody z mej drogi. Wychodząc, spytał mię, zkąd mi przyszło do głowy jechać nad Amur, czy posiadam tam przyjaciół i czy mię zna generał-gubernator. Odpowiedziałem, że nie mam krewnych w Syberyi i że nikt mnie tam nie zna.

— Więc po co tam jedziesz? Wyszłą cię do jakiej głuchoj stannicy. Co będziesz tam robić. Lepiej napiszę do generał-gubernatora i poproszę go, żeby cię zostawił gdzie przy sztabie.

Byłem przekonany, że po takiej obietnicy W. Księcia, ojciec mój nie będzie się już sprzeciwiał memu wyjazdowi. Tak się też stało. Teraz mogłem swobodnie jechać na Syberję.

Pożar Apraksynowskiego rynku stał się punktem zwrotnym nietylko w polityce Aleksandra II, ale i w historii Rosyi tego okresu. Nie ulegało wątpliwości, że pożar nie był dziełem wypadku. W oba dni Zielonych Świątek, oprócz kilku stróży, nikogo nie było na rynku. Przytem «Apraksynowski dwór» i składy drzewa zajęły się prawie jednocześnie; a w ślad za pożarem w Petersburgu wybuchło kilka takich samych pożarów w niektórych prowincjonalnych miastach. Bez wątpienia, ktoś podpalał, ale kto właściwie? — Na to pytanie nie ma odpowiedzi do dziś dnia.

Katkow, powodowany osobistą nienawiścią do Herzena, a zwłaszcza do Bakunina, z którym musiał się kiedyś pojedyńkować, zaraz na drugi dzień po pożarze oskarżył o podpalenie Polaków i rosyjskich rewolucjonistów. I w Petersburgu i w Moskwie większość uwierzyła temu oskarżeniu.

Polska gotowała się wtedy do rewolucyi, która też

wybuchła w styczniu następnego roku. Tajny rewolucyjny rząd zawarł przymierze z wygnańcami londyńskimi. Rząd posiadał członków nawet w samym sercu petersburskiej administracji. Wkrótce po pożarze rosyjski oficer strzelił do Namiestnika warszawskiego, hrabiego Lüdersa, a kiedy — na miejsce hrabiego — mianowany został namiestnikiem W. Ks. Konstanty Mikołajewicz (mówiono wówczas, że z Polski utworzą osobne królestwo dla W. Księcia), to i na niego wykonano zamach, 26-go czerwca. W sierpniu ktoś strzelał nawet do Margrabiego Wielopolskiego, stojącego na czele partii rosyjskiej w Polsce. Napoleon III rozniecał w Polakach nadzieję zbrojnej interwencji na korzyść ich niepodległości. W takich warunkach, zapatrując się na rzeczy ze zwykłego, ciasnego wojennego stanowiska, zniszczenie Banku Państwa, kilku ministerów i rozszerzenie paniki w stolicy — mogło wydawać się wcale niezłym bojowym planem. Ale na poparcie tego przypuszczenia nie przytoczono najdrobniejszego faktu.

Z drugiej strony skrajne partye w Rosyi widziały, że należy się wyrzec wszelkich nadziei, aby Aleksander II wziął inicjatywę w dalszym reformatorskim ruchu. Nie ulegało wątpliwości, że fala unosi go coraz bliżej ku obozowi reakcyonistów. Ludzie postępowi spostrzegli jasno, że uwłaszczenie oznacza dla chłopów zupełne zniszczenie z powodu wysokiego okupu, naznaczonego na ziemię. Wskutek tego pojawiły się w Petersburgu w maju proklamacye, wzywające masy ludowe do ogólnego powstania; klasom zaś wykształconym tłómaczono konieczność zwołania ziemskiego soboru. W obec takiego nastroju umysłów, mógł jaki rewolucyonista wpaść na myśl zdeorganizowania machiny państwowej za pomocą systematycznych pożarów i wynikłych ztąd nieporządków. Nareszcie, niepew-

ność stosunków, wytworzona przez połowiczne, wadliwe uwłaszczenie spowodowała silne wrzenie wśród chłopów, tworzących większą część ludności we wszystkich miastach. Zawsze jako objawy wzburzenia umysłów między chłopami występowały w Rosyi podżucane pisma i pożary.

Możliwe, że myśl podpalenia Apraksynowskiego rynku mogła powstać w głowie którego z przedstawicieli rewolucyjnego obozu; ale ani ściśle śledztwo, ani masowe areszty, jakie rozpoczęły się w Rosyi i w Polsce niezwłocznie po pożarze, nie dostarczyły namniejszych wskazówek po temu. Jeśliby coby w tym rodzaju zostało wykrytem, z pewnością partya reakcyjna nie omieszkałaby tego wykorzystać. Od tego czasu pojawiło się w druku wiele pamiętników, ogłoszono masę listów, odnoszących się do tej epoki, ale w nich tak samo nie znajdziemy najlżejszej wskazówki, stwierdzającej to przypuszczenie.

Przeciwnie, kiedy wybuchły pożary w licznych miastach nad Wołgą, a zwłaszcza w Saratowie, wysłany tam przez cesarza dla przeprowadzenia śledztwa senator Żdanow, doszedł po zamknięciu procesu śledczego do stanowczego przekonania, że pożar saratowski był dziełem partyi reakcyjnej. Była ona przekonana, że Aleksander II da się jeszcze skłonić do odroczenia uwłaszczenia, które miało nastąpić ostatecznie 19-go lutego 1863 r. Reakcyoniści znali słabość charakteru Aleksandra II i natychmiast po pożarach rozwinęły energiczną agitację celem odroczenia sprawy uwłaszczenia i ponownej rewizyi praktycznego zastosowania odpowiedniego prawa. W dobrze zazwyczaj powiadomionych kołach mówiono, że Żdanow powracał do Petersburga z niewątpliwymi dowodami winy reakcyonistów saratowskich; ale umarł nagle w dro-

dze, a teka jego z papierami zniknęła i nigdy nie została odnalezioną.

Jakkolwiek się rzeczy miały, pożar Apraksynowskiego rynku miał bardzo smutne następstwa. Odtąd Aleksander II otwarcie wstąpił na drogę reakcyi. Co gorsza, opinia publiczna tej części społeczeństwa Petersburga i Moskwy, która posiadała silny wpływ na rząd, natychmiast zrzuciła liberalną maskę i powstała nie tylko przeciwko partyom skrajnym, ale i przeciw umiarkowanym. W kilka dni po pożarze poszedłem odwiedzić mego ciotecznego brata, fligel-adjutanta. W koszarach gwardyi konnej, gdzie mieszkał, spotykałem często oficerów, którzy zdawali się sympatyzować z Czernyszewskim. Mój cioteczny brat sam należał do gorliwych czytelników «Sowremiennikà» («Współczesnik», słynny dziennik liberalny, w latach 60-tych w Rosyi); teraz zaś przyniósł mi kilka książek tego pisma i położył je przedemną na stole, mówiąc: «odtąd, nie chcę mieć nic wspólnego z pismami podżegającemi, dosyć!» Słowa te odbijały opinię «całego Petersburga». Mówić o reformach stało się rzeczą nieprzyzwoitą. Atmosfera była nasycona duchem reakcyi. «Współczesnik» i «Słowo Rosyjskie» zawieszono. Szkoły niedzielne — w jakiejbądź postaci — zostały zakazane. Rozpoczęły się masowe areszty. W Petersburgu ogłoszono stan oblężenia.

W dwa tygodnie potem, 13-go czerwca, nastąpił nareszcie dzień, którego pażowie i kadeci wyglądali z takim upragnieniem. Aleksander II przeegzaminował nas pokrótce z zakresu konstrukcyi wojskowych. Komenderowaliśmy rotami i ja harcowałem na koniu na czele bataljonu. Potem wszystkich nas mianowano oficerami.

Po skończonej paradzie, Aleksander II głośno za-

komenderował: «Nowo-mianowani oficerowie, do mnie». Otoczyliśmy go. Car pozostał na koniu.

Tu zobaczyłem Aleksandra II w zupełnie nowem świetle. W całej swej postaci powstał przedemną człowiek, który w rok potem okazał się takim krwiożerczym i mściwym gnębicielem rewolucyi polskiej. Odmalował się on cały w mowie, którą wypowiedział do nas.

Zaczął w tonie spokojnym: «Witam was. Teraz jesteście oficerami». Mówił o obowiązkach wojskowych i o wierności cesarzowi, jak zwykło się mówić w podobnych razach. Ale potem nagle twarz jego zachmurzyła się i począł wykrzykiwać gniewnym głosem, z naciskiem na każdym słowie: — «Ale jeżeli, Boże uchroni, ktokolwiek z was złamie wierność cesarzowi, tronowi i ojczyźnie, postąpię z nim wedle całej surro-wości prawa, bez naj-mniejszej po-błaź-liwości!»

Głos jego urwał się. Twarz wykrzywiła się złością i tym wyrazem ślepego szału, który widziałem często w dzieciństwie u panów, gdy odgrażali się «zdrzeć żywcem skórę» z poddanych. Aleksander II spał konia ostrogą i pędem odjechał od nas. Następnego dnia, 14 czerwca, rozstrzelano w Modlinie z jego rozkazu trzech oficerów, a szeregowca, Szura, zaćwiczono różgami na śmierć.

— Reakcyja w pełnym biegu, — mówiłem sobie, wracając z przeglądu.

Zobaczyłem Aleksandra II jeszcze raz przed wyjazdem z Petersburga. W kilka dni po swej nominacyi wszyscy oficerowie przedstawiali mu się w pałacu. Mój, mniej niż skromny, mundur i słynne szare szarawary ściągały ogólną uwagę. Co chwila zmuszony byłem zaspakajać ciekawość oficerów wszelkich stopni, pytających mię, co to za dziwny uniform? Amur-

skie wojsko kozackie było wtedy najmłodszem w armii i ja stałem prawie w ostatnim rzędzie kilkuset przedstawiających się oficerów. Aleksander II odnalazł mnie i zapytał:

— Więc jedziesz na Syberyę? Cóż, twój ojciec zgodził się nareszcie?

Odpowiedziałem, że tak.

— Nie boisz się jechać tak daleko?

Odparłem z zapalem: «Nie, ja chcę pracować, a w Syberyi tak wiele potrzeba pracy, aby zamierzone reformy zostały w czyn wprowadzone».

Aleksander II spojrział na mnie uważnie. Zamyślił się na chwilę, nakoniec rzekł: «Cóż, jedź. Można być wszędzie użytecznym». I na twarzy jego odbił się wyraz takiego zmęczenia, takiej najgłębszej apatii, że zaraz pomyślałem: «on już zginął! on się teraz podda zupełnie».

Petersburg przybrał ponury wygląd. Po ulicach snuły się oddziały piechoty. Kozackie patrole objeżdżały wokoło pałac. Twierdza Petropawłowska zapełniła się więźniami politycznymi. Wszędzie, gdzie przychodziłem, widziałem zawsze jedno i to samo — tryumf reakcyi. Opuszczałem Petersburg bez żalu.

Codziennie pojawiałem się w zarządzie kozackiego wojska, prosząc, aby jaknajprędzej wysłano moje papiery. I gdy tylko były gotowe, pośpieszyłem do Moskwy, do brata Saszy.

II.

Pięć lat, które spędziłem w Syberyi, były dla mnie prawdziwą szkołą życia i charakteru ludzkiego. Stykałem się z rozmaitego rodzaju ludźmi, z najlepszymi i z najgorszymi, z tymi, którzy stoją u szczytu

drabiny społecznej — i z tymi, którzy zaledwie wegetują i grzebią się na ostatnich jej stopniach: z włóczęgami i t. zw. niepoprawnymi przestępcami. Miałem szeroką sposobność obserwować chłopów w ich codziennem życiu i jeszcze większą możność przekonać się, jak mało może im dać rząd — nawet wtedy, gdy jest ożywiony najlepszymi chęciami. Nareszcie, moje długie podróże, w czasie których zrobiłem więcej niż siedemdziesiąt tysięcy wiorstw pocztą, parostatkiem, w łódce, a najczęściej konno, — w dziwny sposób zahartowały moje zdrowie. Podróże nauczyły mię też, jak niewielkie w gruncie rzeczy są potrzeby człowieka, gdy wyjdzie on raz z zaczarowanego koła sztucznej cywilizacji. Z kilku funtami chleba i małym zapasem herbaty w przewieszonych przez ramię sakwach, z kociołkiem i toporem u siodła, z derką pod siodłem, dla przykrycia pościeli ze świeżego modrzewiowego listowia; — człowiek czuje się dziwnie swobodnym, nawet wpośród nieznanych gór, gęsto porośniętych lasem, albo pokrytych głębokim śniegiem. Mógłbym napisać całą książkę o tej epoce mego życia, ale zmuszony jestem przebieść ją tylko pokrótce, ponieważ tak wiele pozostaje do powiedzenia o latach późniejszych.

Syberya — nie zamrożony kraj, pokryty wiecznym śniegiem i zaludniony tylko przez zesłańców, jak przedstawiają cudzoziemcy i jak niedawno jeszcze wyobrażano ją sobie u nas. Roślinność Syberyi południowej przypomina swem bogactwem florę Kanady południowej. Podobne są także fizyczne warunki obu krajów. Na 500,000 tubylców w Syberyi znajduje się 4½ miliona Rosyan, a południowa część Syberyi zachodniej posiada taki sam, całkiem rosyjski charakter, jak gubernie na północ od Moskwy.

W 1862 r. wyższa administracya syberyjska była

daleko więcej oświecona i w ogóle daleko lepsza, niż administracya jakiegokolwiek gubernii Rosyi europejskiej. Stanowisko generał-gubernatora Syberyi Wschodniej zajmował niepospolity i znany już od lat kilku ogólnie człowiek hr. N. N. Murawiew, zdobywca Amurskiego kraju. Odznaczał się on niepospolitym rozumem, niezmordowaną czynnością i nader czarującym obejściem; pragnął przytem pracować dla dobra kraju. Jak wszyscy ludzie czynu, którzy wyszli ze szkoły rządowej, był on despota w głębi duszy; ale zapatrywania Murawiewa były bardzo skrajne i rzeczpospolita demokratyczna nie całkiem by go zadowolniła. Udało mu się pozbyć prawie wszystkich starych urzędników, patrzących na Syberyę, jako na kraj, w którym można bezkarnie rabować — i otoczył się, po większej części, młodymi, uczciwymi oficerami, pomiędzy którymi było wielu ożywionych równie dobrymi, jak i on zamiarami. W jego własnym gabinecie, młodzi ludzie wspólnie z zesańcem Bakuninem (uciekł on ze Wschodniej Syberyi w sierpniu 1861 r.) zastanawiali się nad możliwością utworzenia Syberyjskich Stanów Zjednoczonych, które weszłyby w związek federacyjny z Amerykańskimi Stanami Zjednoczonymi.

Kiedy przyjechałem do Irkucka, fala reakcyjna, podnosząca się w Petersburgu, jeszcze nie dosięgła stolicy wschodniej Syberyi. Zostałem bardzo dobrze przyjęty przez młodego, niedawno mianowanego na miejsce Murawiewa, generał-gubernatora Korsakowa, który oświadczył mi, że z chęcią widzi około siebie ludzi liberalnych poglądów. Co się zaś tyczy młodego, 35-letniego generała Kukiela, naczelnika sztabu Syberyi Wschodniej (zostałem natychmiast mianowany jego adjutantem), to zaprowadził mię on do pokoju w swoim domu, gdzie znalazłem najlepsze rosyjskie dzienniki

i całkowitą kolekcję londyńskich rewolucyjnych wydawnictw Herzena. Wkrótce zostaliśmy serdecznymi przyjaciółmi.

B. K. Kukiel zajmował w tym czasie chwilowo stanowisko gubernatora okręgu Zabajkalskiego i w kilka tygodni po moim przybyciu przeprowadziliśmy się przez Bajkał i pojechaliśmy na Wschód do Czyty. Tutaj musiałem poświęcić się najwyłącznie, nie tracąc czasu, wielkim reformom, które znajdowały się wtedy na porządku dziennym. Z ministerów petersburskich przysłano miejscowym władzom polecenie wypracowania planów zupełnego przekształcenia administracji, policji, sądów, więzień, systemu deportacji, samorządu miejskiego. Wszystko to miało być zreformowane na szerokich liberalnych podstawach, zakreślonych w manifestach cesarskich.

Kukiel, któremu pomagał rozumny, praktyczny człowiek, pułkownik Pidaszenko — i paru uczciwych urzędników, — pracował gorliwie cały dzień, a czasem i znaczną część nocy. Ja zostałem sekretarzem dwóch komitetów: reformy więzień i całego systemu deportacyjnego, oraz komitetu, który miał wypracować projekt samorządu miejskiego. Wziąłem się do pracy z całym entuzjazmem dziewiętnastoletniego młodzieńca, wiele czytałem o historycznym rozwoju tych instytucji w Rosji i o współczesnym stanie ich w Europie zachodniej. Ministerstwa spraw wewnętrznych i sprawiedliwości wydawały wtedy w swych dziennikach znakomite prace i dokumenty, odnoszące się do tego przedmiotu. Ale w okręgu Zabajkalskim zajmowały nas nie tylko teorie. Naprzód rozbierałem z praktycznymi ludźmi, dobrze znającymi miejscowe stosunki i potrzeby kraju, ogólne zarysy projektu, a potem opracowywaliśmy go we wszystkich szczegółach, punkt po punkcie. Musiałem w tym celu stykać się z całą

masą osób w mieście i po wsiach — i otrzymane rezultaty po raz drugi roztrząsaliśmy z Kukielem i Pidaszenką. Potem układałem projekt, który znowu starannie, punkt po punkcie, omawiano w komitecie. Jeden z tych komitetów, opracowujący projekt samorządu, składał się z mieszkańców Czyty, wybranych przez całą ludność miasta. Krótko mówiąc, praca nasza była bardzo poważna. I nawet dziś, patrząc na nią z odległości kilku dziesięcioleci, mogę szczerze powiedzieć, że jeśliby samorząd został rzeczywiście przyznany wedle tego skromnego planu, jaki wypracowaliśmy, miasta syberyjskie miałyby dzisiaj zupełnie inny wygląd. Ale cała nasza praca, jak się okaże w następstwie, poszła na marne.

Nie brakowało i innych okolicznościowych spraw. To trzeba było wynaleźć fundusze dla utrzymania instytucji dobroczynnych; to należało wygotować opis ekonomicznego stanu prowincyi dla miejscowej wystawy rolniczej; to wypadało przedsięwziąć jakie ważne poszukiwania, albo przeprowadzić śledztwo.

— Żyjemy w wielkiej epoce; pracuj, miły przyjacielu; pamiętaj, że jesteś sekretarzem wszystkich istniejących i przyszłych komitetów, — powiadał mi czasem Kukiel.

I pracowałem ze zdwojoną energią.

Parę przykładów pokaże, jakie były rezultaty. W jednej z gmin okręgu Zabajkalskiego służył asesors (t. zw. «zasiedziat»), M., dopuszczający się krzywdzących bezprawii. Zdierał chłopów, chłostał niemiłosiernie — nawet kobiety, co już było wbrew prawu. Jeśli dostawała się w jego ręce jaka kryminalna sprawa, ci, którzy nie mogli mu się okupić, latami całymi wyczekiwali w więzieniu wyroku. Kukiel dawnoby już go oddalił, ale nie zgadzał się na to generał-gubernator, ponieważ M. miał silnych protektorów w Petersburgu. Po długich

wahaniach postanowiono, że ja pojedę i przeprowadzę śledztwo na miejscu, aby zgrzebać obciążające go fakty. Nie było to wcale łatwym do wykonania, ponieważ zastraszeni chłopcy pamiętali doskonale, że do Boga wysoko, a do cara daleko — i nie chcieli stawać w roli świadków. Nawet kobieta, którą asesor kazał wychłostać, bała się zrazu świadczyć. Dopiero, gdy przepędziłem dwa tygodnie z chłopami i pozyskałem ich zaufanie, wypłynęły powoli na wierzch sprawy M. Zebrałem masę potępiających dowodów i kazano mu podać się do dymisyi. Jakież było nasze zdziwienie, gdy w kilka miesięcy potem dowiedzieliśmy się, że ten sam M. naznaczony został isprawnikiem (urząd naczelnika policyi w miasteczku) w Kamczatce. Tam mógł rabować bezkarnie miejscową ludność, co też czynił, ma się rozumieć. Po kilku latach wrócił do Petersburga bogatym człowiekiem. Obecnie zajmuje się czasem współpracownictwem w konserwatywnych gazetach i cieszy się głośną sławą «prawdziwego patrioty».

Jak powiedziałem, fala reakcyi nie dosięgła jeszcze Syberyi. Z zesłańcami politycznymi postępowano z najwyższą względnością, jak za czasów Murawiewa. Kiedy 1861 r. zesłany został do ciężkich robót M. L. Michajłow za napisanie proklamacyi, gubernator tobolski wydał na cześć jego obiad, na którym były obecne wszystkie miejscowe władze. W okręgu zabajkalskim nie trzymano Michajłowa w aresztanckich kazarmach. Pozwolono mu urzędowo pozostawać w szpitalu więziennym siola Kadki, około kopalni Nerczyńskich; ale zdrowie Michajłowa było bardzo wątpliwe — umarł na suchoty 1865 r. — i generał Kukiel pozwolił mu zamieszkać u brata, inżyniera górniczego, który dzierżawił od skarbu kopalnię złota. Wszyscy w Syberyi wiedzieli o tem. W tem razu pewnego otrzymaliśmy wiadomość

z Irkucka, że w skutek denuncyacji, jedzie do Czyty generał zandarmski na śledztwo w sprawie Michajłowa. Przywiózł nam tę wiadomość adjutant generał-gubernatora. Niezwłocznie posłano mię uprzedzić Michajłowa i powiedzieć mu, żeby natychmiast przeniósł się do Kadek, a my tymczasem zatrzymamy generała w Czycie. Ponieważ generał wygrywał za zielonym stolikiem w domu Kukiela znaczne sumy pieniędzy, nie więc dziwnego, że więcej podobało mu się to miłe zajęcie, niż długa podróż wśród gór, zwłaszcza, że i mrozy brały ostre. Skończyło się na tem, że generał wrócił do Irkucka, bardzo zadowolony z korzystnego sposobu, w jaki załatwił swoją misję.

Burza jednakże — nadciągała — coraz bliżej i bliżej. Zmiotła ona wszystko przed sobą wkrótce potem, gdy w Polsce wybuchnęła rewolucya.

III.

W styczniu 1863 r. Polska powstała przeciw rosyjskiemu panowaniu. Utworzyły się oddziały powstańców i rozpoczęła wojna, przeciągająca się półtora roku. Emigranci londyńscy błagali rewolucjonistów polskich, żeby odłożono powstanie, przewidując, że powstanie zostanie zgniecione i przedwczesny jego wybuch przerwie wszelkie reformy w Rosyi. Ale nie już nie można było poradzić. Dzikie gwałty kozackie w czasie manifestacji patryotycznych na ulicach Warszawy 1861 r., okrutne, niczem nieusprawiedliwione egzekucye, które nastąpiły potem, przyprowadziły Polaków do rozpacz. Losy były rzucone.

Nigdy przedtem nie okazywano tyle sympatii sprawie polskiej w Rosyi, jak w tej chwili. Nie mówię o rewolucjonistach. Nawet wielu umiarkowanych lu-

dzi wyrażało się wtedy otwarcie, że korzystniej byłoby dla Rosyi mieć w Polsce dobrego sąsiada, niż wiecznie wrogi, choć poddany kraj. Polska nigdy nie straci swego narodowego charakteru; zbyt on jest oryginalny i samodzielny. Ona ma i będzie mieć swoją własną sztukę, swoją literaturę i przemysł własny. Trzymać ją w niewoli Rosya może tylko z pomocą grubej fizycznej siły; a taki stan rzeczy zawsze sprzyjał i będzie sprzyjać panowaniu ucisku w samej Rosyi. Zapatrywania te podzielało bardzo wiele osób i gdy byłem jeszcze w korpusie, pamiętam, że towarzystwo petersburskie przyjęło z uznaniem artykuł wstępny, który Iwan Aksakow miał odwagę pomieścić w swej gazecie «Dzień». Zaczynał od przypuszczenia, że wojska rosyjskie wyszły z Polski i wskazywał pomyślnie tego następstwa i dla Polski samej i dla Rosyi. Kiedy rozpoczęło się powstanie 1863 r. wielu rosyjskich oficerów wzbraniało się walczyć przeciw Polakom, a niektórzy otwarcie połączyli się z nimi i umarli na rusztowaniu, albo na polu bitwy. Składki na powstanie zbierano w całej Rosyi, a w Syberyi nawet całkiem otwarcie. Studenci uniwersytetów zapatrywali nawet w cały rynsztunek bojowy kolegów, którzy udawali się do powstania.

Ale oto — wśród ogólnego wzburzenia — przyszła wiadomość, że w nocy na 10 stycznia powstańcy napadli na żołnierzy, rozkwaterowanych po wsiach i wyróżnęli sennych, choć jeszcze w wilię tego dnia zdawało się, że wzajemne stosunki między wojskiem i ludnością były przyjazne. Zająście zostało trochę przesadzane; ale, na nieszczęście, była w tej wiadomości i część prawdy. Wywarła ona, ma się rozumieć, głęboko przygnębiające wrażenie na całe społeczeństwo. Znowu — między dwoma narodami, tak spokrewnionymi z sobą pochodzeniem, a tak różniącymi się swym

narodowym charakterem, zmartwychwstała stara nienawiść.

Powoli — przykre to wrażenie zatarło się do pewnego stopnia. Dzielna walka Polaków, znanych powszechnie ze swego męstwa, niezmordowana energia, z którą opierali się olbrzymiej armii, obudziły na nowo sympatyę do tego heroicznego narodu. Ale w tym właśnie czasie dowiedziano się, że komitet rewolucyjny żąda przywrócenia Polski w dawnych granicach, aż do Ukrainy włącznie, której prawosławna ludność nienawidzi panów i niejednokrotnie w ciągu ostatnich trzech wieków rozpoczynała swe powstania przeciw nim krwawymi rzeziami. Oprócz tego Napoleon VII i Anglia zaczęli grozić Rosyi nową wojną i ta czeza pogróżka więcej zaszkodziła Polakom, niż wszystkie inne przyczyny razem wzięte. Nakoniec, radykalna część społeczeństwa rosyjskiego przekonała się ze smutkiem, że w Polsce biorą górę czysto narodowe dążności. Rząd rewolucyjny nie myślał poważnie o nadaniu poddanym chłopom ziemi — i rząd rosyjski nie omieszkiał skorzystać z tego błędu, żeby wystąpić w roli obrońcy chłopów przeciw panom polskim.

Kiedy się w Polsce zaczęło powstanie, wszyscy w Rosyi myśleli, że przyjmie ono demokratyczny, republikański charakter i że Rząd Narodowy na szerokich, demokratycznych podstawach przeprowadzi oswobodzenie chłopów, bijących się za niepodległość ojczyzny.

Oswobodzenie chłopów w Rosyi podawało bardzo dobrą sposobność do podobnej akcyi. Osobiste powinności chłopów w obec obywateli kończyły się 19 lutego, 1863 r. Potem następowała bardzo długa procedura celem ustanowienia dobrowolnej zgody obywateli

z chłopami co do wielkości i położenia odstępywanych sched ziemi. Rozmiar corocznych wypłat za schedy (ocenione bardzo wysoko) był zatwierdzony przez rząd po tyle-to z dziesięciny. Ale chłopci musieli jeszcze płacić sumy dodatkowe za ziemię, zajęta pod zagrody gospodarskie, przyczem rząd określał tylko najwyższą normę; obywatele zaś mogli wedle chęci, albo zrzec się całkiem tych opłat dodatkowych, albo zadowolnić się ich częścią. Co się zaś tyczy wykupu sched, — przyczem rząd sponował obywateli odrazu i w całości za pomocą t. zw. «wykupnych świadectw», a chłopci obowiązani byli gasić dług w ciągu 49-ciu lat corocznemi sześcioprocentowemi wkładkami, — to opłaty te nie tylko były za wysokie i rujnujące dla chłopów, ale nie został nawet określony termin wykupu. Zostawiono go do woli obywatela — i w wielu wypadkach umowy wykupne nie były jeszcze zawarte nawet w 20-ścia lat po uwłaszczeniu.

Taki stan rzeczy dawał polskiemu rewolucyjnemu rządowi szerokie pole do poprawy rosyjskiego prawa. Powinnością jego było wykonać akt sprawiedliwości w stosunku do chłopów (położenie ich było równie złe, a w niektórych razach nawet gorsze, niż w Rosyi) i wypracować doskonalsze i ściśle określone prawa uwłaszczenia poddanych. Nic podobnego nie miało miejsca. Partya czysto narodowa i szlachecka wzięta przewagę — i wielką kwestyę oswobodzenia ludu usunięto na drugi plan. W skutek tego rząd rosyjski otrzymał możność pozyskania sobie przychylności chłopów polskich przeciwko rewolucyonistom.

Umiał on w wysokim stopniu błąd ten wykorzystać; Aleksander II wysłał do Polski N. Milutina, upowazniając go przeprowadzić uwłaszczenie wedle planu, który Milutin zamyslał niegdyś urzeczywistnić w Ro-

syi, nie wiele krępując się tem, czy takie uwłaszczenie zrujnuje właścicieli ziemskich, czy nie.

— Jedź pan do Polski i tam zastosuj przeciw miejscowym obywatelom swój czerwony program, — powiedział Aleksander II Milutinowi. I Milutin, wspólnie z ks. Czerkaskim i wielu innymi rzeczywiście zrobił wszystko, co mógł, żeby odebrać ziemię obywatelom i wyznaczyć chłopom jak największe działki.

Zdarzyło mi się raz spotkać z jednym z tych urzędników, którzy razem z Milutinem i ks. Czerkaskim, czynni byli w Polsce.

— Mieliśmy zupełną możność — powiada on — oddać całą ziemię chłopom. Zwykle zaczynałem od tego, że zwoływałem chłopskie zebranie gromadzkie. — «Powiedzcie naprzód, ile ziemi posiadacie teraz?» — Wskazywali mi. — «Czy to jest wszystka ziemia, która kiedykolwiek należała do was?» zapytywałem. — «Nie, — odpowiadali oni zwykle zgodnie jak jeden człowiek». «Dawnymi laty naszymi były hen! te łąki — i mieliśmy jeszcze ten las i te pola». Pozwalałem im wypowiedzieć wszystko, a potem mówiłem: «No, kto z was może stwierdzić pod przysięgą, że ot, ta ziemia należała kiedyś do was?» Ma się rozumieć, nikt się nie zgadzał, bo rzecz szła o dawnych, starych czasach. Nakoniec wypychano naprzód jakiegoś zgrzybiałego dziada. Pozostali mówili: «on wie wszystko; on może przysiąc». Dziad rozpoczął długie opowiadanie o tem, co widział w młodości, albo o tem, co słyszał od ojca; ale ja mu krótko przerywałem: «złóż przysięgę, że ziemia ta należała kiedykolwiek do gminy, a ziemia będzie waszą». I jeżeli tylko starzec przysięgał — a takiej przysiędze można wierzyć ślepo, — spisywałem protokół i oznajmiałem zebraniu: «teraz nie macie więcej żadnych powinności w obec waszych byłych panów; jesteście prostymi sąsiadami. Płacicie

tyle i tyle-to rocznie do skarbu. Zagrody dają się wam razem z ziemią. Płacić za nie nie potrzebujecie nic».

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywierało to wszystko na chłopów. Mój cioteczny brat, Piotr Mikołajewicz Krapotkin, brat owego fligel adjutanta, o którym wspominałem wyżej, znajdował się w Polsce, czy na Litwie z pułkiem ułanów gwardyi, w którym służył. Powstanie rozwinęło się tak groźnie, że ruszono przeciw Polakom nawet gwardyę z Petersburga. Teraz wiadomo, że gdy Michał Murawiew, wyjeżdżając na Litwę, przyszedł pożegnać się z cesarzową, Maryą Aleksandrowną, ta ostatnia powiedziała mu: «uratujcie choć Litwę». Polska uważała się już za straconą.

— Uzbrojone bandy powstańców opanowały cały kraj, opowiadał mi cioteczny brat. Nie tylko nie mogliśmy ich rozbić, ale nawet wynaleźć. Bandy napadały bezustannie na nasze niewielkie oddziały; a ponieważ powstańcy bili się znakomicie, doskonale znali miejscowość i znajdowali poparcie u ludności, to zwycięstwo zwykle zostawało przy nich. Dla tego zmuszeni byliśmy poruszać się zawsze tylko wielkimi kolumnami. I tak wędrowaliśmy przez cały czas, po całym kraju, naprzód i w tył, w pośród lasów, — a końca powstania nie można było nawet przewidzieć! Póki przerzynaliśmy jaką miejscowość, nie znajdowaliśmy ani śladu powstańców. Ale, ledwieśmy wrócili, dowiadaliśmy się, że bandy znowu zjawiały się z tyłu i ściągaly podatek narodowy. I jeżeli jaki chłop ośmielił się oddawać jakie usługi naszym wojskom, znajdowaliśmy go powieszzonego przez powstańców. Tak się to ciągnęło przez kilka miesięcy bez najmniejszej nadziei prędkiego końca, aż póki nie przybyli Milutin i Czerkaski. Oswobodzili oni chłopów i dali im ziemię, a wtedy wszystko wnet się zmieniło. Chłopi

przeszli na naszą stronę i zaczęli nam pomagać łapać powstańców. Powstanie skończyło się».

W Syberyi zdarzało mi się często rozmawiać w tej kwestyi z zesłanymi Polakami i niektórzy z nich rozumieли znaczenie błędu, który popełniono. Rewolucya — z samego początku — powinna być aktem sprawiedliwości w obec «upośledzonych i skrzywdzonych», a nie obietnicą poprawy złego w przyszłości; inaczej na pewno upadnie. Niestety, często się zdarza, że wodzowie bywają tak pochłonięci kwestyami polityki i wojennej taktyki, że o najgłówniejszem — zapominają. Tymczasem rewolucyoniści, którzy nie zdołają przekonać mas, że rozpoczyna się dla nich nowa era, gotują pewny upadek swojej własnej sprawy.

Oplakane skutki powstania dla Polski są wiadome i należą już do historii. Nikt jeszcze nie wie dokładnie, ile tysięcy ludzi zginęło na polu bitwy, ile setek powieszono i ile dziesiątków tysięcy zostało zesłanych w głąb Rosyi i na Syberję. Ale nawet wedle urzędowych świadectw, niedawno ogłoszonych, w samej tylko Litwie, kat Murawiew, któremu rząd wzniósł pomnik, powiesił własną władzą 128 Polaków i zesłał na Syberję 9423 mężczyzn i kobiet. Wedle urzędowych świadectw zesłano na Sybir 18,672 ludzi; z nich 10,406 do Syberyi wschodniej i pamiętam, że generał-gubernator Syberyi wschodniej podał mi mniej więcej taką liczbę. Mówił mi on, że do jego prowincyi zesłano jedenaście tysięcy, do ciężkich robót, lub też na osiedlenie. Widziałem ich i byłem świadkiem ich cierpień. Wogóle 60 do 70-ciu tysięcy ludzi, jeśli nie więcej, zostało wyrwanych z Polski i zesłanych w głąb Rosyi Europejskiej, na Ural, na Kaukaz, lub na Syberję.

Dla Rosyi następstwa były również smutne. Rewolucya polska położyła koniec wszystkim reformom.

Prawda, że w latach 1864-tych i 1866-tych wprowadzono reformę ziemską i sądowniczą, ale były one gotowe jeszcze w 1862-gim r. Oprócz tego, w ostatniej chwili Aleksander II wybrał plan reformy ziemskiej, wypracowany nie przez Mikołaja Milutina, a przez reakcyjną partję Wałujewa. Powtóre, natychmiast po ogłoszeniu obu reform, znaczenie ich ograniczono, a w niektórych wypadkach całkiem zniesiono, przez dodanie różnych tymczasowych praw.

Najgorzej było to, że sama opinia publiczna zwróciła się nagle i odrazu w kierunku reakcji. Bohaterem dnia stał się Katkow, wysławiany teraz, jako rosyjski «patryota»; pociągał on swym wpływem większą część petersburskiego i moskiewskiego towarzystwa. Wedle niego zaś «zdrajcą» był każdy, kto śmiał jeszcze odzywać się o reformach.

Fala reakcyi dotarła wkrótce i do naszych dalekich kresów. Raz w lutym, czy w marcu 1863 r. przypędził umyślny goniec z Irkucka i przywiózł urzędowy papier. Stosownie do zawartego w nim rozkazu, miał generał Kukiel, rzuciwszy stanowisko gubernatora Zabajkalskiego okręgu, udać się natychmiast do Irkucka i oczekiwać tam dalszych rozporządzeń, nie przyjmując urzędu naczelnika sztabu.

Dla czego? co to wszystko ma znaczyć? o tem w papierze ani słowa. Nawet generał-gubernator, osobisty przyjaciel Kukiela, nie ośmielił się ani jednym objaśniającem słówkiem rozproszyć tajemniczości rozkazu. Czy oznaczał on że Kukiela powiozą z dwoma żandarmami do Petersburga i zamurują go tam w kamiennym grobie, w Petropawłowskiej twierdzy? Wszystko było możliwe. Później dowiedzieliśmy się, że tak właśnie zamierzano uczynić. Tak by też uczyniono, gdyby nie energiczne wstawiennictwo generała

Murawiewa Amurskiego, który osobiście błagał cara o ułaskawienie Kukiela.

Pożegnanie nasze z B. K. Kukiелеm i jego przemiłą rodziną wyglądało raczej na pogrzeb. Serce moje rwało się z bólu. Nie tylko dla tego, że traciłem w Kukielu drogiego, blizkiego przyjaciela; wiedziałem, że odjazd jego oznacza niejako pogrzeb całej epoki, bogatej w «illuzye», jak mówiono potem, epoki, w której pokładano tyle nadziei.

Tak się też stało. Przybył drugi gubernator, dobroduszny, lekkomyślny człowiek. Widząc, że nie ma co tracić czasu, zabrałem się ze zdwojoną energią do pracy i wykończyłem projekt reformy systemu deportacyjnego i samorządu miejskiego. Gubernator — dla formy — uczynił kilka zarzutów, potem jednak podpisał projekt, który wysłano do Petersburga. Ale tam już nie myślano o reformach. Tam też projekt nasz spoczywa do dziś dnia, z setkami drugih podobnych memoryałów, podawanych ze wszystkich krańców Rosyi. W stołecznych miastach wybudowano kilka «wzorowych» więzień, jeszcze straszniejszych, niż stare, niewzorowe, — aby mieć się czem popisać przed znakomitymi cudzoziemcami podczas więziennych kongresów. Ale w 1886 r. Kennan znalazł cały system deportacyi w takim samym stanie, w jakim ja go zostawiłem w 1872 r. Dopiero teraz, po wielu latach, wprowadza rząd w Syberyi nowe sądy i parodyę samorządu; dopiero teraz wyznaczono powtórnie komisye dla zbadania systemu deportacyjnego (pisane w 1897 r.).

Kiedy Kennan wrócił ze swej podróży na Syberję do Londynu, zaraz na drugi dzień po przyjeździe odszukał Stepniaka, Czajkowskiego, mnie i jeszcze jednego emigranta rosyjskiego. Zebraliśmy się wszyscy wieczorem u Kennana, w niewielkim hotelu, w pobliżu Charing-Cross. Widzieliśmy Kennana pierwszy raz

i nie bardzo dowierzaaliśmy przedsiębiorczym Anglikom, którzy przed nim podejmowali się zbadać wszystko, co się tyczyło Syberyi i rosyjskiego systemu więziennego, nie zadawszy sobie nawet pracy nauczenia się choć trochę po rosyjsku. Postanowiliśmy więc przekonać się o wiarogodności naszego podróżnika i zarzuciliśmy go gradem badawczych, krzyżujących się pytań. Ku naszemu wielkiemu zdumieniu nietylko mówił on wybornie po rosyjsku, ale wiedział wszystko, co warto było wiedzieć, o Syberyi. My czterej znaleźliśmy wielu zesłańców, znajdujących się w Syberyi i wymęczaliśmy go pytaniami: «Gdzie taki-to? Czy żonaty? Czy szczęśliwy w życiu rodzinnem? Czy ten ocalał się?» Prędko przekonaliśmy się, że Kennan zna wszystkich.

Kiedy badanie nasze skończyło się, spytałem: «Nie wiesz pan, panie Kennan, czy wybudowano strażniczą wieżę w Czycie?» Stepniak popatrzył na mnie, jak gdyby wyrzucał mi moją zbytnią nieufność. Ale Kennan roześmiał się — i ja także. Śmiejąc się, przerzucaliśmy się pytaniami:

— Jakto, pan wiesz o tem?

— I pan także?

— Wybudowali nakoniec?

— Tak — na zasadzie podwójnego wykazu kosztów.

I tak dalej. Wreszcie przerwał nam Stepniak i najbardziej surowym tonem, na jaki mógł się zdobyć przy swojej dobroduszości, oświadczył:

— Powiedzcie nam nakoniec, z czego się śmiejecie?

Wtedy Kennan opowiedział historię strażnicy pożarnej w Czycie, którą czytelnicy jego pamiętają zapewne. W 1859 r. mieszkańcy Czyty postanowili wybudować strażnicę pożarną i zebrali pieniądze w tym celu; ale wykaz kosztów budowy trzeba było przedstawić w Petersburgu. Wysłano go do ministerjum

spraw wewnętrznych; ale kiedy po dwóch latach wrócił zatwierdzony z Petersburga, okazało się, że w młodem, rozwijającym się mieście — ceny drzewa i pracy znacznie się podniosły. Było to w 1862 r., kiedy mieszkałem w Czycie. Ułożono nowy wykaz i posłano do Petersburga. Historia ta powtarzała się kilka razy i ciągnęła się całych 25 lat, aż nakoniec obywatele Czyty stracili cierpliwość i podali w wykazie ceny prawie podwójne. Wtedy fantastyczny wykaz uroczyście zatwierdzono w Petersburgu. Takim to sposobem Czyta otrzymała strażnicę pożarną.

W ostatnich latach zdarzało się nam często słyszeć zdanie, że Aleksander II popełnił wielki błąd przez to, że wzbudził tyle nadziei, których nie mógł potem urzeczywistnić. Tym sposobem, mówią, zgotował on sobie własną zgubę. Ze wszystkiego, co powiedziałem — a historia maleńkiej Czyty była historią całej Rosyi, -- widać, że Aleksander II popełnił coś gorszego. On nietylko wzbudził nadzieje. Dawszy się na chwilę porwać prądowi, który w całej Rosyi pobudził ludzi do pracy, on wyprowadził ich ze sfery nadziei i nieokreślonych marzeń i pozwolił im — niejako — dotknąć się własnymi rękoma dojrzewających już reform. On dał im poznać, co można zrobić zaraz i jak łatwo można to zrobić. Aleksander II sprawił że ludzie ci poświęcili część swych ideałów, których nie można było urzeczywistnić natychmiast i ograniczyli się tylko praktycznie — możliwemi w danym czasie żądaniami. A kiedy odlali swoje ideały w skończone kształty, kiedy im nadali formę gotowych praw, wymagających tylko podpisu imperatora, aby się stać rzeczywistością, on odmówił podpisu. Nikt z reakcyjnistów nie mówił i nie śmiał powiedzieć, żeby istniejące przed reformą sądy, brak samorządu miejskiego i stary system zsyłania na Syberyę były dobre i godne za-

chowania. Nikt nie śmiał tego twierdzić. I — mimo to — z obawy, żeby nie zrobić czegokolwiek, wszystko zostawiono tak, jak było. Trzydzieści pięć lat zapisywano w rządzie «podejrzanych» każdego, kto śmiał odezwać się, że potrzebne są zmiany. Jedynie ze strachu przed strasznem słowem «reformy» instytucje, potępione przez wszystkich, uznane przez wszystkich za spróchniałe zabytki przeszłości, pozostały jak były, nieknięte.

IV.

Widziałem, że nie mam co robić w Czycie, ponieważ o reformach już nie myślano i na wiosnę tegoż 1863 r. chętnie przyjąłem propozycję pojechania nad Amur. Całe niezmierzone lewe wybrzeże Amuru i brzeg Oceanu Spokojnego, aż do zatoki Piotra W. włącznie, zostały przyłączone przez hr. Murawiewa prawie wbrew woli władz petersburskich i w każdym razie bez jakiegokolwiek znaczniejszej pomocy z ich strony. Kiedy Murawiew powziął śmiały plan opanowania rzeki, której południowe położenie i urodzajne brzegi nęciły w ciągu dwóch stuleci Sybiraków; kiedy postanowił, zanim Japonia otworzy się dla Europy, zająć dla Rosyi mocne stanowisko na brzegach Oceanu Spokojnego i wejść, tym sposobem — w stosunki ze Stanami Zjednoczonymi; wszyscy w Petersburgu powstałi przeciw generał-gubernatorowi. Minister wojny nie miał zbywających żołnierzy, — minister finansów — swobodnych pieniędzy. Przedewszystkiem sprzeciwiało się ministryum spraw zagranicznych, — zawsze w obawie «dyplomatycznych komplikacyi». Murawiew musiał więc działać na własną rękę i liczyć, przy wykonywaniu olbrzymiego przedsięwzięcia, tylko na te

skąpe środki, jakich mogła dostarczyć słabo zaludniona Syberya Wschodnia. Oprócz tego, należało działać jak najśpieszniej, aby w obec możliwego protestu zachodnio-europejskich dyplomatów, przeciwstawić mu «fakt dokonany».

Okupacya tylko nominalna nie miałaby znaczenia, powstała więc myśl, żeby rozciągnąć wzdłuż brzegów Amuru i Ussuri, na przestrzeni przeszło 3500 wiorstw, łańcuch posterunków kozackich, t. zw. «stannie» i zaprowadzić tym sposobem regularną komunikację pomiędzy Syberją i wybrzeżem Oceanu Spokojnego. Stacje potrzebowały zaludnienia, którego Syberya Wschodnia dostarczyć nie mogła. Wtedy Murawiew uciekł się do środków wyjątkowych. Zesłanym katorżnikom którzy — po odbyciu określonego wyrokiem sądowym terminu ciężkich robót, pracowali jako robotnicy w kopalniach rządowych, wrócono prawa i obrócono ich w Zabajkalskie kozackie wojsko. Część ich osiedlono wzdłuż Amuru, a część nad brzegami Usuri. Powstały dwa nowe kozackie wojska. Potem za staraniem Murawiewa uwolniono tysiąc katorżników (po większej części rozbójników i morderców), których postanowił osiedlić jako wolnych osadników — około ujść Amuru. Wyprawiając ich z Kary na nowe siedziby, Murawiew, naturalnie, miał do nich przemowę: «Idźcie, dzieci. Teraz jesteście wolni. Uprawiajcie ziemię, zróbcie ją rosyjskim krajem, zacznijcie nowe życie», — i tak dalej. Włościanki rosyjskie prawie zawsze towarzyszą dobrowolnie swoim mężom, zesłanym na Sybir. Tym sposobem prawie wszyscy wychodźcy mieli swoje rodziny. Ale byli też kawalerowie, którzy oświadczyli Murawiewowi: «chłop bez baby — nic nie wart; trzeba się nam ożenić». Wtedy generał-gubernator kazał oswobodzić i kobiety z katorgi i polecił im wybrać sobie mężów. Czas naglił. Woda szybko spadała w Szyłce;

promy wkrótce musiałyby stanąć. Murawiew kazał wychodźcom wyjść na brzeg parami, pobłogosławił ich i powiedział: «zaślubiam was, dzieci! Kochajcie się wzajemnie; mężowie, nie krzywdźcie żon i życie szczęśliwie».

Widziałem tych nowo-osiedleńców w sześć lat po wyżej opisanej scenie. Wsie były biedne; pola trzeba było z trudem wykarczowywać z pod tajgi (gęste lasy syberyjskie); ale w ogóle, myśl Murawiewa urzeczywistniła się i małżeństwa, pobłogosławione przezeń, były niemniej szczęśliwe, niż małżeństwa zwykłe. Dobry i rozumny biskup amurski, Innocenty, uznał następnie te małżeństwa i dzieci, urodzone z nich, za prawne i kazał zapisać je jako takie w księgach cerkiewnych.

Mniej szczęśliwym okazał się Murawiew w drugim podobnym wypadku. Potrzebując ludzi dla zaludnienia Syberyi Wschodniej, przyjął — w charakterze kolonistów — dwa tysiące żołnierzy z bataljonów karnych. Część żołnierzy umieszczono, jako synów przybranych, po rodzinach kozackich, drugich osadzono na zagrodach po wsiach Syberyi wschodniej. Ale dziesięć czy dwadzieścia lat kazarmowego życia -- w kleszczach straszliwej Mikołajowskiej dyscypliny — nie mogły naturalnie stanowić odpowiedniej przygotowawczej szkoły do rolniczych zajęć. «Synkowie» uciekali od ojców, przystawali do bezdomnej, włóczęgowskiej ludności miejskiej, żyli nędznie z okolicznościowych zarobków, które natychmiast przepijali i potem, swobodni i bez troski, jak ptacy, wyczekiwali, aż się nowa robota nadarzy.

Pstre tłumy zabajkalskich kozaków, oswobodzonych katorżników i «synków», osiedlonych na prędcie i byle jak na wybrzeżach Amuru, nie mogły — ma się rozumieć — cieszyć się wielkim dobrobytem, zwłaszcza

przy ujściach rzeki i wzdłuż Ussuri, gdzie każdy metr kwadratowy trzeba było wykarczować z pod dziewiczego podrównikowego lasu; gdzie ulewne deszcze, przyniesione mussonami w lipcu, zatapiały olbrzymie przestrzenie; gdzie miliony ptaków przelotnych wydziobywało bezustannie na polach ziarna z kłosów. Wszystkie te warunki przyprowadziły ludność tych osad do rozpacz, a potem zrodziły zupełną apatyę.

W skutek tego trzeba było co roku wysyłać całe karawany tratw z solą, mąką, mięsem solonem i etc., dla wyżywienia wojsk i osadników około ujść Amuru. W Czycie budowano w tym celu każdego roku około 150-ciu tratw, które spławiały się wiosną w czasie wzbierania wody na rzece — po Ingodzie, Szyłce i Amurze. Cała flotylla dzieliła się na oddziały po 20, 30-ści statków, którymi dowodzili oficerowie i urzędnicy kozaccy. Większość z pomiędzy nich nie najświetniej rozumiała się na żegludze; ale przynajmniej można było im zaufać, że nie rozkradną powierzonych zapasów, pod pozorem, że zostały zatopione. Ja zostałem mianowany pomocnikiem naczelnika całego spławu, majora Malinowskiego. Mój pierwszy występ w nowej roli flisa nie był zbyt pomyślny. Miałem podążyć, o ile się dało najprędzej — z kilku tratwami ze Srjetienska do oznaczonego punktu nad Amurem i tam zdać je wraz z ładunkiem. W tym celu musiałem objąć komendę nad oddziałkiem «synków», o których wspominałem wyżej. Żaden z nich nie miał pojęcia o żegludze rzecznej. Niewiele co więcej znałem się na niej i ja. W dzień wyjazdu trzeba było zbierać mój oddział po szynkach. O piątej godzinie rano, kiedy należało już wypłynąć, niektórzy byli tak pijani, że musieliśmy ich przedtem wykapać w rzece, aby się choć cokolwiek wytrzeźwili. Kiedy ruszyliśmy, byłem zmuszony uczyć ich wszystkiego. Mimo to —

w dzień rzeczy szły nieźle. Tratwy, niesione szybkim prądem, płynęły wśród rzeki. Oddział mój, choć bardzo niedoświadczony, nie miał żadnego wyrachowania w tem, żeby statki osadzić na brzegu, wymagałoby to zresztą specjalnego wysiłku. Ale kiedy się ściemniło i nadeszła pora przybicia z naszymi niezgrabnymi, ciężko obciążowanymi tratwami do brzegu na nocleg, okazało się, że jedna z tratw wyprzedziła daleko tę, na której ja się znajdowałem; zatrzymała się dopiero wtedy, kiedy z całej siły wpadła na głaz podwodny u podnóża ogromnie wysokiej, urwistej skały. Tu tratwa uwięzła ostatecznie. Poziom rzeki, wezbrany w skutek ulewnych deszczów, prędko opadał. Moich dziesięciu «synków», znajdujących się na tej tratwie, nie mogli jej — ma się rozumieć — podnieść. Popłynąłem więc łódką do najbliższej stannicy, żeby przywołać na pomoc kozaków — i równocześnie wyprawilem gońca do Srjetienska, do mojego przyjaciela, kozackiego oficera, starego i doświadczonego flisaka.

Nadszedł ranek. Zjawiło się na pomoc około stu kozaków i kozaczek; ale pod skałą woda była tak głęboka, że niepodobna było zaprowadzić komunikacji z brzegiem dla wyładowania tratwy. Kiedy zaś spróbowaliśmy ruszyć ją z kamienia, utworzyła się na dnie szeroka szczelina, przez którą lunęła woda, zatapiając nasz ładunek: mąkę i sól. Z przerażeniem patrzałem na masę rybek, które dostały się razem z wodą przez szczelinę i teraz pływały po tratwie. Stałem bezradny, nie wiedząc, co robić. Istnieje bardzo prosty środek w podobnych wypadkach: trzeba zatknąć otwór dużym worem mąki, który szybko zostaje przezeń wchłonięty. Utworzona kora z ciasta nie daje wodzie przeniknąć przez mąkę; ale nikt z nas nie wiedział o tem.

Szczerściem dla mnie spostrzegliśmy po kilku minu-

tach, płynącą ku nam w górę po rzece tratwę. Zrozpaczona Elza nie uradowała się tak na widok płynącego ku niej na łabędziu Lohengrina, jak ucieszyliśmy się my, spostrzegłszy niezgrabną tratwę. Lekka, niebieska mgła, zawieszona o tej wczesnej godzinie nad pięknymi wodami Szyłki, nadawała jeszcze więcej poezyi naszemu zjawisku. Był to mój przyjaciel, oficer kozacki, który wnosząc z mojej kartki, że żadna siła ludzka nie ruszy tratwy, że przepadła ona bez ratunku, przyholował z sobą pustą tratwę, aby przenieść na nią ładunek.

Otwór zatknięto, wyczerpano wodę i przeniesiono ładunek na próżny statek. Nazajutrz rano mogłem udać się w dalszą podróż. To małe doświadczenie było mi bardzo pożyteczne i niebawem dojechałem do miejsca mego naznaczenia bez żadnych dalszych przygód, o których warto by było wspominać! Zawsze znajdowaliśmy wieczorami niewielki szmat stromego, choć względnie nie zbyt wysokiego brzegu, do którego mogliśmy przybić. Wkrótce potem na brzegu bystrej i czystej rzeki płonęły nasze ogniska. A za tło biwaku służył wspaniały, górski krajobraz. Trudno wyobrazić sobie przyjemniejszą żeglugę, jak dniem, na tratwie, niesionej dowolnie prądem. Nie ma ani tego szumu, ani łoskotu, jak na parostatku. Czasami wystarczy zaledwie dwa razy poruszyć wielkiem wiosłem u steru, aby utrzymać tratwę na środku rzeki. Miłośnik przyrody nie znajdzie piękniejszych widoków, niż te, które podziwiamy, żeglując w dół po Szyłce i na górnym Amurze, gdzie szeroka, bystra i przejrzysta rzeka płynie wpośród porośniętych lasami gór, spuszczających się ku wodzie wysokimi, stromymi skałami, na dwa tysiące stóp wysokości. Ale te skały właśnie utrudniają ogromnie komunikację wzdłuż brzegów. Przejechać można tylko wierzchem — po górskiej

ścieżce. Doświadczyłem tego sam jesienią tegoż roku. Ostatnie siedem słupów po Szyłce (około 180-ciu wiorstw) nazywają w Syberji Wschodniej «siedmiu grzechami głównymi». Ta część Syberyjskiej kolei żelaznej, jeśli ją tu kiedykolwiek zbudują, będzie kosztować strasznie wiele, znacznie drożej, niż dystans kanadyjskiej kolei żelaznej, przerżnięty wśród gór skalistych, w wąwozie rzeki Frazer.

Zdawszy moje tratwy, przepłynąłem około 1500 wiorstw w dół po Amurze — na pocztowej łódce. Środek jej przykryty jest daszkiem, jak u kibitki, a na przodzie stoi skrzynia napelniona ziemią, na której rozpala się ogień. Wioślarzy miałem trzech. Musieliśmy śpieszyć się i wiosłowaliśmy po kolei cały dzień, a nocą puszczailiśmy łódkę swobodnie z prądem, starając się tylko utrzymać ją na środku rzeki. Siedziałem u steru ze trzy lub cztery godziny, aby nie pozwolić łódce zejść z głównego prądu i nie zostać zapełdzonym w jaki dopływ. Te nocne straże były pełne niewypowiedzianego uroku. Na niebie świeciła pełnia księżycowa, a czarne góry odbijały się w uspionej, przejrzystej rzece.

Wioślarze moi należeli do «synków», przepędzanych niegdyś przez różgi, a teraz włóczyli się z miasta do miasta i nie zawsze uznawali prawa własności. Ja zaś miałem z sobą ciężką sakwę, pełną srebra, banknotów i miedzi. W Europie zachodniej taka podróż wpośród samotnej rzeki uważałaby się za niebezpieczną, ale nie w Syberji Wschodniej. Odbyłem ją najpomyślniej, nie mając dla obrony nawet starego pistoletu. Moi włóczęgowie okazali się bardzo porządnymi ludźmi; tylko niedaleko od Błagowieszczeńska, zatroskali się.

— «Chanszina (wódka chińska) bardzo tania tu,

wzdychali. Wódka mocna, jak wypijesz, odrazu cię z nóg zwali — z nieprzyzwyczajenia!» Zaproponowałem im, że zostawię należne im pieniądze u jednego z moich przyjaciół — z poleceniem, żeby wypłacił je moim «synkom», gdy siądą na statek powrotny. — «I to nic nie pomoże, powtarzali ponuro, — wszystko jedno, ktoś pewnie poczęstuje kieliszkiem. Tania, przekłeta! a wypijesz, z nóg zwala».

«Synkowie» byli na prawdę zmartwieni. Kiedy w kilka miesięcy potem przejeżdżałem znowu z powrotem przez Błagowieszczeńsk, dowiedziałem się, że z jednym z moich «synków», jak ich nazywano w mieście, w rzeczy samej przytrafiła się bieda. Przepiwszy ostatnie buty, coś tam ukradł i dostał się do kozy. Mój przyjaciel wydobył go z niej ostatecznie, i wyprowadził z powrotem.

Tylko ci, którzy widzieli Amur, albo znają Missisipi i Jank-Tse-Kiang, mogą przedstawić sobie jaką ogromną rzeką staje się Amur po zlaniu się z Sungari i jakie olbrzymie bałwany chodzą po rzece w czasie słoty. W lipcu, podczas ulewnych deszczy, spowodowanych przez mussony, woda w Sungari, Ussuri i Amurze ogromnie przybywa. Wezbrana rzeka zalewa albo splókuje tysiące wysp, porośniętych gęstą trawą. Rzeka dochodzi trzech, a w niektórych miejscach nawet siedmiu wiorstw szerokości i rozlewa się w jeziora, które ciągną się łańcuchem z obu stron głównego koryta. Świeży wiatr wschodni kołysze wody rzeki i dopływów jej w sposób niezwykły. Bywa jeszcze gorzej, gdy od Chińskiego morza podniesie się tajfun.

Doświadczyliśmy go. Znajdywałem się wtedy w dużej krytej łódce z Malinowskim, z którym spotkałem się w Błagowieszczeńsku. Opatrzył on swoją łódkę we wszelkiego rodzaju żagle tak, że mogła iść prze-

ciw wiatrowi i kiedy wybuchła burza, zdołaliśmy skryć się w małej zatoce poza wiatrem. Tu przebyliśmy dwa dni, póki się burza nie uciszyła. Była ona tak gwałtowną, że gdy ośmieliłem się wyjść — na kilkaset kroków odległości — do tajgi, musiałem wrócić niebawem, gdyż wiatr obalał naokoło mnie drzewa w lesie. Zaczęliśmy się silnie niepokoić o bezpieczeństwo naszych tratw. Było jasnym, że jeżeli wypłynęły rano, nie mogły skryć się przed wiatrem. Musiały zostać zapędzone ku temu brzegowi, gdzie wściekłość burzy i bałwanów szczególnie szalała. W tym razie zguba ich była nieunikniona. Byliśmy prawie pewni, że zostały rozbite.

Ruszyliśmy w drogę zaraz, gdy wściekłość burzy ucichła trochę. Wedle naszych wyrachowań powinniśmy byli wkrótce wyprzedzić dwa szeregi tratw; ale minął dzień i drugi, a naszego spławu ani śladu. Gdzieś — w dali — u stromego brzegu widniały jakieś balki; ale ani magazynów, ani ludzi widać nie było. Malinowski stracił sen i apetyt i wyglądał, jak gdyby dopiero co wstał po ciężkiej chorobie. Od rana do wieczora siedział nieruchomo na pokładzie i szeptał: «wszystko przepadło! wszystko przepadło!» W tej części Amuru osady są rzadkie i nikt nie mógł nam udzielić żadnej wiadomości. Zaczęła się nowa burza. Wieczorem, gdy dotarliśmy nakoniec do jakiejś wsi, powiedziano nam, że tratwy tu nie przechodziły, ale że dnia poprzedniego wiele szczątków rozbitych statków płynęło po rzece. Nie ulegało wątpliwości, że zginęło co najmniej 40 tratw z ładunkiem 170 tysięcy pudów. Zapowiadało to niechybny głód w ujściach Amuru, na przyszłą wiosnę, jeśli zapasy nie zdążą na czas, albowiem zbliżała się jesień, żegluga wkrótce się przerywała, a linia telegraficzna nad dolnym brzegiem rzeki jeszcze wtedy nie istniała.

Złożyliśmy naradę i postanowiliśmy, że Malinow-

ski popłynie z całym możliwym pośpiechem do ujścia Amuru do Mikołajewska. Może przed zamknięciem żeglugi uda się zakupić zboże w Japonii. Ja zaś miałem podążyć w górę po rzece, żeby oznaczyć straty i potem pośpieszyć do Czity, jak się da: łódką, konno, albo parostatkiem, jeżeli się takowy trafi. Im śpieszniej uda się uprzedzić Czytyńskie władze i wyeksperymentować prowianty w dół rzeki, tem lepiej. Może dotrą one w jesieni do górnych brzegów Amuru, skąd uda się je spławić z pierwszą wodą do jego delty. Łatwiej będzie walczyć z głodem, jeżeli zapasy przybędą choćby na kilka tygodni, albo nawet na kilka dni wcześniej.

Moją podróż — 3000 wiorstw — rozpocząłem w małej łódce, zmieniając wiosłarzy w każdej wsi, t. j. mniej więcej co 30 wiorstw. Bardzo powoli posuwałem się naprzód; ale parostatek, płynący do ujścia rzeki mógł przybyć najwcześniej za dwa tygodnie, a do tego czasu mogłem już być na miejscu katastrofy i przekonać się, czy jaka część ładunku ocalała została. Mógłbym potem w Chabarówce, przy ujściu Ussuri, wsiąść na parostatek. Łódka była licha, rozpoczęły się znowu burze. Trzymaliśmy się — naturalnie — blisko brzegu, ale trzeba było przerywać kilka dosyć szerokich dopływów Amuru. W miejscach tych gnane wiatrem bałwany groziły zatopieniem naszej kruchej skorupki. Raz musieliśmy przeciąć ujście dopływu prawie na wiorstwą szerokości. Krótkie bałwany wznosiły się nakszałt wysokich wzgórz. Dwaj chłopci, siedzący przy wiosłach, strasznie się przerazili i pobledli, jak płótno, posiniałe usta ich drżały i szeptały pacierz. Ale trzymający ster piętnastoletni chłopiec nie stracił przytomności i bystro śledził fale. Prześlizgiwał się między nimi, gdy opadały. Gdy zaś bałwany groźnie podnosiły się przed nami, lekkim ruchem wiosła zsu-

wał się dziobem łódki po ich szczytach. Woda bezustannie zalewała naszą łódkę; wyczerpywałem ją starym dzbanem, ale niebawem przekonałem się, że daleko więcej przybywa jej, niż ja zdołam wylać. Raz zalały nas dwa takie ogromne bałwany, że na znak drżącego ze strachu wioślarza odpiąłem ciężką sakwę z miedziakami i srebrem, przewieszoną przez moje ramię. Takie przeprawy spotykały nas w ciągu kilku dni z rzędu. Nigdy nie nagliłem wioślarzy, ale oni wiedzieli, dla czego ja się śpieszę i sami decydowali — w danej chwili, czy można dalej płynąć. «Siedmiu śmierci nie bywa, a jednej się nie minie», mówili wtedy wioślarze, żegnając się i biorąc do wiosł.

Dotarłem nakoniec do miejsc, gdzie nastąpiło rozbicie się naszego spławu. Burza strzaskała 44 tratwę. Wylądować je było niemożliwym tak, że uratowaliśmy tylko bardzo niewielką część zapasów. Około stu tysięcy pudów mąki zatoneło w Amurze. Z tą smutną wiadomością ruszyłem dalej w drogę.

Po kilku dniach dopędził mię parostatek, wlokący się powoli w górę prądu. Niebawem znaleźliśmy się na jego pokładzie. Dowiedziałem się od pasażerów, że kapitan upił się aż do utraty przytomności i skoczył do morza; uratowano go jednak, a teraz leży w białej gorączce w kajucie. Proszono mię, bym przyjął komendę nad statkiem; zgodziłem się. Ale wkrótce, z wielkiem mojem zdziwieniem przekonałem się, że wszystko idzie tak dobrze samo przez się, że nie pozostaje mi nic do roboty, choć przechadzałem się uroczyście cały dzień po kapitańskim mostku. Pominąwszy kilka chwil rzeczywistej odpowiedzialności, gdy trzeba było przybijać do brzegu po zapasy drzewa — i od czasu do czasu parę słów zachęty do palaczy, ażeby skłonić ich do wyruszenia w drogę zaraz o świcie, gdy się wyjaśniały zarysy brzegów; rzecz szła własnym

swym trybem. Rotman, rozumiejący się na mapie, doskonale zastąpiłby kapitana.

To parostatkem, to konno dotarłem nakoniec na Zabajkał. Myśl o głodzie, który może wybuchnąć w ujściach Amuru, nie dawała mi spokoju, dla tego, widząc, że parostatek nasz posuwa się bardzo powoli w górę Amuru, wysiadłem na ląd i pojechałem — w towarzystwie kozaka — konno, górską ścieżką nad brzegiem Arguni. Te trzysta wiorstw Gazimurskiego łańcucha gór stanowią jedną z najdzikszych miejscowości Syberyi. Jechałem cały dzień i dopiero o północy zatrzymałem się gdzieś w lesie, żeby odpocząć do świtu. Mogłem zyskać w ten sposób jakich dziesięć, albo dwanaście godzin, ale i to miało znaczenie, bo z każdym dniem żegluga mogła się przerwać. Nocą na rzece zjawiała się już kra. Nakoniec spotkałem w Karze gubernatora Zabajkalskiego i mojego przyjaciela, pułkownika Piedaszenko, za którego staraniem w tej chwili został wysłany nowy transport zapasów. Ja zaś pośpieszyłem z raportem do Irkucka.

Wszyscy dziwili się tam, jak mogłem w tak krótkim czasie odbyć tak długą drogę; ale byłem tak zmordowany, że całkiem opadłem z sił i spałem prawie cały tydzień tak wiele, że wstyd się przyznać.

— Czy wypoczął pan należycie? spytał mię generał-gubernator w osiem czy dziesięć dni po moim przyjeździe. — Czy może pan wyjechać jutro w charakterze kuryera do Petersburga, aby osobiście donieść o zaginięciu tratw?

To znaczyło przelecieć w 20 dni — nie mniej 4800 wiorstw do Niżniego-Nowogrodu, zkąd mogłem już jechać do Petersburga koleją; to znaczyło pędzić dniem i nocą pocztowymi końmi w kibitce, albowiem żaden powóz na resorach nie wytrzymałby takiej długiej drogi po zmarzłej grudzie i wybojach. Ale nadzieja

zobaczenia się z Saszą była zbyt wielką pokusą, żeby się jej oprzeć i wyjechałem jeszcze następnej nocy. W Barabie i na Uralu podróż stała się czystą męką. Były dni, kiedy koła kibitek łamały się na każdej pocztowej stacyi. Rzeki ledwo zaczynały zamarzać. Przez Ob i Irtysz przeprowiałem się, gdy już gęsto szła kra — i zdawało się — że tuż, tuż zetrze naszą łódkę. Ale gdy dotarłem do rzeki Toni, która stanęła dopiero poprzedniego dnia, chłopci stanowczo wzbraniłi się przeprowić mię. Po długich pertraktacyach zażądali odemnie «kwitu».

— Jakiego kwitu? spytałem.

— A ot, niech pan napisze nam papier: «ja, oto, niżej podpisany, sam zaświadczam, że utonąłem z woli Bożej, a nie z winy chłopów» — i niech pan da nam ten kwit.

— Wybornie! na drugim brzegu.

— Nakoniec chłopci zdecydowali się. Na czele pochodu szedł młody parobek (wybrałem go sam w tłumie, ujęty jego śmiałym i roztroprnym wzrokiem), próbując trwałość lodu za pomocą żelaznego, zaostzonego drąga. Za nim szedłem ja z torbą z papierami na ramieniu. Trzymali nas na długich lejcach chłopci, idący za nami w pewnem oddaleniu. Jeden z nich niósł garść słomy, aby rzucić ją na lód, jeśliby się okazał zbyt ciekim.

Nareszcie dojechałem do Moskwy, gdzie brat spotkał mię na woksalu i niezwłocznie pojechaliśmy razem do Petersburga.

Młodość — wielka rzecz. Po podróży, trwającej bez przerwy 24-ry godzin i nocy, — przybywszy wczesnym rankiem do Petersburga, wręczyłem tegoż dnia papiery i nie omieszkałem odwiedzić zaraz jedną z ciotek, raczej z kuzynek. Zastałem ją promieniejącą. — «Dziś u nas tańce; czy przyjdiesz?» spytała. — «Ma

się rozumieć», — odpowiedziałem. I nie tylko przyszedłem, ale tańcowałem jeszcze do białego ranka.

W Petersburgu dopiero zrozumiałem, dla czego mnie właśnie wysłano z raportem. Zrazu nikt nie chciał wierzyć rozbiciu się tratw. «Sam pan był na miejscu?» «Widziałeś pan szczątki na własne oczy!» — «Czy jesteś pan zupełnie pewny, że oni wprost nie ukradli ładunku, a panu — dla zamydlenia oczu — pokazano szczątki kilku tratw?» — Oto na jakie pytania musiałem cały czas odpowiadać.

Wyżsi dygnitarze, zawiadujący w Petersburgu sprawami syberyjskimi, byli wprost zachwycający swoją głęboką nieznamościami kraju. — «*Mais, mon cher*, — powiedział mi jeden z nich (zawsze mówił on tylko po francusku), czyż to możliwe, żeby na przykład na Newie zginęło czterdzieści statków i żeby nikt nie pośpieszył im z pomocą?»

— Newa, zawołałem; wyobraź pan sobie trzy, cztery Newy rzędem obok siebie i otrzyma pan Amur przy ujściach.

— Czy taki szeroki? — W dwie minuty potem mój cywilny generał — paplał już wyborową francuszczyzną o różnych rozmaitościach. — «Kiedy pan widział ostatni raz malarza Schwarza? Nieprawdaż, jego «Iwan Groźny» wspaniały obraz? Czy wie pan, dla czego chciano aresztować Kukiela?» I opowiedział mi o przejętym liście, w którym proszono Kukiela o współudział w powstaniu polskim. — «A wie pan, że Czernyszewski aresztowany? Siedzi teraz w twierdzy».

— Za co? co zrobił? spytałem.

— Nic szczególnego! ale wiesz, *mon cher*, racye stanu!... Taki zdolny człowiek! zadziwiająco zdolny! Przytem, jaki wpływ na młodzież! Rozumie pan, natural-

nie, rząd tego nie może ścierpieć. Stanowczo nie może.
Intolérable mon cher, dans un Etat bien ordonné!

Hrabia N. N. Ignatjew nie stawiał wielu pytań, znał on bardzo dobrze Amur i znał także Petersburg. Wśród licznych żartów i dowcipów na temat syberyjskich stosunków któremi sypał jak z rękawa, Ignatjew zauważył: «jak to się dobrze stało, że pan byłeś na miejscu i widziałeś wszystko. Bardzo zręcznie urządzili się, wysławszy pana. Bardzo dowcipnie. Z początku nikt nie chciał wierzyć zatopieniu się tratw; myślano że to nowe oszustwo. Ale pan jesteś tu dobrze znany jako paż i za krótko przebywałeś pan w Syberyi, abyś chciał pokrywać ich szalbierstwa. Panu tu ufają».

Jedynym człowiekiem w Petersburgu, zapatrującym się poważnie na sprawę, był hr. Milutin, minister wojny. Zadał mi szereg pytań, wprost odnoszących się do sprawy i odrazu pojął, w czym rzecz. Cała nasza rozmowa prowadzoną była w krótkich zdaniach, bez nadmiernego pośpiechu, ale i bez zbytecznych słów.

— Pan myślisz, że do ujść lepiej jest dostarczać zapasy morzem, a do pozostałych części Amuru przez Czytę? Bardzo dobrze. No, a jeżeli i w przyszłym roku wydarzy się burza, czy nie zginie znowu cały spław?

— Rzecz wątpliwa, jeśli tratwom będą towarzyszyć dwa holujące parostatki.

— Czy dosyć dwóch?

— Jeżelibyśmy byli mieli choć jeden parostatek, straty byłyby daleko mniejsze.

— Bardzo możliwe. Ułóż pan raport na piśmie. Przedstaw pan wszystko to, coś pan powiedział, całkiem poprostu, bez żadnych formalności.

V.

Po krótkim pobycie w Petersburgu, tej samej jeszcze zimy wróciłem do Irkucka. Za kilka miesięcy miał tu przyjechać mój brat, zaliczony w randze oficera — do irkuckiego kozackiego pułku.

Ludzie, nieznający Syberyi, myślą, że podróż po niej zimą jest wyjątkowo ciężką. Ale — właściwie — podróż zimowa jest lżejszą, niż w jakiegokolwiek innej porze roku. Sanie pędzą po gładkiej drodze. Chłód silny, — znosi się jednak stosunkowo dość lekko. Gdy się leży w krytych saniach, jak to przyjęte w Syberyi, otulonym w podwójne futro, nie cierpi się zbyt wiele od mrozu, nawet przy 40-stu albo 50-ciu stopniach niżej zera. Podróżując jako kuryer, t. j. rozstawionymi końmi i zatrzymując się tylko raz na dobę — na godzinę, dla obiadu, w 19-ście dni po wyjeździe z Petersburga byłem już w Irkucku. Przejeżdżałem na dobę przecięciowo 30 wiorstw, a tysiąc wiorstw od Krasnojarska do Irkucka zrobiłem w 70 godzin. Mróz był umiarkowany, pogoda prześliczna, droga wyśmienita a pocztyljoni otrzymywali hojnie «na wódkę».

Zdawało się, że trójka rączych koników z prawdziwą przyjemnością mknie z lekkimi saniami po górach i dolinach, po zamarzłych rzekach i przez tajgę, lśniącą na słońcu w swym srebrnym stroju.

Zostałem teraz mianowany urzędnikiem do specjalnych zleceń przy generał-gubernatorze Syberyi Wschodniej, zawiadującym sprawami kozackimi. — Mieszkać miałem w Irkucku, ale spraw, właściwie mówiąc, było nie wiele. Z Petersburga wyszedł milczący rozkaz, żeby nie przedstawiać żadnych zmian i pozostawić rzeczy ich własnemu biegowi, wedle dawno ustanowionego porządku. Wskutek tego tem chętniej przy-

jąłem propozycję zajęcia się geograficznymi poszukiwaniami w Mandżuryi. Rzut oka na mapę Azji pokazuje, że granica między Rosją a Chinami, która — w ogóle — przechodzi pod 50-ym stopniem szerokości północnej, zwraca się nagle za Bajkałem na północ — wschód. Na przestrzeni 400 wiorstw ciągnie się ona wzdłuż Argunu; potem, doszedłszy do Amuru, skręca na południe-wschód, aż do Błagowieszczeńska włącznie, który leży pod tym samym 50-ym stopniem. Tym sposobem — odległość pomiędzy południowo-wschodnim kątem okręgu Zabajkalskiego (Nowo-Curuchajtuj) i Błagowieszczeńskiem nad Amurem — wynosi w prostej linii tylko siedemset wiorstw; ale po Argunie i Amurze więcej niż tysiąc pięćset wiorstw; oprócz tego, komunikacja po Argunie, który nie jest żeglowny, jest bardzo utrudnioną. W dolinach jego ujścia nie ma innej drogi, oprócz górskiej ścieżki.

W kraju Zabajkalskim znajduje się wielka moc bydła. Kozacy, bogaci hurtownicy, zamieszkali na południowo-wschodnim krańcu prowincyi, życzyli więc sobie zaprowadzić bezpośrednią komunikację z środkową częścią Amuru, gdzie znaleźliby korzystny zbyt na swoje bydło. Od Mongołów, z którymi handlowali, słyszeli, że do Amuru dojść nie trudno; kierując się wciąż na Wschód, przez Wielki Chingan, wychodzi się na starą chińską drogę, która przerzyna Chingan i prowadzi do mandżurskiego miasta Mergen (nad dopływem Sungari, rzeką Nonni), a ztamtąd do Amuru idzie wyborny trakt kołowy.

Ofiarowano mi dowództwo nad karawaną handlową, którą kozacy chcieli wyprawić celem znalezienia tej drogi, na co zgodziłem się z wielką chęcią.

Żaden Europejczyk nigdy jeszcze nie zwiedzał tych miejsc; topograf rosyjski, który na kilka lat przedtem udał się w te strony, został zabity. Tylko dwom

Jezuitom udało się za cesarza Kang-si przeniknąć z południa do Mergenu i oznaczyć jego szerokość. Cały zaś olbrzymi kraj na północ, 750 wiorstw szeroki i 200 wiorstw długi był całkiem nieznanym. Ma się rozumieć, starałem się ze starych książek zapoznać z tym krajem, ale nawet chińscy geografowie nic nie wiedzą o nim. A tymczasem połączenie Amuru z Zabajkałem miało ogromne znaczenie. Teraz Nowo-Curuchajtuj będzie punktem wyjścia mandżurskiej części syberyjskiej kolei żelaznej. Byliśmy więc pionierami wielkiego dzieła.

Zachodziła zresztą jedna trudność. Wedle umowy — bogdychan nadał Rosyanom prawo handlu w cesarstwie Chińskim i w Mongolii; o Mandżuryi nie było wzmianki. Równie dobrze można było twierdzić, że ona jest i nie jest objęta umową. Władze chińskie tłómaczyły sobie umowę na swój sposób, rosyjskie też na swój. Oprócz tego w umowie mówiło się tylko o kupcach, oficerowi zaś nie pozwolono by wcale wjechać do Mandżuryi. Musiałem więc — przebrać się za kupca. Nakupiłem w Irkucku i wziąłem w komis moc przeróżnych towarów i przywdziałem strój kupiecki. General-gubernator wręczył mi paszport, opiewający na imię «Irkuckiego drugiej gildyi kupca, Piotra Aleksiejewicza — z towarzyszami». Uprzedził mię przytem, że nie powinienem w żadnym wypadku zdradzać jego współdziału w tej sprawie przez podanie mego nazwiska władzom chińskim, choćby mię nawet aresztowano i odesłano do Pekinu, a ztamtąd przez pustynię Gobi do rosyjskiej granicy — w klatce, na grzbiecie wielbłąda (tak Chińczycy wożą zawsze więźniów przez Mongolię). Ma się rozumieć, przyjąłem wszystkie warunki. Trudno podróżnikowi oprzeć się pokusie zwiedzenia kraju, w którym jeszcze noga europejska nie powstała.

Tylko — zachować moje incognito w kraju Zabajkalskim nie było rzeczą łatwą. Kozacy pod względem przenikliwości i badawczości mogą zawstydzić Mongołów. Gdy kto obcy przyjeżdża do wsi, gospodarz chaty wita gościa z wielką serdecznością, ale mimo to poddaje go formalnemu badaniu.

— Jednakże, podróż ciężka, — zaczyna zwykle. Daleka droga od Czity ?

— A zwłaszcza, jeżeli się jedzie, być może, nie z Czity, a z samego Irkucka ?!

— Handlujecie pewnie ? Wiele kupców tu przyjeżdża. Co ? może i do Nerczyńska się wybieracie ? Tak. W waszych latach bywa się zwykle żonatym. Gospodyni pewno została w domu ? Dziaćki też macie ? Nie same chłopcy, spodziewam się, — i córki są ? I tak dalej, dobre pół godziny.

Komendant miejscowej brygady kozackiej, kapitan Buxhowden, znał na wylot swych kozaków, przedsięwzięliśmy więc pewne środki ostrożności. W Czycie i Irkucku nieraz urządzaliśmy przedstawienia amatorskie i między innemi dawaliśmy sztuki Ostrowskiego. Grałem w nich kilka razy i — w dodatku — z takim przejęciem się, że napisałem raz do brata entuzjastyczny list, donosząc mu o nieodwołalnym postanowieniu rzucenia służby i wstąpienia do trupy aktorskiej. Po większej części występowałem w rolach młodych kupczyków, umiałem więc nieźle naśladować ich sposób mówienia i poruszania się — i spijania herbaty ze spodka (czego nauczyłem się jeszcze w Nikolskiem). Teraz nadarzała się sposobność odegrania roli kupca nie na scenie, a w życiu.

— «Siadajcie, Piotrze Aleksiejewiczu», mówił mi kapitan Buxhowden, gdy na stole pojawiał się kipiący, szumiący samowar.

— «Pokornie dziękujemy, — i tu posiedzimy,» od-

powiadałem, sadowiąc się zdaleka, ostrożnie, na brzeżku krzesła i biorąc się do picia herbaty zupełnie po moskiewsku. Buxhowden pękał ze śmiechu, patrząc, jak wytrzeszczywszy oczy, dmuchałem na spodek i gryzłem kawałeczek cukru, z którym wypijałem pół tuzina szklanek herbaty.

Wiedzieliśmy, że kozacy prędko się o wszystkim wywiedzą i przenikną tajemnicę mojego incognito, ale chodziło o wygranie choć kilku dni, żeby przejść swobodnie granicę, nim się stanie powszechnie wiadomem, kto jestem. Zdaje się, że grałem moją rolę nieźle, bo kozacy przyjmowali mię wszędzie za drobnego handlarza. W jednej ze «stannic» (osada kozacka) zatrzymała mię staruszka gospodyni.

— Dużo jeszcze ludzi jedzie za tobą? spytała.

— Nie słyszałem, babko.

— A jakże, mówiono jakiś książe Rapotski, czy jak go tam, ma przejeżdżać? Cóż, prawda to?

— Tak, w samej rzeczy, babko, odpowiedziałem. Jaśnie oświecony książe pan istotnie chciał przyjechać z Irkucka. Ale gdzie on się tam wybierze w taką daleką drogę!

— No, — i pozostał w mieście.

— Co tu mówić, gdzie mu tam jechać!

Słowem, przejechaliśmy bez przeszkód granicę. Było nas — oprócz mnie — jedenastu kozaków i jeden tunguz, wszyscy konno. Pędziliśmy na sprzedaż tabun ze 40-stu koni i mieliśmy dwa wózki; w jednym z nich, niewielkim kabryoleciku, stanowiącym moją osobistą własność, wiozłem na sprzedaż sukno, aksamit, pasmanteryę i tym podobne towary. Sam miałem staranie o moim koniu i pilnowałem mego kabryoletu. Jednego z kozaków mianowaliśmy «starszym» karawany, czyli tak zwanym «starszyną»; jemu powierzały się specjalne dyplomatyczne układy z władzami

chińskimi. Wszyscy kozacy mówili po mongolsku, a tunguz rozumiał po mandżursku. Ma się rozumieć kozacy wiedzieli, kto jestem; jeden z nich widział mię w Irkucku, ale nikt mnie nie wydał, — wszyscy rozumieli, że od milczenia zależy powodzenie całej wyprawy. Miałem na sobie taki sam niebieski «chałat», jak inni i Chińczycy tak dalece nie zwracali na mnie uwagi, że mogłem swobodnie zdejmować plany okolicy. Tylko pierwszego dnia, gdy byliśmy wciąż niepokojeni przez gromadę chińskich żołnierzy, spodziewających się wyprosić od nas kieliszek wódki, ukradkiem zaledwie udawało mi się od czasu do czasu spojrzeć na mój kompas, a różnice wysokości i odległości zapisywałem w kieszeni, nie wyjmując papieru. Nie mieliśmy żadnej broni; jeden tylko tunguz, który wybierał się właśnie z konkurami, posiadał krzemioną fuzyę i strzelał z niej daniele; skóry zachowywał starannie, aby mieć czem opłacić «kałym» (okup za narzeczoną), a mięso zjadaliśmy. Kiedy żołnierze chińscy przekonali się, że więcej wódki nie dostaną, zostawili nas w spokoju. I poszliśmy na Wschód, przedzierając się przez góry i doliny. Po czterech czy pięciu dniach wyszliśmy istotnie na chińską drogę, która powinna była przyprowadzić nas przez Chingan do Mergenu.

Ku wielkiemu zdziwieniu naszemu przeprawa przez łańcuch górski, który tak czarno i groźnie wygląda na mapie, w rzeczywistości okazała się bardzo łatwą. Dopędziliśmy w drodze starego chińskiego urzędnika, o bardzo niepozornym wyglądzie; jechał on w małym kabryolecie i posuwał się powoli przed czołem naszej kolumny. Z charakteru miejscowości można było wnosić, że wznieśliśmy się na znaczną wysokość. Grunt stawał się bagnisty, a droga błotnistą. Spotykaliśmy tylko rzadką trawę, drzewa stawały się cien-

kie, karłowate, często krzywe, pokryte mchem. Na prawo i na lewo sterczały nagie skały. Niepokoiłiśmy się już temi trudnościami, które czekają nas zapewne przy przejściu przez góry, gdy dopędziliśmy starego chińskiego urzędnika, który wylazł ze swej bryczki przy «obo» (kupy kamieni i gałęzi, do których są przywiązane końskie włosy i różne szmaty). Urzędnik wyrwał kilka włosów z grzywy swego konia i nawiązywał je na gałąź.

— Co to jest? pytaliśmy,

— Obo. Ztąd wody płyną już do Amuru.

— I to cały Chingan?

— Tak cały. Do samego Amuru nie ma więcej gór.

Tylko same wzgórza.

Głębokie wzruszenie ogarnęło całą naszą karawanę.

— «Ztąd rzeki płyną już do Amuru! do Amuru!» — wołali kozacy. Od dziecka słyszeli oni od starców o wielkiej rzece, nad której brzegami rosną dziko winogrona i ciągną się na setki wiorstw stepy, mogące wzbogacić miliony ludzi. Kiedy rzekę przyłączono do Rosyi, kozacy słyszeli o dalekiej drodze do niej, o przeszkodach, z którymi walczyli pierwsi osadnicy i o dobrobycie swych krewnych, którzy osiedlili się przy górnem ujściu Amuru. I oto teraz znaleźliśmy krótką drogę do jego brzegów. Przed nami była dosyć stroma pochyłość, i droga w dół wiła się zygzakami do niewielkiej rzeczki, która przerzynała dosyć szeroką dolinę, wpośród zastygłego morza gór — i wpadała do Nonni. Na drodze do Amuru nie leżały już żadne przeszkody! — Każdy podróżnik łatwo przedstawi sobie mój zachwyt z powodu tego niespodziewanego geograficznego odkrycia. Co się tyczy kozaków, to zsiadli oni z koni i w swoją kolej przywiązywali do gałęzi «obo» po pęku włosów, wyrwanych z końskich grzyw. Sybiryacy — w ogóle — lękają się trochę pogań-

skich bóstw tubylców. Nie zbyt wysoko, co prawda, je cenią, ale ponieważ obawiają się ich złośliwości, wolą raczej pozostawać z niemi w zgodzie. Daleko jest korzystniej pozyskać je sobie niewielką oznaką szacunku.

— Patrzcie, jakie dziwne drzewo; dąb zapewne, — wołali kozacy, gdy schodziliśmy z płaskowzgórza.

Dąb w Syberyi nie rośnie i spotyka się tylko po za wschodnią pochyłością wysokiego płaskowzgórza.

— Patrzcie, leszczyna! mówili kozacy dalej. — A to, co to za drzewo? zapytywali na widok lipy, albo innych drzew, które nie rosną w Syberyi, ale stanowią część flory mandżurskiej. Mieszkańcy północy, marzący długimi latami o ciepłym kraju, wpadli w prawdziwy zachwyty. Leżąc na ziemi, pokrytej bujną trawą, chciwie wpatrywali się w nią i zdawało się, że wnet zaczną ją całować. Teraz kozacy pałali żądzą dotarcia jak najprędzej do brzegów Amuru. Kiedy w dwa tygodnie potem rozłożyliśmy się na ostatni nocleg o 30 wiorstwach od rzeki, niecierpliwili się, jak dzieci; zaczęli siodłać konie zaraz po północy i zagnlili mię do wyruszenia w drogę na długo przed świtem. I gdy — na koniec — ujrzeliliśmy ze szczytów wzgórze niebieskie wody Amuru, w oczach zwykle obojętnych Sybiraków, obcych wszelkiemu poetycznemu uczuciu, zapalił się nieudany zachwyty. Wtedy stało mi się jasnym, że — prędzej czy później, z pomocą rządu rosyjskiego, lub bez, — oba brzegi Amuru, teraz jeszcze puste i bezлюдne, ale przydatne do kolonizacji, zostaną zajęte i zaludnione przez Rosyan. W taki sam sposób kanadyjscy «voyageurs» zaludnili brzegi Mississipi.

Tymczasem pół ślepy chiński urzędnik, z którym przeprawiliśmy się wspólnie przez Chingan, oblekł się w swój błękitny chałat, nałożył urzędową czapkę ze szklaną galką i oświadczył nam nazajutrz rano, że nie

pozwole nam iść dalej. «Starszy» przyjął urzędnika i jego pisarza w namiocie. Starzec przytaczał różne racje przeciwko naszej dalszej podróży, powtarzając to, co mu podszeptował «bożko» (policyant). Chciał on, żebyśmy rozłożyli się tu obozem i czekali, aż poszle paszport nasz do Pekinu i otrzyma ztamtąd odpowiedź. Wręcz odmówiłem. Wtedy zaczął kwestyonować nasz paszport.

— «Co to za paszport?!» mówił, patrząc z pogardą na kilka wierszy w mongolskim i rosyjskim języku, napisanych na arkuszu zwykłego papieru ze zwykłą pieczęcią z laku. — «Wy sami mogliście go sobie napisać i przypieczętować miedzianą monetą pięciokopiejkową. Popatrzcie na mój paszport! To warto popatrzeć!» — i rozwinął przed nami arkusz dwóch stóp długości, pokryty chińskimi znakami.

W czasie tej rozmowy siedziałem spokojnie opodal i składałem coś w kuferku, gdy między innymi wpadł mi do rąk numer «Wiadomości Moskiewskich». Dziennik ten, stanowiący własność moskiewskiego uniwersytetu, ma pierwszą stronicę ozdobioną u góry herbem państwowym. «Pokaż mu to», powiedziałem «starszynie», który, rozpostarłszy olbrzymi zadrukowany arkusz, wskazał Chińczykowi orła. «Tamten mamy tylko na pokaz — rzekł — ale ten jest dla nas samych». — «Jakto, czy wszystko to o was napisano?», zapytał przerażony starzec. — «Tak, wszystko o nas», odpowiedział z niezmaconą powagą «starszyna».

Stary Chińczyk, jak prawdziwy szczer kancеляryjny, był nie na żarty oszołomiony taką masą pisma. Kręcąc głową, spoglądał na nas z szacunkiem. Ale «bożko» znów coś szepnął mu do ucha — i urzędnik oświadczył nam po raz drugi — że mimo naszego paszportu, nie puści nas dalej.

— «Dosyć gadania», — powiedziałem starszynie. «Kaź

siodłać konie». Kozacy byli tego samego zdania i orszak nasz ruszył z miejsca. Pożegnaliśmy się ze starcem, obiecując mu zawiadomić jego zwierzchnie władze, że usiłował on wszelkimi sposobami wzbronić nam wstępu do Mandżuryi — i jeśliśmy do niej weszli — to winni temu jesteśmy sami.

W kilka dni potem byliśmy w Mergenie, gdzieśmy trochę handlowali — i wkrótce dotarliśmy do chińskiego miasta Ajgun, położonego na prawym brzegu Amuru, trochę powyżej Błagowieszczeńska. Odkryliśmy więc poszukiwaną prostą drogę nad średni Amur i prócz tego jeszcze wiele ciekawych rzeczy: charakter krańcowego łańcucha Wielkiego Chinganu, łatwość przeprawy przezeń, położenie trzeciorzędnych wulkanów w okolicy Ujun-Chołodonii, co przez długi czas stanowiło zagadkę dla geografów. Nie mogę się pochwalić, żebym wykazał wielkie zdolności kupieckie; w Mergenie n. p. uporczywie żądałem (w łamanym mandżurskim języku) za zegarek 35 rs., gdy kupiec chiński dawał mi już 45 rs.; ale kozacy targowali doskonale. Sprzedali bardzo korzystnie wszystkie swoje konie, a gdy zostały sprzedane moje konie, towary i namiot, okazało się, że wyprawa kosztowała rząd zaledwie 22 ruble.

VI.

Całe lato spędziłem na wycieczkach po Amurze. Dotarłem do samego ujścia rzeki, a raczej do jej limanu gdzie w Mikołajewsku spotkałem się z generał-gubernatorem, któremu towarzyszyłem w wycieczce na parostatku w górę po Ussuri. Jesienią tego roku odbyłem jeszcze ciekawą podróż po Sungari do samego serca Mandżuryi — aż do Girynu, czy też, jak mówią na południu — Kirynu.

Wiele rzek w Azji powstaje ze zlania się dwóch jednakowo potężnych strumieni, tak że geograf z trudnością tylko określić może, którą rzekę uważać należy za główną, a którą za dopływ. Połączenie Ingody z Ononem tworzy Szyłkę, Szyłka i Argun tworzą razem Amur, a Amur, zlawszy się z Sungari, staje się tą olbrzymią rzeką, która płynie na północ-wschód i pochłonięta rozległemi wodami zatoki Tatarskiej — wpada do Oceanu Spokojnego.

Do 1864 r. wielka mandżurska rzeka była prawie nieznaną. Wszystkie skąpe wiadomości, jakie posiadano o niej, pochodziły jeszcze z czasów Jezuitów. Teraz — kiedy projektowano cały szereg eksploracyjnych wypraw do Mongolii z Mandżuryi, i kiedy strach, jakim niegdyś Chiny przejmowały Rosyę, poczynął się rozpraszać, my, młodzież, upornie nalegaliśmy na generał-gubernatora, by pozwolił nam zbadać Sungari. Wydawało się nam prawie hańbą, że u samego progu, by się tak wyrazić, Amuru leży olbrzymi kraj, równie mało znany, jak któraby z pustyni afrykańskich. Istotnie generał Korsakow postanowił wysłać parostatek w górę po Sungari pod pozorem zawiezienia przyjacielskiego listu generał-gubernatorowi prowincyi Giryńskiej. Oddawcą listu miał być nasz Urgiński konsul, Sziszmarew. W skład wyprawy, którą dowodził pułkownik Czerniajew, weszli jeszcze: doktor Konradi, astronom Usolcew i ja. Oddano do naszego rozporządzenia maleńki parostatek, «Ussuri», holujący za sobą tratwę z węglem. Na tratwie znajdowała się eskorta z 25-ciu żołnierzy, którzy broń swoją ukryli starannie pod węglem.

Przygotowania do podróży czyniły się bardzo pośpiesznie, w skutek tego statek nasz nie był zbyt wygodnie urządzony na nasze przyjęcie, ale pełni zapału, nie dbaliśmy o wygody i pomieściliśmy się w cia-

snych kajutach, jak się dało. Ktoś z nas musiał nawet spać na stole. Kiedy ruszyliśmy, okazało się, że brakuje noży i widelców dla wszystkich, nie mówiąc już o innych sprzętach. Musieliśmy więc posługiwać się przy obiedzie zamiast noża scyzorykiem, a mój chiński nóż z dwoma pałeczkami zamiast widelców stanowił bardzo pożądane uzupełnienie naszego gospodarstwa.

Żegluga w górę Sungari nie jest rzeczą łatwą. W dolnym swym biegu wielka rzeka przepływa takie same niziny, jak Amur i jest tak płytka, że choć nasz maleńki parostatek zagłębiał się zaledwie na trzy stopy, nie mogliśmy znaleźć dość głębokiej wody. Bywały dni, kiedyśmy robili najwyżej 60 wiorstw i nieustannie słyszeliśmy skrzyp piasku, trącego się o spód statku. Co chwila trzeba było wysłać naprzód łódkę dla zbadania drogi i wyszukania odpowiedniej głębi. Ale nasz młody kapitan postanowił nieodwołalnie dotrzeć do Girynu przed jesienią, i każdego dnia — mimo przeszkód — posuwaliśmy się trochę naprzód. Im dalej płynęliśmy, tem rzeka stawała się piękniejszą i żeglowniejszą. Kiedy zaś pozostawiliśmy za sobą piaszczyste pustynie przy dopływie Nonni, podróż nasza stała się wcale miłą i przyjemną. Bez dalszych przeszkód, przybiliśmy po kilku tygodniach drogi do głównego miasta tej prowincyi Mandżuryi. Kapitan Wasiljew i towarzysz jego, Andrejew, nakreślili wspaniałą mapę rzeki. Na nieszczęście czas naglił i tylko zrzadka mogliśmy zatrzymywać się w jakim mieście lub wsi. Osady wzdłuż dolnych brzegów rzeki są dość nieliczne. Widzieliśmy tylko niziny, zalewane corocznie w czasie wiosennego wzbierania rzek; trochę dalej, na setki wiorstw w dół brzegów ciągną się piaszczyste wydmy i tylko w górnej części Sungari, — bliżej Girynu, brzegi są gęsto zaludnione.

Jeśliby celem naszym było zawiązanie przyjacielskich stosunków z Mandżuryą, a nie po prostu zbadanie Sungari, wycieczkę naszą należałoby uważać za całkiem chybiającą. Władze mandżurskie miały jeszcze zbyt świeżo w pamięci, jak osiem lat temu «odwiedziny» Murawiewa zakończyły się przyłączeniem Amuru i Ussuri; to też wobec nieproszonych i nieoczekiwanych gości Chińczycy zachowywali się bardzo podejrzliwie. Dwadzieścia pięć gwintówek, ukrytych pod węglem, o czym władze chińskie były powiadomione jeszcze przed naszym wypłynięciem w drogę, mogły tylko zaostrzyć tę podejrzliwość. Kiedy parostatek nasz zarzucił kotwicę w porcie ludnego miasta Girynu, — wszyscy kupcy w mieście zostali uzbrojeni w zardzewiałe szable ze starego arsenału. Nie wzbrażano nam wprawdzie przechadzać się, po ulicach, ale natychmiast za naszym pojawieniem się zamykały się wszystkie sklepy. Kupcom zabroniono sprzedawać nam cokolwiek. Władze miejscowe przysłały nam na statek trochę zapasów żywności, ale tytułem podarku, nie przyjmując pieniędzy.

Nastąpiła już późna jesień. Zaczynały się przy-mrozki i należało śpieszyć się z powrotem, jeśli nie chcieliśmy zimować nad Sungari. Widzieliśmy więc Girin, ale mówiliśmy tylko z dwoma tłumaczami, którzy każdego rana zjawiali się na naszym parostatku. Cel podróży był jednak osiągnięty: przekonaliśmy się, że rzeka jest żeglowna i narysowaliśmy dokładną mapę Sungari od ujścia do Girynu. Mogliśmy teraz, kierując się podług niej, posuwać się naprzód w pełnym biegu, bez męczących przygód. Raz jednakże siedliśmy na mieliźnie. Władze chińskie, bojąc się przedewszystkiem, żebyśmy nie zazimowali nad rzeką, natychmiast przysłały nam z pomocą dwustu chińczyków i zdołaliśmy się ruszyć. Gdy ze stu Chiń-

czyków stało w wodzie, usiłując nadaremnie podnieść parostatek za pomocą drągów, skoczyłem do wody, pochwyciłem drąg i zaśpiewałem «Dubinuskę» (ludowa pieśń rosyjska), aby w takt jej dźwięków zgodnie popychać statek. Bardzo się to podobało Chińczykom i przy niemożliwych do opisania piskach ich cienkich głosów, parostatek poruszył się nakoniec i zszedł z mielizny. Ta mała przygoda związała między nami i Chińczykami najlepsze stosunki. Mówię, naturalnie, o prostym ludzie, który, zdaje się, nienawidzi swych hardych mandżurskich władz.

Zatrzymywaliśmy się przy kilku chińskich wsiach, zamieszkałych przez wygnańców z Cesarstwa Niebieskiego i wszędzie przyjmowano nas bardzo przyjaźnie. Pozostał mi w pamięci zwłaszcza jeden wieczór. Przybiliśmy do jednej malowniczej wioski, gdy zmrok już zapadał. Kilku z nas zeszło na brzeg i poszliśmy przejść się po wsi. Wkrótce otoczył mię tłum, — co najmniej ze stu Chińczyków. Chociaż nie umiałem ani słowa po chińsku, a oni nic więcej po rosyjsku, nie przeszkadzało to nam żwawo i przyjaźnie gawędzić (jeśli tylko słowo to jest tu odpowiednie) za pomocą znaków i rozumieć się doskonale. Stanowczo — wszystkie ludy rozumieją, co znaczy, jeżeli się kogo przyjaźnie poklepie po ramieniu. Poczęstować się wzajemnie tabaką, albo podać sobie ognia do zapalenia fajki, — także bardzo zrozumiałe wyrażenie przyjacielskich uczuć. Jedna rzecz — widocznie — szczególnie zaciekawiała Chińczyków: dlaczego noszę brodę, będąc jeszcze takim młodym? Chińczykom wolno zapuszczać brodę dopiero w 60-tym roku życia. Wytlómaczyłem im za pomocą znaków, że w ostatecznej potrzebie mogę żywić się brodą, jeśli nic innego nie będzie do jedzenia. Żart został zrozumiany i natychmiast zaczął obiegać z ust do ust między tłumem. Chińczycy za-

nosili się od śmiechu i jeszcze serdeczniej klepali mię po ramieniu. Zapraszali mię do siebie, pokazywali swoje domy, każdy ofiarował swoją fajkę, a potem cały tłum po przyjacielsku odprowadził mię na parostatek. Muszę dodać, że w tej wsi nie było ani śladu «bożko» (policyanta). W drugich wsiach i my i nasi żołnierze zawiązywaliśmy zawsze uprzejme stosunki z Chińczykami, ale ledwie się ukazał «bożko», wszystko się psuło. Za to trzeba było widzieć, jakie miny pokazywali mu oni za plecami. Widocznie, Chińczycy nienawidzili tego przedstawiciela zwierzchniczej władzy.

O wyprawie tej potem zapomnieli. Astronom F. Usolcew i ja zamieściliśmy sprawozdanie z naszej wycieczki w «Zapiskach» Wschodnio-Syberyjskiego Oddziału Towarzystwa Geograficznego; ale w kilka lat potem, w czasie strasznego pożaru w Irkucku, zginęły wszystkie pozostałe egzemplarze «Zapisek» razem z mapą Sungari. I dopiero w ostatnich czasach, gdy rozpoczęto roboty około Mandżurskiej kolei żelaznej, geografowie rosyjscy odnaleźli nasze sprawozdania i dowiedzieli się, że Sungari była zbadaną jeszcze 35 lat temu.

VII.

Ponieważ wszelką myśl o reformach zarzucono, starałem się zrobić wszystko, co było możliwem do zrobienia — wobec danych warunków — na innych polach pracy; ale wkrótce przekonałem się o próżności wszelkich usiłowań w tym względzie. Tak na przykład, w charakterze urzędnika «do specjalnych zleceń przy generał-gubernatorze» dla spraw kozackich, zająłem się starannem zbadaniem gospodarczego stanu kozaków ussuryjskich, trapionych corocznie ciężkim nieurodza-

jem, tak — iż rząd musiał żywić ich całą zimą, aby nie poginęli z głodu. Kiedy wróciłem z Ussuri z mojem sprawozdaniem, winszowano mi ze wszech stron, podano mię do awansu, otrzymałem specjalną nagrodę. Wszystkie miary, które proponowałem, zostały przyjęte. Stosownie do mojej rady — jedne stannice zapomozono pieniędzmi, inne bydłem, a trzecie przesiedlono w strony więcej urodzajne, na wybrzeże Oceanu Spokojnego. Ale praktyczne wykonanie tych postanowień powierzonom zostało staremu pijakowi, który przyuczał kozaków różgami do rolnictwa. I tak było wszędzie — poczynając od Pałacu Zimowego do kraju Ussuryjskiego i Kameczatki.

Wyższa administracya syberyjska miała najlepsze chęci; powtarzam po raz drugi: składała się ona w każdym razie z ludzi daleko lepszych, daleko inteligentniejszych i więcej dbałych o dobro kraju, niż inne władze w Rosyi. Ale zawsze była to administracya — gałąź drzewa, trzymającego się korzeniami całemi Petersburga. I to wystarczało, aby paraliżować wszystkie dobre chęci i krępować miejscowe samodzielne objawy życia społecznego i postępu. Jeśli obywatele miejscowi zamierzali coś uczynić dla dobra kraju, przyjmowano to nieufnie i podejrzliwie. Wszelka próba w tym kierunku natychmiast paraliżowała się nie tyle w skutek niechęci (zauważyłem — w ogóle, że ludzie lepsi są, niż instytucye), ale po prostu dla tego, że władze syberyjskie były częścią składową piramidalnej, scentralizowanej administracyi ogólnej. Już sam ten fakt, że były one gałęzią rządowego drzewa, wzrosłego korzeniami w stolicy, sprawiał, że władze syberyjskie patrzyły na wszystko, przedewszystkiem — z urzędniczego punktu widzenia. Pierwszą i najważniejszą kwestyą dla nich było nie to, czy ta lub owa rzecz jest pożyteczną dla kraju, ale co powie

zwierzchność tam, jak popatrzą na to ludzie, sterujący machiną państwową.

Powoli zacząłem się coraz wyłącznie oddawać badaniom naukowym. W 1865 r. zbadałem zachodnie Sajany. Tu zebrałem jeszcze kilka nowych danych dla ułożenia szematu orografii Syberyi i odkryłem także drugi rozległy pas wulkaniczny, na granicy Chin, na południe od kordonu Okińskiej straży. Nakoniec w 1866 r. przedsięwziąłem daleką podróż celem odnalezienia prostej drogi z Zabajkału do Witimskich i Olekmińskich kopalni złota. W ciągu kilku lat (1860 do 1864) członkowie ekspedycyi Syberyjskiej starali się znaleźć tę drogę i usiłowali przedrzeć się przez równoległe szeregi dzikich, kamiennych szczytów, oddzielających kopalnie złota od kraju Zabajkalskiego. Ale za każdym razem, kiedy badacze zbliżali się od południa ku tym strasznym góróm, pokrywającym kraj na kilkaset wiorstw na północ, — wszyscy (oprócz jednego, którego zabili tubylcy) wracali zniechęceni nazad. Jasnym było, że nową próbę należy przedsięwziąć od północy na południe, — z przerażającej, nieznaney pustyni do cieplejszego i ludniejszego kraju. Kiedy przygotowywałem się do wyprawy, wpadła mi w rękę — pomiędzy innymi rzeczami — maleńka mapa, wyrżnięta przez Tunguza nożem, na kawałku kory brzozonej. Ta brzozowa karta geograficzna (między innymi — może ona służyć jako doskonały przykład korzyści, które przynosi uzdolnienie geometryczne nawet pierwobytnemu człowiekowi i z tego względu mogłaby zainteresować A. R. Wallace'a) tak uderzyła mięswem widocznem prawdopodobieństwem, że całkiem jej zaufałem i wybrałem drogę, oznaczoną na niej. Wspólnie z młodym, uzdolnionym zoologiem, N. S. Polakowym i topografem P. N. Moszyńskim spuściliśmy się

zrazu w dół po Lenie, a potem dotarliśmy górską ścieżką do Olekmińskich kopalni. Tam zorganizowałem ekspedycję; zabraliśmy z sobą zapasy żywności na trzy miesiące i ruszyliśmy na południe. Stary rzemieślnik — jakut, który dwadzieścia lat temu przeszedł sam drogę, wskazaną przez Tunguza na koczach, podjął się być naszym przewodnikiem przez góry, rozciągające się prawie na 400 wiorstw szerokości, — przez doliny i wąwozy, oznaczone na karcie. Istotnie, dokonał on tego zadziwiającego czynu, choć w górach nie było absolutnie żadnej ścieżki. Wszystkie, zarosłe lasem doliny, które spostrzegaliśmy z każdego szczytu, niedoświadczonemu oku wydawały się całkiem jednakowemi, ale jakut — jakimś węchem zgadywał, na którą z nich należało nam się spuścić.

Tym razem znaleźliśmy drogę z Olekmińskich kopalni na Zabajkał. Trzy miesiące wędrowaliśmy po całkiem prawie bezludnej, górzystej okolicy i po bagnistym płaskowzgórzu, aż nakoniec dotarliśmy do celu naszej pielgrzymki, do Czyty. Mówiono mi, że po odkrytej przez nas drodze pędzą teraz bydło z południa do kopalni. Co się tyczy mnie, podróż ta pomogła mi bardzo następnie w odnalezieniu klucza do budowy syberyjskich gór i płaskowzgórzy. Ale nie piszę książki o podróżach; muszę więc zakończyć na tem.

Lata, spędzone w Syberyi, nauczyły mię wielu rzeczy, których — prawdopodobnie — nie nauczyłbym się tak łatwo w innem miejscu. Prędko zrozumiałem, że nie podobna zrobić nic pożytecznego dla ludu — z pomocą machiny administracyjnej. Z tem złudzeniem pożegnałem się na zawsze. Potem, zacząłem pojmować nietylko ludzi i charakter ludzki, ale i ukryte sprężyny życia społecznego. Uświadomiłem sobie jasno twórczą, konstrukcyjną pracę nieznanych mas, o której rzadko wspominają książki i pojąłem znaczenie

tej ustrojowej roboty w rozwoju społeczeństwa. Widziałem, na przykład, jak duchoborcy osiedlali się nad Amurem; widziałem, ile korzyści zapewniało im ich półkomunistyczne życie i jak przedziwnie urządzili się oni tam, gdzie drudzy doznali zupełnego niepowodzenia, i to nauczyło mnie wiele, czego nie mógłbym nauczyć się z książek. Żyłem także wpośród miejscowych koczowników syberyjskich i widziałem, jaki złożony ustrój społeczny wypracowali oni — niezależnie od jakiegokolwiek wpływu cywilizacji. Fakty te pomogły mi następnie zrozumieć to, o czym się dowiadywałem z antropologii. Droga bezpośredniej obserwacji zrozumiałem rolę, którą nieznanne masy grają w wielkich historycznych wydarzeniach, — w wędrówkach ludów, wojnach, w powstawaniu form społecznego życia. I doszedłem do takich samych pojęć o wodzach i tłumie, które wypowiada L. H. Tołstoj — w swoim wielkim dziele: «Wojna i Pokój».

Wychowany w obywatelskiej rodzinie, jak wszyscy młodzi ludzie mego czasu, rozpocząłem życie w tem przekonaniu, że trzeba rozkazywać, przykazywać, gromić, karać, powściągać i t. p. Ale za każdym razem, gdy wypadało mi wykonać jakie pełne odpowiedzialności zlecenie i musiałem w tym celu wchodzić w bliższe stosunki z ludźmi, przyczem każdy błąd miałby bardzo poważne następstwa, — zrozumiałem różnicę między działalnością, opartą na zasadzie ścisłej karności wojskowej, — a na zasadzie wzajemnego zaufania. Dyscyplina dobrą jest na paradach wojskowych, ale nic nie warta w rzeczywistym życiu, gdzie często pożądany skutek można osiągnąć tylko zgodnem wyteżeniem woli wszystkich ku jednemu wspólnemu celowi. Choć wtedy jeszcze nie formułowałem swoich myśli słowami, zapożyczonemi z bojowych haseł partji politycznych, mogę jednak dziś po-

wiedzieć, że w Syberyi straciłem wszelką wiarę w organizację państwową, i był już we mnie grunt przygotowany pod zasiew idei anarchizmu. W wieku od 19-stu do 35-ciu lat wypracowywałem najrozmaitsze plany reform, miałem do czynienia z setkami ludzi na Amurze, organizowałem i wykonywałem ryzykowne wyprawy prawie bez żadnych środków. I jeżeli przedsięwzięcia te mniej lub więcej udawały się, przypisuję to tylko temu, że wkrótce przekonałem się, iż w sprawach poważnych komendą i dyscypliną nie wiele się osiągnie. Ludzie osobistej inicjatywy potrzebni są wszędzie; ale gdy pierwszy popęd został nadany, rzeczy — zwłaszcza w Rosyi, powinny wykonywać się nie na sposób wojenny, a raczej porządkiem gromadnym, drogą wspólnej zgody. Niezłoby było, jeśliby wszyscy, budujący plany dyscypliny państwowej, nim złączą zalecać swe utopie, przeszli szkołę rzeczywistego życia. Wtedy byłoby mniej projektów ustroju przyszłego społeczeństwa wedle wojenno-piramidalnego wzoru.

Z tem wszystkiem życie w Syberyi traciło dla mnie coraz więcej uroku, mimo że brat mój mieszkał teraz ze mną w Irkucku, gdzie dowodził rotą kozaków. Byliśmy szczęśliwi razem, czytaliśmy wiele i roztrząsaliśmy wszystkie filozoficzne, naukowe i socjalistyczne kwestye dnia; ale obaj pożądaliliśmy umysłowego życia, które nie istniało w Syberyi. Wielkiem wydarzeniem był dla nas przejazd przez Irkuck amerykańskiego geologa, Rafaela Pumpelly i znanego niemieckiego antropologa, Adolfa Bastiana. Ale zabawili oni z nami tylko kilka dni i popędzili tam — na zachód. Nęciło nas naukowe, a zwłaszcza polityczne życie Europy zachodniej, które znaleźliśmy z gazet. I w rozmowach naszych ciągle poruszaliśmy kwestyę powrotu do Rosyi. Nakoniec powstanie zesłańców polskich

w Syberyi w 1866 r. otworzyło nam oczy i wykazało fałszywość tego stanowiska, które zajmowaliśmy obaj jako oficerowie armii rosyjskiej.

VIII.

Znajdywałem się wówczas daleko w Witymskich górach, kiedy zesłańcy polscy, pracujący na zabajkałskiej drodze, rozpaczliwym wysiłkiem postanowili rzucić okowy i przedrzeć się przez Mongolię do Chin. Wysłano przeciw nim wojska i oficer rosyjski P-w. został zabity w starciu. Dowiedziałem się o tem powstaniu za powrotem do Irkucka, gdzie około 50-ciu Polaków miało stanąć przed sądem wojennym. Ponieważ posiedzenia sądów wojennych w Rosyi odbywają się jawnie, byłem obecny cały czas i zapisywałem mowy. Ułożyłem szczegółowe sprawozdanie, które zostało — z wielkiem niezadowoleniem generał-gubernatora pomieszczone w całości w «Wiadomościach Giełdowych» za 1865 r. (Drugie sprawozdanie, ułożone przez Wagina, zostało pomieszczone w «Wiadomościach Petersburskich»).

Po powstaniu 1863 r. do samej Syberyi wschodniej zesłano jedenaście tysięcy mężczyzn i kobiet, głównie studentów, artystów, byłych oficerów, obywateli — i przeważnie umiejętnych rzemieślników — najlepszych przedstawicieli inteligentnego warszawskiego proletaryatu. Większą część ich zesłano do ciężkich robót, a resztę osiedlono po wsiach, gdzie nie mogli znaleźć zajęcia i prawie umierali z głodu. Katorżnicy-Polacy pracowali albo w Czycie, gdzie budowali statki (ci byli jeszcze najszcześliwsi), albo w rządowych zakładach odlewniczych, albo w warzelniach soli. Widziałem tych ostatnich w Ust-Kucie nad Leną.

Pół-nadzy stali oni w lichym szałasie około olbrzymiego kotła i mieszała wrzącą, gęstą solankę długimi wiosłami. W szałasie gorąco było piekielne, ale przez otwarte na rozścież drzwi dał na przestrzał mroźny wiatr, co przyśpieszało parowanie solanki. Po dwóch latach pracy w podobnych warunkach — męczennicy umierali na suchoty.

Później znaczną liczbę zesłańców polskich zatrudniono przy budowie drogi zabajkalskiej. Bajkał — jest to, jak wiadomo, długie i wąskie jezioro alpejskie, otoczone malowniczymi górami od trzech do pięciu tysięcy stóp wysokości; oddziela ono gubernię Irkucką od kraju Zabajkalskiego i Amurskiego okręgu. W zimie przeprawa przez Bajkał odbywa się po lodzie, a w lecie parostatkami. Ale na wiosnę i jesienią dostać się do Czyty i Kiachty można było tylko ścieżką górską w około, po starej drodze, okrążającej Bajkał, przerywając pasma gór sześciu, siedmiu tysięcy stóp wysokości. Przejeżdżałem raz tą drogą i mogłem zachwycać się wspaniałą panoramą gór, pokrytych w maju grubą powłoką lodu. Ale w ogóle droga była okropną. Dwanaście wiorstw przeprawy przez łańcuch gór Chamar-Daban zabrały mi cały dzień, od 3-ciej rano do 8-mej wieczorem. Konie nasze bezustannie zapadały się w miękkim śniegu i zanurzały razem z jeźdźcami w lodowych potokach, płynących pod śnieżną korą. Nakoniec postanowiono zbudować stałą drogę nad samym dolnym brzegiem jeziora, wysadzając prochem spadziste skały i przerywając mosty przez niezliczone górskie potoki. Tę ciężką pracę mieli wykonać zesłańcy polscy.

W ciągu ostatnich stu lat zesłano na Sybir niemało rosyjskich wygnańców politycznych; ale — zgodnie z charakterystyczną cechą ludu rosyjskiego, — poddawali się oni spokojnie swemu losowi i nigdy nie

«buntowali się». Pozwalali zabijać się powolną śmiercią i nie próbowali nawet odzyskać wolności. Polacy zaś, niech to będzie powiedziane im na chwałę — nigdy nie znosili swego losu z taką niewolniczą pokorą. Tym razem podnieśli oni prawdziwe powstanie. Ma się rozumieć, nie mieli żadnych widoków powodzenia, ale — mimo to powstali. Przed nimi rozpościerało się olbrzymie jezioro — po za nimi wznosiły się górzyste pustynie północnej Mongolii. Postanowili więc rozbroić strzegących ich żołnierzy, wykuć straszną broń powstańców — kosy i przerznąć się przez góry Mongolii do morza, do Chin, gdzie mogliby się schronić na angielskie okręty. I oto — razu pewnego przyszła do Irkucka wiadomość, że część Polaków, pracujących na Bajkalskiej drodze, zbuntowała się i rozbroili kilkunastu żołnierzy. Wyślano przeciw nim z Irkucka oddział piechoty, ogółem tylko 80-ciu ludzi. Przeprawiwszy się przez Bajkał na parostatku, ruszyli oni na powstańców, znajdujących się na drugim brzegu jeziora.

Zima 1866 r. w Irkucku była wyjątkowo nudna. W stolicy Syberii wschodniej nie ma tak wybitnie zaznaczonego podziału klasowego, jak w innych prowincjonalnych miastach rosyjskich, przytem «towarzystwo» irkuckie składali oficerowie, urzędnicy, oraz rodziny kupców i popów. Zimą spotykali się wszyscy na zebraniach czwartkowych. Ale tego roku brakowało wieczorom ożywienia. Amatorowie sztuki dramatycznej także nie cieszyli się powodzeniem. Nawet gra w karty, zwykle tak gorliwie uprawiana w Syberii, szła dziwnie ospale, bez zapału. Oficerowie uskarżali się na dotkliwe pustki w kieszeni, — i nawet przyjazd kilku inżynierów z kopalni nie upamiętnił się tym razem górami banknotów, zjawiających się

niegdyś tak w porę dla pobudzenia animuszu rycerzy zielonego stołu.

Sezon stanowczo był nudny, — właśnie jak raz nadający się do doświadczeń spirytystycznych i gadających duchów. Pewien pan, ulubieniec towarzystwa irkuckiego, który bawił wszystkich zeszłej zimy opowiadaniem z życia ludowego, widząc, że jego anegdoty przestały nas interesować, chwycił się wirujących stoliczków. Był to zręczny człowiek i w tydzień potem cały Irkuck waryował na punkcie stukających stoliczków. Nowe życie rozpoczęło się dla tych, którzy nie wiedzieli, jak zabić czas. Stoły pukające pojawiły się w każdym salonie. Flirt szedł w parze ze stukaniem duchów. Porucznik P-w bardzo poważnie uprawiał i flirt i rozmowę z duchami. Bardzo możliwe, że w pierwszym był mniej szczęśliwym, niż w ostatniej. Dość, że gdy przyszła wiadomość o powstaniu polskim, P-w uprosił, żeby mu pozwolono przyłączyć się do oddziału, który wysyłano przeciw powstańcom. Marzył on o powrocie, opromienionym aureolą wojennej sławy.

— «Idę na Polaków» — pisał w swoim dzienniku; «byłoby to tak zajmującym powrócić z lekką raną».

Znalazł śmierć. Kiedy się rozpoczęła «bitwa z powstańcami», której przepyszny opis można znaleźć w archiwach generalnego sztabu, P-w jechał na koniu obok pułkownika, dowodzącego oddziałem. Żołnierze wolno posuwali się naprzód, gdy spotkali około 50-ciu Polaków, z których pięciu czy sześciu miało strzelby, a pozostali kosy. Polacy usadowili się w lesie i od czasu do czasu dawali ognia. Żołnierze odpowiadali na wystrzały. P-w dwa razy prosił pułkownika, by mu pozwolił zsiąść z konia i rzucić się w bój. Gniewnie kazał mu pułkownik nakoniec pozostać na

miejscu. Ale mimo tego rozkazu P-w zniknął. W lesie rozległo się kilka wystrzałów, potem posłyszano dzikie krzyki. Żołnierze rzucili się w ich kierunku i znaleźli porucznika, broczącego krwią na trawie. Polacy wystrzelili ostatnie naboje i poddali się. Bitwa była skończona; P-w leżał martwy. Rzucił się on z rewolwerem w rękach w gąszcz leśny, napotkał kilku kosynierów, wystrzelił w nich na chybił trafił wszystkie swoje kule i jednego ranił. Wtedy Polacy rzucili się nań z kosami.

Na drugim krańcu drogi, na zachodnim brzegu jeziora, dwóch rosyjskich oficerów w najhaniańbniejszy sposób postąpiło sobie ze «spokojnymi» Polakami, którzy pracowali tam i nie brali udziału w powstaniu. Z obelżywym łajaniem wpadł jeden z oficerów do chałupy, w której mieszkali zesłańcy i zaczął strzelać do nich z rewolweru, przyczem ciężko ranił dwóch. Drugi przywiązywał bezbronnych do wozów i okrutnie smaگاł nahajką, tak sobie, dla rozrywki!

Wedle logiki władz rosyjskich śmierć jednego rosyjskiego oficera należało pomścić śmiercią kilku Polaków. Sąd wojenny skazał na śmierć pięciu ludzi: Szaramowicza, przystojnego, inteligentnego i energicznego 35-cioletniego muzyka, pianistę; dowódcę powstania, 60-cioletniego starca, Celińskiego, byłego oficera w wojsku rosyjskiem i trzech drugich, których nazwiska wypadły mi z pamięci.

General-gubernator telegrafował do Petersburga, prosząc o pozwolenie złagodzenia wyroku; ale odpowiedzi nie otrzymał. Obiecał on nam, że nie rozstrzela skazańców, lecz gdy po kilku dniach wyczekiwania odpowiedź z Petersburga nie nadchodziła, polecił wykonać wyrok potajemnie, — wcześniej nad ranem. Odpowiedź z Petersburga przybyła pocztą w miesiąc potem! Pozwalano general-gubernatorowi «postąpić

wedle własnego rozumienia». Ale pięciu ludzi było już rozstrzelanych.

Często zdarzało mi się słyszeć, że powstanie to było wysoce nierozsądne; a jednak garstka mężnych powstańców osiągnęła coś-niecoś. Wieść o powstaniu rozeszła się za granicą. Egzekucye, okrucieństwo dwóch oficerów, wykryte rozprawą sądową, wywołały silne wzburzenie w Austrii. Rząd austriacki ujął się za Galicyanami, którzy brali udział w ruchu 1863 r. i zostali zesłani na Syberyą; dzięki temu niektórzy z nich wrócili do ojczyzny. Wogóle — położenie wszystkich zesłańców polskich wkrótce po powstaniu 1866 r. znacznie się polepszyło. A zawdzięczali to oni «buntowi», tym, którzy chwycili za oręż i tym pięciu dzielnym ludziom, którzy zostali rozstrzelani w Irkucku.

Dla mnie i dla brata powstanie to było zbawienną nauką. Przekonaliśmy się naocznie, co znaczy w jaki bądź sposób, należeć do armii. Ja znajdowałem się daleko, ale Aleksander był w Irkucku i jego rotę wysłali przeciw Polakom. Szczęściem, komendant pułku, w którym brat mój służył, znając dobrze jego zapatrywania, zlecił dowództwo oddziału pod jakimś pozorem innemu oficerowi. Inaczej Aleksander, ma się rozumieć, odmówiłby udziału w wyprawie. Jeżeli bym ja był wtedy w Irkucku, zrobiłbym to samo.


Postanowiliśmy porzucić służbę wojskową i wrócić do Rosyi. Nie było to zbyt łatwem, zwłaszcza dla brata, który się ożenił w Syberyi — ale, ostatecznie, wszystko się załatwiło i na wiosnę 1867 r. pojechalśmy do Petersburga.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.

CZEŚĆ CZWARTA.

Petersburg. Pierwsza wycieczka za granicę.

I.

 W początkach jesieni 1867 r. zamieszkałem wspólnie z bratem i rodziną jego w Petersburgu. Wstąpiłem na uniwersytet i siedziałem teraz na jednej ławce ze studentami, — prawie dziećmi jeszcze, znacznie młodszymi odemnie. Najtajniejsze marzenie moje, które tak długo pieściłem w duszy, nakoniec spełniło się. Teraz mogłem się uczyć. Zapisałem się na matematyczny oddział przyrodniczo-matematycznego fakultetu, ponieważ uważałem, że gruntowna znajomość matematyki stanowi jedyną trwałą podstawę wszelkiej dalszej pracy naukowej. Brat uczęszczał do prawniczej akademii wojskowej, ja zaś wyrzekłem się zupełnie służby wojskowej, ku wielkiemu niezadowoleniu ojca, który nie znosił nawet widoku stroju cywilnego. Teraz — ja i Aleksander postanowiliśmy utrzymywać się wyłącznie tylko własną pracą.

Studia uniwersyteckie i prace naukowe pochłoneły cały mój czas w ciągu pięciu następnych lat. Student-matematyk musi, naturalnie, dużo pracować; ale, ponieważ już poprzednio zajmowałem się wyższą matematyką, mogłem teraz poświęcić trochę czasu geografii. Przytem — w Syberji — nie utraciłem zdolności do intensywnej pracy.

Referat o mojej ostatniej wyprawie drukował się właśnie; ale tymczasem powstawały w mej myśli nowe geograficzne teorye, w które niebawem pogrążyłem się cały. Podróże po Syberji przekonały mię, że łańcuchy górskie w tym kształcie, jak je widzimy na mapach geograficznych, oznaczone zostały całkiem fantastycznie i nie dają żadnego pojęcia o budowie kraju. Autorowie map nie podejrzewali nawet istnienia obszernych płaskowzgórzy, stanowiących jednak tak charakterystyczną cechę Azji. W miejsce tych płaskowzgórzy rzucono na kartę kilka wielkich górskich pasm. Tak naprzykład, wbrew wskazówkom L. Szwarcza, rysowano w pracowniach topograficznych wschodnią część Stanowego Grzbietu w kształcie ogromnego robaka, pełzającego po mapie na wschód. Grzbiet ten — w rzeczywistości nie istnieje. Źródła rzek, płynących z jednej strony do Oceanu Lodowego, z drugiej do Oceanu Wielkiego, — krzyżują się na tem samym płaskowzgórzu i powstają w tych samych bagnach. Ale w wyobraźni topografów europejskich najwyższe grzbiety gór powinny wznosić się w głównych dorzeczach wodnych, w skutek tego więc oznaczali wzdłuż nich wszystkie łańcuchy górskie, których ani śladu nie znajdujemy w rzeczywistości. Wiele takich nieistniejących łańcuchów przerzynało karty północnej Azji we wszystkich kierunkach.

Całą uwagę moją teraz — w ciągu kilku lat — zaprzętało wyłącznie jedno pytanie: odkryć przewodnie

rysy budowy górnej Azji i zasadnicze prawa układu jej pasm górzystych i płaskowzgórzy. Przez długi czas zbijały mię z tropu w mych poszukiwaniach poprzednie mapy, a zwłaszcza teorye Aleksandra Humboldta, który, przestudyowawszy dokładnie źródłową geografję chińską, pokrył Azyę siecią łańcuchów, idących wzdłuż południków i przez koła równoległe. Ale, nakoniec, przekonałem się, że nawet śmiałe idee Humboldta nie zgadzają się z rzeczywistością.

Zacząłem od początku, drogą czysto indukcyjną. Zestawiwszy wszystkie obserwacye barometryczne, poczynione przez poprzednich podróżników, wyrachowałem na ich zasadzie setki wysokości. Potem zaznaczyłem na wielkiej karcie Swartza wszystkie geologiczne i fizyczne spostrzeżenia podróżników, t. j. fakty, a nie hipotezy. Na podstawie tego materiału starałem się wyjaśnić, jaki układ gór i płaskowzgórzy najwięcej odpowiada dowiedzionym faktom. Ta przygotowawcza praca zajęła mi więcej, niż dwa lata. Potem nastąpiły miesiące uporczywych rozmyślań, usiłowań zorientowania się w chaosie pojedynczych rozstrzelonych obserwacyi. Nakoniec, wszystkie wątpliwości jednym błyskiem światła pierzchły i wszystko stało się od razu jasnym i zrozumiałym. Główne pasma górskie Azji ciągną się nie z Północy na Południe i nie z Zachodu na Wschód, a z południa-zachodu na północ-wschód, tak samo jak Góry Skaliste i wyniosłości Ameryki północnej idą z północo-zachodu na południe-wschód. Tylko drugorzędne pasma biegną w północno-zachodnim kierunku. Dalej, — góry Azji nie tworzą wcale szeregu oddzielnych łańcuchów, jak Alpy, ale otaczają olbrzymie płaskowzórze — dawny łąd stały, który zajmował niegdyś przestrzeń od Himalajów do zatoki Berynga. Wysokie skrajne łańcuchy wyrastały wzdłuż jego brzegów i z biegiem czasu

terasy, utworzone z późniejszych osadów, dźwigały się z morza, rozszerzając wciąż granice głównego stałego lądu Azji.

Życie ludzkie mało ma chwil tak upajającej rozkoszy, któreby można porównać z tą, w której rodzi się nagle w myśli teorya ogólna, oświecająca umysł, znużony długimi i cierpliwymi poszukiwaniami. To, co w ciągu całego szeregu lat wydawało się chaotycznym, sprzecznym i zagadkowym, odrazu układa się w określone, harmonijne formy. Z nieskładnego poplątania faktów, z poza mgły domysłów, wnet odrzucanych, ledwo zdolają się narodzić, powstaje wspinały obraz, — podobny łańcuchowi alpejskiemu, wyłaniającemu się w całym przepychu z pośród skrywających go obłoków, i błyszczącemu w słońcu w całej swej prostocie i różnaitości, w całej wielkości i pięknie. A kiedy teoryę naszą poddajemy sprawdzeniu, zastosowując ją do massy oddzielnych faktów, które wydawały się dotąd beznadziejnie sprzecznymi; każdy z nich odrazu zajmuje swoje miejsce i potęguje tylko wrażenie, wywołane przez całość obrazu. Jedne z nich uwydatniają niektóre charakterystyczne rysy, inne odsłaniają nieoczekiwane szczegóły, pełne głębokiego znaczenia. Idea utrwała się i rozszerza. A dalej — po przez lekką mgłę, otulającą widnokrąg, oko przenika zarysy nowych i jeszcze szerszych teoryi.

Kto choć raz doświadczył w życiu swem zachwyty twórczości naukowej, ten nigdy nie zapomni tej błogostawionej chwili. Będzie łaknął jej powrotu. Żalem przejmować go będzie myśl, że szczęście podobne staje się tylko udziałem niewielu, choć mogłoby być wszystkim dostępne, w tej lub innej mierze, jeśliby wiedza i czas swobodny były udziałem wszystkich.

Pracę tę uważam za główny mój dorobek naukowy. Zamierzałem zrazu napisać obszerną książkę, w któ-

rej poglądy moje na orografię Syberyi dowiedzione by zostały szczegółowym rozbiorem każdego oddzielnego łańcucha górskiego; ale kiedy, w 1873 r. spostrzegłem, że zostanę wkrótce aresztowany, wykończyłem tylko mapę geograficzną na zasadzie moich poglądów — z przyłączeniem objaśniającego szkicu. I mapę i szkic wydało Towarzystwo Geograficzne pod kierunkiem mego brata, gdy siedziałem już w twierdzy Petropawłowskiej. Peterman, który opracowywał wówczas swoją mapę Azji i znał moje przygotowawcze prace, przyjął mój szemat. Przyjęła go też później większość kartografów. Mapa Azji w tym kształcie, w jakim ją układają teraz, objaśnia — zdaje mi się — główne fizyczne rysy ogromnego lądu, rozkład klimatów, fauny, flory, a także i historję tego lądu. Wykazuje ona jeszcze, jak mogłem przekonać się w czasie podróży mojej do Ameryki, uderzającą analogię w budowie i w rozwoju geologicznym obu lądów półkuli północnej. Bardzo niewielu kartografów potrafiłoby dziś powiedzieć, z kąd pochodzą te zmiany w kartach Azji; ale jest to nawet korzystniej dla rozprzestrzenienia się nowej idei naukowej, jeżeli nie jest ona związana z jakim nazwiskiem. Błędy, jakich przy pierwszych próbach uniknąć nie można, daleko łatwiej dają się wtedy sprostować.

II.

Równocześnie, jako sekretarz sekcji geografii fizycznej, pracowałem wiele dla Towarzystwa Geograficznego. Badania Turkestanu i Pamiru wzbudzały wtedy silne zaciekawienie. Właśnie w tym czasie powrócił Siewiercow z swej kilkoletniej podróży. Był on wybitnym zoologiem, zdolnym geografem i jednym

z najrozumniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotykałem, ale, jak wielu Rosyan, Siewiercow nie lubił pisać. Kiedy miał przedstawić swój referat, na posiedzeniu Towarzystwa niepodobna było skłonić go, żeby napisał coś więcej, oprócz króciutkiego sprawozdania. I oto dla czego wszystko, co ukazało się w druku za podpisem Siewiercowa, nie wyczerpuje w najmniejszej części wszystkich jego obserwacji i poglądów. Na nieszczęście nieprzewyciężony wstręt do utrwalania swych myśli i spostrzeżeń na papierze, jest rzeczą dość pospolitą w Rosyi. Uwagi, które czynił przy mnie Siewiercow o orografii Turkestanu, o geograficznym rozmieszczeniu roślin i zwierząt, o roli mieszańców (hybrydów) w powstawaniu nowych gatunków ptaków, — a także obserwacje jego, dotyczące się ważnej roli wzajemnego wspierania się w postępowym rozwoju gatunków (obserwacje te wspominają się w kilku wierszach w sprawozdaniu z posiedzenia); wszystko to świadczy o niepospolitym talencie i oryginalności. Ale Siewiercow nie posiadał, niestety, zdolności wyrażania swych myśli w pięknej literackiej formie, zdolności, która uczyniła by go jednym z najbardziej wyróżniających się uczonych naszego czasu.

Mikłucha Makłaj, dobrze znany w Australii, która stała mu się potem drugą ojczyzną, należy także do tej kategorii ludzi, którzy mogliby powiedzieć daleko więcej, niż wypowiedzieli w druku. Był to niewielki, nerwowy człowieczek, ciągle cierpiący na febrę. Gdy się z nim poznałem, właśnie co był powrócił z nad brzegów Morza Czerwonego, gdzie jako uczeń Haeckla, wiele pracował, studyując pilnie życie mięczaków morskich w ich przyrodzonym żywiole. Za staraniem Towarzystwa Geograficznego wojenny statek rosyjski odwiózł Mikłuchę Makłaja na nieznaną brzeg Nowej

Gwinei, gdzie podróżnik zamierzał badać życie dzikich na najniższym stopniu kultury. Z jednym tylko majtkiem pozostawiono go na niegościnnych brzegach, których mieszkańcy słynęli jako straszliwi ludożercy, wybudowawszy niedaleko wioski dzikich chatkę dla obu Robinsonów. Tu przeżyli oni półtora roku w najprzyjaźniejszych stosunkach z tubylcami. Mikłucha Makłaj przyjął za zasadę, od której nigdy nie odstępował, żeby być zawsze bezwzględnie szczerym w postępowaniu z dzikimi, i nigdy ich nie oszukiwać, nawet w drobnostkach, nawet dla naukowych celów. Kiedy następnie zwiedzał Archipelag Malajski, przyjął u niego służbę jeden tubylec, zastrzegłszy sobie, żeby go nigdy nie fotografowano; — jak wiadomo, dzicy sądzą, że razem z fotografią zabiera się część ich własnej osoby. — Otóż razu pewnego, gdy dziki był pogrążony w głębokim śnie, wzięła Mikłuchę Makłaja, który zbierał antropologiczne materiały, ogromna chęć sfotografowania swego sługi, ponieważ mógł on być uważanym za typowego przedstawiciela swego plemienia. Dzikie, ma się rozumieć, nigdy nie dowiedziałby się o fotografii; ale Mikłucha przypomniał sobie umowę i zwyciężył pokusę. Ten drobny rys charakteryzuje go doskonale. Gdy opuszczał Nową Gwineę, dzicy wymusili na nim obietnicę powrotu. I spełnił ją po kilku latach, mimo że był wtedy bardzo chory. Ten niepospolity człowiek, ogłosił jednakże tylko bardzo nieznaczną część swych prawdziwie drogocennych studyów.

Fedczenkę, który poczynił liczne zoologiczne studia w Turkiestanie wspólnie z żoną swoją, Olgą Fedczenko, także przyrodniczką, nazywaliśmy «Europejczykiem». Z zapalem zajmował się on opracowaniem swoich studyów, ale — nieszczęściem, zginął w Szwajcaryi w czasie wspinania się na szczyt Mont-

Blanc. Pałając młodzieńczem uniesieniem po powrocie ze swej podróży w górach Turkiestańskich i pełen ufności w swe siły, Fedczenko przedsięwziął swoją wycieczkę na szczyt górski bez towarzystwa doświadczonych przewodników i zginął podczas zawiei śnieżnej. Szczęściem, żona jego dokończyła wydania jego «Podróży». Jeśli się nie mylę, s^{yn} jej prowadzi dalej prace swych rodziców.

Znałem też dobrze Przewalskiego, albo raczej Pszewalskiego, jak należałoby wymawiać jego polskie nazwisko, choć sam on lubił uchodzić za «prawdziwego rosyjskiego patriotę». Był to zapalony myśliwiec. Entuzjazm, jaki ożywiał go przy zwiedzaniu Azyi Środkowej był prawie w równej mierze wynikiem jego namiętności do polowania na przeróżną rzadką i grubą zwierzynę — sarny i daniela, dzikie wielbłądy i konie, — jako też chęci zwiedzenia nowych, nieznanych krajów. Kiedy go proszono, żeby opowiedział co ze swoich podróży, przerywał niebawem swoje skromne opowiadanie, pełnemi zapału wykrzykami: «a co tam za zwierzyna! jakie polowanie!» I z uniesieniem zaczynał opowiadać, jak przepelznął taką to daleką przestrzeń, żeby podkraść się na odległość strzału do dzikiego konia.

Ledwo zdążył powrócić do Petersburga, wnet obmyślał plan nowej wyprawy i zbierał pieniądze dla pokrycia jej kosztów, próbując nawet powiększyć swoje oszczędności za pomocą giełdowych spekulacyi. Prawdziwie żelazne zdrowie i niezwykła zdolność prowadzenia latami całemi życia górskiego strzelca czyniły Przewalskiego idealnym typem podróżnika. Takie życie było jego żywiołem. Pierwszą swoją słynną podróż odbył tylko z trzema towarzyszami i pozostawał wówczas stale w najlepszych stosunkach z dzikimi tubylcami. Ale kiedy następnie wyprawy

jego zaczęły przyjmować coraz bardziej wojskowy charakter, Przewalski — na nieszczęście, zaczął więcej ufać sile swej uzbrojonej eskorty, niż pokojowym stosunkom z miejscową ludnością. Słyszałem od dobrze powiadomionych ludzi, że gdyby nawet nie był umarł w początkach wyprawy Tybetańskiej, którą następnie tak pięknie i spokojnie zakończyli jego towarzysze: Piewcow, Roborowski i Kozłow, — prawdopodobnie i tak nie wróciłby z niej żywym.

W tym czasie panował w Towarzystwie Geograficznym wielki ruch i sekcyja nasza, a więc i jej sekretarz, byli żywo zaprzętnięci różnemi kwestyami. Większość z nich posiadała zbyt specjalny charakter, żeby się tu niemi zajmować, ale nie zawadzi wspomnieć o przebudzającym się zainteresowaniu sprawą żeglugi i przemysłu rybnego w rosyjskiej części Oceanu Lodowatego. Kupiec syberyjski i właściciel kopalni złota, Sidorow, starał się zwłaszcza rozbudzić zajęcie tą kwestyą. Dowodził on, że przy niewielkiej pomocy ze strony rządu, na przykład, przez założenie szkoły marynarskiej i zorganizowanie kilku wypraw, można posunąć daleko zbadanie brzegów Morza Białego i rozwinąć przemysł rybny, a nawet żeglugę. Ale niestety! — niewielkiej tej pomocy oczekiwano z Petersburga; a stojących u steru władzy w tem dworskiem, urzędniczem, literackim, artystycznym i kosmopolitycznym mieście niełatwo zainteresować jaką, choćby najważniejszą, sprawą prowincjonalną. Biednego Sidorowa wprost wyśmiewano. Petersburskie Towarzystwo Geograficzne zaczęło się poważniej zajmować naszą północą dopiero, gdy pierwszy przykład w tym względzie dała zagranica.

W latach 1869 — 1871 śmiały norwegscy poławiacze wielorybów wykazali całkiem niespodziewanie, że żegluga po morzu Karskiem nie jest niemożliwą. Z wiel-

kiem naszym zdumieniem dowiedzieliśmy się, że do «lodowni, wiecznie pełnej lodu», jak z głębokim przekonaniem nazywaliśmy morze Karskie, weszły niewielkie norweskic dwumasztowce i przerznięły ją we wszystkich kierunkach. Przedsiębiorczy Normanowie zwiedzili nawet miejsce zimowiska znamienitego Hollendra, Barentza, które — jak przypuszczano — zostało na zawsze ukrytem przed okiem ludzkim poza olbrzymimi polami lodowemi, liczącemi niejedną setkę lat. Nasi uczeni żeglarze orzekli, że takie nieoczekiwane powodzenie Norwegczyków tłumaczy się tylko wyjątkowo ciepłym latem i wyjątkowym stanem lodu. Ale ja i kilku innych widzieliśmy całkiem jasno, że śmiali Norwegczycy, którzy czuli się wśród lodów, jak w domu, ośmielili się przeniknąć na swych niewielkich statkach, ze swymi niewielkimi saniami przez płynące lody, zagrządzające wstęp do zatoki Karskiej, podczas gdy komendanci okrętów wojennych, związani odpowiedzialnością służby morskiej, nigdy nie poważyliby się tego uczynić.

Odkrycia Norwegczyków wywołały ogólne zaciekawienie poszukiwaniami arktycznemi. Właściwie, oni to wzbudzili ów zapał do podróży polarnych, któremu zawdzięczamy odkrycie przez Nordenskiölda północno-wschodniej cieśniny, podróże eksploracyjne Parry'ego w północnej Grenlandyi i wyprawę Nansenowską na «Framie». Poruszyło się i nasze Towarzystwo Geograficzne. Wysadzono komitet dla opracowania planu rosyjskiej ekspedycyi biegunowej i nakreślenia szematu prac naukowych, którychby ekspedycya dokonać mogła. Oddzielni spocyaliści mieli ułożyć każdy swoją część tego referatu. Ale, jak to często bywa, na termin okazało się gotowych tylko kilka części: z botaniki, zoologii i meteorologii. Resztę musiał opracować sam sekretarz komitetu, to jest ja. Niektóre

kwestyę, jak na przykład, zoologia zwierząt morskich, przyływy, obserwacye wahadła, magnetyzm ziemski, były dla mnie całkiem nowe. Ale trudno sobie wyobrazić, jakiej masy roboty może dokonać człowiek zdrowy, jeśli wyteży wszystkie swoje siły i zdoła utrafić w sam rdzeń kwesty, pomijając szczegóły drugorzędne. Mój referat był gotów na termin. Kończył się projektem wielkiej ekspedycyi polarnej, mającej na celu rozbudzić w Rosyi stałe zainteresowanie się poszukiwaniami arktycznemi i żegluga na morzach północnych. Zalecaliśmy także wysłanie wyprawy wywiadowczej, która popłynęłaby na norweskim dwumasztowcu, pod komendą norweskiego kapitana na północ, albo na północ-wschód od Nowej-Ziemi. Wyprawa ta mogłaby także, jak to wykazywałem, dotrzeć, a przynajmniej spróbować dotrzeć do wielkiej nieznannej ziemi, znajdującej się przypuszczalnie w niewielkiej odległości od Nowej-Ziemi. Możliwość istnienia takiego archipelagu wskazywał w swojej znamenitej, choć mało znanej rozprawie o prądach Oceanu Lodowatego, oficer floty rosyjskiej, baron Schilling. Przeczytawszy tę rozprawę i opis podróży Lütgego do Nowej Ziemi, oraz obeznawszy się z ogólnymi warunkami fizycznymi tej części Oceanu Lodowatego, spostrzegłem odrazu, że przypuszczenie Schillinga powinno być trafne. Na północ od Nowej-Ziemi rzeczywiście musi istnieć ziemia, leżąca pod wyższą szerokością, aniżeli Szpitzberg. Dowodził tego nieruchomy stan lodu na północ-zachód od Nowej Ziemi, kamienie i błoto, znajduwane na pływających tu krach lodowych i niektóre inne drobniejsze oznaki. Oprócz tego, jeśliby taka ziemia nie istniała, to zimny prąd, idący na zachód od południka zatoki Berynga ku Grenlandyi (ten sam, po którym żeglował «Fram») dochodziłby niechybnie do Przylądka Północnego, jak słu-

sznie zauważył Schilling i pokrywałyby brzegi Laponii lodem tak właśnie, jak to widzimy na dalekiej północy Grenlandyi. Prąd ciepły, będący słabem przedłużeniem Golfströmu, nie mógłby przeszkodzić skupieniu się lodów u północnych brzegów Europy, jeżeliby ziemia taka nie istniała. Archipelag ten, jak wiadomo, został odkryty w dwa lata potem przez ekspedycję austriacką i nazwany ziemią Franciszka Józefa.

Referat mój o ekspedycji polarnej miał dla mnie całkiem nieoczekiwane następstwa. Zaproponowano mi, żebym stanął na czele wyprawy eksploracyjnej, na specjalnie wynajętym w tym celu dwumasztowcu norweskim. Na uwagę moją, że nigdy nie byłem na morzu, odpowiedziano mi, że jeżeli się połączy doświadczenie jakiego Karlsena, albo Johansena z inicjatywą człowieka nauki, to na pewno otrzyma się bardzo cenne wyniki. I byłbym przyjął propozycję, jeżeliby ministerjum finansów nie położyło swego veto, oświadczając, że minister finansów nie może asygnować koniecznych na koszt wyprawy trzydziestu czy czterdziestu tysięcy rubli. Odtąd Rosyane nie przyjmowali żadnego udziału w zwiedzaniu mórz północnych. Ziemia, którą wzrok nasz przenikał poza mgłą polarną, została odkrytą przez Payera i Weiprechta, a archipelag, który powinien znajdować się na północ-wschód od Nowej Ziemi (przekonany jestem o tem teraz więcej jeszcze, niż poprzednio), dotąd nie został odnaleziony.

Zamiast ekspedycji Polarnej Towarzystwo Geograficzne zaproponowało mi skromną wycieczkę do Finlandyi i Szwecyi dla zbadania osadów lodowych — i podróż ta stała się punktem zwrotnym w dalszych kolejach mego życia.

Latem tegoż roku Akademia Nauk wysłała dwóch swoich członków: starego geologa, generała S. P. Gelmersena i niezmordowanego badacza Syberyi, Fryderyka Schmidta, celem zbadania owych długich głązów, które w Finlandyi i Szwecyi znane są pod nazwą âsar, a w Anglii nazywają się eskers, kames i t. p. W tym samym celu Towarzystwo Geograficzne wyprawiło i mnie do Finlandyi. Zwiedziliśmy we trzech wspólnie Pungaschari, potem rozdzieliliśmy się. Wiele pracowałem tego lata, zwodziłem znaczną część Finlandyi, i przeprowiłem się do Szwecyi, gdzie spędziłem w Sztokholmie kilka miłych dni z Nordenskiöldem. Już wtedy — w 1871 r. — zwierzył mi on swój zamiar dotarcia aż do ujść rzek syberyjskich, a w danym razie i do zatoki Berynga przez Ocean Lodowaty. Wróciwszy do Finlandyi, prowadziłem dalej moje badania aż do późnej jesieni i zebrałem masę, wysoce ciekawych spostrzeżeń nad zlodowaceniem kraju. Ale w czasie tej podróży myślałem także wiele o społecznych kwestyach i myśli te miały wpływ rozstrzygający na moje dalsze losy.

* W Towarzystwie Geograficznem przechodziły przez moje ręce przeróżne cenne materyały, tyjące się geografii Rosyi. Powoli powziąłem przy tej sposobności myśl napisania obszernej geografii fizycznej tego ogromnego kawałka świata, uwzględniając przytem w szerokim zakresie zjawiska ekonomiczne. Zamierzałem dać zupełny geograficzny opis całej Rosyi, opierając go na budowie powierzchni — orografii, której charakter zaczął się mi wyjaśniać, gdy ukończyłem moją pracę o budowie Syberyi. Chciałem też naszkicować w tym okresie różne formy życia gospodarczego, które powinnyby rozwijać się w różnych okolicach kraju, zależnie od ich fizycznych warunków. Wiele kwestyi, pierwszorzędnego znaczenia dla

ludu rosyjskiego, można by było wyjaśnić w takiej pracy. Weźmy, na przykład, olbrzymie południowo-rosyjskie stepy, tak często nawiedzane posuchą i nieurodzajem. Nie można uważać tych ostatnich za klęskę przypadkową; są one takim samym przyrodniczym rysem danej miejscowości, jak i jej położenie na południowym stoku średniego wzgórza, albo jej urodzajność. Całe gospodarcze życie Rosyi południowej powinno wskutek tego zasadzać się na przewidywaniu niechybnych powrotów peryodycznych nieurodzai. Każdy z pasów cesarstwa rosyjskiego należałoby opisać w taki sam naukowy sposób, jak Azya opisana została we wspaniałej pracy Rittera.

Ale taka praca potrzebowałaby wiele czasu i zupełnej swobody i często myślałem, jak żwawo poszłaby robota, gdyby mię wybrano z czasem sekretarzem Towarzystwa Geograficznego. I oto w jesieni 1878 r., kiedy pracowałem w Finlandyi i powoli posuwałem się pieszo ku zatoce Fińskiej, wzdłuż budującej się drogi żelaznej, poszukując niezaprzeczonych śladów morza z epoki po-lodowej, — otrzymałem telegram od Towarzystwa Geograficznego: «Rada prosi pana o przyjęcie urzędu sekretarza Towarzystwa». Równocześnie podający się do dymisyi sekretarz nalegał natarczywie, żebym nie odmawiał.

Tak więc życzenie moje spełniło się. Ale w tym czasie, opanowały mię już inne myśli i inne dążności i zastanowiwszy się poważnie nad mojem postanowieniem, odtelegrafowałem w odpowiedzi: «Serdecznie dziękuję, ale stanowiska przyjąć nie mogę».

III.

Często zdarza się, że ludzie pozostają na tem, lub innem politycznem, społecznem, albo rodzinnem stanowisku tylko dla tego, że nie mają czasu obejrzyć się, nie mają czasu zapytać siebie: czy taką drogą poszło ich życie, jak należało? Czy ich zajęcie odpowiada ich zdolnościom i czy daje im to moralne zadowolenie, którego każdy człowiek ma prawo żądać od życia. Ludzie czynu zwłaszcza znajdują się w tem położeniu: każdy dzień przynosi z sobą nową robotę, i nagromadza się jej tyle, że człowiek późno się kładzie, nie skończywszy wszystkiego, co zamierzał wypełnić w ciągu dnia, a rano pośpiesznie chwytą za robotę, niedokończoną wczoraj. Życie mija — i nie ma czasu pomyśleć, nie ma czasu zastanowić się nad jego ustrojem. To samo przytrafiło się i mnie.

Ale teraz, w czasie podróży po Finlandyi, miałem czas wolny. Kiedy przejeżdżałem na fińskim jednokonnym wózku po równinie, nie przedstawiającej interesu dla geologa, albo kiedy przechodziłem z młotkiem na ramionach od jednego krzemienego dołu do drugiego, mogłem *myśleć*. I jedna myśl coraz wszechwładniej owładła mną daleko silniej, niż geologia.

Widziałem, jaką ogromną ilość pracy łoży chłop fiński, żeby wykarczować pole i rozbić kamienie i myślałem: «Dobrze, napiszę geografię fizyczną tej części Rosyi i podam najlepszy sposób uprawy ziemi. Ot, tu na przykład, amerykańska maszyna dla karczowania pni przyniosłaby olbrzymią korzyść. A tam nauka mogłaby wskazać nowy sposób nawożenia gruntu...

«Ale na co się zdało tłómaczyć chłopu użytek maszyn amerykańskich, kiedy ledwie starczy mu zboża,

aby wyżyć jako tako od jednego żniwa do drugiego; kiedy oplata dzierżawna za tę, usianą kamykami ziemię, rośnie z każdym rokiem, w miarę tego, jak chłop ulepsza grunt! On gryzie swój twardy, jak kamień, żytni placek, który piecze dwa razy do roku, zjada z nim kawałek niemożliwie słonego sztokfiszu i popija zbieranem mlekiem. Jak ośmielę się mówić mu o maszynach amerykańskich, gdy cały jego zarobek pochłania czynsz dzierżawny i podatki? Chłopu trzeba, żebym ja żył z nim, żeby z moją pomocą został właścicielem gruntu, albo mógł zeń użytkować jako swobodny rolnik. Wtedy też książkę przeczyta z korzyścią ale nie teraz.

I przenosiłem się myślą z Finlandyi do naszych nikolskich chłopów, których widziałem niedawno. Teraz są oni wolni i wysoko cenią swoją «wolę», ale nie mają pastwisk. W ten lub inny sposób właściciele ziemscy zagarnęli wszystkie łąki dla siebie. Kiedy byłem dzieckiem, Sapochiny wyganiaли nocą na pastwisko po sześć koni, Tołkaczewy siedem. Teraz mają tylko trzy konie. Kto miał pierwaj trzy konie, teraz nie ma i dwóch, a są biedacy, którym pozostał tylko jeden. Jakież gospodarstwo można prowadzić z jedną lichą kobyłą! Niema pastwisk, niema bydła i niema nawozu! Jakże tu objaśniać chłopom uprawę traw pastewnych? Oni już są zrujnowani, a jeszcze za kilka lat wyniszczą ich doszczętnie, wyciskając z nich nadmierne podatki. Jak ucieszyli się, kiedy powiedziałem, że ojciec pozwala im kosić łąki w Kostynym lesie! «Wasi nikolscy chłopci zawzięci są do roboty», mówili wszyscy nasi sąsiedzi. Ale pola rolne, które macocha wyprocesowała u nich na zasadzie «prawa o minimum ziemi obywatelskiej» (dyabelski paragraf, wniesiony przez zażartych stronników poddaństwa, gdy im pozwolono poddać rewizyi Ustawę o uwłaszczeniu), porosły

teraz bodziakami i burzanem. «Zawziętym robotnikom» nie pozwalają orać tych pól. I to samo powtarza się w całej Rosyi. Już wtedy było widocznem, że pierwszy poważny nieurodzaj w Rosyi środkowej spowoduje straszny głód. Uprzedzały o tem i rządowe komisye (między innymi Wałujewa). I rzeczywiście, głód wybuchł w 1876, w 1889, w 1892, 1895 i 1898 latach.

Nauka — wielka rzecz! Znałem rozkosze, które daje i cenilem je, być może więcej nawet, niż wielu moich współbraci. I teraz, kiedy wpatrywałem się w jeziora i wzgórza Finlandyi, nowe, wspaniałe teorye rodziły się w mej myśli. Widziałem, jak w dalekiej przeszłości, na zaraniu ludzkich dziejów, — na archipelagach północy, na półwyspie Skandynawskim i w Finlandyi nagromadziły się lody. Pokryły one całą północną Europę i powoli pełzły aż do jej środka. Życie zamierało wtedy w tej części półkuli północnej — i nędzne, chwiejne — cofało się coraz dalej i dalej — na południe, przed zabijającym tchem olbrzymich lodowych mas. Nieszczęśliwy, słaby, ciemny dziki mieszkaniec tych stron z wielkim trudem utrzymywał swój lichy, niepewny byt. Minęło wiele tysięcy lat, zanim lody poczęły tajać i nastąpił peryod jezior. Niezliczone jeziora potworzyły się we wklęsłościach gruntu, uboga podbiegunowa roślinność zaczęła nieśmiało pokazywać się na bezbrzeżnych bagnach, okalających każde jezioro, i przeszły jeszcze drugie tysiące lat, póki — niezmiernie powoli — zaczęły wysychać bagna i roślinność posuwać się tu z południa. Dziś my znajdujemy się w epoce szybkiego wysychania i towarzyszącego mu tworzenia się stepów i człowiek musi znaleźć sposób, żeby powstrzymać to grożące wschodnio-południowej Europie wysychanie, którego ofiarą padła już Azya środkowa.

W tym czasie wiara w istnienie powłoki lodowej,

dosięgającej środkowej Europy, uważała się za nie-
dozwoloną herezyę naukową; ale w oczach moich pow-
stawał wspaniały obraz i pragnąłem oddać go z naj-
drobniejszymi szczegółami tak, jak go sobie wyobra-
żałem. Chciałem zastosować ten obraz, jako klucz do
rozumienia współczesnego rozszerzenia się flory i fauny
i odkryć nowe horyzonty dla geologii i geografii fi-
zycznej.

Ale jakie prawo miałem ja do wszystkich tych wyż-
szych rozkoszy, kiedy naokół mnie — przygnębiająca
nędza i męcząca walka o kawałek suchego chleba!
Kiedy wszystko to, co ja wydam, aby mózż żyć
w świecie wysokich duchowych porywów, musi być
niechybnie odjętem od ust biedaków, siejących psze-
nicę dla drugich i nie posiadających dosyć czar-
nego chleba dla swych dzieci! Komuś kęs musi być
odjęty od ust, albowiem wspólna wytwórczość ludzi
stoi jeszcze na tak niskim stopniu.

Wiedza — potężna siła. Człowiek powinien nią owła-
dnąć. Ale my i dziś już dużo wiemy. Co, jeśliby ta
wiedza — i tylko ta, stała się udziałem wszystkich?
Czyż sama nauka wtedy nie postąpiłaby szybko na-
przód? Ile nowych wynalazków poczyni wtedy ludz-
kość i o ileż zdoła powiększyć ogólną wytwórczość
pracy społecznej! Imponującą siłę tego postępu mo-
żemy już dzisiaj przewidzieć.

Masy chcą wiedzieć. One chcą uczyć się; one mogą
się uczyć. Ot tam, na szczycie olbrzymiej sielawy,
ciągnącej się między dwoma brzegami, jak gdyby ol-
brzymi usypali ją pośpiesznie, żeby połączyć dwa brzegi,
stoi fiński chłop, i utonął w zadumie, spoglądając na
rozpościerające się przed nim prześliczne wody, usiane
wypami. Żaden z pośród tych chłopów, choćby naj-
bardziej zapracowany i biedny, nie przejedzie, nie za-
trzymawszy się i nie nacieszywszy widokiem tego

miejsca. Albo, ot hen, tam, na brzegu jeziora stoi drugi chłop i śpiewa, ale tak zachwycająco pięknie, że najlepszy muzyk pozazdrościłby mu uczucia i wyrazistości melodyi. Obaj chłopci czują, obaj umieją patrzeć, obaj myślą. Chętnie rozszerzą swoją wiedzę, tylko dajcie im ją, dajcie im sposób pozyskania wolnej chwili czasu.

Oto, w jakim kierunku należy mi pracować i oto ci ludzie, dla których powinieniem pracować. Wszystkie te gromkie słowa o postępie, wygłaszane wtedy, gdy sami działacze postępu stronią od ludu, wszystkie te głośnie frazesa — to same sofizmata. Wymyślono je właśnie po to, żeby przytłumić gryzący wyrzut, uciec od bijącej w oczy sprzeczności...

I posłałem Towarzystwu geograficznemu moją odprawę.

III.

Petersburg znacznie zmienił się od 1862 r., kiedy go opuściłem ostatni raz.

— O! tak, powiedział mi raz poeta Majkow, pan znałeś Petersburg Czernyszewskiego.

Tak, w rzeczy samej, ja znałem ten Petersburg, którego ulubieńcem był Czernyszewski. Ale jakże mam nazwać miasto, które zastałem za powrotem? Może Petersburgiem kawiarni, tingel-tangli i szkół tańca, jeżeli tylko pod nazwą «cały Petersburg» można rozumieć wyższe koła towarzystwa, którym ton nadał Dwór.

Idee liberalne były na dworze i w kółkach dworskich źle widziane. Wszyscy wybitniejsi ludzie lat 60-tych, nawet tacy umiarkowani, jak hrabia Mikołaj Murawiew i Mikołaj Milutin, uważani byli za niepra-

womyślnych. Aleksander II zatrzymał jedynie ministra wojny, Dymitrego Milutina, i to tylko dla tego, że rozpoczęta przezeń reorganizacja armii wymagała jeszcze wiele czasu dla swego przeprowadzenia. Wszystkich pozostałych działaczy z epoki reform usunięto.

Razu pewnego zdarzyło mi się rozmawiać z jednym dygnitarzem, zajmującym wysokie stanowisko w ministerjum spraw zagranicznych. Krytykował on ostro działalność drugiego dygnitarza; pozwoliłem sobie zauważyć w obronie, że ten ostatni nie chciał jednakże nigdy zająć żadnego urzędu za Mikołaja.

— A teraz służę przy Szuwałowie i Trepowie! zawołał dygnitarz. Uwaga jego tak trafnie malowała rzeczywisty stan rzeczy, że zamknęła mi usta. W rzeczy samej—faktycznie rządzili wtedy Rosyą szef żandar mów, Szuwałow i oberpolicmajster petersburski, Trepow. Aleksander II wykonywał ślepo ich wolę, był ich narzędziem. Rządzili zaś postrachem. Trepow do tego stopnia zastraszył Aleksandra II widmem rewolucyi, która tuż-tuż wybuchnie w Petersburgu, że jeżeli wszechwładny policmajster opóźniał się z przyjazdem do dworu dla złożenia codziennego swego raportu, car zapytywał z obawą: «czy wszystko spokojnie w Petersburgu?»

Wkrótce potem, gdy Aleksander II udzielił «stanowczej dymisyi», jak się wyrażano, księżnej D. poprzyjaźnił się on ściśle z generałem Fleury, adjutantem Napoleona III, który był niegdyś duszą grudniowego zamachu stanu. Zawsze można ich było widzieć razem. Fleury nie omieszkał nawet powiadomić Paryżan o niezwykłym zaszczycie, jaki mu okazał cesarz rosyjski. Ten ostatni, przejeżdżając raz Newskim prospektem (główna ulica w Petersburgu) w swojej «egoistce» (rodzaj dorożki z wązkiem siedzeniem dla jednej tylko osoby, — były one wtedy w modzie), spo-

strzegł p. Fleury, idącego piechotą i zaprosił go do swego powozu. Generał francuzki opisywał szczegółowo w gazetach, jak on i car, objawszy się mocno, siedzieli wół wisząc w powietrzu. Dość wymienić samo nazwisko tego nowego serdecznego przyjaciela, na którego czole nie zwiędły jeszcze laury z Compiègne, aby zrozumieć, co oznaczała ta przyjaźń.

Szuwałow umiał w wysokim stopniu wyzyskiwać usposobienie swego władcy na korzyść całego szeregu coraz reakcyjniejszych praw. Jeżeli zaś Aleksander II odmawiał im swego podpisu, Szuwałow zaczynał mówić o zbliżającej się rewolucyi, o losie Ludwika XVI i «dla ratunku dynastyi» błagał cesarza o zatwierdzenie nowych represyi. Z tem wszystkim opanowały często Aleksandra II wyrzuty sumienia i męczące przygnębienie ducha. Wpadał w ponurą melancholię i ze smutkiem mówił o świetnych początkach swego panowania i reakcyjnym charakterze, jaki przyjmowało ono obecnie. Wtedy Szuwałow urządzał obławę na niedźwiedzi. Do lasów nowogrodzkich wyprawiali się myśliwi, weseli dworacy, partye tancerek baletowych. Aleksander II, który był dobrym strzelcem i przypuszczał zwierza na kilka kroków, zabijał dwóch, albo trzech niedźwiedzi. I wśród podniecenia uroczystości myśliwskich potrafił Szuwałow uzyskać sankcyę każdej, obmyślanej przezeń reakcyjnej miary, albo zatwierdzenie jakiego olbrzymiego rabunku, dokonanego przez klientów hrabiego.

Aleksander II nie był, ma się rozumieć, całkiem pospolitym człowiekiem, ale żyło w nim dwóch odrębnych ludzi z wybitnie zaznaczoną indywidualnością, pozostających z sobą w ciągłej walce. I walka ta stała się tem zaciętszą, im bardziej starzał się Aleksander II. Był on to czarująco miłym, to w ślad za tem wybuchał, jak prawdziwy dziki zwierz. W obec

rzeczywistego niebezpieczeństwa Aleksander II zachowywał niezmaconą zimną krew i spokojne męstwo, ale żył w ciągłym strachu przed urojeniami własnej wyobraźni. Niewątpliwie nie był on tchórzem i spokojnie poszedłby na niedźwiedzia — twarzą w twarz. Raz niedźwiedź, którego cesarz nie położył od jednego wystrzału na miejscu, obalił myśliwego, biegnącego nań z oszczepem. Wtedy car rzucił się na pomoc swemu podporucznikowi i zabił zwierza, przyłożywszy mu lufę rewolweru prawie do łba. (Opowiadał mi o tem sam gajowy). Mimo to Aleksander spędził całe życie w śmiertelnej obawie strasznych, grożących mu niebezpieczeństw, które były tylko wytworem jego wyobraźni i niespokojnego sumienia. Był przystępnym i dobrotliwym zwłaszcza dla przyjaciół, — a jednak łagodność ta szła u niego w parze z przerażającym, obojętnem okrucieństwem, godnem XVII-go wieku, jakie wykazał — na przykład — w zgnębieniu polskiego powstania w 1863 r. i następnie w 1880 r., gdy z taką samą bezwzględną, nielitościwą srogością uśmierzano rozruchy młodzieży rosyjskiej, przytem nikt nie podejrzywałby go nigdy o podobne okrucieństwo. Tak więc Aleksander II żył podwójnem życiem i w epoce, o której mówię, podpisywał z lekkim sercem najreakcyjniejsze ukazy, a potem wpadał w rozpacz na ich wspomnienie. Pod koniec jego życia walka ta wewnętrzna, jak zobaczymy dalej, wzmogła się jeszcze bardziej i przybrała prawie tragiczny charakter.

W 1877 r. hrabia Szuwałow został mianowany ambasadorem w Londynie, ale przyjaciel jego, generał Potapow, prowadził dalej tę samą politykę aż do tureckiej wojny. W ciągu całego tego czasu odbywał się na szeroką skalę i w najbezczelniejszy sposób rabunek skarbu publicznego: grabiły się rządowe i baszkirskie ziemie i majątki, skonfiskowane po powsta-

niu 1863 r. na Litwie. Kiedy Potapow zwaryował, a Trepow został oddalony, wrogowie ich u dworu chcieli wystawić Aleksandrowi II tych bohaterów w prawdziwym świetle i dzięki temu niektóre ich sprawy wyszły na wierzch; odsłonił je zwłaszcza słynny proces Łogiszynowski, gdy kreatura Potapowa, gubernator miński, tajny radca Tokarew i orędownik ich w ministeryum spraw wewnętrznych, kat chłopów, generał Łoszkarew, zostali oddani pod sąd. Wtedy okazało się, jak «obrusiciel» Tokarew, z pomocą swego przyjaciela Potapowa, ograbił bezczelnie Łogiszyńskich chłopów i zabrał im ich ziemie. Dzięki wysokiej protekeyi w ministeryum spraw wewnętrznych mógł on tak pokierować sprawą, że chłopów, szukających sądu aresztowano, bito — każdego po kolei i kilku rozstrzelano. Jest to jedna z najbardziej oburzających spraw, nawet w kronikach rosyjskich, obfitujących we wszelkiego rodzaju grabieże. Dopiero po wystrzale Wiery Zasulicz, chcącej pomścić bezprawne ochłostanie różgami politycznego więźnia, wyjaśniło się całe złodziejstwo potapowskiej szajki i minister otrzymał dymisyę. Trepow zaś, sądząc się blizkim śmierci, sporządził testament, przyczem okazało się, że generał, bezustannie zapewniający cesarza o swoim ubóstwie, mimo że zajmował zyskowne stanowisko oberpolicmajstra, zostawił swojemu synowi znaczny majątek. Niektórzy dworacy donieśli o tem Aleksandrowi II, który stracił zaufanie do generała — i oddalił go. Wtedy to wyszły na jaw niektóre grabieże, dokonane przez szajkę Szuwałowa, Potapowa, Trepowa i spółki. Ale w senacie proces Łogiszyński prowadził się dopiero w grudniu 1881 r. «przy otwartych drzwiach».

We wszystkich ministeryach, a zwłaszcza przy bu-

dowie kolei żelaznych i przy wszelkiego rodzaju dostawach — uprawiał się rabunek publicznego grosza w szerokich rozmiarach. Tą drogą powstawały kolosalne fortuny. Flota, jak powiedział raz sam Aleksander II jednemu ze swoich synów, znajdowała się «w kieszeni takiego-to pana». Budowa zagwarantowanych przez rząd kolei żelaznych, kosztowała bajeczne sumy. Było powszechnie wiadomem, że niepodobna uzyskać zatwierdzenia jakiegokolwiek przedsięwzięcia akcyjnego, jeśli się nie obieca różnym urzędnikom w różnych ministeriach pewnego procentu z dywidendy. Jeden mój znajomy chcąc założyć w Petersburgu jakieś przedsiębiorstwo komercyjne, zwrócił się o pozwolenie, gdzie należało. Powiedziano mu wprost i bez ogródek w ministerium spraw wewnętrznych, że 25% czystego zysku trzeba będzie dać jednemu urzędnikowi w temże ministerium, 15% komuś służącemu w ministerium finansów, 10% drugiemu urzędnikowi w temże ministerium i 5% jeszcze jednemu. Tege rodzaju umowy czyniły się otwarcie i Aleksander II dobrze wiedział o nich. Świadczą o tem jego własnoręczne adnotacye na marginesach raportów kontrolera państwowego (wydane zostały kilka lat temu w Berlinie). Ale car widział w tych złodziejach swoich obrońców przed rewolucją i trzymał ich, póki ich grabieże nie stawały się zbyt rozgłośniami.

Wszyscy młodzi W. Książęta, oprócz Aleksandra Aleksandrowicza, który był zawsze wielkim liczykrupą i dobrym ojcem rodziny, naśladowali przykład ojca. Orgie, wyprawiane przez jednego z nich w maleńkiej restauracyi Newskiego Prospektu, były tak wstrętne i tak głośnie, że którejś nocy sam policmajster musiał wdać się w to i zagroził właścicielowi restauracyi Sybirem, jeżeli jeszcze raz wynajmie W. Księciu «jego

specyalny gabinet». — «W pięknym, nie ma co mówić, jestem sosiel!» — skarżył się restaurator, pokazując mi «wielko-książęcy gabinet», którego ściany i sufit wyścielone były grubemi atlasowemi poduszkami. «Z jednej strony, jak odmówić członkowi cesarskiej rodziny, który może mię do myszej dziury zapędzić, a tu z drugiej Trepow grozi Sybirem. Naturalnie, posłuchałem generała. Pan wie, że jest on obecnie wszechwładny». Drugi W. Książę wstawił się nałogami, zaliczającymi się już do dziedziny psychopatologii. Trzeciego zesłano do Taszkentu za kradzież brylantów u matki.

Cesarzowa Marya Aleksandrowna, zaniedbywana przez męża i według wszelkiego prawdopodobieństwa przerażona wyglądem, jaki dwór przyjmował, stawiała się coraz większą dewotką i wkrótce oddała się zupełnie w ręce kapelana dworu, przedstawiciela całkiem nowego typu w cerkwi rosyjskiej — jezuityzmu. Ta nowa, gładko przyczesana, rozpustna i jezuicka rasa popostwa szybko rosła w znaczenie. Popi niezmordowanie i z powodzeniem pracowali nad tem, żeby się uczynić niezbędną państwową siłą i zagarnąć w swoje ręce szkoły.

Nieraz już dowiedzionem było w Rosyi, że duchowieństwo wiejskie tak jest pochłonięte obowiązkami swego stanu, że nie pozostaje mu nic czasu, by móżdż zajmować się w szkołach ludowych. Nawet w tym wypadku, gdy pop pobiera wynagrodzenie pieniężne za wykład religii w szkołach wiejskich, powierza on zwykle te lekcye komu innemu, bo sam nie ma czasu. Mimo to, wyższe duchowieństwo, wyzyskując nienawiść Aleksandra II do tak zwanego rewolucyjnego ducha, przypuściło atak do szkół ludowych. Hasłem popów stało się: «albo szkoła parafialna, albo żadnej».

Cała Rosya łaknęła wiedzy. Ale nawet figurująca

w budżecie państwowym śmiesznie mała suma 5-ciu czy 6-ciu milionów, przeznaczona na szkoły elementarne, nie wydatkowała się w całości i co roku ministerium oświaty przelewało do skarbu państwa znaczną jeszcze, pozostałą z niej resztę. Równocześnie taka sama suma asygnowała się corocznie synodowi, jako zapomoga dla szkół parafialnych, które wtedy (zarówno, jak i dziś) istniały tylko na papierze.

Cała Rosya żądała szkół realnych; ale ministerium oświaty otwierało tylko gimnazya klasyczne, w mniemaniu, że olbrzymie kursy języków starożytnych nie dadzą uczniom czasu myśleć i czytać. W gimnazyach tych zaledwie 2—3% uczni, którzy wstąpili do pierwszej klasy, osiągało świadectwo dojrzałości. Wszyscy chłopcy, budzący większe nadzieje, albo okazujący w jakikolwiek sposób niezawisłość charakteru, byli wyróżniani starannie i wydalali się z gimnazjum przed dojściem do ósmej klasy. Oprócz tego, przedsiębrano wszelkie środki, aby — o ile się da — zmniejszyć liczbę uczeni. Wykształcenie uznano za zbytek, służący tylko nielicznym wybrańcom losu. Równocześnie ministerium oświaty rozpoczęło niestrudzoną i zaciętą walką z osobami prywatnemi, ziemstwami i zarządami miejskimi, starającymi się otwierać seminarya nauczycielskie, szkoły techniczne, albo nawet elementarne. Wykształcenie techniczne w kraju, potrzebującym gwałtownie inżynierów, uczonych agronomów i geologów, — uważano za coś rewolucyjnego. Prześladowano je, zakazywano. Nawet dziś — co roku dwa do trzech tysięcy młodzieży nie może dostać się do wyższych technicznych zakładów naukowych dla braku miejsc. Rozpacz ogarniała tych wszystkich, którzy pragnęli przynieść jaką korzyść społeczeństwu. W tym samym czasie nadmierne podatki i wyciskanie zaległości przez władze policyjne niszczyło na zawsze dobrobyt wło-

ścian. W stolicy tylko ci gubernatorowie byli w ła-
sce, którzy wyjątkowo nielitościwie egzekwowali za-
ległości.

Taki był Petersburg urzędowy. Takim był jego
wpływ na całą Rosyę.

V.

Przed wyjazdem z Syberyi często rozmawialiśmy
z bratem o ożywionem umysłowem życiu, które znaj-
dziemy w Petersburgu i o przypuszczalnych cieka-
wych znajomościach, jakie poczynimy w kołach lite-
rackich. Istotnie, zawiązaliśmy takie znajomości w kół-
kach radykałów i umiarkowanych Słowianofilów; ale
muszę wyznać, że byliśmy trochę rozczarowani. Spo-
tkaliśmy masę najsympatyczniejszych ludzi (nigdy
ich nie brak w Rosyi); ale nie odpowiadali oni wcale
naszemu ideałowi pisarzy politycznych. Najznakomitsi
literaci: Czernyszewski, Michajłow, Ławrow, byli albo
zesłani, albo, jak Pisarew, siedzieli w twierdzy Petro-
pawłowskiej. Drudzy — ponuro spoglądając na rzeczy-
wistość, zaparli się dawnych swoich przekonań i cią-
żyli teraz ku swego rodzaju ojcowskiej samowładzy
carskiej. Większość zaś, choć nie zmieniła zapatry-
wań, wyrażała je z taką tchórzliwą ostrożnością, że
ostrożność ta równała się prawie zdradzie.

W czasach, gdy prąd reformacyjny panował w Ro-
syi, prawie wszyscy pisarze, zaliczający się do kół
postępowych, pozostawali w bliższych lub dalszych
stosunkach z Herzenem, Turgeniewym, albo nawet
z tajnymi organizacjami «Wielkoros» i «Ziemia i Wo-
la», które istniały wtedy przez chwilę. Teraz ludzie ci
starali się usilnie zagrzebać jak najgłębiej swoje po-

przednie sympaty i wydawać się całkiem politycznie prawomyślnymi.

Parę liberalnych miesięczników, które zwierzchność tolerowała głównie dzięki niezwyklej dyplomatycznej zręczności ich wydawców, pomieszczało bogaty materiał faktyczny, wykazujący dowodnie, że nędza i ruina chłopów wciąż rośnie — z każdym rokiem. W miesięcznikach tych mówiło się także dosyć przezroczyście o przeszkodach, stawianych każdemu postępowemu działaczowi na każdym polu — bez wyjątku, — na którym chciałby on zużytkować swe siły. A faktów, stwierdzających to w sposób niezaprzeczony, przytaczało się tyle, że mogłyby one pogrążyć każdego w rozpacz prawdziwą. Ale nikt nie śmiał się odezwać, jak zaradzić złemu. Nikt nie śmiał ani słówkiem wskazać pola dostępnej praktycznej działalności, albo napomknąć, jakim sposobem wyjść z tego zrozpaczonego położenia. Niektórzy pisarze wciąż jeszcze spodziewali się, że Aleksander II przerodzi się znowu w reformatora. Ale u większości strach, że zamkną pismo, a wydawcę i współpracowników zeszlą «w więcej, lub mniej odległe miejscowości», zagłuszał wszystkie inne uczucia. Obawa i nadzieja w równej mierze paraliżowały pisarzy.

Im głośniej bawili się oni w radykalizm lat temu dziesięć, tem bardziej drżeli teraz. My obaj z bratem zostaliśmy bardzo sympatycznie przyjęci w paru literackich kółkach i bywaliśmy czasem na ich przyjacielskich zebraniach. Ale skoro tylko rozmowa zaczynała przyjmować poważniejszy charakter, albo gdy brat mój, umiejący z wielkim talentem podnosić poważne kwestye, skierowywał rozmowę na sprawy wewnętrzne, lub na położenie rzeczy we Francyi, którą Napoleon III wiódł z sobą do strasznej katastrofy 1850 r., — niechybnie ktoś ze starszych przerywał dys-

kuszę głośnem zapytaniem: «a kto z was, panowie, był na ostatniem przedstawieniu «Pięknej Heleny»; albo «a co pan myśli o tej konserwie rybnej?» — Rozmowa — naturalnie — urywała się.

Po za kółkami literackimi rzeczy szły jeszcze gorzej. W latach 60-tych znajdowało się w Rosyi, a zwłaszcza w Petersburgu wielu postępowych ludzi, którzy, jak się zdawało, gotowi byli wszystko przynieść w ofierze swoim przekonaniom. «Co się z nimi stało?» — zadawałem sobie nieraz pytanie. Próbowałem rozmawiać z niektórymi z nich. «Ostrożniej, młodzieńcze», — odpowiadali mi. Kodeks ich filozofii życiowej streszczał się teraz w przysłowiaach: «Siła słomę łamie», «Głową muru nie przebijesz» i tym podobnych, w które, niestety, język rosyjski tak bardzo obfituje. — «My trochę ze swojej strony już zrobiliśmy; nie żądajcie od nas więcej», — albo «Poczekajcie, taki stan rzeczy długo się nie utrzyma». Tak mówiono nam.

A my, młodzież, gotowi byliśmy rozpocząć walkę, działać, narażać się, jeśli potrzeba — oddać wszystko w ofierze. Prosiłiśmy starszych tylko o radę, o jakiegokolwiek wskazówki i trochę moralnego poparcia.

Turgeniew odmalował w «Dymie» kilku eks-reformatorów z wyższych sfer i obraz wypadł dosyć smutny. Ale pokolenie «schyłkowców» lat 60-tych można studyować najlepiej w rozdzierających serce roman-sach i szkicach pani Chwoszczyńskiej, piszącej pod pseudonimem «W. Krestowski» (nie należy jej brać za jedno z W. Krestowskim, autorem, «Petersburskich Zakątków»). Maksymą byłych postępowców lat sześćdziesiątych stało się: «Bądź kontent, żeś żyw!», albo raczej: «ciesz się, żeś pozostał żyw». Wkrótce oni wszyscy — i cały niezliczony tłum, który dziesięć lat temu stanowią siłę postępowego ruchu, zarzekał się wszelkiej wzmianki «o różnych sentymentach», śpie-

sząc na wyścigi używać bogactw, płynących do rąk «ludzi praktycznych».

Po uwłaszczeniu chłopów otworzyły się nowe drogi wzbogacenia się i tłum, chciwy zysku, rzucił się na nie z pożądlivością. Koleje żelazne budowały się z gorączkowym pośpiechem. Właściciele ziemscy zastawiali gromadnie majątki swoje w świeżo powstałych prywatnych bankach. Niedawno zaprowadzeni notaryusze i adwokaci cieszyli się olbrzymimi dochodami. Kompanie akcyjne rosły, jak grzyby po deszczu i założyciele ich wzbogacali się szybko. Ludzie, którzy przedtem żyliby sobie skromnie we wsi z dochodu ze stu dusz, albo z jeszcze skromniejszej pensyi urzędnika sądowego, robili znaczne majątki, lub mieli takie dochody, jakie za czasów pańszczyzny posiadali tylko wielcy magnaci.

Nawet smak «towarzystwa» obniżał się coraz bardziej. Opera włoska, służąca niegdyś jako forum radykalnych demonstracyi, była teraz zapomnianą. Do opery rosyjskiej, starającej się nieśmiało wykazać zalety naszych wielkich kompozytorów, uczęszczało zaledwie nieliczne grono entuzyastów. I jedną i drugą znajdywano teraz «nudną». Cała śmietanka petersburskiego towarzystwa zapełniała tłumnie jeden lichy mały teatrzyk, gdzie drugorzędne gwiazdy francuzkich małych teatrów — zbierały lekko zdobyte laury od swych wielbicieli — konnych gwardzistów. Publiczność cisnęła się na «Piękną Helenę» — w Aleksandrowskim teatrze, z Ładową w głównej roli, a naszych wielkich aktorów dramatycznych zaniedbywano. Operetka Offenbachowska rozpościerała wszędzie swoje panowanie.

Trzeba zresztą przyznać, że ówczesna atmosfera polityczna tłómaczyła w znacznej mierze nadmierną

ostrożność najlepszej części społeczeństwa. Po wystrzale Karakozowa 4-go kwietnia 1866 r. (starego stylu) «Trzeci Wydział kancelaryi cesarskiej» (główny zarząd tajnej żandarmskiej policyi. Aleksander III zniósł go pozornie, ustanowiwszy w jego miejsce departament policyi stanu; ta sama rzecz pod inną nazwą.) stał się wszechwładnym. Ludzie, podejrzani «o radykalizm», -- niezależnie od tego, czy popełnili co, czy nie, żyli w ciągłej obawie. Mogli zostać uwięzionymi każdej nocy za znajomość z osobą, wplątana w jaką polityczną sprawę, za niewinną notatkę, znalezioną przypadkiem w czasie nocnej rewizyi, albo wprost za «niebezpieczne» zapatrywania». Aresztacya zaś w sprawie politycznej mogła oznaczać wszystko, co chcecie: lata uwięzienia w twierdzy Petropawłowskiej, zesłanie na Sybir, albo nawet tortury w kazamatach.

Ruch Karakozowski mało jest znany nawet w samej Rosyi. Ja znajdowałem się wówczas w Syberyi i wiem o nim tylko ze słyszenia. Zdaje się, że połączyły się w nim wówczas dwa różne prądy. Jeden z nich przedstawiał w zarodku ten kierunek ludowy, który rozwinął się potem na tak szeroką skalę, drugi zaś nosił charakter czysto polityczny. Kilku młodych ludzi, z których mogliby z czasem wyjść świetni profesorowie, wybitni historycy i etnografowie, postanowili w 1864 r., nie zważając na wszelkie przeszkody ze strony rządu, zostać apostołami nauki i oświaty wpośród ludu. Osiedlali się jako prości robotnicy w wielkich przemysłowych miastach, zakładali tam kooperacyjne towarzystwa i otwierali tajne szkoły. Spodziewali się oni, że przy pewnym takcie i cierpliwości uda się im wychować działaczy z pośród ludu — i stworzyć centra, z którychby rozszerzały się stopniowo wśród mas lepsze i podnioślejsze zapatrywa-

nia. Dla wykonania tego planu wielu poświęciło znaczne majątki; miłość i oddanie się sprawie było ogromne. Wogóle, zdaje mi się, że w porównaniu z późniejszymi ruchami, Karakozowcy stali na najbardziej praktycznym gruncie. Organizatorowie ich — bez wątpienia — znacznie zbliżyli się do pracującego ludu.

Z drugiej strony Karakozow, Iszutin i kilku innych członków kółka nadali ruchowi temu czysto polityczny charakter. W okresie lat 1862—65 polityka Aleksandra II stała się stanowczo reakcyjną. Car otoczył się skrajnymi zacofańcami i uczynił ich swymi najbliższymi doradcami. Reformy, stanowiące chwałę pierwszych lat jego panowania, zostały wypaczone i obcięte całym szeregiem praw tymczasowych i ministerjalnych cyrkularzy. Obóz dawnych stronników poddaństwa oczekiwał zaprowadzenia patrymonialnych sądów dziedzica i przywrócenia poddaństwa w zmienionej formie. Nikt nie spodziewał się, że główna reforma — uwłaszczenia włościan — utrzyma się wobec ciosów, skierowanych przeciw niej z Zimowego Pałacu. Wszystko to musiało w Karakozowie i jego przyjaciółach wzbudzić przekonanie, że nawet to trochę, co już osiągniętem zostało, narażone jest na zgubę, jeżeli Aleksander II pozostanie na tronie; że grozi Rosyi powrót do wszystkich okropności Mikołajowskich czasów. Równocześnie pokładano wielkie nadzieje (*Es ist eine alte Geschichte, doch bleibt sie immer neu*) w liberalizmie następcy tronu i W. Księcia, Konstantego Mikołajewicza. Trzeba dodać, że podobne obawy i nadzieje wypowiedały się dość często w kołach daleko wyżej stojących, niż te, w których obracał się Karakozow. Jakkolwiek się rzeczy miały, 4-go kwietnia, 1866 r., wykonał Karakozow zamach na Aleksandra II, gdy ten ostatni wychodził z Letniego ogrodu i siadał

do swej karety. Jak wiadomo, Karakozow chybił — i został zaraz na miejscu aresztowany.

Głowa partji reakcyjnej w Moskwie, Katkow, który do artyzmu posunął sztukę obracania na swą piękną korzyść każdego politycznego zamętu, oskarżył natychmiast wszystkich liberalów i radykałów o współnictwo z Karakazowym, co — ma się rozumieć — było wierutnem kłamstwem — i począł napomykać w swej gazecie — a cała Moskwa mu wierzyła, że Karakozow był tylko narzędziem w rękach Konstantego Mikołajewicza. Można sobie wyobrazić, jak wyzyskali te oskarżenia wszechwładni Trepow i Szuwałow i w jakim strachu umieli utrzymywać Aleksandra II! Śledztwo w tej sprawie — z poleceniem użycia wszelkich środków dla wykrycia przypuszczalnego spisku, polecono Michałowi Murawjewowi, temu samemu, który zasłużył sobie przy uśmierzaniu polskiego powstania 1863 r. na chwalebny przydomek «Wieszatiela» — («wieszającego»). Murawjew aresztował niezwłocznie masę osób, ze wszystkich warstw społeczeństwa, zarządził niezliczone rewizye i przechwalał się, że «znajdzie sposób rozwiązania języka aresztowanym». Murawjew-Wieszatiel nie cofnąłby się — naturalnie — i przed użyciem tortur przy badaniu i opinia publiczna w Petersburgu prawie jednogłośnie utrzymywała, że Karakazowa brano na tortury, ale nie wyciśnięto zeń żadnych zeznań.

Tajemnice stanu bywają dobrze zachowywane w twierdzach, a zwłaszcza w tym kamiennym olbrzymim gmachu naprzeciw Zimowego Pałacu, który był świadkiem tylu okropności, wykrytych dopiero nie dawno przez historyków. Twierdza Petropawłowska ukrywa dotąd tajemnice Murawiewa, — ale następujący epizod rzuci może na nie trochę światła.

W 1866-tym roku byłem w Syberyi. Jeden z naszych sybirskich oficerów, który w końcu tego roku

jechał z Rosyi do Irkucka, spotkał na jakiejś pocztowej stacyi dwóch żandarmów. Odwozili oni na Syberję jednego urzędnika, zesłanego za złodziejstwo i teraz wracali do domu. Nasz irkucki oficer, człowiek bardzo miły, zastał żandarmów przy herbacie i oczekując, aż mu przeprzęgną konie, przysiadł się do nich i zawiązał rozmowę. Okazało się, że jeden z żandarmów znał Karakozowa.

— Sprytny to był człowiek — mówił żandarm. — Gdy siedział w twierdzy, otrzymaliśmy rozkaz, żeby mu nie dawać spać. Dyżurowaliśmy we dwóch przy nim i zmienialiśmy się co dwie godziny. Bywało, siedzi on na taborecie, a my czuwamy. Ledwie zacznie drzemać, wstrząsamy go za ramię i budzimy. Cóż robić. Taki rozkaz! I patrz, pan, jaki on chytry! Siedzi, nogę na nogę założy i kiwa nią. Chce nas oszukać, że niby nie śpi; sam drzemie, a nogą wciąż dryga. Ale wkrótce spostrzegliśmy podstęp i uprzedziliśmy o nim drugich, którzy przyszli nas zluzować. No, i zaczęliśmy go trącać co pięć minut, — wszystko jedno, porusza on nogą, czy nie.

— I długo to trwało? spytał mój przyjaciel.

— Długo: — więcej, niż tydzień.

Naiwność tego opowiadania świadczy już sama przez się o jego prawdziwości: zmyślić go niepodobna było, można więc przyjąć za rzecz pewną, że w każdym razie — męczono Karakozowa — bezsennością.

Jeden z mych towarzyszy z korpusu, który był obecny ze swoim pułkiem kirasyerów przy egzekucyi Karakozowa, opowiadał mi: «Kiedy go wywieziono z twierdzy, przywiązanego do słupa na wysokiej platformie telegi (rodzaj wozu), skaczącej po nierównym gruncie wału, myślałem z początku, że wiozą wieszak gumową lalkę. Myślałem, że Karakozow — pewno — już umarł i że zamiast niego wiozą lalkę. Wyobraź

sobie, głowa, ręce zwisały, jak gdyby nie miały wcale kości, lub jakby je złamano. Strach brał patrzeć. Ale potem, kiedy dwóch żołnierzy zniosło Karakozowa z telegi, poruszał on nogami i starał się z wysiłkiem wstąpić bez obcej pomocy na rusztowanie, -- nie była to więc lalka i nie był on w omdleniu. My wszyscy oficerowie byliśmy tem bardzo zdziwieni i nie umieliśmy sobie tego wytłómaczyć». Zauważyłem, że może Karakozowa męczono; poczerwieniał i rzekł: «wszyscy to myśleliśmy!»

Ma się rozumieć — samo pozbawienie snu w ciągu kilku tygodni wystarczyłoby, aby wytłómaczyć stan, w jakim znajdował się w dzień egzekucji Karakozow, człowiek, jak wiadomo, niepospolicie silnego ducha. Mogę tylko dodać do powyższego, iż wiem niewątpliwie, że w twierdzy Petropawłowskiej przynajmniej w jednym wypadku, a mianowicie w 1873 r. poili Adryana Saburowa odurzającym trunkiem. Czy ograniczył się Murawiew tylko takimi środkami tortury? Czy nie pozwolono mu iść dalej? Czy nikt go w tem nie krępował? Nie wiem, ale słyszałem nieraz od osób wysoko położonych w Petersburgu, że przy badaniu Karakozowa brano go na tortury.

Murawiew obiecał wypełnić doszczętnie wszystkich radykałów w Petersburgu, ztąd wszyscy, mający mniej lub więcej radykalną przeszłość za sobą, byli teraz pełni drżenia i lęku, aby nie wpaść w łapy «Wieszatielowi». Najbardziej stronili oni od młodzieży, obawiając się wplątać w jaki niebezpieczny rewolucyjny spisek. W ten sposób rozwarła się przepaść nie tylko między dwoma pokoleniami, ale nawet między ludźmi, z których jedni przekroczyli dopiero trzydziestkę, a drudzy jeszcze jej nie dosięgli. Młodzież rosyjska znalazła się obecnie w takim położeniu, że nie tylko musiała

walczyć z ojcami, którzy bronili dawnych porządków z czasów poddaństwa, ale i starsi bracia odbiegli ją; nie chcieli oni połączyć się z nią w jej ciężeniu ku socjalizmowi i bali się zarazem popierać jej walkę o rozszerzenie politycznych praw. Czy spotykaliśmy kiedy w historii podobny przykład, żeby garść młodzieży musiała wystąpić sama do boju przeciw tak potężnemu wrogowi, — opuszczona przez ojców i starszych braci; — gdy właśnie ta młodzież sama jedna wzięła gorąco do serca i usiłowała wcielić w życie umysłowy spadek tych samych ojców i braci? Czy prowadziła się kiedykolwiek i gdziekolwiek walka wśród tak tragicznych warunków?

VI.

Jedynym jasnym punktem w życiu petersburskiem był ruch wśród młodzieży obojej płci. Złzło się tu kilka różnych strumieni w jeden potężny agitacyjny prąd, który przybrał niebawem tajny rewolucyjny charakter i przez piętnaście lat przykuwał do siebie uwagę całej Rosyi. O ruchu tym powiem niżej. A teraz zatrzymam się na walce kobiet rosyjskich o prawo wyższego wykształcenia. Centrem tego ruchu był wówczas Petersburg

Młoda żona mojego brata, wracając z kursów pedagogicznych, na które uczęszczała, przynosiła z sobą codzien nowe szczegóły o panującym tam ożywieniu. Prowadziły się na nich gorące spory o otwarcie osobnych uniwersytetów i kursów medycznych dla kobiet; urządzały się odczyty i dyskusye o różnych metodach kształcenia — i tysiące kobiet brały w nich żywy udział, roztrząsając różne kwestye szczegółowe na posiedzeniach swoich kółek. Powstały związki tło-

maczek, wydawczyń, introligatorek, typografek, w którychby kobiety, przybyłe do Petersburga i gotowe jać się wszelkiej pracy, aby tylko zdobyć możność wyższego wykształcenia, mogły znaleźć zajęcie. Słowem, w tych kobiecych kołach tętno życia biło silnie i gorączkowo, tworząc jaskrawą sprzeczność z tem, co widziałem w drugich sferach.

Kiedy stało się jasnym, że rząd postanowił nieodwołalnie zamknąć kobietom wstęp do istniejących uniwersytetów, rozpoczęły one wszelkie możliwe starania, żeby uzyskać otwarcie swoich własnych kursów. W ministeryum oświaty powiedziano im, że wychowanki gimnazyów żeńskich nie posiadają wystarczających wiadomości, żeby z korzyścią słuchać wykładów uniwersyteckich. — «Dobrze», — odpowiedziały «pozwólcie nam w takim razie otworzyć przygotowawcze kursa. Zaprowadźcie program, jaki się wam podoba. My nie żądamy nawet pieniężnej zapomogi od rządu. Dajcie tylko pozwolenie. Resztę zrobimy same». Ale pozwolenia, ma się rozumieć, nie dali.

Wtedy kobiety zorganizowały w różnych częściach Petersburga naukowe kursa w domach prywatnych. Wielu profesorów, współczujących z ruchem, ofiarowało się prowadzić wykłady i choć byli to ludzie bardzo niezasobni, uprzedzili organizatorki, że wszelką wzmiankę o wynagrodzeniu wezmą za osobistą obrazę. Potem, w lecie — urządziły się w okolicach Petersburga — pod kierunkiem profesorów uniwersytetu — geologiczne i botaniczne wycieczki, które po większej części składały się z kobiet. Słuchaczki kursów połączonych uprosiły profesorów, żeby im wykładano każdy przedmiot w daleko pełniejszym zakresie, niż tego wymagał program i ostatecznie uzyskały wykład przedmiotów nie objętych wcale programem. Słowem, kobiety korzystały z każdej sposobności, z każdego

wyłomu w twierdzy, żeby ją wziąć szturmem. Wywalczyły sobie wstęp do anatomicznego teatru profesora Szubera i swemi sumiennemi pracami pozyskały dla swej sprawy starego uczonego, dla którego anatomia była świętym kultem. I jeśli dowiadywały się, że jaki profesor zgadza się otworzyć im swoje laboratorium wieczorami, albo w niedzielę, — natychmiast korzystały z tej okazji do nauki.

Nakoniec, pomimo całej niechęci ministryum, zorganizowały się kursa przygotowawcze pod nazwą kursów pedagogicznych. W rzeczy samej, niepodobna było zabronić przyszłym matkom studyowania różnych systemów wychowawczych! Ale ponieważ metody nauczania botaniki albo nauk przyrodniczych w ogóle nie można wykładać abstrakcyjnie, to wkrótce włączone zostały do programu kursów pedagogicznych i te przedmioty, a potem jeszcze inne.

Krok w krok rozszerzały kobiety swoje prawa. Zaledwie rozchodziła się wieść, że ten lub ów profesor niemiecki zamierza otworzyć swoje audytoryum dla kobiet, — wnet słuchaczki rosyjskie pukały do jego drzwi. Studyowały one prawo i historję w Heidelbergu, a matematykę w Berlinie. W Zurichu przeszło sto kobiet i młodych dziewczyn pracowało w laboratoriach uniwersytetu i politechniki. Tam pozyskały one coś więcej, niż dyplomy doktorskie — a mianowicie, szacunek najznakomitszych profesorów, którzy nieraz wyrażali go publicznie. Kiedy przyjechałem do Zurychu w 1872 r. i zaznajomilem się z niektórymi studentkami, byłem zdumiony, widząc, jak młode pаниenki w politechnice rozwiązywały za pomocą rachunku różniczkowego zawile zagadnienia z zakresu teoryi ciepła, albo sprężystości — tak łatwo, jak gdyby długie lata studyowały już matematykę. W liczbie studentek rosyjskich, studyujących matematykę w Berlinie pod

kierunkiem Weierstrassa znajdowała się, jak wiadomo Zofia Kowalewska, która została potem profesorem uniwersytetu w Sztokholmie. Była ona podobno pierwszym profesorem kobietą w męzkim uniwersytecie, przynajmniej w XIX wieku. Kowalewska była tak młodą, że w Szwecyi nie nazywano jej inaczej, tylko jej zdrobniałem imieniem.

Aleksander II nie cierpiał kobiet uczonych. Widok młodej dziewczyny w okularach i garybaldujskiej czapeczce zdejmował go przerażeniem; sądził, że stoi przed nim nihilistka i tylko nie widać, jak wypali doń z pistoletu! A jednak — mimo jego niechęci, mimo opozycji żandarmów, przedstawiających carowi każdą uczącą się kobietę jako rewolucyonistkę; mimo gro-mów, rzucanych na cały ruch i bezecnych oskarżeń, podnoszonych przez Katkova w każdym numerze jego podlej gazety; kobiety doczekały się — bądź co bądź — otwarcia całego szeregu kursów. Kilka z nich otrzymało doktorskie dyplomy za granicą i za powrotem do kraju uzyskały w 1873 r. pozwolenie urzę-dzenia wyższych kursów medycznych kobiecych na koszt prywatny. A gdy wkrótce potem rząd wezwał do powrotu uczące się kobiety w Zurichu z obawy, aby, zaznajomiwszy się z przebywającymi w Szwaj-caryi rewolucyonistami nie stały się same propaga-torkami idei rewolucyjnych w ojczyźnie, — musiał otwo-rzyć dla nich wyższe kursy, t. j. uniwersytety, które liczyły niebawem przeszło tysiąc słuchaczek. Czyż nie jest to zadziwiającem — w rzeczy samej, — że mimo prześladowań, jakim podlegały kursy medyczne ze strony rządu, mimo chwilowego ich zawieszenia, znaj-duje się dziś w Rosyi przeszło 670 kobiet-doktorów?

Niewątpliwie był to wielki ruch, zdumiewający co do swych rezultatów i bardzo pouczający z ogólnego

punktu widzenia. Zwycięstwo zostało otrzymanem dzięki sumiennej pracy i duchowi poświęcenia, wykazanemu przez kobiety na wszelkiego rodzaju stanowiskach. Wykazały go jako siostry miłosierdzia w czasie wojny krymskiej, jako założycielki szkół, jako akuszerki i felczerki wiejskie i nakoniec — jeszcze później spełniały one z całym oddaniem się obowiązki sióstr miłosierdzia i doktorów w barakach tyfusowych w czasie rosyjsko-tureckiej wojny i pozyskały szacunek nie tylko władz wojskowych, ale samego Aleksandra II, który z taką niechęcią odnosił się do nich zrazu. Znam dwie kobiety, które znajdowały się na wojnie w charakterze sióstr miłosierdzia. Wyjechały one za cudzymi paszportami, gdyż były gorliwie poszukiwane przez żandarmów. Jedną z nich, najważniejszą «zbrodniarkę», która przyjmowała czynny udział w mojej ucieczce, mianowano nawet starszą siostrą w szpitalu wojennym, gdzie jej towarzyszka o mało co nie umarła z tyfusu. Krótko mówiąc, kobiety podejmowały każdą pracę, bez względu na jej ciężar i trud, jeżeli tylko mogły stać się pożytecznymi ludowi. Postępowały zaś tak nie pojedyncze jednostki, lecz tysiące. W literalnym słowa tego znaczeniu wywalczyły one swoje prawa.

Drugą charakterystyczną cechą ruchu kobiecego było to, że nie wykopał on tej przepaści, o której wspominałem wyżej — między dwoma pokoleniami: starszych i młodszych sióstr. W każdym razie, przerwano przez nią wiele mostków. Kobiety, które były pierwszymi inicjatorkami ruchu, nie zrywały nigdy potem łączności z młodszymi siostrami, nawet wtedy, gdy te ostatnie poszły daleko dalej i stały się wyznawczyniami skrajnych zapatrywań. Przeprowadzały one swoje cele w wyższych sferach towarzystwa; trzymały się zdaleka od wszelkich politycznych agitacji;

ale nigdy nie zapominały, że siła ruchu spoczywa w masach kobiet młodszych, które weszły potem po większej części do różnych kółek rewolucyjnych. Te przywódczynie ruchu kobiecego były uosobieniem tego, co Francuzi nazywają «correcte». Uważałem je nawet za zbyt «correcte»; ale nie zerwały one mimo to stosunków z młodemi studentkami, typowemi nihilistkami ze swej powierzchowności: ostrzyżonemi, bez krynolin, chępcami się ze swych demokratycznych przywyczek. Przywódczynie ruchu trzymały się wobec młodzieży tej trochę zdaleka, czasem nawet stosunki zaostrzały się; ale nigdy nie wyparły się one swoich młodszych sióstr, wielki czyn, dodam, w tych czasach szalonych przesładowań. Przywódczynie ruchu kobiecego zdawały się mówić niejako do więcej demokratycznej młodzieży: «my będziemy nosić nasze aksamitne suknie i nasze szyniony, bo mamy do czynienia z głupcami, którzy biorą strój za oznakę politycznej prawomyślności; ale wy, dziewczęta, wolne jesteście w skłonnościach waszych i upodobaniach». Kiedy rząd rosyjski rozkazał studentkom zurychskim powrócić do kraju, eleganckie damy — przywódczynie, nie odwróciły się od nich. Powiedziały one tylko rządowi: «Nie podoba się to wam? Więc otwórzcie wyższe kursa żeńskie w Rosyi. Inaczej nasze dziewczęta pojedą zagranicę w jeszcze większej liczbie i ma się rozumieć — wejdą w stosunki z emigrantami». Kiedy wyrzucano im, że wychowują rewolucjonistki, i grożono zamknięciem wyższych kursów żeńskich i Akademii, odpowiadały one: «Tak? a ilu studentów zostaje rewolucjonistami? czyż to dowodzi, że należy zamknąć wszystkie uniwersytety?» Jak rzadkimi są przywódcy polityczni, — dość odważni, aby nie wyprzeć się skrajnego skrzydła swojej własnej partji.

Cały sekret rozsądnej tej i pomyślnej taktyki po-

legał na tem, że żadna z tych kobiet, stojących na czele ruchu, nie była po prostu «feministką» tylko, ubiegając się o jakie uprzywilejowane stanowisko w społeczeństwie, lub państwie Wręcz przeciwnie. Sympatye większości skłaniały się na stronę ludu. Pamiętam, jaki żywy udział przyjmowała Stasowa w organizowaniu szkół niedzielnych 1861 r., pamiętam jak serdeczne stosunki ona i przyjaciółki jej zawiązywały z dziewczętami fabrycznymi, gorąco interesując się ciężkiem życiem biednych robotnic i walką ich z chciwymi właścicielami fabryk. Pamiętam, także gorliwy współudział słuchaczek pedagogicznych kursów w szkółkach wiejskich i w pracach tych nielicznych osób, którym, jak baronowi Korfowi, pozwolono czas jakiś zajmować się działalnością podagogiczną wśród ludu. Pamiętam również jakim społecznym duchem przeniknięte były te kursy. Prawo — o które one walczyły — zarówno przywódczyni, jak i cała falanga tych kobiet — nie było to wcale prawo pozyskania osobiście dla siebie możności wyższego wykształcenia, ale w wyższym, daleko wyższym stopniu — prawo stania się pożyteczną działaczką wśród mas, wśród ludu. To stanowiło też przyczynę ich powodzenia.

VII.

W ciągu tych lat ostatnich zdrowie ojca pogarszało się coraz bardziej. Kiedyśmy z bratem Aleksandrem przyjechali odwiedzić go na wiosnę 1871 r., doktorzy powiedzieli nam, że nie przeżyje on pierwszych mrozów. Mieszkał on dotąd w Starej Koniusznej, ale w tym arystokratycznym kwartale zaszły w ostatnich czasach wielkie zmiany. Bogaci właściciele ziemscy, grający tu niegdyś tak imponującą rolę, zniknęli. Przehulali

oni swoje wykupne świadectwa, pozastawiali pokilkakrotnie swoje dobra w nowo-założonych bankach rolniczych, umiejących wykorzystać ich niezaradność, a potem, usunęli się do swych wsi, albo prowincjonalnych miasteczek, i umierali tam w zapomnieniu. Domy ich nabyte zostały przez bogatych kupców, albo zamożnych przemysłowców kolejowych i tym podobnych «dorobkiewiczów», w czasie gdy w każdej prawie rodzinie szlacheckiej nowe życie walczyło o swoje prawa wśród rumowisk starego. Jedynymi znajomymi ojca pozostali dwaj czy trzej dymisyonowani generałowie, którzy klęli wszystkie «nowości» i pocieszali się, prorokując Rosyi niechybną zgubę; czasem kto z krewnych zajrzał doń przypadkiem w przejeździe przez Moskwę. Z pośród mnogich naszych krewnych, których liczyliśmy niegdyś w Moskwie dwadzieścia rodzin, teraz pozostały w stolicy zaledwie dwie rodziny, porwane także prądem nowego życia. Matki tych rodzin roztrząsały wspólnie z synami i córkami kwestyę szkół ludowych, albo rozprawiały o żeńskich kursach... Ojciec, ma się rozumieć, patrzył na nich z najwyższą pogardą. Macocha i moja młodsza przyrodnia siostra, Paulina, nie zmieniły się wcale i pielęgnowały go, jak umiały; ale i one czuły się trochę nieswoje w tem zmienionem otoczeniu.

Ojciec zawsze był surowy i w wysokim stopniu niesprawiedliwy i stronny dla Aleksandra; lecz Aleksander odznaczał się zawsze wielką dobroduszością i nie pamiętał uraz. Gdy ze swym miłym uśmiechem na ustach i w łagodnych niebieskich oczach wszedł do pokoju, w którym leżał ojciec i zaraz spostrzegł, co należy uczynić, aby przynieść ulgę choremu, — przyczem wszystko załatwiało się tak prosto i naturalnie, jak gdyby Aleksander nigdy nie wychodził z pokoju chorego, — ogarnęło ojca głębokie zdumienie.

Patrzył na Aleksandra, jakby nie wierząc swoim oczom. Odwiedziny nasze wniosły trochę życia do tego ponurego, smutnego domu. Dozór przy chorym ożywił się nieco. Macocha, Pola, nawet służba poweselała i ojciec także czuł się znacznie lepiej.

Jedna rzecz tylko niepokoiła go. Oczekiwał, że zjawimy się, jako marnotrawni synowie, błagający przebaczenia i zasiłku. Ale kiedy z wielką ostrożnością rozpoczął rozmowę o pieniądzach, przerwaliśmy wesoło: «Nie troszcz się, papo, powodzi nam się wybornie!» To go jeszcze bardziej zbiło z tropu. Przygotował się już był zupełnie do rozczulającej sceny, jakie bywały za jego czasów: synowie błagają ze skrucą u nóg ojca o przebaczenie i pieniądze... Może nawet na chwilę doświadczył pewnego rozczarowania, że do sceny tej nie przyszło, ale zaczął nas widocznie traktować z większym szacunkiem. — Byliśmy wszyscy troje mocno wzruszeni przy pożegnaniu. Ojca przerażał prawie powrót do cichej i ponurej samotności wpośród gruzów tego budynku, który starał się podtrzymywać przez całe swe życie. Ale brata mego wzywały obowiązki służbowe, a ja musiałem jechać do Finlandyi.

Jesienią, gdy zawezwano mię telegraficznie z Finlandyi, podążyłem pośpiesznie do Moskwy, ale przyjechałem już na pogrzeb. — Zwłoki ojca mego złożono na cmentarzu obok tej samej czerwonej cerkwi, gdzie go chrzczono i odmawiano ostatnie modlitwy przy trumnie babki. I postępując za karawanem, po znanych mi z dzieciennych lat ulicach, myślałem o zaszłych zmianach. Domy, obok których przechodziła procesya, mało się zmieniły; ale wiedziałem, że w każdym z nich rozpoczęło się nowe życie.

Oto dom, należący niegdyś do matki mego ojca, księżny Mirskiej, a potem do dawnego mieszkańca

Starej Koniusznej generała N. Jedyna jego córka wytrwale walczyła dwa lata z najpoczeiwszymi, ubóstwiającymi ją, ale upartymi rodzicami o pozwolenie uczęszczania na wyższe kursy. Nakoniec dziewczyna zwyciężyła, ale wyjeżdżała na kursy w eleganckiej karecie, w towarzystwie «mamy», która odważnie wysiadła godzinami całymi na ławkach audytoryum wspólnie z innymi słuchaczkami, obok swej ukochanej córki. Lecz mimo czujnego dozoru — dziewczyna przystąpiła po paru latach do ruchu rewolucyjnego, została aresztowaną i przesiedziała cały rok w Petropawłowskiej twierdzy.

Oto — naprzeciwno, dom hrabiów Z. Dwie ich córki, zbrzydźszy sobie bezużyteczne, bezcelowe i próżniacze życie, daremnie błagały swych despotycznych rodziców, by im pozwolono chodzić na kursy, wspólnie z innymi dziewczętami, które czuły się tam tak szczęśliwymi. Walka ciągnęła się kilka lat. Rodzice nie ustępywali. Nakoniec starsza siostra otruła się; wtedy tylko pozwolono młodszej postąpić gdzie i jak chce.

A otóż i dom, w którym przemieszkaliśmy niegdyś rok. Tu wkrótce miało miejsce pierwsze posiedzenie rewolucyjnego kółka, które założyliśmy z Czajkowskim w Moskwie. Natychmiast poznałem pokoje, pamiętne mi z dzieciństwa, mimo całkiem zmienionego umeblowania. Dom należał teraz do krewnych Natalii Arenfeld, której wzruszający portret skreślił Kennan, poznawszy ją w «wolnej komendzie» na Karze.

A oto jeszcze, o kilka kroków od domu, w którym umarł ojciec, niewielki szary domek, gdzie w kilka miesięcy po śmierci ojca, spotkałem Stepniaka w przebraniu chłopskim. Zaledwie kilka dni temu aresztowano go we wsi za propagandę socjalistyczną

wpośród chłopów, ale udało mu się umknąć i przyjechał do Moskwy.

Takie to zmiany zaszły w «pańskim», kwartale Starej Koniusznej w ciągu ostatnich piętnastu lat. I ta warownia starej szlachty nie została się wobec nacisku młodych sił.

VIII.

W początkach wczesnej wiosny następnego roku pierwszy raz znalazłem się za granicą. Przejeżdżając granicę, — doświadczyłem — w silniejszym może stopniu, niż oczekiwałem, tego uczucia, jakie ogarnia wszystkich prawie Rosyan, wyjeżdżających z Rosyi. Póki pociąg pędzi przez mało zaludnione północno-zachodnie gubernie, ma się uczucie, jak gdyby się przerzynało pustynię. Na setki wiorstw ciągną się zarośla, do których ledwie się daje zastosować nazwa lasu. Gdzie niegdzie widać lichą wioszcynę, wpół zasypaną śniegiem. Ale gdy się wjedzie do Prus, wszystko zmienia się odrazu — i krajobraz i ludzie. Z okien wagonu widać porządne, schludne wioski, fermy, ogródki, brukowane drogi; im dalej posuwamy się w głąb Niemiec, tem kontrast staje się jaskrawszym. Po miastach rosyjskich nawet nudny Berlin wydaje się ożywionym.

A co za różnica w klimacie! Dwa dni temu, kiedy opuszczałem Petersburg, wszędzie leżał śnieg; tu zaś, w Niemczech środkowych, spacerowałem po peronie stacji kolejowej bez palta. Słońce przygrzewało; pączki na drzewach rozpękały się i wkrótce kwiaty miały rozkwitnąć. A dalej zabłyszczały wody Renu, a jeszcze dalej powitałem Szwajcaryę, zalaną olśniewającymi promieniami słońca, z jej maleńkimi hotelami, gdzie

podają wam śniadanie pod otwartem niebem — naprzeciw śnieżnych gór. Nigdy dotąd nie uprzytomniłem sobie tak jasno, co znaczy północne położenie Rosyi i jaki wpływ na historję jej posiadała okoliczność, że główne ognisko jej życia umysłowego leży na północy, u samych wybrzeży zatoki Fińskiej. Teraz dopiero pojąłem dokładnie, dlaczego południe z taką nieprzepartą siłą nęciło zawsze Rosyan ku sobie, dlaczego z takim niewiarogodnym prawie wysiłkiem starali się oni dotrzeć do brzegów Morza Czarnego i dlaczego wychodźcy syberyjscy tak uporczywie dążą na południe — w głąb Mandżuryi.

Okolo tego czasu masa młodzieży rosyjskiej przebywała na studyach w Zurichu. Słynna «Oberstrasse» wydawała się prawdziwie rosyjskiem miasteczkiem, język rosyjski przeważał tu ogólnie. Studenci, a zwłaszcza studentki, żyli tak, jak w ogóle żyje ucząca się młodzież rosyjska, to jest prawie bez żadnych środków. Herbata, chleb, trochę mleka, niewielki kawałek mięsa, usmażonego na maszynie spirytusowej — wśród ożywionych rozpraw o ostatnich wydarzeniach w świecie socyalistycznym lub ostatniej przeczytanej książce, — zadawałniało to młodzież najzupełniej. Ci, którzy mieli więcej pieniędzy, niż wymagało podobnego rodzaju życie, oddawali je na sprawę ogólną: na bibliotekę, na rosyjski rewolucyjny dziennik, na szwajcarskie gazety robotnicze. Co się tyczy strojów, publiczność była nad wyraz mało wybredną.

Ale dziewczynie lat szesnastu

W jakiej czapeczce nie do twarzy ?

i w starym grodzie Zwingli'ego studentki rosyjskie zdawały się niejako rzucać ludności wyzywające pytanie: czy istnieje strój tak skromny, w którymby nie było do twarzy dziewczynie młodej, rozumnej i pełnej energii?

Ale równocześnie kobiety rosyjskie pracowały wytrwale i niezmiernie; nigdy jeszcze tak nie pracowano, odkąd istnieją uniwersytety. Profesorowie stawiali kobiety za przykład studentom.

Dawno już pragnąłem gorąco zapoznać się ze wszystkim, co się tyczyło Internacyoła. Gazety rosyjskie często wspominały o nim, ale nie wolno im było pisać ani o celach, ani o działalności Międzynarodowego Związku robotników. Domyślałem się, że musi to być wielki ruch, mający bogatą przyszłość przed sobą; ale nie mogłem dobrze uchwycić jego celu. Teraz, w Szwajcaryi, postanowiłem znaleźć odpowiedź na wszystkie moje pytania.

«Międzynarodówka» znajdowała się wtedy u szczytu swego rozwoju. Wypadki lat czterdziestych obudziły wielkie nadzieje w sercach zachodnio-europejskich robotników. Dziś dopiero dowiadujemy się, jaką masę literatury rozprzestrzenili wówczas pomiędzy proletaryatem socjaliści wszystkich odcieni: socjaliści chrześcijańscy i państwowi, Furierzyści, Saint-simoniści, Oweniści i t. d.; i dziś tylko zaczynamy pojmować, jak głębokim był ten ruch; wiele z tego, co nasze pokolenie uważa za swoje nowe słowo, — wypowiedziane było już wtedy, a czasem nawet z większą siłą i z większym zrozumieniem rzeczy. Republikanie pod słowem «rzczechospolita» rozumieli wtedy wcale nie demokratyczną organizację kapitału, jak się to rozumie dzisiaj, a coś zupełnie odmiennego. Gdy republikanie ówczesni mówili o Zjednoczonych Stanach Europy, rozumieli pod tem wyrażeniem braterstwo wszystkich robotników — a narzędzia zniszczenia, zamienione w narzędzia pracy wytwórczej, znajdujące się w rozporządzeniu wszystkich członków społeczeństwa, — «miecze, przekowane w pługi», — «żelazo, wrócone robotnikom»,

jak śpiewał w jednej ze swych pieśni Pierre Dupont. Republikanie dążyli nietylko do równości przed prawem i do równouprawnienia politycznego, ale głównie i do równości ekonomicznej. Nawet nacjonałiści marzyli wtedy o takich Młodych Niemczech, Młodej Italii i Młodych Węgrzech, któreby podjęły inicjatywę śmiałych reform agrarnych i ekonomicznych.

Pogrom powstania czerwcowego w Paryżu, rozbięcie armii węgierskiej przez Mikołaja I, — i młodych Włoch przez Francuzów i Austryaków, — potem ponura polityczna i umysłowa reakcja, która wkrótce po 1848-ym roku zapanowała w całej Europie, — zgnębiły całkowicie olbrzymi ruch tego czasu i w ciągu następnych dwudziestu lat ludzie zapomnieli o nim prosto, zapomnieli o całej socjalistycznej literaturze czterdziestych lat i o samych ideałach rewolucji ekonomicznej i wszechludzkiego braterstwa.

Ale jedna idea ocalała z powszechnego rozbicia: idea braterstwa robotników wszystkich krajów. Kilku wygnańców francuzkich nie przestawało głosić jej w Stanach Zjednoczonych Ameryki, a w Anglii żyła ona wpośród uczni Roberta Owena. Umowa, zawarta między nielicznymi robotnikami angielskimi i francuzkimi delegatami w czasie wystawy powszechnej w Londynie 1862 r., — stała się punktem wyjścia potężnego ruchu, który ogarnął w krótkim czasie całą Europę i objął miliony przedstawicieli pracy. Uśpione przez dwadzieścia lat nadzieje obudziły się na nowo, gdy rozległo się z Londynu wezwanie do robotników «wszystkich narodowości, wyznań, ras, barw i płci», by zjednoczyli się razem i oświadczyli, że «wyzwolenie robotników musi być ich własnym dziełem». Wzywano ich, by wystąpili w ewolucyjnym prądzie ludzkości z nową potężną siłą międzynarodowej organizacji, walczącej — nie w imię słodko-ckliwej miłości

i miłosierdzia, a w imię sprawiedliwości, która niechybnie musi być wymierzona ludziom, świadomym swych ideałów i celu życia.

W 1868 i 1869 r. wybuchły w Paryżu dwa strejki, wsparte w pewnej mierze przez niewielkie sumy, przysłane z zagranicy, głównie z Anglii. Strejki te były wprawdzie — same przez się dość nieznaczne, — ale w związku z prześladowaniem, jakiemu uległ Międzynarodowy Związek Robotniczy ze strony Napoleonowskiego rządu, stworzyły one potężny ruch, który przeciwstawił wzajemnej rywalizacji państw — łączność wszystkich robotników. Idea międzynarodowego zjednoczenia wszystkich oddzielnych fachów i walki z kapitałem z pomocą międzynarodowego poparcia, — porwała wszystkich robotników, nawet najubożniejszych. Jak pożar stepów — ruch ogarnął szybko Francję, Włochy, Hiszpanię i wysunął niebawem na swoje czoło wielką ilość inteligentnych, czynnych i głęboko oddanych sprawie robotników. Złączyło się z nim kilka wybitnych jednostek obu płci z klas wyższych. Z każdym rokiem potężniała w Europie siła, której istnienia nawet nie podejrzrywano dotąd. I jeżeliby ruch nie został powstrzymany w skutek prusko-francuskiej wojny, zaszyłyby prawdopodobnie w Europie wielkie wydarzenia, które przyspieszyłyby postęp i zmieniły charakter naszej cywilizacji. Ale zwycięstwo pruskie, które zdruzgotało Francję, wytworzyło zarazem anormalne warunki. Opóźniło ono na lat dwadzieścia pięć prawidłowy rozwój Francji i spowodowało okres militarizmu, z którego dotąd jeszcze wybrnąć nie możemy.

Był to czas, w którym cieszyły się wielką popularnością między robotnikami różnego rodzaju półśrodki, projektowane celem rozwiązania ważnej kwe-

sty społecznej: związki spożywcze i wytwórcze, subwencyonowane przez państwo, banki ludowe, darmowy kredyt i t. d. Projekty wszystkich tych półśrodków wnosiły się, jeden po drugim w «sekcjach» Międzynarodowego Związku, potem na miejscowych, okręgowych, narodowych i międzynarodowych zjazdach i gorąco się dyskutowały. W miejsce wszystkich tych półśrodków — powstawała idea wielkiej Socyalnej Rewolucyi. Każdy coroczny zjazd związku oznaczał nowy krok w rozwoju tej kwestyi, która w całej swej grozie staje dziś przed naszym pokoleniem, żądając koniecznego rozwiązania. Do dzisiejszego dnia nikt jeszcze nie podał należytej oceny wszystkich tych pomysłów, naukowo-prawdziwych i głębokich myśli (wszystkie one były wynikiem zbiorowej myśli robotników), które zostały wypowiedziane na tych kongresach. Dość powiedzieć — a nie będzie to żadną przesadą, że wszystkie projekty przeobrażenia społeczeństwa, znane dziś pod nazwą «naukowego socjalizmu», albo «anarchizmu», biorą swój początek w rozprawach kongresów i w różnych referatach, składanych Internacyonalowi. Nieliczni inteligenci, którzy połączyli się z ruchem, przyoblekli tylko w teoretyczne formy pragnienia i krytykę istniejących stosunków, wypowiedzianą przez robotników w sekcjach Międzynarodowego Związku i na jego kongresach.

Wojna 1870 — 71 r. opóźniła, ale nie przerwała rozwoju Związku. We wszystkich przemysłowych ośrodkach Szwajcaryi istniały w dalszym ciągu liczne i ożywione sekcye Międzynarodówki i tysiące robotników uczęszczało na ich posiedzenia, na których wyowiadała się wojna istniejącemu systemowi posiadania ziemi i fabryk i obwieszczał się blizki koniec kapitalistycznego ustroju. W różnych miejscowościach Szwajcaryi odbywały się miejscowe kongresy i na każdym

z nich omawiały się najżywotniejsze i najzawilsze kwestye współczesnego ustroju społecznego, przyczem gruntowna znajomość rzeczy i szeroki sposób stawiania kwestyi przerażały burżuazyę bodaj więcej, niż rosnąca wciąż liczba członków sekcji i federacyi Związku. Współzawodnictwo i zawiść, istniejące zawsze między uprzywilejowanymi robotnikami (zegarmistrzami, złotnikami) i przedstawicielami rzemiosł prostszych (n. p. tkaczami) i utrudniające dotąd ogólne zjednoczenie, zniknęły powoli. Robotnicy zaznaczali coraz głośniej i z coraz większą siłą, że ze wszystkich przegród, wytworzonych w obecnem społeczeństwie, najgłośniejszą i najszkodliwszą jest ta, która dzieli społeczność na właścicieli kapitału i na proletaryuszy, skazanych w skutek swej przyrodzonej nędzy pozostać na zawsze wytwórcami bogactw dla kapitalistów.

Włochy, zwłaszcza środkowe i północne, pokryte były sekcjami Internacyonału — i mówiło się w nich otwarcie, że narodowa jedność Włoch, o którą tak długo walczyli patryoci, okazała się czystym złudzeniem. Wzywano teraz lud, aby podniósł własną rewolucyę, która oddałaby ziemię chłopom, a fabryki robotnikom i zniosłaby ucisk zcentralizowanego państwa, którego historyczną misyą było zawsze utrzymywać eksploatacyę człowieka przez człowieka.

W Hiszpanii zawiązały się liczne sekcye Internacyonału w Katalonii, Walencji i Andaluzji. Popierały je silne robotnicze związki w Barcelonie, które wówczas już wywalczyły sobie ośmiogodzinny dzień roboczy w fachu budowlanym. Związek Międzynarodowy liczył w Hiszpanii najmniej 80,000 płacących składkę związkową członków. Weszły doń wszystkie czynniejsze i energiczniejsze żywioły społeczeństwa. Niechęć, z jaką zachowywali się w obec intryg politycznych

1871 — 72 lat, zjednała im znaczną część ludności. Sprawozdania prowincjonalnych i narodowych kongresów hiszpańskich i manifesty ich były zawsze wzorami ścisłej logiki w krytyce istniejącego ustroju społecznego oraz wyborną wykładnią ideałów klasy robotniczej.

Ten sam ruch szerzył się w Belgii, Hollandyi a nawet w Portugalii. Najwyborowska część belgijskich tkaczy i górników przystąpiła do związku. W Anglii trade-uniony, znane ze swego konserwatyzmu, połączyły się z ruchem, to jest, — jeszcze nie przyznając się stanowczo do socjalizmu, związki robotnicze wyraziły gotowość popierania swych braci z kontynentu w walce ich z kapitałem, zwłaszcza w czasie strejków. W Niemczech socjaliści zawarli przymierze z licznymi zwolennikami Lassalle'a, przez co założony został grunt pod dzisiejszą socyal-demokratyczną partję. Austria i Węgry podążały tą samą drogą. We Francyi, po zdławieniu Komuny i zapanowaniu w ślad za tem gwałtownej reakcyi — żadna organizacya Internacjonalu nie była możliwą (przeciwko członkom Związku wydano drakonowskie prawa); ale wszyscy, mimo to, byli przekonani, że wkrótce Francya nietylko przyłączy się do ruchu, ale nawet stanie na jego czele.

Przyjechawszy do Zurichu, wstąpiłem do jednej z miejscowych sekcji Międzynarodówki i zapytałem moich przyjaciół rosyjskich, z jakich źródeł można się najlepiej zapoznać z wielkim ruchem, powstałym w obcych krajach. «Czytajcie», powiedziano mi i jedna z mych rodaczek, ucząca się wówczas w Zurychu, przyniosła mi cały stos książek, broszur i gazet z ostatnich lat. Czytałem całe dnie i noce jednym tchem i wrażenie, które wyniosłem, było tak głębokie, że nigdy i niczem się nie zatrze. Prąd nowych myśli, powstałych we mnie, łączy się w mej pamięci z ma-

leńką, czystą izdebką na Oberstrasse, z której okien widniało błękitne jezioro i wysokie wieże starego grodu, świadka tyłu zaciekłych sporów religijnych i góry, po drugiej stronie jeziora, gdzie Szwajcarowie walczyli za swą niepodległość.

Literatura socjalistyczna nigdy nie obfitowała w książki. Pisaną jest ona dla robotników, dla których kilka kopiejek stanowią już pieniądze i którzy mało mają czasu do czytania po długim roboczym dniu. Dla tego składa się ona przeważnie z broszur i gazet. Zresztą, jeżeli chcemy zapoznać się z socjalizmem, niewiele znajdziemy w książkach tych właśnie wiadomości, które nas najbardziej interesują. W książkach wykładają się teorye i argumentacya socjalizmu; ale nie dają one pojęcia o tem, jak robotnicy przyswajają sobie robotnicze ideały, ani jak te ostatnie mogą być wcielone w praktyce. Pozostaje tylko wziąć całe stopy gazet i czytać je od deski do deski: kronikę, artykuły wstępne i wszystko pozostałe; pierwsza jest nawet ważniejszą od artykułów wstępnych.

Za to otwiera się przed nami w czasie tego czytania świat całkiem nowych stosunków socjalnych, poznajemy zupełnie nowe metody myślenia i działania, co wszystko daje nam to, czego w żadnym innem miejscu nie znajdziemy: a mianowicie — wyjaśnia głębię i moralną siłę ruchu i pokazuje, o ile ludzie, przyniknięci nowemi zasadami, o ile robotnicy przygotowani są do tego, żeby przeprowadzić idee socjalizmu w życiu, choćby za cenę wielkich ofiar. Rzeczy tych niepodobna poznać za pomocą innego rodzaju czytania; — i dla tego, wszystkie gadania teoretyków o niemożliwości praktycznego zastosowania socjalizmu i o konieczności powolnego rozwoju nie posiadają wielkiego znaczenia, albowiem o szybkości ewolucyi można sądzić tylko

na zasadzie blizkiej znajomości ludzi, o których ewolucyi mówimy. Czy można znaleźć sumę, jeśli nie znamy jej składników?

Im więcej czytałem, tem silniej przekonywałem się, że stoi przedemną nowy dla mnie świat, całkiem nieznanym uczonym autorom socyologicznych teoryi. Świat ten mogłem poznać tylko żyjąc sam wpośród robotniczego internacyonału i przyglądając się jego powszedniemu, codziennemu życiu. Postanowiłem więc poświęcić takiemu badaniu kilka miesięcy. Moi znajomi rosyjscy pochwalili mój zamiar; spędziwszy zatem kilka dni w Zurichu, udałem się do Genewy, która była głównym centrem Międzynarodowego Związku.

Sekcye Genewskie zbierały się wtedy w ogromnej świątyni wolno-mularskiej Temple Unique. W czasie wielkich mityngów przestronna sala mogła pomieścić dwa tysiące ludzi. Wieczorami zaś przeróżne komitety i sekcye zasiadały w bocznych pokojach, gdzie wykladały się także kursa historyi, fizyki, mechaniki, i t. p. Bardzo nieliczni inteligenci, którzy przystąpili do ruchu, — przeważnie francusecy emigranci — komuniści, uczyli bezinteresownie robotników. Świątynia służyła tym sposobem i jako uniwersytet ludowy i jako forum.

Jednym z głównych przywódców w świątyni wolnomularskiej był Mikołaj Utin, człowiek wykształcony, zręczny i czynny. Duszą zaś wszystkiego była sympatyczna niewiasta rosyjska, którą robotnicy tytułowali Madame Olga. Była ona najczynniejszą z pośród wszystkich członków w komitetach. Utin i m-me Olga przyjęli mię bardzo serdecznie, zaznajomili ze wszystkimi wybitniejszymi robotnikami różnych sekcyi, zorganizowanych zawodowo i zaprosili na zebrania komitetowe. Bywałem i na tych zebraniach, ale bez

porównania więcej podobało mi się otoczenie samych robotników. Przy szklance kwaśnego wina przesiadywałem nieraz długimi wieczorami i wkrótce zaprzyjaźniłem się z niektórymi z nich, zwłaszcza z jednym, mularzem Alzaczykiem, który wyemigrował z Francji po komunie. Miał on dzieci: — dwoje z nich w wieku dzieci brata, zmarło niedawno nagłą śmiercią. Poprzyjaźniłem się niebawem z dziećmi, a przez nie i z rodzicami. Teraz mogłem obserwować życie ruchu z wewnątrz i pojąć dokładniej, jak zapatrywali się nań robotnicy. Wszystkie swoje nadzieje pokładali oni w Międzynarodowym Związku. Młodzi i starzy śpieszyli po skończonej robocie do Temple Unique, — żeby skrzętnie zbierać ziarna rozsiewanej tam wiedzy, albo przysłuchiwać się mówcom, roztaczającym przed nimi obrazy wielkiej przyszłości. Z zapartym tchem słuchali oni o ustroju, który będzie się opierał na wspólności narzędzi wytwórczych, na doskonałym braterstwie, bez różnicy stanów, ras i narodowości. Wszyscy wierzyli, że w ten lub inny sposób nastąpi wkrótce wielka rewolucja socjalna, która z gruntu zmieni wszystkie ekonomiczne warunki. Nikt nie pożałował wojny domowej, ale wszyscy mówili, że — jeżeli klasy rządzące uczynią ją nieuniknioną — dzięki swemu ślepemu uporowi, — to nie cofną się przed krwawym bojem, byle tylko walka przyniosła z sobą szczęście i swobodę uciśnionym.

Trzeba było żyć wpośród robotników, aby zrozumieć, jaki wpływ wywierał na nich szybki wzrost Międzynarodówki, jak szczerze wierzyli w ten ruch, z jaką miłością mówili o nim i jakie ponosili dlań ofiary. Z dnia na dzień, z roku na rok — tysiące robotników poświęcało swój czas i pieniądze, żeby podtrzymać swą sekcję, założyć gazetę, pokryć wydatki, spowodowane organizacją jakiego narodowego, albo międzynarodowego kongresu; — żeby wspomóc to-

warzyszy, którzy ucierpieli w sprawie stowarzyszenia, albo wprost, żeby uczestniczyć w manifestacjach i zgromadzeniach. Głębokie wrażenie wywierał też na mnie uszlachetniający wpływ Internacyonału na robotników. Większość z pomiędzy paryskich internacjonalistów nie używała wcale spirytusowych napojów i wszyscy zarzucili palenie. «Po co mamy się poddawać temu niepotrzebnemu przyzwyczajeniu?» — mówili oni. Wszystkie małe, — niskie instynkta i zwyczaje znikają, — ustępując miejsca wielkim i wzniosłym uczuciom.

Obserwatorzy postronni wprost niezdolni są pojąć, jakie ofiary ponoszą robotnicy, aby utrzymać ruch. Wymagało to niemało odwagi, żeby jawnie wstąpić do jakiej sekcji Międzynarodowego Związku; znaczyło to oburzyć na siebie gospodarza i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — stracić pracę — a w następstwie być skazanym na długie miesiące bezrobocia. Nawet przy najbardziej sprzyjających warunkach, przystąpienie do związku robotniczego, albo do jakiejś krajowej partii, wymaga całego szeregu bezustannych ofiar. Nawet te kilka centów, które europejski robotnik składa na wspólną sprawę, odbijają się dotkliwie na jego budżecie. A jednak nie jeden cent musi on wydać każdego tygodnia. Częste uczęszczanie na zebrania także jest pewnego rodzaju ofiarą. Dla nas przedstawia to nawet przyjemność spędzić wieczór na mityngu; ale robotnik, który rozpoczyna swój dzień pracy o 5-tej lub 6-tej godzinie rano, musi ująć sobie kilka godzin spoczynku nocnego, aby spędzić wieczór na zebraniu, daleko od swego mieszkania.

Dla mnie ten szereg nieprzerwanych ofiar stanowił niejako ciągły wyrzut. Widziałem, jak pożądliwie i gorąco starali się robotnicy o nabycie wykształcenia, — a tymczasem — liczba dobrowolnych nauczycieli była

tak nieznaczną, że można było wpaść w rozpacz. Wiedziałem, jak bardzo masy pracujące potrzebują w zawiązywaniu i rozwoju swych organizacyi pomocy ludzi inteligentnych, mających czas wolny. Ale — jak nie wielu obywateli ofiarowywało bezinteresownie swoje usługi, bez ukrytej chęci wyciągnięcia pewnych osobistych korzyści z samej niezaradności ludu! Coraz silniej czułem, że obowiązkiem moim jest poświęcić się całkowicie masom. Stepniak w powieści swej «Andrzej Kożuchow» powiada, że każdy rewolucjonista przeżywa w życiu decydującą chwilę, w której jakaś drobna, nic nieznacząca zresztą sama przez się okoliczność — tak silne wywiera na nim wrażenie, że sam sobie składa uroczystą przysięgę oddać się bez zastrzeżeń, ciałem i duszą rewolucyjnej działalności. Ja znam tę chwilę i doświadczyłem jej, wychodząc z jednego zebrania w Temple Unique, kiedy uczułem wyjątkowo silnie, jak tchórzliwymi są ludzie wykształceni, którzy tak dziwnie opieszale zwlekają z oddaniem na usługi ludu swej wiedzy, energii i działalności, których on tak potrzebuje.

— «Oto ludzie, myślałem, którzy przyszli do świadomości swej niewoli i dążą do wyzwolenia się. Ale gdzie ich pomocnicy? Gdzie ci, którzy przyjdą po to, aby służyć masom, a nie dlatego, żeby posługiwać się nimi w widokach własnej próżności?»

Powoli zaczęło się budzić we mnie podejrzenie co do szczerości propagandy, prowadzonej w Temple Unique. Pewnego wieczora zjawił się na zebranie głośny w mieście adwokat genewski, A. i oświadczył, iż jeśli dotąd nie przyłączył się do Związku Międzynarodowego, to tylko dla tego, że musiał wprzód urządzić swoje pieniężne interesy; teraz, gdy ta przeszkoda została usunięta, zamierza połączyć się z ruchem robotniczym. Uderzył mnie cynizm tego oświadczenia i po-

dzieliłem się mojami myślami z sąsiadem moim, mularzem. Okazało się, że na poprzednich wyborach adwokat szukał poparcia partii radykalnej, ale przepadł. Teraz myślał wynieść się na ramionach partii robotniczej. — «Tymczasowo przyjmujemy usługi takich panów», dodał mój towarzysz; «ale po przeprowadzeniu rewolucji socyalnej pierwszą naszą rzeczą będzie pozbyć się ich zupełnie».

Wkrótce potem zwołano pośpiesznie mityng dla wyrażenia protestu, jak mówiono, przeciwko «Journal de Génève». Dziennik ten bogatych klas Genewskich pisał, że w Temple Unique knuje się coś podejrzanego i że fachy budownicze przygotowują taki sam ogólny strejk, jak w 1869 r. W skutek tego przywódcy z Temple Unique zwołali zebranie. Tysiące robotników wypełniło salę i Utin zaproponował rezolucję, której sformułowanie wydało mi się dość dziwnem: zebranie wzywało się do «pełnego oburzenia protestu» przeciw niewinnemu wedle mnie, przypuszczeniu, że robotnicy myślą strejkować. «Dla czegoż przypuszczenie to chcą przedstawić jako potwarz?» — zapytywałem ze zdumieniem. «Czyż strejk jest jakim przestępstwem?» Utin tymczasem naglił i zakończył mowę swoją słowami: «Jeżeli, obywatele, przyjmujecie moją rezolucję, poszlę ją natychmiast do druku». Chciał już zejść z trybuny, gdy ktoś zauważył, że nie szkodziłoby, jednakże, zastanowić się pierwej nad tą kwestyą; i wtedy — jeden po drugim — wstawali przedstawiciele różnych fachów budowlanych, oświadczając, że płaca zarobkowa spadła w ostatnich czasach tak nisko, iż niepodobna żyć; że na wiosnę przewiduje się wiele pracy i że z okoliczności tej chcą skorzystać robotnicy, żeby podnieść zarobek. Jeżeli zaś przedsiębiorcy nie zgodzą się, to robotnicy niezwłocznie rozpoczną strejk.

Byłem wściekły i ostro wyrzucałem nazajutrz Utinowi jego propozycję. «Jakże to można?» — mówiłem mu. «Jako przywódca powinienesz być wiedzieć, że strejk na prawdę się przygotowywał». Skutkiem naiwności mojej nie pojąłem nawet istotnych względów, którymi kierowali się przywódcy i sam Utin musiał objaśnić mi, że «strejk wpłynąłby szkodliwie na wybory adwokata A.».

Nie mogłem pogodzić tych machinacyi przywódców z płomiennemi ich mowami, które wygłaszali z trybuny. Byłem całkiem rozczarowany i powiedziałem Utinowi, że chcę poznać «Bakunistów», czyli «Federalistów», t. j. drugą sekcję genewską Internacyo-
nału. Słowo «anarchizm» mało jeszcze wtedy było w użyciu. Utin dał mi natychmiast kartkę polecającą do Mikołaja Żukowskiego, należącego do «Bakunistów»; — potem długo patrzył na mnie i rzekł z westchnieniem: «tak, pan więcej nie wrócisz do nas, pan zostaniesz u nich».

Miał zupełną słuszność.

IX.

Pojechałem najpierw do Neuf-Châtel, a potem spędziłem cały tydzień wpośród zegarmistrzy w górach Jura. Tym sposobem poznałem naprzód słynną Federacyę Jurajską, która odegrała następnie taką wybitną rolę w rozwoju socjalizmu, wprowadzając doń zasadę zaprzeczającą rząd, czyli zasadę anarchizmu.

W 1872 r. Federacya Jurajska powstała przeciw autorytetowi Rady Ogólnej Internacyo-
nału. Wielki międzynarodowy związek był całkowicie ruchem robotniczym, — i sami robotnicy uważali go za takowy, nie uznając wcale swego związku za partyę polity-

czną. W Belgii wschodniej, na przykład, zamieścili robotnicy w swej ustawie paragraf, mocą którego nikt, nie zajmujący się sam pracą ręczną, nie mógł być członkiem sekcji. Nawet dozorczy robotników nie byli przyjmowani. Oprócz tego robotnicy byli zdecydowanymi federalistami. Każda narodowość, każda oddzielna prowincya i nawet każda oddzielna sekcya powinna była posiadać zupełną samodzielność rozwoju. Ale burżuazyjni rewolucyoniści starej szkoły, którzy wstąpili do Internacyonału, przeniknięci pojęciami panującymi, w dawnych scentralizowanych, piramidalnych stowarzyszeniach tajnych, zaszczepili te pojęcia Międzynarodowemu Związkowi Robotników.

Oprócz Rad Federalnych i Narodowych, mianowaną została w Londynie Rada Generalna, mająca pośredniczyć między różnymi narodowościami. Marks i Engels stali na jej czele. Wkrótce jednak okazało się, że sam fakt istnienia podobnej centralnej Rady pociąga za sobą wielkie niedogodności. Rada Generalna nie poprzestała na roli centralnego biura pośredniczącego we wzajemnych międzynarodowych stosunkach. Dążyła ona do zagarnięcia całego ruchu w swe ręce, — pochwalając, lub ganiąc działalność nietylko różnych sekcji federacyi, ale nawet pojedynczych członków. Kiedy wybuchło powstanie Komuny w Paryżu — i wozom należało tylko śledzić przebieg ruchu — wobec niewiedomości, dokąd przyprowdzi ich on dnia następnego, Rada Generalna chciała koniecznie kierować sprawami, siedząc w Londynie. Żądała codziennych sprawozdań, wydawała rozkazy, zachęcała, upominała i tym sposobem naocznie wykazywała, jak niekorzystnie nawet wpływają na sprawy stowarzyszenia podobne rządy centralne. Niedogodność ta stała się jeszcze jaśniejszą, gdy po tajnym zjeździe 1871 r., Rada Generalna, poparta przez niezliczonych delegatów,

postanowiła zwrócić wszystkie siły Międzynarodowego Związku ku agitacyi wyborczej. Wielu przekonało się wtedy, jak niepożądanym jest każdy rząd, jakkolwiek demokratycznym byłoby jego pochodzenie. Tak rozpoczynał się anarchizm współczesny, a Federacja Jurajska stała się głównym ośrodkiem jego rozwoju.

W górach Jurajskich nie było tego rozdwojenia między przywódcami i robotnikami, które zauważyłem w Genewie, w Temple Unique. Ma się rozumieć, niektórzy członkowie byli więcej rozwinięci i wyrobieni, a zwłaszcza czynniejsi, niż inni; ale na tem ograniczała się cała różnica. James Guillaume, jeden z najrozumniejszych i najgruntowniej wykształconych ludzi, jakich kiedykolwiek spotykałem, — służył jako zawiadowca i korektor w małej drukarni. Zarabiał tak mało, że musiał jeszcze nocami tłómaczyć powieści z języka niemieckiego na francuski.

Kiedy przyjechałem do Neuf-Châtel, Guillaume wyraził mi swój żal, że nie może poświęcić rozmowie ze mną więcej niż godzinę, lub dwie. Drukarnia ich wypuszczała tego dnia pierwszy numer miejscowej gazety i Guillaume nie tylko redagował ją i sam robił korektę, ale musiał jeszcze ponadpisywać ze trzy tysiące adresów dla pierwszych numerów i zakleić banderole.

Ofiarowałem się mu z pomocą w pisaniu adresów, ale do niczego to nie doprowadziło. Guillaume pisał adresy albo z pamięci, albo zaznaczał je jedną lub dwoma literami na skrawkach papieru.

— Nie ma rady, powiedziałem. W takim razie przyjdę po obiedzie do drukarni i będę zaklejał opaski, a pan udzieli mi tego czasu, który mu oszczędzę.

Zrozumieliśmy się odrazu, — uścisnęliśmy sobie serdecznie dłonie i zawiązała się odtąd między nami

serdeczna przyjaźń. Spędziliśmy kilka godzin w drukarni. Guillaume nadpisywał adresy, ja zaklejałem opaski, a jeden z zecerów, — uczestnik Komuny Paryskiej, gawędził z nami oboma, składając równocześnie szybko jakąś powieść. Rozmowę swoją przeplatał frazesami z oryginału składanej powieści, które odczytywał głośno. Wychodziło mniej więcej tak:

— Na ulicach rozpoczęły się gorące utarczki... «Droga Maryo, kocham ciebie»... Robotnicy byli wściekli i na Montmartre bili się, jak lwy... «I upadł przed nią na kolana»... Bronili swego przedmieścia przez całe cztery dni. Wiedzieliśmy, że Gallifet karze śmiercią przez rozstrzelanie wszystkich jeńców i wskutek tego walczyliśmy z jeszcze większą zaciętością». I tak dalej. Ręka jego szybko latała po drukarskiej kaszcie.

Było już bardzo późno, kiedy Guillaume zrzucił na koniec robotniczą bluzę. Mogliśmy wtedy porozmawiać serdecznie i otwarcie przez jakie dwie godziny, potem znowu musiał wrócić do pracy. Redagował «Biuletyn» Federacyi Jurajskiej.

W Neuf-Châtel poznałem się także z Malon'em. Urodził się on na wsi i w młodości był pastuchem. Potem dostał się do Paryża, gdzie się wyuczył koszykarstwa. Wspólnie z introligatorem Varlain'em i stolarzem Pindy stał się on ogólnie znanym, jako jeden z najgłośniejszych działaczy Internacyoalu w okresie jego prześladowań przez rząd Napoleonowski (1869 r.). Trzej ci ludzie zawojowali sobie wprost serca robotników paryzkich — i kiedy zaczęło się powstanie Komuny, Varlain, Pindy i Malon zostali olbrzymią większością głosów obrani członkami Rady Komuny. Malon był także merem jednego z paryzkich okręgów. Teraz, kiedy go poznałem w Szwajcaryi, utrzymywał się z pleceni koszyków. Za kilka sous mie-

sięcznie najmywał po za miastem, na pochyłości góry, niewielki otwarty szałas, z kąd mógł zachwycać się w czasie pracy wspaniałym widokiem Neuf-châtel-skiego jeziora. Nocą zaś pisał listy i artykuły do pism robotniczych i ułożył książkę o Komunie. Tym sposobem wyrobił się powoli na pisarza.

Odwiedzałem go codzień, żeby przysłuchać się opowiadaniom o Komunie tego — o szerokiej twarzy — pracowitego, zlekka poetycznego, spokojnego i nadzwyczaj dobrodusznego rewolucjonisty. Brał on czynny udział w powstaniu i kończył teraz książkę o niem, pod tytułem: «Trzecia Klęska Francuzkiego Proletaryatu».

Pewnego rana, gdy wdrapałem się do szałasu, — Malon promieniejący, powitał mię okrzykiem: «A wiesz pan? Pindy żyje! Oto list od niego! Jest w Szwajcaryi». O Pindy'm wszelkie wieści zaginęły od dnia 25-go czy 26-go maja, gdy go ostatni raz widziano w Tuileries. Myślano, że został rozstrzelany, tymczasem ukrywał się cały czas w Paryżu. Nie przerywając roboty, Malon spokojnym głosem, w którym chwilami tylko przebijało się drżenie, opowiadał mi, ilu ludzi rozstrzelali Wersalczycy, biorąc ich za Pindy'ego, za Verlain'a, lub za niego samego. Opowiedział mi, co mu było wiadomem o śmierci introligatora Verlain'a, którego paryscy robotnicy uwielbiali, o starym Delecluze, który nie chciał przeżyć nowej klęski -- i o wielu innych. Wszystkie okropności krwawego karnawału, jaki wyprawiły sobie klasy bogate za powrotem do Paryża, prześuwały się przedemną, — straszny wybuch ducha zemsty, wzbudzonego przez nie w pospólstwie, przewodzonem przez Raula Rigaud, który rozstrzelał zakładników Komuny.

-- Usta Malon'a drżały, gdy mówił mi o heroizmie paryskich chłopów-uliczników i łzy spadały mu z oczu,

gdy opowiadał mi fakt następujący. Miano właśnie rozstrzelać jednego chłopca, gdy zwrócił się on do oficera z prośbą, by mu pozwolono odnieść srebrny zegarek matce, mieszkającej niedaleko. Oficer, tknięty litością, pozwolił, myśląc zapewne, że chłopiec nie wróci. Ale po upływie kwadransa mały bohater przybiegł i stanąwszy u muru, wpośród trupów, krzyknął: «Jestem gotów!» Dwanaście kul przecięło jego młode życie.

Nigdy — zdaje się — nie doświadczałem takiego moralnego przygnębienia, jak przy czytaniu strasznej książki: «Le Livre Rouge de la Justice Rurale». Składała się ona wyłącznie z korespondencji paryskich do dzienników angielskich: «Standard», «Daily Telegraph» i «Times», z końca maja 1871 r., opisujących dzikie okrucieństwa, jakich dopuszczały się wojska wersalskie pod dowództwem Gallifet'a; zwłaszcza pamiętam ustępy z «Figara», przepojone krwiożerczością względem powstańców. Ogarniała mię ponura, beznadziejna rozpacz. I nie otrząsnąłbym się z niej zapewne, jeślibym nie znalazł później w zwyciężonych, którzy przeżyli wszystkie te okropności, zupełnego braku nienawiści, jeślibym nie widział ich niezachwianej wiary w ostateczne zwycięstwo ideału; spokojny, choć smętny trochę wzrok ich zwracał się ku przyszłości; usiłowali zapomnieć zmory dni minionych; — uderzało mię to nietylko w Malon'ie, ale we wszystkich członkach Komuny, z którymi pozostawałem w blizkich stosunkach w Genewie — i u tych, których spotykałem potem: u Luizy Michel, u Lefrançais, u Elizeusza Réclus i innych.

Z Neuf-Châtel pojechałem do Sonvilliers. Tu, w maleńkiej dolinie wpośród gór Jura, znajduje się rozrzucony szereg maleńkich miasteczek i wsi, których francuska ludność wyłącznie była zajęta wówczas róż-

nemi gałęziami zegarmistrzowskiego rzemiosła. Całe rodziny pracowały wspólnie w warsztatach. W jednym z takich warsztatów poznałem się z drugim wybitniejszym kierownikiem Federacyi, Ademarem Schwitzgebem, z którym się potem bardzo zbliżyłem. Zobaczyłem go raz pierwszy w warsztacie, wpośród dziesięciu innych młodych rzemieślników, szlifujących koperty złotych i srebrnych zegarków. Wskazano mi miejsce na ławce, albo na stole i wkrótce wszczęliśmy ożywioną rozmowę o socjalizmie, o tem, czy rząd potrzebnym jest, czy nie — i o przyszłym kongresie.

Straszna zawieja rozszalała się tego wieczora. Śnieg oślepiał nas, a chłód «mroził krew w żyłach», póki dobrnęliśmy do najbliższej wioski. Ale — mimo zawiei, z sąsiednich wsi i miasteczek zebrało się około pięćdziesięciu zegarmistrzów; po większej części byli to już ludzie starsi. Niektórzy z nich musieli przejść dziesięć wiorstw drogi, a jednak nie chcieli opuścić małego nadzwyczajnego zebrania, zwołanego na ten wieczór.

Sama organizacya rzemiosła zegarmistrzowskiego, która pozwala pracującym poznawać się doskonale wzajemnie i zajmować się w domu, gdzie mogą swobodnie rozmawiać, tłumaczy dlaczego ludność miejscowa stoi wyżej pod względem umysłowego rozwoju, niż robotnicy, spędzający od dziecka całe swoje życie w fabrykach. Zegarmistrzowie Jurajscy odznaczają się rzeczywiście większą samodzielnością i niezawisłością. Ale brak podziału na przywódców i szeregowców sprawiał także, że każdy z członków Federacyi starał się wytworzyć sobie własny, samodzielny pogląd na każdą kwestyę. Tu — robotnicy nie przedstawiali stada, wyzyskiwanego przez przywódców w ich własnych politycznych widokach. Przywódcami byli tu po prostu czynniejsi towarzysze, ludzie inicjatywy

raczej, niż przywódcy. Zdolność, jaką posiadali robotnicy Jurajscy, zwłaszcza znajdujący się w średnim wieku, chwytania samej treści idei — i umiejętność, z jaką oryentowali się w najbardziej złożonych kwestiach społecznych; — wywarły na mnie głębokie wrażenie; — i jestem najzupełniej przekonany, że ważną rolę, jaką Federacja Jurajska odegrała w rozwoju socjalizmu, przypisać należy nie tylko temu, że była ona wyrazicielką antyrządowej i federalistycznej idei, ale i temu, że ideom tym nadaną została konkretna forma przez zdrowy rozsądek zegarmistrzów jurajskich. Bez tej formy pozostałyby one zapewne długo jeszcze w sferze czystej abstrakcji.

Zasady teoretyczne anarchizmu w tej postaci, w jakiej zaczęły się one wówczas kształtować w Federacji Jurajskiej, — w szczególności w skutek wpływu Bakunina; — krytyka socjalizmu państwowego, który, jak wykazano już wówczas, — grozi przeobrażeniem się w despotyzm ekonomiczny, jeszcze straszniejszy, niż polityczny i nareszcie rewolucyjny charakter agitacji wśród Jurajczyków, — wywierały nieprzeparty wpływ na mój umysł. Ale uznanie zupełnej równości wszystkich członków federacji, niezawisłość sądów i sposobu wyrażania ich, jaką spostrzegąłem wpośród tych robotników — i nieograniczone ich poświęcenie się sprawie ogólnej jeszcze silniej zjednywały im moje uczucia. I kiedy — po tygodniowym pobycie wśród zegarmistrzów — opuszczałem góry, pogląd mój na socjalizm wyrobił się już ostatecznie. Zostałem anarchista.

Po powrocie z Belgii, gdzie mogłem porównać centralistyczną polityczną agitację w Brukselli z niezawisłą i ekonomiczną agitacją, prowadzoną wśród robotników sukiennych w Verviers, zapatrywania moje ustaliły się jeszcze silniej. Stanowili oni je-

dną z najsympatyczniejszych grup robotniczych, jakie znałem za granicą.

Bakunin mieszkał wówczas w Locarno. Nie poznałem go, czego teraz bardzo żałuję, bo gdy po czterech latach znowu znalazłem się w Szwajcaryi, już nie żył. Był on pomocnym przyjaciółom jurajskim w opracowaniu programu, wyrażającego dokładnie zasady i dążności ich federacyi; umiał wzbudzić potężny, niezwykły rewolucyjny entuzjazm. Skoro tylko Bakunin poznał w maleńkiej gazecie, wydawanej przez Guillaume'a w górach Jura (Locle) nowy niezawisły strumień w socjalistycznym prądzie, natychmiast przyjechał do Locle. Całymi dniami i nocami rozprawiał tu z nowymi swoimi przyjaciółmi o historycznej konieczności nowego ruchu anarchistycznego. W gazecie zaś rozpoczął szereg świetnych i głębokich artykułów o nieprzerwanym, postępowym rozwoju wolnościowych dążeń w historii. Bakunin stworzył tu ognisko entuzjastycznej propagandy i ztąd następnie rozkrzewił się anarchizm po całej Europie.

Przeniósłszy się do Locarno wzbudził on taki sam ruch we Włoszech i w Hiszpanii, gdzie pomagał mu bardzo czynnie sympatyczny, uzdolniony emisaryusz, Fanelli. Dzieło zaś, które Bakunin rozpoczął w górach Jura, prowadzili dalej sami Jurajczycy. Często wspominali oni «Michel'a», nie jako nieobecnego wodza, którego słowo jest prawem, ale jako drogiego przyjaciela i towarzysza. Uderzyło mię najwięcej to, że wpływ moralny Bakunina zaznaczał się daleko silniej, niż przewaga jego umysłowej wyższości.

Nie słyszałem nigdy, żeby w rozmowach o anarchizmie, lub bieżących kwestyach Federacyi rozstrzygano punkta sporne przez powołanie się na autorytet Bakunina. Robotnicy nie mówili nigdy: «Bakunin po-

wiedział to i to», albo: «Bakunin myśli tak i tak». Pisma jego i zapatrywania nie uważały się za autorytet nieodwołalny, jak to — na nieszczęście — często zdarza się we współczesnych nam partyach politycznych. We wszystkich wypadkach, w których rozum powinien wyrokować, jako sędzia najwyższy, każdy przytaczał w kwestyach spornych swoje własne dowody. Czasem bywały one może co do swego ogólnego charakteru brane nieświadomie u Bakunina, w sposób suggestyjny, — a zdarzało się, że i on sam zapożyczał się u swych jurajskich przyjaciół. W każdym razie argumenty każdego z uczestników sporu zachowywały swój indywidualny charakter. Tylko raz jeden słyszałem, że powołano się na Bakunina, jako na autorytet i tak mię to zdziwiło, że dotąd pamiętam, ze wszystkimi szczegółami, gdzie i wśród jakich okoliczności miała miejsce rozmowa. Kilku młodych ludzi gawędziło — w obecności kobiet, — wyrażając się dość lekceważąco o kobietach w ogóle.

— Szkoda, że niema tu Michela! zawołała jedna z obecnych. On by was nauczył!

Wszyscy oni znajdowali się pod czarującym wpływem olbrzymiej osobistości bojownika, który wszystko poświęcił dla rewolucyi, żył tylko dla niej i czerpał z niej najwznioślejsze i najczystsze zasady życia.

Powróciłem z tej wycieczki z ściśle wyrobionymi poglądami socyalistycznymi, których trzymałem się odtąd, starając się usilnie rozwijać je i nadać im więcej określoną i konkretną formę.

Był jednakże jeden punkt, który przyjąłem dopiero po długich rozmyślaniach i bezsennych nocach. Widziałem wyraźnie, że wielkie przeobrażenia, które mają wszystko niezbędne dla życia i produkeyi oddać w ręce społeczeństwa, niezależnie od tego czy to bę-

dzie państwo ludowe socyal-demokratów, czy związek wolnych gmin, jak chcą anarchiści, — nie mogą dokonać się bez wielkiej rewolucyi, nieznaney jeszcze dotąd w historii. Więcej. Już w czasie rewolucyi francuzkiej musieli chłopi i republikanie wytężyć wszystkie swoje siły, aby obalić spróchniały ustrój arystokratyczny. W wielkiej zaś przyszłej rewolucyi socyalnej będzie miał lud do walczenia z przeciwnikiem daleko silniejszym fizycznie i umysłowo: z klasami średnimi, które posiadają przytem w zupełnem swem rozporządzeniu potężny mechanizm nowożytnego państwa. Ale wkrótce spostrzegłem, że żadna rewolucya ani spokojna, ani krwawa nie może się dokonać, póki ta sama klasa, której ekonomiczne i polityczne przywileje obalić się powinny, nie przeniknie się głęboko nowymi ideałami. Byłem świadkiem uwłaszczenia włościan i rozumiałem, że jeśliby przekonanie o niesprawiedliwości praw poddańczych nie było szeroką rozprzestrzenione pomiędzy samymi właścicielami ziemskimi (pod wpływem ewolucyi, wytworzonej przez rewolucye 1789 i 1848 r.), emancypacya nie nastąpiłaby tak szybko, jak w 1861 r. I widziałem także, że idea wyzwolenia robotników z pod kapitalistycznego jarzma poczyna szerzyć się wpośród samej burżuazyi. Najbardziej zapaleni zwolennicy współczesnego ustroju ekonomicznego wyrzekają się już obrony swoich przywilei na gruncie prawa, i zadawalniają się rozprawami o tem, czy przeobrażenia te są na czasie. Nie zaprzeczają oni korzyści i potrzeby niektórych zmian, zapytują tylko, czy rzeczywiście nowy ustrój ekonomiczny, projektowany przez socyalistów, lepszym będzie od obecnego. Czy społeczeństwo, w którym robotnicy będą mieć wpływ przeważający, potrafi lepiej kierować produkcyą, niż oddzielni kapitaliści, pobudzani

osobistą korzyścią, jak to się dzieje w naszych czasach?

Oprócz tego zacząłem stopniowo pojmować, że rewolucye, to jest okresy przyśpieszonej ewolucyi i szybkich zmian, tak samo właściwe są przyrodzie społeczeństwa ludzkiego, jak i powolna ewolucya, odbywająca się teraz w cywilizowanych krajach. I za każdym razem, gdy przyśpiesza się bieg takiej ewolucyi i zaczyna się epoka gruntownych przekształceń, — może wybuchnąć wojna domowa w mniej lub więcej szerokich rozmiarach. Wobec tego pytanie nie w tem się zawiera, jak uniknąć rewolucyi, a w tem, jak osiągnąć największe korzyści przy najmniejszych rozmiarach wojny domowej, to jest przy najmniejszej ilości ofiar i o ile możności — nie powiększając wzajemnej nienawiści. Wszystko to możliwem jest tylko pod jednym warunkiem: uciemienieni powinni wytworzyć sobie jak można najprędzej jasne i dokładne pojęcie o tem, czego dokonać zamierzają i przeniknąć się dość głębokim zapalem. Mogą być wtedy przekonani, że przyłączą się do nich najlepsze i najświeższe żywioły z pośród samych klas rządzących.

Komuna Paryska — straszny przykład wybuchu socyalnego bez dość jasno określonych ideałów. Kiedy w marcu 1871 r. robotnicy zostali panami Paryża, nie tylko nie tknęli oni praw własności burżuazyi, ale nawet ochraniali ją. Przywódcy Komuny piersią własną zasłaniali bank narodowy. Pomimo kryzysu, paraliżującego ruch przemysłowy i bezrobocia, które potem nastąpiło, Komuna ochraniała swymi dekretami prawa właścicieli fabryk, instytucyi handlowych i budynków publicznych miasta Paryża. Tymczasem, pomimo to — gdy ruch został stłumionym — burżuazya nie policzyła wcale buntownikom umiarkowania ich jako okoliczność łagodzącą. Przeżywszy dwa miesiące

w ciągłym strachu, że Komunardzi naruszą ich prawa własności, Wersalczycy wywarli — po zdobyciu Paryża — taką zemstę, jak gdyby zamach rzeczywiście został spełniony. Około 30,000 robotników, jak wiadomo, zostało zabitych, nie w czasie walki, lecz gdy już walka ustała. Zemsta nie mogłaby być straszniejszą, gdyby nawet Komuna była przyjęła najbardziej stanowcze środki celem uspołecznienia własności.

Jeżeli w rozwoju społeczeństwa ludzkiego — rozmyślałem — istnieją okresy, gdy walka staje się nieuniknioną i gdy wojna domowa wybucha wbrew życzeniu oddzielnych jednostek, to trzeba, przynajmniej, żeby prowadziła się ona w imię dokładnych, ściśle określonych wymagań, a nie pod wpływem niejasnych pożądań. Koniecznym jest, żeby walka toczyła się nie o kwestye drugorzędne, których błahość nie zmniejszy wzajemnej zawziętości i rozgoryczenia, ale w imię szerokich, wzniosłych ideałów, zdolnych zentuzjazmować ludzi wspaniałością otwierających się horyzontów.

W tym ostatnim wypadku wynik walki zależeć będzie nie tyle od armat i karabinów, ile od siły twórczej, przeobrażającej społeczeństwa na podstawie nowych zasad. Wynik zależeć będzie w głównej mierze od twórczych sił społecznych, dla których działalności otworzy się na czas jakiś szerokie pole i od moralnego wpływu tych celów, które będą stanowiły przedmiot walki; bo w tym razie żywiły przekształcające znajdą współczucie nawet w tych klasach, które były przeciwne rewolucyi. Walka — rozwijająca się na arenie szerokich ideałów, oczyści atmosferę społeczną. W wypadku tym liczba ofiar i z jednej i z drugiej strony będzie znacznie mniejszą, niż gdyby walka toczyła się o kwestye drugorzędnego znaczenia, otwierające szerokie pole wszelkim pobudkom niższej natury.

Przeniknięty takimi ideałami wróciłem do Rosyi.

X.

W czasie podróży mojej kupiłem wiele książek i zebrałem całą kolekcję socjalistycznych gazet. Naturalnie były one wszystkie bezwarunkowo wzbronione w Rosyi przez cenzurę. Niektórych gazet i sprawozdań kongresów międzynarodowych niepodobna było nabyć za żadne pieniądze nawet w Belgii. «Czyż wyrzec się i zostawić tę literaturę, — myślałem, — której by tak radzi byli w Petersburgu brat Aleksander i moi przyjaciele?» Postanowiłem więc za wszelką cenę przewieźć wszystkie książki do Rosyi.

Wracałem do Petersburga na Wiedeń i Warszawę. Tysiące Żydów uprawia wzdłuż północno-zachodniej granicy kontrabandę i myślałem nie bezzasadnie, że jeżeli uda mi się znaleźć choć jednego z nich, książki moje zostaną szczęśliwie przeprowadzone przez granicę. Ale wysiąść na maleńkiej stacyi blisko granicy i tam poszukiwać kontrabandzisty, nie byłoby rzeczą zbyt rozsądną. W skutek tego zboczyłem z drogi do Krakowa. — «Stolica dawnej Polski blizką jest granicy», — myślałem. — «Tam, prawdopodobnie, znajdę żyda, który zapozna mię z potrzebnymi mi ludźmi».

Przybyłem do słynnej niegdyś stolicy wieczorem, a nazajutrz rano udałem się na poszukiwania. Wielkiem jednakże było moje zakłopotanie, gdy na każdym rogu i wszędzie wśród pustego bazarowego placu spotykałem Żyda z pejsami, w tradycyjalnym o długich połach kaftanie, wypatrującego jakiego pana lub kupca, którzyby wysłali go z jakim poleceniem i pozwolili mu tym sposobem zarobić kilka groszy. Ja potrzebowałem jednego Żyda, a tu ich była cała gromada. Do którego się zwrócić? Obszedłem całe miasto i nakoniec — w rozpaczy — postanowiłem zwrócić

się do Zyda, stojącego u drzwi mego hotelu, — olbrzymiego, starego pałacu, w którego salach tańczyły niegdyś tłumy strojnych pań i eleganckich kawalerów. Teraz — starożytny zamek służył więcej prozaicznemu celowi, dając schronienie rzadkim i przypadkowym przejezdnym. Wytłómaczyłem faktorowi, że chcę przewieźć do Rosyi dosyć ciężką pakę książek i gazet.

— Ja to panu zaraz załatwię. Przyprawdzą panu agenta Głównej Kompanii Międzynarodowej Wymiany szmat i kości (nazwijmy to tak). Kompania ta prowadzi, najobszerniejszą kontrabandę w świecie. Agent usłuży panu.

W pół godziny potem faktor w rzeczy samej powrócił z «agentem», eleganckim młodzieńcem, wybornie mówiącym po polsku, po rosyjsku i po niemiecku.

«Agent» obejrzał mój pakunek, zważył go na rękę i zapytał, co to za książki?

— Wszystkie są najsurowiej zakazane w Rosyi. Dla tego też trzeba je przewieźć kontrabandą.

— Właściwie mówiąc, my się książkami nie zajmujemy, — odpowiedział. Nasz interes — towar bławatny. Jeżelibym zapłacił moim ludziom wedle wagi, jak za materye bławatne, musiałbym zażądać od pana wygórowanej ceny. Zresztą, powiem panu prawdę, nie lubię mieć do czynienia z książkami. Niech się zdarzy, broń Boże, jakie nieszczęście, to «oni» zrobią z tego polityczny proces. «Międzynarodowa Kompania Szmat i Kości» będzie musiała zapłacić olbrzymie pieniądze, żeby wyplątać się jakkolwiek ze sprawy.

Zapewne twarz moja musiała mieć wyraz bardzo smutny, gdyż elegancki «agent» natychmiast dodał: «Niech się pan nie martwi». On (to jest faktor) załatwi panu tę rzecz inną drogą.

To święta prawda! wesoło zauważył faktor po

odejściu agenta. Znajdziemy sto dróg, żeby usłużyć panu!

Po upływie godziny wrócił z drugim młodzieńcem, który wziął tłumok, położył go koło drzwi i powiedział: «dobrze; jeżeli pan wyjedzie jutro, pan znajdzie swoje książki na takiej-to stacyi w Rosyi». I objaśnił mi wszystko szczegółowo.

— A ile to będzie kosztować? — zapytałem.

— A ile pan chce dać? — odpowiedział.

Wysypałem na stół wszystko, co miałem w sakiewce i rzekłem: «tyle zostaje mi na drogę. Reszta wam. Pojadę trzecią klasą».

— Aj, aj, aj! — kręcili obaj głowami i faktor i młodzieniec. — «Czyż to się godzi, żeby taki pan jechał trzecią klasą? Za nic w świecie! Nie, nie, nie!... Dla nas — dziesięć rubli i faktorowi dwa ruble, jeżeli pan z niego zadowolony. My nie jacyś tam rabusie, ale uczciwi kupcy!» Stanowczo nie chcieli przyjąć więcej pieniędzy.

Słyszałem potem nieraz o uczciwości żydowskich kontrabandzistów na północno-zachodniej granicy. Później, kiedy kółko nasze sprowadzało tyle książek z zagranicy i jeszcze później, gdy tylu rewolucjonistów przekradało się do Rosyi i z Rosyi, nie było ani jednego wypadku, żeby kontrabandzista wydał kogo, albo żeby korzystając z wyjątkowego położenia, żądał wygórowanej zapłaty.

Nazajutrz wyjechałem z Krakowa. Na umówionej stacyi w Rosyi do wagonu mojego podszedł tragarz i powiedział tak głośno, żeby go mógł słyszeć stojący na peronie żandarm: «oto tłumok, który jaśnie oświecony książę pan zostawił wczoraj», — i wręczył mi mój cenny pakunek.

Tak mię to ucieszyło, że nie zatrzymałem się na-

wet w Warszawie, a wprost pojechałem do Petersburga, aby się pochwalić memi trofeami przed bratem.

XI.

Były to czasy wielkiego ożywienia wpośród inteligentnej młodzieży rosyjskiej. Poddaństwo zostało zniesione. Ale w ciągu pół-trzecia wieku jego panowania powstał cały świat zwyczajów i obyczajów, zrodzonych niewolą. Tu występowała i pogarda godności ludzkiej, despotyzm ojców, obłudna uległość żon, synów i córek. Despotyzm obyczajowy panował w początkach XIX w. w całej zachodniej Europie. Masę przykładów jego widzimy u Thackeray'a i Dickens'a, ale nigdzie nie rozwinął się on w taki wspaniały kwiat, jak w Rosyi. Całe życie rosyjskie: w rodzinie, w stosunku zwierzchnika do podwładnego, oficera do żołnierza, gospodarza do robotnika — było przesiąknięte nim. Wytworzył się cały świat zwyczajów, obyczajów, zapatrywań, przesądów i moralnego tchórzostwa, wyrosłych na gruncie beczynnego i próżniaczego życia. Nawet najlepsi ludzie tych czasów składali hojną dаниnę tym obyczajom, wpływającym z poddańczych stosunków. Prawo było przeciw nim bezwładne. Tylko silny ruch społeczny, podcinając złe w samym korzeniu, mógł przekształcić zwyczaje i obyczaje codziennego życia. I w Rosyi ten ruch, ten bój o prawa indywidualności ludzkiej przybrał daleko potężniejsze rozmiary, powstawał przeciwko istniejącym formom i porządkom życia z nieubłaganą siłą zaprzeczenia, zacieklej i bezwzględniej, niż gdziekolwiekbądź indziej. Turgeniew w swej słynnej powieści «Ojcowie i Dzieci» nazwał go «nihilizmem».

W Europie zachodniej nihilizm pojmuje się cał-

kiem fałszywie; w prasie na przykład, utożsamiają go wciąż z terroryzmem i nazywają nihilizmem ten ruch rewolucyjny, który wybuchnął w Rosyi w ostatnich latach panowania Aleksandra II i zakończył się jego tragiczną śmiercią. Wszystko to polega na nieporozumieniu. Brać nihilizm za terroryzm znaczy to samo, co jaki ruch filozoficzny, n. p. stoicyzm albo pozytywizm brać za jedno z ruchem politycznym, n. p. republikanizmem. Terroryzm był spowodowany pewnymi szczególnymi warunkami walki politycznej w danym momencie historycznym. Istniał on czas jakiś i umarł. Może znowu zmartwychwstać i znowu zginąć. Nihilizm zaś wycisnął piętno swoje na całym życiu naszej klasy inteligentnej i piętno to nie prędko się zetrze. Nihilizm — za wyłączeniem jego nieokrzesanych, dziwacznych wybryków, nieuniknionych zresztą w każdym młodym ruchu — nadał inteligencji naszej ten oryginalny odcień, którego, z wielkim żalem naszym, my Rosyanie, nie spotykamy w życiu zachodniej Europy. Jednym z licznych przejawów tego nihilizmu jest owa szczególna szczerłość, charakteryzująca niektórych naszych pisarzy, owa maniera «myślenia głośno», która tak zadziwia czytelników europejskich.

Przedewszystkiem wydał nihilizm wojnę tak zwanemu konwencyonalnemu kłamstwu cywilizowanego życia. Najwybitniejszą jego cechą stanowiła zupełna szczerłość, w najszerszem tego słowa znaczeniu. W imię tej szczerości wyrzekł się nihilizm sam i żądał, żeby i drudzy się wyrzekli zabobonów, przesądów, zwyczajów i obyczajów niezgodnych z prawami rozumu. Nihilizm uznawał jedną tylko powagę: rozum; analizował on wszystkie społeczne instytucje i obyczaje i powstał przeciw wszelkiego rodzaju sofizmatom bez względu na maskę, pod którą się one ukrywały.

Zerwał on — ma się rozumieć — z przesądami ojców. Co do swoich pojęć filozoficznych nihilista był pozytywistą, ateistą, ewolucjonistą w duchu Spencera, albo materyalistą. Oszczędzał on prostą i szczerą wiarę, będącą psychologicznie konieczną potrzebą uczucia; ale nieubłaganie walczył z ludzką obłudą. Całe życie ludzi cywilizowanych pełne jest konwencyonalnych kłamstw. Ludzie, nienawidzący się wzajemnie, spotkawszy się na ulicy, zmuszają swoje twarze do najprzyjaźniejszego uśmiechu; nihilista zaś uśmiechał się tylko do tych, których w rzeczy samej rad był spotkać. Wszystkie formy uprzejmości zewnętrznej, które właściwie są czystą obłudą, były mu wstrętne. Przynosił on sobie trochę gburowate maniere jako protest przeciw powierzchownemu polorowi swoich ojców. Nihiliści widzieli, jak ojcowie ich pozowali z dumą na idealizm i sentymentalizm, co im nie przeszkadzało okazywać się prawdziwymi barbarzyńcami w stosunku do swych żon, dzieci i poddanych. I nihiliści powstali przeciw temu sentymentalizmowi, który tak dobrze dawał się pogodzić z wcale nieidealnym ustrojem życia rosyjskiego. Sztuka także objętą została tą szeroką falą przeczenia. Nihilista w obrzydzeniu miał nieskończone rozprawy o pięknie, ideale, o sztuce dla sztuki, estetyce i tym podobnych rzeczach, — wtedy gdy każdy przedmiot sztuki nabywał się za pieniądze, wyciskane z głodnych chłopów, lub okradanych robotników. Wiedział on że tak zwany «kult piękna» był tylko maską, pokrywającą najwyuzdańszą rozpustę. Nihilista wtedy jeszcze zawarł nieubłaganą krytykę sztuki, podjętą niedawno przez jednego z największych artystów XIX w., Tolstoją, w jednej formule: «para butów większą ma wartość, niż wszystkie wasze madonny i wszystkie najsubtelniejsze rozprawy o Szekspirze».

Małżeństwa bez miłości i pożycia małżeńskiego bez przyjaźni — nihilista nie uznawał. Dziewczyna, którą rodzice zmuszali być lalką w domku dla lalek i wyjść za mąż z wyrachowania, rzucała raczej wszystkie swoje stroje i opuszczała dom rodzinny. Przywdziewała najskromniejszą czarną wełnianą suknię, obcinała włosy i uczęszczała na wyższe kursa, z zamiarem wywalczenia sobie osobistej niezawisłości. Kobieta, która spostrzegła, że małżeństwo przestało być małżeństwem, że ani miłość, ani przyjaźń nie łączy jej więcej z mężem, zrywała z nim całkiem i odważnie opuszczała go wraz z dziećmi, przenosząc samotność i często nędzę nad wieczne kłamstwo i sprzeczność z sobą samą.

Nihilista rządził się bezwzględną szczerością nawet w drobnych szczegółach codziennego życia. Naruszał jawnie konwencyonalne formy rozmowy świeckiej i zdanie swoje wyrażał zawsze krótko i bezwzględnie, nawet z pewną przesadą powierzchownej brutalności.

W Irkucku zbieraliśmy się raz na tydzień w klubie, gdzie także tańczowano. Czas jakiś uczęszczałem dość gorliwie na te wieczory, ale potem zacząłem je powoli zaniedbywać, po części z braku czasu. Pewnego razu jedna z dam zapytała mego młodego przyjaciela, dla czego już kilka tygodni nie widać mię w klubie. — «Kiedy Krapotkin potrzebuje ruchu, jeździ konno», odpowiedział mój przyjaciel dość nieuprzejmie.

— Dla czegoż nie zajrzy i nie posiedzi z nami, nie tańczując? wmieszała się jedna z pań.

— A co będzie tu robił? — odciął po nihilistycznemu mój przyjaciel. — Paplać z wami o modach i gałgankach? Obrzydły mu już te głupstwa.

— Ale przecież bywa on czasem u Mánieczki — takiej-to?, zauważyła niepewnie jedna z pańien.

— Tak, ale ta dziewczyna uczy się, — odburknął przyjaciel. — On jej udziela lekcji niemieckiego języka.

Muszę dodać, że ta niezaprzeczenie grubiańska odpowiedź miała pomyślne skutki. Większa część pań irkuckich zaczęła wkrótce zarzucać brata, przyjaciela i mnie prośbami, aby poradzić im, co mają czytać i czego się uczyć.

Z tą samą otwartością wykazywał nihilista swoim znajomym, że całe ich współubolewanie i uzalanie się nad «biednym bratem» — ludem, jest tylko obłudą, póki żyją z pracy tego samego ludu, któremu tak serdecznie współczują w swych bogato umeblowanych komnatach. Z taką samą też otwartością oświadczał nihilista urzędnikowi, że nie tylko nie troszczy się on o dobro swych podwładnych, ale jest po prostu — złodziejem.

Nie oszczędzały też nihilista zapewne damy, paplającej o modnych głupstwach i chępiącej się wykwintnością swych manier i elegancją swego stroju. Powiedziałyby on jej wprost i bez ogródek: «Jak pani nie wstyd paplać bez sensu i dźwigać szynion z fałszywych włosów?» Nihilista pragnął przede wszystkim widzieć w kobiecie towarzysza, człowieka, a nie bezmyślną salonową lalkę. Nie uznawał on stanowczo tych drobnych oznak świeckiej uprzejmości, okazywanych tak zwanej «płci słabej». Nihilista nie zrywał się z miejsca, żeby ofiarować je wchodzącej damie, jeżeli widział, że dama nie jest zmęczoną i że w pokoju są jeszcze krzesła. Postępował z nią, jak z kolegą. Ale jeśli młoda osoba, choćby zupełnie mu nieznaną, wyrażała chęć uczenia się czegokolwiek, przychodził jej z pomocą i gotów był choćby codzień chodzić na drugi koniec miasta dla udzielania jej lekcji. Młodziwiec, któryby palcem nie ruszył, aby podać pannie filiżankę herbaty, chętnie oddawał dziewczęciu, przy-

byłemu na kursa do Moskwy lub Petersburga, swoją jedyną lekcję i jedyny swój zarobek, mówiąc: «Niema za co dziękować, mężczyzna łatwiej znajdzie pracę, niż kobieta; to wcale nie rycerskość, a zwykła równość».

I Turgeniew i Gonczarow starali się wyobrazić ten nowy typ w swych romansach. Gonczarow dał w «Urwisu» portret, wzorowany na rzeczywistej osobistości, ale wcale nie typowego przedstawiciela klasy i dla tego Marek Wołochow przedstawia tylko karykaturę nihilizmu. Turgeniew był zbyt subtelnym artystą i zbyt szanował nowy typ, żeby stworzyć także karykaturę; ale i jego Bazarow nie zadawał nam. Znajdywaliśmy go wówczas zbyt grubiańskim, na przykład, w stosunku do staruszków — rodziców, a zwłaszcza myśleliśmy, że zbyt on lekceważy swoje obowiązki, jako obywatel. Młodzież nie mogła czuć się zadowoloną wyłącznie opozycyjnem stanowiskiem bohatera Turgeniewskiego względem całego otaczającego go świata. Nihilizm ze swoją deklaracją praw osobistości ludzkiej i zaprzeczeniem obłudy w stosunkach towarzyskich, był tylko chwilą przejściową, poprzedzającą zjawienie się «nowych ludzi», którzy ceniąc zarówno swobodę indywidualną, żyli przytem dla wielkiej sprawy. W nihilistach Czernyszewskiego, występujących w niezrównanie niższym pod artystycznym względem romansie: «Co robić», — widzieliśmy najtrafniejsze portrety nas samych.

«Ale gorzkim jest chleb, zawdzięczany pracy niewolników», pisał Nekrasow. Młode pokolenie wyrzekło się i tego chleba i bogactw, które nagromadzili jego ojcowie niewolniczą pracą ludzi — chłopów pańszczyźnianych, albo wyzyskiwanych w fabrykach robotników.

Cała Rosya czytała z podziwem w czasie procesu Karakozowców, że podsądni, rozporządzający znacznymi majątkami, mieszkali po trzech, po czterech razem w jednym pokoju, nigdy nie wydawali więcej, niż dziesięć rubli miesięcznie każdy, a cały swój majątek oddawali na urządzenie towarzystw kooperacyjnych, «artieli» (rodzaj stowarzyszeń zawodowych robotniczych), w których sami pracowali. W pięć lat potem tysiące młodzieży, kwiat Rosyi, postąpiło tak samo. Hasłem ich było: «w lud». W początkach 60-tych lat prawie w każdej zamożniejszej rodzinie toczyła się uparta walka między rodzicami, starającymi się utrzymać dawne tradycje, a synami i córkami, broniącymi swych praw do samodzielnego rozporządzania sobą, zgodnie z własnymi ideałami. Młodzi chłopcy rzucali wojskową służbę, kancelaryę, magazyny i dążyli do miast uniwersyteckich. Dziewczęta, które otrzymały arystokratyczne wychowanie, przyjeżdżały bez kopiejki do Petersburga, Moskwy Kijowa, aby wyuczyć się jakiego zawodu, z pomocą którego mogłyby się wyzwolić z niewoli rodzicielskiego domu, a w następstwie może i z pod mężowskiego jarzma. Wiele z nich wywalczyło sobie nakoniec tę swobodę osobistą po uporczywym, ciężkim boju. Teraz pragnęły one zastosować z korzyścią nabyte wiadomości; myślały nie o własnej przyjemności, ale o tem, żeby udzielić ludowi tej wiedzy, z pomocą której osiągnęły swoje własne wyzwolenie.

We wszystkich miastach, na najdalszych krańcach Petersburga powstawały kółka samokształcenia się. Tu studyowały się pilnie dzieła filozofów, ekonomistów i młodej szkoły historyków rosyjskich. Czytaniu towarzyszyły nieskończone dyskusye i spory. Celem wszystkich tych studyów i dyskusyi było: rozwiązać ważne zagadnienie, stawiane sobie przez mło-

dzień: na jakiej drodze może ona pracować najkorzystniej dla ludu? I stopniowo przychodzono do wniosku, że istnieje tylko jedna droga: trzeba iść między lud i żyć jego życiem. Młodzież udawała się więc na wieś w charakterze doktorów, felczerów, nauczycieli ludowych, albo pisarzy gminnych. Żeby jeszcze więcej zbliżyć się do ludu, wielu wstępowało w szeregi robotników, pracując wspólnie z nimi jako drwale, kowale, etc. Młode dziewczęta zdawały egzamin na nauczycielki ludowe, felczerki, akuszerki i setkami szły na wieś, gdzie całą duszą poświęcały się pracy dla biedniejszej części narodu.

Nikt z nich nie myślał jeszcze o rewolucyi, o gwałtownem przekształceniu społeczeństwa wedle pewnego określonego planu. Chcieli oni poprostu nauczyć lud czytać i pisać, oświecić go, pomódz mu w jakikolwiek sposób, żeby zdołał otrząsnąć się z nędzy i ciemnoty, — i równocześnie dowiedzieć się od samego ludu, jakim jest jego ideał lepszego społecznego życia.

Gdy wróciłem ze Szwajcaryi, znalazłem ruch ten w pełnym rozwoju.

XII.

Nie omieszkałem, naturalnie, podzielić się z przyjaciółmi mojami książkami i wrażeniami, wyniesionymi ze znajomości mojej z Internacyonalem. Właściwie mówiąc w uniwersytecie nie miałem przyjaciół; byłem starszy od znacznej części moich kolegów, a różnica lat kilku utrudnia zawsze u młodzieży serdeczniejsze zbliżenie się. Trzeba przytem dodać, że odkąd zaprowadzoną została ustawa uniwersytecka 1861 r., najlepsze jednostki z pośród młodzieży, t. j. najbardziej rozwinięte i najbardziej niepodległego cha-

rakteru, — przesiewały się jeszcze w gimnazyum i nie dopuszczały do uniwersytetu. W skutek tego większość moich kolegów byli to sympatyczni, pracowici młodzieńcy, ale nie ich nie zajmowało po za egzaminami. Zaprzyjaźniłem się tylko z jednym, Dymitrym K. Pochodził on z południowej Rosyi i chociaż nosił nazwisko niemieckie, nie wiem nawet, czy mówił po niemiecku, a typowa jego twarz nie miała w sobie nic teutońskiego. Był on bardzo rozwiniętym, odcytanym — i wiele myślał. K. bardzo zamięłowanym był w nauce i cenił ją, ale — jak większość z pomiędzy nas — przyszedł wkrótce do przekonania, że zostać uczonym, znaczyło to zakrzepnąć wpośród filistrów, podczas gdy przed nami było tak wiele innej, nie cierpiącej zwłoki pracy. Pozostawał na uniwersytecie około dwóch lat, potem rzucił go i cały oddał się działalności socjalistycznej. Żył, Bóg wie jak i z czego. Wątpię nawet, czy posiadał stałe mieszkanie. Czasem przychodził do mnie i pytał: «macie papier?» Wziąwszy kilkanaście arkuszy, usadawiał się gdziekolwiek, w rogu stołu i pilnie tłómaczył parę godzin. Mała sumka, zarabiana w taki sposób, wystarczała aż nadto na jego skromne potrzeby. Skończywszy robotę, K. śpieszył na drugi koniec miasta, żeby zobaczyć się z towarzyszami, albo wspomódz jakiego przyjaciela w potrzebie. Gotów był schodzić cały Petersburg pieszo, aby wystarać się o przyjęcie do gimnazyum jakiego chłopaka, którym interesowali się jego towarzysze. Był on niewątpliwie bardzo zdolny. W Europie zachodniej daleko mniej uzdolniony człowiek, niż on, stałby się napewno wybitnym politycznym albo socjalistycznym przywódcą. Ale myśl o przewodniczeniu drugim nigdy nie powstała w głowie K. Ambicya była mu całkiem obcą; za to nie znam takiej pracy społecznej, którą K. uważałby za zbyt drobną i niską. Zresztą, była to

cecha właściwa nie jemu samemu tylko. Odznaczali się nią wszyscy ci, którzy obracali się w tym czasie w kółkach studenckich.

Wkrótce po moim powrocie z zagranicy, zaproponował mi Dymitr wejście do kółka, znanego wówczas wśród młodzieży pod nazwą kółka Czajkowskiego. Pod tą nazwą odegrało ono ważną rolę w socyalnym rozwoju Rosyi i pod tą nazwą przejdzie też do historii. «Członkowie naszego kółka są jeszcze tymczasem po większej części konstytucjonalistami, — powiedział mi K.; ale wszyscy oni są bardzo sympatycznymi ludźmi. Gotowi są przyjąć każdą uczciwą i słuszną myśl. Mają wielu przyjaciół w całej Rosyi; sami zobaczycie potem, co można będzie zrobić». Znałem już N. W. Czajkowskiego i niektórych członków kółka. Czajkowski oczarował mię od pierwszego spotkania. I do dziś dnia — w ciągu wielu lat — przyjaźń nasza nie zachwiała się.

Kółko powstało z bardzo nielicznej grupy mężczyzn i kobiet, — w liczbie tych ostatnich była Zofia Perowska, — którzy połączyli się celem wspólnego kształcenia się i udoskonalania. W 1869 r. Neczajew usiłował zorganizować tajne rewolucyjne stowarzyszenie wśród młodzieży, ożywionej gorącą chęcią pracy dla ludu. Ale dla dopięcia swego celu używał metody dawnych spiskowców i nie cofał się nawet przed oszukaństwem, aby pociągnąć za sobą członków stowarzyszenia. Taka metoda nie może mieć powodzenia w Rosyi i wkrótce organizacya Neczajowska upadła. Wszystkich członków aresztowano; kilku najlepszych i najuczciwszych ludzi z inteligencyi rosyjskiej zesłano na Sybir, zanim zdolali dokonać czegokolwiek. Kółko samokształcenia się, o którym mówię, powstało z chęci przeciwdziałania neczajowskim środkom spiskowania. Czajkowski i przyjaciele jego sądzili całkiem słuszenie, że

moralnie wyrobiona jednostka powinna być podstawą wszelkiej organizacyi, niezależnie od politycznego charakteru, jaki organizacya ta w następstwie przyjąć może i od programu działalności, jaki przyswoi sobie pod wpływem wypadków. Oto dla czego kółko Czajkowskiego, rozszerzając stopniowo swój program, rozprzestrzeniło się szeroko w całej Rosyi i osiągnęło tak ważne wyniki. Dla tego także następnie, kiedy okrutne represye ze strony rządu zrodziły walkę rewolucyjną, z kółka tego wyszedł cały szereg wybitnych działaczy i działaczek, którzy padli w boju z carską samowładzą.

W tej epoce, t. j. w 1872 r., kółko nie miało jeszcze w sobie nic rewolucyjnego. Jeżeliby pozostało ono tylko prostem kółkiem samokształcenia, członkowie jego zdrętwieliby w nieruchomym zastoju, jak w pustelnicznym klasztorze. Ale kółko znalazło odpowiednią dla siebie robotę. Czajkowcy zaczęli szerzyć dobre książki. Kupowali całe wydania dzieł Lassalle'a, Flerowskiego-Bervi («O Położeniu klasy robotniczej w Rosyi»), Marksa, dzieła z historyi rosyjskiej i rozdawali je studentom w prowincjonalnych miastach. Po kilku latach w «trzydziestu ośmiu guberniach Rosyjskiego imperyum», — wedle rachunku z aktu oskarżenia, — nie było choć trochę znacznieszego miasta, gdzieby kółko nie miało towarzyszy, zajmujących się rozkrzewianiem podobnego rodzaju literatury. Z postępem czasu, pod wpływem ogólnego rozwoju wypadków i podniecane wieściami, płynącemi z Europy zachodniej o szybkim rozwoju ruchu robotniczego, — kółko stawało się coraz wyraźniej, ośrodkiem propagandy socyalistycznej wpośród uczącej się młodzieży i naturalnym pośrednikiem między członkami kółek prowincjonalnych. A potem nastąpił dzień, gdy przeграда, oddzielająca studentów od robotników, upadła

i zawiązały się bezpośrednie stosunki z petersburskimi, a po części i z prowincjonalnymi robotnikami. Około tego właśnie czasu, na wiosnę 1872 r., wstąpiłem do kółka.

Moi czytelnicy w Europie zachodniej doznali — zapewne — wielkiego rozczarowania, dowiedziawszy się, że przyjęciu do związku tajnego nie towarzyszyły żadne kłątwy i straszne, tajemnicze obrzędy, o których naopowiadali im tyle romansopisarze. Nie podobnego — ma się rozumieć — nie miało miejsca. Sama myśl o jakimś rytuale przyjęcia rozśmieszyłaby nas i została przez Dymitrego w tak sarkastyczny sposób wyszydzoną, że miłośnik ceremonii, jeśliby się taki znajdował między nami, musiałby się zawstydić. Kółko nie miało nawet statutu. Na członków przyjmowały się tylko osoby dobrze znane, wypróbowane niejednokrotnie, którym można było ufać bezwarunkowo. Przed przyjęciem każdego nowego członka, roztrząsano jego charakter z całą otwartością, właściwą nihilistom. Najmniejsza oznaka nieszczerości lub zarozumiałości — i nie przyjmowano go. Czajkowcy nie ubiegali się o to, żeby pozyskać jak najwięcej członków. Tem mniej starali się kierować koniecznie wszystkimi licznymi kółkami, powstałymi w obu stolicach i na prowincyi i skupić w swym ręku cały ruch wśród młodzieży. Z większością tych kółek byliśmy w przyjaznych stosunkach; pomagaliśmy im i one wzajemnie pomagały nam; ale nie naruszaliśmy ich niepodległości.

Kółko nasze stanowiło ścisły, serdeczny związek przyjaciół. Nigdy potem nie spotykałem grupy tak idealnie czystych i tak wyróżniających się pod względem moralnym jednostek, jak tych dwudziestu ludzi, których poznałem na pierwszym posiedzeniu kółka

Czajkowców. Do dziś dnia szczycę się tem, że byłem przyjęty do takiej rodziny.

XIII.

W chwili, gdy przystępowałem do Czajkowców, prowadzili oni żywe spory o tem, jaki charakter mają nadać swej działalności. Jedni byli za radykalną i socjalistyczną prodagandą wpośród młodzieży. Inni zaś mniemali, że kółko powinno mieć jeden tylko cel: przygotować ludzi, którzy potrafiliby poruszyć olbrzymią, nieruchomą masę i dla tego chcieli przenieść centr agitacyi pomiędzy chłopów i robotników fabrycznych. Podobnego rodzaju spory toczyły się we wszystkich kółkach i grupach, które setkami powstawały wówczas w Petersburgu i prowincjonalnych miastach. I wszędzie stronnicy drugiego programu brali górę.

Jeśliby młodzież ówczesna wyznawała tylko socjalizm abstrakcyjny, zadowolniłaby się stwierdzeniem kilku zasad ogólnych, na przykład: jak pożądanem jest, aby — w bliższej lub dalszej przyszłości — zapanaowała komunistyczna własność narzędzi pracy — i zajęłaby się potem agitacją polityczną. Tak właśnie postępują w zachodniej Europie i w Ameryce socjaliści, którzy wyszli sami z klas średnich. Ale ówczesna młodzież rosyjska przyszła do socjalizmu zupełnie inną drogą. Młodzi ludzie nie budowali teoryi socjalizmu, a zostawali socjalistami przez sam sposób swego życia, nie różniący się od życia prostych robotników; nie czynili oni różnicy w kole koleżeńskim między «mojem» i «twojem», nie chcieli korzystać z majątku, otrzymanego w spadku. Postępowali w stosunku do kapitalizmu tak, jak wedle rady Toł-

stoja należy postępować w stosunku do wojny: to jest, zamiast krytykować wojnę i nosić mundur, każdy powinien wyrzec się wojskowej służby i noszenia broni. W taki sam sposób każdy i każda za siebie wyrzekali się użytkowania z majątku rodziców. Taka młodzież niechybnie musiała pójść między lud i poszła. Tysiące młodzieńców i dziewcząt opuściło już domy swych rodziców i żyli po wsiach i w miastach fabrycznych pod przeróżnymi pozorami. Nie był to ruch zorganizowany, ale żywiołowy, — jeden z tych ruchów masowych, które występują w chwili obudzenia się sumienia ludzkiego. Teraz, gdy zaczęły powstawać niewielkie zorganizowane kółka, przygotowujące się do podjęcia systematycznej próby szerzenia idei wolności i buntu, — sama siła rzeczy pchnęła je na drogę propagandy wpośród chłopów i robotników fabrycznych.

Różni pisarze starali się wytłómaczyć to dążenie pomiędzy lud przez wpływ z zewnątrz: wpływ emigrantów — ulubione tłumaczenie wszystkich policyi całego świata. Niema najmniejszej wątpliwości, że do młodzieży tej przenikał potężny głos Bakunina; słusznem jest i to, że działalność Internacyonału wywierała na nas wpływ czarujący. Ale przyczyny ruchu ludowego leżały daleko głębiej. Zaczął się on wcześniej, zanim «zagraniczni agitatorzy» zwrócili się do młodzieży rosyjskiej i nawet wcześniej, nim się utworzył Międzynarodowy Związek Robotniczy. Zaznaczył się on już w kółkach Karakozowa 1866 r. Spostrzegł go jeszcze przedtem Turgeniew w 1859 r. i naszkicował w ogólnych zarysach. W kółku Czajkowców starałem się wszelkimi siłami przyczynić się do rozwoju tego wyraźnie już zaznaczającego się ruchu; ale pozostawało mi w tym względzie płynąć tylko z prądem,

który był daleko potężniejszy, niż usiłowania pojedynczych jednostek.

Naturalnie, mówiliśmy często o konieczności agitacji politycznej przeciw rządowej samowładzy. Wiedzieliśmy, że chłopci są absolutnie zrujnowani w skutek nadmiernych podatków i sprzedaży bydła dla pokrycia zaległości. My, marzyciele, wtedy już przewidywaliśmy zupełne zubożenie ludności i grożącą jej nędzę, która — niestety! — stała się obecnie faktem dokonanym, ogarnęła większą część Rosyi środkowej i przyznaje się nawet urzędowo. Wiedzieliśmy, jaki bezczelny rabunek odbywa się w całej Rosyi. Wiedzieliśmy o samowoli urzędników, o prawie niewiarogodnym grubiańskim postępowaniu wielu z nich i każdy dzień przynosił nam nowe faktyczne dowody w tym względzie. Wciąż słyszeliśmy o nocnych rewizjach, o aresztach przyjaciół, których zamęczano po więzieniach, a potem zsyłano administracyjnym porządkiem do głuchych osad na kresach Rosyi. Musieliśmy więc uznawać konieczność politycznej walki z tą straszną władzą, zabijającą najwybitniejsze umysłowe siły kraju. Ale nie widzieliśmy żadnego gruntu legalnego lub pół-legalnego dla podobnej walki.

Nasi starsi bracia nie podzielali naszych socjalistycznych dążeń, my zaś nie mogliśmy odstąpić od nich. Zresztą, gdyby nawet niektórzy z nas wyrzekli się byli tych ideałów — i toby nie wiele pomogło. Całe młode pokolenie — hurtem — uznawało się za «nieprawomyślne»; i dla tego starsze pokolenie bało się mieć z niem co wspólnego. Każdy młodzieniec, zdradzający demokratyczne sympaty, każda kursistka znajdowali się pod tajnym nadzorem policyi i ogłaszali przez Katkowa za buntowników i wewnętrznych wrogów państwa. Oskarżenia o nieprawomyślność polityczną opierały się na takich oznakach,

jak: niebieskie okulary, ucięte włosy i pled. Jeżeli jakiego studenta często odwiedzali towarzysze, policya napewno zjawiała się z rewizją w jego mieszkaniu. Rewizye mieszkań studenckich były tak częste, że Dymitr, ze zwykłym sobie dobrodusznym humorem, rzekł raz żandarmskiemu oficerowi, szperającemu w jego mieszkaniu: «I po co wam się zdało przetrząsać wszystkie książki za każdym razem, gdy robicie u nas rewizję? Spisalibyście sobie lepiej katalog, a potem przychodzilibyście co miesiąc i sprawdzali, czy wszystko jest na miejscu i czy niema czego nowego». Za najłżejszem podejrzeniem o nieprawomyślność polityczną, studenta zabierano, trzymano jaki rok w więzieniu, a potem wysyłano gdzie daleko «na czas nieograniczony», jak się wyrażała zwierzchność w swoim biurokratycznym żargonie. Nawet wtedy, gdy Czajkowcy zajmowali się tylko szerzeniem zatwierdzonych przez cenzurę książek, Czajkowskiego dwa razy aresztowano i trzymano w więzieniu pięć czy sześć miesięcy; przytem ostatni areszt zaszedł w dość krytycznej dla niego chwili, gdy jego praca z dziedziny chemii ukazała się właśnie w «Biuletynie Akademii Nauk», a on sam przygotowywał się do zdania ostatnich egzaminów na kandydata. Końcem końców puszczono go, ponieważ żandarmi nie mogli wynaleźć żadnych racyi dla zesłania go. — «Ale pamiętaj pan, jeżeli jeszcze raz aresztujemy pana, — powiedzieli mu jednak, — zostanie pan zesłany na Syberyę». Tajnem marzeniem Aleksandra II było rzeczywiście założyć gdziebądź wśród stepów osobne miasto, czujnie strzeżone przez kozaków — i zsyłać tam wszystką podejrzaną młodzież. Tylko obawa niebezpieczeństwa, które przedstawiałoby takie miasto, zaludnione przez dwadzieścia — trzydzieści tysięcy politycznie nieprawo-

myślnych mieszkańców, przeszkodziła carowi w wykonaniu tego iście azyatyckiego pomysłu.

Jeden z naszych członków, oficer Sz-o, należał do grupy młodzieży, która zamyślała poświęcić się służbie w «ziemstwach». Uważała ona tę służbę za swego rodzaju posłannictwo i usilnie przygotowywała się do niej, zaznajamiając się starannie z gospodarzem położeniem Rosyi. Wielu młodych ludzi pieściło się czas jakiś temi nadziejami, które rozpierchły się, jak mgła, przy pierwszym zetknięciu się z machiną państwową. Rząd nadał rodzaj słabego samorządu niektórym guberniom i natychmiast począł naruszać i obcinać przyznane mu prawa, tak by reforma straciła wszelkie znaczenie praktyczne i wszelką myśl. Ziemstwo musiało zadowolnić się rolą urzędników dla poboru dodatkowych podatków na pokrycie miejscowych państwowych potrzeb. Za każdym razem, gdy ziemstwo chciało wziąć inicjatywę w urzędzeniu szkół ludowych, seminaryów nauczycielskich, w staraniach około zdrowia publicznego, w ulepszeniach rolniczych wreszcie, — spotykało ze strony rządu podejrzliwość i nieufność, a ze strony «Wiadomości Moskiewskich» denuncyacye i oskarżenia o «separatyzm», o chęć stworzenia «państwa w państwie», o «podkopywanie się pod samowładzę cara».

Jeśliby kto zechciał, na przykład, opowiedzieć autentyczną historję walki Twerskiego ziemstwa gubernialnego o seminaryum nauczycielskie; jeśliby kto opowiedział wszystkie drobne prześladowania, szykany i zakazy, — nikt zagranicą nie uwierzyłby mu. Czytelnik odłożyłby książkę na bok, mówiąc: «to zbyt głupie, żeby tak mogło być istotnie». A jednak tak właśnie było. Wiele osób pozbawionych zostało urzędu, wysłanych z gubernii, albo poprostu zesłanych za to,

że ośmielały się podawać carowi najpokorniejsze wier-
nopoddańcze prośby, upominając się o prawa, przy-
sługujące ziemstwom na zasadzie urzędowych praw-
nych postanowień. «Wybieralni członkowie ziemstw
powiatowych i prowincjonalnych powinni być pro-
stymi urzędnikami ministeryalnymi i być posłusznymi
ministeryum spraw wewnętrznych». Taką była teoria
petersburskiego rządu. Co się zaś tyczy drobniejszego
ludu, znajdującego się w ziemskiej służbie, — na przy-
kład: nauczycieli, doktorów, akuszerok, to bez długich
ceremonii, na skutek prostego rozporządzenia wszech-
władnego Trzeciego Wydziału, w dwadzieścia cztery
godzin oddalano ich ze służby i zsyłano. Nie dawniej,
jak w 1886 r. jedna bogata obywatelka ziemska, któ-
rej mąż zajmuje wybitne stanowisko w ziemstwie,
zaprosiła na uroczystość swych imienin ośmiu nau-
uczycieli szkół ludowych. — «Oni, biedacy, nikogo tam
pewno nie widzą, oprócz chłopów», pomyślała sobie
pani. Nazajutrz po balu przyszedł do niej «urjadnik»
(policyant na wsi lub w małych miasteczkach, w sto-
pniu podoficera) i zażądał, by mu dała spis nazwisk
zaproszonych nauczycieli dla przedstawienia go wła-
dzy. Właścicielka odmówiła.

— «Dobrze, — powiedział urjadnik, — ja sam się
dowiem i zdam raport. Nauczyciele nie mają prawa
zbierać się razem. Jeśli to zrobili, obowiązanym jestem
donieść o tem, gdzie należy». Wysokie stanowisko
społeczne owej pani uratowało tym razem nauczycieli;
ale niechby się byli zeszli u jednego z kolegów, z pe-
wnością wpadliby do nich żandarmi i połowa zosta-
łaby uwolnioną ze służby przez ministeryum oświaty.
A jeśliby któremu z nich wyrwało się jakie ostre
słowo w czasie tej napaści, to z pewnością zesłanoby
go gdzieś w głąb kraju. Takie wypadki bywają te-
raz, w 33 lat po zaprowadzeniu instytutcyi ziemstw;

ale w siedemdziesiątych latach było jeszcze gorzej. — Jakąż podstawę walki politycznej mogły stanowić podobne instytucje?

Kiedy otrzymałem w spadku po śmierci ojca dobra tambowskie, poważnie zastanawiałem się czas jakiś nad tem, żeby zamieszkać w nich i z całą energią oddać się służbie w ziemstwie. Niektórzy chłopci i biedni księża wsi okolicznych prosili mię o to. Co do mnie, zadowolniłaby mię każda praca, choćby najskromniejsza, jeślibym tylko zdołał podnieść poziom umysłowy i dobrobyt chłopów. Raz gdy kilku z tych, którzy mi radzili pozostać, zeszło się razem, spytałem ich: «Przypuśćmy, że spróbuję utworzyć szkołę, założę wzorową fermę, gospodarzkę spółkową, a zarazem ujmę się choćby ot, za tym naszym chłopem, sędzią gminnym, którego niedawno wychłostano różgami dla przypodobania się obywatelowi S-a. Czy pozwolą mi pracować w tym kierunku dalej?» I wszyscy odpowiedzieli jednogłośnie: «za nic w świecie».

W kilka dni potem przyszedł do mnie bardzo poważany w okolicy siwy pop, z dwoma wpływowymi naczelnikami miejscowej sekty odszczepieńców. — «Rozmów się z nimi, rzekł mi. Jeśli masz po temu serce, to idź z nimi, z Ewangelią w rękę i opowiadaj chłopom...; sam wiesz, co masz im opowiadać. Żadna policja nie potrafi cię wytropić, jeśli oni będą cię ukrywać. Nic innego nie pozostaje. Oto co, ja starzec, mogę ci poradzić».

Otwarcie powiedziałem im, dla czego nie mogę zostać drugim Wklefem. Ale stary pop miał słuszność. W naszych czasach krzewi się szybko wśród chłopów ruch, podobny do religijnego ruchu Lollardów. Okrucieństwa, których ofiarą stawali się spokojni bezbronni duchoborecy, prześladowania sztundystów w 1897 r., którym zabierano dzieci, aby wychować je w prowincji

cyonalnych prawosławnych monasterach, — dodadzą zapewne temu ruchowi jeszcze więcej siły, niż potrafiłby on jej wykazać dwadzieścia pięć lat temu.

Ponieważ w ciągu naszych częstych sporów potracaliśmy wciąż o konieczność agitacji na rzecz konstytucyi w Rosyi, wniosłem raz w kółku, żeby poważnie zastanowić się nad tem pytaniem i wypracowałem plan działania. Zawsze byłem tego przekonania, że jeżeli kółko postanowi co jednomyślnie, każdy powinien usunąć na bok swoje zapatrywania osobiste i wziąć szczerzy udział we wspólnej pracy. «Jeżeli postanowicie prowadzić agitację na rzecz konstytucyi, mówilem, to zrobmy tak. Ja wystąpię z kółka w celach konspiracyi i będę utrzymywał z niem stosunki tylko przez pośrednictwo jednego członka, — na przykład, Czajkowskiego. On będzie informował mię o waszej działalności, a ja będę zaznajamiał was w ogólnych zarysach z moją, którą będę prowadził w wyższych dworskich kołach. Posiadam szerokie stosunki w tych sferach i znam niemało takich, którzy już są niezadowoleni z obecnego stanu rzeczy. Postaram się skupić ich — i jeżeli się uda — połączyć w jaką organizację. A kiedyś — z pewnością okaże się sposobna chwila, gdy będzie można ruszyć wszystkie te siły i zdobyć na Aleksandrze II konstytucyę dla Rosyi. Przyjdzie czas, gdy ludzie ci, widząc się skompromitowanymi, ze względu na własny swój interes będą zmuszeni uczynić krok stanowczy. Ci z nas, którzy byli oficerami, niechby się zajęli propagandą w wojsku. Ale cała ta akcyja powinna się prowadzić oddzielnie od naszej, choć równolegle z nią. Poważnie zastanawiałem się nad tem i wiem, jakie są moje stosunki i wpływy i komu mogę ufać; myślę także, że niektórzy z niezadowolonych już dzisiaj patrzą na mnie,

jako na swego rodzaju punkt środkowy, żeby się tak wyrazić, około którego mogliby się w danej chwili zjednoczyć. Osobiście nie wybrałbym sobie takiej działalności; ale, jeśli sądzicie, że będzie to pożytecznem, oddam się jej duszą i ciałem».

Kółko nie przyjęło mojej propozycji. Przy absolutnej szczerości, jaka cechowała nasze wzajemne stosunki, towarzysze moi sądzili zapewne — i słusznie, — że podobna działalność jest wręcz przeciwną mojej naturze. Ze względów czysto osobistych bardzo rad jestem dzisiaj, że propozycji mojej wówczas nie przyjęto. Wstąpiłbym na drogę, ku której nie ciągnęło mię serce i nie znalazłbym osobistego szczęścia, które spotkałem, idąc w innym kierunku.

Ale w sześć, czy siedem lat potem, gdy terroryści byli duszą i ciałem pochłonięci straszną walką z Aleksandrem II, żałowałem, że kto inny w wyższych sferach petersburskich nie pokusił się o wykonanie planu, który niegdyś rozwinąłem w kółku. Jeśliby grunt był przygotowany, rozgałęziony w całym cesarstwie ruch sprawiłby może przynajmniej to, że hekatombi ofiar nie zginęłyby nadaremnie. W każdym razie, równoległe z podziemną działalnością Komitetu Wykonawczego powinna była prowadzić się odpowiednia agitacja w Pałacu Zimowym.

Nieraz poruszaliśmy w naszym kółku konieczność walki politycznej, ale nie mogliśmy przyjść do żadnego stanowczego wniosku. Apatya i obojętność klas bogatych społeczeństwa były beznadziejne, a rozdrażnienie wśród młodzieży nie osiągnęło wtedy jeszcze tego stopnia naprężenia, które wyraziło się w kilka lat potem w walce terrorystów pod kierunkiem Komitetu Wykonawczego. Nie dosyć na tem — taką bywa tragiczna ironia historyi — ta sama młodzież, którą

Aleksander II w ślepym strachu i wściekłości wypędzał setkami na wygnanie, albo do katorgi, ochraniała go w 1871—78 latach. Same programy kółek socjalistycznych sprzeciwiały się powtórzeniu się nowych zamachów na cara. Hasłem tych czasów było: «Wytwórzcie w Rosyi szeroki ruch socjalistyczny wpośród chłopów i robotników, a o cara i doradców jego nie troszczcie się. Jeśli ruch się rozpocznie, jeśli chłopci przyłączą się doń masowo i zażądamy ziemi i zniesienia opłat wykupnych za przyznane im w 1861 r. schedy, rząd zagrożony, spróbuje przedewszystkiem oprzeć się na klasach bogatych i większych właścicielach ziemskich i zwoła «sobór ziemski» (ogólne zebranie przedstawicieli z całego kraju i wszystkich stanów). Tak samo powstania chłopskie we Francyi 1789 r. zmusiły władzę królewską do zwołania Zgromadzenia Narodowego. To samo będzie i w Rosyi».

Ale nie dosyć na tem. Oddzielne jednostki i kółka widząc, że panowanie Aleksandra II pograża się fatalnie w coraz głębszem reakcyjnym bagnie i pokładając równocześnie dość zresztą, niejasne nadzieje w «liberalizmie» następcy tronu (wszystkich młodych następców tronu pomawiają zwykle o liberalizm) wykazywali konieczność ponowienia zamachu Karakozowa. Ale kółka zorganizowane stale sprzeciwiały się temu i odradzały towarzyszom. Mogę teraz ogłosić fakt, dotąd nieznanym. Przyjechał raz do Petersburga z gubernii południowych pewien młodzieniec z niewzruszonym zamiarem zamordowania Aleksandra II. Dowiedziawszy się o tem, niektórzy Czajkowcy odwodzili go długo od tego zamysłu, ale napróżno; oświadczyli mu więc, że w ostateczności gotowi są przeszkodzić mu siłą. Wiedząc, jak słabo był wówczas strzeżony Pałac Zimowy, mogę z całą pewnością twierdzić, że Czajkowcy uratowali wtedy życie

Aleksandrowi II. Tak przeciwną była młodzież w tym czasie tej samej walce, w którą rzuciła się potem z taką entuzjastyczną ofiarnością, gdy czara jej cierpień przelała się za brzegi.

XIV.

Nie zapomnę nigdy tych dwóch lat pracy w kółku Czajkowskiego. Życie upływało mi w gorączkowej czynności. Poznałem ten potężny rozpęd życia, kiedy każdej sekundy czujesz naprężone drganie wszystkich fibr wewnętrznej ja, — ten rozpęd, dla którego jedynie tylko warto żyć. Tworzyliśmy jakby rodzinę, której członkowie tak ściśle byli zjednoczeni z sobą wspólnymi celami i których wzajemne stosunki przeniknięte były taką głęboką miłością ludzkości i taką subtelną delikatnością, że nie przypominam sobie ani jednej chwili, w którejby życie naszego kółka zamroczyło choć najłżejsze nieporozumienie. Fakt ten potrafią ocenić przede wszystkim ci, którym zdarzało się kiedykolwiek prowadzić agitację polityczną.

Przed rozstaniem się na zawsze z działalnością naukową, uważałem za mój obowiązek wykończyć pierwiej dla Towarzystwa Geograficznego sprawozdanie z mojej podróży po Finlandyi i niektóre inne prace geograficzne. Moi nowi przyjaciele radzili mi także to samo: «Niepięknie byłoby postąpić inaczej», mówili mi. Zabrałem się więc gorliwie do pracy, aby jak najprędzej skończyć moje książki o geografii i geologii.

Kółko nasze zbierało się często i nigdy nie opuszczałem jego posiedzeń. Zebrania odbywały się wówczas na przedmieściu Petersburga, w małym domku, wynajmowanym przez Zofię Perowską, mieszkającą tu za paszportem żony jakiegoś majstra rzemieślniczego.

Perowska, jak wiadomo, pochodziła z arystokratycznej rodziny. Ojciec jej był czas niejaki petersburskim gubernatorem wojennym. Za zgodą matki, która ubóstwiała córkę, Perowska opuściła dom rodzinny i wstąpiła na wyższe kursa, a potem — wspólnie z trzema siostrami Kornilowymi, córkami bogatego fabrykanta, założyła maleńkie kółko samokształcenia, z którego następnie powstało nasze. Teraz, w tej prostej mieszczance w chustce na głowie, w perkalowej sukni i w męzkich butach, noszącej wodę z Newy, nikt nie poznałby świetnej panny, błyszczącej niegdyś w arystokratycznych petersburskich salonach. Była ona ogólną ulubienicą wszystkich. Każdy z nas, wchodząc do domu, który starała się utrzymać we wzorowej czystości, uśmiechał się do niej wyjątkowo przyjaźnie, uśmiechaliśmy się nawet wtedy, gdy gderała na nas za błoto, które nanosiliśmy do pokoju naszymi chłopskimi butami i pół-kożuszkami po długiej wędrówce wśród błotnistej przedmieścia. Perowska starała się wtedy nadać swej niewinnej, bardzo rozumnej twarzyczce, najbardziej «gderliwy» wyraz, do jakiego tylko zdolną była, za co też przezwaliśmy ją «Zacharem». W moralnych swych zapastryowaniach była ona rygorystką, ale bynajmniej nie «purytanką». Jeżeli była niezadowoloną z kogo w tym względzie, karciała go srogim spojrzeniem z pod oka, ale przebijała się w niem szczerą wspaniałomyślną duszą, której wszystko ludzkie było dostępnem. Tylko w jednym punkcie była nieubłagana: «lowelas», burknęła kiedyś z pogardą, mówiąc o kimś — i ton, którym wymówiła to słowo, nie przerywając roboty, na zawsze wrył się w mojej pamięci.

Perowska była «demokratką» do głębi duszy, a zarazem rewolucjonistką i bojownikiem niezrównanego hartu. Nie potrzebowała idealizować chłopów i robo-

tników zmyślonemi enotami, aby ich pokochać i pracować dla nich. Brała ich takimi, jakimi są i raz, pamiętam, powiedziała mi: «Rozpoczęliśmy wielką rzecz. Być może, dwa pokolenia padną jej ofiarą, ale dokończyć jej trzeba». Żadna kobieta z naszego kółka nie cofnęłaby się przed śmiercią na rusztowaniu. Każda z nich umiałaby zajrzeć śmierci wprost w oczy. Ale wówczas jeszcze, w tem stadyum propagandy, nikt o tem nie myślał. Znany portret Perowskiej bardzo jest podobny do niej. Dobrze oddaje jej świadome męstwo, szeroki, trzeźwy umysł i kochającą duszę. Nigdy jeszcze żadna kobieta nie wyraziła w takiej pełni uczucia kochającej duszy, jak Perowska w owym liście do matki, pisanym na kilka godzin przed wstąpieniem na rusztowanie.

Następujący wypadek okaże, jakimi były drugie kobiety, należące do naszego kółka. Pewnej nocy udaliśmy się z Kuprjanowym z ważną wiadomością do Barbary B. Było już dobrze po północy; ale ujrzawszy światło w jej oknie, weszliśmy na schody. B-wa siedziała w maleńkim pokoiku za stołem i przepisywała program naszego kółka. Znaliśmy jej stanowczość i przyszedł nam koncept do głowy wypłatać jednego z tych głupich figli, które wydają się czasem ludziom dowcipnymi.

— B., przyszedłszy po ciebie, powiedziałem. Chcemy wykonać prawdziwy zamach celem oswobodzenia naszych towarzyszy z twierdzy.

B. nie zadała ani jednego pytania. Położyła pióro, wstała spokojnie i rzekła: «Idźmy!» Powiedziała to tak poprostu, że odrazu pojąłem, jak głupim był mój żart i wyznałem wszystko B. Usiadła znowu na krześle i w oczach jej zabłysły łzy.

— «Więc to był tylko żart?» — zapytała z wyrzu-

tem. «Jak można tak żartować!» Zrozumiałem wtedy całe okrucieństwo mych słów.

Drugim ogólnym ulubieńcem naszego kółka był Sergiusz Krawczyński, dobrze znany w Anglii i w Ameryce pod pseudonimem Stepniaka. Nazywaliśmy go czasem «niemowlęciem», tak mało troszczył się o swoje osobiste bezpieczeństwo. Ale pewność ta wypływała z jego nieustraszonej odwagi, co — końcem końców — bywa często najlepszym środkiem uniknięcia prześladowań policyi. Wkrótce stał się on ogólnie znanym między robotnikami, jako propagator, pod imieniem «Sergiusza»; policya także usilnie go poszukiwała. Mimo to nie zachowywał żadnych środków ostrożności. Pamiętam, jak na jednym zebraniu zmytu mu porządnie głowę za wybryk, uważany słusznie przez towarzyszy za wielką nieostrożność. Sergiusz, swoim zwyczajem, spóźnił się na zebranie i chcąc trafić na czas, przebrany za chłopca, w pół-kożuszkach, przeleciał pędem przez sam środek ulicy Litejnej.

— Jak można coś podobnego robić? — wyrzucano mu. Mogłeś ściągnąć na siebie podejrzenie i zabrano by cię, jak prostego złodzieja.

Ale chciałbym, żeby wszyscy byli tak ostrożni, jak Sergiusz, w tych wypadkach, gdy drudzy mogli być skompromitowani.

Zapoznałem się z nim po raz pierwszy bliżej z okazji książki Stanley'a: «Jak znalazłem Livingstone'a». Razu pewnego zebranie nasze przeciągnęło się do północy; gdy mieliśmy się już rozchodzić, weszła z książką jedna z pań Kornilowych i spytała, kto z nas podejmie się przetłómaczyć do godziny ósmej rano szesnaście stronnie angielskiego tekstu. Spojrzałem na rozmiar stronnie i powiedziałem, że jeśli mi kto pomoże, można będzie skończyć pracę w ciągu

nocy. Ofiarował się z pomocą Sergiusz i na ósmą rano przekład był gotowy. Odczytaliśmy sobie wzajemnie nasze przekłady, przyczem jeden z nas sprawdzał wedle angielskiego tekstu. Potem wypróżniliśmy garnek kaszy, pozostawiony dla nas na stole i razem wyszliśmy, aby wrócić do domu. Od tego dnia staliśmy się serdecznymi przyjaciółmi.

Zawsze lubiłem ludzi umiejących pracować i wykonywujących swą pracę, jak należy. Dla tego też przekład Sergiusza i umiejętność jego szybkiej pracy usposobiły mię dłań bardzo przychylnie. Kiedy zaś poznałem go bliżej, pokochałem go serdecznie za uczciwy, szczery charakter, za młodzieńczą energię, zdrowy rozsądek, niepospolity umysł i prostotę, za wierność, śmiałość i wytrwałość. Sergiusz dużo czytał i dużo myślał i okazało się, że podzielaliśmy jednakowe poglądy na rewolucyjny charakter rozpoczętej przez nas walki. Był on o dziesięć lat młodszym odemnie i może nie zdawał jeszcze sobie całkiem jasno sprawy, jaką uporczywą walkę wywoła zamierzona rewolucya. Z wielkim humorem opowiadał później epizod ze swojej wczesnej wędrówki między ludem. — «Razu pewnego — mówił — idziemy z towarzyszem po drodze. Dopełdza nas chłop na saniach. Zacząłem mu tłumaczyć, że podatków płacić nie należy, — że urzędnicy rabują lud i że z Pisma św. wynika, że trzeba się buntować. Chłop zaciął konia, ale i my przyśpieszyliśmy kroku. Wtedy popędził konia truchtem, lecz i my pobiegliśmy w ślad za nim i przez całą drogę prawilem mu dalej o podatkach i obowiązku buntowania się. Nakoniec chłop puścił konia galopem; ale konik był lichy — tak, że nie pozostaliśmy w tyle za saniami i pouczaliśmy dalej chłopą, póki starczyło tchu».

Czas jakiś Sergiusz mieszkał w Kazaniu i musiałem prowadzić z nim korespondencyę. Nie cierpiał on

listów cyfrowanych, więc zaproponowałem mu inny sposób korespondencyi, który często używał się i poprzednio w konspiracyjnych celach. Pisze się najzwyczajniejszy list o różnych rozmaitościach, ale należy w nim czytać tylko niektóre słowa, przypuścmy każde piąte. Na przykład: «Wybacz, że piszę pośpiesznie. Przyjdź do mnie jutro wieczorem. Jutro rano będę musiał pojechać do siostry Lizy. Zdrowie brata Mikołaja pogorszyło się. Teraz już późno robić operację». Czytając każde piąte słowo otrzymuje się: «Przyjdź jutro do Mikołaja późno». Trzeba było czasem pisać listy na sześciu, siedmiu stronicach, aby zakomunikować jedną stronicę koniecznych wiadomości. Trzeba było — w dodatku — wysilać wyobraźnię, żeby wymyślić list, w którym by można było pomieścić wszystko niezbędne. Ten sposób korespondencyi bardzo się podobał Sergiuszowi, ale prawie niepodobna było doprosić się odeń listu cyfrowanego. Wypisywał mi epistoły, zawierające całe powieści, pełne wstrząsających epizodów, z dramatycznym rozwiązaniem. Mówił mi potem, że listy te przyczyniły się bardzo do rozwoju jego belletrystycznego talentu. Jeśli kto ma talent, wszystko przyczynia się do jego rozwoju.

W styczniu czy lutym 1874 r. mieszkałem w Moskwie, w jednym z tych domów, gdzie spędziłem moje dziecinne lata. Pewnego razu powiedziano mi, że jakiś chłop chce się ze mną widzieć. Wyszedłem — i zobaczyłem Sergiusza, który tylko co uciekł z gubernii Twerskiej. Był on bardzo silny i wędrował od wsi do wsi jako drwał z drugim, podobnym mu siłaczem. dymisyonowanym oficerem, Rogaczewym. Praca była bardzo ciężką, zwłaszcza dla nieprzywykłych do niej rąk, ale i Rogaczew i Sergiusz polubili ją. Nikt nie poznałby w krzepkich, zdrowych drwałach byłych oficerów. Chodzili tym sposobem, nie wzbudzając po-

dejrzenia przez dwa tygodnie, śmiało prowadząc propagandę na prawo i na lewo. Czasami Sergiusz, który umiał Ewangelię prawie na pamięć, tłómaczył ją chłopom i dowodził na zasadzie przytaczanych z niej ustępów, że powinni podnieść bunt. Czasami wykladał im wielkich ekonomistów. Chłopi słuchali agitatorów, jak prawdziwych apostołów, prowadzili ich od chaty do chaty i nie chcieli brać pieniędzy za jedzenie. W ciągu dwóch tygodni wywołali oni prawdziwe wzburzenie w kilku wsiach. Rozgłos o nich rozszedł się daleko wokoło. Starsi i młodszy chłopcy zaczęli szeptać między sobą po stodółkach o «chodzikach», a wkrótce i głośniej się odzywać, że niebawem odbiorą ziemię panom, którym car wyznaczy roczną pensję. Młodzież nabrała śmiałości w obec policyi i mówiła: «poczekajcie; prędko przyjdzie nasza kolej. Nie będziecie wy, herodowe plemię, przewodzić nad nami!» Ale sława o drwalach doszła i do stanowego i zabrano ich. Rozkazano dostawić ich do powiatowego urzędu policyjnego, znajdującego się w odległości dwudziestu wiorstw.

Poprowadzono ich pod konwojem kilku chłopów. Droga prowadziła przez wieś, gdzie obchodzono właśnie uroczyste święto patrona cerkwi.

— Co za jedni? Aresztanci? Dobrze. Dalej do nas, kumowie, zapraszali uczujący chłopcy.

Aresztantów i straż zatrzymano cały dzień, prowadząc ich od chaty do chaty i częstując brahą. Strażnicy nie dawali się prosić długo. Pili sami i aresztantów także namawiali do picia. «Na szczęście — opowiadał Sergiusz — braha krążyła wśród biesiadników w takim olbrzymim dzbanie, że nikt nie mógł widzieć, ile piję, gdy przykładam usta do naczynia». Pod wieczór cała straż była pijana, a ponieważ nie chciała ukazywać się w takim stanie stanowemu, po-

stanowiono zanoćować we wsi. Sergiusz cały czas rozmawiał z chłopami. Słuchali go i ubolewali, że takich porządnych ludzi prowadzą na policyę. Gdy wszyscy kładli się spać, jeden z młodych konwojnych szepnął Sergiuszowi: «bramę przymknę tylko, — nie zamknę na rygle». Sergiusz i Rogaczew zrozumieli.

Gdy wszyscy zasnęli, wyszli na ulicę, oddalili się przyśpieszonym krokiem i około piątej godziny rano byli już o dwadzieścia pięć wiorstw od wsi, na przystanku kolejowym, z kąd pierwszym pociągiem wyjechali do Moskwy. Sergiusz pozostał tu. Potem, gdy nas wszystkich w Petersburgu aresztowano, kółko moskiewskie, którego duszą byli on i Wojnaralski, stało się głównym centrem agitacyi.

Gdzieniegdzie propagatorzy osiedlali się niewielkimi grupami, pod różnymi pozorami, po wsiach i miastach. Jedni urządzali kuźnie, drudzy osiedlali się na roli i młodzież z arystokratycznych, zamożnych rodzin pracowała w tych warsztatach, albo w polu, aby pozostawać w ciągłej styczności z pracującymi masami. W Moskwie kilka byłych studentek zurychskich utworzyło swoją własną organizacyę i same postąpiły do fabryk tkackich, gdzie pracowały od 14 do 16 godzin dziennie, prowadząc we wspólnych kazarmach ciężkie, nieponętne życie rosyjskich kobiet fabrycznych. Był to wielki, bohaterski ruch, w którym, co najmniej, dwa do trzech tysięcy ludzi przyjmowało czynny udział; podwójna zaś lub trzykrotna taka ilość sympatyzowała z ruchem i wspomagała wszelkimi środkami tę przednią bojową straż. Nasze petersburskie kółko prowadziło regularną korespondencyę (naturalnie za pomocą cyfr) z większą połową tej armii.

Wkrótce uznaliśmy za niedostateczną literaturę le-

galną, w której surowa cenzura nie przepuszczała najlżejszej wzmianki o socyalizmie i założyliśmy za granicą własną drukarnię. Trzeba było, ma się rozumieć, pisać specjalne broszury dla robotników i chłopów, tak że «komitet literacki», do którego członków należałem, zawsze miał dużo do roboty. Sergiusz napisał kilka takich broszur, między innymi: «Naukę na Wielki Piątek», w duchu ks. Lammenais; w drugiej zaś p. t.: «Mądra Naumowna», wykladał naukę socyalistyczną w formie bajki. Obie broszury cieszyły się wielkiem powodzeniem. Książki i broszury, wydane za granicą, wwoziły się całemi pakami kontrabandą do Rosyi, składały się w pewnych miejscach, a potem rozsyłały miejscowym kółkom, które rozszerzały tę literaturę wpośród chłopów i robotników. To wszystko wymagało dużej organizacyi, częstych wycieczek zagranicę i obszernej korespondencyi. Zwłaszcza potrzebnem to było dla ochrony naszych pomocników i składów książkowych przed policją. Posiadaliśmy specjalne cyfry dla każdego z prowincjonalnych kółek i często po sześć lub siedmiogodzinnem roztrząsaniu najdrobniejszych szczegółów, kobiety, nie dowierzając naszej dokładności w cyfrowanej korespondencyi, pracowały jeszcze całutką noc, zapisując liczne arkusze kabalistycznymi znakami i liczbami ułamkowemi.

Nasze posiedzenia odznaczały się zawsze serdecznością wzajemną członków między sobą. Przewodniczący i wszelkiego rodzaju formalności są w ogóle bardzo niemiłe Rosyanom i u nas też nic podobnego nie było. I choć spory nasze bywały często bardzo gorące, zwłaszcza gdy rozbierały się «kwestyje programowe», zawsze obchodziliśmy się doskonale bez zachodnio-europejskich formalności. Wystarczała sama tylko absolutna szczerłość, powszechne pragnienie roz-

wiązać kwestyę jak najlepiej i jawny wstręt ku wszelkim objawom sztuczności i teatralnej pozy. Jeśliby kto z nas popisował się teatralnymi efektami w mowie, upomnielibyśmy go byli żartem, że kwiaty wymowy nie są tu na miejscu. Często zdarzało się nam jeść obiad na zebraniach i posiłek niezmiennie składał się z razowego chleba, solonych ogórków, kawałeczka sera albo kiełbasy i lekkiej herbaty w obfitości. Jedliśmy tak nie dla tego, że pieniędzy było mało; mieliśmy ich zawsze dosyć, a zawsze jednak nie starczyło ich na pokrycie wszystkich wydatków, które pociągał za sobą druk i przewóz książek, ukrywanie towarzyszy, poszukiwanych przez żandarmów i różne nowe przedsięwzięcia.

W Petersburgu zawiązaliśmy wkrótce rozległe znajomości między robotnikami. Serdiukow, młodzieniec z wysokim wykształceniem, pozyskał wielu przyjaciół wpośród robotników rękodzielniczych, których większa część pracowała w rządowych warsztatach broni i utworzył kółko z trzydziestu osób, zbierających się dla wspólnego czytania i rozmowy. Robotnikom warsztatowym nieźle płacono w Petersburgu, a nieżonaci żyli nawet w dostatku. Wkrótce zaznajomili się oni z radykalną i socjalistyczną literaturą ówczesną, i Buckle, Lassalle, Mill, Draper, Szpilhagen — były to znane im nazwiska. Co do swego rozwoju umysłowego rękodzielnicy ci mało co różnili się od studentów. Kiedy Dymitr, Sergiusz i ja weszliśmy do kółka Czajkowców, często odwiedzaliśmy wszyscy trzej ich kółko i rozmawialiśmy z nimi o różnych przedmiotach. Jednakże, nadzieje nasze, że młodzieńcy ci staną się propagatorami wśród pozostałych robotników, których położenie było daleko gorszem od ich własnego, nie całkiem się spełniły. W kraju wolnym zostaliby oni zwykłymi oratorami na wspólnych zebraniach; ale — podobnie

jak uprzywilejowani zegarmistrze genewscy, odnosili się oni z pewnego rodzaju pogardą do robotników fabrycznych i wcale nie pałali pragnieniem zostania męczennikami sprawy socjalistycznej. Dopiero potem, gdy większą ich część aresztowano, a niektórych przetrzymano w więzieniu ze trzy lata za to, że ośmielili się myśleć, jako socjaliści; dopiero, gdy niektórzy zgłębili własnem doświadczeniem całą nieograniczoność rosyjskiej samowoli, — stali się oni gorącymi propagatorami — przeważnie politycznej rewolucyi.

Moje sympatyje pociągały mię głównie ku tkaczom i ku fabrycznym robotnikom w ogóle. W Petersburgu znajduje się kilka tysięcy takich robotników, którzy na lato udają się na wieś uprawiać rolę. Ci pół-chłopi, pół-robotnicy fabryczni przynoszą z sobą do miasta gminnego ducha wsi rosyjskiej. Rewolucyjna própa-ganda czyniła wśród nich szybkie postępy. Musieliśmy nawet hamować zapal naszych nowych przyjaciół: inaczej przyprowadzaliby nam do naszych mieszkań setki swych towarzyszy — starców i młodzież. Po większej części mieszkali oni niewielkimi «artelami», — w dziesięciu — dwunastu ludzi, we wspólnem mieszkaniu i stołowali się razem, przyczem każdy wspólnik pokrywał co miesiąc swoją część ogólnych wydatków. Do tych właśnie mieszkań uczęszczaliśmy. Tkacze poznajomili nas prędko z drugimi podobnemi artelami: mularzy, cieśli i t. d.; w niektórych z nich Sergiusz, Dymitr i kilku innych naszych towarzyszy byli już znanymi, swoimi ludźmi; całemi nocami rozprawiali tu o socyjalizmie. W wielu dzielnicach Petersburga i na przedmieściach mieliśmy osobne lokale, wynajmowane przez towarzyszy. Tu co wieczór przychodziło z dziesięciu robotników, na naukę czytania i pisania, i dla pogawędki. Od czasu do czasu ktoś z nas udawał się

na parę tygodni do wsi, z kąd pochodzili nasi przyjaciele i prowadził tam prawie jawną propagandę wpośród chłopów.

Ma się rozumieć, że wszyscy ci, którzy zajmowali się propagandą wśród robotników, przebierali się za chłopów. Przepaść, oddzielająca w Rosyi «pana» od chłopą, jest tak głęboką, tak rzadko stykają się oni z sobą, że zjawienie się we wsi człowieka, ubranego «po pańsku», zwróciłoby ogólną uwagę. Ale i w mieście policya natychmiast zaniepokoiłaby się, jeśliby spostrzegła wpośród robotników człowieka, różniącego się od nich odzieżą i mową. «Po co przestawałby on z prostym ludem, gdyby nie miał złych zamiarów?» Bardzo często po obiedzie w arystokratycznym domu, albo nawet w Pałacu Zimowym, gdzie zachodziłem czasami odwiedzić przyjaciela, brałem dorożkę i śpieszyłem do ubogiego studenckiego mieszkania na dalekiem przedmieściu, gdzie zrzucałem wykwintne suknie, wkładałem perkalową koszulę, chłopskie buty i pół-kożuszek i udawałem się do moich przyjaciół tkaczy, żartując po drodze z chłopami. Opowiadałem moim słuchaczom o ruchu robotniczym zagranicą, o Międzynarodowym Związku Robotniczym, o Komunie paryskiej 1871 r. Słuchali z wielką uwagą, starając się nie stracić ani słowa, a potem zadawali zwykle pytanie: «co my możemy zrobić, w Rosyi?» Odpowiadaliśmy: «Trzeba uświadamiać masy, wybierać pewniejszych i zdolniejszych ludzi i organizować ich. Innego sposobu niema». Wykładaliśmy im historię rewolucyi francuskiej, przerobioną ze znakomitej «Historyi Chłopa» Erckmanna Châtrian. Wszyscy zachwycali się «panem Szowelewym», który wędrował po wsiach i rozdawał zakazane książki. Wszyscy pałali chęcią naśladowania jego przykładu. — «Rozmawiajcie z drugimi, — mówiliśmy, — łączcie ludzi z sobą, a kiedy będzie nas

więcej, zobaczymy, co będzie można zrobić». Robotnicy rozumieli nas doskonale i musieliśmy tylko hamować ich zapał.

Niemaló miłych godzin spędziłem wśród nich. Pamiętnym jest mi zwłaszcza pierwszy dzień 1874 r., ostatni nowy rok, spędzony przeze mnie w Rosyi na swobodzie. Nowy rok witałem w «wyborowem» towarzystwie. Wypowiedziano tam niemaló górnołotnych, szlachetnych frazesów o obowiązkach obywatelskich, o szczęściu ludu i tem podobniej. Ale we wszystkich tych wzniosłych mowach dźwięczała jedna nuta. Każdy z gości, zdawało się, był w szczególności zajęty myślą, żeby tylko samemu zachować swoje własne położenie społeczne i materyalny dobrobyt. Nikt, jednakże, nie śmiał szczerze i otwarcie przyznać się, że gotów on zrobić tylko to, co nie przedstawia dlań żadnego niebezpieczeństwa. Sofizmata, cały nieskończony szereg sofizmatów o powolności ewolucyi, obojętności mas, próżności ofiar, — wypowiadał się tylko dla tego, żeby ukryć rzeczywiste motywy, — na przemian z zapewnieniami o gotowości do ofiar... Zrobiło mi się nagle smutno i przykro — i opuściłem towarzystwo.

Nazajutrz rano poszedłem na zebranie tkaczy. Miało ono miejsce w ciemnej piwnicy. Byłem przebrany za chłopca i nie wyróżniałem się niczem wśród tłumu innych półkożuszków. Towarzysz, znany robotnikom, przedstawił mię pro prostu: «Borodin, mój przyjaciel». — «Opowiedz nam, Borodin, -- zaproponował, — coś widział zagranicą». Zacząłem więc opowiadać o ruchu robotniczym w zachodniej Europie, o walce proletaryatu, o przeszkodach, które będzie musiał przezwyciężyć, o jego nadziejach.

Na zebraniu znajdowali się po większej części ludzie średniego wieku. Opowiadanie moje zajęło ich nadzwyczajnie i zadawali mi cały szereg pytań, od-

noszących się jak najtrafniej do rzeczy; wypytywali o najdrobniejsze szczegóły, dotyczące robotniczych związków, o cele Internacjonau i o widoki jego powodzenia. Potem zapytywano chciwie, jak zwykle, co można zrobić u nas w Rosyi i jakie będą skutki naszej propagandy. Nigdy nie zmniejszałem niebezpieczeństwa, jakie przedstawiała nasza agitacya i otwarcie powiedziałem, co myślałem: «Nas zapewne wkrótce zeszlą na Sybir, a was, to jest niektórych z was, przetrzymają długo w więzieniu za to, żeście nas słuchali». Ponura perspektywa nie przeraziła i nie ochłodziła ich. «Cóż — i w Syberyi nie same tylko niedźwiedzie mieszkają; są i ludzie». «Gdzie ludzie żyją, tam i my nie zginiemy». — «Nie tak czarny dyabeł, jak go malują». — «Wilków się bać, do lasu nie chodzić». — «Zebrać torby i więzienia nie zarzekaj się».

I kiedy potem niektórych z nich aresztowano, prawie wszyscy trzymali się doskonale i nikogo nie wydali.

XV.

W ciągu tych dwóch lat, o których mówię, zaszły liczne aresztacye zarówno w Petersburgu, jak i w całej Rosyi. Nie było miesiąca, żeby nie zniknął który z naszych towarzyszy, albo żeby nie wzięto kogo z członków prowincjonalnych grup. Z końcem 1873 r. aresztacye stały się jeszcze częstsze. W listopadzie policya wpadła niespodzianie do jednego z naszych głównych konspiracyjnych mieszkań, za Narwską rogatką. Straciliśmy Perowską i trzech drugich towarzyszy. Wszystkie stosunki z robotnikami w tej części Petersburga trzeba było przerwać. Żandarmi podwoili czujność i żaden student, który ukazywał się w dziel-

nicy robotniczej, nie uchodził ich uwagi. Założyliśmy nową kolonię rewolucyjną, jeszcze dalej za miastem, ale i tę wkrótce musieliśmy opuścić. Wśród robotników krążyli liczni szpiedzy i pilnie ich śledzili. W naszych półkożuszkach, z naszym chłopskim wyglądem, Dymitr, Sergiusz i ja przekradaliśmy się niezauważeni. Nie przestaliśmy odwiedzać dzielnic, rojących się od żandarmów i szpiegów. Ale położenie Dymitra i Sergiusza było bardzo niebezpieczne. Policja poszukiwała ich usilnie, ponieważ imiona ich były w robotniczych dzielnicach ogólnie znane. Jeżeliby K-a, albo Krawczyńskiego policja spotkała przypadkowo w mieszkaniu znajomych, w czasie rewizyi, natychmiast zabranoby ich. Zdarzało się, że Dymitr musiał codziennie szukać nowego mieszkania, gdzie mógłby względnie spokojnie przepędzić noc.

— Czy mogę przenocować u ciebie? zapytywał, przyszedłszy do towarzysza o dziesiątej godzinie wieczorem.

— Niepodobna. Mieszkanie moje w ostatnich czasach jest pilnie strzeżone. Lepiej idź do N.

— Ależ ja właśnie od niego przychodzę! On mówi, że dom jego otoczony jest szpiegami.

— No, to idź do M. To mój wielki przyjaciel i wolny od wszelkich podejrzeń; ale mieszka daleko. Weź dorożkę. Oto pieniądze. — Dymitr jednak z zasady pieniędzy nie brał i szedł pieszo na poszukiwanie noclegu na przeciwny kraniec miasta, — albo zostawał u towarzysza, którego lada chwila mogła zaskoczyć rewizya.

W styczniu 1874 r. straciliśmy nasz główny punkt zborny, prawdziwą twierdzę propagandy naszej wśród tkaczy. Kilku najlepszych naszych agitatorów zniknęło poza tajemniczymi wrotami Trzeciego Wydziału. Kółko nasze przerzedziło się. Ogólne zebrania stawały się

rzeczą coraz trudniejszą. Wytężaliśmy wszystkie siły, żeby zorganizować nowe kółka młodzieży, które mogłyby prowadzić dalej sprawę, gdy nas aresztują. Czajkowski znajdował się wówczas na południu. Skłoniliśmy, a raczej zmusiliśmy Dymitra i Sergiusza do wyjazdu z Petersburga. Kazaliśmy im wprost wyjechać. Zostało nas w Petersburgu najwyżej pięciu, sześciu ludzi — dla prowadzenia spraw naszego kółka. Zamierzałem niezwłocznie po złożeniu mego sprawozdania w Towarzystwie Geograficznem wyjechać na południe i zorganizować tam coś w rodzaju Ligi agrarnej, na podobieństwo tej organizacyi, która przyjęła tak groźne rozmiary w Irlandyi w końcu lat siedemdziesiątych.

Dwa miesiące przeszły stosunkowo spokojnie, gdy nagle, w połowie marca, dowiedzieliśmy się, że całe kółko rękodzielników zostało aresztowanem i z nimi razem były student, Nizowkin, cieszący się — na nieszczęście — ich zaufaniem. Byliśmy przekonani, że Nizowkin, uniewinniając siebie, wyda wszystko, co wie. Oprócz Dymitra i Sergiusza znał on założyciela kółka, Serdiukowa i mnie. Można było oczekiwać, że na pewno zdradzi na badaniu nasze prawdziwe nazwiska. Po kilku dniach zabrano dwóch tkaczy, ludzi bardzo niepewnych, którzy strwonili nawet pieniądze swych towarzyszy. Znali mię pod nazwiskiem Borodina. Ci niewątpliwie pomogą policyi wpaść na trop Borodina, noszącego się po chłopsku i przemawiającego na zebraniach tkaczy. W ciągu jednego tygodnia zabrano wszystkich członków naszego kółka, prócz Serdiukowa i mnie.

Nie pozostawało nam nic innego, oprócz ucieczki z Petersburga, ale tego właśnie nie chcieliśmy. Na naszej pieczy spoczywała olbrzymia organizacya wewnątrz Rosyi i zagranicą, gdzie drukowano nasze wy-

dawnictwa i przewożono je kontrabandą. Jak zostawić, nie znalazłszy zastępców, całą sieć naszych kółek i kolonii w czterdziestu guberniach, które z takim trudem stworzyliśmy w tych latach i z którymi utrzymywaliśmy regularną korespondencję? I jakże nakoniec zostawić nasze robotnicze koła w Petersburgu i nasze cztery ogniska propagandy wpośród robotników tej stolicy? Każdego wieczoru schodziliśmy się w różnych częściach miasta i pracowaliśmy gorliwie. Nazwisk i adresów nigdy nie zapisywaliśmy. Mieliśmy tylko cyfrowane i złożone w bezpiecznym miejscu adresy, tyżące się przewozu książek. W skutek tego nowi członkowie koniecznie musieli wyuczyć się ze stu adresów i zapamiętać jaki dziesiątek cyfr. Dopóty powtarzaliśmy je towarzyszom, póki nakoniec nie wykuli ich na pamięć. Co wieczora dawaliśmy im pogładową lekcję na mapie Rosyi Europejskiej, zatrzymując się dłużej przy zachodniej granicy, gdzie mieszkali ci, którzy odbierali przekradzione kontrabandą książki i przy guberniach nad Wołgą, gdzie znajdowała się większa część naszych kolonii. Potem, naturalnie przebrawszy się, zabieraliśmy z sobą naszych nowych towarzyszy, aby poznać ich z robotnikami w różnych dzielnicach miasta.

Najrozsądniej w podobnych razach jest zniknąć nagle z mieszkania i zjawić się w nowym miejscu pod cudzem nazwiskiem i za cudzym paszportem. Serdiukow opuścił wprawdzie swoje mieszkanie, ale ponieważ nie miał paszportu, ukrywał się u znajomych. Mnie należało postąpić tak samo, ale dziwna okoliczność zatrzymała mię. Właśnie skończyłem referat o formacjach lodowych w Finlandyi i w Rosyi, który miałem odczytać na zebraniu ogólnem w Towarzystwie Geograficznem. Zaproszenia były już rozesłane,

tymczasem zdarzyło się, że właśnie w tym samym dniu miało odbyć się wspólne posiedzenie dwóch geologicznych Towarzystw Petersburga. Zwróciły się one do Towarzystwa Geograficznego z prośbą, aby referat mój został odłożony na tydzień. Było wiadomem, że mam wyłożyć kilka moich poglądów o rozpościeraniu się skorupy lodowej aż w głąb Rosyi środkowej, geologowie zaś nasi, oprócz mego nauczyciela i przyjaciela, Fryderyka Schmidta, uważali to przypuszczenie za zbyt śmiałe i chcieli je gruntownie rozpatrzyć. Musiałem więc pozostać jeszcze tydzień.

Wśród tego tajemniczy nieznajomi krążyli około mego domu i zachodzili do mnie pod różnymi fantastycznymi pozorami. Jeden z nich życzył sobie kupić las w moich dobrach tambowskich, położonych w bezleśnym stepie. Ku ździwieniu memu ujrzałem na mojej ulicy, na wykwintnej Morskiej, jednego ze wspomnianych powyżej aresztowanych tkaczy. Miałem więc dowód, że dom mój jest szpiegowany. A jednak musiałem zachowywać się tak, jak gdyby nic niezwykłego nie zaszło, ponieważ następnego piątku miałem czytać mój referat w Towarzystwie Geograficznym.

Posiedzenie odbyło się nakoniec. — Spory odznaczały się wielkiem ożywieniem, ale w każdym razie udało się mi obronić jeden punkt. Geologowie nasi przyznali, że wszystkie dawne teorye o epoce dyluwialnej w Rosyi nie mają żadnej podstawy i że całą kwestyę należy zbadać na nowo. Miałem przyjemność słyszeć, jak nasz znamienity geolog, Barbot de Marny, powiedział: «Czy była lodowa skorupa, czy nie, musimy jednak przyznać, panowie, że wszystko, co mówiliśmy dotąd o wpływie pływających lodowców, nie potwierdza się w rzeczywistości żadnymi dowodami». Ofiaro-

wywano mi miejsce przewodniczącego w oddziale geografii fizycznej, podczas gdy ja zadawałem sobie pytanie: czy nie spędzę już tej samej nocy w Trzecim Wydziale?

Należałoby mi było wcale nie wracać do mego mieszkania, ale upadałem ze zmęczenia i wróciłem przemocować. Tej nocy żandarmi nie przyszli. Przejrzałem cały stos moich papierów, zniszczyłem wszystko, coby mogło skompromitować kogokolwiek, spakowałem wszystkie rzeczy i przygotowałem się do odjazdu. Wiedziałem, że mieszkanie moje jest śledzone, ale liczyłem, że policja przyjdzie z wizytą dopiero późno w nocy i że w skutek tego, uda mi się o wieczornym zmroku wymknąć się niepostrzeżenie. Ściemniało; gdy już miałem wychodzić, jedna z pokojówek szepnęła mi: «możebyście lepiej wyszli kuchennymi schodami». Zrozumiałem ją. szybko zbiegłem po schodach i wyszedłem z domu. U bramy stała tylko jedna dorożka. Wskoczyłem do niej i pojechaliśmy w kierunku Newskiego Prospektu. Zrazu nie było za mną pogoni i myślałem, że się wszystko udało pomyślnie. Ale nagle, już na Newskim Prospekcie, spostrzegłem drugą dorożkę, która pędziła za nami w cwał i wkrótce zaczęła nas wyprzedzać.

Z wielkiem mojem zdumieniem zobaczyłem w dorożce jednego z dwóch aresztowanych tkaczy, a obok niego jakiegoś nieznanego mi pana. Tkacz skinął ku mnie ręką, jak gdyby chciał mi coś powiedzieć. Kazałem mojemu dorożkarzowi zatrzymać się. «Może — pomyślałem — dopiero co wypuszczono go i ma dla mnie jakie ważne zlecenia». Ale skoro tylko stanąłem, pan, siedzący obok tkacza (był to szpieg), krzyknął głośno: «panie Borodin, książę Krapotkin, aresztuj pana». — Dał sygnał stójkowym, których zawsze tłum roi się na Newskim, skoczył do mojej dorożki i po-

kazał mi papier z pieczęcią petersburskiej policji miejskiej. «Mam rozkaz poprosić pana natychmiast do generała gubernatora — dla objaśnienia», powiedział. Opór był niemożliwy. Dwóch stójkowych stało już przy mnie. Kazałem memu dorożkarzowi zawrócić nazad i jechać do generała-gubernatora. Tkacz pozostał w swojej dorożce i pojechał za nami.

Widocznie policya przez dziesięć dni wahała się aresztować mię, nie będąc pewną, czy Borodin i ja jesteśmy jedną i tą samą osobą. Moja odpowiedź na skinienie tkacza rozstrzygnęła wszelkie wątpliwości w tym względzie.

Zdarzyło się, że właśnie w chwili, w której wyjeżdżałem z domu, przybył z Moskwy pewien młodzieniec z listem do mnie od przyjaciela mego, P. J. Wojnaralskiego i z drugim od Dymitra do Polakowa. Wojnaralski donosił mi o rozwijającym się pomyślnie ruchu rewolucyjnym w Moskwie, między innymi o założeniu tajnej drukarni. Przeczytałem list i zniszczyłem go, a ponieważ drugi nie zawierał nic, oprócz zwykłej przyjacielskiej gawędki, zabrałem go z sobą. Teraz, gdy mię aresztowano, pomyślałem, że lepiej będzie i ten list zniszczyć. Zwróciłem się do szpiega z żądaniem, by mi powtórnie pokazał swój papier t. j. rozkaz aresztowania mię — i podczas gdy dostawał go z kieszeni, rzuciłem nieznacznie list na bruk. Ale gdyśmy zajechali przed dom generała-gubernatora, tkacz podał nieszczęsny list szpiegowi, mówiąc: «widziałem, jak ten pan rzucił list na bruk i podjąłem go».

Nastąpiły teraz męczące godziny wyczekiwania na prokuratora. Reprezentant władzy sądowej gra, jak wiadomo, rolę parawanu w rękach żandarmów. Wysłuwają go naprzód dla nadania choć cienia prawności rewizjom i śledztwu. Upłynęło niemal czasu, póki

wyszukali prokuratora i przywieźli go, aby figurował niby-to w charakterze przedstawiciela prawa. Zawieziono mię napowrót do mego mieszkania i dokonano w niem najstaranniejszej rewizyi, która trwała do trzeciej godziny rano. Żandarmi nie znaleźli jednak ani świstka papieru, który mógłby służyć im za dowód przeciwko mnie lub komu innemu.

Po rewizyi odwieziono mię do Trzeciego Wydziału, który rządził i rządzi pod różnemi nazwami Rosyą od czasów Mikołaja I aż do dnia dzisiejszego włącznie i stanowi prawdziwe państwo w państwie. Protoplastą jego był za Piotra I «Tajny Gabinet», w którym przeciwnicy założyciela rosyjskiego imperyum ginęli straszną śmiercią wśród wyrafinowanych męczarni. Za carowej (Katarzyny I) «Tajny Gabinet» przekształcił się w «Tajną Kancelaryę», a za Anny Joannówny «Izba tortur» okrutnego Birona przejmowała nieopisanym strachem całą Rosyę. Żelazny despota, Mikołaj I, przeobraził kancelaryę w «Trzeci Wydział» i połączył z nim korpus żandarmski, przy czem szef żandarmów stał się osobistością więcej obawianą w Rosyi, niż sam cesarz.

Wkrótce po zabiciu Mezencewa, za Loris-Melikowa, Trzeci Wydział został zniesiony nominalnie; ale — jak feniks odrodził się i zakwitł jeszcze wspanialej pod nowym szyldem. W każdej gubernii, w każdym mieście, nawet na każdej stacyi kolei żelaznej znajdują się żandarmi, którzy donoszą o wszystkim bezpośrednio swoim pułkownikom i generałom, ci zaś komunikują się z szefem żandarmów. Ten ostatni widzi się z cesarzem codziennie i składa mu codziennie sprawozdania, jakie uważa za stosowne. Wszyscy urzędnicy w cesarstwie znajdują się pod nadzorem żandarmów. Generałowie i pułkownicy tego korpusu śledzą z obowiązku publiczne i prywatne życie wszy-

stkich carskich poddanych, w tej liczbie gubernatorów, ministrów i nawet wielkich książąt. Sam cesarz nie stanowi wyjątku i nie uchodzi ich pilnej czujności. A ponieważ bywają oni dokładnie powiadomieni o wszystkich najtajniejszych sprawach i interesach dworu i znają każdy krok cara, to szef żandarmów staje się, żeby się tak wyrazić, ulubieńcem i poufnikiem władców Rosyi w ich najbardziej osobistych sprawach.

W tej epoce panowania Aleksandra II Trzeci Wydział był wszechwładnym. Pułkownicy żandarmscy zarządzali tysiące rewizyi, mało się troszcząc o to, czy istnieją, czy nie, w Rosyi sądy i prawa. Aresztowali, kogo chcieli, trzymali w więzieniu, jak długo im się podobało i setki ludzi szły na zesłanie do północnej Rosyi, albo na Syberyę, za rozporządzeniem któregoś z pułkowników lub generałów. Podpis ministra spraw wewnętrznych był tylko czezą formalnością, gdyż nie posiadał on żadnej kontroli nad żandarmami i nawet nie wiedział, co oni robią.

Była już czwarta godzina rano, gdy rozpoczęło się badanie.

— Pan oskarżony jesteś — oświadczone mi uroczyście — o należenie do tajnego stowarzyszenia, mającego na celu obalenie istniejącej formy rządu i o udział w spisku przeciw świętej osobie jego Cesarskiej Mości. Czy przyznaje się pan do winy?

— Do chwili póki nie stanę przed publicznym sądem, nie dam wam żadnej odpowiedzi, — odparłem.

— Proszę zapisać — podyktował prokurator sekretarzowi — nie przyznaje się do winy. Muszę panu postawić jeszcze kilka pytań, zaczął znowu po krótkiej pauzie. Czy zna pan niejakiego Mikołaja Czajkowskiego?

— Jeżeli koniecznie chcecie po tem, co wam powiedziałem, zadawać mi dalej pytania na waszem ba-

daniu, to piszcie odrazu «nie» w odpowiedzi na wszystko, o co mię będziecie pytać.

— No, a jeżeli spytamy, czy zna pan, na przykład, pana Polakowa, o którym rozmawiałeś pan przed kilku minutami z prokuratorem?

— Jeśli zadacie mi takie pytanie, to piszcie: «nie». I jeśli spytacie mię, czy znam siostrę, brata, albo macochę, piszcie także: «nie». Żadnej innej odpowiedzi nie otrzymacie odemnie. Ja wiem, że jeśli odpowiem «tak», wszystko jedno, do kogoby się ta odpowiedź odnosiła, wy natychmiast wyrządzą mu jaką poważną nieprzyjemność, przyjdziecie z rewizją, albo jeszcze gorzej, a potem powiecie mu, że ja go wydałem.

Przedstawiono mi wtedy długi spis pytań i za każdym razem odpowiadałem spokojnie: «zapiszcie — nie». Tak ciągnęło się to około godziny. I mogłem się przekonać na zasadzie badania, że wszyscy aresztowani oprócz dwóch tkaczy, trzymali się bardzo dzielnie. Tkacze zaś wiedzieli tylko, że dwa razy widziałem z dziesięciu robotników. Żandarmi widocznie nic nie wiedzieli o naszym kółku...

— Co pan robi, książe? — powiedział mi oficer żandarmski, który odprowadzał mię o piątej godzinie rano do mojej celi. Pańskie milczenie posłuży im za straszną broń przeciw panu samemu.

— Czyż nie jestem w swoim prawie?

— Tak, ale... pan wie... Mam nadzieję, że pokój znajdzie pan wygodnym. Palą w piecu od chwili pańskiego aresztu.

Znalazłem go bardzo wygodnym i natychmiast silnie zasnąłem. Przebudził mię po upływie kilku godzin żandarm, który przyniósł mi herbatę. Po nim wkrótce zjawiała się druga osobistość, która szepnęła mi niespodziewanie: «oto papier i ołówek; pisz pan swoją kartkę». Był to ktoś współczujący nam, którego

znałem z imienia. Za jego pośrednictwem prowadziliśmy korespondencję z aresztowanymi w Trzecim Wydziale.

Ze wszystkich stron słyszałem lekkie pukanie do ścian. To rozmawiali z sobą umówionym sposobem więźniowie. Ale ponieważ byłem jeszcze nowicuszem, nie mogłem połapać się w tem pukaniu, które, zdawało się, wychodziło ze ścian ze wszech stron.

Jedna rzecz niepokoiła mię. Kiedy robiono u mnie rewizję, słyszałem, jak prokurator szepnął oficerowi żandarmskiemu, że teraz pojedą z rewizją do Polakowa, do którego był zaadresowany list Dymitra. Polakow był to młody student, bardzo uzdolniony zoolog i botanik, wspólnie z którym odbyłem wycieczkę Witymską. Urodził się on w ubogiej rodzinie kozackiej, na granicy Mongolii. Przewyciężywszy wszelkiego rodzaju trudności, Polakow przybył do Petersburga i wstąpił na uniwersytet, gdzie zasłynął jako zoolog, rokujący wielkie nadzieje. Zdawał właśnie wówczas egzamin na kandydata. Od czasu naszej wspólnej długiej podróży poprzyjaźniliśmy się serdecznie i nawet mieszkaliśmy czas jakiś w Petersburgu razem. Ale Polakow nie interesował się moją działalnością polityczną.

Wspomniałem o nim prokuratorowi. «Daję panu słowo honoru — powiedziałem — że Polakow nigdy nie brał udziału w żadnych politycznych sprawach. Jutro zdaje ostatni egzamin. Zniszczycie na zawsze zawód naukowy młodzieńca, który walczył wiele lat i umiał pokonać wielkie przeszkody, aby osiągnąć swoje obecne położenie. Ja wiem, że was to wszystko mało wzrusza; ale uniwersytet uważa Polakowa za przyszłą sławę nauki rosyjskiej».

Rewizję mimo to u Polakowa zrobiono, nie aresztowano go, co prawda, natychmiast, lecz dano mu

trzy dni zwłoki dla zdania egzaminu. W kilka dni potem wezwano mię do prokuratora, który pokazał mi z promieniejącą twarzą kopertę, zaadresowaną moją ręką, a w niej kartkę, także z mojem własnoręcznem pismem, następującej treści: «Bądźcie łaskawi, oddajcie ten pakiet W. E. i poproście o przechowanie go, póki go nie zażądataj w umówiony sposób». Nazwisko osoby, do której kartka zaadresowana była, nie było w niej wspomnianem.

— List ten znaleziono u pana Polakowa, — powiedział prokurator. — A teraz, księżę, los jego w twoich rękach. Jeżeli mi powiesz, kim jest W. E., natychmiast uwolnimy pana Polakowa; w przeciwnym razie będziemy go trzymać, póki nie nazwie nam wzmiankowanej osoby.

Spojrząwszy na kopertę, zaadresowaną ołówkiem tuszowym i na list, pisany ołówkiem zwykłym, przypomniałem sobie natychmiast wszystkie okoliczności, dotyczące się listu i koperty.

— Wiem niewątpliwie — rzekłem —, że koperta i list nie były znalezione razem. To pan położyłeś list do koperty.

Prokurator zaczerwienił się. «Czyż pan przekonasz mię — ciągnąłem dalej — że pan, człowiek praktyczny, nie spostrzegłeś, że list i koperta napisane są różnymi ołówkami? I teraz, chcesz pan we mnie wnówić, że stanowi to jedną całość. Nie, łaskawy panie, oświadczam panu, że list był adresowany nie do Polakowa.

Zakłopotanie prokuratora trwało jednak tylko kilka sekund, potem odzyskał pewność siebie i z poprzednią chełpliwością odparł:

«Polakow jednak przyznał się, że kartka pana piisaną była do niego».

Teraz wiedziałem, że prokurator kłamie. Polakow mógłby jeszcze wyznać wszystko, co się tyczyło jego

samego, ale raczej poszedłby na Sybir, niżeli zdradziłby kogo drugiego. Spojrzałem badawczo w oczy prokuratorowi i odpowiedziałem: «Nie, łaskawy panie, Polakow nigdy nie mówił panu nic podobnego. Pan sam wiesz doskonale, że pan kłamiesz».

Prokurator zły, że podstęp jego chybił, wpadł w wściekłość prawdziwą, a może tylko udawał. «Dobrze — odciął się — jeśli pan zaczeka tu chwil kilka, przyniosę panu piśmienne zeznanie pana Polakowa. Znajduje się on w sąsiednim pokoju».

— Z przyjemnością zaczekam, ile się panu podoba.

Siadłem na kanapie i zacząłem palić niezliczoną ilość papierosów. Zeznanie jednak nie ukazało się ani tego dnia, ani później i następnie przy każdym spotkaniu się z prokuratorem, drażniłem go pytaniem: «No, a gdzie jest zeznanie Polakowa?»

Samo się przez się rozumie, że żadne podobne zeznanie nie miało miejsca. Spotkałem się z Polakowym w Genewie, w 1878 r., z kądem odbyliśmy wspólnie bardzo miłą wycieczkę do lodowca Alletsch. Nie ma co mówić, że Polakow odpowiedział tak właśnie, jak oczekiwałem. Powiedział, że absolutnie nic a nic nie wie ani o liście, ani o osobie, wspomnianej pod literami W. E. Wymienialiśmy wzajemnie między sobą dziesiątki książek; kartkę znaleziono w jednej z nich. Co się zaś tyczy koperty, to wyciągnęli ją z kieszeni staro-palta. Polakowa trzymano w zamknięciu kilka tygodni, potem wypuszczono go, dzięki staraniom jegouczonych przyjaciół. Policya nie dowiedziała się nigdy, kim była osoba W. E. Wręczyła ona w swoim czasie, komu się należało, moje papiery.

Nie odprowadzono mię z powrotem do celi, ale po niejakiem czasie powrócił prokurator w towarzystwie oficera żandarmskiego.

— Badanie pańskie skończone na teraz, powiedział mi ten ostatni. Zostanie pan przeniesionym gdzieindziej.

U bramy stał powóz. Kazano mi zająć w nim miejsce, a obok mnie siadł barczysty oficer żandarmski, Kaukazczyk rodem. Przemówiłem doń, ale sapał tylko. Powóz przejechał most Łańcuchowy, Marsowe Pole, a potem potoczył się wzdłuż kanałów, jak gdyby unikając najludniejszych ulic.

— Jedziemy do Litewskiego Zamku?, zapytałem oficera, ponieważ wiedziałem, że wielu towarzyszy jest tam uwięzionych. Oficer nie odpowiedział. Od chwili, gdy siadłem do powozu, rozpoczął się system absolutnego milczenia w stosunku do mnie, który zastosowywał się całych dwa lata. Ale gdy powóz wjechał na Most Pałacowy, zrozumiałem, że mię wiozą do Petropawłowskiej twierdzy.

Napawałem się widokiem pięknej rzeki, wiedząc, że nie prędko zobaczę ją znowu. Słońce miało się ku zachodowi. Ciężkie, szare chmury zwisły na zachodzie, nad zatoką Fińską; wprost po nad głową płynęły białe obłoki, przerywając się chwilami i odsłaniając skrawki błękitnego nieba. Powóz skręcił na lewo. Wjechaliśmy w ponure sklepienie, w bramę twierdzy.

— No, teraz potrzymają mię tu ze dwa lata, — powiedziałem oficerowi.

— Nie, dla czegoż tak długo, odrzekł Kaukazczyk, odzyskawszy, gdyśmy się dostali do twierdzy, dar słowa. Sprawa pańska prawie skończona i za jakie dwa tygodnie odesłana zostanie do sądu.

— Sprawa moja bardzo prosta, powiedziałem; ale nim oddacie mię sądowi, zechcecie poaresztować wszystkich socyalistów w Rosyi, a ich jest wiele, bardzo wiele i za dwa lata wszystkich nie wyłapiecie. Sam nie wiedziałem wtedy, jak proroczą była ta przepowiednia.

Powóz zatrzymał się przed gankiem mieszkania komendanta. Weszliśmy do poczekalni. Wyszedł ku nam generał Korsakow, starzec wysokiego wzrostu, zgderliwym wyrazem twarzy. Oficer żandarmski szepnął mu coś do ucha i starzec odpowiedział: «dobrze», zmierzyszy go prawie pogardliwym spojrzeniem; potem zwrócił się do mnie. Widać było, że komendant nie był wcale rad nowemu lokatorowi i trochę wstydził się swych obowiązków; ale wzrok jego zdawał się mówić: «żołnierz jestem i wypełniam tylko obowiązek». Znowu wsiedliśmy do powozu, ale wkrótce zatrzymaliśmy się u drugiej bramy; tu zatrzymano nas czas jakiś, póki żołnierze nie otworzyli jej z wewnątrz. Różnymi długimi, wązkimi przejściami doszliśmy na koniec do trzeciej żelaznej bramy; prowadziła ona do ciemnego sklepienia, z kąd dostaliśmy się do niewielkiego pokoju, gdzie ciemność i wilgoć ogarnęły mię odrazu.

Kilku podoficerów straży fortecznej wbiegło cicho w swych wojłokowych butach, nie mówiąc ani słowa, a tymczasem dozorca wydawał oficerowi kaukazkiemu pokwitowanie z przyjęcia więźnia. Kazali mi całkiem rozebrać się i włożyć ubranie aresztanckie: zielony, flanelowy szlafrok, niezmierzonej objętości, wełniane pończochy, niebywale grube i żółte pantofle, tak wielkie, że ledwie trzymały się na nogach, gdy spróbowałem przejść się w nich parę kroków. Zawsze znieść nie mogłem szlafroka i pantofli. Grube pończochy przejmowały mię wstrętem. Kazano mi nawet zdjąć jedwabny kaftanik, który właśnie bardzo przydałby się w wilgotnej twierdzy. Zaprotestowałem naturalnie głośno, i w godzinę potem oddano mi go z rozporządzenia generała Korsakowa.

Potem poprowadzono mię ciemnym korytarzem,

po którym przechadzała się straż i wprowadzono do osobnej celi. Zatrzasnęły się ciężkie dębowe drzwi, zgrzytnął klucz w zamku i znalazłem się sam jeden w na wpół ciemnym pokoju.

KONIEC CZĘŚCI CZWARTEJ.

CZEŚĆ PIĄTA.

TWIERDZA. UCIECZKA.

I.

Tak więc byłem w Petropawłowskiej twierdzy, gdzie w ciągu ostatnich dwóch wieków ginęły najlepsze siły Rosyi. Sama nazwa jej wymawia się w Petersburgu pół-szeptem.

Tu Piotr I badał wśród okropnych tortur swego syna, Aleksego i zabił go własną ręką. Tu, w kazamacie, która została zalaną wodą w czasie powodzi, zamkniętą była księżniczka Tarakanowa. Szczury, chroniąc się przed potopem, wskakiwały na jej suknie. Tu straszny Münich torturował swych przeciwników, a Katarzyna II żywcem pogrzebała tych, którzy oburzali się na morderstwo jej męża. I od czasów Piotra I, w ciągu stu siedemdziesięciu lat, — kroniki tego kamiennego gmachu, podnoszącego się z brzegów Newy naprzeciw Zimowego pałacu, — mówią tylko o morderstwach, torturach, o żywcem pogrzebanych, skazanych na powolną śmierć, albo o doprowadzo-

nych do obłąkania ofiarach w samotnych, ciemnych, wilgotnych kazamatach.

Tu przecierpieli początkowe stadyum swego męczeńskiego życia Dekabryści, którzy pierwsi wzniesli u nas sztandar republikański i wydali hasło zniesienia poddaństwa. Ślady ich dziś jeszcze odnaleźć można w tej rosyjskiej Bastylii. Tu byli uwięzieni Rylejew, Szewczenko, Dostojewski, Bakunin, Czernyszewski, Pisarew i wielu innych najlepszych naszych pisarzy. Tu torturowano i powieszono Karakozowa.

Tu, gdzieś w Aleksiejewskim Rawelinie, siedział jeszcze Nieczajew, wydany przez Szwajcaryę, jako zbrodniarz kryminalny, ale z którym obchodzono się jak z niebezpiecznym politycznym przestępcą. Nie miał on już nigdy odzyskać wolności. W tym samym rawelinie, jak wieść głosiła, siedziało kilku ludzi, uwięzionych na całe życie z rozkazu Aleksandra II za to, że znali tajemnice dworskie, o których postronni nie powinni byli wiedzieć. Jednego z nich, starca z długą brodą, widział w tajemniczej twierdzy jeden z moich znajomych.

Wszystkie te cienie stawały teraz w mojej wyobraźni; ale myśli moje zatrzymywały się głównie na Bakuninie, który, przesiedziawszy dwa lata w łańcuchach, przykuty do muru, w twierdzy austriackiej po 1848 r., a potem wydany rządowi rosyjskiemu, jeszcze sześć lat w Aleksiejewskim Rawelinie, — wyszedł jednakże z więzienia po śmierci żelaznego despoty, silniejszym i energiczniejszym, niż wielu jego towarzyszy, którzy cały ten czas przebyli na wolności, «On wytrzymał to wszystko, — mówiłem sam do siebie, — więc i ja nie poddam się więzieniu».

Pierwszym moim ruchem było podejść do okna. Było ono wyrżnięte w kształcie szerokiego, niskiego otworu w ścianie, mającej ze dwa arszyny grubości —

i tak wysoko, że ledwo sięgałem doń ręką. Było ujęte w dwie żelazne ramy z szybami i oprócz tego opatrzone kratą. W odległości pięciu sążni za oknem, widziałem przed sobą zewnętrzny mur forteczny, niezwykłej grubości; widać było w nim szarą budkę strażniczą. Tylko patrząc wysoko w górę, mogłem spostrzedz skrawek nieba.

Starannie obejrzałem celę, w której miałem, być może, przepędzić kilka lat. Z położenia wysokiego komina domu menniczego domyślałem się, że pokój mój znajduje się w południowo-zachodnim rogu twierdzy, w bastyonie, wychodzącym na Newę. Budynek, w którym siedziałem, był to jednak nie bastyon, a to, co w fortyfikacyi nazywa się réduit, t. j. wewnętrzny, pięciokątny, dwupiętrowy, kamienny budynek, wznoszący się trochę po nad murami bastyonu i zawierająca dwa rzędy armat. Pokój mój był kazamatą, której pierwotnem przeznaczeniem było mieścić w sobie dużą armatę, okno zaś stanowiło jej strzelnicę. Promienie słoneczne nigdy tu nie przenikały. Nawet latem nie mogły one przebić grubych ścian. Umeblowanie składało się z żelaznego łóżka, dębowego stolika i takiegoż taboretu. Podłoga była pokrytą grubo pomalowanym pilśniowym wołłokiem, a ściany wyklejone żółtymi tapetami. W celu stłumienia wszelkich dźwięków tapety nie były naklejone bezpośrednio na ścianę, ale na płótno, pod którem zauważyłem drucianą siatkę, a po za nią warstwę pilśni. Dopiero pod nią udało mi się namacać kamień. Przy wewnętrznej ścianie stała umywalnia. W grubych, dębowych drzwiach wyrżnięty był kwadratowy, zamykający się otwór, przez który podawano jedzenie i podłużne t. zw. «oko» z szybką, zakrytą ze strony zewnętrznej małą blaszką. Przez to «oko» strażnik, stojący w korytarzu, mógł widzieć w każdej chwili, co robi więzień. W sa-

mej rzeczy, podnosił on często blaszkę «oka», przy-
czem buty jego skrzypiały nieznośnie, gdy z niedźwie-
dzą zręcznością skradał się do moich drzwi. Próbo-
wałem zawiązać z nim rozmowę, — ale wtedy oko,
które widziałem przez szkiełko, odwracało się z wy-
razem pełnym przerażenia i blaszka natychmiast opa-
dała. Po upływie paru minut słyszałem znowu skrzyp
butów, ale nie zdołałem nigdy doprosić się ani je-
dnego słowa z ust strażnika. W około panowała głę-
boka cisza. Przysunąłem ławkę do okna i zacząłem
patrzeć na skrawek nieba. Darmo starałem się po-
chwycić jakikolwiek dźwięk od Newy, albo z miasta
na przeciwległym brzegu. Ta martwa cisza zaczęła
mnie dławić. Spróbowałem śpiewać, zrazu cicho, potem
coraz głośniejsze i głośniejsze. «Czyliż w samym kwiecie
lat, mam rzec miłości: «żegnaj na wieki», śpiewałem
z «Rusłana i Ludmiły».

— Panie, proszę nie śpiewać! rozległ się niski bas
za drzwiami.

— Chcę śpiewać i będę.

— Nie, nie wolno, basował żołnierz.

— Ale ja mimo to będę.

Wtedy przyszedł nadzorca i zaczął dowodzić mi,
że nie powinienem śpiewać, ponieważ on będzie mu-
siał zawiadomić o tem komendanta twierdzy i tak
dalej.

— Ależ zaschnie mi w gardle i płuca nie będą mo-
gły działać, jeśli nie będę ani mówić, ani śpiewać, —
próbowałem przekonywać go.

— No, to śpiewaj pan półgłosem, dla siebie, prosił
stary dozorca.

Lecz prośba była zbytęzną. Po kilku dniach stra-
ciłem ochotę do śpiewu, próbowałem wprawdzie śpie-
wać dalej dla zasady; ale na nic się to nie zdało.

— Główna rzecz — myślałem -- w tem, żeby zacho-

wać fizyczne siły. Nie chcę zachorować. Trzeba sobie wyobrazić, że muszę spędzić kilka lat na północy, w małej chatce wśród lodu, w czasie podróży biegunowej. Będę używał wiele ruchu, gimnastyki, — nie należy poddawać się zniechęceniu. Dziesięć kroków z kąta, w kąt celi, to już nieźle. Jeżeli przejść tak półtora raza, będzie wiorsta». I postanowiłem robić codziennie siedem wiorstw: dwie wiorsty rano, dwie przed obiadem, dwie po obiedzie i jedną przed udaniem się na spoczynek. «Jeśli położę na stole dziesięć papierosów i będę odsuwał jeden, przechodząc koło stołu, — myślałem, — to łatwo policzę te trzysta razy, które powinienem przejść naprzód i w tył. Chodzić należy prędko, ale zwracać w rogu powoli, żeby się nie zakręciła głowa i za każdym razem w inną stronę. Potem — dwa razy na dzień będę się gimnastykował moim ciężkim taboretem». Podejmywałem go za nogę i trzymałem w wyciągniętej ręce, potem kręciłem nim w kółko i wkrótce nauczyłem się przerzucać go z jednej ręki do drugiej, przez głowę, za plecy i pomiędzy nogami.

W kilka godzin po przybyciu mojem do twierdzy, zjawił się dozorca i przyniósł mi trochę książek do czytania. Niektóre z nich były mi znane, jak «Fizjologia Życia Codziennego» Lewes'a; ale drugi tom, który szczególnie życzyłem sobie przeczytać po raz drugi, gdzieś się zagubił. Poprosiłem, naturalnie, o przybory piśmienne, ale odmówiono mi stanowczo. Pióra i atrament otrzymuje się w twierdzy tylko za specjalnem pozwoleniem cesarza. Ta przymusowa bezczynność męczyła mię bardzo i zacząłem układać w pamięci szereg powieści dla ludu na temata, zapożyczone z historii rosyjskiej, coś w rodzaju «Mystères du Peuple», Engeniusza Sue. Pomysł do tego zaczerpnąłem ze «Szkiców z Historii Niewolnictwa», które

przeczytałem w jednej ze starych książek «Dziela» (miesięcznik rosyjski). Wymyślałem intrygę powieści, opisy, dyalogi i starałem się zapamiętać wszystko, oć początku do końca. Łatwo sobie wyobrazić, jak znużyłaby i osłabiła mózg podobna praca, gdybym oddawał się jej dłużej, niż dwa czy trzy miesiące.

Brat mój Aleksander, wystarał się jednâkże dla mnie o pozwolenie posiadania przyborów piśmieniowych. Pewnego razu poproszono mię znowu do powozu, gdzie znalazłem się znów obok starego znajomego, niemego żandarma — Kaukazczyka i zawieziono mię do Trzeciego Wydziału. Dano mi tam widzenie z bratem, w obecności dwóch żandarmskich oficerów.

W chwili, gdy mię aresztowano, Aleksander był w Zurychu. Od młodości marzył on zawsze o wyjeździe za granicę, gdzie ludzie mogą myśleć, jak chcą, czytać, co chcą i mogą otwarcie wypowiadać swe myśli. Życia rosyjskiego nienawdził. Głównym rysem jego charakteru była głęboka szczerôść i prawôść. Nie znosił oszukaństwa w jakiejbądź formie. Brak wolności słowa w Rosyi, gotowość rosyjska poddawać się zawsze ulegle wszelkiemu despotyzmowi, «ezopowski język», do którego uciekają się pisarze rosyjscy, — wszystko to było w najwyższym stopniu przeciwne jego otwartej naturze. Wkrótce po moim powrocie z zagranicy, Aleksander wyjechał do Szwajcaryi, gdzie zamierzał osiedlić się. Zwłaszcza od czasu, gdy stracił dwoje dzieci — jedno umarło w kilka godzin na cholere, drugie na suchoty, — Petersburg stał mu się podwójnie nienawistnym.

Brat mój nie przyjmował żadnego udziału w naszej agitacyjnej robocie. Nie przypuszczał on możliwości powstania ludowego, a rewolucyę pojmował jako działalność posłów, wybranych przez naród, w rodzaju na przykład Zgromadzenia Narodowego 1789 r. Co

się zaś tyczy agitacji socyalistycznej, uznawał ją tylko na jawnych mityngach, z trybun publicznych, a nie tajną, męczącą, osobistą propagandę, jaką my zajmowaliśmy się. W Anglii byłby Aleksander stronnikiem John'a Bright'a, albo Chartystów. Jeśliby mieszkał w Paryżu w czasie powstania czerwcowego 1848 r., biłby się napewno z ostatnią garstką robotników na ostatniej barykadzie. Ale w okresie przygotowawczym, znalazłby się raczej w obozie Ludwika Blanc albo Ledru-Rolin'a.

W Szwajcaryi zamieszkał w Zurychu. Sympatye jego skłaniały się ku lewemu skrzydłu Międzynarodówki. Z przekonań swoich był socyalistą i zgodnie z temi przekonaniem prowadził nadzwyczaj umiarkowane życie. Pracował nad wielkiem uczonem dziełem, które stanowiło główny cel jego życia i miało być dopełnieniem znakomitej pracy Holbacha «*Système de la Nature*». Aleksander zaprzyjaźnił się niebawem bardzo serdecznie z P. L. Ławrowym, który — zarówno jak on — był wielbicielem filozofii Kanta.

Na wieść o mojem uwięzieniu, Aleksander rzucił wszystko: pracę całego życia, swobodę, która była dlań tak niezbędną, jak dla ptaka powietrze i wrócił do nienawistnego sobie Petersburga — jedynie żeby mi pośpieszyć z pomocą w nieszczęściu.

Byliśmy obaj silnie wzruszeni tem widzeniem. Brat mój był strasznie wzburzony. Sam widok błękitnych mudurów — tych katów wszelkiej niezawisłej myśli w Rosyi — był mu wstrętny i nie krępował się w wyrażaniu swych uczuć w ich obecności. We mnie zaś pobyt Aleksandra w Petersburgu budził najsmutniejsze przecucia. Byłem szczęśliwy, że mogłem znowu ujrzeć jego szlachetną twarz, jego oczy, pełne miłości; ucieszyłem się niewymownie, dowiedziawszy się, że będziemy widywać się co miesiąc. A jednak, — chciał-

bym, żeby tysiące wiorstw oddzielały go od tego zandarmskiego legowiska, dokąd przyszedł dzisiaj z własnej woli, ale dokąd niezawodnie przywiozą go kiedyś, pod strażą.

-- Po co ty tutaj? Uciekaj natychmiast! krzycało doń moje wewnętrzne ja. I równocześnie wiedziałem, że on nie odjedzie, póki ja będę w więzieniu.

Lepiej, niż kto inny, rozumiał on, że beczynność mię zabije; poczynił więc niezwłoczne starania, aby mi pozwolono prowadzić w dalszym ciągu rozpoczęte prace naukowe. Towarzystwo Geograficzne życzyło sobie, żebym skończył moją książkę o okresie lodowym. Brat poruszył cały naukowy Petersburg w tym celu. Akademia Nauk była też zainteresowaną w tej pracy. Nakoniec — w dwa czy trzy miesiące po mojem uwięzieniu, wszedł do mojej celi zawiadowca i oznajmił, że car pozwolił mi skończyć referat dla Towarzystwa Geograficznego i wskutek tego wydadzą mi przybory piśmienne. «Ale tylko do zachodu słońca», dodał. Słońce zimą w Petersburgu zachodzi o trzeciej godzinie po południu. Nie było jednak na to rady. «Do zachodu», powiedział Aleksander II, dając swe zezwolenie.

II.

Wolno mi było więc znowu pracować.

Trudno byłoby wyrazić, jaką ulgę uczułem, gdy mogłem znowu pisać. Zgodziłbym się żyć o chlebie i wodzie, w najwilgotniejszej piwnicy, byle mi tylko pozwolono pracować.

Byłem jedynym więźniem w twierdzy, któremu pozwolono posiadać przybory piśmienne. Niektórzy z moich towarzyszy, którzy spędzili w więzieniu trzy

lata — i więcej, do słynnego procesu «stu dziewięćdziesięciu trzech», mieli tylko tabliczki łupkowe. Ma się rozumieć, w strasznej samotności twierdzy byli oni radzi i tabliczce, i zapisywali ją słowami obcego języka, którego się uczyli z nudów, albo matematycznymi formułami. Ale — jak pisać, wiedząc, że wszystko zostanie startem za kilka godzin.

Moje życie więzienne zaczęło teraz płynąć więcej prawidłowo. Mogłem wypełnić czemś życie. Około dziewiątej godziny rano kończyłem moje pierwsze dwie wiorstwy i czekałem, aż mi przyniosą ołówki i pióra. Praca, którą przygotowywałem dla Towarzystwa Geograficznego, zawierała — oprócz sprawozdania z poszukiwań moich naukowych w Finlandyi, krytykę zasad hipotezy o lodowcach. Wiedząc teraz, że mam dużo czasu przed sobą, postanowiłem na nowo napisać i rozszerzyć tę część. Akademia Nauk oddała do mego rozporządzenia swoją olbrzymią bibliotekę. Wkrótce cały kąt mojej celi zapełnił się książkami i mapami, między innymi były tu zupełne wydanie szwedzkich geologicznych kart geograficznych, prawie całkowita kolekcya sprawozdań ze wszystkich ekspedycyi polarnych i również całkowite wydanie «Quarterly Journal» Londyńskiego Towarzystwa Geograficznego. Książka moja urosła w twierdzy do objętości dwóch tomów. Pierwszy został wydany za staraniem brata i przyjaciela mego, Polakowa (w Zapiskach Towarzystwa Geograficznego), drugi zaś, nie całkiem ukończony, pozostał po mojej ucieczce w Trzecim Wydziale. Rękopis znaleziono dopiero w 1895 r. i oddano Rosyjskiemu Towarzystwu Geograficznemu, które odeślało mi go do Londynu. W lecie o piątej godzinie wieczorem, a zimą o trzeciej, skoro tylko wniesiono maleńką lampkę, zabierano mi pióra i ołówki i musiałem przerywać pracę. Wtedy zajmowałem się czy-

taniem, głównie dzieł historycznych. Szereg pokoleń więźni politycznych zostawił po sobie w twierdzy Petropawłowskiej całą bibliotekę i mnie też pozwolono wzbogacić ją kilku ważnemi dziełami z historii rosyjskiej. Oprócz tego krewni przysyłali mi dużo książek. Tym sposobem mogłem zaznajomić się prawie ze wszystkimi książkami i zbiorami dokumentów, tyczącymi się moskiewskiego okresu historii rosyjskiej. Z rozkoszą czytałem nietylko kroniki, zwłaszcza znakomitą drugą pskowską kronikę, pełną ciekawych szczegółów o życiu społecznem demokratycznej, średniowiecznej rzeczpospolitej ruskiej (według wszelkiego prawdopodobieństwa — jest to najlepsza kronika w Europie o historii średniowiecznych miast); ale odczytywałem jeszcze wiele najbardziej suchych dokumentów i nawet «Żywoty Świętych», gdzie przypadkowo trafiają się szczegóły z życia mas, których nie można znaleźć w innych źródłach. Przeczytałem także wielką ilość romansów i nawet wyprawilem sobie rodzaj święta w wilię Bożego Narodzenia. Krewni moi przysłali mi wtedy wigilijne opowiadania Dickensa. I całe święta śmiałem się i płakałem na przemian, czytając te prześliczne utwory wielkiego powieściopisarza.

III.

Najbardziej męczącym było grobowe milczenie, panujące wokoło. Daremnie pukałem do ścian, tupałem nogą o podłogę i przysłuchiwałem się, czy nie rozlegnie się w odpowiedzi choć ciche pukanie; nic nie było słychać. Minał miesiąc, potem dwa, trzy, potem rok, — odpowiedzi na moje pukanie nie usłyszałem: w trzydziestu sześciu celach było nas tylko sześciu

ludzi i dźwięki nie dochodziły od jednego do drugiego. Reszta towarzyszy siedziała w Litewskim Zamku. Gdy zapytywałem podoficera, wchodzącego do mnie, aby mię wyprowadzić na spacer: «jaka pogoda? — deszcz nie pada?» — rzucał mi spojrzenie z ukosa i krył się za drzwiami, gdzie śledził go drugi podoficer. Jediną istotą żywą, od której mogłem usłyszeć czasem kilka słów, był dozorca, który wchodził każdego rana do mojej celi, z zapytaniem, czy nie potrzebuję tytoniu lub papieru. Próbowałem zawiązać z nim rozmowę; ale dozorca oglądał się tylko podejrzliwie na podoficera, stojącego w pół-otwartych drzwiach. Twarz jego zdawała się mówić niejako: «pan widzi, mnie także śledzą». Tylko jedne gołębie nie bały się mnie. Co rana i po obiedzie zlatywały się do mego okna i chwytaly pokarm, który rzucałem im przez kratę.

Żadne dźwięki nie dochodziły mnie, oprócz skrzypiących kroków straży, ledwie dosłyszalnego szelestu w «oku» i bicia zegarów grających na dzwonnicy katedralnej cerkwi. Co kwadrans wygrywają one: «Panie, zmiłuj się», — raz, dwa, trzy, cztery razy. Potem wielki dzwon wydzwania przeciągle, z długimi przerwami po każdym uderzeniu, godziny. I wtedy zaczyna się żałobna muzyka zegarów, które z każdą nagłą zmianą pogody rozstrajają się i z hymnu «Jak sławny», powstaje przeraźliwa kakofonia, przypominająca dzwony pogrzebowe. Wśród głuchoj nocy, po «Jak sławny», zegary grają jeszcze «Boże, cesarza chroń». Trwa to prawie cały kwadrans i ledwie się skończy, nowe «Boże, zmiłuj się» ogłasza nie mogącemu usnąć więźniowi, że upłynął znowu kwadrans jego bezużytecznego życia i że nie jeden jeszcze podobny kwadrans, półgodziny i dzień i miesiąc wegetacyjnego istnienia minie, póki go nie oswobodzą dozorca więzienni, albo śmierć.

Każdego rana wyprowadzano mię na spacer półgodzinny na podwórze więzienia, w kształcie niewielkiego pięciokąta z wązkim chodnikiem wzdłuż murów i łazienką pośrodku; ale lubilem ten spacer. Tak chciwie pożąda się nowych wrażeń w więzieniu, że na przechadzce nie spuszczałem zwykle oczu ze złotego ostrza wieży katedry fortecznej. Ze wszystkiego, co mię otaczało, tylko ta igła mieniła się i lubilem obserwować te zmiany. To błyszczała ona, jak czyste złoto w jasny dzień; to przyjmowała — na tle błękitnego nieba — fantastyczny wygląd, gdy lekki niebieski opar mgły zwieszał się nad miastem; to wydawała się jakby odlaną z szarej stali w dzień pochmurny.

W czasie tych przechadzek widziałem czasem córkę dozorca, dziewczę lat osiemnastu czy dziewiętnastu. Kiedy wychodziła z mieszkania ojca, musiała przejść kilka kroków po podwórzu więziennem, aby dostać się do bramy, stanowiącej jedyne wyjście. Szła zawsze śpiesznie, spuściwszy oczy, jak gdyby wstydziła się, że jest córką dozorca więzienia. Przeciwnie, młodszy brat jej, kadet, którego spotkałem parę razy w podwórzu, zawsze patrzył mi wprost w oczy, z takim wyrazem sympatyj i współczucia, że mię to uderzyło i wspomniałem o tem komuś po ucieczce. W cztery czy pięć lat potem, gdy chłopak był już oficerem, aresztowano go i zesłano do Syberyi wschodniej, do Tunki. Wstąpił on do partji Narodnej Woli i zdaje się, że ułatwiał korespondencyę między rewolucjonistami, pozostającymi na wolności, a zamkniętymi w twierdzy.

Zima petersburska ciemną jest dla tych, którzy nie mogą wyjść na rzęsiście oświetlone ulice. W kazamacie, naturalnie, jest ona podwójnie ponurą. Ale wilgoć dawała się jeszcze więcej we znaki, niż

ciemność. Kazamaty są tak wilgotne, że trzeba je było bardzo silnie opalać, aby choć nieco osuszyć. Dusilem się prawie z gorąca. Ale gdy doprosiłem się na koniec, żeby trochę mniej palono, ściany potniały od wilgoci. Tapety zaczęły tak wyglądać, jakby je codzień oblewano wiadrzem wody. I w ostatecznym wyniku nabawiłem się silnego reumatyzmu.

Mimo to wszystko nie upadałem na duchu, pisałem i rysowałem mapy w pół-zmroku, temperując ołówki kawałkiem szkła, znalezionym na podwórzu. Nieodmiennie robiłem codzień moje siedem wiorst z kąta w kąt i wykonywałem ćwiczenia gimnastyczne moim dębowym taboretom. Czas płynął. Ale oto wtargnęło do mojej kazamaty nieszczęście, które mię prawie złamało. Brata mego, Aleksandra, aresztowano.

W końcu grudnia 1874 r., dali mi w twierdzy — w obecności dwóch żandarmów — widzenie z bratem i siostrą Heleną. Widzenia, dawane z długimi przerwami, wprawiają zawsze więźniów i krewnych ich w stan silnego rozdrażnienia. Aresztowany widzi drogie sobie twarze, słyszy miłe głosy i wie, że wszystko to zniknie za kilka minut. Czuje się on tak blizkim i równocześnie tak dalekim od nich, albowiem żadna szcera i serdeczniejsza rozmowa nie może mieć miejsca w obecności obcego człowieka, wroga i szpiega. W dodatku brat i siostra niepokoiłi się mocno mojem zdrowiem, na które ciemne, ponure dni zimowe i wilgoć zaczynały już wywierać swój wpływ. Rozstaliśmy się z ciężkiem sercem.

W tydzień po tem widzeniu się, zamiast spodziewanego listu od brata z zawiadomieniem o druku mojej książki, otrzymałem króciutką kartkę od Polakowa. Donosił mi, że odtąd korektę dzieła będzie robił on sam i dla tego powinienem zwracać się doń ze wszy-

stkiem, co się wydania książki mojej tyczyło. Zaraz zrozumiałem, że się z bratem stało coś złego. Jeżeliby zachorował, Polakow napisałby o tem. Nastąpiły teraz dla mnie ciężkie dni. Aleksandra napewno aresztowali — i to z mojej przyczyny. Życie straciło dla mnie wszelkie znaczenie. Przechadzki, gimnastyka, praca — zubożyły mi zupełnie. Cały dzień chodziłem bez celu po pokoju i nie mogłem myśleć o niczem innym, tylko o aresztowaniu brata. Dla mnie, człowieka samotnego, więzienie było tylko osobistą nieprzyjemnością; ale Aleksander był żonaty, namiętnie kochał żonę i miał syna, którym się nie mógł nacieszyć. Rodzice skupili na tym chłopcu całą swoją miłość, którą otaczali niegdyś dwoje pierwszych dzieci, zmarłych przed trzema laty.

Najgorszą była niepewność. Co mógł on zrobić? Za co aresztowali go? Na co go skazają? Upływały tygodnie. Mój niepokój wzrastał, ale wiadomości nie było żadnych. Nakoniec — drogą uboczną dowiedziałem się, że Aleksandra aresztowano za list do P. L. Ławrowa.

O szczegółach dowiedziałem się znacznie później. Po widzeniu się ze mną, Aleksander napisał do swego starego przyjaciela, Piotra Ławrowicza, który wydał w tym czasie w Londynie «Naprzód». W liście wyrażał swój niepokój o moje zdrowie, mówił o licznych aresztacjach i nie ukrywał swej nienawiści ku despotyzmowi rosyjskiemu. Trzeci Wydział przejął list na pocztę i polecił — akurat w samą wilię Bożego Narodzenia — odbyć rewizję u brata, co żandarmi wypełnili z większą nawet brutalnością, niż zwykle. Pół tuzina ludzi wdarło się po północy do jego mieszkania i przewrócili wszystko do góry nogami. Oglądali i macali ściany i nawet chore dziecko wyjęli z łóżeczka, aby przetrząsnąć bieliznę i materac. Nie zna-

leżli nic i nie było nic do znalezienia. Mój brat był mocno oburzony tą rewizją. Ze zwykłą sobie otwartością oświadczył on żandarmskiemu oficerowi, kierującemu nią: «Do pana, kapitanie, nie mogę mieć żadnej urazy; pan otrzymałeś tak liche wykształcenie, że zaledwie wiesz, co czynisz. Ale pan, łaskawy panie, — zwrócił się do prokuratora, — pan wiesz, jaką rolę pan w tem odgrywasz. Pan otrzymałeś uniwersyteckie wykształcenie. Pan znasz prawo i pan wiesz, że pan sam depcesz prawo, jakiegokolwiek ono jest i pokrywasz swoją obecnością bezprawie tych oto ludzi. Pan, łaskawy panie, pan jesteś poprostu nędznikiem!»

Znienawidzili za to brata i trzymali go w Trzecim Wydziale do maja. Dziecię Aleksandra, prześliczny chłopczyk, jeszcze bardziej wydelikacowany i nad wiek rozwinięty przez chorobę, umierał z suchot... Doktorowie orzekli, że pozostaje mu tylko kilka dni do życia. Brat mój, który nigdy nie prosił wrogów o żadną łaskę, błagał, aby mu pozwolono zobaczyć ostatni raz dziecko. Prosił, by go puszczono na pół godziny do domu — pod słowem honoru, albo pod strażą. Nie pozwolono. Żandarmi nie mogli odmówić sobie tej zemsty.

Dziecko umarło. Matka o mało co nie padła także ofiarą nerwowego ataku. Około tego czasu oświadczone bratu, że go zeszlą do Minusińska: powiozą go tam w kibitce z dwoma żandarmami, co się zaś tyczy żony, może ona udać się za nim potem, ale nie wolno jej towarzyszyć mu teraz.

— Powiedźcież mi nakoniec, jakie jest moje przestępstwo? żądał brat.

Ale żadnych poszlak winy, oprócz listu do Ławrowa, nie było przeciw Aleksandrowi. Zesłanie wydawało się wszystkim takim gwałtem, było ono tak wi-

docznie aktem osobistej zemsty ze strony Trzeciego Wydziału, że nikt z naszych krewnych nie przypuszczał, żeby mogło ono trwać dłużej, niż kilka miesięcy. Brat zaniósł skargę do ministra spraw wewnętrznych. Ten ostatni odpowiedział, że nie może wchodzić w rozporządzenie szefa żandarmów. Zanie-siono drugą skargę do senatu, także bez skutku.

W dwa lata potem siostra nasza Helena z własnej inicjatywy podała prośbę carowi. Mój cioteczny brat, Dymitr, generał-gubernator Charkowski i fligeladju-tant Aleksandra II, wielki faworyt cesarskiego dworu, wręczył osobiście prośbę, dodawszy kilka słów od siebie. Był on głęboko oburzony postępowaniem Trze-ciego Wydziału. Ale mściwość stanowi rodzinną ce-chę Romanowych, a w Aleksandrze II była ona roz-winiętą w wysokim stopniu. Na prośbie car napisał: «niech posiedzi!» Brat przebył na Sybirze dwanaście lat i nigdy już nie wrócił do Rosyi.

IV.

Niezliczone areszty, które zaszły w 1874 r. i po-ważne znaczenie, jakie policya przypisywała zamiarom naszego kółka, — spowodowały głęboką zmianę w za-patrywaniach młodzieży rosyjskiej. Dotąd głównem jej zadaniem było wybierać z pomiędzy robotników, a czasem i z pomiędzy chłopów, oddzielne jednostki i urabiać je na agitatorów socjalistycznych. Ale teraz fabryki były zalane szpiegami i było widocznem, że w każdym razie — i propagatorów i robotników prędko wyłapią i zaprzepaszczą w Sybirze. Wtedy wielki ruch ludowy przyjął inny charakter. Setki młodzieży, po-gardzając wszelkimi ostrożnościami, zachowywanemi dotąd, podążyły na prowincję. Wędrując po miastach

i wsiach, podburzali oni lud do buntu i prawie jawnie rozrzucali rewolucyjne broszury, pieśni i proklamacje. W kółkach naszych nazwano ten okres czasu «szalonym latem».

Żandarmi stracili głowę. Brakowało rąk do chwytania i oczu do wysłedzenia rewolucjonisty w jego wędrówce od gubernii do gubernii. Mimo to około 1500 ludzi aresztowano w czasie tej olbrzymiej oblawy i połowę przetrzymano po więzieniach kilka lat.

Pewnego razu latem 1875 r. wyraźnie usłyszałem w sąsiednim pokoju stuk obcasów i w kilka minut potem udało mi się uchwycić urywki rozmowy. Słysząc było kobiecy głos z celi, a w odpowiedzi mruczał gruby bas, zapewne strażnika. Potem usłyszałem odgłos ostróg pułkownika, pośpieszne jego kroki, wymyślanie strażnikowi i zgrzyt klucza w zamku. Pułkownik coś mówił.

— Wcale nie rozmawialiśmy — rozległ się w odpowiedzi żeński głos. Prosiłam tylko, żeby zawołano podoficera. Drzwi znowu zamknęły się i słyszałem, jak pułkownik szeptem beszał strażnika.

Tak więc, byłem już nie sam. Miałem sąsiadkę, która odrazu przelamała ostrą dyscyplinę, krępującą dotąd żołnierzy. Od tego dnia, mury forteczne, nieme w ciągu całych piętnastu miesięcy, nagle ożyły. Ze wszystkich stron słyszałem stukanie nogą w podłogę: jeden, dwa, trzy, cztery., jednaście uderzeń. dwadzieścia cztery uderzeń, piętnaście. Potem pauza, — po niej trzy stuknięcia i długi szereg trzydziestu pięciu stuknięć. W tym samym porządku pukania powtarzały się nieskończoną ilość razy, póki się sąsiad nie domyślił, że oznaczają one pytania: «kto wy?» Tym sposobem «rozmowa» wkrótce się zawiązywała i prowadziła potem wedle skróconego alfabetu, wymyślonego jeszcze przez dekabrystę, Bestużewa. Alfabet dzieli się na sześć

rzędów, po pięć liter w każdym. Każdą literę odznacza się, pukając liczbę jej szeregu i miejsca, które w nim zajmuje.

Z wielkiem zadowoleniem dowiedziałem się, że po lewej stronie siedział mój przyjaciel, Serdiukow, z którym wkrótce mogliśmy porozumiewać się we wszystkim, zwłaszcza posługując się cyframi. Jednakże rozmowy z towarzyszami więzienia mają nietylko swoje radości, ale i swoje gorycze. Podemną siedział chłop, znajomy Serdiukowa, z którym ten ostatni pukał. Mimo woli, często w czasie pracy, przysłuchiwałem się ich rozmowie. Pukałem z nim także. Ale jeżeli samotne więzienie, bez żadnego zajęcia, ciężkiem jest dla ludzi inteligentnych, to o ileż nieznośniejszem jest ono dla chłopca, przyzwyczajonego do pracy fizycznej, który wprost nie potrafi czytać cały dzień bez przerwy. Nasz przyjaciel, chłop, czuł się bardzo nieszczęśliwym. Przywieziono go do twierdzy, gdy już wysiedział dwa lata w innem więzieniu i wskutek tego był on już bardzo rozstrojony. Przepięknie jego zasadała się na tem, że słuchał socjalistów. Ku wielkiemu przerażeniu memu spostrzegłem po jakimś czasie, że chłop zaczyna chwilami mówić od rzeczy. Stopniowo umysł jego zaczął się jeszcze więcej. I obaj z Serdiukowem mogliśmy uważać, jak krok za krokiem, dzień za dniem, pograżał się on powoli w szaleństwo, aż wreszcie rozmowa jego stała się zupełnie obłąkanem bredzeniem. Wtedy zaczęły się z dolnego piętra rozlegać dzikie krzyki i gwałtowny hałas. Nasz sąsiad zwaryował; ale mimo to, trzymano go jeszcze kilka miesięcy w twierdzy, nim go odwieziono do zakładu obłąkanych, z kąd już biedak nie wyszedł. Być przytomnym w takich warunkach — powolnemu rozkładowi umysłu ludzkiego, — straszną jest rzeczą. Przekonany jestem, że okoliczność ta wpłynęła zgubnie na rozwój rozdra-

źnienia nerwowego mego drogiego przyjaciela, Serdiukowa. Gdy — po czterech latach więzienia — sąd uniewinnił go i wrócono mu swobodę, — zastrzelił się.

Razu pewnego spotkała mię nieoczekiwana wizyta. Do celi mojej, tylko w towarzystwie adjutanta, wszedł brat Aleksandra II, W. Książę Mikołaj Mikołajewicz, oglądający twierdzę. Drzwi zatrzasnęły się za nim. Zbliżył się szybko do mnie, mówiąc: «Jak się masz, Krapotkin?» Znał mię osobiście i mówił życzliwym, poufałym tonem, jak do starego znajomego.

— Jak można, Krapotkin, żebyś ty, kamer-paź i dawny sierżant, był wplątany w takie sprawy i siedział teraz w tej strasznej kazamacie?

— Każdy ma swoje przekonania, odparłem.

— Przekonania? Więc twojem przekonaniem jest, że trzeba knuć spiski i podżegać rewolucyę?

Co miałem odrzec? Wyznać: «tak». Wtedy z mojej odpowiedzi wyciągnięto tylko ten wniosek, że ja, który odmawiałem absolutnie wszelkich zeznań żandarmom, «przyznałem się do wszystkiego» przed bratem cesarza. Mikołaj Mikołajewicz mówił tonem komendanta szkoły wojskowej, usiłującego wymusić «wyznanie» od kadeta. Nie mogłem także odpowiedzieć: «nie». To byłoby kłamstwo. Nie wiedziałem, co mówić — i milczałem.

— Widzisz, sam się wstydzisz teraz..

Te słowa rozgniewały mię i odparłem dosyć ostro: »złożyłem już moje zeznania sędziemu śledczemu na badaniu i nie mam nic więcej do dodania.

— Ależ, zechciej zrozumieć, Krapotkin, zaczął znowu Mikołaj Mikołajewicz najprzyjaźniejszym tonem; ja mówię z tobą nie jak sędzia śledczy, a jak zupełnie prywatny człowiek. Zupełnie, jak prywatny człowiek, dodał, zniżywszy głos.

Huragan myśli przeleciał mi przez głowę. Odegrać rolę markiza Pozy? Oznajmić carowi za pośrednictwem jego brata o spustoszeniu Rosyi, o nędzy chłopów, o samowoli władz, o grożącym widmie straszego głodu? Powiedzieć, że my chcieliśmy wyprowadzić chłopów z ich ciężkiego położenia, dodać im otuchy? Spróbować, czy nie uda się wpłynąć na Aleksandra II? Myśli te wirowały w szalonym pędzie jedna po drugiej w mojej głowie. Nakoniec powiedziałem sam sobie: «Nigdy! to szaleństwo. Oni to wszystko wiedzą. Oni — wrogowie ludu i słowa twoje ich nie zmienią».

Odpowiedziałem, że pozostaje on zawsze urzędową osobą i że nie mogę uważać go za prywatnego człowieka.

Wtedy Mikołaj Mikołajewicz począł zadawać mi różnego rodzaju obojętne pytania:

— Czy nie w Syberyi — od dekabrystów — zaraziłeś się podobnemi zapatrywaniem?

— Nie. Znałem tylko jednego dekabrystę i nie prowadziłem z nim nigdy poważniejszych rozmów.

— Więc nabrałeś ich w Petersburgu?

— Zawsze byłem taki sam.

— Co! Nawet w korpusie? zapytał z przerażeniem?

— W korpusie byłem dzieckiem. A to, co niewyraźnie przeczuwamy w młodości, staje się nam jasnym, gdy człowiek wyrasta na męża.

W. Książę zadał mi jeszcze kilka podobnych pytań i w miarę, jak mówił, coraz jaśniej spostrzegałem, do czego zmierza. Próbował, czy mu się nie uda otrzymać odemnie jakich «zeznań» i żywo wyobrażałem sobie w myśli, jak mówi swemu bratu: «Wszyscy ci prokuratorzy i żandarmi, to głupcy. Krapotkin nie im nie odpowiedział; ale ja pomówiłem z nim dziesięć minut — i mnie wyznał wszystko». Zaczęło

mię to już drażnić. I gdy Mikołaj Mikołajewicz uczynił mi mniej więcej następującą uwagę: «Jak mogło być cokolwiek wspólnego między tobą i tymi tam ludźmi, chłopami i «raznoczyńcami»¹⁾), — odparłem ostro: «mówiłem już, że złożyłem moje zeznania sędziemu śledczemu». W. książę odwrócił się gwałtownie i wyszedł.

Strażnicy i żołnierze gwardyi utworzyli potem całą legendę z okazji tych odwiedzin. Towarzysz, który przyjechał w dorożce, żeby mi dopomóc w ucieczce, był w wojskowej czapce. Jasne bakenbardy nadawały mu dalekie podobieństwo do Mikołaja Mikołajewicza. Otóż, wśród żołnierzy petersburskiego garnizonu zaczęła krążyć legenda, że uwiózł mię sam W. Książę. Tym sposobem legendy mogą powstawać nawet w wieku gazet i słowników biograficznych.

V.

Minęły dwa lata. Jedni z moich towarzyszy umarli, drudzy dostali pomieszania; ale nie było żadnych wieści, kiedy nasza sprawa odesłaną zostanie do sądu.

W końcu drugiego roku zdrowie moje zachwiało się. Dębowy taboret wydawał mi się teraz ciężkim, a siedem wiorstw niezmierną przestrzenią. Ponieważ siedzieliśmy teraz w twierdzy około sześćdziesięciu ludzi, a dni zimowe są krótkie, na przechadzkę wyprowadzano nas tylko co dwa — trzy dni, na dwadzieścia minut. Starłem się usilnie nie tracić energii, ale «zima biegunowa» bez letniej przerwy, wywierała swój wpływ. Z Syberyi jeszcze wywiozłem słabe ob-

¹⁾ «raznoczyńcy» — ludzie wolnego stanu, nieszlacheckiego pochodzenia.

jawy szkorbutu; teraz w ciemnej i wilgotnej kazamacie wystąpiły one daleko groźniej. Ta więzienna plaga pokonała mię.

W marcu, czy kwietniu 1876 r. oznajmiono nam nakoniec, że Trzeci Wydział ukończył wstępne śledztwo. Sprawa przeszła do władz sądowych i w skutek tego przeniesiono nas do więzienia śledczego, znajdującego się obok budynku sądowego.

Było to olbrzymie więzienie czteropiętrowe, urządzone wedle typu francuskich i belgijskich więzień wzorowych. Wszystkie maleńkie celki mają okna, wychodzące na podwórze i drzwi, prowadzące na żelazny balkon. Balkony zaś różnych pięter są połączone między sobą żelaznymi schodami.

Dla wielu moich towarzyszy przeniesienie do więzienia śledczego było wielką ulgą. Tu było daleko więcej życia, niż w twierdzy, łatwiej było porozumiewać się z sobą piśmiennie lub ustnie, łatwiej uzyskać widzenie z krewnymi. Pukanie trwało bez przerwy cały dzień. Za pomocą pukania opowiedziałem nawet jednemu młodemu sąsiadowi całą historję Komuny Paryskiej, od początku do końca. Co prawda, wypukiwałem moją historję cały tydzień. Co się tyczy zdrowia, pogorszyło się ono znacznie w tem więzieniu. Nie mogłem znieść dusznego powietrza malutkiej celki. Ogrzewała się ona parą, w skutek czego lodowa zrazu temperatura stawała się nagle niemożliwie gorącą. Cela miała tylko cztery kroki w przekątnem przecięciu i gdy zaczynałem chodzić, musiałem bezustannie zawracać; po upływie kilku minut dostawałem zawrotu głowy, a krótki spacer w maleńkiem podwórzu, otoczonym wysokim kamiennym murem, wcale mię nie orzeźwiał. Co zaś do lekarza więziennego, który nie chciał nawet słyszeć słowa «szkorbut» w «swojem więzieniu», to lepiej o nim wcale nie mówić.

Pozwolono mi przynosić jedzenie z domu, ponieważ blisko sądu mieszkała moja szwagrowa, żona adwokata. Ale trawienie moje tak się popsuło, że zjadłem na dzień tylko kawałeczek chleba i jedno lub dwa jaja. Opadałem z sił tak szybko, że wszyscy sądzili, iż pozostaje mi zaledwie kilka miesięcy do życia. Wracając z przechadzki, musiałem dwa razy odpoczywać na schodach, nim zdołałem dojść do mojej celi, znajdującej się na drugim piętrze. Pamiętam, jak raz stary żołnierz, stojący na straży, odezwał się ze współczuciem: «nie dożyjesz chyba, kochanku, do jesieni».

Krewni moi bardzo się zaniepokoiли. Siostra Lena czyniła starania, aby mię wypuszczono na porękę, ale prokurator, Szubin, odpowiedział jej z sardonicznym uśmiechem: «proszę pokazać świadectwo doktora, że brat pani umrze za dziesięć dni, wtedy go uwolnię». Prokurator miał przyjemność widzieć, jak siostra osunęła się na fotel i głośno rozplakała. Po wielu naleganiach zdołała jednak wymódl, żeby mię zbadał dobry doktor, starszy lekarz, ordynujący w Mikołajewskim wojskowym szpitalu. Doktor, rozumny, stary generał, opatrzywszy mię bardzo starannie, znalazł, że nie mam żadnej organicznej choroby, a cierpię głównie z powodu niedostatecznego utlenienia krwi.

— Potrzebuje pan tylko powietrza, zakończył. Zdawał się wahać kilka minut, potem rzekł stanowczo: «Co tu mówić! Pan nie może tu pozostawać. Trzeba koniecznie pana przenieść».

W dziesięć dni potem rzeczywiście przeniesiono mię do położonego na krańcu Petersburga wojennego szpitala, przy którym znajduje się niewielkie więzienie dla oficerów i żołnierzy, zostających pod śledztwem — na wypadek ich choroby. W więzieniu tem

umieszczono już dwóch moich towarzyszy, gdy stało się widocznem, że wkrótce umrą na suchoty.

W szpitalu zacząłem prędko wracać do sił. Dano mi obszerny pokój na dole, obok wartowniczej budki. Duże, zakratowane okno wychodziło na południe, na maleńki bulwar, wysadzony dwoma rzędami drzew, a za bulwarem rozpościerała się wielka, otwarta przestrzeń, gdzie około dwustu cieśli budowało baraki dla chorych tyfusowych. Wiezorami śpiewali oni zwykle chórem i tak zgodnie, jak umieją śpiewać tylko w licznych artelach robotników ciesielskich. Po bulwarze przechadzał się szyldwach; budka jego stała naprzeciw mego okna.

Okno było otwarte cały dzień i upajałem się słonecznymi promieniami, których nie widziałem tak dawno. Całą pierśią wciągałem aromatyczne powietrze majowe. Wyzdrowienie moje postępowało szybkim krokiem, za szybkim nawet, — obawiałem się. Wkrótce byłem w stanie trawić lekki pokarm, począłem przychodzić do sił i z nową energią mogłem się wziąć do pracy. Zwątpiwszy, żeby mi się udało ukończyć drugi tom mego dzieła, napisałem krótkie jego streszczenie, które zostało też włączonem do pierwszego tomu.

W twierdzy mówił mi towarzysz, który siedział czas jakiś w szpitalu więziennym, że ztamtąd łatwo mi będzie uciec. Doniosłem, naturalnie, przyjaciółom, gdzie się znajduję; doniosłem im też o moich nadziejach. Ucieczka okazała się jednakże daleko trudniejszą rzeczą, niż mię zapewniano. Rozciągnięto nademną najczujniejszą, bezprzykładną dotąd straż. U drzwi moich stał szyldwach i nigdy nie wolno mi było wychodzić z pokoju. Żołnierze szpitalni i oficerowie ze straży, którzy czasem zachodzili do mnie, bali się — najwido-

czniej — pozostawać dłużej, niż jedną lub dwie minuty w moim pokoju.

Moi przyjaciele ułożyli kilka planów ucieczki; w tej liczbie były różne zabawne pomysły. Wedle jednego z nich, na przykład, miałem przepiłować kratę w oknie. Następnie, gdy jakiej ciemnej i dżdżystej nocy szyl-dwach zdrzemnie się w swej budce, dwóch moich przyjaciół miało podkraść się z tyłu i obalić ją. Tym sposobem żołnierz nie byłby zabity, ale poprostu złapany, jak szczur w pułapce. Wówczas ja powinienem wyskoczyć z okna... Wtem — niespodziewanie — znalazło się lepsze rozwiązanie kwestyi.

— Proś pan o przechadzkę! — szepnął mi raz jeden z żołnierzy. Spełniłem tę radę.

Doktór poparł mię i pozwolono mi codziennie, o czwartej godzinie wychodzić na podwórze więzienne na jednogodzinną przechadzkę. Musiałem wciąż mieć na sobie mimo to zielony flanelowy szlafrok szpitalny, ale dawano mi moje buty, spodnie i kamizelkę.

Nigdy nie zapomnę mojej pierwszej przechadzki. Kiedy mię wyprowadzono, zobaczyłem przed sobą zarosłe trawą podwórze, rozciągające się na jakie trzysta dużych kroków w głąb i dwieście wszere. Brama była otwartą i mogłem widzieć przez nią ulicę, olbrzymi szpital naprzeciw i nawet przechodni... Zatrzymałem się na ganku więzienia i osłupiałem ze wzruszenia na widok tego podwórza i tej bramy. U jednego z murów więzienia stał szpital, wązki budynek, sto pięćdziesiąt kroków długi, z budkami dla szyl-dwachów u każdego rogu. Obaj strażnicy chodzili naprzód i w tył wzdłuż budynku i wydeptali swymi krokami małą ścieżkę w trawie. Po tej ścieżce kazano mi przechadzać się, a strażnicy tymczasem chodzili dalej, ciągle naprzód i wstecz, tak że jeden z nich nigdy nie oddalał się odemnie więcej niż na dziesięć lub

piętnaście kroków. Na ganku siedziało trzech żołnierzy szpitalnych.

Na przeciwległym końcu rozległego podwórza, otoczonego wysokim parkanem z grubych belek, kilku chłopów zrzucało z wozów drzewo i składało je w stosy wzdłuż muru. Brama była otwarta, aby wpuszczać wozy.

Ta otwarta brama czyniła na mnie czarujące wrażenie. «Nie trzeba patrzeć na nią», mówiłem sam sobie i mimo to wciąż spoglądałem w tę stronę. Powróciwszy do pokoju, zaraz napisałem do przyjaciół, aby udzielić im szczęśliwej nowiny. «Nie jestem prawie zdolny cyfrować, — pisałem drżącą ręką, kreśląc niezrozumiałe znaki zamiast cyfr. Na myśl o tak blizkiej wolności drzę, jak w febrze. Wyprowadzili mię dziś na podwórze. Brama otwarta i nie ma przy niej straży. Przez tę bramę ucieknę. Strażnicy nie złapią mnie». I skreśliłem plan ucieczki. «Przed bramę szpitala zajeżdża dama w otwartej dorożce. Wychodzi, a powóz czeka na nią na ulicy, o piętnaście kroków od mojej bramy. Gdy mię wyprowadzą o czwartej godzinie na spacer, będę czas jakiś trzymał kapelusz w rękach; będzie to sygnałem dla przechodzącego koło bramy towarzysza, że w więzieniu wszystko pomyślnie. Wy powinniście mi odpowiedzieć sygnałem: «ulica wolna». Inaczej nie ruszę się. Nie chcę, żeby mię złapano na ulicy. Sygnał może być dany tylko za pomocą dźwięku, albo światła. Może go podać stangret, rzuciwszy swym lakierowanym kapeluszem świetlnego «zajączka» na mur głównego szpitalnego budynku; jeszcze lepiej, jeśli kto będzie śpiewał przez cały czas, gdy ulica będzie wolną, — chyba że uda się wam wynająć szarą willę, którą widzę z podwórza; wtedy można będzie dać sygnał z okna. Szyldwach popędzi za mną, jak pies za zającem, zataczając krzywą linię, gdy ja po-

biegnę po linii prostej. Tym sposobem nie stracę moich pięciu — sześciu kroków odległości. Na ulicy wskoczę do dorożki i polecimy cwałem. Jeżeli szyl-dwach zechce strzelać, na to się nic nie poradzi. Tego przewidzieć nie możemy. W obec grożącej niechybnie śmierci w więzieniu — warto zaryzykować».

Rozważano jeszcze kilka innych planów, ale ostatecznie mój został przyjęty. Nasze kółko wzięło się do roboty. Ludzie, którzy nigdy nie znali mnie, przyjęli w niej tak czynny udział, jak gdyby chodziło o najdroższego ich brata. Trzeba jednak było pokonać masę trudności, a czas pędził z błyskawiczną chyżością. Pracowałem z wyteżeniem i pisałem do późnej nocy, ale mimo to zdrowie moje poprawiało się z dniem każdym z szybkością, która wprost przerażała mię. Gdy mię pierwszy raz wyprowadzono na podwórze, mogłem ledwie pełzać po ścieżce z powolnością żółwia. Teraz zaś wzmocniłem się na tyle, że mogłem biedz. Nie przestawałem wprawdzie wlec się wciąż równie powoli, jak żółw, gdyż inaczej moje przechadzki prędko przerwałyby się; ale moja przyrodzona żywość mogła mię co chwila zdradzić. A towarzysze moi musieli tymczasem dobrać ze dwudziestu zaufanych ludzi, koniecznie potrzebnych do wykonania przedsięwzięcia, znaleźć odpowiedniego konia i doświadczonego woźnicę i załatwić ze sto nieprzewidzianych drobnych szczegółów, nieuniknionych w podobnym spisku. Przygotowania zajęły już prawie cały miesiąc, mnie zaś każdego dnia mogli przenieść napowrót do więzienia śledczego.

Nakoniec oznaczono termin ucieczki, 29-ty czerwca, dzień śś. Piotra i Pawła. W towarzyszach moich odezwała się strunka sentymentalna i chcieli koniecznie uwolnić mię w dzień moich imienin. Donieśli mi, że

na mój sygnał: «w więzieniu wszystko dobrze», odpowiedzą «wszystko dobrze i u nas», wypuściwszy mały dziecinny balonik. Wtedy zajędzie dorożka i ktoś będzie śpiewał, póki ulica będzie wolna.

Wyszedłem 29-go czerwca, zdjąłem kapelusz i wyglądałem ukazania się balonika, ale go nie było. Uplęło pół godziny. Słyszałem, jak zaturkotały koła dorożki po ulicy; słyszałem, jak męzki głos rozbrzmiewał nieznaną mi pieśnią — ale balonika nie było.

Minęła godzina — i smutny i zniechęcony wróciłem do mego pokoju. «Musiało zajść co złego», myślałem.

Tego dnia stała się rzecz prawie nieprawdopodobna. Przy «Gościnnym Dworze» w Petersburgu sprzedają zwykle setki dziecinnych balonów. Ale tego dnia nie było ani jednego. Towarzysze nie mogli nigdzie znaleźć balonu. Nakoniec znaleźli jeden u jakiegoś dziecka, ale balon był stary i nie chciał latać. Wtedy towarzysze polecili do optycznego magazynu, kupili przyrząd do wytwarzania wodorodu i napełnili nim balon, ale mimo to nie chciał on uporczywie podnosić się w górę; wodoród nie był wysuszony. Czas upływał. Wtedy jedna pani przywiązała balonik do swej parasolki i trzymając ją wysoko po nad głową, zaczęła chodzić po trotuarze wzdłuż ogrodzenia naszego podwórza. Ale ja nic nie widziałem: ogrodzenie było bardzo wysokie, a pani — bardzo mała.

Jak się potem okazało, wypadek z balonem przytrafił się bardzo w porę. Gdy spacer mój skończył się, dorożka przejeżdżała z powrotem temi samymi ulicami, które miała przelecieć w razie mojej ucieczki. Lecz tu w wązkim zaułku zagrodziły jej drogę wozy z drzewem dla szpitala. Konie szły luzem, jedne po prawej stronie ulicy, drugie po lewej i dorożka mogła postępować tylko krok za krokiem; na zakręcie ulicy

zupelnie ją zatrzymano. Jeżelibym siedział w niej, na pewno złapanoby nas.

Teraz towarzysze obmyślili cały szereg sygnałów, aby upewnić się, czy ulice są wolne, czy nie. Na przestrzemi dwóch czy trzech wiorstw od szpitala rozstawieni byli strażnicy. Jeden powinien był przechadzać się po chodniku z chustką w rękę i schować ją, gdy się tylko ukażą wozy. Drugi — siedział na słupku trotuarowym i jadł wisznie, ale za ukazaniem się wozów natychmiast jeść przestawał. I tak dalej — na całej linii. Wszystkie te sygnały, przechodząc od strażnika do strażnika, dochodziły nakoniec do dorożki. Przyjaciele moi wynajęli także szary domek, o którym wspominałem wyżej i przy otwartem jego oknie zasiadł skrzypek ze skrzypcami w rękach, gotów natychmiast zacząć grać, gdy tylko ujrzy sygnał: «ulica swobodna».

Ucieczkę oznaczono na następny dzień. Dłuższa zwłoka mogła być niebezpieczną: w szpitalu zauważono już dorożkę. Władze widocznie przewąchały coś podejrzanego, bo wieczorem w wilię ucieczki słyszałem, jak oficer patrolowy pytał szyldwacha, stojącego u mego okna: «gdzie są twoje ostre ładunki?» Żołnierz zaczął je niezręcznie wyciągać z torby i ze dwie minuty przeszło, zanim je wy dostał. Oficer patrolowy beształ go: «czyż nie kazano wam wszystkim mieć w pogotowiu cztery ostre ładunki w kieszeni?» Odszedł tylko wtedy, gdy żołnierz spełnił polecenie.

— Miej się na baczności, dodał oficer, oddalając się.

Należało niezwłocznie powiadomić mię o nowym systemie sygnałów. Nazajutrz, o drugiej godzinie, przyszła do więzienia dama, moja droga kuzynka, poprosiła, żeby mi wręczono zegarek. Wszystko przechodziło zwykle przez ręce prokuratora, ale ponieważ

to był tylko zegarek i bez puzderka, więc oddano mi go. W zegarku zaś znajdował się malutki cyfrowany bilecik, w którym tłómaczył mi się cały plan. Przeraziłem się, ujrzawszy go, tak dalece postępek ten zdumiewał swem zuchwalstwem. Żandarmi mieli już na oku tę panią i aresztowanoby ją natychmiast, jeśliby komukolwiek przyszło na myśl otworzyć kopertę zegarka. Ale widziałem, jak moja kuzynka spokojnie wyszła z więzienia i oddaliła się powoli bulwarem.

Wyszedłem na przechadzkę, jak zwykle, o czwartej i pokazałem mój sygnał. Usłyszałem natychmiast turkot kół powozu, a po kilku minutach rozległy się z szarego domku dźwięki skrzypiec. Ale byłem wtedy u drugiego końca budynku. Kiedy zaś wróciłem po ścieżce do rogu, znajdującego się bliżej bramy, o jakie sto kroków od niej, żołnierz stał tuż za moimi plecami. — «Przejdę się raz jeszcze», pomyślałem. Lecz zanim doszedłem do końca dalekiej ścieżki, dźwięki skrzypiec nagle umilkły.

Upłynął przeszło kwadrans czasu w dręczącej trwodze, zanim zrozumiałem przyczynę tego milczenia: w bramę wjechało kilka ciężkich wozów z drzewem i zniknęły w drugim końcu dziedzińca. Zaraz potem skrzypek (i bardzo dobry, muszę dodać) zagrał porywająco skoczno mazurka Kąckiego, jakby chciał powiedzieć: «Teraz śmiało! Twoja kolej. Naprzód!» Posuwałem się powoli ku końcowi ścieżki, bliższemu bramy, drżąc na myśl, że dźwięki mazurka mogą urwać się, zanim tam dojdę.

Stanąwszy nareszcie u celu, obejrzałem się. Sztyldwach zatrzymał się o jakie pięć, sześć kroków odmnie i patrzył w drugą stronę. — «Teraz, albo nigdy!» — pamiętam, mignęło mi w myśli. Zrzuciłem zielony flanelowy szlafrok i począłem biedz.

Długo przedtem ćwiczyłem się w zrzucaniu mojej

długiej, niezgrabnej kapoty. Była ona tak długą, że musiałem dolną część jej unosić ręką, jak panie swój ogon. Mimo wszelkich wysiłków nie mogłem zrzucić kapoty jednym ruchem. Nadprulem szwy pod pachami, ale i to nie pomagało. Wtedy postanowiłem nauczyć się zdejmować ją za pomocą dwóch ruchów: pierwszy — spuścić ogon z rąk, drugi — zrzucić kapotę na ziemię. Ćwiczyłem się cierpliwie w moim pokoju, aż się nauczyłem robić to prędko i zręcznie, jak żołnierz obroty z bronią. — «Raz, dwa!» — i kapota leżała na ziemi.

Niezbyt ufając moim siłom, pobiegłem naprzód wolno. Ledwo jednak zrobiłem kilka kroków, gdy chłopci, składający drzewo na drugim końcu podwórza, krzyknęli: «ucieka! trzymaj go! łapaj!» — i rzucili się, przecinając mi drogę, ku bramie. Wtedy popędziłem, co tchu. Myślałem już tylko o tem, żeby uciec prędzej. Przedtem niepokoiły mię często wyboje w drodze, które wozy chłopskie wyżłobiły u samych wrót, ale w tej chwili zapomniałem o nich. — «Uciekać, uciekać, ile starczy sił!»

Przyjaciele moi, śledzący pilnie całą scenę z okna szarego domku, opowiadali mi potem, że pobiegli za mną w pogoń szyldwach i trzej żołnierze, siedzący na ganku więzienia. Kilka razy szyldwach zamierzał się z rozmachem i próbował pchnąć mię z tyłu bagnetem. Raz nawet przyjaciele myśleli, że już mię złapano. Żołnierz nie strzelał, ponieważ był całkiem pewny, że mię dogoni. Ale zdołałem utrzymać odległość między nami. Dobiętszy do bramy, żołnierz zatrzymał się.

Gdy wypadłem za bramę, z przerażeniem spostrzegłem, że w dorożce siedzi jakiś pan cywilny w wojskowej czapce. Siedział odwrócony odemnie. «Wszystko stracone!» — pomyślałem. Towarzysze pisali mi w ostatnim liście: «gdy raz dostaniesz się na ulicę,

nie trać odwagi; w pobliżu będą przyjaciele i pośpieszą ci z pomocą», — i nie miałem wcale zamiaru wskakiwać do dorożki, jeśli siedział w niej wróg. Jednakże, zbliżywszy się, zobaczyłem, że siedzący w dorożce człowiek z jasnymi bakenbardami bardzo jest podobny do jednego z moich najserdeczniejszych przyjaciół. Nie należał on do naszego kółka, ale kochaliśmy się bardzo i nieraz miałem sposobność podziwiać jego zdumiewającą odwagę, śmiałość i siłę, przechodzące wszelkie wyobrażenie w chwili niebezpieczeństwa.

— Zkąd on tu i po co? myślałem. Czyż to możliwe?

Ledwie nie zawołałem nań po imieniu, ale w porę spostrzegłem się i tylko klasnąłem w bieggu w dłonie, aby zwrócić jego uwagę i zmusić do obejrzenia się. Jakoż rzeczywiście odwrócił głowę. Teraz poznałem go.

— Tu, tu, prędkiej, prędkiej! krzyczał, besztając rozpaczliwie, na czem świat stoi i mnie i woźnicę i trzymając równocześnie rewolwer w pogotowiu. — «Popędzaj, popędzaj! zabiję cię!» wołał do furmana. Przepyszny nasz kłusak, specjalnie kupiony w tym celu, ruszył z miejsca galopem. Po•za nami słychać było wrzask: «trzymaj go! łap!», a przyjaciel pomagał mi tymczasem nakładać paltot i kapelusz. Główne jednak niebezpieczeństwo zachodziło nie tyle ze strony goniących, ile raczej ze strony żołnierza, stojącego u bramy szpitala, prawie naprzeciw tego miejsca, gdzie oczekiwała dorożka. Mógł on przeszkodzić mi wskoczyć do dorożki, albo zatrzymać konia. Dosyć było, żeby mi zabiegł drogę o kilka kroków naprzód. W tym celu wysłano jednego z mych przyjaciół, aby rozmową zajął żołnierza i odwrócił jego uwagę. Wywiązał się on ze swego zadania znakomicie. Żołnierz służył czas jakiś w laboratorium szpitala, — więc mój przyjaciel wszczął z nim rozmowę na temat naukowy, a miano-

wicie o mikroskopie i różnych cudach, które można dojrzeć z jego pomocą. Między innymi wspomniał o pewnym pasożycie, przebywającym w ciele ludzkim.

— Widziałeś, jaki ogromny ma ogon? — zapytał przyjaciel.

— Ogon? z kądem u niego ogon? — zaprzeczył żołnierz.

— Jakże! ot jaki! — pod mikroskopem.

— Nie pleć bajd, odpowiedział żołnierz. Ja lepiej wiem! ja go, niecnotę, zaraz pod mikroskop wsunąłem!

Spór toczył się właśnie w chwili, gdy przebiegałem obok nich i wskakiwałem do powozu. Wygląda to na bajkę, a jednakże tak było w istocie.

Powóz rącho skręcił w wązki zaułek, wzdłuż tego samego muru, u którego chłopci składali drzewa i gdzie teraz nikogo nie było, bo wszyscy pobiegli za mną. Zakręt był tak stromy, że dorożka ledwo się nie wyróciła; przyszła do równowagi tylko wtedy, gdy rzuciłem się w głąb siedzenia i pociągnąłem za sobą przyjaciela. Koń pędził teraz pięknym, sporym kłusem wązkim zaułkiem i wnet skręciliśmy na lewo. Dwaj żandarmi, stojący u drzwi szynku, złożyli ukłon wojskowej czapce mego przyjaciela. — «Ciszej, ciszej!» — uspakajałem go, gdyż ciągle jeszcze był bardzo wzburzony. — «Wszystko idzie doskonale, nawet żandarmi oddają ci honory...» Tu woźnica odwrócił się ku mnie i w promieniejącej radością, uśmiechniętej twarzy poznałem drugiego przyjaciela.

Wszędzie po drodze spotykaliśmy przyjaciół, którzy mrugali do nas, lub życzyli powodzenia, gdy pędziliśmy około nich, unoszeni wyciągniętym kłusem naszego przepyszego rumaka. Wjechawszy na Newski Prospekt, skręciliśmy w boczną ulicę i zatrzymaliśmy

się przed gankiem jednego domu, zkąd odesłaliśmy powóz. Wbiegłem po schodach i wpadłem w objęcia mojej kuzynki, która oczekiwała mię w dręczącym niepokoju. Śmiała się i płakała naprzemian, błagając mię, bym się przebrał czem prędzej i ogolił rzucającą się w oczy, długą brodę. Po upływie dziesięciu minut ja i mój przyjaciel wyszliśmy z domu i siedliśmy do zwyczajnego dorożkarskiego powozu.

Gdy się to działo, oficer straży więziennej i żołnierze szpitalni wybiegli na ulicę, nie wiedząc właściwie, co robić. Na jaką wiorstę w około nie było żadnej dorożki, bo wszystkie zostały wynajęte przez moich towarzyszy. Stara baba wśród tłumu okazała się najmędrszą ze wszystkich.

— Biedacy, rzekła, jak gdyby rozmawiając sama z sobą. Pewno pojedą na Newski Prospekt, a tam ich złapią, jeśli kto pobiegnie wprost, tą poprzeczną uliczką.

Baba miała zupełną rację. Oficer podbiegł do wagonu tramwajowego, stojącego obok i zażądał u konduktora koni, aby posłać kogo wierzchem w pogoń za nami. Ale konduktorzy stanowczo odmówili i nie chcieli wyprzęgać koni, a oficer nie nalegał.

Co zaś do skrzypka i damy, którzy wynajęli szary domek, ci także wybiegli, wmieszali się w tłum razem ze staruszką i słyszeli tym sposobem jej radę; a gdy tłum rozproszył się, najspokojniej wrócili do domu.

Był prześliczny wieczór. Pojechaliśmy na wyspy, dokąd cały szykowny Petersburg wylega wiosną w dnie pogodne napawać się widokiem zachodzącego słońca. Po drodze zajechaliśmy do cyrulika na odległej ulicy, który mi ogolił brodę. To naturalnie zmieniło mię, ale niebardzo. Jeździliśmy bez celu po wyspach, nie wiedząc, gdzie mamy się podzieć, ponieważ ka-

zano nam dopiero późno wieczorem przyjechać tam gdzie miałem nocować.

— Co będziemy robić teraz? spytałem przyjaciela, który także nie był pewny, co począć.

— Do Donon'a, rozkazał nagle dorożkarzowi. Nikomu nie przyjdzie do głowy szukać nas w modnej restauracyi. — Będą nas szukać wszędzie, tylko nie tam; a my zjemy obiad i wypijemy za powodzenie ucieczki.

Co mogłem odpowiedzieć na tak rozsądną propozycję? Udaliśmy się do Donon'a, przeszliśmy zalane światłem sale, pełne obiadujących i wzięliśmy osobny gabinet, gdzie spędziliśmy wieczór do oznaczonej godziny. Do domu zaś, do którego zajeżdżaliśmy wprost z więzienia, wpadła w dwie godziny potem żandarmerya. Odbyły się rewizye u wszystkich prawie moich przyjaciół. Ale nikt nie wpadł na myśl zrobienia rewizyi u Donon'a.

W dwa dni potem miałem zamieszkać za cudzym paszportem w mieszkaniu, wynajętym dla mnie. Ale dama, która miała towarzyszyć mi w karecie, postanowiła dla ostrożności pojechać naprzód sama. Okazało się, że w około mieszkania roi się od szpiegów. Moi przyjaciele tak często zachodzili tam dowiedzieć się, czy wszystko w porządku, że policya zaczęła coś podejrywać. Oprócz tego Trzeci Wydział rozdał setki egzemplarzy mojej fotografii pomiędzy policyantów i stróżów domów. Szpiegle, którzy znali mię z twarzy, szukali mię po ulicach; ci zaś, którzy mnie nie znali, włóczyli się po nich w towarzystwie żołnierzy i strażników, którzy widzieli mię w więzieniu. Car nie posiadał się z gniewu, że ucieczka mogła się zdarzyć w jego stolicy, wśród białego dnia i rozkazał «wytropić zbiega za jakąbądź cenę».

W Petersburgu pozostawać było niepodobna. Ukry-

wałem się więc w mieszkaniach letnich — w okolicach miasta. Wspólnie z kilku przyjaciółmi przebywałem w pobliżu stolicy we wsi, która była o tej porze roku ulubionem miejscem zabaw i pikników obywateli Petersburga. Nakoniec towarzysze moi orzekli, że powinienem wyjechać za granicę. Ponieważ jednak wyczytaliśmy w zagranicznych gazetach, że wszystkie portowe i nadgraniczne miasta Finlandyi i kraju Nadbałtyckiego pełne są szpiegów, którym byłem znany osobiście, postanowiłem więc jechać w takim kierunku, gdzie najmniej mogli się mnie spodziewać. Zaopatrzonego w paszport jednego z przyjaciół, przejechałem w towarzystwie drugiego przyjaciela Finlandyę i dotarłem do odległego portu zatoki Botnickiej, z kąd przepравиłem się do Szwecyi.

Kiedy siadłem już na parostatek, przed samem odbiciem od brzegu, przyjaciel towarzyszący mi do granicy, powiedział mi, co zaszło w Petersburgu po mojej ucieczce, a co z polecenia moich przyjaciół ukrywał przedemną aż do tej chwili. Siostrę moją, Helenę, aresztowano; wzięto także moją bratową, która odwiedzała mię w więzieniu raz na miesiąc, gdy Aleksander wyjechał na Syberyę.

Siostra nic nie wiedziała o przygotowaniach do ucieczki. Dopiero gdy uciekłem, jeden z towarzyszy oznajmił jej tę radosną wieść. Daremnie zaręczała żandarmom, że nic nie wie. Porwano ją od dzieci i trzymano w więzieniu dwa tygodnie, Co się tyczy mojej szwagrowej, wiedziała ona w sposób nieokreślony o jakichś przygotowaniach, ale nie brała w nich żadnego udziału. Zdrowy rozsądek powinien był powiedzieć władzom, że osoba, odwiedzająca mię jawnie w więzieniu, nie może należeć do podobnej sprawy. Mimo to przesiedziała w więzieniu przeszło dwa mie-

siące. Mąż jej, znany adwokat, darmo zabiegał o jej uwolnienie.

— Wiemy teraz, powiedzieli mu żandarmi, że żona pańska jest niewinna, ale, widzi pan, biorąc ją, zawiadomiliśmy cesarza, że osoba, która zorganizowała ucieczkę, została wykrytą i aresztowaną. Obecnie potrzeba trochę czasu, aby przygotować cesarza do myśli, że wzięto nie prawdziwego winowajcę.

Przejechałem Szwecyę, nigdzie się nie zatrzymując i przybyłem do Chrystyanii, gdzie czekałem kilka dni na parostatek, odchodzący do Anglii, do Hull. Mając czas swobodny, zbierałem wiadomości o partyi chłopskiej w norweskim storthingu. Udając się na parostatek, zapytywałem się z niepokojem: «pod jaką płynie on flagą? Pod norweską, niemiecką, czy angielską?» Lecz wnet spostrzegłem u steru flagę brytańską, w której cieniu znalazło schronienie tylu rosyjskich, włoskich, francuskich i węgierskich wygnańców. I z duszy całej powitałem tę flagę.

KONIEC CZĘŚCI PIĄTEJ.

CZĘŚĆ SZÓSTA.

EUROPA ZACHODNIA.

I.

Na morzu Północnem szalała burza, gdyśmy się zbliżali do Anglii, ale ja rad byłem niepogodzie. Cieszyła mię walka naszego parostatku z wściekłością bałwanów. Całemi godzinami przesiadywałem na pokładzie, obryzganym pianą fal. Po dwóch latach, przepędzonych w ponurej kazamacie, każdy nerw mojego wewnętrznego ja drgał i rozkoszował się pełnem tętnem życia.

Nie myślałem bawić zagranicą dłużej, niż kilka tygodni, albo miesięcy; właśnie tyle, ile trzeba było, aby uspokoił się rozruch, spowodowany moją ucieczką i aby poprawić trochę zdrowie. Wylądowałem pod nazwiskiem Lewaszewa, pod którym wyjechałem z Rosyi. Unikając Londynu, gdzie szpiedzy ambasady rosyjskiej prędkoby mię wysłędzili, udałem się przedewszystkiem do Edynburga.

Tymczasem nie miałem już nigdy więcej wrócić do Rosyi. Porwała mię wkrótce fala anarchicznego

ruchu, która właśnie w tym czasie wzbierała coraz potężniej w zachodniej Europie. Czulem, że mogę tu być użyteczniejszym, niż w Rosyi, pomagając nowemu ruchowi ustalić się i wyjaśnić. Zbyt dobrze byłem znany w ojczyźnie, żebym mógł prowadzić jawną propagandę, zwłaszcza wpośród robotników i chłopów. Następnie, gdy rosyjski ruch rewolucyjny przeobraził się w spisek i w zbrojną walkę z samowładztwem, wszelka myśl o ruchu ludowym została z konieczności zarzuconą. Moje zaś sympatyje skłaniały mię coraz bardziej ku temu, aby los mój związać z losem mas robotniczych. Rozkrzewiać wpośród nich idee, zdolne skierować ich wysiłki ku uzyskaniu szczęścia dla wszystkich robotników w ogóle; pogłębić i rozszerzyć ideał i zasady, które mają służyć za podstawę przyszłej socyalnej rewolucyi i rozwinąć te ideały i zasady w obec robotników — nie jako nakaz, oparty na powadze przywódców partyi, ale jako wynik ich własnego rozmyślenia; — i nakoniec, obudzić ich własną inicjatywę, teraz, gdy robotnicy powołani są na arenę historii dla wypracowania nowego i sprawiedliwego ustroju społecznego; — wszystko to wydawało mi się zarówno koniecznem dla rozwoju ludzkości, jak i to, czego mógłbym w tym czasie dokonać w Rosyi. Połączyłem się więc z garstką ludzi, pracujących w tym kierunku w Europie zachodniej, zastępując tych, którzy byli już złamani latami całymi uporczywej, nużącej walki.

Po wylądowaniu w Hull i wyjeździe do Edynburga, zawiadomiłem tylko kilku przyjaciół w Rosyi i w Federacyi Jurajskiej, że szczęśliwie przybyłem do Anglii. Socyalista powinien zawsze żyć z własnej pracy. Dla tego, wynajawszy mały pokoik na przedmieściu stolicy Szkocyi, zacząłem zaraz szukać jakiegokolwiek zajęcia.

Między pasażerami naszego statku znajdował się jeden profesor Norwegczyk, z którym zawiązałem rozmowę, starając się przypomnieć sobie tych trochę wyrażań, które umiałem kiedyś po szwedzku. Profesor mówił po niemiecku.

— Ale ponieważ mówisz pan trochę po norwęgsku i starasz się nauczyć języka, powiedział, — to mówmy po norwęgsku.

— Chce pan powiedzieć «po szwedzku», zauważyłem niepewnie. Przecież ja mówię po szwedzku, nie prawdaż.

— Hm! Ja raczej sądziłbym, że to język norwęski. W każdym razie nie szwedzki, — odparł profesor.

Tak więc przytrafiło mi się to samo, co Paganel'owi, bohaterowi powieści Jules Verne'a, który, przez roztargnienie zamiast po hiszpańsku, wyuczył się portugalskiego języka.

Jakkolwiek się rzeczy miały, dużo rozmawialiśmy z profesorem... powiedzmy, po norwęgsku. Między innymi dał mi on gazetę, wychodzącą w Chrystyanii. Zawierała ona sprawozdanie o wyprawie norwęskiej, która powróciła właśnie z oceanu Atlantyckiego, dokonawszy cennych badań i pomiarów głębokości w północnej jego części.

Zamieszkawszy w Edynburgu, napisałem natychmiast treściwy artykuł o tej wyprawie — po angielsku, dla «Nature», którą czytaliśmy z bratem pilnie w Petersburgu od chwili ukazania się jej pierwszego numeru. Pomocnik redaktora podziękował mi za artykuł i dodał z delikatnością, z którą nieraz potem spotykałem się w tym kraju, że mój angielski język jest «całkiem dobry», powinien tylko posiadać «więcej charakterystycznych cech, właściwych temu językowi». Trzeba dodać, że wyuczyłem się po angielsku w Rosyi. Wspólnie z bratem przetłómaczyliśmy «Filozofię

Geologii» Page'a i «Zasady Biologii», Herberta Spencer'a. Ale ponieważ uczyłem się tylko z książek, wymawiałem bardzo źle i gospodyni mego mieszkania, Szkotka, zaledwie z wielką trudnością mogła mię zrozumieć. Z córką jej porozumiewaliśmy się często piśmiennie, na skrawkach papieru. Co się zaś tyczy «charakterystycznych właściwości angielskiego języka», to musiałem popełniać zapewne najzabawniejsze błędy. Przypominam sobie, na przykład, bardzo śmieszna historię z powodu filiżanki herbaty. Dzięki mojej słabej znajomości języka, gospodyni wzięła mię wtedy zapewne za typowego opoja z dziecinnej bajki. Muszę dodać w mej obronie, że ani w książkach geologii, które czytałem po angielsku, ani w «Biologii» Spencera nie spotkałem najlżejszej wzmianki o tak ważnej kwestyi, jak picie herbaty.

Zaprenumerowałem «Wiadomości Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego» i zacząłem posyłać do «Times» okolicznościowe artykuły o rosyjskich wyprawach geograficznych. Przewalski znajdował się wtedy w Azji Środkowej i podróż jego wzbudzała wielkie zaciekawienie w Anglii.

Niemniej przeto pieniądze, które przywiozłem z sobą, prędko topniały, a ponieważ wszystkie moje listy, wysyłane do Rosyi, przejmowane były na granicy, nie mogłem podać moim krewnym swego adresu. Wskutek tego udałem się po upływie kilku tygodni do Londynu licząc, że znajdę tu więcej stałe zajęcie. P. S. Ławrow ciągle jeszcze wydawał «Naprzód»; ale ponieważ myślałem wkrótce wrócić do Rosyi, a redakcyja rewolucyjnej gazety rosyjskiej pewno otoczona była szpiegami, nie poszedłem tam.

Udałem się, ma się rozumieć, do redakcyi «Nature», gdzie mię bardzo uprzejmie przyjął pomocnik redaktora, pan I. Scott Keltie. Okazało się, że wydawca

pisma chciał rozszerzyć dział recenzji naukowych, podróźniczych — etc., i mój sposób pisania podobał mu się. Wyznaczono mi więc w redakcyi osobny stół, na którym złożono stopy pism naukowych we wszystkich językach.

— Niech pan przychodzi w poniedziałki, panie Le-waszew, powiedziano mi; proszę przeglądać te pisma i jeżeli znajdzie pan co godnego uwagi, proszę napisać odpowiednią wzmiankę, albo zanotować artykuł, — wtedy poszlemy go specjaliście.

Keltie nie wiedział, naturalnie, że przepisywałem kaźden artykuł po dwa i trzy razy, nim ośmieliłem się pokazać mu swój angielski język. Ale po niejakiem czasie pozwolono mi zabierać tygodniki i miesięczniki naukowe do domu i wkrótce mogłem się już utrzymać z maleńkiego honorarium, wypłaconego mi przez «Nature» i «Times». Ten ostatni płacił swym okolicznościowym współpracownikom co tygodnia w czwartki i zwyczaj ten wydał mi się bardzo chwalebny. Naturalnie bywały tygodnie, kiedy nie mogłem dostarczyć żadnych ciekawych nowin o Przewalskim i gdy moje wzmianki o innych częściach Rosyi nie mogły być pomieszczone w piśmie, jako całkiem obojętne. Zadawałniałem się wtedy herbatą i chlebem.

Pewnego razu Keltie zdjął z półki kilka rosyjskich książek i poprosił mię, bym napisał recenzję o nich do «Nature». Spojrzałem na książki i z niemałym zakłopotaniem poznałem, że są to moje własne prace o okresie lodowym i orografii Azji. Brat mój nie omieszkał przesłać ich swemu najulubieńszemu dziennikowi. Byłem mocno zaambarasowany i schowawszy książki do sakwojażu, poszedłem do domu, aby zastanowić się swobodnie nad tem, co mi należy uczynić. «No, i cóż ja zrobię z niemi? zapytywałem się. Chwalić nie mogę, a zbijać autora także nie, ponieważ podzie-

lam jego zapatrywania». Nakoniec postanowiłem odnieść książki nazajutrz do redakcyi i objaśnić pana Keltie że choć przedstawiłem się mu jako Lewaszew, w istocie jednak jestem autorem tych książek i dla tego nie mogę pisać o nich recenzyi.

Keltie czytał już w gazetach o ucieczce Krapotkina i z wielkiem zadowoleniem dowiedział się teraz, że zbieg znajduje się bezpieczny na ziemi angielskiej. Odnosnie zaś do moich wątpliwości zauważył słusznie, że nie potrzebuję ani chwalić, ani ganić autora; mogę poprostu przedstawić treść jego prac. Od tego dnia zawiązała się między nami przyjaźń, trwająca po dziś dzień.

W listopadzie czy grudniu 1876 r. przeczytałem w «skrzynce pocztowej» — «Naprzodu», że K. proszony jest zejść do redakcyi dla otrzymania listu z Rosyi. Myśląc, że stosuje się to do mnie, zajrzałem do redakcyi. Prędko poprzyjaźniłem się i z P. L. Ławrowym i z młodzieżą, zajętą w drukarni dziennika.

Zdawało mi się, że nikt mię nie pozna, gdy pierwszy raz zapukałem do drzwi redakcyi, — ogolony, w cylindrze i spytałem damy, która mi otworzyła, moją najlepszą angielszczyzną, «czy master Ławrow jest w domu?» Nie powiedziałem mego nazwiska. Okazało się jednak, że dama, która nigdy przedtem nie widziała mnie, ale знаła brata mego w Zurychu, natychmiast poznała mię i pobiegła na górę oznajmić, kto przyszedł.

— Zaraz poznałam pana, — powiedziała mi potem, — po oczach, które przypomniały mi pańskiego brata.

Tym razem niedługo bawiłem w Anglii. Prowadziłem ożywioną korespondencyę z moim przyjacielem James'em Guillaume z Federacyi Jurajskiej. I skoro

tylko znalazłem stałą pracę geograficzną, której mogłem oddawać się w Szwajcaryi, natychmiast się tam przenieśli. Listy, których doczekałem się nakoniec z Rosyi, donosiły mi, że mogę spokojnie pozostawić zagranicą, ponieważ nie zanosi się w ojczyźnie na żaden żywszy rewolucyjny ruch. Porwała wtedy Rosyę fala entuzjazmu dla Słowian, którzy powstałi właśnie przeciw wiekowemu tureckiemu jarzmu. Moi najlepsi przyjaciele, — Sergiusz Stepniak, Dymitr K. i wielu innych — udali się na półwysep Bałkański, aby wstąpić w szeregi powstańców. Przyjaciele pisali mi: «Czytamy korespondencye «Daily News», o dzikich okrucieństwach Turków w Bułgaryi, płaczemy, czytając — i spieszymy do oddziałów powstańczych, jako ochotnicy, albo jako siostry miłosierdzia».

Wyjechałem do Szwajcaryi, wstąpiłem do Federacyi Jurajskiej Międzynarodowego Związku Robotniczego i idąc za radą przyjaciół szwajcarskich, osiedliłem się w Chaux de-Fonds.

II.

Federacya Jurajska odegrała ważną rolę w rozwoju socjalizmu współczesnego.

Zwykle tak się dzieje, że gdy partya polityczna postawi swoje żądania i oświadczy, że zadowolnić się może tylko zupełnem zadośćuczynieniem im, — rozdziela się niebawem na dwie partye. Jedna pozostaje tem, czem była; druga zaś, choć głosi, że nie poświęciła ani litery swych pierwotnych postulatów, wchodzi jednak nieznacznie w pewnego rodzaju kompromisy i stopniowo, brnąc z kompromisu w kompromis, odstępkuje od początkowego swego programu i przekształca się w partyę umiarkowanych reform.

Podobne rozdwojenie zaszło i w Międzynarodowym związku robotników. Jawnym celem związku przy powstaniu jego było zniesienie własności prywatnej i oddanie samym wytwórcom wszystkich narzędzi pracy, niezbędnych dla wytworzenia bogactwa narodowego. Wzywano wszystkich robotników bez różnicy narodowości, aby utworzyli własne swoje organizacje, celem otwartej walki z kapitalizmem. Mieli oni obmyślić sposoby, jak uspołecznić wytwarzanie bogactw i użytkowanie z nich. A gdy robotnicy będą już dostatecznie przygotowani, powinni zawładnąć narzędziami wytwórczości i zorganizować tę ostatnią, bez żadnej łączności z współczesnym ustrojem politycznym, który miał ulegz pełnemu przekształceniu. Zadaniem więc związku było przygotować olbrzymi przewrót — naprzód w umysłach, a potem i w życiu samem. Związek miał wzbudzić i dokonać rewolucyi, która otworzyłaby dla ludzkości nową erę postępu, zasadzającego się na ogólnej powszechnej solidarności. Takim był ideał, który obudził ze snu miliony europejskich robotników i przyciągnął, do związku najlepsze umysłowe siły owych czasów.

Wkrótce jednak zaczęły zaznaczać się dwie frakcye. Kiedy wojna 1870 r. zakończyła się zupełną klęską Francyi i Komuna paryska została zdławioną, a przeciw Związkowi Międzynarodowemu wydano drakonowskie prawa, które pozbawiły Francuzów możności uczestniczenia w ruchu; kiedy, z drugiej strony, w «zjednoczonej Germanii», będącej niegdyś ideałem radykałów z 1848 r., zaprowadzono ustrój parlamentarny; — Niemcy pokusili się o przetworzenie celu i metody całego socjalistycznego ruchu. Hasłem Socyalnej Demokracji, jak się nazwała nowa partya, stało się — zdobyć władzę w istniejącem państwie. Pierwsze powodzenia tej partyi przy wyborach do «Reichtagu» (sejmu Rze-

szy Niemieckiej) obudziły wielkie nadzieje. Liczba posłów socyal-demokratycznych wynosiła naprzód dwa, potem siedem, potem dziewięć; w obec tak szybkich postępów nawet najbardziej umiarkowani i rozsądni ludzie przypuszczali, że ku końcowi XIX wieku socyal-demokraci posiadą większość w parlamencie niemieckim i zdołają drogą zarządzeń prawodawczych zaprowadzić ludowe państwo socyalistyczne. Ideał socyalistyczny tej partji zaczął powoli zacierać się i błędnąć. Zamiast ustroju społecznego, który miał być wynikiem samodzielnej akcji organizacyi robotniczych, wysunięto naprzód ideał upaństwowienia przemysłu, to jest socyalizm państwowy, albo raczej państwowy kapitalizm. Tak na przykład, w Szwajcaryi socyal-demokraci dążą dzisiaj pod względem politycznym do centralizacyi i zwalczają usilnie federalizm, w stosunkach zaś ekonomicznych popierają eksploatacyę kolei przez państwo oraz państwowy monopol bankowy i sprzedaży trunków. Upaństwowienie zaś ziemi i głównych szerszych gałęzi przemysłu, jakoteż organizacya podziału bogactwa narodowego przez państwo — będzie, powiadają nam, dalszym postępowym krokiem w mniej lub więcej oddalonej przyszłości.

Życie i działalność niemieckiej partji socyal-demokratycznej została powoli uzależnioną całkowicie od kombinacyi wyborczych. Na trade-uniony patrzano z pogardą, a w obec strejków zachowywano się niechętnie, ponieważ i te i tamte odwracają uwagę robotników od walki wyborczej. Przywódcy socyal-demokratyczni występowali równocześnie przeciw wszelkiemu ruchowi ludowemu i przeciw każdej agitacyi rewolucyjnej w jakim bądź kraju Europy jeszcze bardziej wrogo, niż prasa kapitalistyczna.

W krajach romańskich jednakże nowy ten prąd znalazł bardzo niewiele zwolenników. Sekcyje i fede-

racye Internacyonału pozostały wierne zasadom, przyjętym w chwili powstawania związku. Federaliści na mocy swego rozwoju historycznego, niechętni wszelkiej myśli państwa centralistycznego, przeniknięci dawnymi tradycjami rewolucyjnymi, — robotnicy łacińscy nie mogli uczestniczyć w ewolucyi, którą przechodził ruch niemiecki.

Rozpadnięcie się ruchu socjalistycznego na dwa odłamy zaznaczyło się zaraz po wojnie franko-pruskiej. Jak nadmienilem wyżej, Internacyonał ustanowił nad sobą rząd centralny w postaci Rady Generalnej, przebywającej w Londynie. A ponieważ duszą Rady byli dwaj Niemcy: Engels i Marks, stała się ona wkrótce główną warownią nowego socyal-demokratycznego ruchu. Duchowymi zaś i umysłowymi przywódcami łacińskich federacyi stał się Bakunin i jego przyjaciele.

Rozdwojenie między Marksistami i Bakunistami nie było bynajmniej sprawą ambicyi osobistej. Było ono wyrazem nieuniknionego starcia się zasad federalizmu i centralizacyi, swobodnej komuny z ojcowskim rządem państwa, swobodnej twórczej działalności mas ludowych z dążeniem do prawodawczej reformy istniejących stosunków, wytworzonych ustrojem kapitalistycznym. Było to nakoniec starcie się łacińskiego ducha z germańskim Geist, który, pokonawszy Francję na polu bitwy, pożądał teraz przewodnictwa w dziedzinie nauki, polityki, filozofii, a także socyalizmu, przeciwstawiając swoje «naukowe» pojmowanie socyalizmu «utopijnemu» socyalizmowi drugich.

Na kongresie Międzynarodówki, odbytym w Hadze, 1872 r., Londyńska Rada Generalna, opierając się na fikcyjnej większości, wykluczyła z Międzynarodowego Związku Robotniczego Bakunina, jego przyja-

ciela Guillaume'a i całą Federację Jurajską. Ale ponieważ było rzeczą niewątpliwą, że federacje Hiszpańska, Włoska i Belgijska staną po stronie Jurajskiej, kongres zamierzył rozwiązać Internacyonał. Postanowił on, że nowa Rada Generalna, złożona z kilku socyal-demokratów, zasiadać będzie w New-Yorku, gdzie nie było organizacyi robotniczych, które mogłyby kontrolować czynności Rady. Odtąd nie słyszano już o niej więcej, — Hiszpańska zaś, Włoska, Belgijska i Jurajska federacya istniały jeszcze lat kilka i odbywały co roku swoje zwykłe kongresy.

W czasie gdy przyjechałem do Szwajcaryi, Federacya Jurajska była głównym ośrodkiem i najogólniej znaną reprezentantką Internacyonału. Bakunin już nie żył (umarł 1-go lipca, 1876 r.), ale federacya zachowywała swoje stanowisko, zdobyte za jego wpływem.

Położenie rzeczy we Francyi, Hiszpanii i Włoszech było tego rodzaju, że tylko żywotność rewolucyjnego ducha, który ogarnął robotników Internacyonału jeszcze przed wojną franko-pruską, nie dozwalała rządowi zdławić całego ruchu robotniczego i zaprowadzić panowania białego terroru. Wiadomo, że objęcie tronu francuskiego przez hrabiego Chambord, jednego z Burbonów, o mało nie stało się faktem spełnionym. MacMahon pozostawał na stanowisku prezydenta Rzeczypospolitej tylko w tym celu, aby przygotować restauracyę monarchii. Sam dzień uroczystego wjazdu Henryka V do Paryża był już oznaczony; nawet chomąty, ozdobione koroną królewską z cyframi, były już gotowe. Wiadomo także, że restauracya monarchii chybiła dla tego, że Gambetta i Clémenceau, oportunistą i radykał, zorganizowali w większej części prowincyi Francyi szereg uzbrojonych komitetów, gotowych powstać za pierwszą oznaką przewrotu państwowego. Główną siłę tych komitetów tworzyli robotnicy, z któ-

rych wielu było niegdyś członkami InternacyoŃalu i zachowało dawnego swego ducha. I mogę powiedzieć na zasadzie tego, co wiem osobiście, że gdyby nawet radykalni przywódcy burżuazyi zawahali się w chwili stanowczej, robotnicy — przeciwnie — skorzystałoby z pierwszej sposobności, żeby podnieść powstanie, które, rozpoczęte w obronie republiki, rozwinęłoby się dalej w kierunku socjalistycznym.

To samo powiedzieć można o Hiszpanii. Skoro tylko duchowieństwo i arystokracja, otaczające króla, popychały go na drogę reakcyi, republikanie grozili natychmiastowem powstaniem, w którym jako na prawdę bojowy żywioł wystąpiliby głównie robotnicy. Obie strony zarówno wiedziały o tem. Sama Katalonia tylko liczyła wówczas przeszło sto tysięcy robotników, zorganizowanych w silne związki robotnicze; przeszło 80,000 Hiszpanów należało do InternacyoŃalu; zbierali się oni regularnie na swoje kongresy i płacili akuratanie swoje składki członkowskie z czysto hiszpańskiem poczuciem obowiązku. Mówię o tych organizacjach na zasadzie osobistej znajomości z niemi na miejscu. Wiem, że zamierzały one ogłosić federacyjną rzeczpospolitą hiszpańską i wyrzec się kolonii, w miejscowościach zaś, które zgodziłyby się pójść dalej, poczynić pewne próby w duchu kolektywistycznym. Jedna tylko ciągła obawa powstania powstrzymała monarchię hiszpańską od ostatecznego zgnębienia wszystkich robotniczych i chłopskich organizacyi i od brutalnej klerykalnej reakcyi.

Podobnie warunki panowały i we Włoszech. W północnej ich części związki robotnicze nie osiągnęły jeszcze dzisiejszego swego rozwoju, ale różne prowincye kraju usiane były sekcjami InternacyoŃalu i grupami republikańskimi. Monarchia żyła pod ciągłą grozą obalenia w razie gdyby republikanie klas śred-

dnich połączyli się z rewolucyjnymi żywiołami robotniczymi.

Jednym słowem, rozważając teraz przeszłość, od której ćwierć wieku nas przedziela, mogę z całą pewnością powiedzieć, że jeżeli Europa nie pogrążyła się po 1871 r. w mroku najcięższej reakcyi, to zawdzięczamy to głównie temu duchowi rewolucyjnemu, który obudził się na Zachodzie przed wojną franko-pruską i podsycił się po rozbiciu Francyi przez anarchistyczne żywioły Internacyoalu, przez Blankistów, Mazzinianistów i hiszpańskich «Kantonistów» (republikanów federacyjnych). Ma się rozumieć, Marksisci pochłonięci wyłącznie swą miejscową walką wyborczą, niewiele wiedzieli o tem wszystkim. W obawie ściągnięcia na swą głowę gromów Bismarcka, w obawie — przede wszystkim — aby obudzenie się ducha rewolucyjnego w Niemczech nie wywołało represyi rządowych, których, nie czując się dość silnymi, nie mogliby spotkać twarzą w twarz; socyal-demokraci ze względów taktycznych nietylko przyjęli opozycyjną postawę w obec wszystkich rewolucyonistów zachodnich, ale przeniknęli się powoli nienawiścią do rewolucyjnego ducha w ogóle. Gniewnie występywali przeciw niemu, gdziekolwiek się pojawił, — nawet gdy spostrzegli pierwsze jego objawy w Rosyi.

Za Mac-Mahon'a nie można było myśleć o wydawaniu gazet rewolucyjnych we Francyi. Nawet śpiewanie «Marsylianki» uważało się za przestępstwo. Pamiętam, jak zdumiony byłem na widok przerażenia, które ogarnęło moich towarzyszy podróży klasy trzeciej, gdy kilku rekrutów zanuciło na peronie pieśń rewolucyjną; było to w maju 1878 r. «Czyż pozwolono znowu śpiewać marsylianke?» zapytywali trwożnie jeden drugiego.. W obec tego socyalistycznych gazet we Francyi nie było. Gazety hiszpańskie były bardzo

dobrze redagowane i niektóre manifesty kongresów hiszpańskich wybornie objaśniały zasady socjalizmu anarchicznego. Ale któż po za granicami Hiszpanii wie cokolwiek o jej ideałach? Co zaś do gazet włoskich, to były one wszystkie niedługowieczne; pojawiały się, znikwały i znów powstawały pod inną nazwą; i choć niektóre z nich były znakomite w swoim rodzaju, nikt ich także nie znał po za granicami Włoch. Wskutek tego Federacja Jurajska ze swymi gazetami, wydawanymi w języku francuskim, stała się ogniskiem, gdzie podsycał się i kształcił w krajach ła-cińskich ten duch, który — powtarzam to po raz drugi — uratował Europę od ponurego okresu reakcyi. Federacja Jurajska była także gruntem, na którym teoretyczne twierdzenia anarchizmu opracowane zostały przez Bakunina i jego zwolenników w języku, zrozumiałym na całym lądzie stałym Europy.

III.

Do Federacyi Jurajskiej należało wówczas wielu niepospolitych ludzi różnych narodowości, przeważnie osobistych przyjaciół Bakunina. Redaktorem naszej głównej gazety był James Guillaume, nauczyciel z zawodu, pochodzący z jednej z patrycyuszowskich rodzin Neufchâtel'u. Małego wzrostu, szczupły, przypominający trochę Robespierre'a z szorstkiej powierzchowności i śmiałości umysłu, posiadał zarazem prawdziwie złote serce, które wylewało się tylko w serdecznej, poufalej przyjaźni. Jego niezmordowana czynność i zdumiewająca zdolność pracy czyniły go przyrodzonym kierownikiem ludzi. Osiem lat walczył z wszelkiego rodzaju przeszkodami, aby utrzymać byt gazety, przyjmując równocześnie najczynniejszy

udział w najdrobniejszych sprawach federacji, póki nie został zmuszonym opuścić Szwajcaryi, gdzie już nie mógł znaleźć żadnej pracy. Wtedy osiedlił się we Francyi, gdzie imię jego będzie z czasem wspomniane z szacunkiem w historii wyzwolenia szkoły ludowej z pod wpływu klerykałów. Adamar Schwitzgebel, także Szwajcar rodem, był typowym przedstawicielem tych wesołych, pełnych życia, bystrych, mówiących po francusku zegarmistrzów, których można spotkać w górach Jura prowincyi Berneńskiej. Z zawodu rytownik kopert od zegarków, nie starał się nigdy rzucić swego rzemiosła i zawsze wesół i czynny, potrafił utrzymywać swoją liczną rodzinę nawet w czasie kryzysów, kiedy w robocie panował zastój i zarobki były bardzo skąpe. Schwitzgebel posiadał zdumiewającą zdolność orientowania się szybko w najtrudniejszej politycznej albo ekonomicznej kwestyi, którą umiał — po gruntownej rozwadze — wyłożyć jasno, prosto, z punktu widzenia robotnika, nie ujmując jej ani głębokości, ani znaczenia. Zнали go wszędzie «w górach», a na kongresach, gdzie spotykali się robotnicy różnych krajów, był ogólnym ulubieńcem.

Rażącą sprzeczność z nim tworzył drugi Szwajcar, także zegarmistrz, Spichiger. Ten był filozofem, powolny w ruchach i w myśli, Anglik z powierzchowności. Starał się zawsze zgłębić każdą kwestyę do dna i uderzał nas trafnością swych wniosków, do których dochodził drogą wszechstronnych rozmyślań, przesiadując dniami całymi w milczeniu u swego warsztatu.

Około tych trzech ludzi grupowało się kilku poważnych, inteligentnych robotników, — jedni w wieku średnim, drudzy starcy, — wszyscy namiętnie kochali wolność i z zapalem przyłączyli się do tak wielkiego

ruchu — i około setki młodzieży, gorącej i śmiałej, także po większej części zegarmistrzowskiego fachu. Wszyscy wyróżniali się niepodległością swych poglądów, łagodnością i entuzjazytycznym oddaniem się sprawie, dla której gotowi byli ponieść wszelkie ofiary.

Kilku byłych komunistów francuskich z 1871 r., przebywających na wygnaniu, weszło do federacyi. W ich liczbie znajdował się wielki geograf, Elizeusz Réclus, typowy purytanin z obejścia się i w życiu, a co do swej umysłowości francuski filozof-encyklopedysta z XVIII wieku, wódz natchniony, który umie przelać swego ducha w drugich, ale nigdy nie rządził i nigdy nie będzie rządzić nikim; anarchista, którego anarchizm jest wynikiem szerokiej i gruntownej znajomości form życia ludzkiego we wszystkich klimatach i na różnych stopniach cywilizacyi; czyje książki zaliczają się do najznakomitszych utworów XIX wieku i czyj styl zachwyca swą pięknnością i wzrusza rozum i sumienie. Kiedy Réclus wchodzi do redakcyi gazety anarchistycznej, pierwszym jego pytaniem, choćby redaktor był smarkacz w porównaniu z nim, jest: «powiedzcie, co mam robić?» I otrzymawszy odpowiedź, zasiada, jak zwykły gazeciarski wyrobnik do pracy, aby wypełnić tyle to wierszy dla następnego numeru. W czasie komuny Réclus chwycił poprostu broń i stanął w szeregu. A gdy zapraszał kogo na współpracownika którego z tomów swej całemu światu znanej geografii i ten zapytywał nieśmiało: «co mam robić», Réclus odpowiadał: «Oto książki, oto stół. Rób pan, co i jak chcesz».

Towarzyszem jego był podeszły Lefrançais, były nauczyciel, po raz trzeci znajdujący się już na wygnaniu: po dniach czerwcowych 1848 r., po napoleońskim «coup d'état» i po 1871 r. Był on członkiem komuny, to jest jednym z tych, o których mówiono,

że po upadku komuny unieśli w swych kieszeniach kilka milionów franków. O wiarogodności tych twierdzeń prasy burżuazyjnej można sądzić z tego, że Lefrançais pracował jako tragarz na stacyi kolejowej w Lozannie i razu pewnego o mało nie został zabity przy wyładowywaniu ciężarów, wymagających młodszych ramion, niż jego. Książka Lefrançais o komunie paryzkiej jest jedyną, w której rzeczywiste historyczne znaczenie ruchu jest przedstawione w odpowiednim świetle.

— «Ja komunalista, a nie anarchista, jeśli łaska», mawiał zwykle. — «Nie mogę pracować z takimi szaleńcami, jak wy!» A tymczasem nie pracował z nikim, tylko z nami, «dla tego, że wy, szaleńcy, jesteście ludźmi, których mogę kochać. Z wami można pracować, pozostając zarazem samym sobą».

Znajdował się między nami jeszcze drugi członek paryskiej komuny, cieśla Pindy, rodem z Francyi północnej, przybrane dziecko Paryża. Zyskał on wielką popularność w Paryżu swoją energią i jasnością umysłu, którą wykazał w czasie jednego wielkiego strejku, popieranego przez Internacyonał, wkrótce po założeniu Związku Robotniczego. W 1871 r. wybrany został na członka komuny, która mianowała go komendantem pałacu Tuilleries. Kiedy wojska wersalskie weszły do Paryża, mordując jeńców setkami, — rozstrzelano w różnych punktach miasta przynajmniej trzech ludzi, których wzięto za Pindy'ego. Po bitwie ukryła go dzielna dziewczyna, szwaczka i zimną krwią swoją ocaliła go, gdy żołnierze przyszli przetrząsać dom. Została później jego żoną. Dopiero w rok potem udało się mu niepostrzeżenie wymknąć z Paryża i przedostać do Szwajcaryi. Tu wyuczył się probierskiego rzemiosła. Całe dnie spędzał teraz u rozpalonego ogniska, wieczorami zaś całą duszą oddawał się propa-

gandzie, w której w zadziwiający sposób umiał połączyć namiętność rewolucjonisty ze zdrowym rozsądkiem i zdolnością organizatorską, cechującą w ogóle robotników paryskich.

Paul Brousse był wtedy doktorem niezwykle bystrego umysłu, pełen ożywienia, nawet hałaśliwy, sarkastyczny, chętnie rozwijał każdą ideę z geometryczną ścisłością do ostatnich, krańcowych jej wyników. Jego krytyka państwa i instytucji państwowych odznaczała się szczególną zjadliwością i siłą. Brousse znajdował czas wydawać dwie gazety: jedną francuską, drugą niemiecką, (nie znając niemieckiego języka), pisać tuzinami obszerne listy i rej wodzić na robotniczych wieczorach. Był nieustannie zajęty organizacją nowych grup, z całą żywością i subtelnością umysłu prawdziwego «południowca».

Z pomiędzy Włochów, pracujących z nami w Szwajcaryi, wyróżniają się zwłaszcza dwaj bliźcy przyjaciele Bakunina, Cafiero i Malatesta. Imiona ich wspominają się zawsze razem i będą pamiętne niejednemu włoskiemu pokoleniu. — Cafiero, wzniosły i zapalony idealista, poświęcił cały swój majątek na wspólną sprawę i nigdy nie troszczył się pytaniem, z czego żyć będzie potem; myśliciel, wечно zatopiony w filozoficznych spekulacjach, człowiek najłagodniejszy z natury, ale wziął broń i poszedł w góry Benewentu, gdy on sam i przyjaciele jego postanowili wywołać powstanie socjalistyczne, choćby na próbę, choćby tylko dla tego, żeby pokazać ludowi, iż bunt chłopski powinien być czemś poważniejszym, aniżeli zwykle żywiołowe rozruchy przeciw poborcom podatków. — Malatesta, były student medycyny, wyrzekł się dla rewolucyi i zawodu i majątku: szlachetny idealista, gorącego serca i umysłu. Przez całe swoje życie (ma teraz około 50-ciu lat) nigdy nie myślał, czy będzie

miał kawałek chleba na obiad i gdzie nocleg znajdzie. Nie mając własnego kąta, sprzedawał lody na ulicach Londynu, aby zarobić na chleb, a nocami pisywał świetne artykuły do gazet włoskich. We Francji wtrącono go do więzienia, potem uwolniono i wydalono. We Włoszech został po raz drugi skazany i zesłany na wyspę, zkąd uciekł i niebawem powrócił pod zmyślonem nazwiskiem do kraju. Malatestę zawsze znaleźć można tam, gdzie walka wre na ostre, czy to w ojczyźnie, czy po za jej granicami. A takie życie prowadzi on już trzydzieści lat! I bez względu na czas i okoliczności, w których go spotykamy, czy to po wypuszczeniu z więzienia, czy po ucieczce z wyspy, znajdujemy go zawsze takim rzeźkim, jakim żegnaliśmy go ostatnim razem. Zawsze gotów stanąć na nowo do walki, zawsze pełen miłości dla ludzi, pobłażliwy dla swych przeciwników i stróżów więziennych, zawsze ma serdeczny uśmiech dla przyjaciół i pieczętę dla dziecka.

Rosyan było w pośród nas bardzo niewielu, gdyż większość moich rodaków skłaniała się raczej ku obozowi socyal-demokratycznemu. Przyłączył się jednak do naszego koła stary przyjaciel Herzena, N. I. Żukowski, który opuścił Rosyę 1863 r., miły, wykwintnej powierzchowności, bardzo dowcipny i rozumny, wielki ulubieniec robotników. Więcej, niż ktokolwiek z nas, posiadał on to, co Francuzi nazywają «l'oreille, du peuple». Robotnicy słuchali go chętnie; umiał rozpalić serce ludu, natchnąć go poczuciem wielkiej jego roli w przekształceniu ludzkości; umiał podnieść wysoko nastrój robotników, odsłaniając przed nimi wspaniałe obrazy przyszłości; umiał na oczekaniu rozświetlić najbardziej zawikłaną ekonomiczną kwestyę i zelektryzować słuchaczy siłą swego gorącego i szczerego przekonania. Chwilowo pracował także z nami były oficer

generalnego sztabu N. W. Sokołow, wielbiciel Pawła Ludwika Courier'a dla śmiałości jego zapatrywań i pióra i Proudhon'a dla jego filozoficznych poglądów. Sokołow nawrócił wiele osób w Rosyi na socyalizm swymi artykułami w «Ruskim Słowie».

Wspominam tylko tych, którzy zastąpili jako pisarze, jako delegaci na kongresach, albo jako organizatorowie. Ale zapytuję sam siebie, czy nie należałoby raczej pisać o tych, którzy pozostali nieznanymi, a jednak posiadali tak ważny udział w życiu Federacyi, jak każdy z piszących i bardziej rozgłośnych? Czyż nie słuszniejszą byłoby rzeczą wspomnieć bojowników szeregowych, gotowych zawsze uczestniczyć w każdym przedsięwzięciu, nie rozmyślając wiele, czy sprawa będzie wielką, czy drobną, głośną czy cichą, czy pociągnie za sobą doniosłe następstwa, czy tylko ciągle troski dla nich i ich rodzin.

Powinienbym był także powiedzieć kilka słów o Niemcach, Wernerze i Hinkem, którzy piechotą przywędrowali na kongres ze Szwajcaryi do Belgii; o Hiszpanie, Albarracinie, studencie, którego strejk w Alcoja uczynił głową Alcojskiej gminy i o wielu innych; ale boję się, że moje pobieżne szkice nie zdołają natchnąć czytelników tem uczuciem szacunku i miłości, które żywili dla tej małej rodziny wszyscy, którzy znali członków jej osobiście.

IV.

Ze wszystkich znanych mi miast szwajcarskich Chaux-de-Fonds może najmniej jest ponętne. Leży na wysokiem płaskowzgórzu, całkiem pozbawionem roślinności i odsłoniętem dla przenikliwego, ostrego wiatru, dmącego całą zimę. Śniegi bywają tu nieraz

tak głębokie, jak w Moskwie, a topnieją i padają znowu tak często, jak w Petersburgu. Ale zależało nam bardzo na tem, aby rozkrzewić nasze idee w tym właśnie punkcie środkowym okolicy i tętnąć więcej życia w miejscową propagandę. Mieszkali tu jeszcze oprócz mnie: Pindy, Spichiger, Albarracin, blankieści Ferré i Jeallot. Od czasu do czasu mogłem odwiedzać ztąd Guillaume'a w Neufchâtel i Schwitzgebela w dolinie Saint-Imier.

Porwało mię znowu życie pełne gorączkowej, tak drogiej mi działalności. Urządzaliśmy liczne zebrania i sami roznosiliśmy afisze z oznajmieniem o nich po kawiarniach i warsztatach. Raz na tydzień zgromadzała się nasza sekcya, a posiedzenia jej ożywione były nieraz gwałtownymi sporami. Wybieraliśmy się też czasem z propagandą anarchizmu na zebrania, zwoływane przez różne polityczne partye. Podróżowałem bardzo wiele, zwiedzając inne sekcye i pomagając im. Zjedналиśmy sobie tej zimy liczne sympaty wśród miejscowej ludności, choć silną przeszkodę w pracy regularnej stanowił kryzys, jaki przechodził fach zegarmistrzowski. Połowa robotników pozostawała bez zajęcia, albo też była zajęta tylko kilka godzin tygodniowo. W skutek tego magistraty zmuszone były otworzyć tanie kuchnie. Pracownia kooperacyjna, założona w Chaux de Fonds przez anarchistów, w której zarobki rozdzielały się w równej części między jej członków, z trudnością tylko dostawała pracę, pomimo swej poważanej opinii. Spichiger, jeden z lepszych rzemieślników swego fachu, musiał nawet czas jakiś zarabiać na życie przygotowaniem szerści dla jakiegoś z zakładów tapicerskich. Rok ten upamiętnił się słynną demonstracją z czerwonym sztandarem w Bernie, w której wszyscy braliśmy udział. Fala reakcyi dosięgła i Szwajcaryi i policya berneńska wbrew

konstytucyi zakazała noszenia sztandarów robotniczych na ulicach. Trzeba więc było pokazać, że — przynajmniej w niektórych miejscach — robotnicy nie pozwolą deptać swych praw i stawiają opór. W rocznicę komuny paryskiej udaliśmy się wszyscy do Berna, aby — mimo zakazu przejść przez ulice z czerwonym sztandarem. Ma się rozumieć, przyszło do utarczki z policją, w której dwóch towarzyszy otrzymało cięcie szablą i dwóch policyantów odniosło dość ciężkie rany. Ale jeden czerwony sztandar wnieśliśmy szczęśliwie do sali, gdzie odbył się entuzjastyczny miting. Niema co dodawać, że tak zwani prowodyrowie, znajdowali się w szeregach i bili się wspólnie ze wszystkimi. Pociągnięto do odpowiedzialności około trzydziestu obywateli szwajcarskich; sami oni oznajmili sędziemu śledczemu o swym udziale w manifestacyi i domagali się rozprawy sądowej; obaj manifestanci, którzy ranili policyantów, wystąpili niezwłocznie z szeregów i dobrowolnie przyznali się do swego czynu. Proces obudził dużą sympatyę dla naszej sprawy. Zrozumiano, że każde zdobyte prawo musi być bronionem przez lud wytrwale, jeśli nie ma być odjętem. Dzięki tej postawie publiczności wyrok zapadł stosunkowo dość łagodny; najsurowszy opiewał najwyżej na trzy miesiące więzienia.

Rząd Berneński zabronił jednakże w ślad za tem wywieszania sztandaru czerwonego w całym kantonie. Wtedy Federacya Jurajska postanowiła wystąpić z nim, bez względu na wszelkie zakazy, w Saint-Imier, gdzie miał odbyć się nasz kongres doroczny i bronić go z bronią w ręku. Tym razem byliśmy wszyscy uzbrojeni i zdecydowani bronić naszego sztandaru do ostateczności. Na jednym z placów, przez który mieliśmy przechodzić, rozstawiono oddział policyantów, opodal zaś trzymano w pogotowiu na polu cały pluton mi-

licy, zwołany rzekomo dla nauki strzelania. Słyszeliśmy doskonale wystrzały strzelców, przechodząc przez ulice miasta. Ale kiedy pochód nasz ukazał się przy dźwiękach muzyki wojskowej na placu i stało się widocznem, że wmieszanie się policyi wywoła poważny rozlew krwi, mer pozwolił nam iść spokojnie. Doszliśmy więc swobodnie do sali, gdzie obył się nasz miting. Nikt z nas nie pożytał starcia z policyą, ale podniecenie, wywołane tym pochodem w bojowym porządku, w takt muzyki wojskowej, było tak silnem, że trudno powiedzieć, jakie uczucie przeważało między nami, gdyśmy doszli do sali: czy uczucie ulgi, że krwawe starcie zażegnanem zostało, czy żal, że wszystko odbyło się tak spokojnie. Człowiek — istota dziwnie złożona.

Główna nasza działalność zasadzała się zresztą na formułowaniu anarchizmu socyalistycznego w teorii i w jego praktycznem zastosowaniu. I w tym względzie Federacya Jurajska dokonała dzieła, które pozostawi trwałé ślady w historii.

Widzieliśmy, że u narodów cywilizowanych kiełkuje nowa forma społeczności w miejsce dawnej — społeczność równych między sobą. Członkowie jej nie będą więcej zmuszeni sprzedawać swą pracę i myśl tym, którzy dziś wynajmują ich dowolnie i zależnie od swych osobistych widoków. Przeciwnie, będą mogli zastosować wiedzę swą i zdolności w pracy wytwórczej na korzyść wszystkich i w tym celu będą układać się w organizmy, zdolne połączyć wszystkie dane siły dla wytworzenia największej sumy dobrobytu dla wszystkich, z pozostawieniem równocześnie osobistej inicjatywie każdej jednostki najzupełniejszej swobody. Społeczność ta będzie składać się z wielkiej liczby asocyacyi, zjednoczonych wzajemnie dla

tych celów, które z natury swej wymagają zjednoczenia: z federacyi przemysłowych dla wszelkiego rodzaju produkcji: rolniczej, przemysłowej, naukowej, artystycznej — i z gmin spożywczych, które z jednej strony zawiadywać będą wszystkim, co się tyczy urządzenia mieszkań i zdrowotności publicznej, a z drugiej zaopatrywać swych członków w odzież, żywność i inne środki życia.

Powstaną także federacye gmin tych między sobą i gmin spożywczych z asocyaacyami wytwórczemi. I nakoniec powstaną jeszcze szersze związki, pokrywające cały kraj, albo kilka krajów, których członkowie będą łączyć się wspólnie w celu zadowolenia swych ekonomicznych, naukowych, artystycznych i moralnych potrzeb, o ile te ostatnie przekroczą granice pojedynczych krajów. Wszystkie te związki tworzyć się będą swobodnie i samodzielnie, za wspólną zgodą członków gmin. W taki sposób już dziś pracują kompanie kolejowe, albo pocztowe instytucye różnych krajów, choć nie posiadają wspólnego centralnego kolejowego albo pocztowego departamentu i mimo że pierwsze mają na widoku tylko egoistyczne własne cele, a drugie pozostają w zawiadywaniu różnych, często wrogich sobie państw. Podobnie nasze instytucye meteorologiczne, kluby górnicze, angielskie stacje ratunkowe, związki bicyklistów, nauczycieli, literatów i t. d. podają sobie wzajemnie ręce w celu wspólnej pracy, lub poprostu dla przyjemności. Nowe formy produkcji i wszelkiego rodzaju organizacyi będą miały zapewnioną zupełną swobodę rozwoju, inicjatywa osobista będzie się starannie pobudzać, dążność zaś do jednostajności i centralizacyi hamować. Ztąd jednak wcale nie wynika, aby społeczeństwo miało się krystalizować w jakieś ściśle ujęte, nieruchome formy; przeciwnie, będzie ono bezustannie zmieniało swoją

postać, gdyż będzie żywym organizmem, w całej pełni swego rozwoju. Wszelki rząd stanie się wówczas zbytecznym, gdyż we wszystkich wypadkach, uważanych dotąd za podległe władzy rządowej, zastąpi ją najzupełniej wzajemna zgoda i swobodna umowa; wypadki ostrych starć z konieczności staną się daleko rzadsze, o ile zaś zachodzić będą, rozstrzygnie je pokojowo sąd polubowny.

Nikt z nas nie starał się obniżyć wagi i znaczenia tej zmiany, którą przewidywaliśmy w przyszłości. Pojmowaliśmy bardzo dobrze, że utarte poglądy na własność prywatną ziemi, fabryk, kopalń, mieszkań i t. d. jako na konieczny warunek rozwoju przemysłowego i na obecny system płacy zarobkowej, jako na jedyny środek zmuszenia ludzi do pracy, — nieprędko jeszcze ustąpi miejsca wznioślejszym pojęciom o własności i wytwórczości społecznej. Wiedzieliśmy, że cierpliwa, męcząca propaganda poprzedzić musi długą walkę i wywołać szereg pojedynczych i zbiorowych wystąpień przeciw obecnej formie posiadania prywatnego; że koniecznymi będą liczne ofiary, oddzielne próby społecznych przekształceń i wybuchy miejscowych rewolucyi, zanim zastarzałe pojęcia o własności ulegną radykalnej zmianie. Było nam również jasnym, że narody cywilizowane i nie zechcą i nie potrafią pozbyć się odrazu panujących obecnie idei o niezbędności władzy, idei, w których wszyscy byliśmy wychowani. Tylko długoletnia propaganda, liczne pojedyncze powstania przeciwko istniejącym władzom i gruntowna rewizya doktryn, mylnie wprowadzanych z doświadczeń historyi zdołają przekonać ludzi, jak bardzo mylili się oni, przypisując swym rządóm i prawóm to, co w istocie jest wynikiem ich własnych przyzwyczajzeń i społecznych instynktów. Ale wiedzieliśmy także, że dążąc do przekształceń

w obu tych kierunkach, postępujemy z postępem, a nie przeciw niemu.

Kiedy poznałem robotników zachodnio-europejskich i sympatyzującą z nimi inteligencją, przekonałem się wkrótce, że cenią oni swobodę osobistą daleko wyżej, niż swój dobrobyt życiowy. Pięćdziesiąt lat temu robotnicy gotowi byli sprzedać swą swobodę każdemu władcy i nawet lada jakiemu Cezarowi w zamian za obietnice dóbr materyalnych. Ale dzisiaj rzeczy się zmieniły. Przekonałem się, że ślepa wiara w obieralnych przywódców, nawet z pomiędzy najzasłużeńszych kierowników ruchu robotniczego, wygasa powoli u robotników ras łacińskich. «Przedewszystkiem musimy wiedzieć, jakie są nasze potrzeby, a potem najlepiej zrobimy to sami», powiadali oni i zapatrywanie to silnie szerzyło się między robotnikami, daleko silniej, niż się ogólnie przypuszcza. Hasło Międzynarodowego Związku Robotniczego głosiło: «Wyzwolenie robotników powinno być dziełem ich własnych rąk» — i zasada ta zakorzeniła się głęboko w umysłach. Smutne doświadczenie komuny paryskiej potwierdzało ją w zupełności.

W pierwszych dniach komuny liczni przedstawiciele klas średnich gotowi byli sami przedsięwziąć pewne próby reform w duchu socjalistycznym, a przynajmniej nie sprzeciwiać się im. — «Kiedyśmy z bratem wychodzili z naszych małych izdebek na ulicę — powiedział mi raz Elizeusz Réclus, — ludzie z pośród klas zamożnych zapytywali nas ze wszech stron: «powiedzcie, co robić? spróbujemy iść z wami po nowej drodze». Ale my (i przy tych słowach uderzał się ręką w czoło) nie wiedzieliśmy wtedy, co odpowiedzieć.

Żaden rząd nie miał w swoim składzie tak licznych przedstawicieli partyi krańcowych, jak Rada Komuny, wybrana 25-go marca 1871 r. Wszystkie odcienia re-

wolucyjnych grup: blankiści, jakobini, międzynarodowcy — internacyoniści — były w nim w odpowiednim stosunku reprezentowane. Ale ponieważ robotnicy sami nie posiadali dość jasnych pojęć o naturze pożądaných reform społecznych, nie mogli przeniknąć niemi swych reprezentantów i w skutek tego rząd Komuny nie uczynił w tym kierunku. Skazywał go z góry na bezwładność brak bezpośredniej łączności z masami i samo zamknięcie się w Hôtel de Ville.. Rozważając dzieje Komuny, pojmowaliśmy tem dowodniej, że dla zwycięstwa samego socjalizmu koniecznem jest, aby idee bezrządu, samodzielności i swobodnej inicjatywy osobistej — jednym słowem idee anarchizmu jak najszerszej głoszone były, wspólnie z ideą uspołecznienia własności i produkcji.

Przewidywaliśmy, naturalnie, że pozostawiając każdej jednostce zupełną swobodę myśli i czynu, możemy się spotkać z pewną przesadą i nadużyciem naszych twierdzeń zasadniczych, zwłaszcza w praktycznych ich wynikach. Widziałem już coś podobnego w rosyjskim ruchu nihilistycznym. Ale ufaliśmy — a doświadczenie pokazało, żeśmy się nie mylili — że samo życie społeczne w połączeniu z jawną i szczerą krytyką pojęć i czynów usunie powoli i samo przez się zbyt krańcowe nadużycia. Postępowaliśmy — w gruncie rzeczy — zgodnie ze starą maksymą, głoszącą, że wolność jest najskuteczniejszym środkiem przeciwko wszelkim niedogodnościom i błędom, wpływającym z nadużycia wolności. W rzeczy samej, ludzkość przechowuje w sobie pierwiastek społecznych zwyczajów, oddziedziczony po poprzednich dawnych czasach i pokoleniach, — i dziś jeszcze niedostatecznie oceniony. Nie zewnątrznią przemocą utrzymują się te zwyczaje w społeczeństwie, albowiem są one wyższe i starożytniejsze po nad wszelką przemoc. Ale na nich

opiera się wszelki postęp ludzkości i póki ludzkość nie pocznie wyradzać się fizycznie i umysłowo, zwyczajów tych nie obali ani gwałtowna, radykalna krytyka, odrzucająca urzędową obyczajową moralność, ani chwilowe przeciwko nim bunty. W tych moich przekonaniach utwierdzałem się coraz silniej w miarę tego, jak rosła moja znajomość ludzi i życia.

Rozumieliśmy równocześnie, że konieczne przeobrażenia w tym duchu nie mogą być dziełem jednego tylko człowieka, choćby najbardziej genialnego. Nie będą one gotowym owocem naukowego odkrycia lub nagłego natchnienia, ale następstwem twórczej pracy ludowych mas, podobnie jak te właśnie masy ludowe, a nie pojedyncze genjusze wytworzyły niegdyś średniowiekowe prawo obyczajowe, gminę wiejską, cechy, gildye, średniowieczne miasta i główne podstawy międzynarodowego prawa.

Wielu z naszych poprzedników usiłowało naszkicować przyszłą idealną rzeczpospolitą, zasadzając ją bądź na podstawie władzy, bądź też — w rzadkich wypadkach — na podstawie swobody. Robert Owen i Fourier dali światu swój ideał swobodnego, organicznie rozwijającego się społeczeństwa — w przeciwstawieniu do idealnej społecznej piramidy, na wzór imperyum rzymskiego, lub kościoła katolickiego. Proudhon rozwijał dalej pracę Owena i Fouriera, a Bakunin opierając swoją krytykę instytucji współczesnych na szeroki i jasny pojmowaniu historii, «niszcząc — budował». Ale wszystko to było dopiero wstępną przygotowawczą robotą.

Międzynarodowy Związek Robotniczy stworzył nową metodę rozwiązywania zadań socjologii praktycznej: powołał do współdziałania samych robotników. Ludzie wykształceni, wstępujący do związku, podejmowali się tylko powiadamiać robotników o tem, co się dzieje

w innych krajach, wyjaśniać im otrzymane korzyści i pomagać im w dokładnem formułowaniu ich własnych wniosków. Nie myśleliśmy wcale przesądzać na podstawie naszych teoretycznych przesłanek, jakim powinno być idealne społeczeństwo; wzywaliśmy tylko robotników, aby badali sami przyczyny istniejących niedomagań społecznych i starali się wypracować na swych zebraniach i kongresach praktyczne zasady lepszego w porównaniu z naszym ustroju społecznego. Kwestye, poruszane na kongresie międzynarodowym, zalecały się wszystkim związkom robotniczym jako przedmiot studyów i krytyki w ciągu następnego roku. Roztrząsano je wtedy w całej Europie na niewielkich zebraniach sekcji, z uwzględnieniem miejscowych potrzeb każdej gałęzi przemysłu. Prace sekcji przedstawiały się następnemu kongresowi każdej federacyi i nakoniec w starannie opracowanej formie wnosily się na najbliższym kongresie międzynarodowym. Tym sposobem teoretyczne i praktyczne podstawy tego społeczeństwa, ku któremu dążyliśmy wypracowywały się z dołu. I Federacya Jurajska przyjęła bardzo czynny udział w ukształtowaniu się kolektywistycznych i anarchistycznych ideałów.

Co się mnie osobiście tyczy, to dzięki pomyślnym warunkom, wśród których się znajdowałem, przyszedłem stopniowo do przekonania, że anarchizm jest czemś więcej, niż prostym tylko sposobem działania, albo ideałem swobodnego społeczeństwa. Jest on filozofią zarówno przyrody, jak i społeczeństwa, filozofią, która powinna postępować zupełnie odmienną drogą, niż stosowane dotąd w antropologicznych i socyologicznych naukach metody metafizyczne i dyalektyczne. Widziałem, że anarchizm powinien posługiwać się temi samemi metodami, co nauki przyrodnicze i opierać nie na ślizkim gruncie dorywczych analogii, jak to

czyni Herbert Spencer, a na trwałej podstawie indukcji, zastosowanej do urządzeń ludzkich. I starałem się uczynić wszystko, co mogłem w tym kierunku.

V.

W jesieni 1877 r. odbyły się w Belgii dwa kongresy: jeden Międzynarodowej Asocjacji Robotniczej w Verviers; drugi międzynarodowy kongres socjalistyczny w Gent. Ten ostatni zwłaszcza był szczególnie ważny, ponieważ było wiadomem, że niemieccy socjal-demokraci zamierzają pokusić się na nim o wtłoczenie całego robotniczego ruchu europejskiego w ramy jednej organizacyi, której głową zostałby Komitet Centralny; właściwie dawna Rada Generalna Internacyonału, tylko pod inną nazwą. W obec tego koniecznem było utrzymać autonomię organizacyi robotniczych w krajach łacińskich i nie szczędziliśmy zabiegów, aby wysłać na kongres dostateczną ilość naszych delegatów. Ja pojechałem pod nazwiskiem Lewaszewa; dwóch Niemców — zecer Werner i mechanik Hinke przeszli piechotą prawie całą drogę od Bazylei do Belgii. I choć było nas tylko dziewięciu anarchistów w Gent, udało się nam jednak pokrzyżować te centralizacyjne zamiary.

Ćwierć wieku upłynęło już od tej chwili: w ciągu tego czasu odbył się szereg międzynarodowych socjalistycznych kongresów i na każdym z nich wszczyła się ciągle ta sama walka: socjal-demokraci usiłowali zaciągnąć cały ruch robotniczy pod swój sztandar i poddać go swej kontroli, anarchiści zaś powstawali przeciw tym zamachom i starali się je udaremniać. Ile sił strwoniono na próżno! Ile wypowie-

dziano gorzkich słów! jakie rozstrzelenie i rozdrobienie sił! A wszystko to dla tego, że zwolennicy zasady «zawojowania władzy w istniejącem państwie» nie rozumieją, że akcyja w myśl tego ograniczonego programu nie może wyczerpać w sobie całego socjalistycznego ruchu! Od pierwszych swych kroków socjalizm rozwijał się w trzech kierunkach, których przedstawicielami byli: Saint-Simon, Fourier i Robert Owen. Saint-simonizm zrodził socjalną-demokrację; Furryeryzm dał początek anarchizmowi; nauka zaś Owena przeobraziła się w Anglii i w Ameryce w trade-unionizm, w kooperację i tak zwany socjalizm muni-cypalny, przyczem ruch ten pozostawał zawsze wrogim państwowemu socjalizmowi socjal-demokratów, ale miał pewne punkta styczne z anarchizmem. Zamiast jednak uznać, że wszystkie trzy ruchy dążą wspólnie do jednego celu trzema różnemi drogami, przyczem dwa ostatnie wnoszą także cenny przyczynek do ogólnego postępu, — wolano stracić bezplodnie dwadzieścia pięć lat w pogoni za nieziszczalną utopią jedyne-go ruchu robotniczego, według socjal-demo-kratycznego wzoru.

Kongres w Gent skończył się dla mnie w sposób wcale niespodziewany.

Na trzeci czy czwarty dzień po jego otwarciu policya belgijska dowiedziała się, kim jest Lewaszew i otrzymała rozkaz aresztowania mię pod pozorem naruszenia przepisów policyjnych, jakiego się dopuściłem, podając w hotelu zmyślane nazwisko. Ale moi belgijscy przyjaciele ostrzegli mię. Byli oni zdania, że znajdujące się wówczas u władzy ministeryum klerykalne zdolne jest wydać mię Rosyi i nalegali, żebym natychmiast opuścił kongres. Przyjaciele nie pozwolili mi nawet wrócić z jednego licznego mityngu do ho-

telu. Guillaume zagroził mi drogę, oświadczając, że użyje choćby siły, lecz nie da mi wrócić do hotelu. Musiałem więc zboczyć w inną stronę z kilku towarzyszami z Gent, gdy wtem — ze wszystkich stron ciemnego placu, po którym błąkały się małe gromadki robotników, — rozległy się gwizdnięcia i ciche nawoływania półgłosem. Wszystko to wyglądało bardzo tajemniczo. Nakoniec po długim szeptaniu i cichych sygnałowych świstach, oddział towarzyszy zaprowadził mię pod przyjacielską strażą do robotnika socyal-demokraty, gdzie miałem przepędzić noc i gdzie mnie, anarchistę, przyjęto najserdeczniej, jak brata. Nazajutrz rano odjechałem do Anglii i przy tem powtórnem wylądowaniu na brzegach Tamizy, wywołałem — pamiętam — dobroduszny uśmiech na twarz angielskiego urzędnika celnego. Życzył on sobie koniecznie obejrzeć mój bagaż, a ja mogłem pokazać mu tylko malutką ręczną torebkę podróżną.

I tym razem nie długo pozostawałem w Londynie. Korzystając z bogatych materiałów Brytańskiego Muzeum, studyowałem Rewolucję francuską, a raczej starałem się poznać, jak powstają rewolucye w ogóle. Ale to mię nie zadawalniało, pragnąłem szerszej działalności i wkrótce udałem się do Paryża. Po nielitościwym zdławieniu powstania komuny, ruch robotniczy budził się tu znowu i z chęcią przyjąłem w nim udział. Wspólnie z Włochem Costą, kilku francuskimi robotnikami anarchistami, Juliuszem Guesde i jego towarzyszami, którzy nie byli jeszcze wówczas wężkopartyjnymi socyal-demokratami, — założyliśmy pierwsze socyalistyczne grupy.

Początki nasze były bardzo skromne. W pięć, sześć osób schodziliśmy się po kawiarniach; a gdy udało się nam zebrać na mityngu setkę robotników, był to wielki tryumf. Nikt nie mógł powiedzieć, że za dwa

lata ruch tak potężnie się rozrośnie, ale we Francyi rzeczy rozwijają się odrębną, właściwą sobie drogą. Kiedy reakcyja bierze górę, wszystkie powierzchowne, widome ślady ruchu znikają, tylko wyjątkowi entuzyaści usiłują płynąć przeciw prądowi. Ale oto, jakąś tajemniczą, niezbadaną drogą, — za sprawą nieuchwytnego przesiąkania idei w umysły, reakcyja zostaje zachwiana. Powstaje nowy prąd i nagle okazuje się, że idea, którą wszyscy uważali za martwą, żyła przez cały ten czas, rosła i rozkrzewiała się. I skoro tylko jawna agitacyja staje się możliwą, występują tysiące jej zwolenników, których istnienia nikt nie podejrzywał. «W Paryżu — mówił stary Blanqui — znajduje się zawsze z pięćdziesiąt tysięcy ludzi, którzy nie przyjmują żadnego udziału w zebraniach i demonstracyach; ale gdy poczują, że można publicznie na ulicach wypowiedzieć swoje zapatrywania, zjawiają się natychmiast i jeśli trzeba, idą do szturmu». Tak właśnie miały się rzeczy wówczas. Było nas zaledwie dwudziestu ludzi, kierujących ruchem i liczyliśmy najwyżej dwustu jawnych stronników. Na pierwszym obchodzie rocznicy żałobnej po ofiarach Komuny w marcu 1878 r., z pewnością nie było nas więcej, niż dwustu ludzi. Ale w dwa lata potem ogłoszono amnestyę dla komunistów i wszystka robotnicza ludność Paryża wyroїła się na ulice na spotkanie powracających. Cisnęła się ona tłumnie na ich mityngi, oklaskując mówców z uniesieniem. Ruch socyalistyczny wybujał odrazu tak wysoko, że porwał za sobą radykałów.

Ale w kwietniu 1878 r. było jeszcze stosunkowo cicho i pewnej pięknej nocy aresztowano Costę i jeszcze jednego towarzysza — anarchistę Francuza. Sąd policyjny skazał ich na półtora roku więzienia, jako członków Internacyonalu. Ja sam uniknąłem aresztu

tylko wskutek pomyłki. Policya poszukiwała Lewaszewa i aresztowała jednego rosyjskiego studenta, który nosił bardzo podobne nazwisko. Ja zaś zameldowałem się pod mojem prawdziwym nazwiskiem i zabawiłem w Paryżu jeszcze około miesiąca. Potem wezwano mię do Szwajcaryi.

VI.

W czasie mego pobytu w Paryżu poznałem się z I. S. Turgeniewym. Oświadczył on naszemu wspólnemu przyjacielowi, P. L. Ławrowowi, iż pragnie mię poznać — i jako prawdziwy Rosyanin wydał w cześć mojej ucieczki niewielki przyjacielski obiad. Prawie z religijną czcią przestępowałem próg wielkiego powieściopisarza, który swemi «Zapiskami Myśliwego» oddał olbrzymią usługę Rosyi, budząc w społeczeństwie wstręt ku poddańczej niewoli ludu (nie wiedziałem jeszcze wtedy, że Turgeniew brał czynny udział w «Kołokole» Herzena), — następniemi zaś powieściami przyniósł młodej inteligencji rosyjskiej nie mniejszą korzyść. Stworzył on szereg wzniosłych, idealnych postaci i pokazał, czem może być rosyjska kobieta, jakie skarby serca i umysłu kryje ona w sobie i co zdziałać potrafi przez swój szlachetny wpływ na męża. Nauczył on nas, jak prawdziwie ucziwi ludzie zapatrują się na kobiety i jak je kochają. Na mnie i na tysiące moich rówieśników wywarła ta część właśnie literackiej działalności Turgeniewa wpływ nieobliczony, — bez porównania silniejszy, niż najlepsze artykuły w obronie kobiecych praw.

Powierzchnowość Turgeniewa jest ogólnie znaną. Był on bardzo przystojny: wysokiego wzrostu, silnie zbudowany, z czołem ocienionem miękkimi, siwymi

puklami włosów. W oczach, jaśniejących inteligencją, przeblyskiwały czasem iskierki humoru, obejście jego odznaczało się prostotą i brakiem afektacji, tak właściwym wybitniejszym rosyjskim pisarzom. Kształt jego pięknej głowy zdradzał na pierwszy rzut oka wysoki rozwój umysłowy; a gdy po śmierci I. S. Turgeniewa, Paweł Bert i Paweł Réclus (chirurg) zważyli jego mózg, znaleźli że tak dalece przewyższa on swoją wagą najcięższy z dotąd znanych mózgow — a mianowicie Cuvier'a, iż niedowierzając swoim szalkom, użyli nowych dla sprawdzenia wyniku.

Oryginalną zwłaszcza była rozmowa Turgeniewa. Mówił tak, jak pisał, — obrazami. Chcąc rozwinąć jaką myśl, nie używał argumentów, choć był mistrzem w prowadzeniu dysput filozoficznych, — ale ilustrował ją jaką sceną, oddaną w formie tak artystycznej, że zdawała się być wyjętą żywcem z jakiej jego powieści.

— Pan miał częstą sposobność obserwowania Francuzów, Niemców i innych Europejczyków — powiedział mi raz. Czy nie zauważyłeś pan, że istnieje niezmierna przepaść w sposobie zapatrywania się na wiele kwestyi cudzoziemców i nas, Rosyan; są punkty, co do których nigdy się nie zgodzimy.

Odpowiedziałem, że nie zauważyłem takich punktów.

— Nie, są. Ot, ma pan, na przykład. Razu pewnego byliśmy obecni na przedstawieniu jakiejś nowej sztuki. Siedziałem w loży z panami Flaubert, Daudet i Zola (nie pamiętam dokładnie, czy nazwał on i Daudet'a i Zolę, ale jednego z nich wspomniał na pewno). Wszyscy trzej, ma się rozumieć, są ludźmi postępowymi. Treść sztuki była następująca. Żona opuściła męża i żyła z kochankiem. Ten ostatni był przedstawiony w sztuce jako szlachetny, sympaty-

czny człowiek. Kilka lat żyli z sobą bardzo szczęśliwie. Dzieci jej, chłopiec i dziewczynka, były jeszcze bardzo małe w chwili, gdy matka rozstawała się z ich ojcem. Teraz wyrosły w przekonaniu, że jest nim kochanek matki. Postępował on z nimi zawsze, jak z rodzonymi dziećmi; kochały go i on je kochał także. Dziewczynka skończyła już lat osiemnaście, a chłopiec miał około siedemnastu. Scena przedstawia rodzinę, zgromadzoną przy śniadaniu. Dziewczynka zbliża się do swego mniemanego ojca, który chce ją pocałować, gdy wtem chłopiec, który dowiedział się przypadkowo prawdy, rzuca się ku nim i woła: «n'osez pas!» (nie waź się).

Ten okrzyk wywołał całą burzę w teatrze. Rozległy się huczne, szalone oklaski. Flaubert i jego towarzysze bili także brawo. Ja, ma się rozumieć, byłem oburzony.

— Jakto — mówiłem. Ta rodzina była szczęśliwą... Ten człowiek lepszym był dla dzieci, niż ich prawdziwy ojciec... matka kochała go... była z nim szczęśliwą... ależ tego złego, przewrotnego chłopaka należy poprostu oćwiczyć różgami!...

Darmo sprzeczailiśmy się nieraz o to całemi godzinami; żaden z tych postępowych pisarzy nie mógł mię zrozumieć.

Podzielałem naturalnie zdanie Turgeniewa, — zauważyłem tylko, że znajomości jego pochodziły przeważnie z klas średnich, wśród których różnice narodowościowe występują bardzo silnie. Ja zaś obracałem się wyłącznie prawie wśród robotników, a wszyscy robotnicy, zwłaszcza zaś chłopci wszystkich krajów, mało co różnią się pomiędzy sobą.

Było to jednak całkiem błędne mniemanie. Poznawszy potem bliżej robotników francuskich, musiałem nieraz uznać słuszność uwagi Turgeniewa. W rzeczy

samej, istnieje głęboka różnica między zapatrywaniami Rosyan na małżeństwo a pojęciami, panującymi ogólnie w tym względzie we Francyi, zarówno wpośród burżuazyi, jak i wpośród klas robotniczych. I pod wielu innymi względami przekonania nasze znajdują się w rażącej sprzeczności z pojęciami ludów europejskich.

Po śmierci Turgeniewa, zdaje mi się, czytałem gdzieś, że zamierzał on napisać powieść na ten temat. Jeśli ją zaczął, to scena opisana powyżej musi na pewno znajdować się w jego rękopisie. Jaka szkoda, że Turgeniew nie napisał tej powieści! Przesiąkł on pojęciami zachodnio-europejskimi i byłby niezawodnie wypowiedział niejedną głęboką myśl w tej kwestyi, którą zajmował się zawsze bardzo żywo w ciągu całego swego życia.

Z pomiędzy wszystkich belletrystów XIX w. jest Turgeniew najbardziej skończonym artystą, a dźwięczna jego proza brzmi dla ucha rosyjskiego, jak muzyka, — jak głęboka muzyka Bethowena. Cały zaś szereg jego arcydzieł powieściowych: «Rudin», «Szlacheckie Gniazdo», «W Przeddzień», «Ojcowie i Dzieci», «Dym» i «Nowizna» przedstawiają nam w ich szybkim postępowym rozwoju główne typy «tworzących historię» przedstawicieli inteligencji rosyjskiej, poczynając od 1848 r. Wszystkie te typy skreślone są z taką filozoficzną głębokością i znajomością natury ludzkiej — i z tak niezrównaną finezyą artystyczną, że nie znajdujemy nic równego w żadnej innej literaturze. Tymczasem, większa część młodzieży przyjęła powieść «Ojcowie i Dzieci», którą Turgeniew uważał za swój najgłębszy utwór, z głośnym protestem. Znajdywano, że nihilista Bazarow nie jest wcale przedstawicielem młodego pokolenia. Wielu uważało go nawet za karykaturę ówczesnej młodzieży. Nieporozumienie

to głęboko zasmucało Turgeniewa. Wprawdzie po ukazaniu się «Nowizny» nastąpiło w Petersburgu pojednanie się jego z młodzieżą, ale rany, zadane mu tymi napadami, nigdy nie zabiły się całkowicie.

Turgeniew wiedział od Ławrowa, że jestem zapalonym wielbicielem jego utworów i razu pewnego, gdy wracaliśmy w powozie z pracowni Antokolskiego, którą zwiedzaliśmy, zapytał mnie, co myślę o Bazarowie? Odpowiedziałem zupełnie szczerze: «Bazarow — wspaniały typ nihilisty; ale czuje się, że pan go nie lubisz tak, jak lubiłeś pan innych swoich bohaterów».

— Przeciwnie, lubiłem go i bardzo, zawołał Turgeniew z nieopisanem uniesieniem. Gdy przyjedziemy do domu, pokażę panu mój dziennik, w którym zapisałem, ilu łzami oplakałem śmierć Bazarowa, którą zakończyłem moją powieść.

Turgeniew — bez wątpienia — kochał duchowe oblicze Bazarowa. Do takiego stopnia utożsamiał on sam siebie z nihilistyczną filozofią swego bohatera, że nawet prowadził dziennik w jego imieniu i roztrząsał w nim różne wypadki z jego punktu widzenia. Ale myślę, że Turgeniew więcej zachwycał się Bazarowem, niż go kochał. W świetnym swym odczycie o Hamlecie i Don Kiszocie, dzieli on wszystkich «tworzących historię» ludzi na dwie klasy, uosobione w jednym z dwóch powyższych typów. — «Analiza przedewszystkiem i egoizm — w skutek tego brak wiary. On żyje wyłącznie tylko dla siebie, jest egoistą, ale wierzyć tylko w siebie nawet egoista nie może», — tak charakteryzował Turgeniew Hamleta. Dla tego jest ten ostatni sceptykiem i dla tego nie nie zdziała; podczas gdy Don Kiszot, walczący z wiatrakami i biorący miednicę cyrulika za cudowny hełm Mambrynusa (kto z nas nie popełniał podobnych błędów?), prowadzi za sobą masy. Masy idą zawsze za tym, kto — nie zważając na prze-

śladowania i szyderstwa ludzkie, postępuje niewzruszonym krokiem wciąż naprzód, nie spuszczać z oka celu, wiadomego może być — tylko jemu samemu. Don Kiszoci dążą doń, szukają, padają, znowu się podnoszą i w końcu osiągają go — i słusznie. Ale «mimo że Hamlet jest sceptykiem i nie wierzy w dobro, nie wątpi on jednak o istnieniu zła i wydaje mu zacięty bój». — «Sceptycyzm Hamleta nie jest też indyferentyzmem», przeciwnie «trawi on, jak ogień, jego siłę i niszczy wolę».

Te słowa Turgeniewa, zdaje mi się, tłómaczą nam całkiem jasno jego stosunek do własnych swych bohaterów. On i niektórzy z jego najbliższych przyjaciół byli, mniej lub więcej, Hamletami. Turgeniew kochał Hamleta i zachwycał się Don Kiszotem. Oto dla czego cenił też Bazarowa. W prawdziwie niezrównany sposób wyobraził on jego umysłową wyższość i zrozumiał doskonale cały tragizm osamotnionego stanowiska Bazarowa wpośród otaczających go ludzi; ale nie mógł otoczyć go tą tkliwością, tą poetyczną miłością, którą, jak chorego przyjaciela, osłaniał swych bohaterów, zbliżających się raczej do hamletowskiego typu. Taka miłość byłaby tu nie na miejscu.

— Czy znałeś pan Myszkina? zapytał mię raz Turgeniew w 1878 r.

W szeregu procesów karnych, wytoczonych naszym kółkom, potężna osobistość Myszkina wyróżniała się, jak wiadomo, przed wszystkimi innymi, ściągając na siebie ogólną uwagę.

— Chciałbym znać wszystko, co go dotyczy, mówił dalej Turgeniew. Oto człowiek. Ani śladu hamletyzmu! -- I mówiąc to, Turgeniew zamyślił się widocznie nad tym nowym typem, wytworzonym przez ruch rosyjski, który nie istniał jeszcze w okresie przed-

stawionym w «Nowiznie». Typ ten ukazał się dopiero w dwa lata potem.

Ostatni raz widziałem I. S. Turgeniewa w jesieni, czy też w lipcu 1881 r. Był on już bardzo chory i męczyła go myśl, że obowiązkiem jego jest napisać do Aleksandra III, który niedawno właśnie wstąpił na tron i wahał się jeszcze w wyborze polityki, aby mu wskazać konieczność nadania Rosji konstytucyi. Z widocznym smutkiem, mówił mi Turgeniew: «czuję, że powinienem to uczynić, ale widzę zarazem, że nie będę w stanie tego wykonać». Istotnie, był on już chorym na raka w kości pacierzowej i cierpiał szalone boleści. Z trudnością zaledwie mógł siedzieć i mówić przez parę chwil. Skończyło się więc na tem, że do Aleksandra III nie napisał, zresztą w parę tygodni potem nie miałyby to już żadnego znaczenia. Aleksander III ogłosił jawnie w swoim manifeście że pozostanie — jak i jego przodkowie nieograniczonym samowładcą Rosyi.

VII.

Tymczasem sprawy w Rosyi przyjęły całkiem nowy obrót. Wojna turecka 1877 r. zakończyła się wśród ogólnego niezadowolenia. Przed rozpoczęciem się wojny los Słowian wzbudzał w całej Rosyi wielkie sympatye. Wielu wierzyło przytem, że wojna za oswobodzenie Słowian Bałkańskich pociągnie za sobą reformy w samej Rosyi. Ale wyzwolenie Słowian z pod jarzma tureckiego urzeczywistniło się tylko w części. Ogromne ofiary ludu rosyjskiego poszły na marne dzięki błędom wyższych władz wojskowych. Tysiące żołnierzy zginęło w bitwach, zakończonych tylko pół-zwycięstwem, ustępstwa zaś, wymuszone na Turkach, zo-

stały cofnięte przez Kongres Berliński. Wszyscy też wiedzieli dobrze, że rabunek skarbu i grosza publicznego uprawiał się podczas wojny prawie na tak szeroką skalę, jak niegdyś za wojny Krymskiej. Właśnie wśród ogólnie panującego niezadowolenia pod koniec 1877 r. odbył się sąd nad 193-ma osobami, uwięzionymi począwszy od 1873 r. Pod sąd, bronieni przez najlepszych adwokatów, pozyskali odrazu sympaty całej publiczności. Zrobili oni jak najlepsze wrażenie na towarzystwie petersburskiem. Gdy zaś stało się wiadomem, że wielu przebyło w więzieniu, w oczekiwaniu sądu — trzy i cztery lata, — że około dwudziestu ludzi zwaryowało, lub skończyło śmiercią samobójczą, — sympaty ku podsądnym wzrosły jeszcze bardziej, nawet wpośród samych sędziów. Sąd skazał bardzo surowo kilku oskarżonych i stosunkowo bardzo łagodnie obszedł się ze wszystkimi pozostałymi, zważywszy, że więzienie śledcze trwało tak długo i samo przez się było już tak ciężką karą, że byłoby niesprawiedliwym karać winnych po raz drugi. Wszyscy oczekiwali, że car złagodzi wyroki w jeszcze wyższym stopniu. Tymczasem, ku ogólnemu zdumieniu, Aleksander II, przejrawszy postanowienia sądu, zaostrzył wszystkie kary. Ci, których sąd uniewinnił, zesłani zostali do odległych rosyjskich i syberyjskich gubernii; ci zaś, których skazano na krótkie i lekkie więzienie, otrzymali pięć lub sześć lat katorgi. Było to dziełem szefa żandarmów, generała Mezencewa.

Okolo tego samego czasu zdarzyło się, że oberpolicmajster petersburski, generał Trepow, zwiedzał dom więzienia śledczego i zauważywszy, że młody więzień polityczny, Bogolubow, nie zdjął przed nim, wszechwładnym satrapą, czapki, rzucił się nań z podniesionymi pięściami, a gdy Bogolubow stawiał mu opór, generał kazał go ochłostać różgami. Inni więźniowie, na-

tychmiast dowiedziawszy się o tem, głośno protestowali w swych celach, za co zostali zbici niemiłosiernie przez dozorców i policję.

Rosyjscy przestępcy polityczni znosili bez szemrania ciężkie więzienie, zesłanie i katorgę, ale postanowili nieodwołalnie nie poddawać się w żadnym wypadku bez oporu karze cielesnej. Młoda dziewczyna, Wiara Zasulicz, nie znająca nawet Bogolubowa osobiście, wzięła rewolwer, udała się do oberpolicmajstra i strzeliła doń. Trepow został tylko raniony. Aleksander II przyszedł do mieszkania Trepowa spojrzeć na młodą bohaterkę, która skromnością swą i niezwykle sympatyczną twarzą sprawiła na nim prawdopodobnie pewne wrażenie. Trepow miał tylu nieprzyjaciół w Petersburgu, że udało się oddać sprawę zwykłemu sądowi przysięgłych. Wiara Zasulicz oświadczyła na sądzie, że chwyciła za broń dopiero wtedy, gdy wyczerpane zostały wszelkie inne środki ogłoszenia tego faktu i gdy przekonała się, że inną drogą nie dojdzie on do wiadomości publicznej. Zwracano się nawet do petersburskiego korespondenta gazety «Times» z prośbą, aby sprawę tę poruszył w swej gazecie, — ale i on odmówił, nie mogąc uwierzyć, aby coś podobnego było możliwem, nawet w Rosyi. Wtedy Zasulicz, nie powiedziawszy nikomu ani słowa o swym zamiarze, poszła i strzeliła do Trepowa. Teraz zaś, gdy sprawa jest już ogólnie znaną, była nawet radą, że go tylko lekko raniła. Przysięgli uniewinnili Wiarę Zasulicz, a gdy policya chciała ją na nowo aresztować przy wyjściu z sądu, młodzież, cisnąca się tłumnie na ulicy, wyrwała ją z rąk żandarmów. Wyjechała za granicę i wkrótce połączyła się z nami w Szwajcaryi.

Sprawa ta wywarła głębokie wrażenie w całej Europie. Byłem w Paryżu, gdy przyszła wiadomość

o wyroku uniewinniającym. Zaszłem tego dnia za interesami do kilku redakcyi. Wszyscy redaktorowie przejęci głębokim podziwem, pisali entuzjastyczne artykuły wstępne w cześć bohaterskiego dziewczęcia. Nawet poważna «Revue des deux Mondes» pisała w przeglądzie za rok bieżący, że dwie osobistości poruszyły najbardziej opinię publiczną w 1878 r.: Książę Gorczakow na kongresie Berlińskim i Wiara Zasulicz. Portrety ich zamieszczały liczne kalendarze obok siebie. Co się zaś tyczy robotników europejskich, poświęcenie Wiary Zasulicz wzbudziło ich najwyższe i szczere uwielbienie.

W kilka miesięcy potem, niezależnie od wszelkiego spisku, miały miejsce, jeden po drugim, cztery zamachy na różne koronowane osoby. Robotnik Hedel i w ślad za nim doktor Nobiling strzelali do cesarza niemieckiego; w kilka tygodni później robotnik hiszpański, Oliva Monkari wykonał zamach na Alfonsa XII i kucharz, Passanante, rzucił się z nożem na króla włoskiego. Rządy europejskie nie chciały wierzyć, aby trzykrotne zamachy na królów mogły się wydarzyć nie z ramienia jakiego międzynarodowego spisku i przysły do wniosku, że odpowiedzialność za nie leży na Federacyi Jurajskiej międzynarodowego Związku Robotniczego.

Upłynęło już od tego czasu dwadzieścia lat i mogę zapewnić kategorycznie, że nie było najmniejszych danych, któreby wniosek podobny potwierdzić mogły. Tymczasem wszystkie rządy europejskie napadły na Szwajcaryę, wyrzucając jej, że daje schronienie rewolucjonistom, organizującym królobójcze zamachy. Redaktor naszej gazety, Paul Brousse, został aresztowany i pociągnięty do odpowiedzialności. Sędziowie szwajcarscy widząc jednakże, iż przypuszczenie, że

Brousse lub Federacya Jurajska przyjmowali jakikolwiek udział w niedawnych zamachach, nie posiada najmniejszej podstawy, skazali tylko redaktora na krótkie więzienie za jego artykuł i na dziesięć lat wydalenia ze Szwajcaryi, ale gazetę zamknięto. Rząd federalny zabronił nawet wszystkim drukarniom szwajcarskim wydawać nadal podobnego rodzaju pisma. Tym sposobem Federacya Jurajska została pozbawioną gazety.

Oprócz tego szwajcarscy mężowie polityczni, którzy oddawna patrzyli z niechęcią na wzrost agitacyi anarchistycznej w swym kraju, starali się usilnie odjąć członkom Federacyi Jurajskiej wprost wszelką możność utrzymania się i zmusić ich groźbą nędzy do wystąpienia z Federacyi. Brousse został wydalony ze Szwajcaryi. James Guillaume, który mimo wszelkich przeszkód wydawał w ciągu ośmiu lat urzędowy organ Federacyi i zarabiał na życie lekcjami, teraz nie mógł znaleźć żadnego zajęcia i musiał opuścić Szwajcaryę i wyjechać do Francyi. Ademar Schwitzgel, zegarmistrz, został pozbawiony dzięki formalnemu bojkotowi wszelkiej roboty w swym fachu, a ponieważ był obciążony liczną rodziną, musiał w końcu wycofać się z ruchu. Spichiger znalazł się w takim samym położeniu i emigrował. Przyszło do tego, że ja, cudzoziemiec, musiałem podjąć się redakcyi gazety Jurajczyków. Naturalnie, wahałem się zrazu, ale nie było innego wyjścia; założyłem więc z dwoma towarzyszami, Dumartheray i Herzigiem, w lutym 1873 r. nowy dwutygodnik w Genewie «Le Révolté». Większą część artykułów musiałem pisać sam. Wydawniczy nasz fundusz wynosił zaledwie 23 franków, ale zajęliśmy się wszyscy gorliwie zbieraniem składek i wypuściliśmy pierwszy numer. Co do tonu dziennik nasz był umiarkowany, ale rewolucyjny co do treści.

Staralem się — w miarę sił — poruszać w nim najbardziej złożone ekonomiczne i historyczne kwestye w łatwo dostępny dla inteligentnych robotników sposób. Nasza poprzednia gazeta za najlepszych swoich czasów rozchodziła się zaledwie w sześciuset egzemplarzach. Teraz zaś drukowaliśmy dwa tysiące egzemplarzy «Le Révolté» i w ciągu kilku dni wszystkie były rozchwytywane. Gazeta miała powodzenie i do dziś dnia wychodzi w Paryżu pod tytułem «Temps Nouveaux».

Gazety socjalistyczne zamieniają się nieraz łatwo w kronikę żalobną, zapełnioną skargami na warunki istniejące. Podnosi się ciężkie położenie robotników w kopalniach, fabrykach i na fermach; w jaskrawych barwach maluje się nędza i cierpienia robotników w czasie strejków; podkreśla się ich bezradność w walce z przedsiębiorcami; — i obraz tych beznadziejnych usiłowań, powtarzany w gazecie każdego tygodnia, oddziałują przygnębiająco na czytelnika. Dla przeciwdziałania temu zniechęceniu redaktor musi płomieniami słowami starać się natchnąć czytelnika wiarą i energią. Ja zaś sądziłem przeciwnie, że gazeta rewolucyjna powinna przede wszystkim zaznaczać te objawy, które zapowiadają wszędzie przybliżenie się nowej ery, powstawanie nowych form społecznego życia i szerzenie się ogólnej niechęci i oporu przeciw przestarzałym urządzeniom. Te objawy należy śledzić, należy objaśniać ich wewnętrzną łączność i grupować je tak, aby wykazać wahającym się umysłom to niewidoczne i często nieświadome poparcie, jakie idee postępowe znajdują wszędzie, gdzie tylko budzi się żywszy ruch umysłowy. Sprawić, aby człowiek uczuł się zjednoczonym z bijącym sercem całej ludzkości, z rodzącym się buntem przeciw wiekowej niesprawiedliwości i przyjął najszerszy udział w próbach opra-

cowania nowych form życia: — oto na czem polega główne zadanie gazety rewolucyjnej. Nadzieja, a nie rozpacz, sprawia pomyślne rewolucye.

Historycy opowiadają nam często, jak ten lub ów system filozoficzny dokonał pewnego przewrotu w myślach, a następnie i w instytucjach ludzkości. Ale to nie historia. W rzeczy samej, najwięksi filozofowie chwyтали tylko oznaki zapowiadających się zmian, rozumieli ich wewnętrzny związek i wsparci indukcją i intuicyą przepowiadali przyszłe wypadki. Socyologowie — ze swej strony, szkicowali nam plany organizacji społecznej, wychodząc z kilku zasad i rozwijając je z logiczną ścisłością, podobnie jak geometryczne wnioski wyprowadzają się z niewielu aksyomatów. Ale to nie socyologia. O przyszłym ustroju społecznym można trafnie wyrokować tylko wtedy, jeśli się uwzględni tysiące objawów nowego życia, wyróżniając fakty przypadkowe od organicznie koniecznych — i jeśli się buduje swoje wnioski na tej jedynie trwałej podstawie.

Z taką właśnie metodą myślenia starałem się zapoznać moich czytelników, używając przytem, o ile się dało, najprostszych wyrażen, aby nawet najskromniejsi robotnicy nauczyli się zastanawiać samodzielnie nad tem, dokąd i jaką drogą podąża społeczeństwo — i mogli sami sprostować pisarza, jeśliby uczynił przypadkiem jaki błędny wniosek. Co się zaś tyczy krytyki obecnego ustroju społecznego, zajmowałem się nią tylko w tym celu, aby wyjaśnić, gdzie tkwi korzeń złego i wykazać, że głęboko zakorzeniony i troskliwie wypielęgnowany fetyszym przestarzałych form — w połączeniu z szeroko rozkrzewionem tchórzostwem myśli i woli stanowią główne źródło wszelkich klęsk i nieszczęść ludzkości.

Dumartheray i Herzig podzielali najzupełniej moje przekonania i pomagali mi bardzo czynnie. Dumar-

theray pochodził z jednej z najbiedniejszych rodzin chłopskich w Sabaudyi. Uczył się tylko w szkole elementarnej i to niedługo. A z tem wszystkiem był on jednym z najrozumniejszych i najbystrzejszych ludzi, jakich znałem. Jego sądy o wybitnych osobistościach współczesnych i sprawach bieżących były tak niepospolicie przenikliwe i pełne zdrowego rozsądku, że okazywały się często prawie proroczymi. Dumartheray był także subtelnym krytykiem bieżącej literatury socjalistycznej i niepodobna go było nigdy olśnić fajewerkami pięknych słów i pozorami nauki. — Herzig był młodym subjektem handlowym, rodem z Genewy, powściągliwy, nieśmiały, rumieniący się, jak dziewczynka, gdy wypowiadał jaką własną myśl. Ale kiedy zostałem aresztowany i cała odpowiedzialność za dalsze losy gazety spoczęła na nim, Herzig, dzięki swej silnej woli, nauczył się wcale dobrze pisać. Wszyscy kupcy i przedsiębiorcy genewscy bojkotowali go, tak że znalazł się wspólnie z rodziną swoją w ostatniej nędzy; ale mimo to — nie dał upaść gazetce i wydawał ją aż do chwili, gdy można ją było przenieść do Paryża.

Mogłem ślepo zaufać sądowi obu tych przyjaciół. Jeśli Herzig marszczył czoło i mruczał — «no, tak... ujdzie», wiedziałem, że artykuł nic nie wart. A kiedy Dumartheray, który zawsze miał coś do zarzucenia swoim okularom, gdy musiał przeglądać nieczytelny rękopis, i zwykle odczytywał go dopiero w korekcie, przerywał czytanie, wołając: «non, ça ne va pas!» czułem natychmiast, że coś jest źle i starałem się odgadnąć, co mianowicie wywołało jego niezadowolenie. Wiedziałem, że na nic się nie zdało pytać go o to. Dumartheray odpowiedziałby: no, to wasza rzecz, nie moja; nie nadaje się, oto wszystko, co mogę powie-

dzieć!» Ale ja czułem, że on ma słuszość i przera-
białem cały ustęp na nowo.

Muszę wyznać, iż mieliśmy czasem i ciężkie chwile. Ledwieśmy wydali cztery, czy pięć numerów, gdy drukarnia, w której wychodziły, odmówiła nam swych dalszych usług. Jeśli chodzi o robotników i ich wydawnictwa, swoboda prasy, zagwarantowana w konstytucyi, podlega licznym ograniczeniom oprócz tych, które są zastrzeżone przez prawo. Właściciel drukarni nie miał do zarzucenia naszej gazecie; przeciwnie, podobała mu się; ale w Szwajcaryi wszystkie drukarnie — w mniejszym lub większym stopniu — zależne są od rządu, od którego otrzymują liczne zamówienia przy drukowaniu urzędowych statystycznych prac, blankietów i t. p. Naszemu drukarzowi oświadczone stanowczo, że jeśli będzie nadal wydawał «Le Révolté», rząd genewski cofnie mu swe obstalunki. Objechałem całą francuską Szwajcaryę, ale wszyscy drukarze, z którymi się widziałem, nawet najprzychylniej zapa-
trujący się na kierunek naszej gazety, odpowiadali mi jedno i to samo: «nie możemy egzystować bez zamówień rządowych, a nie dostaniemy ich, jeżeli będziemy drukować «le Révolté».

Wróciłem do Genewy mocno zniechęcony, ale Dumartheray był pełen zapału i nadziei. «Wybornie! — mówił, — będziemy mieli własną drukarnię! Kupimy ją na kredyt, z trzymiesięcznym terminem wypłaty. A za trzy miesiące spłacimy na pewno!»

— Ale z kąd weźmiemy pieniędzy? mamy zaledwie kilkaset franków całego majątku, — odpowiedziałem.

— Pieniądze? Głupstwo! Pieniądze znajdziemy. Trzeba tylko natychmiast zamówić czcionki i jak najprędzej wydać numer. Pieniądze przyjdą same». I tym razem przepowiedział trafnie. Kiedy następny nasz

numer wyszedł z naszej własnej «Imprimerie Jurasienne» i kiedy opowiedzieliśmy w nim czytelnikom, w jak trudnem znajdowaliśmy się położeniu; kiedy — oprócz tego, wydaliśmy dwie broszurki, przy których drukowaniu wszyscyśmy pomagali; — pieniądze przyszły w rzeczy samej. Co prawda, były to po większej części tylko miedziaki i drobne srebrne monety, ale bądź co bądź dług nasz za drukarnię został pokryty. Nieustannie słyszy się w życiu skargi partyi radykalnych na brak środków; ale im dłużej żyję, tem dowodniej przekonywuję się, że nie pieniędzy nam brak, a ludzi, którzyby szczerze i niezachwianie dążyli wprost do zamierzonego celu i umieli drugich pociągnąć za sobą. Oto już dwadzieścia trzy lata gazeta nasza żyje z dnia na dzień; nie ma prawie numeru, któryby nie zawierał wezwania do czytelników z prośbą o wsparcie; ale póki są ludzie, którzy poświęcają sprawie całą swą duszę i całą energię, jak to czynili Herzig i Dumarthey w Genewie, a teraz, w ciągu ostatnich osiemnastu lat Grave w Paryżu; — pieniądze zawsze się znajdują. Koszta wydawnictwa gazet i broszur wynoszą około ośmiu tysięcy rubli rocznie, — i pokrywają się zawsze przeważnie ze składek robotniczych w miedziakach i drobnej srebrnej monecie. Dla gazety, jak i dla każdej innej sprawy, ludzie cenniejsi są, niż pieniądze.

Pomieszciliśmy naszą drukarnię w maleńkim pokoiku. Nasz zecer, małorosyanin, zadowolnił się bardzo skromnem wynagrodzeniem 60-ciu franków miesięcznie. Jeśli miał za co zjeść codziennie obiad i od czasu do czasu pójść na operę do teatru, nie troszczył się o nic więcej.

— Do bani idziecie, Iwanie? — spytałem go raz, spotkawszy na ulicy z węzełkiem, owiniętym w papier, pod pachą.

— Nie, przeprowadzam się na nowe mieszkanie,— odpowiedział swym śpiewnym głosem, ze zwykłym uśmiechem.

Na nieszczęście, nie umiał po francusku. Pisałem moje artykuły jak mogłem najkaligraficzniej i często żałowałem, że tak mało odniosłem korzyści z lekcji kaligrafii pocziwego Eberta, ale Iwan posiadał szczególną zdolność czytania po francusku na swój sposób. Zamiast «immédiatement», czytał «immidioterunt», albo «immidiatmunt» i zgodnie z tem składał fantastyczne francuskie słowa własnego wynalazku. Ale ponieważ zachowywał przerwy i nie przedłużał wierszy, wystarczyło tylko zmienić ze dwanaście liter w wierszu, aby wszystko naprawić. — Pozostawialiśmy stale w jak najlepszych stosunkach z sobą i niebawem nauczyłem się przy nim sam trochę zecerskiej roboty. Numer był zawsze gotów na czas — tak, aby można jeszcze było zanieść korektę do jednego z naszych szwajcarskich towarzyszy, który był odpowiedzialnym redaktorem gazety i któremu dawaliśmy pedantycznie do przejrzenia cały numer przed ostatecznem ukazaniem się jego w druku. Potem którbądź z nas odwoził formy w małym wózku do drukarni. Nasza «Imprimerie Jurassienne» stała się wkrótce głośną z powodu swych wydawnictw, a zwłaszcza broszur, za które, w skutek nalegań towarzysza Dumartheray, nie braliśmy nigdy większej ceny, jak dziesięć centymów. Dla tych broszur trzeba było stworzyć całkiem nowy styl. Wyznaję, że zazdrościłem nieraz tym pisarzom, którzy nie potrzebują, rozwijając swoje myśli, krępować się ograniczoną ilością stronic i mogą przytoczyć na swe niewinnienie słynny aforyzm Talleyrand'a: «brakło mi czasu być krótkim». Kiedy zdarzało mi się streszczać wynik kilkumiesięcznej pracy, na przykład, o pochodzeniu prawa, w dzie-

sięcio-centymowej broszurze, musiałem dużo jeszcze pracować, aby być dostatecznie krótkim. Ale pisaliśmy dla robotników, dla których dziesięć centymów bywa czasem wielką sumą. Ostatecznie jednak mieliśmy tę pociechę, że broszury nasze po jednym i dwa sous rozchodziły się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy i były tłómaczone na wszystkie prawie obce języki zagranicą. Później, kiedy byłem w więzieniu, Elizeusz Réclus wydał w oddzielnej książce moje artykuły wstępne pod tytułem: «Słowa Rewolucjonisty», — «Paroles d'un Révolté».

Przy wydawaniu naszej gazety, mieliśmy głównie Francję na widoku, ale «le Révolté» był tam surowo zakazany za Mac-Mahon'a. Kontrabandyści przekradali tyle innych wybornych rzeczy ze Szwajcaryi do Francji, że nie chcieli narażać się z naszą gazetą. Wziąłem raz udział w ich wyprawie, przeszliśmy wspólnie francuską granicę i miałem sposobność poznać ich odwagę i rzetelność; można im było zupełnie zaufać, ale nie chcieli podjąć się przewiezienia naszego pisma. W obec tego mogliśmy tylko wysyłać jego pojedyncze numery w zapieczętowanych kopertach jakimś stu odbiorcom we Francji. Nie pobieraliśmy nic na kosztą przesyłki pocztowej, licząc na dobrowolne ofiary naszych prenumeratorów w tym względzie i nie myliliśmy się. Często jednak myśleliśmy, że policja francuska pomijała nieopatrznie pyszną sposobność zrujnowania doszczętnie naszego pisma. Wystarczyło jej w tym celu zaprenumerować sto egzemplarzy gazety i nie przysłać dobrowolnych ofiar.

Pierwszego roku mogliśmy liczyć tylko na własne siły; ale powoli zaczęło pismo nasze budzić coraz żywsze zajęcie Elizeusza Réclus, który też następnie przyłączył się do nas, a po mojem uwięzieniu, oddał się mu całą duszą. Réclus zaprosił mię do pomocy

przy opracowaniu jednego z tomów swej pomnikowej geografii, poświęconego opisowi Rosyi azyatyckiej. Wyuczył się on sam po rosyjsku, ale ponieważ byłem w Syberyi, sądził, że moje wiadomości mogą mu się przydać, że zaś zdrowie mojej żony pogorszyło się znacznie i doktorowie kazali jej niezwłocznie opuścić Genewę z jej chłodnymi wiatrami, przenieśliśmy się na wiosnę 1850 r. do Clarens, gdzie mieszkał wówczas Réclus. Najęliśmy niewielki domek powyżej miasteczka, Clarens, z widokiem na błękitne wody Lemanu i na daleki śnieżny szczyt Dent du Midi. Pod oknami naszymi szemrała mały strumyk, zamieniał się on jednak w czasie ulewnych deszczy w rwący potok, toczący z szumem olbrzymie głązy skalne w swem wązkim łożysku. Naprzeciw nas wznosił się na pochyłości góry stary zamek Châtelard, którego dziedzice aż do samej rewolucyi «Burla Papei» (to jest podpalaczy dokumentów) ściągali z poddanych chłopów feudalne powinności przy każdych narodzinach, ślubie i pogrzebie. Tutaj, przy współudziale mojej żony, z którą roztrząsałem wspólnie każde ważniejsze wydarzenie i każdy projektowany artykuł i w której znajdowałem zawsze najsurowszego krytyka moich prac, napisałem najlepsze moje artykuły do «Révolté», między innymi odezwę «Do młodzieży», która rozeszła się w setkach tysięcy egzemplarzy w różnych językach. W gruncie rzeczy opracowałem tu podstawę tego wszystkiego, co później napisałem. My, anarchiści, rozproszeni po całym świecie w skutek ciągłych prześladowań, więcej niż kto inny czujemy potrzebę obcowania z ludźmi wykształconymi, wspólnych nam przekonań. — W Clarens mogłem korzystać z towarzystwa Elizeusza Réclus i Lefrançais'go, a pozatem utrzymywałem ciągle stosunki z robotnikami i poświęcałem wiele czasu moim pracom geograficznym,

co mi jednak nie przeszkadzało wcale prowadzić propagandy anarchistycznej w jeszcze szerszych rozmiarach, niż poprzednio.

VIII.

W Rosyi tymczasem wielka walka wolnościowa zastrzała się z dniem każdym. Odbywały się wówczas liczne procesy polityczne: proces «Stu dziewięćdziesięciu trzech», — «Pięćdziesięciu», — «Kółka Dołguszyna» — i inne, a wszystkie te procesy wykazywały jedno i to samo. Młodzież śpieszyła tłumnie na wieś i do fabryk głosić robotnikom socjalizm; rozprzesztrzeniały się broszury, wydawane za granicą i lud powoływał się w sposób trochę ogólnikowy i niejasny do buntu przeciw istniejącemu uciskowi ekonomicznemu. Słowem, robiło się to, co wszędzie robią agitatorzy socjalistyczni. Nie znaleziono ani śladu spisku przeciw carowi, lub jakich przygotowań do rewolucyjnego wybuchu. Większość młodzieży odnosiła się wówczas nawet bardzo nieprzychylnie do takiego rodzaju działalności. Wspominając teraz ów ruch 1870—78 r., mogę zapewnić, bez cienia wątpliwości, że w znacznej swojej części młodzież zadowolniłaby się wtedy zupełnie, jeśliby jej pozwolono żyć wpośród chłopów i robotników fabrycznych, uczyć ich, pracować z nimi, bądź osobiście, bądź pośrednio w ziemstwach; — słowem, jeśliby jej pozwolono służyć ludowi na różnych stanowiskach, na których ludzie wykształceni, poważni i pełni poświęcenia mogą się okazać pożytecznymi chłopom i robotnikom. Znałem osobiście tych ludzi i mówię z całkowitą znajomością rzeczy.

Tymczasem zapadły okrutne wyroki sądowe, nielitościwie i bezmyślnie okrutne, albowiem ruch, zro-

dzony na gruncie całego poprzedniego stanu rzeczy w Rosyi, był zbyt głęboko zakorzeniony, aby go można było zdławić samą surowością kar. Wyroki na sześć, dziesięć, dwanaście lat ciężkich robót w kopalniach, a potem na wieczne osiedlenie w Syberyi, stały się chlebem powszednim. Zdarzyło się nawet, że jedną młodą dziewczynę skazano na dziewięć lat ciężkich roboty za wręczenie zakazanej broszury jakiemuś robotnikowi. Na tem polegała cała jej wina. Drugą, czternastoletnią Gukowską, zesłano do Wschodniej Syberyi za to, że jak druga Klärchen Goethego, usiłowała płomiennymi słowami poruszyć tłum obojętny i skłonić go do oswobodzenia Kowalskiego i towarzyszy, prowadzonych na szubienicę. A jednak postęp jej był całkiem naturalny w Rosyi, nawet z punktu widzenia władz, ponieważ nie ma u nas w kodeksie kary śmierci dla zbrodni kryminalnych, zastosowanie zaś jej do przestępstw politycznych było wówczas nowością, albo raczej powrotem do najcięższych tradycji Mikołajowskich czasów. Zagnana do głuchej wsi syberyjskiej, Gukowska utopiła się wkrótce potem w Jeniseju. Nawet tych, których sąd uniewinnił, zsyłano administracyjnym porządkiem do oddalonych rosyjskich i syberyjskich osad, gdzie oczekiwała ich perspektywa głodnej śmierci przy rządowej zapomodze w wysokości trzech rubli miesięcznie. W osadach tych, w obec zupełnego braku przemysłu, niepodobna się utrzymać z rzemiosła, wszelka zaś praca inteligentna lub nauczycielska jest politycznym przestępcom najsurowiej wzbroniona.

Jak gdyby umyślnie chciano rozdrażnić młodzież jeszcze gwałtowniej, skazanych nie zsyłano wprost na Syberję, ale trzymano ich po kilka lat w tak zwanych centralnych więzieniach, w porównaniu z którymi nawet kopalnie syberyjskie mogły się wydać

godnemi zazdrości. Więzienia te, mające w pewnej mierze zastąpić katorgę, są rzeczywiście straszne. W jednym z nich, prawdziwej «jaskini tyfusowej», jak wyraził się kapelan więzienny w swem kazaniu, śmiertelność wynosiła w ciągu jednego roku 20%. W więzieniach centralnych, w «katorżnych» więzieniach syberyjskich, w których ginęli powolną śmiercią skazańcy do ciężkich robót i po twierdzach, — więźniowie musieli uciekać się do tak zwanych «głodnych buntów», aby powściągnąć dzikość dozorców więziennych i obronić się przed ich gwałtami, albo też uzyskać najlichsze ulgi, jaką robotę lub książki, które uratowałyby ich od pomieszania zmysłów, grożącego niechybnie każdemu więźniowi, zamkniętemu samotnie w osobnej celce i pozbawionemu jakiegobądź zajęcia. Ale nawet przerażające sceny, jakie się rozgrywały w czasie podobnych strejków głodnych, gdy więźniowie — mężczyźni i kobiety — po siedem i osiem dni nie przyjmowali żadnego pożywienia, a potem leżeli bez czucia w gorączce, nie wzruszały wcale żandarmerów. W Charkowie konających z głodu więźniów związano powrozami i karmiono przemocą, wprowadzając gwałtem pokarm do ust, jak gęsiom.

Echa tych okropności przenikały mury więzienne, dolatywały z dalekiej Syberii i rozchodziły się szeroko między młodzieżą. Był czas, kiedy nie było tygodnia, żeby się nie dowiedziano o jakiej nowej podłości w tym rodzaju, lub o czymś jeszcze gorszem.

Gwałtowna rozpacz opanowała wówczas młodzież. «W innych krajach — mówiono z goryczą — ludzie mają odwagę, potrafią stawić opór. Anglik lub Francuz nie ścierpiałby podobnych gwałtów. Dla czego my je znosimy? Trzeba z bronią w ręku odpierać nocne napaści żandarmerów. Niech wiedzą przynajmniej, że ponieważ uwięzienie oznacza powolną i męczącą

śmierć w ich rękach, to wezmą nas tylko po krwawym boju». W Odesie Kowalski i jego przyjaciele wystrzałami z rewolwerów powitali żandarmów, którzy przyszedli w nocy aresztować ich.

Aleksander II odpowiedział na ten nowy zwrot ruchu rewolucyjnego ogłoszeniem stanu oblężenia. Podzielono Rosyę na kilka okręgów, z generał-gubernatorami na czele, i polecono im wieszać bez miłosierdzia. Kowalski, który, mówiąc nawiasem, nikogo nie zabił swymi wystrzałami, został stracony. «Wieszać» brzmiał rozkaz dzienny. W ciągu dwóch lat powieszono dwudziestu trzech ludzi, w tej liczbie 19-stoletniego Rozowskiego, którego przyłapano, gdy naklejał proklamacye na dworcu kolejowym. Ten fakt stanowił jedyne oskarżenie przeciw niemu. Był on zaledwie młodzieniaszkiem co do swych lat, ale umarł, jak bohater.

Wtedy hasłem bojowym rewolucjonistów stał się okrzyk: «brońcie się!» Brońcie się od szpiegów, którzy weiskają się do kółek pod maską przyjaźni i zdradzają potem na prawo i na lewo, dla tej prostej przyczyny, że przestaną im płacić, jeśli nie będą denuncyować. Brońcie się od tych, którzy znęcają się nad więźniami; brońcie się od wszechwładnych żandarmów!...

Trzech wysokich urzędników i dwóch czy trzech drobnych szpiegów zginęło w tej nowej fazie walki. Generał Mezencew, który namówił cara do podwojenia kary skazanym w procesie «studziewięćdziesięciu trzech», — został zabity w Petersburgu wśród białego dnia. Jednego pułkownika żandarmskiego, który dopuścił się jeszcze cięższej winy, spotkał taki sam los w Kijowie, a w Charkowie został zastrzelony generał-gubernator, mój cioteczny brat, Dymitr Krapotkin, gdy wracał z teatru. Centralne więzienie charkowskie, gdzie wybuchł pierwszy «bunt głodowy» i gdzie kar-

miono więźniów przemocą, znajdowało się w jego za-
wiadywaniu. W gruncie rzeczy był to niezły człowiek;
wiem, że osobiście raczej sprzyjał więźniom polity-
cznym; ale był on, na nieszczęście, człowiekiem bez
charakteru, przytem dworak — i wołał nie mieszać
się do niczego, podczas gdy jedno jego słowo mogło
powstrzymać dzikie znęcanie się nad więźniami. Alek-
sander II lubił go i stanowisko jego przy dworze
było tak silne, że według wszelkiego prawdopodo-
bieństwa, pośrednictwo jego zostałoby dobrze przyję-
tem w Petersburgu.

— «Dziękuję. Postąpiłeś zgodnie z mojami własnymi
życzeniami» rzekł mu car w 1872 r., gdy D. N. Kra-
potkin stawił się w Petersburgu, aby powiadomić ce-
sarza o przebiegu rozruchów ludowych w Charkowie,
w czasie których okazał się bardzo miękkim dla bun-
towników.

Ale teraz pochwalił postępowanie dozorców wię-
ziennych, — i młodzież charkowska do takiego stopnia
oburzona była barbarzyństwem tych ostatnich, że ge-
nerał padł ofiarą jej zemsty: strzelono doń i śmier-
telnie raniono.

Mimo to wszystko sama osoba cesarza nie wcho-
dziła jeszcze w grę i aż do 1879 r. włącznie żaden
zamach nie był przeciw niemu skierowany. Aureola
dawnej sławy otaczała głowę «cara oswobodziciela»
i broniła go daleko skuteczniej, niż hufce żandarmów
i szpiegów. Jeśliby Aleksander II okazał wówczas
choć najslabszą chęć zreformowania stosunków poli-
tycznych w Rosyi; jeśliby powołał choć jednego lub
dwóch z pośród dawnych swych współpracowników
z epoki reform i polecił im zbadanie ogólnego poło-
żenia Rosyi, choćby tylko samych chłopów; jeśliby
zdradził choć najłżejszy zamiar ograniczenia samo-

władzy tajnej policyi, zamysły jego powitanoby z uwielbieniem. Jedno słowo mogło znowu uczynić Aleksandra II «oswobodzicielem»; znowu młodzież wykrzyknęłaby, jak Herzen w 1858 r. «Zwyciężyłeś, Galilejczyku!» Ale jak za czasów powstania polskiego, gdy obudził się w nim dziki despota i podniecany przez Katkowa, nie znalazł innego punktu wyjścia, prócz szubienic; — podobnie i teraz, idąc ciągle za radą swego złego geniusza, Katkowa, nie zdobył się on na nic więcej, oprócz mianowania generał-gubernatorów z nieograniczonym pełnomocnictwem wieszania.

Wtedy — i tylko wtedy, garść rewolucjonistów, — Komitet Wykonawczy, — opierając się jednakże na ogólnem niezadowoleniu, nurtującym inteligentne klasy Rosyi i zdradzającym się nawet w najbliższem otoczeniu cesarza, wypowiedział tę wojnę samowładztwu, która po kilku nieudanych zamachach, zakończyła się w 1881 r. śmiercią Aleksandra II.

Dwóch ludzi żyło w Aleksandrze II i walka między nimi, wzmagająca się z każdym rokiem, przyjęła teraz prawdziwie tragiczny charakter. Kiedy zastąpił mu drogę Sołowjew, strzelił doń i chybił, zachował Aleksander II tyle zimnej krwi i przytomności umysłu, że, podczas gdy Sołowjew strzelał dalej, pobiegł nie w prostej linii, a zygzakami do najbliższych drzwi i dzięki temu wyszedł cało z niebezpieczeństwa; jedna kula rozdarła mu tylko z lekka płaszcz. W dzień swojej śmierci okazał Aleksander II także niezaprzeżone męstwo. W obec rzeczywistego niebezpieczeństwa nie brakło mu odwagi; ale drżał nieustannie przed widmami własnej wyobraźni. Razu pewnego strzelił do swego adjutanta, gdy ten ostatni uczynił jakiś żywszy ruch i cesarzowi wydało się, że oficer chce go zabić. Jedynie tylko w tym celu, aby ochronić od wszelkiego zamachu swoją cesarską władzę

i swoją cesarską osobę, otoczył się ludźmi najbardziej zacofanymi, których on sam nie wiele obchodził, ale którzy dbali głównie o zachowanie swych zyskowych i wpływowych stanowisk.

Niewątpliwie zachował on pewne przywiązanie dla matki swych dzieci, choć utrzymywał już w tym czasie bliskie stosunki z księżną Jurjewską Dołgorukową, z którą też ożenił się natychmiast po śmierci cesarzowej.

— «Nie wspominaj mi o cesarzowej, jest mi to zbyt przykrem», mawiał nieraz do hr. Loris Melikowa. A jednak zaniedbał najzupełniej Maryę Aleksandrowną, która wiernie stała niegdyś przy jego boku i pomagała mu, gdy był jeszcze «carem oswobodzicielem». Umierała teraz w Pałacu zimowym, — w zupełnem zapomnieniu. Dobrze znany lekarz rosyjski, dziś już nie żyjący, opowiadał swoim przyjaciołom, że on, człowiek obcy, do głębi duszy oburzony był tem lekceważeniem, jakie okazywano cesarzowej w czasie jej choroby. Damy dworu, oprócz dwóch dam honorowych, szczerze przywiązanych do cesarzowej, opuściły ją całkowicie i cały świat dworski, wiedząc, że życzy sobie tego sam cesarz, starał się tylko o względy księżnej Dołgorukowej. Aleksander II zamieszkiwał osobny pałac i składał swej żonie codziennie tylko krótką, urzędową wizytę.

Kiedy Komitet Wykonawczy wykonał swój śmiały, choć chybiony zamach celem wysadzenia w powietrze Pałacu Zimowego, Aleksander II uczynił krok, dotąd bezprzykładny. Ustanowił rodzaj dyktatury, nadając Loris-Melikowowi nadzwyczajne pełnomocnictwa. Generałowi temu, Armeńczykowi rodem, powierzył już niegdyś Aleksander podobną dyktatorską władzę, gdy w Wetlance, nad dolną Wołgą, wybuchła dżuma i Niemcy zagroziły mobilizacją swej armii

i ogłoszeniem kwarantanny w Rosyi, jeśli epidemia nie zostanie stłumioną. Teraz, gdy Aleksander II przekonał się, że nie może polegać nawet na czujności swej policyi pałacowej, nadał dyktatorskie prawa Loris-Melikowowi, że zaś ten ostatni uchodził za liberała, nowy ten krok wytlómaczono w tem znaczeniu, że niebawem zwołany zostanie Ziemski Sobor (t. j. zgromadzenie narodowe). Ponieważ jednak po zamachu w Pałacu zimowym nie nastąpiły bezpośrednio żadne inne, Aleksander II uspokoił się i po upływie kilku miesięcy, zanim Loris-Melikow zdażył cobydź zdziałać, sam on z dyktatora zeszedł na prostego ministra spraw wewnętrznych. Nagłe napady smutku, w czasie których Aleksander II gorzko wyrzucał sobie reakcyjny kierunek swych rządów, wyrażały się teraz w formie gwałtownych paroksyzmów płaczu. Bywały dni, kiedy godzinami całemi siedział bezradnie i zalewał się łzami, doprowadzając hr. Loris-Melikowa do rozpaczy. W takie dni zapytywał ministra: «Kiedy będzie gotów twój projekt konstytucyi?» Ale gdy w dwa lub trzy dni później Loris-Melikow oznajmiał, że projekt statutu organicznego jest już wygotowany, car udawał, że o niczem nie wie.

— «Czyż mówiłem co o tem? — pytał. Po co? Zostawmy to lepiej naszemu następcy. To będzie jego dar dla Rosyi».

Kiedy wieść o nowym spisku dochodziła do Aleksandra II, gotów był coś uczynić; ale gdy w obozie rewolucyjnym panowała pozorna cisza, słuchał podszeptów reakeyonistów i zostawiał wszystko, jak było. Loris-Melikow spodziewał się co chwila dymisji.

W lutym 1881 r. oznajmił Loris-Melikow cesarzowi, że Komitet Wykonawczy uknuł nowy zamach, ale planu jego — mimo najstaranniej przeprowadzonego śledztwa — wykryć nie zdołano. Wtedy Aleksander II

postanowił zwołać rodzaj zgromadzenia doradczego, złożonego z przedstawicieli ziemstw i miast. Ciągłe nękany przecuciem, że oczekuje go los Ludwika XVI, Aleksander II porównywał tę projektowaną «komisję wspólną» do zgromadzenia Notabli, które poprzedziło Zgromadzenie Narodowe 1789 r. Projekt miał być przedstawiony Radzie Państwa, gdy Aleksander II zaczął się znowu chwiać. Tylko rano, dnia 1-go marca 1881 r., na skutek nowego, poważnego ostrzeżenia Melikowa o grożącym niebezpieczeństwie, wyznaczył Aleksander II następujący czwartek dla odczytania projektu na posiedzeniu rady ministrów. Pierwszy marca (starego stylu) wypadł w niedzielę i Loris-Melikow prosił usilnie cesarza, by nie wyjeżdżał tego dnia na paradę wojskową, ponieważ należy się obawiać zamachu. Mimo to Aleksander II pojechał. Chciał odwiedzić W. Księżnę, Katarzynę Michajłownę, córkę ciotki swej, Heleny Pawłowny, która w sześćdziesiątych latach była jednym z wybitniejszych przywódców partyi reform — i oznajmić jej osobiście wesolą nowinę, — być może — jako akt skruchy przed pamięcią Maryi Aleksandrowny. Mówią, że cesarz powiedział Wielkiej Księżnej: «Je me suis décidé à convoquer une assemblée des Notables». Ale to spóźnione i połowiczne ustępstwo nie było ogłoszonym publicznie — i w powrocie z Maneżu Aleksander II został zabity.

Ogólnie wiadomo, jak się to zdarzyło. Pod jego opancerzoną żelazem karetę rzucono — aby ją zatrzymać — bombę. Kilku czerkiesów jego przybocznej straży zostało ranionych. Rysakowa, który rzucił bombę, schwytano na miejscu. Nie zważając na błagania swego stangreta, który zaręczał, że w lekko tylko uszkodzonej karecie można doskonale dojechać do pałacu, Aleksander II wysiadł z powozu. Czuł on, że wojskowy honor jego wymaga, żeby podszedł do ranionych Czer-

kiesów i przemówił do nich kilka słów. Tak samo postąpił w czasie turecko-rosyjskiej wojny, gdy na przykład, w dzień jego imienin przypuszczono szalony szturm do Plewny, zakończony straszną katastrofą. Aleksander II zbliżył się do Rysakowa i zapytał go o coś; a gdy przechodził następnie obok drugiego młodzieńca, Hryniewieckiego, który stał tam z bombą, ten rzucił swoją bombę między siebie i cesarza, tak — aby zabić i siebie i jego. Obaj — śmiertelnie ranni — umarli w ciągu kilku godzin.

Tak leżał Aleksander II na śniegu, ociekający krwią, opuszczony przez wszystkich. Wszyscy pierzchli. Kilku kadetów, którzy wracali z parady wojskowej, podbiegło do umierającego cesarza, podnieśli go, ułożyli na saniach i przykryli drgające ciało kadeckim płaszczem, a obnażoną głowę kadeckim kaszkietem. I jeden z terrorystów, Emeljanow, z bombą, owiniętą w papier, pod pachą — przybiegł wspólnie z kadetami z pomocą rannemu, nie zważając, że mogą go schwytać i powiesić... Natura ludzka pełną jest takich sprzeczności.

Tak zakończyła się tragedia Aleksandra II. Nieraz dziwiono się, jak mógł cesarz, który tak wiele zrobił dla Rosyi, zginąć z ręki rewolucjonistów. Ale ja byłem przypadkowym świadkiem pierwszych objawów reakcyjnych skłonności Aleksandra II, i mogłem śledzić ich postępowy wzrost i rozwój; zdarzyło się także, iż mogłem zajrzeć do głębi jego dziwnej dwuistej duszy; poznałem w nim urodzonego despotę, którego dzikość w części tylko łagodziło europejskie wychowanie i zrozumiałem tego człowieka, który posiadał wprawdzie męstwo żołnierza, ale pozbawiony był cywilnej odwagi męża stanu, — człowieka gwałtownych namiętności, ale słabej woli; — dla mnie więc tragedia ta rozwijała się z fatalną koniecznością szekspirowskiego dramatu. Ostatni jej akt przewidywa-

łem całkiem jasno jeszcze 13-go czerwca, 1862 r., po mowie, pełnej groźb, którą wypowiedział Aleksander II w obec nas, świeżo awansowanych oficerów, tego samego dnia, w którym spełnione zostały z jego rozkazu pierwsze krwawe wyroki w Polsce.

IX.

Dzika panika ogarnęła dworskie koła w Petersburgu. Aleksander III, który, mimo swego wielkiego wzrostu i niezwyklej siły, nie odznaczał się zbyt odważną, obawiał się zamieszkać w Pałacu Zimowym i skrył się w pałacu swego pradziada, Pawła I, w Gatczynie.

Znam ten starodawny gmach, zbudowany na kształt fortecy, wedle planów Vauban'a, otoczony rowami i strzeżony przez wartownicze wieże, z których szczytu ukryte schody prowadzą do gabinetu cesarza. Widziałem otwór w gabinecie, przez który można zrzucić znięta wroga do wody, — na ostre kamienie w dole, — i utajone schody, spuszczone do podziemnych więzień i do podziemnego korytarza, prowadzącego do jeziora. Wszystkie pałace Pawła I zbudowane są wedle podobnego systemu. — Tymczasem w około Aniczkowego pałacu, w którym mieszkał Aleksander III jako następca tronu, przekopywano podziemną galeryę, zaopatrzoną w różne automatyczne elektryczne przyrządy, aby rewolucyoniści nie mogli podkopać się pod pałac.

W celu obrony osoby cesarza założoną została tajna liga. Oficerowie różnych stopni, znęcani widokami potrójnej pensyi, wstępowały do ligi i spełniali w niej obowiązki dobrowolnych szpiegów, rozwijając swoją działalność wśród rozmaitych sfer społeczeń-

stwa. Czasem zdarzały się komiczne epizody. Dwóch oficerów, na przykład, nie wiedząc, że należą do jednego i tego samego związku, wciągnęli jeden drugiego w rewolucyjną rozmowę, potem aresztowali się wzajemnie i ku wzajemnemu rozczarowaniu przekonali się, że nadaremnie tylko stracili czas. Liga ta istnieje do dziś dnia pod więcej urzędową nazwą «Ochrany» — (Ochrony) i od czasu do czasu straszy cesarza widmem różnych zmyślonych niebezpieczeństw i zamachów, byle tylko nie stracić racyi bytu.

Jeszcze bardziej tajna organizacya — Liga święta — powstała w tym samym czasie, z Włodzimierzem Aleksandrowiczem, bratem cesarza na czele, w celu zwalczania rewolucjonistów wszelkimi możliwymi środkami, — między innymi, przez zabójstwo emigrantów, których uważano za kierowników ostatnich spisków. Ja też znajdowałem się w ich liczbie. W. Książę Włodzimierz wyrzucał gwałtownie oficerom, członkom ligi, ich tchórzostwo i żałował otwarcie, że niema pomiędzy nimi nikogo, ktoby podjął się zamordować takich emigrantów. Wtedy jeden oficer, który był moim kolegą w korpusie paziów, został wybrany przez Ligę dla wykonania tego zamysłu.

Naprawdę zaś emigranci nie mieszały się wcale do działalności Komitetu Wykonawczego w Petersburgu. Byłoby absolutną niedorzecznością chcieć kierować spiskiem z odległej Szwajcaryi, podczas gdy rewolucyoniści w Petersburgu znajdowali się pod nieustanną groźbą śmierci. I Stepniak i ja pisaliśmy nieraz, że nikt z nas nie podjąłby się wątpliwego trudu opracowywania planów akcji rewolucyjnej, nie znajdując się osobiście na miejscu. Ale naturalnie w interesach policyi petersburskiej leżało utrzymywać władze w tem przekonaniu, że nie jest ona zdolną osłonić cesarza przed zamachami, ponieważ wszystkie spiski powstają

za granicą. Szpiedzy — wiem o tem dobrze — dostarczali jej aż nadto pożądaných informacyi w tym względzie.

Zwrócono się także do generała Skobelewa, bohatera tureckiej wojny, z propozycją wstąpienia do Ligi, ale odmówił bez wahania. Z pośmiertnych papierów Loris-Melikowa, których część wydana została w Londynie przez jednego z przyjaciół zmarłego, okazuje się, że gdy Aleksander III po wstąpieniu na tron nie mógł się zdecydować na zwołanie przedstawicieli ziemstw, Skobelew podejmował się aresztować go i siłą zmusić do podpisania manifestu o konstytucyi. Ale Loris-Melikow i hr. Ignatjew («pasza-klamca», jak go nazywali konstantynopolscy dyplomaci) nie zgodzili się na to. Mówią nawet, że Ignatjew sam doniósł o tem cesarzowi, co mu zjednało nominację na ministra spraw wewnętrznych. Jako taki starał się on różnymi sposobami paraliżować działalność rewolucjonistów, w czem pomagał mu swemi radami były prefekt policyi francuskiej, Andrieux.

Jeśli liberali rosyjscy okazali wówczas choć trochę obywatelskiej odwagi i byli zdolni do jakiejś zgodnej, organizacyjnej akcji, Ziemski Sobór byłby zwołany. Z tych samych papierów pośmiertnych widać, że Aleksander III myślał o tem czas jakiś. Więcej, zdecydował się już prawie na ten krok konstytucyjny i uwiadomił o tem swego brata. Stary cesarz niemiecki, Wilhelm I, umacniał go w tem postanowieniu. Tymczasem liberali zachowywali się całkiem obojętnie, podczas gdy partya Katkowa rozwinęła energiczną działalność w przeciwnym kierunku. Andrieux pisał do Aleksandra III, że nie jest wcale rzeczą trudną zgnieść nihilistów i wskazywał, jak się należy wziąć do tego (list z radami wydrukowany został w powyżej wspomnianej broszurze). Wtedy do-

piero Aleksander III postanowił nakoniec oznajmić głośno, że pozostanie nieograniczonym samowładcą Rosyi.

W kilka miesięcy po śmierci Aleksandra II zostałem wydalony ze Szwajcaryi na skutek rozporządzenia Rady Federalnej. Prawdę powiedziawszy, nie czułem o to zbyt wielkiej urazy. Wystawione na ciągle napaści ze strony państw monarchicznych za schronienie, jakie znajdowali w Szwajcaryi wygnańcy polityczni, obawiając się przytem groźb rosyjskiej prasy urzędowej, domagającej się wypędzenia z Rosyi wszystkich szwajcarskich bon i guwernantek, których tyle przebywa u nas; — władze małej Rzeczypospolitej, wydając mię, dawały pewnego rodzaju zadośćuczynienie politycy rosyjskiej. Ale ubolewałem nad tym postępkami szwajcarskiego rządu ze względu na Szwajcaryę samą. Potwierdzał on, żeby się tak wyrazić, teorię spisków, organizowanych na szwajcarskiem terytoryum; był zarazem uznaniem swej własnej słabości, z czego wielkie państwa nie omieszkały natychmiast skorzystać. Gdy w dwa lata potem Juliusz Ferry proponował Niemcom i Włochom podział Szwajcaryi, głównym jego argumentem było, iż rząd szwajcarski sam przyznał, że Rzeczypospolita jest siedliskiem międzynarodowych spisków. Pierwsze ustępstwo wywołało coraz dalej idące żądania i bezwątowania więcej zaszkodziło niezawisłości Szwajcaryi, niżby to była uczyniła stanowcza odmowa na nieprawie domagania się Rosyi.

Dekret wydalenia wręczono mi natychmiast po powrocie z Londynu, gdzie w lipcu 1881 r. brałem udział w anarchistycznym kongresie. Po kongresie zabawiłem kilka tygodni w Londynie i napisałem tu dla «Newcastle Chronicle» moje pierwsze artykuły o spra-

wach rosyjskich, uważanych z naszego punktu widzenia. Prasa angielska była w owym czasie echem zapatrywań pani Nowikowej, to jest poglądów Katkowa i rosyjskich żandarmów, — byłem więc bardzo szczęśliwy, gdy master Joseph Cowen pozwolił mi w swej gazecie przedstawić także nasz sposób widzenia rzeczy.

Przyjechałem właśnie odwiedzić żonę, która mieszkała wówczas w górach, niedaleko od Elizeusza Réclus, gdy mi kazano opuścić Szwajcaryę. Wysłaliśmy nasze skromne pakunki podróżne do najbliższej stacji kolei żelaznej, a sami poszliśmy pieszo do Aigle, rozkoszując się po drodze ostatni raz widokiem gór, któreśmy tak kochali. Przedzieraliśmy się przez góry wprost, najkrótszą drogą i śmialiśmy się serdecznie, gdy się okazywało, że «prosta droga» naraża nas tylko na ciągle kołowanie. Nakoniec spuściliśmy się w dolinę i zeszliśmy na równą, pełną kurzu drogę. Trochę komizmu, towarzyszącego zwykle podobnym wydarzeniom życia, zawdzięczaliśmy tym razem pewnej angielskiej damie. Wystrojona lady, wsparta obok gentleman'a o poduszki karety, rzuciła, mijając ich w szybkim pędzie, dwóm ubogo odzianym pielgrzymom kilka pobożnych traktatów. Podjąłem te broszury z pyłu drogi. «Lady», widocznie była jedną z tych pań, które mając się w własnym przekonaniu za chrześcijanki, uważają za swój obowiązek rozdawać święte książeczki «bezbożnym cudzoziemcom». W przypuszczeniu, że niewątpliwie zastaniemy tę panią na stacji, napisałem na jednej z broszur znany wiersz Pisma św. o bogaczu, któremu trudniej dostać się do królestwa niebieskiego, niż wielbładowi przejść przez ucho igielne i dodałem odpowiedni do okoliczności ustęp o faryzeuszach, jako o najgorszych wrogach Chrześcijaństwa. Kiedyśmy przybyli do Aigle, dama zajaędała i popijała smacznie, siedząc w karecie. Widocznie

znajdowała, iż daleko przyjemniejszą jest podróż wśród przepięknej doliny w powozie, niż w dusznym wagonie. Uprzejmie zwróciłem jej pobożne broszury, dodając, że pozwoliłem sobie dopisać kilka słów, które może posłużą ku jej własnemu zbudowaniu. Lady nie wiedziała, czy ma obruszyć się na mnie, czy przyjąć naukę z chrześcijańską pokorą. Oba uczucia odbiły się w jej oczach, jedno po drugim.

Żona moja zdawała w genewskim uniwersytecie ostatnie egzamina na stopień bakałarza nauk przyrodniczych. W skutek tego osiedliliśmy się w maleńkiem francuskim miasteczku, Thonon, położonem na sa-baudzkim brzegu jeziora genewskiego i spędziliśmy tu dwa miesiące.

Co się tyczy wyroku śmierci, wydanego na mnie przez «Świętą Ligę», zostałem ostrzeżony o nim przez jedną wysoko położoną osobę w Rosyi. Wiadomem mi nawet było nazwisko damy, którą wysłano z Petersburga do Genewy w charakterze głównej organizatorki spisku. W obec tego zawiadomiłem o fakcie i nazwiskach genewskiego korespondenta angielskiej gazety «Times», z prośbą, aby je ogłosił, jeśliby cobydz przytrafiło się ze mną. Pomieściłem także odpowiednią wzmiankę w «Le Révolté», i nie zajmowałem się już więcej tą sprawą. Ale żona moja nie traktowała jej tak lekko, zarówno jak i poczciwa wieśniaczka, madame Sansaux, u której najmywaliśmy w Thonon mieszkanie ze stołem. Dowiedziawszy się o spisku inną drogą (od swojej siostry, która służyła za bonę w domu rosyjskiego agenta), otoczyła mię najserdeczniejszą troskliwością. Domek jej leżał za miastem i za każdym razem, gdy wychodziłem wieczorem do miasta, na spotkanie żony mojej na stacyi kolejowej, albo w jakim innym interesie, madame

Sansaux umiała zawsze wysłać ze mną pod jakimś pozorem swego męża z latarnią.

— Poczekaj pan chwileczkę, panie Krapotkin, — mówiła, — mój mąż także idzie do miasta po sprawunki i, jak pan wie, zawsze bierze latarnię z sobą. — Albo też posyłała swego brata, by — niezauważony przezemnie — towarzyszył mi z daleka.

X.

W październiku, czy listopadzie 1881 r. skoro tylko żona moja zdała ostatnie egzamina, opuściliśmy Thonon i wyjechaliśmy do Londynu, gdzie bawiliśmy około roku. Nie tak wiele lat upłynęło od tego czasu, a jednak mogę powiedzieć, że duchowe życie Londynu i Anglii całej zresztą, zupełnie inaczej przedstawiało się wówczas, niż w kilka lat potem. Wiadomo, że w 40-tych latach Anglia stała prawie na czele socjalistycznego ruchu w Europie. Ale gdy nastąpiły potem lata reakcyi, wielki ruch, który tak szeroko ogarnął klasy robotnicze, — i w czasie którego wszystko to, co się nazywa dzisiaj socjalizmem naukowym lub anarchizmem, wypowiedzianem już zostało, — zamarł, zagłuchł. Zapomnieli o nim w Anglii, jak i na lądzie stałym, a nowy ruch, który pisarze francuscy nazywają trzeciem przebudzeniem się proletaryatu, jeszcze się w Anglii nie rozpoczął. Prace komisji rolniczej 1871 r., propaganda Józefa Arche'a wpośród robotników wiejskich i poprzednia działalność chrześcijańskich socjalistów, ma się rozumieć, utorowały w pewnej mierze drogę; ale nic jeszcze nie zdawało się zapowiadać potężnego rozwoju idei socjalistycznych z końca lat 80-tych, — pod wpływem pobytu w Anglii

Henry George'a i książki jego «Progress and Poverty» («Postęp i Nędza»).

Rok, któryśmy przeżyli wówczas w Londynie był prawdziwym rokiem wygnania. Wyznawca skrajnych socjalistycznych poglądów nie mógł wprost swobodnie oddychać. Nie było jeszcze najlżejszej oznaki tego ożywionego ruchu socjalistycznego, jaki zastałem w pełnym rozwoju za moim powrotem do Anglii w 1886 r. O Burnsie, Champion'ie, Hardie'm nie było ani słyhu; Fabianiści nie istnieli; William Morris nie wystąpił jeszcze otwarcie jako socjalista, a Trade-Union'y, które obejmowały w Londynie tylko niektóre uprzywilejowane gałęzie przemysłu, odnosiły się wrogo do socjalizmu. Jedynymi czynnymi i jawnymi przedstawicielami ruchu socjalistycznego byli małżonkowie Hyndman, około których grupowało się nieliczne koło robotników. Jesienią 1881 r. zorganizowali oni mały kongres, ale był on doprawdy tak małym, że mówiliśmy żartem, iż cały kongres składali sami goście państwa Hyndman. Bez wątpienia odbywał się wówczas w umysłach pewien ruch ideowy w kierunku radykalnym, z mniej lub więcej socjalistycznym zabarwieniem, ale nie wypowiedał się jeszcze jawnie i otwarcie. Ci mężczyźni i kobiety z klas wykształconych, którzy w cztery lata potem wystąpili tak licznym i zwartym hufcem na arenę życia społecznego i nie stając pod sztandarem socjalizmu, przyjęli czynny udział w różnych pracach, mających na celu dobrobyt i oświatę mas i stworzyli w każdym prawie mieście Anglii i Szkocyi całkiem nową atmosferę i nowe koła społecznych reformatorów, — nie byli jeszcze znani. Ci ludzie, ma się rozumieć, istnieli; oni myśleli i mówili; w gruncie rzeczy wszystkie żywoły szeroko rozgałęzionego ruchu były obecne, — ale nie znajdując głównych punktów ciężenia, którymi stały się nastę-

pnie różne grupy socjalistyczne, żywiły te ginęły w masie, nie znając się wzajemnie, a często nawet nie znając samych siebie.

N. W. Czajkowski mieszkał wówczas w Londynie i jak za dawnych czasów rozpoczęliśmy z nim propagandę wśród robotników. Przy współudziale kilku robotników angielskich, z którymi poznajomiliśmy się na kongresie 1881 r., albo którzy oburzeni prześladowaniami, jakimi ścigano Johna Mosta, skłaniali się ku socjalizmowi, — odwiedzaliśmy radykalne kluby i mówiliśmy tam o stosunkach rosyjskich, o wielkim ruchu naszej młodzieży pod hasłem «do ludu» i o socjalizmie w ogóle. Słuchaczy mieliśmy, co prawda, śmiesznie mało; rzadko, bardzo rzadko więcej, niż dziesięciu ludzi. Czasem powstawał jaki siwobrody Chartysta i oświadczał ze smutkiem, że wszystko, co mówimy, głoszonem już było czterdzieści lat temu i znajdywało wówczas gorący poklask u tłumów robotniczych; ale teraz — wszystko minęło i umarło, bez nadziei zmartwychwstania.

Hyndman wydał właśnie prześliczne dzieło, zawierające popularny wykład socjalizmu Marksa, pod tytułem «England for all» (Anglia dla wszystkich), — i pamiętam, że latem 1882 r. namawiałem go, by założył socjalistyczną gazetę. Opowiadałem mu, z jak nieznacznymi środkami przystąpiliśmy do wydawania «Le Révolté» i rokowałem niechybne powodzenie. Ale położenie rzeczy było tak mało zachęcające, że nawet Hyndman uważał pomysł ten za niemożliwy do wykonania, chyba — gdyby wzbogaciwszy się niespodziewanym sposobem, sam był w stanie pokrywać koszta wydawnictwa. Może miał rację, ale gdy w dwa lata potem założył «Justice», robotnicy chętnie poparli gazetę. W początkach 1886 r. wychodziły już trzy so-

cyalistyczne pisma i federacya socyal-demokratyczna zyskała znaczny wpływ.

Latem 1882 r. przemawiałem w łamanym angielskim języku na dorocznem zebraniu górników w Durham. Miałem także w Newcastle, Glasgowie i Edyngburgu szereg odczytów o ruchu rosyjskim i wszędzie przyjmowano mię z najwyższym zapalem. Gromady robotników wykrzykiwały entuzjastycznie po każdym wykładzie głośne «hurrah!» w cześć rosyjskich nihilistów. Ale mimo to czuliśmy się z żoną tak dalece osamotnieni w Londynie, że w jesieni 1882 r. postanowiliśmy wrócić do Francyi. Byłem przekonany, że zostanę tam wkrótce aresztowanym, ale często mówiliśmy sobie: «lepsze więzienie francuskie, niż ten żywy grób».

Ci, którzy nieustannie mówią o powolności każdej ewolucyi, powinni by przestudyować historję rozwoju socyalizmu w Anglii. Ewolucya — proces powolny; ale przebieg jego nie wszędzie bywa jednakowy. Ma on swe okresy zastoju — i w ślad po nich okresy nagłego postępu i rozkwitu.

XI.

Znowu zamieszkaliśmy w Thonon u naszej dawnej gospodyni, pani Sansaux. Przyjechał do nas ze Szwajcaryi brat mojej żony, znajdujący się w ostatnim stopniu suchot.

Nigdy jeszcze nie widziałem takich tłumów rosyjskich szpiegów, jak w ciągu tych dwóch miesięcy, któreśmy zabawili w Thonon. Na samym wstępie, ledwieśmy przyjechali, jakiś podejrzany mężczyzna, podający się za Anglika, wynajął drugą część domu. Stada, literalnie całe stada rosyjskich szpiegów oble-

gały dom; starali się oni pod różnymi pozorami wtargnąć do nas, albo poprostu błakali się pod naszymi oknami tam i sam, grupkami po dwóch, trzech i czterech ludzi. Wyobrażam sobie, jakie cudaczne sprawozdania musieli wymyślać i wysyłać o mnie! Szpieg musi zawsze mieć coś do doniesienia swym władzom. Jeśli powie poprostu, że stał cały tydzień na ulicy i nie podejrzanego nie zauważył, prędko zleciałby z miejsca, lub co najmniej, obcięłoby mu pensję do połowy.

Były to złote czasy rosyjskiej policji tajnej. Polityka Ignatjewa wydała swe owoce. Dwie czy trzy odrębne, rywalizujące z sobą policje, przesadzały się w gorliwości i rozporządzając nieograniczonymi funduszami, prowadziły najśmielsze intrygi. Pułkownik Sudiejkin, na przykład, knuł różne spiski z Degajewym, — który go z tem wszystkiem potem zabił, — denuncyował przed emigrantami genewskimi agentów Ignatjewa i proponował terrorystom w Rosji swą pomoc w zamordowaniu ministra spraw wewnętrznych, Tołstoja i W. Księcia Włodzimierza. Dodawał przytem, że wtedy on sam zostanie ministrem spraw wewnętrznych z dyktatorską władzą i car znajdzie się całkowicie w jego rękach. Ten okres rozkwitu policji tajnej osiągnął swój najwyższy szczyt w sprawie porwania ks. Battenbergskiego z Bułgarii.

Policja francuska była także niezwykle podnieconą. Nie dawało jej spokoju pytanie: «co on tam robi w Thonon?» Ja redagowałem w dalszym ciągu «Le Révolté», potem pisałem artykuły dla «Encyclopaedia Britannica» i dla «Newcastle Chronicle». Ale to wydawało im się zbyt pospolitem. Pewnego razu przyszedł do mojej gospodyni miejscowy żandarm. Usłyszał on z ulicy stuk jakiejś maszyny i pragnął gorąco odkryć u mnie tajną prasę drukarską. Jaki pię-

kny raport możnaby wysłać o tem! Przyszedł, kiedy mnie nie było w domu i zażądał, żeby mu gospodyni pokazała prasę. Madame Sansaux odpowiedziała, że żadnej prasy nie ma i wyraziła przypuszczenie, że żandarm słyszał zapewne stuk jej własnej maszyny do szycia. Ale ten ostatni nie mógł poprzestać na tak banalnem tłómaczeniu. Kazał gospodyni szyć na maszynie, a sam przysłuchiwał się w domu i pod oknami dla przekonania się, czy odgłos, który słyszał pierwaj z ulicy był taki sam.

— A co on robi cały dzień? -- spytał żandarm gospodyni.

— Pisze.

— Nie może przecie pisać przez cały dzień!

— W południe piłuje drzewo w ogrodzie, a po obiedzie, między godziną czwartą i piątą, wychodzi na przechadzkę.

Działo się to w listopadzie.

— Aha! mamy go! «A la tombée de la nuit!» (o zmierzchu). I żandarm zapisał w książce: «wychodzi z domu dopiero, gdy się ściemni».

Wtedy jeszcze nie uniałem sobie wytłómaczyć tej niezwyklej troskliwości o mnie ze strony rosyjskich szpiegów, ale prawdopodobnie znajdowała się ona w związku z następującą okolicznością. Gdy Ignatjew został ministrem spraw wewnętrznych, ukuł on — za radą byłego prefekta paryskiego, pana Andrieux, nowy plan. Zalał swymi agentami Szwajcaryę, gdzie jeden z nich zaczął wydawać gazetę, popierającą pozornie w duchu liberalnym ideę rozszerzenia samorządu ziemskiego w Rosyi. Właściwym jednakże celem pisma było walczyć z rewolucjonistami i grupować — o ile się dało — około siebie wszystkich emigrantów, niechętnych terrorowi. Bez wątpienia był to niezły środek wywołania rozdwojenia w obozie rewo-

lucyjnym. Potem, kiedy wszystkich prawie członków Komitetu Wykonawczego wyłapano w Rosyi, i tylko dwóch czy trzech uciekło do Paryża, Ignatjew wysłał do nich swego agenta z propozycją rozejmu. Obiecał, że nie będzie więcej karał śmiercią za udział w spiskach, które miały miejsce za panowania Aleksandra II, nawet, jeśliby zbiegowie wpadli w ręce rządu; że Czernyszewskiego wypuszczą z Wilujka, że mianowaną zostanie komisya dla rewizyi sprawy tych wszystkich osób, które zesłano na Syberyę administracyjnym porządkiem. Ze swojej strony Ignatjew żądał, aby Komitet Wykonawczy wstrzymał się od zamachów na życie cesarza, póki się nie odbędzie koronacya. Może być, że napomknięto coś także o reformach, które Aleksander III zamierzał przeprowadzić na korzyść chłopów. Umowa została zawartą w Paryżu i obie strony dochowały jej. Terrorysty zawiesili wojenne działania. Rząd nikogo nie skazał na śmierć za poprzednie spiski, ale tych, którzy zostali aresztowani, zamurował w Szlüsselburgu, tej rosyjskiej Bastylji, gdzie nikt odtąd nie słyszał nic o nich w ciągu piętnastu lat i gdzie wielu z nich jęczy aż do dziś dnia. Czernyszewskiego przywieźli z Syberyi do Astrachania, gdzie całkowicie odosobniony i odcięty od wszelkiej łączności z inteligencją rosyjską, umarł niebawem. Na Syberyę wysłano komisję, która wróciła niektórych zesłańców do kraju, a pozostałym wyznaczyła określone terminy wygnania. Mojemu bratu przedłużono je o pięć lat.

Kiedy byłem w Londynie 1882 r. oznajmiono mi też razu pewnego, że jakiś człowiek, który się podaje za agenta rządu rosyjskiego i zobowiązuje się dowieść tego, życzy sobie wejść ze mną w układy.

— Powiedzcie mu, odparłem, że jeśli się pokaże u mnie, zrzucę go ze schodów.

Ignatjew, zabezpieczywszy cesarza od zamachów Komitetu Wykonawczego, obawiał się prawdopodobnie, że anarchiści mogą też wykonać jaki zamach na własną rękę. Wskutek tego życzył sobie widocznie uprzętać mię z drogi.

XII.

Ruch anarchistyczny we Francyi rozrósł się znacznie w 1881 — 1882 latach. W ogóle upowszechniło się mniemanie, że duch Francuzów sprzeciwia się komunizmowi i dla tego w Międzynarodowej Assoyacji Robotniczej głoszone «kollektywizm». Rozumiało się wówczas pod kollektywizmem uspołecznienie środków produkeyi z pozostawieniem każdej grupie wytwórców zupełnej swobody co do kwestyi, na jakich zasadach, indywidualistycznych czy komunistycznych, ma się odbywać spożycie. Właściwie zaś duch francuski wrogim jest tylko koszarowemu komunizmowi, w rodzaju falansterów starej szkoły i «armii pracy», o których była mowa w czterdziestych latach. Kiedy zaś Federacya Jurajska na kongresie 1880 r. śmiało oświadczyła się za anarchistycznym komunizmem, to jest za komunizmem wolnym, poglądy anarchistyczne znalazły natychmiast we Francyi wielu zwolenników. Nasza gazeta zyskała licznych prenumeratorów; zawiązaliśmy ożywioną korespondencyę z wielu francuskimi robotnikami i silny ruch anarchistyczny rozwinął się wkrótce w Paryżu i w niektórych prowincyach, zwłaszcza w okolicach Lugdunu. Przejeżdżając przez Francyę po drodze z Thonon do Londynu, zwiedziłem Lugdun, Saint-Etienne i Vienne, gdzie miałem odczyty i znalazłem, że znaczna ilość

robotników skłonna była przyjąć nasze zapatrywania.

W 1882 r. panował w okolicach Lugdunu straszny kryzys. Przemysł jedwabniczy znajdował się w zupełnym zastoju i nędza wśród tkaczy była tak wielką, że gromady dzieci cisnęły się rankami u wrót koszar, gdzie żołnierze rozdawali im resztki swego chleba i zupy. Był to, mówiąc nawiasem, pierwszy początek przyszłej popularności generała Boulanger, który pozwolił żołnierzom rozdawać głodnym resztki swej żywności. Górnicy znajdowali się także w całym okręgu w wielkim niedostatku.

Wiedziałem, że zanosi się tam na dość silne wzburzenie, ale w ciągu jedenastu miesięcy, które spędziłem w Londynie, straciłem bezpośrednią łączność z ruchem francuskim. W kilka tygodni po moim powrocie do Thonon dowiedziałem się już z gazet, że między górnikami z Monceau-les-Mines, przyprowadzonymi do rozpaczyny nielitościwym uciskiem ze strony wielkich właścicieli kopalń, gorliwych katolików, wszczęły się dosyć silne rozruchy. Zwolniali oni tajne zebrania i obmyślali plan ogólnego strejku. Krzyże kamienne, stojące na wszystkich drogach około kopalń, znajdywano obalone, albo wysadzone w powietrze tymi samymi nabojami dynamitowymi, które używają się w znacznej ilości przy robotach podziemnych w kopalniach i nieraz potem pozostają u robotników. W Lugdunie agitacya stawała się także coraz gwałtowniejszą. Anarchiści, dosyć liczni w mieście, korzystali z każdego mityngu oportunistów, żeby wygłaszać na nim mowy i brali szturmem trybunę, jeśli im odmawiano głosu. Wtedy stawiali rezolucyę w tym duchu, że kopalnie, wszystkie narzędzia produkcji i domy mieszkalne powinny stanowić własność ludu.

I rezolucyje te, ku wielkiemu przerażeniu burżuazyi, znajdowały entuzyastyczny poklask.

Z każdym dniem rosło oburzenie robotników przeciw radnym miasta i menerom partyi oportunistycznej, którzy nie robili dla ulżenia wzmagającej się nędzy, oraz przeciw prasie, która z lekkim sercem, jak o drobnostce, mówiła o tak poważnym kryzysie. Jak zwykle bywa w podobnych razach, gniew uboższych warstw ludności zwrócił się przedewszystkiem przeciw przybytkom zabaw i rozpusty, których widok tem bardziej rozdrażnia masy w chwilach klęsk i rozpaczy, że są one dla niej uosobieniem egoizmu i nierządu bogaczy. Szczególnie nienawistną była robotnikom kawiarnia, mieszcząca się na dole w gmachu teatru Bellecour i otwarta zazwyczaj całą noc. Tu — do samego ranka — dziennikarze i politycy pili i ucztowali w towarzystwie wesołych kobiet. Nie było zebrania, żeby się nie odgrażano prawie głośno przeciw tej kawiarni, — aż pewnej nocy czyjaś nieznaną ręką rzuciła tam zapalony nabój dynamitowy. Znajdujący się przypadkowo w kawiarni robotnik-socyalista poskoczył, aby zagasić tłący się lont naboju, ale został zabity na miejscu wybuchem, kilku zaś uczujących obywateli odniosło lekkie rany. Nazajutrz nastąpiła druga eksplozya u wejścia do gmachu urzędu rekruckiego i rozeszła się wieść, że anarchiści zamierzają wysadzić w powietrze olbrzymią statwę Matki Boskiej, wznoszącą się na wzgórzu Fourviers, około Lugdunu. Trzeba żyć w Lugdunie albo w jego okolicach, żeby mieć pojęcie, jak dalece ludność i szkoły tamtejsze znajdują się jeszcze w rękach duchowieństwa i żeby zrozumieć tę nienawiść, którą pala ku niemu cała męzka połowa ludności.

Nieopisana panika ogarnęła burżuazyję lugduńską. Aresztowano 60-ciu anarchistów, samych robotników,

oprócz jednego Emila Gautier, który miał wówczas szereg odczytów w okolicach Lugdunu. Gazety lugańskie rozpoczęły równocześnie systematyczną kampanię, aby zmusić rząd do uwięzienia mnie; wystawiały mię one jako przywódcę agitacji, umyślnie przybyłego z Londynu dla kierowania ruchem. Znowu w naszym maleńkiem miasteczku zaczęły się przechadzać całe psiarnie rosyjskich szpiegów. Prawie codziennie otrzymywałem listy, pisane widocznie przez szpiegów policji międzynarodowej, które mówiły o przypuszczalnym spisku dynamitowym, albo napomykały tajemniczo o ładunkach dynamitu, wysłanych pod moim adresem. Zebrałem całą kolekcję podobnych listów i podpisałem na każdym: «Police Internationale». Policja francuska zabrała mi te listy przy rewizyi, ale nie ośmieliła się przedstawić ich sądowi. Zresztą, nie zwrócono mi ich wcale.

W grudniu zrobiono rewizyę w moim domu, zupełnie na sposób rosyjski. Zatrzymano także na stacyi w Thonon i zrewidowano moją żonę, która jechała do Genewy. Ma się rozumieć, nie znaleźli nic kompromitującego ani mnie, ani drugich.

Upłynęło dziesięć dni, w ciągu których mógłbym był swobodnie wyjechać, jeślibym chciał. Doradzano mi to w kilku listach, które otrzymałem. Jeden z tych listów pochodził od nieznanego rosyjskiego przyjaciela, może od jakiego członka korpusu dyplomatycznego, który, zdaje się, znał mię niegdyś. Radził on mi natychmiastową ucieczkę, gdyż inaczej mógłbym paść pierwszą ofiarą konwencji o wzajemnem wydawaniu sobie przestępców politycznych, jaka ma być zawartą między Francją a Rosją. Pozostałem na miejscu. Kiedy w «Times» ukazał się telegram, donoszący o mej ucieczce, napisałem niezwłocznie do redakcyi tej gazety, podałem w liście mój adres i oświad-

czyłem, że nie myślę wcale ukrywać się, kiedy tyłu moich przyjaciół zostało uwięzionych. W nocy z 20-go na 21-y grudnia skonał mój szwagier — na moich rękach. Wiedzieliśmy, że choroba jego jest nieuleczalną, ale zawsze ciężko jest patrzeć, jak w naszych oczach gaśnie młode życie — po uporczywej walce ze śmiercią. Byliśmy oboje z żoną pogrążeni w głębokim smutku; oboje kochaliśmy serdecznie tego sympatycznego, szlachetnego młodzieńca... W jakie trzy godziny potem, o bladym brzasku smutnego, zimowego dnia, przyszli żandarmi po mnie. Widząc, w jakim stanie znajdowała się moja żona, prosiłem, aby mi pozwolono pozostać z nią do pogrzebu, rękując słowem honoru, że stawię się sam na oznaczony dzień w więzieniu. Ale odmówiono mi i tejże nocy odwieziono mię do Lugdunu. Elizeusz Réclus, uwiadomiony telegraficznie o tem, co zaszło, przybył niezwłocznie i otoczył moją żonę całą serdeczną przyjaźnią swego złotego serca. Przyjechali też przyjaciele z Genewy. I chociaż w pogrzebie nie uczestniczył nikt z przedstawicieli miejscowego duchowieństwa, — rzecz niebywała w naszym malutkiem miasteczku, — połowa całej ludności szła za trumną. Poczciwi ci ludzie chcieli okazać mojej żonie, że sympatye klas ubogich i chłopów sabaudzkich są po naszej stronie, nie po stronie ich rządu. Kiedy rozpoczął się mój proces, chłopci śledzili z żywym zajęciem jego przebieg i codzień schodzili z swych górskich wiosek do miasta, aby kupić gazetę i dowiedzieć się, jak stoi moja sprawa w sądzie.

Głęboko także wzruszony byłem przyjazdem pewnego Anglika do Lugdunu. Przybył on z polecenia jednego ogólnie znanego i poważanego w angielskim świecie politycznym radykała, w którego rodzinie spędziłem niejedną miłą chwilę w 1882 roku, — i przywiózł z sobą znaczną sumę pieniędzy, żeby mię

wziąć na porękę. Oświadczył mi też w imieniu londyńskiego przyjaciela, abym nie troszcząc się o los kaucyi, natychmiast opuścił Francję. Dzięki nie wiem, jakiemu tajemniczemu wpływowi, znajomy mój otrzymał widzenie się ze mną na wolnej stopie, to jest widzenie się osobiste, nie w klatce za dwoma kratami, jak zazwyczaj widywałem się z żoną. Był on równie głęboko wzruszony odrzuceniem jego ofiary przeze mnie, jak ja tym serdecznym dowodem przyjaźni męża, którego, zarówno jak i jego niepospolitych przymiotów żonę, cenilem zawsze bardzo wysoko.

Rząd francuski postanowił wywrzeć silne wrażenie na masy za pomocą wielkiego procesu, ale nie mógł oskarżyć aresztowanych anarchistów jako sprawców niedawnych wybuchów. W tym ostatnim wypadku musiałby stawić ich przed sądem przysięgłych, którzy, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, uniewiniłiby nas. Rząd chwycił się więc czysto machiawelistycznego środka i oparł oskarżenie na zasadzie przynależności naszej do Międzynarodowej Assocyacji robotniczej. We Francji istnieje prawo, wydane niezwłocznie po upadku paryskiej komuny 1871 r., wedle którego osoby, należące do tego stowarzyszenia mogą być oddane zwykłemu sądowi policyjnemu i skazane przezeń najwyżej na pięć lat więzienia. Sąd zaś policyjny zwykle wydaje takie wyroki, jakich sobie życzy rząd.

Proces rozpoczął się w Lugdunie, w początkach stycznia 1883 r. i ciągnął się prawie dwa tygodnie. Oskarżenie było wprost śmieszne, gdyż było ogólnie wiadomem, że robotnicy lugduńscy nigdy nie należeli do Międzynarodowego Związku Robotniczego; więcej nawet, zostało ono na samym wstępie obalone, jak tego dowodzi następujący epizod. Jedynym świadkiem

strony oskarżającej był naczelnik tajnej policyi w Lugdunie, człowiek już niemłody, w obec którego cały sąd zachowywał się z niezwykłym szacunkiem. Zeznania jego, muszę przyznać, były co do swej strony faktycznej, zupełnie prawdziwe. Anarchiści, mówił on, zjednali sobie licznych zwolenników wśród miejscowej ludności. Nie dopuszczali oni żadnego mityngu oportunistycznego, ponieważ przemawiali na każdym z nich, głosząc komunizm i anarchizm i porywając za sobą słuchaczy. Widząc, że naczelnik tajnej policyi zeznaje zgodnie z prawdą, postanowiłem zadać mu pytanie.

— Czy słyszał pan kiedy, żeby mówiono w Lugdunie o Międzynarodowej Assocyacji robotników?

— Nigdy! odparł niechętnie.

-- Czy usilne zabiegi moje — po powrocie z kongresu londyńskiego w 1881 r. — około odrodzenia Internacyołału we Francyi miały powodzenie?

— Nie. Robotnicy znajdowali, że Internacyołał nie jest dość rewolucyjny.

-- Dziękuję panu, — rzekłem; potem, zwróciwszy się do prokuratora, dodałem: «oto macie cały gmach waszego oskarżenia zwalony przez waszego własnego świadka».

Mimo to zostaliśmy wszyscy skazani za należenie do Internacyołału. Czterech z pomiędzy nas otrzymało najsurowszy wyrok: pięcioletnie więzienie i karę pieniężną w wysokości dwóch tysięcy franków; pozostali tylko więzienie od jednego roku do czterech lat. W gruncie rzeczy oskarżyciele nasi nie starali się nawet dowieść egzystencyi Internacyołału. O tem — najwidoczniej — zupełnie zapomnieli. Pozwolono nam po prostu mówić o anarchizmie, z czegośmy też chętnie korzystali. O wybuchach nikt ani wspomniał, a gdy jeden z towarzyszy lugduńskich pragnął wyjaśnić ten punkt, przerwano mu krótko, że oskarżeni jesteśmy

nie o zamachy dynamitowe, a o należenie do Internacyoalu, którego właściwie z pomiędzy wszystkich obecnych ja byłem jedynym członkiem.

Tego rodzaju procesy miewają zwykle swoją stronę komiczną i tym razem spowodował ją jeden z moich listów, przytoczonych na sądzie. Oskarżenie faktycznie wisiało w powietrzu, niepodobna go było oprzeć na żadnym rzeczywistym dowodzie. Liczne rewizye w mieszkaniach anarchistów francuskich nic nie wykryły. Znalaziono tylko dwa moje listy. Prokurator starał się wycisnąć z nich wszystko, co się tylko dało. Jeden był pisany do pewnego zniechęconego i zrozpaczonego robotnika francuskiego. Staralem się podnieść go na duchu, przedstawiając mu, w jak wielkiej epoce żyjemy, jak doniosłe zmiany zapowiadają się w blizkiej przyszłości i jak szybko powstają i szerzą się nowe idee.. List był niedługi i prokurator nie umiał zeń nic wyciągnąć na korzyść oskarżenia. Drugi list zawierał dwanaście stronnic. (Teraz prokurator pokazał, co umie!). Pisałem go także do Francuza, pewnego młodego szewca. Zarabiał on na życie, sporządzając buty na obstalunek do magazynu. Pracował u siebie w domu. Po lewej stronie stał mały piecyk żelazny, na którym sam gotował sobie swoją zupę, a po prawej stolik, przy którym pisywał długie listy do towarzyszy, nie wstając ze swego nizkiego szewskiego stołka. Uszywszy akurat tyle par butów, aby mu starczyło na zaspokojenie bardzo skromnych potrzeb i na posłanie kilku franków staruszce matce na wieś, przyjaciel mój całemi godzinami pisał listy, rozwijając w nich z niezwykle zdrowym rozsądkiem i nadzwyczajną przenikliwością umysłu teorye anarchistyczne. Obecnie jest on powszechnie znanym we Francyi pisarzem, a jego otwarty, szczery charakter i trafny zmysł polityczny zjednały mu ogólne poważanie. Ale

na nieszczęście, w czasie, o którym mowa, mógł on zapisać całych osiem lub dziesięć stronic i nigdzie nie postawić ani jednej kropki, a choćby tylko przecinka. Siadłem więc razu pewnego i wypaliłem doń obszerną epistołę, wykładając mu, że myśli dzielić się na papierze na zdania główne i podrzędne, że pierwsze należy oddzielać od siebie kropką, albo średnikiem, a dla drugich nie żałować choć przecinka. Objąśnilem przyjacielowi, ile zyskają jego listy, jeśli się będzie trzymał tych skromnych przepisów.

List ten przeczytał prokurator na sądzie i opatrzył go wysoce patetycznym komentarzem.

— «Słyszeliście, panowie, ten list, — zaczął, zwracając się do sądu. — Tak, wysłuchaliście go uważnie. Na pierwszy rzut oka nie zawiera on nic szczególnego. Podsądny udziela lekcji gramatyki robotnikowi... Ale — tu głos prokuratora zdrztał z głębokiego wzruszenia — czynił on to wcale nie dla tego, żeby pomódz biednemu robotnikowi w nabyciu wiadomości, których ten nie przyswoił sobie w szkole, zapewne dzięki swemu lenistwu. Nie dla tego, żeby pomódz mu zarabiać uczciwie na chleb... Nie, panowie. Ten list pisany jest w tym celu, aby natchnąć go nienawiścią naszych wielkich, wspaniałych instytucyi, aby przepoić go jadem trucizny anarchistycznej, jedynie w celu uczynienia go jeszcze straszniejszym wrogiem społeczeństwa... Przeklętym niech będzie dzień, w którym Krapotkin stąpił po raz pierwszy na ziemię francuską!»

Nie mogliśmy się powstrzymać i śmieliśmy się, jak dzieci, podczas całej tej filipiki. Sędziowie patrzyli zdziwieni na prokuratora, jakby chcieli powiedzieć mu: «dosyć!» — ale ten ostatni wpadł w niczem niepohamowany zapał, zdawał się nic nie spostrzegać i uniesiony potokiem własnej wymowy, grzmiał coraz

potężniej, wpadając w coraz teatralniejszy ton. Starał się z całą gorliwością zasłużyć sobie na nagrodę rządu rosyjskiego, która go też nie ominęła.

Wkrótce po naszym skazaniu, prezes sądu policyjnego został awansowany na członka sądu okręgowego. Co się tyczy prokuratora i drugiego członka sądu, to — rzecz trudna do uwierzenia, — rząd rosyjski przysłał im krzyż św. Anny, a rząd francuski pozwolił order przyjąć. Tak więc znamienite franko-rosyjskie przymierze powstało jeszcze w Lugdunie, w czasie procesu.

Proces ten, w czasie którego tacy pierwszorzędni mówcy, jak robotnik Bernard i Emile Gautier wypowiedzieli świetne mowy, zamieszczone przez wszystkie gazety; wszyscy zaś podsądni trzymali się dzielnie i przez całe dwa tygodnie głosili jawnie swoją naukę; miał olbrzymi wpływ na rozwój idei anarchistycznych we Francji i przyczynił się znacznie do sprostowania fałszywych wyobrażeń, jakie się upowszechniły o anarchizmie francuskim. Bezwątpienia zawdzięczać mu także należy w pewnym stopniu obudzenie się dążności socjalistycznych w innych krajach. Co zaś do wyroku potępiającego przeciwko nam, którym się zakończył, to wyrok ten był tak dalece niesprawiedliwym i bezpodstawnym, że cała prasa francuska, wyjąwszy gazet, oddanych rządowi, otwarcie powstawała przeciw sędziom. Nawet umiarkowany «Journal des Économistes» niezadowolony był z «wyroku, który żadną miarą nie dawał się przewidzieć na zasadzie faktów, dowiedzionych w czasie procesu». W pojedynku między nami a sądem zwycięstwo zostało po naszej stronie. Opinia publiczna stanowczo oświadczyła się za nami. Natychmiast po naszym skazaniu wniesionem zostało do parlamentu podanie o amnestyę, poparte przez głosy blisko stu deputowanych. Wniosek ten,

ponawiany regularnie co roku, zyskiwał coraz większą ilość głosów, aż póki nie zostaliśmy ułaskawieni.

XIII.

Proces skończył się, ale jeszcze około dwóch miesięcy pozostawaliśmy w więzieniu Lugduńskim. Wielu z moich towarzyszy apelowało od wyroku sądu policyjnego i oczekiwaliśmy odpowiedzi. Ja zaś — wspólnie z czterema przyjaciółmi — nie chciałem podać żadnej apelacji i pracowałem dalej spokojnie w mojej «pistole»¹⁾. Mój serdeczny przyjaciel, Martin, tkacz z Vienes, siedział w sąsiedniej «pistole»; ponieważ byliśmy już po wyroku, pozwolono nam przechadzać się razem. Kiedy zaś wzięła nas chętka pogawędzić w ciągu dnia, pukaliśmy z sobą przez ścianę, kubek w kubek jak w Rosyi. Alfabet dekabrystów przydał się i tu.

Już w czasie mego pobytu w więzieniu lugduńskim zacząłem pojmować ten straszny demoralizujący wpływ, jaki więzienie wywiera na aresztowanych. Następne trzy lata, spędzone w Clairvaux przekonały mnie jeszcze dowodniej o szkodliwości całego systemu więziennego w ogóle.

Więzienie lugduńskie — gmach «nowoczesny», zbudowany w kształcie gwiazdy, systemem celkowym. W przestrzeni, objętej promieniami gwiazdy, znajdowały się maleńkie, wyłożone asfaltem podwórza; tu, jeśli pogoda sprzyjała, pracowali więźniowie. Głównem ich zajęciem było wysnuwanie floretowego jedwabiu z rozwiniętych kokonów. W określone godziny wy-

¹⁾ Tak się nazywają pokoje osobne, które więźniowie, znajdujący się pod śledztwem, mogą zamieszkiwać za pewną opłatą i gdzie też mogą mieć własny stół.

prowadzano także na podwórza masę dzieci i często mogłem widzieć z mego okna te wychudłe, wycieńczone, źle odżywiane postacie, raczej cienie dziecinne. Straszna anemia wycisnęła swoje piętno na tych białych, smutnych twarzyczkach i drżących, wynędzniałych ciałkach, — a choroba pogarszała się jawnie nie tylko w sypialniach, ale tu — na dworze, wśród jasnego, słonecznego dnia. Co się stanie z temi dziećmi, gdy opuszczą takie szkoły z podkopanem zdrowiem, zniszczoną wolą i zachwianą energią. Anemia, zabijając energię i chęć do pracy, osłabiając wolę i zdolności umysłowe, i znieprawiając wyobraźnię, usposabia w daleko wyższym stopniu do występku, niż nadmiar krwi i sił. A właśnie ten nieubłagany wróg rodzaju ludzkiego wyhodowuje się w więzieniach! W dodatku, czegoż się nauczyć mogą te dzieci w podobnem straszem otoczeniu? Nawet jeśliby możliwem było zupełne odosobnienie więźniów, czego osiągnąć niepodobna, — i to niewieleby pomogło. Powietrze więzienne przesycone jest — żeby się tak wyrazić — wysławianiem tej dzikiej namiętności do wszelkiej awanturycznej, hazardowej gry, która w gruncie rzeczy leży na dnie każdego złodziejstwa, łotrstwa i innych przeciwspołecznych występków tego rodzaju. W tych zakładach, które państwo utrzymuje, a społeczeństwo znosi tylko dla tego, aby nie słyszeć sądu i potępienia swych własnych win, — wychowują się całe pokolenia przyszłych zbrodniarzy. «Kto dzieckiem dostał się do więzienia, temu zeń nie wyjść», mówili mi zawsze wszyscy znawcy stosunków więziennych. I gdy, patrząc na te dzieci, wyobrażałem sobie, co je czeka w przyszłości, pytałem się zawsze: «kto jest większym przestępcą? czy to dziecko, czy sędzia, skazujący co roku setki dzieci na los podobny». Chętnie przyznaję, że wina sędziego jest nieświadoma. Ale czy rzeczy-

wiecie tak świadomemi są wszystkie przestępstwa, za które zamykają ludzi do więzienia?

Już w pierwszym tygodniu mego uwięzienia uderzyła mię jeszcze jedna okoliczność, która zwykle uchodzi uwagi sędziów i kryminalistów, a mianowicie, że w większości wypadków, nie mówiąc już o pomyłkach sądowych, kara więzienia spada daleko cięższym brzemieniem na ludzi całkiem niewinnych, aniżeli na samych skazańców.

Prawie wszyscy moi towarzysze, typowi przedstawiciele francuskiej ludności robotniczej, utrzymywali swą pracą swoje żony i dzieci, albo siostrę, albo starszuskę matkę. Pozbawione swych karmicieli, wszystkie te kobiety czyniły, co mogły, aby znaleźć pracę. Niektóre znalazły, -- ale ani jedna z nich nie zdołała zarabiać regularnie choćby półtora franka dziennie. Dziewięć, a czasem siedem franków — oto wszystko, co mogły one zapracować tygodniowo dla wyżywienia siebie i dzieci. To oznaczało naturalnie: liche odżywianie się, niedostatek wszelkiego rodzaju — i co za tem idzie podkopanie zdrowia kobiet i dzieci, osłabienie sił umysłowych, energii i woli... Zrozumiałem wtedy, że wyroki naszych sądów skazują w gruncie rzeczy najniewinniejszych ludzi na cierpienia, dotkliwsze nieraz od tych, które przypadają w udziale samym skazanym. Mniemają ogólnie, że prawo karze przestępcę, za pomocą różnych środków fizycznych i moralnych udręczeń. Ale człowiek -- istota, zdolna przyzwyczaić się powoli do wszelkich warunków życia. Jeśli nie może ich zmienić, poddaje się im, jako czemuś niewymijalnemu, — i stopniowo przystosowuje się do nich, tak samo — jak przywyka do chronicznej choroby i staje się prawie nieczułym w obec niej. Ale co dzieje się — w czasie jego uwięzienia — z jego żoną i dziećmi, które nic nie zawiniły? Prawo karze ich z jeszcze

większem okrucieństwem, niż samego «zbrodniarza». A jednak — dzięki naszej bezmyślności i rutynie — nikt nigdy nie pomyśli o tej wielkiej niesprawiedliwości, która zachodzi na każdym niemal kroku. Ja sam nie myślałem o niej, póki rzeczywistość nie stawiała mi jej przed oczy w całej grozie faktów.

W połowie marca 1883 r. dwudziestu dwóch z pomiędzy nas, skazanych na dłużej, niż na rok, przewieziono z niezwykłą tajemniczością do centralnego więzienia w Clairvaux. Niegdyś było to opactwo mnichów bernardyńskich, obrócone w czasie wielkiej rewolucyi na przytułek dla ubogich. Później jeszcze zrobiono zeń więzienie poprawcze: »maison de détention et de correction«, (dom zamknięcia i poprawy) zwane z całkowitą słusnością przez więźniów i zwierzchność więzienną «maison de détention et de corruption», (dom zamknięcia i zepsucia).

Dopóki siedzieliśmy w Lugdunie, obchodzono się z nami, jak w ogóle obchodzą się we Francyi z uwięzionymi przed sądem, to jest nosiliśmy swoje własne ubranie, mieliśmy prawo dostawać jedzenie z restauracyi i wynajmywać za kilka franków miesięcznie trochę większą celę, t. zw. «pistole». Skorzystałem z tego prawa, aby zająć się usilną pracą nad artykułami dla «Encyclopaedia Britannica» i «Nineteenth Century». (Dziewiętnasty Wiek — pismo angielskie). Teraz byliśmy zaciekawieni, jak będą się z nami obchodzić w Clairvaux. Ale we Francyi panuje przekonanie, że utrata swobody i przymusowa bezczynność stanowią same przez się dość ciężką karę dla skazańców politycznych i że zbytecznem byłoby dodawać do niej nowe jeszcze przykrości. Oświadczone więc nam, że i nadal przysługiwać nam będą przywileje więzienia śledczego. Dadzą nam osobne cele, pozwolą

mieć swoje ubranie; wolni będziemy od przymusowych robót i wolno nam będzie palić.

— Jeśli kto z panów, rzekł zawiadowca więzienia, życzy sobie zarobić cokolwiek ręczną pracą, może szyć gorsety, albo wyrabiać niewielkie przedmioty z perłowej macicy. — Wprawdzie dość lichy się to opłaca, ale panowie nie możecie pracować w warsztatach więziennych, gdzie wyrabiają żelazne łóżka, ramy do obrazów i tem podobne rzeczy, bo wtedy musielibyśmy pomieścić was wspólnie z więźniami kryminalnymi. — Podobnie jak i drugim więźniom, pozwolono nam kupować w kantynie więziennej żywność dodatkową i pół butelki czerwonego wina dziennie. Wszystko było w dobrym gatunku i dostarczało się za bardzo tanią cenę.

Pierwsze wrażenie, jakie wynieśliśmy z Clairvaux, było bardzo miłe. Przebyliśmy w drodze cały dzień, od drugiej czy trzeciej godziny rano, w małych klatkach, na które zwykle przegrodzone bywają aresztanckie wagony. Gdyśmy przybyli na miejsce, pomieszczono nas tymczasowo w małych, zwykłego typu, ale bardzo schludnych celkach więzienia karnego. Mimo późnej pory nocy podano nam prosty, ale bardzo smacznie przyrządzony posiłek, do którego mogliśmy dodać pół butelki «vin du pays», które sprzedawało się w kantynie więziennej, po 24 centymy litr. Zawiadowca i wszyscy dozorecy zachowywali się w obec nas z wielką uprzejmością.

Nazajutrz pokazał mi zawiadowca przeznaczone dla nas pokoje. Kiedy zwróciłem jego uwagę, że są one wprawdzie niezłe, ale zbyt małe, dla dwudziestu dwóch osób i że w skutek przepelnienia i braku powietrza mogą wybuchnąć różne choroby, — natychmiast wyznaczył dla nas inny szereg pokojów w budynku, gdzie mieszkał niegdyś opat klasztoru, obecnie zaś

mieścił się szpital. Okna nasze wychodziły na maleńki ogródek, po za którym rozlegał się wspaniały widok na okolicę. W tym samym oddziale, w sąsiednim pokoju, spędził stary Blanqui trzy czy cztery ostatnie lata przed swoim uwolnieniem. Przedtem siedział w oddziale celkowym.

Tak więc mieliśmy w swoim rozporządzeniu trzy obszerne pokoje i czwarty mniejszy, przeznaczony dla mnie i dla Emila Gautier, gdzie mogliśmy w dalszym ciągu zajmować się naszymi literackimi pracami. Prawdopodobnie zawdzięczałem tę ostatnią względność pośrednictwu wielu uczonych angielskich, którzy zaraz po mojem skazaniu w osobnej petycyi, podanej prezydentowi francuskiemu, prosili o moją amnestyę. Wpśród podpisanych na petycyi było bardzo wielu współpracowników «Encyclopaedia Britannica», a między innymi Herbert Spencer i poeta Swinburne. Wiktor Hugo dodał do swego podpisu kilka gorących, pięknych słów. W ogóle opinia publiczna we Francyi z oburzeniem przyjęła wiadomość o naszym skazaniu i kiedy razu pewnego żona moja wspomniała w Paryżu, że potrzebuję książek, Akademia Naukowa ofiarowała swoją bibliotekę, a Ernest Renan, w bardzo uprzejmym liście oddał do mego rozporządzenia wszystkie swoje książki.

Mieliśmy maleńki ogródek, gdzie mogliśmy grać w kręgle, albo w «jeu de boule». Przy tej ostatniej powstawała zwykle taka wrzawa, do jakiej zdolni są chyba jedni tylko Francuzi i południowcy. Oprócz tego skopaliśmy niewielką grządkę wzdłuż muru i na przestrzeni może 80-ciu kwadratowych metrów uprawialiśmy zadziwiająco ilość sałaty, rzodkiewki i trochę kwiatów. Samo się przez się rozumie, że natychmiast zorganizowaliśmy kursa naukowe i w ciągu trzech lat naszego pobytu w Clairvaux wykładałem moim to-

warzyszom geografię, kosmografię i fizykę, pomagałem im także w nauce obcych języków. Wszyscy prawie uczyli się przynajmniej jednego języka: angielskiego, niemieckiego, włoskiego, albo hiszpańskiego. Niektórzy uczyli się dwóch. Zajmowaliśmy się także introligatorstwem wedle wskazówek, zawartych w jednym z tomiików wybornej «Encyclopédie Roret».

Z tem wszystkiem zdrowie moje pod koniec roku zachwiało się znowu.

Clairvaux wznosi się na bagnistym gruncie i malarja bywa tu chorobą pospolitą; padłem też jej ofiarą, a niebawem przyłączył się szkorbut. Wtedy moja żona, która pracowała w Paryżu w laboratoryum dra Würtza i przygotowywała się do egzaminów na stopień doktora nauk przyrodniczych, rzuciła wszystko i zamieszkała w maleńkiej wiosce Clairvaux, składającej się zaledwie z dziesięciu domków, cisnących się u podnóża wysokiego muru, otaczającego więzienie. Życie jej — naturalnie — w tem zupełnem osamotnieniu, w lichej wiosce, tuż obok więzienia, nie było zbyt wesołem; ale mimo to pozostawała tu aż do chwili mojego uwolnienia. W ciągu pierwszego roku dawali jej widzenia ze mną tylko raz na dwa miesiące, w obecności zawiadowcy, siedzącego między nami. Ale gdy oświadczyła stanowczo, iż pozostaje stale w Clairvaux, pozwolili nam widywać się codzień w jednym z małych domków, leżących w obrębie ogrodzenia więziennego, który służył za budkę strażniczą. Jedzenie przynoszono mi z hotelu, w którym mieszkała żona. Następnie pozwolono nawet nam przechadzać się w ogrodzie zawiadowcy, pod bacznym dozorem stróża. Jeden z moich przyjaciół towarzyszył nam zwykle w tej przechadzce.

Z wielkim podziwem odkryłem, że centralne więzienie w Clairvaux wygląda zupełnie, jak małe prze-

mysłowe miasteczko, otoczone wokoło owocowymi i uprawnymi polami i opasane murem zewnętrznym niezwyklej długości. Rzecz w tem, że jeżeli więźniowie w centralnem więzieniu francuskim są może więcej zależni od samowoli i fantazyi zawiadowcy i dozorców, niż w więzieniu angielskiem, za to postępowanie z aresztowanymi odznacza się większą ludzkością, aniżeli w podobnych instytucjach po tamtej stronie kanału. Średniowieczny duch odwetu, panujący jeszcze w zakładach karnych angielskich, dawno już wygasł we francuskich. Więzień nie jest zmuszony spać na gołych deskach i nie otrzymuje siennika tylko co drugi dzień. Z dniem przybycia jego do więzienia dają mu dość wygodną pościel i nie zabierają mu jej potem. Nie zmuszają go do roboty poniżającej, jak obracanie koła, lub skubanie paździerzy. Przeciwnie, zajmują go pracą pożyteczną i dla tego więzienie w Clairvaux podobne jest do przemysłowej osady. Tysiąc sześćset więźni, którzy się w niem znajdują, wyrabiają żelazne łóżka, ramy do obrazów, zwierciadła, miary metryczne, aksamit, płótno, gorsety damskie, drobne przedmioty z macicy perłowej, sandały drewniane, a zarazem uprawiają trochę pszenicy, owsa i jarzyn.

Dalej — wprawdzie kara za nieposłuszeństwo jest bardzo ostrą, ale nie ma tu kary cielesnej, która bywa jeszcze stosowaną w więzieniach angielskich. Podobna kara byłaby całkiem niemożliwą we Francyi. Wogóle, można powiedzieć, że Clairvaux jest jednym z najlepiej urządzonych więzień w Europie. A jednakże ostateczne wyniki, do których się tu dochodzi, są równie smutne, jak w każdym innem więzieniu europejskiem. «Wszyscy mówią, że więźniowie poprawiają się w naszych więzieniach, — powiedział mi raz jeden z człon-

ków administracji więziennej. Jest to bezsens. Za nic w świecie nie będę popierał takiego kłamstwa».

Apteka znajdowała się na dole — pod naszymi pokojami — i stykaliśmy się czasem z więźniami, którzy zajmowali się w niej. Jeden z nich był to siwy starzec, lat 55-ciu, który kończył właśnie odsiadywać swoją karę, gdyśmy byli w Clairvaux. Wzruszającym było jego pożegnanie z więzieniem. Wiedział on bardzo dobrze, że po upływie kilku miesięcy, albo i kilku tygodni — wróci tu znowu — i zawczasu prosił doktora, aby zachował dlań miejsce w aptece. Starzec nie pierwszy raz przebywał w Clairvaux i wiedział, że — nie ostatni raz. Nie miał on tam, «na świecie», ani jednej duszy żywej, ani jednego kąta, gdzieby się mógł przytulić na starość. «Kto da mi pracę? — mówił. I co ja umiem? Nic. Kiedy mię wypuszczą, nie pozostanie mi nic innego do wyboru, tylko udać się do moich dawnych towarzyszy. Ci, przynajmniej, przyjmą mię z pewnością, jak starego przyjaciela». Potem w wesołej ich kompanii wychylało się kilka kieliszków za wiele — wśród podniecającej rozmowy o jakim nowym ryzykownym przedsięwzięciu, zręcznej «sztuce», mającej na celu nowe złodziejstwo — i w części przez słabość woli, a w części, żeby przysłużyć się przyjaciołom, starzec szedł z nimi i znowu dostawał się do więzienia. Tak powtarzało się już kilka razy. Upłynęło jednakże dwa miesiące — i tym razem nie wracał do Clairvaux. Wtedy więźniowie, a nawet dozorca zaczęli się niepokoić. «Czyżby go schwytano w drugim okręgu sądowym, że nie wraca dotąd?» mówili wszyscy. «Oby tylko, — biedaczek, nie wplątał się w coś gorszego», — to jest, w coś gorszego, niż zwykłe złodziejstwo. «Szkodaby go było, taki miły, spokojny staruszek!» Wkrótce jednakże okazało się, że trafnem

było pierwsze przypuszczenie. Przyszło zawiadomienie z drugiego więzienia, iż nasz stary włóczęga znajduje się tam i stara się o przeniesienie go do Clairvaux.

Smutnym zwłaszcza był widok starych więźni. Wielu z nich zapoznało się z więzieniem jeszcze w dzieciństwie, albo we wczesnej młodości, — inni w późniejszym, dojrzałszym wieku; ale...

«Raz w więzieniu, całe życie w więzieniu». To przysłowie jest owocem smutnego doświadczenia. Kto zaczął siódmy krzyżyk w więzieniu, ten wiedział, że i umrzeć przyjdzie mu się pod kluczem. Jakby chcąc umyślnie przyśpieszyć ich śmierć, zwierzchność więzienna wysyłała starych więźniów na robotę do warsztatów, gdzie wyrabiały się z różnych wełnianych odpadków pilśniowe pończochy. Wśród pyłu, unoszącego się wiecznie w warsztatach, dostawali wkrótce suchot i szybka śmierć przynosiła im litościwe wyzolenie z męczarni życia. Wtedy czterech więźniów zanosilo zwłoki starego towarzysza do wspólnej mogiły. Stróż cmentarny i jego czarny pies stanowili jedyny orszak pogrzebowy. Kapelan więzienny, prowadzący pogrzeb, mruczał machinalnie pacierze i spoglądał z roztargnieniem na kasztany i jodły, rosnące po obu stronach drogi; czterej tylko towarzysze zmarłego cieszyli się swą chwilową swobodą. I jedynie czarny pies zdawał się odczuwać całą melancholię tej smutnej procesyi.

Kiedy zakładano we Francyi reformowane więzienia centralne, chciano zaprowadzić w nich system absolutnego milczenia, ale jest to tak dalece przeciwnem naturze ludzkiej, że musiano wkrótce zaniechać tego zamiaru.

Więzienie wydaje się niemem powierzchownemu obserwatorowi, kipi w niem jednak naprawdę życie

równie czynne, jak w jakim maleńkim miasteczku. Półgłosem, w kilku słowach, rzuconych dorywczo, cichym szeptem, albo za pomocą kilku wierszy, nabazgranych na świstku papieru, z błyskawiczną szybkością obiegają całe więzienie wszystkie nowiny dnia. Wszystko, co się wydarzy między samymi więźniami, albo w «cour d'honneur», gdzie mieszkają urzędnicy administracyi, albo w wiosce Clairvaux, albo wreszcie w szerokim świecie paryskiej polityki, staje się niezwłocznie wiadomem w pojedynczych i wspólnych celach i warsztatach. Francuzi są zbyt towarzyscy z natury, żeby można było zabronić im zupełnie mówić. Nie mieliśmy żadnej łączności z więźniami kryminalnymi, a mimo to wiedzieliśmy o wszystkim. — «Ogrodnik Jan znowu dostał się na dwa lata». «Żona inspektora pokłóciła się nie na żarty z żoną takiego — to urzędnika». «Jakóba, tego, który siedzi w osobnej celi, złapano na gorącym uczynku, gdy chciał wsunąć kartkę ramkarzowi Janowi». «Stary osioł N... już nie jest ministrem sprawiedliwości. Ministerjum upadło». I tak dalej. A gdy zdarzyło się, że Jan wymienił dwie flanelowe kamizelki, nabyte za 15 franków od administracyi więziennej na dwie paczki tytoniu po 50 centymów, — wieść o tym ważnym fakcie oblatywała w mgnieniu oka wszystkie zakątki więzienne. Ze wszech stron zwracano się do nas o tytoń. Razu pewnego jakiś pokątny doradca prawny, siedzący w więzieniu, chciał mi doręczyć kartkę z prośbą, żeby moja żona, mieszkająca we wsi, odwiedziła jego żonę, także tam zamieszkałą. Moc więźniów przyjęła najżywszy udział w przesłaniu mi tej kartki, która musiała przejść Bóg wie przez ile rąk, nim doszła swego przeznaczenia. Numer gazety paryskiej, zawierający jaki fakt lub artykuł, który przedstawiał dla nas jakie szczególne zajęcie, — trafiał zawsze do naszych rąk,

nieraz najdziwaczniejszą i najmniej oczekiwaną drogą, na przykład przez wysoki mur naszego ogrodu, z zawiniętym w gazetę kamieniem.

System celkowy nie przerywa wcale wzajemnych stosunków między więźniami. Kiedy w pierwszych dniach naszego pobytu w Clairvaux zamknięto nas w osobnych celach, było w nich tak zimno, że ledwo mogłem pisać — tak dalece, że gdy żona moja, mieszkająca wówczas w Paryżu, otrzymała mój list, nie poznała mego pisma. Zawiadowca kazał opalać nasze cele, o ile się tylko dało, ale mimo wszelkich starań panował w nich taki sam chłód. Okazało się, że wszystkie rury parowe były zatkane kawałkami papieru, zapisanymi świstkami, scyzorykami i rozmaitymi drobiazgami, które ukrywały się tam przez kilka pokoleń więźniów.

Przyjacielowi memu, Martin, o którym już wspominałem, pozwolono odsiedzieć część kary w oddziale celkowym. Wołał on być sam, niż siedzieć z dziesięciu innymi we wspólnej celi. Jakież było jego zdumienie, gdy spostrzegł wkrótce, iż wcale nie jest sam. Ściany i szpary w zamkach kluczy mówiły wokoło niego. Po upływie dwóch - trzech dni, we wszystkich celach wiedziano już, kto on taki i niebawem zawiązał znajomości ze wszystkimi sąsiadami. W celach, pozornie odosobnionych, kipi życie, jak w ulu; — tylko czasem życie to posiada dziwny, psychopatologiczny charakter. Nawet Krafft-Ebing nie miał pojęcia o takim zwyrodnieniu uczuć, jakie spotyka się czasem w pojedynczych, samotnych celach więziennych.

Nie będę powtarzał tu tego, co już powiedziałem o wpływie moralnym więzienia na więźni w mojej książce: «W rosyjskich i francuskich więzieniach», wydanej po angielsku w Londynie w 1886 r., wkrótce po mojem uwolnieniu z Clairvaux. Powiem tylko tyle:

Ludność więzienia składa się z najróżnorodniejszych żywiołów. Biorąc na uwagę tylko tak zwaną kategorię właściwych «przestępców», o których tyle nasłyszeliśmy się w ostatnich czasach od Lombroso i jego zwolenników, bije wprost w oczy fakt, że więzienia, które mają niby zabezpieczać od przeciwspołecznych postępów, są właściwie gruntem, na którym te ostatnie najbujniej się plenią. Każdemu wiadomo, że brak oświaty, wstręt do wszelkiej pracy regularnej, fizyczna niezdolność do wszelkiego wytężonego wysiłku, błędne zamiłowanie awanturniczych przygód, namiętność gry i hazardu, brak energii, mało hartowna wola i zupełne lekceważenie szczęścia bliźnich są głównymi przyczynami, popychającemi tę klasę ludzi do zbrodni. Otóż w czasie mego uwięzienia mogłem przekonać się niezbitcie, że właśnie te wszystkie nałogi i każdy z nich w szczególności — nietylko nie znikają, ale przeciwnie rozwijają się jeszcze potężniej w więzieniu. Rozwijają się zaś dla tego, że takim już jest więzienie z natury swojej: póki będą istnieć więzienia, póty je one rozwijać będą.

W rzeczy samej, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że długie zamknięcie w więzieniu burzy z nieuniknioną, fatalną koniecznością energię człowieka, — zabija ono w nim także i wolę. Więzień nie znajduje w życiu więziennem żadnej sposobności do ćwiczenia swej woli. Przeciwnie, jeśli ją ma, napyta z nią siebie biedy; wola więźnia powinna być złamaną — tak utrzymuje władza więzienna i jest też złamaną. Jeszcze mniej sposobności znajduje on dla wykazania swej przyrodzonej sympatyi. Wszystko ma na celu przerwanie — w murach lub po za murami więzienia wszelkich stosunków więźnia z tymi, którzy mu są sympatyczni i dla których czuje życzliwość. Dalej — w miarę tego, jak mijają lata, — staje się on coraz mniej zdol-

nym do wszelkiej wyteżonej fizycznej lub umysłowej pracy, — i jeśli poprzednio uczuwał on wstręt do pracy regularnej, uczucie to wzmagają się tylko w czasie jego pobytu w więzieniu. Jeśli poprzednio, gdy przestępca znajdował się na swobodzie, męczyło go wszelkie przydłuższe, jednostajne zajęcie, którego nie mógł nigdy wypełnić w sposób należyty, albo jeśli w dodatku ta nadmierna praca bywała lichy opłacaną, jak zwykle bywa nią praca robotnicza, to w więzieniu — niechęć ta zamienia się wprost w nienawiść. Jeśli poprzednio pozwalał on sobie tylko wątpić o użyteczności powszechnie uznanych praw moralnych, — teraz, obrzuciwszy krytycznym spojrzeniem urzędowych obrońców tych praw i dowiedziawszy się, jak patrzą na nich jego towarzysze, pozbywa się z lekkiem sercem otwarcie całego kodeksu moralności, jak niepotrzebnego balastu. I jeżeli chorobliwy rozwój gwałtownego i zmysłowego temperamentu popchnął człowieka do zbrodni, chorobliwy ten rys po upływie kilku lat zamknięcia wzmoże się jeszcze bardziej, dochodząc w niektórych wypadkach do wprost zagrażających rozmiarów. W tym ostatnim zwłaszcza kierunku — i najniebezpieczniejszym — najwybitniej występuje wpływ wychowania więziennego.

W Syberyi widziałem, jakimi otchłaniami nędzy i jakimi jaskiniami fizycznego i moralnego znieprawienia są nasze stare, brudne, przepelnione więziami, «nie reformowane» więzienia rosyjskie. I kiedy miałem dziewiętnaście lat, myślałem, że zakłady te mogą być znacznie ulepszone, jeśli cele będą zawierały więcej przestrzeni i powietrza, jeśli więźni rozdzielili się na kategorie i zajmie się ich pożyteczną i zdrową pracą. Teraz — musiałem się wyrzec tych pięknych illuzyi. Teraz mogłem przekonać się, że najwzorowsze, «reformowane» więzienia, jakiegokolwiek systemu, cel-

kowego czy innego, — tak ze względu na więźni, jak i ze względu na pożytek społeczeństwa, są równie złe, jak stare, brudne nory dawnego «niereformowanego» systemu, a może i gorsze. Nie wywierają one żadnego umoralniającego wpływu na więźni, przeciwnie, w olbrzymiej większości wypadków wpływ ich jest najszkodliwszy. Złodziej, oszust, rabuś, przebywszy kilka lat w więzieniu, wychodzą ztamtąd jeszcze bardziej zatwardziali w grzechu i bynajmniej nie zniechęceni do dawnego swego rzemiosła. Są oni teraz lepiej przysposobieni; posiadli wszystkie tajemnice zawodu i przeniknęli się jeszcze większem rozgoryczeniem przeciwko społeczeństwu. Teraz potrafią znaleźć usprawiedliwienie dla swego buntu przeciw jego prawom i obyczajom. Z nieuniknioną, fatalną koniecznością musi człowiek postępować coraz dalej po tej zbrodniczej drodze, która go już raz przyprowadziła przed kratki sądowe. Występki, których dopuści się po uwolnieniu, będą niewątpliwie daleko cięższe, niż te, za które był karany po raz pierwszy. I oczekuje go śmierć albo w więzieniu, albo w koloniach karnych. W książce powyżej przytoczonej, powiedziałem już, że więzienia są to «uniwersytety występku, utrzymywane przez państwo». I dziś — po upływie piętnastu lat — rozmyślając powtórnie nad tą kwestyą w oświetleniu masy nowych faktów, mogę tylko z głębokiem przeświadczeniem słowa te powtórzyć.

Osobiście — nie mam najmniejszego powodu uskarżać się na lata, które przepędziłem w więzieniu francuskim. Dla człowieka czynnego i niezawisłego ograniczenie swobody i możliwości działania jest już samo przez się tak wielką stratą, że o innych przykrościach więziennych nie warto nawet wspominać. Bez wątpienia, trapiłszy się bardzo naszą przymusową bezczyn-

nością, gdy dolatywały nas z daleka wieści, jaki ożywiony ruch polityczny budzi się we Francyi. Koniec pierwszego roku, zwłaszcza podczas ponurej zimy, ciężkim jest zawsze dla więźnia. A gdy przychodzi wiosna, boleśniej, niż kiedykolwiek, czuje się utratę wolności. Kiedy widziałem z naszego okna, jak łąki znowu okrywają się zielonością, a nad wzgórzami znowu zawisa lekka wiosenna mgła; kiedy — czasami — mignął mi przed oczyma pędzący w dolinie pociąg, — ogarniała mię silna tęsknota; chciałbym był polecieć za nim, odetchnąć świeżem, leśnem powietrzem, lub dać się porwać prądowi kipiącego życia ludzkiego w wielkiem mieście. Ale kto nieodwołalnie związał swój los z jakąkolwiek skrajną partją postępową, ten powinien być gotów lata całe spędzić w więzieniu — i nie ma prawa szemrać na to. Czuje, że nawet w więzieniu — nie przestaje on do pewnego stopnia współdziałać postępowi ludzkości, który nadaje życie i siłę drogim mu ideom.

Dozorcy w więzieniu lugduńskim dali się nam wszystkim we znaki swoją brutalnością: żonie mojej, towarzyszą i mnie samemu. Ale po kilku utarczkach stosunki ułożyły się spokojniej. W dodatku — administracya wiedziała bardzo dobrze, że cała prasa paryska stoi po naszej stronie i wcale nie życzyła sobie ściągnąć na swoją głowę gromów Rochefort'a, albo biczącej krytyki p. Clémenceau. W Clairvaux nie przyszło wcale do walki. Na kilka miesięcy przed naszym przybyciem zmienionym został cały personel administracyjny. Dozorcy zabili w celi jednego więźnia i powiesili jego zwłoki, aby nadać śmierci pozór samobójstwa. Lecz zbrodnia wyszła na jaw tym razem za sprawą doktora. Oddalono wskutek tego głównego zawiadowcę i kilku pomocników i całkiem inne stosunki zapanowały odtąd w więzieniu. Wogóle wyniosłem

z Clairvaux jak najlepsze wspomnienie o zawiadowcy — i nieraz myślałem w czasie mego tam pobytu, że — ostatecznie — ludzie bywają często lepsi, niż instytucje, którym służą. Ale właśnie, ponieważ nie mam żadnych zażaleń osobistych, tem swobodniej i bezwzględniej mogę potępiać samą instytucję, jako przeżytek ponurej przeszłości, błędny w zasadzie i stanowiący źródło niezliczonych klęsk dla społeczeństwa.

Muszę wspomnieć jeszcze o jednej okoliczności, która uderzyła mię w wyższym jeszcze stopniu, niż demoralizujący wpływ więzień na przestępców. Jakiem ogniskiem zarazy bywa każde więzienie i nawet każdy sąd dla całego otoczenia, dla wszystkich, żyjących w bliskości! Lombroso narobił wiele hałasu swoim «występnym typem», który odkrył rzekomo wśród ludności więziennej! Jeśliby równie uważnie badał publiczność, krążącą około sądu, jako około swego punktu ciężkości: tajnych agentów, szpiegów, pokątnych adwokatów, denuncyantów i oszustów wszelkiego rodzaju; — Lombroso z pewnością przyszedłby do wniosku, że geograficzna sfera jego «występnego typu» nie ogranicza się tylko do murów więziennych. Nigdzie nie widziałem takiej bogatej kolekcji osób najniższego ludzkiego typu, jak w sądzie lugduńskim, gdzie na każdym kroku spotkać je można. Nic równego im nie znalazłem w Clairvaux. Dickens i Cruikshank unieśmiertnili kilka z tych postaci, które tworzą całkiem odrębny świat, krążący około sądów i szerzący zarazę daleko naokół siebie. To samo powiedzieć można o każdym centralnem więzieniu w rodzaju Clairvaux. Jak tłusta plama na wełnianej materji, tak szerzy się wokoło więzienia wstrętna atmosfera, przesiąknięta duchem złodziejstwa, oszukaństwa, szpiegostwa i wszelkiego znieprawienia.

Wszystko to widziałem. I jeżeli przed mojem ska-

zaniem wiedziałem już, że współczesny nasz system karny jest z gruntu zły, to — opuszczając Clairvaux, zrozumiałem, że system ten nie tylko jest zły i niesprawiedliwy, ale że wprost szaleństwem jest ze strony społeczeństwa utrzymywać na swój koszt — przez niewiedzę, lub przez obłudną, umyślną nieznaną rzeczywistości — te «uniwersytety występku» i te jaśki nie zepsucia, — a wszystko to pod pozorem, że więzienia są niezbędne dla okiełznania występnych instynktów kilku ludzi.

XIV.

Każdy rewolucjonista spotyka na swej drodze szpiegów i agentów — prowokatorów. Mnie także spotkał ten zaszczyt. Wszystkie rządy tracą znaczne sumy na utrzymanie tych podłych gadów, ale właściwie są one niebezpieczne tylko dla bardzo zielonej młodzieży. Kto ma choć trochę doświadczenia i zna życie i ludzi, prędko uczy się poznawać ten gatunek istot; jest coś w nich, co z pierwszego wejrzenia każe się nam mieć na ostrożności. Werbuja się one z samych mętów społeczeństwa, z ludzi, których poziom moralny bywa nader niski. Kto pilnie śledzi moralne zachowanie się ludzi, z którymi się spotyka, wkrótce spostrzeże w charakterze i nawet powierzchowności tych osób coś dziwnego, co go uderza i nasuwa samo przez się pytanie: «co przyprowadziło tych ludzi do mnie? Co wspólnego oni mogą mieć ze mną?» Po większej części to proste pytanie wystarcza, aby obudzić naszą baczność.

Za czasów mego pierwszego pobytu w Genewie doskonale znaleźliśmy wszyscy agenta rosyjskiego, któremu poleconem było śledzić emigrantów. Nazywał

się «hrabia X.»; ale ponieważ nie miał ani lokaja, ani karety, którą mógłby ozdobić swym herbem, wysył go na czapraczku swego pieska. Spotykaliśmy go czasem w kawiarni, ale nie zamienialiśmy z nim nigdy ani słowa. W gruncie rzeczy był on całkiem «nieszkodliwy»; zakupywał po prostu w kioskach wydawnictwa emigrantów i zapewne opatrywał je swemi uwagami w sprawozdaniach, składanych zwierzchności.

Zupełnie inne osobistości zaczęły się zjawiać w Genewie razem z nowem pokoleniem emigrantów. A jednakże, tak lub inaczej, zawsze poznawaliśmy nowych szpiegów.

Kiedy na horyzoncie naszym zjawiał się kto nieznajomy, ze zwykłą nihilistyczną szczerością wypytywaliśmy go o jego przeszłość i obecne zamiary i tym sposobem łatwo poznawaliśmy, kogo mamy przed sobą. Szczerść we wspólnem obcowaniu jest najlepszym środkiem utrwalenia przyjaznych stosunków między ludźmi; w podobnym zaś wypadku jest wprost nieocenioną. Ludzie, których nikt z nas nie znał i o których nikt nawet nie słyszał w Rosyi, którzy byli całkiem obcy w naszych kółkach, przyjeżdżali do Genewy i po kilku dniach, a czasem w kilka godzin — stawali na najserdeczniejszej stopie z kolonią. Ale szpiedzy, pod żadnym pozorem, nie potrafili nigdy wkraść się w naszą przyjaźń. Szpieg może nazwać wspólnych znajomych, może wytlómaczyć się najdokładniej, czasem nawet zgodnie z prawdą, co do swojej przeszłości w Rosyi, może przyswoić sobie najdoskonalej nihilistyczne obejście i nihilistyczną gwara, ale nie potrafi nigdy przeniknąć się nihilistyczną etyką młodzieży rosyjskiej, — a to samo już trzyma go zdaleka od naszej kolonii. Szpiedzy mogą udać i naśladować wszystko, — tylko nie zasad tej moralności.

Kiedy pracowaliśmy razem z E. Réclus, mieszkało

w Clarens podobne indywiduum, od którego wszyscyśmy stronili. Nie wiedzieliśmy faktycznie nic złego o nim, ale czuliśmy, że on nie «nasz». I im natarczywiej starał się przeniknąć do nas, tem silniejsze budził z naszej strony podejrzenia. Ja nigdy nie przemówiłem doń ani słowa i może właśnie dla tego chodziło mu najusilniej o moją znajomość. Widząc, że zwykła droga nie zaprowadzi go daleko, zaczął zasypywać mię listami, wyznaczając mi tajemnicze spotkania, w tajemniczych celach — w lesie, lub w jakim innym podobnem miejscu. Dla żartu przyjąłem raz zaproszenie i udałem się na oznaczone miejsce, przyczem jeden z przyjaciół towarzyszył mi zdaleka. Ale jegomość ów, który zapewne miał współnika, musiał dowiedzieć się, że nie jestem sam i nie przyszedł. Zostałem więc pozbawiony przyjemności poznania go kiedykolwiek bliżej. Zresztą, miałem wówczas tyle pracy, że każda chwila mego czasu była poświęcona albo geografii, albo «Le révolté» — i nie miałem czasu na konspiracye. Jednakże dowiedzieliśmy się potem, że człowiek ten wysyłał do Trzeciego Wydziału najszczegółowsze sprawozdania o rzekomych rozmowach, które miał prowadzić ze mną, o nieograniczonem zaufaniu, jakie wzbudził we mnie i o strasznych spiskach przeciw carowi w Petersburgu, któremi niby to kierowałem. Wszystko to przyjmowano w Petersburgu za dobrą monetę. I nie tylko w Petersburgu. We Włoszech wierzone także każdemu nonsensowi, donoszonemu przez szpiegów. Tak, na przykład, kiedy Cafiero został raz arestowany w Szwajcaryi, pokazano mu zastraszające sprawozdania szpiegów włoskich, którzy donosili swemu rządowi, że ja i Cafiero, uzbrojeni w bomby, zamysłamy przejść granicę włoską. W rzeczy zaś samej nigdy nie byłem we Włoszech i nigdy się tam nie wybierałem.

Trzeba przyznać, że szpiedzy nie zawsze układają swe referata z samych wymysłów. Często podają prawdziwe fakty, ale wszystko zależy od tego, w jaki sposób przedstawi się jaki wypadek. Śmieliśmy się serdecznie z powodu jednego raportu, złożonego rządowi francuskiemu przez szpiega, który towarzyszył nam w 1881 r. w podróży z Paryża do Londynu. Szpieg, jak to często bywa, prowadził podwójną grę i sprzedał swoje sprawozdanie Rochefort'owi, który ogłosił je w swojej gazecie. Wszystko, o czem szpieg donosił, było prawdą; ale jak on to opowiadał! Pisał na przykład: «Zająłem «coupé» obok tego, w którym siedzieli Krapotkin z żoną». Istotnie tak było. Spozobrzyliśmy go odrazu, gdyż jego złośliwa, niemila twarz ściągnęła zaraz naszą uwagę. «Cały czas mówili po rosyjsku, dla tego — żeby inni pasażerowie — nie mogli ich zrozumieć». I to prawda: mówiliśmy po rosyjsku, jak zwykle. «Przyjechawszy do Calais, kazali sobie podać buljonu». Święta prawda; zażądaliśmy buljonu. Ale tu zaczyna się tajemnicza strona podróży. «Potem — oboje nagle znikli. Napróżno szukałem ich na pokładzie i w innych miejscach; kiedy zaś znowu się ukazali, był on przebrany i towarzyszył mu ksiądz rosyjski, z którym się nie rozstawał aż do samego Londynu, gdzie straciłem go z oczu». I znowu najzupełniejsza prawda. Żonę moją rozbolały trochę zęby, poprosiłem więc restauratora, żeby nam pozwolił oddać się do swego pokoju, gdzie mógłbym przypalić jej ząb, co przynosiło jej zwykle ulgę. Tem objaśnia się nasze «zniknięcie»; że zaś mieliśmy przejeżdżać kanał, wsunąłem mój miękki pilśniowy kapelusz do kieszeni i nałożyłem futrzaną czapkę, to jest «przebrałem się». Co się tyczy tajemniczego popa, to i to nie było wymysłem. Nie był on popem rosyjskim, ale mniejsza z tem; ubrany był w każdym razie, jak

ksiądz grecki. Spostrzegłem go, gdy stał u bufetu i żądał czegoś, czego nikt nie rozumiał.

— Aqua! Aqua! powtarzał żalonym głosem.

— Proszę dać temu panu szklankę wody, — powiedziałem służącemu.

Duchowny, zdziwiony mojami niezwyklei zdolnościami lingwistycznymi, zaczął mi dziękować z czysto wschodniem uniesieniem. Żona moja, zdjęta litością, próbowała przemawiać doń w różnych językach, ale rozumiał tylko po nowo-grecku. Okazało się jednak, że zna kilka słów jakiegoś południowo-słowiańskiego narzecza i zdołaliśmy nakoniec zrozumieć tyle: «Ja — Grek; tureckie poselstwo, — Londyn». Daliśmy mu do zrozumienia, głównie za pomocą znaków, że my także jedziemy do Londynu i że może jechać z nami.

Najzabawniejszem było to, że rzeczywiście dowiedziałem się dlań o adresie tureckiej ambasady w Londynie pierwej nawet, nim przybyliśmy na londyński dworzec kolejowy Charing-Cross. Pociąg zatrzymał się na jakiejś stacyi i do przepelnionego już wagonu trzeciej klasy weszły dwie elegancko ubrane panie. Jedna z nich była Angielką, druga — piękna, wysmukła kobieta, wybornie mówiąca po francusku, podawała się za Angielkę. Ledwie zdążyliśmy z nią zamienić kilka słów, gdy zaatakowała mię nagle, à brûle-pourpoint.

— Co pan myśli o hrabi Ignatjewie? — i w ślad za tem. «Prędko zabijecie nowego cesarza?» Po tych dwóch pytaniach rzemiosło jej nie pozostawiało dla mnie żadnej wątpliwości; ale, przypomniawszy sobie mojego księdza, spytałem ją: «czy nie zna pani przypadkiem adresu tureckiego poselstwa w Londynie?» — «Przy takiej ulicy, — taki numer domu», odpowiedziała bez zająknienia, jak uczennica, wydająca lekcję. — «Zapewne wie pani także, gdzie się znajduje posel-

stwo rosyjskie?» — pytałem dalej. I ten adres udzielony mi został równie chętnie. Gdyśmy przybyli na dworzec Charing-Cross, zaczęła się dama owa tak natrętnie krzątać około moich pakunków podróжных, ofiarując się nawet nieść, — w swych rękach, opiętych w cienkie rękawiczki — mój ciężki kufer, że nakoniec odprawiłem ją, ku wielkiemu jej zdumieniu, mówiąc: «Dosyć. Panie nie noszą pakunków mężczyznom. Proszę zostawić nas w spokoju».

Ale wróćmy do naszego prawdomównego francuskiego szpiega. — «Krapotkin wysiadł na stacyi Charing-Cross, — raportował on dalej; ale opuścił stację dopiero w pół godziny po przybyciu pociągu, gdy się przekonał, że się wszyscy rozjechali. Cały ten czas dawałem na nich pilne baczenie, ukryty za kolumną. Upewniwszy się, że nikogo z pasażerów nie ma już na peronie, oboje z żoną wskoczyli do «cabu». Mimo to podążyłem za nimi i słyszałem, jak dorożkarz mówił adres policyantowi u bramy: «Nr. 12, ulica taka-to». Pobiegłem za powozem. Nie było nigdzie dorożki w pobliżu, tak że musiałem biedz aż do Trafalgar-square, gdzie znalazłem «cab» i pogoniłem za nimi. Zatrzymali się przed wspomnianym powyżej domem».

Wszystkie te fakty, adres i całe opowiadanie są najdokładniej prawdziwe. Ale jaki tajemniczy wygląd wszystko to nosi! Uprzedziłem o moim przyjeździe jednego przyjaciela, Rosyanina, który z powodu gęstej mgły rannej zaspał godzinę przybycia pociągu. Czekaliśmy nań na stacyi pół godziny, a potem, zostawiwszy rzeczy, pojechaliśmy do jego mieszkania.

— «Siedzieli do drugiej godziny po południu, spuściwszy story w pokoju i dopiero wtedy wyszedł z domu wysoki mężczyzna i w pół godziny potem powrócił z ich rzeczami». Nawet i ta wzmianka o spuszczonej storach nie jest zmyśloną. Z powodu mgły

trzeba było zapalić gaz i spuściliśmy story, aby nie widzieć brzydkiej, małej uliczki w Islington, spowiniętej w żółtą mgłę.

W czasie, gdy pracowałem wspólnie z Elizeuszem Réclus w Clarens, udawałem się zwykle dwa razy na miesiąc do Genewy, aby wydać numer «Le Révolté». Razu pewnego, gdy zaszedłem do drukarni, powiedziano mi, że jakiś nieznajomy Rosyanin chce się ze mną widzieć. Był on już u moich przyjaciół i oświadczył im, że chce mi zaproponować wydawnictwo nowej rosyjskiej gazety, na wzór «Révolté»; ofiarował się dostarczyć wszystkich potrzebnych po temu pieniędzy. Poszedłem zobaczyć się z nim w kawiarni. Przedstawił mi się pod jakimś niemieckim nazwiskiem, przypuścimy Thonlehm — jako mieszkaniec nadbałtyckich prowincyi. Chwalił się, że posiada wielki majątek, dobra ziemskie i kilka fabryk i oburzał się na rząd rosyjski za rusyfikację niemieckich gubernii nadbałtyckich. W ogóle robił nieokreślone wrażenie, ani złe, ani dobre i przyjaciele moi nalegali, żebym przyjął jego propozycję. Ale mnie nie zbyt się on podobał z pierwszego wejrzenia.

Z kawiarni zaprowadził mnie do swego numeru w hotelu. Tu zaczął się mniej krępować, stał się więcej sam sobą — i wrażenie było wcale niekorzystne. — «Proszę nie wątpić o moim majątku, — mówił mi. — Zrobiłem genialny wynalazek, który zleje na mnie deszcz złota. Wezmę patent i wszystkie pieniądze oddam na rewolucję rosyjską». Tu, z wielkiem mojem zadziwieniem pokazał mi lichtarz, którego cała oryginalność polegała na jego nadzwyczajnej brzydocie i na trzech prętach drutu, między które wstawiało się świece. Najuboższa gospodyni nie znęciłaby się na taki lichtarz i jeśliby po nad spodziewanie — wyna-

lazca uzyskał patent, żaden fabrykant nie dałby zań więcej, jak parę rubli. — «Bogaty człowiek — i pokłada swoje nadzieje w podobnym lichtarzu! pomyślałem. Ależ on pewnie nigdy nie widział lepszych». Teraz wiedziałem już, co mam o nim trzymać. «On nie ma i pieniądze, które ofiaruje, nie są jego». Oświadczyłem mu więc bez ogródek: «Dobrze. Jeśli panu tak wiele zależy na powstaniu nowej rosyjskiej rewolucyjnej gazety i jeżeli pan jest tak pochlebnego mniemania o mnie, jak pan mówi, to proszę złożyć pieniądze na moje imię w jakimkolwiek banku i zostawić je do mego pełnego rozporządzenia. Uprzedzam pana, że nie będzie pan brał żadnego udziału w wydawaniu gazety».

— «O, naturalnie, naturalnie; odpowiedział; od czasu do czasu tylko zajrzę do was, czasem podam jaką radę i pomogę wam przewieźć pismo do Rosyi». «Nic z tego. Nie będziesz mię pan nawet widywał», odparłem. Przyjaciele moi sądzili, że zanadto ostro obeszłem się z tym człowiekiem, ale wkrótce potem otrzymaliśmy list z Petersburga z ostrzeżeniem, że przybędzie do nas szpieg Trzeciego Wydziału, nazwiskiem Thonlehm. Tak więc lichtarz wyświadczył nam poważną przysługę.

Na podobnej sprawie z lichtarzem, lub jakiej innej w tym rodzaju, zawsze łapie się ta szanowna kompania. Pewnego mglistego poranku 1881 r. odwiedziło nas w Londynie dwóch Rosyan. Jednego z nich znalazłem z nazwiska; drugi, — młodzieniec, którego mi pierwszy przedstawił jako swego przyjaciela, był mi całkiem nieznamy. Ofiarował się on towarzyszyć swemu przyjacielowi w czasie krótkiego jego pobytu w Londynie. Ponieważ przyprowadził go z sobą mój znajomy, nie żywiłem żadnych podejrzeń względem niego. Ale tego dnia byłem bardzo zajęty i poprosi-

łem drugiego znajomego, mieszkającego w sąsiedztwie, żeby pomógł im znaleźć pokój i pokazał Londyn. Żona moja, która mało знаła jeszcze wówczas Anglię, poszła z nimi. Wróciwszy wieczorem, rzekła mi: «Wiesz, ten człowiek mocno mi się nie podoba. Strzeż się go». — «Ale dla czego? o co chodzi?», pytałem. — «Nic, zupełnie nic, — tylko na pewno on nie «z naszych». A jeżeli tak, po co przychodził do nas?» Żona moja była tak głęboko przekonaną o słuszności swoich podejrzeń, że — wypełniając wszystkie obowiązki gościnności, ani na chwilę jednak nie pozostawiała młodego człowieka samego w moim pokoju. Zawiązała się rozmowa, która tak dosadnie wykazała całą nizkość poglądów i charakteru gościa, że jego własny przyjaciel rumienił się za niego. Kiedy zaś począłem rozpytywać go szczegółowo o jego przeszłość, odpowiedzi jego były jeszcze mniej zadawalniające. Mieliśmy się więc na baczności. Krótko mówiąc, obaj opuścili niebawem Londyn, a w dwa tygodnie potem otrzymałem od mego rosyjskiego przyjaciela list, przeprasający mię, że wprowadził do mego domu człowieka, który, jak się okazało w Paryżu, był szpiegiem ambasady rosyjskiej. Sprawdziłem to w spisie tajnych agentów, przebywających we Francji i Szwajcaryi, który nam, emigrantom, rozesłał niedawno Komitet Wykonawczy (miał on wszędzie swoich ludzi w Petersburgu). W spisie tym znalazłem rzeczywiście nazwisko owego młodzieńca. Tylko jedna litera była zmienioną.

Wydawanie gazety, opłacanej przez policję i z policyjnym agentem na czele — stara to sztuka; uciekł się też do niej prefekt policyi paryskiej, Andrieux, w 1881 r. Bawiłem właśnie wówczas z Elizeuszem Réclus w górach, gdy otrzymaliśmy list od jednego

Francuza, albo raczej Belgijczyka, w którym donosił nam, że zamierza założyć anarchistyczną gazetę i prosił o nasze współpracownictwo. List, pełen pochlebstw, nie zrobił na nas przychylnego wrażenia. Przytem Elizeusz Réclus przypominał sobie niejasno, że sły-szał niegdyś nazwisko autora listu w związku z jakąś podejrzaną historią. Postanowiliśmy odmówić udziału w gazecie, napisałem tylko do przyjaciela w Paryżu, iż musimy wprzód wiedzieć, z kąd pochodzą pieniądze, za które gazeta ma być wydawana. Może pieniądze dają Orleaniści, — fortel stary i nieraz uprawiany przez tę rodzinę; musimy znać źródła. Mój przyjaciel paryski ze szczerością, zwykłą robotnikom, przeczytał mój list na zebraniu, na którym był obecny przyszły wydawca gazety. Ten ostatni udał wielką obrażę i musiałem odpowiadać na kilka reklamacyi w tej sprawie, ale twardo stałem przy swoim: «Jeśli osoba, o której mowa, poważnie zapatruje się na sprawę, zrozumie sama, że powinna objaśnić nas, z kąd ma pieniądze».

Musiał to nareszcie uczynić. Przyciśnięty do muru naszymi pytaniami, odpowiedział, że pieniądze daje jego ciotka, bogata pani, wyznająca wprawdzie sama dość zacofane przekonania, ale niezdolna oprzeć się jego namiętnemu pragnieniu posiadania własnej gazety. Pani ta mieszka nie we Francyi, a w Londynie. Zażądaliśmy wtedy jej nazwiska i adresu i przyjaciel nasz, Malatesta, ofiarował się pomówić z nią. — Udał się do niej wspólnie z drugim przyjacielem, Włochem, handlującym starymi meblami. Pani zajmowała niewielkie mieszkanie. Podczas gdy Malatesta rozmawiał z «ciotką» i coraz bardziej przekonywał się, że gra ona tylko rolę w komedyi, przyjaciel jego, handlarz, oglądał stoły i krzesła i przekonał się, że wszystkie meble zostały wypożyczone bardzo niedawno, może na dzień

przedtem, u jego sąsiada, także handlarza. Nawet kartki z adresem firmy tego ostatniego znajdowały się jeszcze na stołach i krzesłach. Ma się rozumieć nie dowodziło to niczego, ale podejrzenia nasze wzmogły się. Usunąłem się stanowczo od wszelkiej wspólności z tem wydawnictwem.

Gazeta zaczęła wychodzić i okazała się krwiożerczą do ostatnich granic niemożliwości. Podpalania, morderstwa, dynamitowe bomby zalecały się w każdym numerze. Spotkałem wydawcę jej na Londyńskim kongresie. Skoro tylko ujrzałem jego obrzękłą, wstrętną twarz, przysлуchałem się jego rozmowie i przypatrzyłem kobietom, w których towarzystwie ciągle się obracał, nie miałem już najmniejszych wątpliwości co do niego. Na kongresie, na którym stawiał różne gwałtowne, krwawe rezolucye, wszyscy stronili odeń. A gdy koniecznie chciał dostać adresy anarchistów wszystkich krajów, odmówiono mu w sposób, którego uprzejmość pozostawiała wiele do życzenia. Krótko mówiąc, zdemaskowano go w dwa miesiące potem i gazeta zaraz następnego dnia przestała wychodzić. W «pamiętnikach» swoich, wydanych w dwa lata potem Andrieux opowiadał szeroko o gazecie, którą założył i o wybuchu dynamitowym, który urządzili właśni jego agenci policyjni w Paryżu, podłożywszy «wypełnione czemś» pudełka od sardynek pod pomnik Thiers'a.

Można sobie wyobrazić, jaką masę pieniędzy kosztowało to wszystko Francję, oraz inne ludy!

Mógłbym poświęcić kilka rozdziałów temu przedmiotowi, ale zakończę na jednym jeszcze opowiadaniu o dwóch awanturkach w Clairvaux.

Żona moja mieszkała wówczas w jedynym maleńkim zajeździe wioski, położonej w cieniu więziennych

murów. Pewnego dnia weszła do jej pokoju gospodyni z listem od dwóch panów, którzy tylko co przybyli do zajazdu i chcieli zobaczyć się z moją żoną. Gospodyni całą siłą swej wymowy poparła prośbę nieznanym.

— O, ja znam ludzi, — mówiła — i mogę zaręczyć pani, że są to prawdziwi panowie, całkiem «comme il faut». Jeden z nich mówi, że jest niemieckim oficerem, ale z pewnością musi być baronem, albo «milordem», a drugi jest jego tłumaczem. Znają panią bardzo dobrze. Baron wyjeżdża do Afryki — może na zawsze — i chciałby koniecznie widzieć się z panią przed wyjazdem.

Żona moja spojrzała na adres listu, który opiewał: «A Madame la princesse Krapotkine. Quand à voir?» Nie potrzebowała innych dowodów, aby przekonać się, kim byli ci «panowie, całkiem comme il faut». Treść listu była jeszcze gorszą, niż adres. To, co baron pisał o jakimś tajemniczym zleceniu, które ma jej oznajmić, pozostawało w jawnej kłótni zarówno z prawidłami gramatyki, jak i ze zdrowym rozsądkiem. W skutek tego żona moja nie przyjęła stanowczo ani barona, ani jego tłumacza. Wtedy baron zaczął zasypywać ją listami, które zwracała mu nieodpieczętowane. Wkrótce cała wieś rozdzieliła się na dwa stronnictwa: jedno, z gospodynią na czele, było za baronem, drugie pod przewodem gospodarza — przeciw niemu. Opowiadano sobie we wsi całą romantyczną historję. — Baron znał moją żonę przedtem, nim wyszła za mnie. Tańczył z nią nieraz w ambasadzie rosyjskiej w Wiedniu. Wciąż jeszcze kocha się w niej, a ona, okrutna, nie chce mu nawet pozwolić spojrzeć na siebie — ostatni raz — przed wyjazdem na tak niebezpieczną, daleką wyprawę.

Do tego przyłączyła się tajemnicza historia o naszym synu, którego — widocznie — skrywaliśmy.

— «Gdzie jest ich syn?» — pytał baron. — «Mają sześciolatniego syna. Gdzie on?» — »Ona by nigdy nie rozstała się z synem, jeśliby mieli dziecko», — mówiła jedna partya. — «Tak, mają syna, ale go ukrywają», — twierdziła druga.

Spór ten wyświecił nam ciekawą rzecz. Dowiedział on, że nie tylko zwierzchność więzienna odczytuje moje listy, ale że treść ich staje się wiadomą rosyjskiemu poselstwu. Kiedy znajdowałem się w Lugdunie, a żona moja pojechała do Szwajcaryi dla zobaczenia się z Elizeuszem Réclus, pisała mi raz: «nasz «malec» wygląda świetnie; zdrowie ma wyborne. Skończył wczoraj pięć lat i spędziliśmy wesoło wieczór, obchodząc jego urodziny». Wiedziałem, że żona mówi o «Révolté», ponieważ często nazywaliśmy to pismo »notre gamin», -- nasz malec.

Teraz, kiedy ci panowie wypytywali się o «naszego chłopca» i dokładnie nawet określali jego wiek, było rzeczą jawną, że list przechodził przez ręce nie tylko jednego zawiadowcy. Należało to przyjąć do wiadomości.

Nie nie uchodzi przed ciekawością mieszkańców małej wioski i baron wzbudził wkrótce pewne podejrzenia. Napisał on nowy list do mojej żony, jeszcze wymowniejszy, niż poprzedni, w którym przeproszał ją, że ośmielił się podawać za jej znajomego. Czynił to jedynie w tym celu, aby ułatwić sobie przystęp do niej. Teraz przyznaje, że jej nie zna, ale mimo to jest życzliwym przyjacielem i pragnie udzielić jej pewnej ważnej wiadomości. Życiu mojemu zagraża wielkie niebezpieczeństwo, — o tem właśnie chce ją ostrzedz. Baron i sekretarz wyszli w pole, żeby przeczytać razem list i naradzić się nad jego treścią. Strażnik leśny

poszedł za nimi w pewnem oddaleniu. Ale ponieważ nie mogli się porozumieć, porwali list w kawałki i rzucili go w polu. Gdy się oddalili, strażnik leśny podniósł porzucone kawałki, złożył je razem i odczytał list. W dwie godziny potem cała wieś wiedziała, że baron nigdy nie znał mojej żony; cała romantyczna historia, tak sentymentalnie opiewana przez partyę barona, prysła, jak bańka mydlana.

— Aha! W takim razie nie są oni tymi, za których się podają, — zawyrokował w swoją kolej brigadier de gendarmerie. Pewno to niemieccy szpiedzy, — i przyaresztował ich.

Muszę dodać na jego usprawiedliwienie, że nie długo przedtem zjawił się w Clairvaux rzeczywiście szpieg niemiecki. Ogromny budynek więzienny może służyć w czasie wojny jako magazyn zapasów, albo koszary dla wojska; w skutek tego niemiecki sztab generalny życzył sobie, ma się rozumieć, poznać wewnętrzny rozkład gmachu i jego wojenne znaczenie. I otóż — przybył pewnego pięknego poranku do naszej wsi wesoły wędrowny fotograf; wszedł on wkrótce w przyjaźń z całą ludnością wioski fotografując wszystkich bezinteresownie, tak że pozwolono mu sfotografować nie tylko podwórze więzienne, ale i cele. Następnie udał się do drugiego miasta na wschodniej granicy, gdzie obudził podejrzenie władz francuskich i został aresztowany, gdyż wykryto przy nim różne kompromitujące dokumenty wojskowe. «Brigadier», który świeżo jeszcze miał w pamięci wesołego fotografa, przyszedł do wniosku, że baron i jego sekretarz także są niemieckimi szpiegami i odstawił obu do więzienia małego miasteczka Bar sur Aube. Tam jednakże wypuszczono ich zaraz na drugi dzień, a gazeta miejscowa oznajmiła, że aresztowani «nie są niemieckimi szpiegami, lecz osobami, działającymi

z polecenia drugiego, bardziej zaprzyjaźnionego mocarstwa!»

Teraz cała opinia publiczna powstała przeciw baronowi i jego sekretarzowi. Nie był to koniec ich przygód. Po swoim uwolnieniu zaszli oni do maleńkiej kawiarni wiejskiej i przy butelce wina zaczęli po niemiecku, z całą swobodą wywnętrzać się wzajemnie w przyjacielskiej pogawędce i ubolewać nad niepowodzeniem, które ich spotkało. — «Jesteś tchórz i głupiec, — mówił mniemany sekretarz do mniemanego barona. Gdybym ja był na twojem miejscu, poczęstowałbym z tego-ot, rewolweru sędziego śledczego. Niech — no tylko spróbuje ze mną, a wsadzę mu kulę w łeb!» — i tak dalej.

Tymczasem, wędrowny agent handlowy, siedzący spokojnie w kącie sali, pobiegł czempredzej do brygadiera i powtórzył mu podsłuchaną rozmowę. Brygadyer spisał natychmiast protokół i powtórnie aresztował sekretarza, który się okazał aptekarzem ze Strassburga. Stawiono go przed sądem policyjnym w tem samem Bar sur Aube i skazano na miesiąc więzienia «za odgrażanie się przeciw sędziemu w miejscu publicznem». Potem baron także miał różne przygody i wioska nasza uspokoiła się dopiero po wyjeździe obu nieznanomych.

Tym razem miała ta szpiegowska historia przynajmniej wesołe zakończenie. Ale ile tragedyi, strasznych tragedyi, rozegrało się za sprawą tych łotrów! Ile drogich istnień zginęło, ilu rodzin szczęście zburzonym zostało, — tylko dla tego, żeby ci niegodziwcy mogli żyć w dobrobycie! Gdy się pomyśli o tysiącach tych szpiegów, wszędzie obecnych, opłacanych przez rządy wszystkich państw, o pułapkach, zastawianych przez nich na nieostrożnych ludzi; o życiach ludzkich, ginących marnie, dzięki im; gdy się wspomni o niezliczonych cierpieniach, które nędznicy

ci rozsiewają wszędzie po swej drodze; o szalonych sumach, trwonionych na utrzymanie tej podłej armii, werbującej się z najbardziej wzgardzonych odpadków społeczeństwa, o występkach, którymi zarażają oni społeczeństwo w ogóle i każdą rodzinę w szczególności; — gdy się pomyśli o tem wszystkim, przerażenie ogarnia na widok tej potęgi złego, którego dokonać są zdolni. A nieprzeliczona ta armia składa się nietylko z panów, zatrudnionych w charakterze szpiegów politycznych lub wojskowych. Niektóre gazety w Anglii, zwłaszcza w miejscowościach leczniczych, zapełniają całe szpalty ogłoszeniami o «śledczych agentach prywatnych», którzy podejmują się dostarczyć niezbędnego materiału dowodowego w sprawach rozwodowych, szpiegować mężów z polecenia żon i żony z polecenia mężów, którzy wkradają się do ognisk rodzinnych, zwodzą głupców i gotowi robić są wszystko, co kto chce, byle im płacono. Ludzie gorszą się i oburzają wstrętnym systemem szpiegowskim, wykrytym niedawno w wyższych wojskowych sferach francuskich, a nie spostrzegają, że i wśród nich, — może w ich własnym domu, — tajni agenci urzędowi i prywatni robią to samo, albo jeszcze gorzej.

XV.

Zarówno w prasie, jak i w Izbie Deputowanych domagano się bezustannie naszego ulaskawienia, zwłaszcza, że równocześnie z nami skazaną została Luiza Michel... za kradzież! Luiżę Michel, która literalnie oddaje ostatni swój szal, albo płaszcz biedniejszej kobiecie; która w więzieniu nie chciała nigdy korzystać z lepszej żywności, niż inni więźniowie i oddawała im wszystko, co jej przysyłali; — skazano z drugim towa-

rzyszem, Pouget, na dziewięć lat więzienia — za rabunek uliczny. Brzmiało to trochę dziwnie nawet w uszach przeciętnego oportunisty burżuazyjnego. Przewodnicząc raz pochodowi robotników, pozbawionych pracy, Luiza Michel weszła do piekarni, wzięła kilka bochenków chleba i rozdzieliła je pomiędzy głodnych, — to był cały rabunek. Ułaskawienie anarchistów stało się hasłem bojowym opozycji antyrządowej, aż nakoniec w jesieni 1885 r. prezydent Grévy ułaskawił osobnym dekretem wszystkich skazanych, wyjąwszy mnie i trzech innych towarzyszy. Wtedy jeszcze głośniej zaczęto wołać o amnestyę Luizy Michel i moją. Ale tej ostatniej przeciwny był Aleksander III. Pewnego dnia, premier Freycinet, odpowiadając na jakąś interpelację w Izbie, wręcz oświadczył, że «dyplomatyczne trudności stoją na przeszkodzie ułaskawieniu Krapotkina». Dziwne słowa w ustach pierwszego ministra niepodległego kraju! Ale jeszcze dziwniejsze padały nieraz od czasu, jak stało to nieszczęsne przyznanie republikańskiej Francji z carską Rosją. Na koniec — w połowie stycznia 1886 roku uwolniono Luizę Michel, mnie i trzech towarzyszy, którzy pozostali ze mną w Clairvaux.

Moje uwolnienie oznaczało także uwolnienie mojej żony z jej dobrowolnego zamknięcia się w małej więziennej wiosce, co zaczynało się już odbijać na jej zdrowiu. Pojechaliśmy do Paryża, aby spędzić kilka tygodni u naszego przyjaciela, Eliasza Réclus, słynnego antropologa, którego za granicami Francji biorą często za jego młodszego brata, geografę Elizeusza. Serdeczna przyjaźń łączyła obu braci od najmłodszych lat dziecinnych. Kiedy przyszedł czas wstąpienia do uniwersytetu, poszli razem do Strassburga piechotą ze wsi, położonej w dolinie Girondy. Jak typowym

studentom wędrownym towarzyszył im pies; gdy zatrzymywali się na popas w jakiej wsi, kubek mleka lub zupy dostawał czworonogi przyjaciel, a wieczerza braci składała się często z kawałka chleba i kilku jabłek. Ze Strassburga udali się młodzieńcy do Berlina, zwabieni sławą wykładów wielkiego Rittera. Potem — w latach czterdziestych — znaleźli się obaj w Paryżu. Eliasz Réclus stał się zapalonym fourierystą; obaj witali ruch 1848 r. jako początek nowej ery. W skutek tego, po grudniowym zamachu stanu Napoleona III musieli opuścić Francję i wyemigrowali do Anglii.

Po ogłoszeniu amnestyi bracia Réclus wrócili do Paryża, gdzie Eliasz wydawał furierystyczną gazetę kooperacyjną, cieszącą się szeroką popularnością wśród robotników. Jest to szczegół dość ciekawy, choć mało znany, że Napoleon III, który, jak wiadomo, grał rolę Cezara i jak przystoi Cezarowi — interesował się położeniem klas robotniczych, — przysyłał swego adjutanta do drukarni gazety za każdym razem, gdy się miał ukazać nowy numer pisma, aby mu przywiózł pierwszy egzemplarz wprost z pod prasy. Potem Napoleon III gotów był nawet udzielić swej opieki Międzynarodowej Asocyacji Robotniczej pod warunkiem, że wyrazi się ona w jednym ze swych biuletynów w kilku słowach z ufnością i uznaniem o wielkich socyalnych reformach Cezara. Ale gdy Internacyonał odrzucił stanowczo wszelkie podobne propozycye, Napoleon kazał mu wytoczyć proces.

Gdy ogłoszoną została Komuna, obaj bracia całym sercem przyłączyli się do niej. Eliasz przyjął stanowisko kustosa biblioteki narodowej i muzeum Luwru pod rządami Vaillant'a. Głównie dzięki jego przezorności i niezmordowanym staraniom, ocalały w czasie bombardowania Paryża i następujących za tem pożarów nieprzeliczone skarby nauki i sztuki ludzkiej,

nagromadzone w tych dwóch instytucjach. Namiętny wielbiciel sztuki starożytnej i głęboki jej znawca, upakował on starannie wszystkie najcenniejsze statuy i urny ze zbiorów Luwru i ukrył je w piwnicach gmachu. Równocześnie przedsięwziął nadzwyczajne ostrożności, aby złożyć w bezpiecznym miejscu najrzadsze i najważniejsze dzieła biblioteki narodowej i żeby ochronić sam budynek od pożarów, szerzących się w około. Żona jego, dzielna kobieta, godna towarzysza filozofa, z którą ukazywali się zawsze na ulicy dwaj jej mali synowie, urzędowała tymczasem w swojej dzielnicy jadalnie dla ludu, który w czasie drugiego oblężenia doprowadzony był do ostatnich granic nędzy. Na dwa tygodnie przed swoim upadkiem zrozumiała nakoniec Komuna, że główną jej troską powinno być zaopatrzenie w żywność ludności, pozbawionej możności zarobkowania na chleb i zaraz znaleźli się ochotnicy, którzy podjęli się tego zadania. Dzięki tylko prostemu wypadkowi Eliasza Réclus, pozostający do ostatniej chwili na swym stanowisku, nie został rozstrzelany przez Wersalczyków. Skazano go do ciężkich robót za to, że ośmielił się przyjąć od Komuny tak ważny urząd. Ale ukrył się i uciekł z rodziną do Anglii. Teraz, wróciwszy do Paryża, oddał się na nowo pracy całego swego życia — etnografii. O wartości tego dzieła można sądzić z kilku rozdziałów, które wyszły oddzielnie pod tytułem: «Les Primitifs» i «Les Australiens» a także z jego historii o pochodzeniu religii, którą wyklada w szeregu odczytów w Brukselli, w założonej przez brata swego Szkole Nauk wyższych (Ecole des hautes Etudes). W całej literaturze etnograficznej nie wiele znajdziemy dzieł, przenikniętych taką serdeczną sympatią ku dzikim i takim głębokim zrozumieniem ich przyrody. Jego zaś historia religii (część jej wydana została w «So-

ciété Nouvelle», przeglądzie, wychodzącym obecnie pod nazwą «Humanité Nouvelle») jest — wedle mojego przekonania — najlepszą pracą, jaką posiadamy w tej kwestyi. Przewyższa ona bez wątpienia próby Spencera w tym samym rodzaju, ponieważ filozof angielski, niezależnie od swego potężnego umysłu — nie umie wnikać tak głęboko w prostą i szczerą naturę pierwotnego człowieka, jak to z takim zamiłowaniem czyni Eliasz Réclus. Z tem wszystkim łączy on jeszcze gruntowną znajomość mało dotąd uprawianej gałęzi psychologii ludów, to jest rozwoju i przeobrażania się wierzeń. Zbytecznem byłoby mówić o niezwykłej dobroci i skromności Eliasza Réclus, albo o jego niepospolitym umyśle i o jego wszechstronnej i głębokiej znajomości wszystkiego, co dotyczy rozwoju ludzkości. Wszystko to odbija się w jego stylu, który nie ma równego sobie. Jego skromność, powaga ruchów i przenikliwy, badawczy umysł filozoficzny czynią go typowym mędrceem Grecyi starożytnej. W społeczeństwie, któreby mniej hołdowało opatentowanej, dorywczej nauce, a więcej ceniło rozwój szerokiej, przenikniętej humanitarnymi ideałami i samodzielnej wiedzy, Eliasz Réclus byłby otoczony, jak bywali nimi jego starożytni poprzednicy, licznymi zstępami uczniów.

W czasie, gdy mieszkaliśmy w Paryżu, rozwijał się tam z coraz większą siłą ożywiony ruch socjalistyczny i anarchistyczny. Luiza Michel miewała wykłady co wieczora, budząc nieudany zapal wśród swych słuchaczy, zarówno mieszczan, jak i robotników. Głośna oddawna popularność Luizy Michel rosła z dniem każdym, szerząc się nawet między studentami, którzy nie podzielali jej skrajnych zapatrywań, ale wielbili w niej ideał kobiety. Kiedy byłem w Paryżu, wybu-

chła raz bójka w kawiarni, ponieważ ktoś z obecnych wyraził się ubliżająco o Luizie Michel w obecności studentów. Młodzież stanąwszy energicznie w jej obronie, wszczeła gwałtowną utarczkę i połamala wszystkie stoły i krzesła. Ja także wygłosiłem jeden odczyt o anarchizmie przed kilkotysięczną publicznością i natychmiast opuściłem Paryż, zanim rząd zdążył uleść reakcyjnej i rusofilskiej prasie, domagającej się mego wydalenia z Francji.

Z Paryża udaliśmy się do Londynu, gdzie jeszcze raz spotkałem moich starych przyjaciół, Stepniaka i Czajkowskiego. Ruch socjalistyczny w Anglii stał wówczas u szczytu swego rozwoju i życie w Londynie nie wydawało mi się już takim bezbarwnem i nużącym wegetowaniem, jak cztery lata temu.

Zamieszkaliśmy w maleńkim domku, t. zw. «cottage», w Harrow, w okolicach Londynu. O umeblowanie małośmy się troszczyli. Większą część mebli zmajstrowałem sam, z pomocą Czajkowskiego, który zwiedził tymczasem Stany Zjednoczone i poduczył się trochę stolarki. Cieszyliśmy się też bardzo oboje z żoną z małego kawałka ziemi, znajdującego się przy domu. Choć była to gliniasta, ciężka gleba, tak pospolita w Middlesex, wzięliśmy się z zapalem do ogrodnictwa i otrzymywaliśmy wspaniale rezultaty, dzięki mojej znajomości dzieła Toubeau i niektórych paryskich ogrodników, oraz uprzednim osobistym doświadczeniom w ogrodzie więziennym w Clairvaux. Co się tyczy mojej żony, która wkrótce po naszym osiedleniu się w Harrow zapadła na ciężki tyfus, zajęcie w ogrodzie w okresie wyzdrowienia wzmocniło ją skuteczniej, niż pobyt w jakim pierwszorzędnym sanatorjum.

W końcu lata dotknął nas ciężki cios. Dowiedzie-

liśmy się, że brata mego, Aleksandra, nie masz już pomiędzy żyjącymi.

Przez cały czas pobytu za granicą — do mego uwięzienia we Francyi, nie pisywaliśmy nigdy do siebie. W oczach rządu rosyjskiego — kochać brata, prześladowanego za przekonania polityczne, jest już ciężkim grzechem; a pozostawać w stosunkach ze zbiegłym — to całe przestępstwo. Poddany carski obowiązany jest nienawidzić wszystkich, którzy burzą się przeciw jednemu i najwyższemu władcy, a brat mój znajdował się w łapach rosyjskiej policyi. Stale przeto wzbierałem się pisać do niego, lub do kogokolwiek z mych krewnych. Odpowiedź cara na prośbę, podaną przez siostrę naszą, Helenę: «niech jeszcze trochę posiedzi», pozostawiała bardzo mało nadziei na prędkie uwolnienie Aleksandra. Gdy później mianowano komisję, która zesłanym na czas nieokreślony porządkiem administracyjnym miała powyznaczać terminy wygnania, brata mego skazano na lat pięć. Licząc dwa lata, które już przebył w zesłaniu, czyniło to razem siedem. Za Loris-Melikowa mianowano drugą komisję, która dodała mu jeszcze lat pięć. Tym sposobem dopiero w październiku, 1886 r. mógł odzyskać wolność. Ogółem przeżył na wygnaniu lat dwanaście, zrazu w Minusińsku, a potem w Tomsku, to jest w zachodnio-syberyjskiej nizinie, gdzie nie mógł nawet korzystać ze zdrowego klimatu wysokich stepów.

Kiedy siedziałem w Clairvaux, brat mój napisał do mnie i zamieniliśmy kilka listów. Pisał, że ponieważ listy nasze będą czytać żandarmi w Syberyi i więzienne władze we Francyi, to możemy nakoniec pisywać do siebie pod strażą tego podwójnego dozoru. Opowiadał mi o swoim życiu rodzinnem, o swoich trojgu dzieciach, których kreślił mi wybornie charakterystykę i o swojej pracy. Radził mi śledzić uwa

źnie rozwój nauk we Włoszech, gdzie prowadzą się ważne i oryginalne badania, ale pozostają nieznane naukowemu światu. póki ich nie zużytkują w Niemczech. Wypowiadał także swoje zapatrywania na prawdopodobny przebieg życia politycznego w Rosyi. Nie wierzył w możliwość u nas — w blizkiej przyszłości — porządku konstytucyjnego w rodzaju zachodnio-europejskich parlamentów; ale oczekiwał — i uważał to za rzecz całkiem wystarczającą w naszych warunkach, — zwołania Ziemskiego Soboru. Sobór nie miałby władzy prawodawczej, tylko opracowywałby projekty praw, którym, by Rada Państwa i cesarska władza nadawały ostateczną formę i sankcję.

Najwięcej pisał mi o swoich naukowych pracach. Brat mój zajmował się zawsze z wielkiem zamiłowaniem astronomią i kiedy byliśmy w Petersburgu, napisał po rosyjsku wyborną rozprawkę, streszczającą wszystkie nasze wiadomości naukowe o gwiazdach spadających. Ze swoim subtelnym krytycznym umysłem spostrzegał on łatwo mocniejsze i słabsze strony każdej hipotezy i pomimo braku gruntownej wiedzy matematycznej, jedynie z pomocą swej potężnej wyobraźni, ogarniał wyniki najbardziej skombinowanych matematycznych badań. Unosząc się wyobraźnią wpośród wirujących ciał niebieskich, często przenikał ich skomplikowane ruchy lepiej od niejednych matematyków, zwłaszcza czystych algebraików, którzy nieraz tracą poczucie świata rzeczywistego i widzą tylko swe formułki z ich logicznymi wynikami. Nasi petersburscy astronomi cenili bardzo pracę mego brata. W Syberyi począł studyować budowę wszechświata i przedsięwziął krytykę wszystkich dotychczasowych obserwacji i hipotez o światach słońce, zbiorowiskach gwiazd i mgławicach, rozsianych w niezmierzonej przestrzeni. Starał się odgadnąć wzajemne ich oddziaływanie na

siebie, ich życie i prawa ich rozwoju i rozkładu. Astronom Pułkowski, Gylden, z wielkiem uznaniem odzywał się o tej nowej pracy Aleksandra i zapoznał go listownie z amerykańskim astronomem, panem Holden, którego pochlebne mniemanie o pracach mego brata miałem niedawno przyjemność słyszeć osobiście w Washingtonie. Od czasu do czasu pożądane są w nauce takie właśnie spekulacye ogarniającego szerokie horyzonty, sumiennego i pracowitego umysłu, obdarzonego zarazem i przenikliwą zdolnością krytyczną i niepospolitą wyobraźnią.

Ale w małym syberyjskiem miasteczku, daleko od bibliotek — brat mój pozbawiony był wszelkiej możności podążania za postępem nauk i w dziele swoim poddał krytycznemu rozbirowi tylko te obserwacye, które miały miejsce przed jego zesłaniem. Potem ukazało się kilka nowych, wspaniałych dzieł. Aleksander wiedział o tem; wiedział, że nauka nie stoi w miejscu, ale jakim sposobem mógł dostawać niezbędne książki, póki pozostawał w Syberyi? Czas jego wygnania upływał niebawem, ale i to nie przejmowało go zbyt tęczowemi nadziejami. Wiedział, że nie pozwolą mu mieszkać w miastach uniwersyteckich i nie pozwolą także wyjechać za granicę: — że po wygnaniu syberyjskiem nastąpi drugie, może gorsze jeszcze — w jakim odludnym zakątku wschodniej Rosyi. Rozpacz go ogarniała. «Czasem opada mię prawdziwie faustowski smutek», — pisał mi. Gdy termin jego wygnania zbliżał się już ku końcowi, brat mój odesłał żonę i dzieci do Rosyi na ostatnim parostatku, odchodzącym przed zamknięciem żeglugi. I pewnej ciemnej nocy «faustowski smutek» położył koniec jego życiu...

Czarna chmura nieszczęścia zawisła nad naszym domkiem w ciągu kilku miesięcy, póki — nakoniec —

jasny promień światła nie przebił jej. Następnej wiosny przyszła na świat maleńka istotka, dziewczynka, która nosi imię brata. I jej żaloszny krzyk — poruszył w mojem sercu nową, nieznaną dotąd strunę.

XVI.

W 1886 r. ruch socjalistyczny w Anglii znajdował się w całej pełni swego rozwoju. We wszystkich znaczniejszych miastach liczne grupy robotników łączyły się z nim otwarcie. Wiele osób z klas średnich — zwłaszcza młodzież — okazywała mu na każdym polu chętną i gorliwą pomoc. Tego roku panował w wielu gałęziach przemysłu ciężki kryzys. Każdego rana, a czasem i przez cały dzień, słyszałem gromady robotników, śpiewające: «Nie mamy pracy», albo jaki inny hymn — i żądające chleba. Bardzo wielu przepędzało noce na Trafalgar-Square, pod gołym niebem, w deszcz i niepogodę, przykrywszy się arkuszem gazety. Razu pewnego — w lutym, przyszło nawet do rozruchów. Tłum, wysłuchawszy mów Burns'a, Hyndman'a i Champion'a, rzucił się na Piccadilly — jedną z najbogatszych ulic Londynu i potłukł kilka szyb w bogatych magazynach. Ale daleko groźniejszym, niż ten wybuch niezadowolonia, był nastrój, panujący wpośród uboższej ludności robotniczej na odległych przedmieściach Londynu. Był on tego rodzaju, że jeśliby kierownicy ruchu, których pociągnięto do odpowiedzialności za wzniecone zaburzenie, byli surowo ukarani, — obudziliby się nieznany dotąd w ostatnich poruszeniach robotniczych w Anglii duch nienawiści i zemsty — oznaki jego występowały bardzo wyraźnie w 1886 roku — i wycisnęłyby swoje piętno na długi czas na wszystkich następnych ruchach. Ale klasy śre-

dnie spostrzegły niebezpieczeństwo. Natychmiast zebrano w bogatym West-end olbrzymie sumy dla ulżenia nędzy ubogiego East-end'u. Naturalnie, pieniądze były niewystarczające, aby usunąć straszny niedostatek ogromnej masy ludności, ale dostateczne, aby dać dowód dobrej woli. Co zaś do aresztowanych agitatorów, — powodując się tymi samymi względami, skazano ich tylko na lekkie dwu i trzymiesięczne kary więzienia.

We wszystkich warstwach społeczeństwa obudziło się żywe zainteresowanie się socjalizmem oraz różnymi projektami reform i teoryjami, mającymi na celu przekształcenie ustroju społecznego. Począwszy od jesieni, a potem w ciągu całej zimy, nieustannie zwracano się do mnie z różnych miejscowości Anglii z prośbą o odczyty. Wskutek tego objechałem wszystkie prawie znaczniejsze miasta Anglii i Szkocyi, wszędzie wygłaszając odczyty o systemie więziennym, albo — przeważnie — o socjalizmie anarchistycznym. Ponieważ — po skończonym odczycie — przyjmowałem zwykle pierwsze gościnne zaproszenie, z jakim się do mnie zwracano, zdarzało mi się nieraz nocować jednego dnia w bogatym pałacu, a następnego w ubogiej chacie robotniczej. Co wieczora po odczycie otaczali mię tłumnie moi słuchacze, ze wszystkich klas ludności i czy to w ubogiej izbie robotnika, czy w eleganckim salonie bogacza, wszczynwały się gorące rozprawy o socjalizmie i anarchizmie, przeciągające się nieraz do późnej nocy i budzące nadzieje w skromnych «cottage'ach» i obawy w pysznych pałacach. Wszędzie prowadziły się one z jednakową powagą.

Główne pytanie bogatych brzmiało: «czego chcą socjaliści? co zamyślają uczynić?» — A dalej: «jakie ustępstwa będą nieodzownie konieczne w danej chwili dla uniknięcia poważnego starcia?» Rzadko kiedy zda-

rzało mi się słyszeć wśród tych rozmów, aby żądania socjalistów wystawiane były jako niesprawiedliwe, albo niepodobne do urzeczywistnienia mrzonki; ale wszędzie znajdowałem także głębokie przekonanie, że rewolucya w Anglii jest niemożliwą i że domagania się większości robotników nie osiągnęły jeszcze ani tych rozmiarów, ani dokładności, jaką odznaczają się postulaty socjalistyczne. «Robotnicy — mówiono mi — zadowolnią się daleko mniejszem i podrzędne ustępstwa, zapewniające im lekki wzrost dobrobytu i trochę krótszy dzień pracy, przyjmą chętnie, jako tymczasowy zadatek jeszcze lepszej przyszłości». — «Anglia jest krajem «lewego centrum» i my postępujemy naprzód drogą kompromisów», rzekł mi raz pewien stary członek parlamentu, który na podstawie długiego doświadczenia znał dobrze swoją ojczyznę.

W mieszkaniach robotniczych zadawano mi także odmienne pytania, niż na lądzie stałym. Robotników rasy łacińskiej obchodzą przedewszystkiem główne zasady; częściowe zaś praktyczne zmiany w stosunkach społecznych określają się właśnie na podstawie tych zasad. Jeśli gdzie jaka rada miejska wyasygnuje pieniądze na poparcie strejku, albo organizuje darmowe obiady dla dzieci szkolnych, — faktom tym nie nadaje się zbyt wielkiego znaczenia. Uważają je za całkiem naturalne.

— «To się rozumie samo z siebie; dziecko głodne nie może się uczyć», — powie robotnik francuski. «Trzeba mu dać jeść». A co do pieniędzy, wydanych na poparcie strejku, zauważy poprostu: «Pracodawca, ma się rozumieć, nie miał słuszności, jeżeli zmusił swych robotników do strejku; należało im pomódz». Na tem skończą się wszystkie rozmowy w tej kwestyi. W ogóle robotnicy mało sobie wazą nieznaczne ustępstwa na korzyść komunizmu, jakie zachodzą

w granicach obecnego społeczeństwa indywidualistycznego. Myśl robotnika biegnie dalej. On pyta: «Kto w przyszłym ustroju socjalistycznym stanie na czele organizacji produkcji: gmina, związki robotnicze, czy państwo? Czy przyszły porządek społeczny da się oprzeć na samem tylko swobodnem porozumieniu i zgodnem współdziałaniu swych członków? Jaki moralny bodziec zastąpi panujący w dzisiejszem społeczeństwie czynnik przymusowy? Czy obieralny rząd demokratyczny potrafi przeprowadzić konieczne i poważne zmiany w duchu socjalistycznym, czy też opanowanie własności prywatnej przez lud — jako fakt dokonany — nie powinno uprzedzić wszelkie reformy prawodawcze?»

W Anglii zaś, przeciwnie, najbardziej troszczono się o to, żeby jak najwięcej otrzymać ustępstw i częściowych ulg. Za to, z drugiej strony, robotnicy angielscy dawno już przeświadczyli się o niemożliwości uspołecznienia produkcji przez państwo i głównie zastanawiali się nad pozytywną działalnością ruchu robotniczego, jego programem i środkami, oraz nad okolicznościami, przy których byłoby możliwem urzeczywistnienie ich ideałów.

— «Dobrze, Krapotkin, przypuśćmy, że jutro owładniemy dokami w naszym mieście. Jak mamy zarządzać nimi?» — zapytywano mię na przykład, gdyśmy zasiedli w izbie robotnika. Albo też słyszałem, co następuje: «Nie podoba nam się myśl o upaństwowieniu kolei żelaznych; sposób zaś, w jaki zawiadują nimi kompanie prywatne, jest tylko zorganizowanym rabunkiem publicznym. Ale przypuśćmy, że robotnicy staną się panami kolei żelaznych, jak powinno być zorganizowanem ich użytkowanie? W braku ogólnych, starano się wnikać głębiej w żywe szczegóły i ustrój pojedynczych części przyszłego mechanizmu

społecznego. Drugą charakterystyczną cechą ruchu angielskiego był znaczny udział w nim wielu bardzo osób z klas średnich; jedne otwarcie się z nim łączyły, drugie wspierały go ubocznie. We Francyi i w Szwajcaryi oba stronnictwa: robotnicy i klasy średnie — stały w szyku bojowym naprzeciw siebie i między dwoma obozami nie było najmniejszej łączności. Tak się rzeczy miały — przynajmniej w 1876 — 1885 latach. Kiedy mieszkałem w Szwajcaryi, miałem znajomych tylko pomiędzy robotnikami; zaledwie parę osób z klas średnich było mi bliżej znanych. W Anglii byłoby to niemożliwem. Mężczyźni i kobiety z burżuazyi, w wielkiej liczbie, jawnie i bez wahania, w Londynie i na prowincyi, stawali przy nas w roli naszych pomocników przy urządzaniu mityngów socyalistycznych, zbieraniu pieniężnych składek w parkach na strejkujących, albo zajmowali urzędy sekretarzy w naszych sekeyach, albo organizowali wspólnie z nami manifestacye. Po za tem widzieliśmy tu ów ruch «w lud», analogiczny do tego, który odbywał się w Rosyi w początkach lat 70-tych, tylko nie tak gwałtowny, nie przeniknięty takim duchem zupełnego zaparcia się i poświęcenia, oraz nie pozbawiony pewnego odcienia «dobroczynności», który u nas wcale nie istniał. W Anglii także wielu starało się usilnie, wszelkimi sposobami, zbliżyć do ludu robotniczego, odwiedzając w tym celu zaułki i przedmieścia Londynu, robotnicze knajpy, organizując uniwersytety ludowe, zakładając instytucye w rodzaju Toynbee-Hall i inne. Trzeba przyznać, że była to chwila wzniosłego i porywającego zapału. Wielu myślało już wówczas — bez wątpienia, — że rewolucya socyalna już się zaczyna — i powtarzało za bohaterem komedyi Williama Morris'a, «Tables Turned»: «rewolucya nietylko się zbliża, ale się już zaczęła». Zdarzyło się jednak to, co zwykle bywa z po-

dobnymi entuzyastami: gdy zobaczyli, że w Anglii, jak i wszędzie, konieczną jest długa, wytrwała praca przygotowawcza dla pokonania wszystkich trudności, większa ich część wycofała się z walki. Dziś przestają na roli współczujących widzów.

XVII.

Przyjąłem żywy udział w tym ruchu i wspólnie z kilku angielskimi towarzyszami założyłem, obok istniejących już trzech gazet socjalistycznych, — anarchistyczny miesięcznik «Freedom», wychodzący do dziś dnia. Równocześnie podjąłem na nowo moje dawne studia nad teorią anarchizmu, które zostały przerwane w skutek mego uwięzienia we Francyi. Krytyczną część moich trudów wydał Elizeusz Réclus w czasie, gdy znajdowałem się w Clairvaux, pod tytułem: «Paroles d'un Révolté». Teraz począłem opracowywać konstrukcyjną część anarchistyczno-komunistycznego ideału społeczeństwa, o ile go naprzód określić można i rozwijałem zapatrywania moje w tym względzie w szeregu artykułów w «Le Révolté». (Nasz «chłopezyk» prześladowany za swoją antywojskową propagandę, musiał zmienić tytuł i został teraz dziewczynką). Artykuły te wyszły później po nowem opracowaniu w osobnej książce, pod tytułem «La Conquête du Pain». Prace te pobudziły mię do gruntowniejszych studyów nad niektórymi punktami życia ekonomicznego naszych tak zwanych cywilizowanych społeczeństw.

Większość socjalistów utrzymywała dotąd, że wytwórczość tych ostatnich jest aż nadto wystarczającą dla zapewnienia dobrobytu wszystkim i że wadliwym jest tylko podział dóbr. I gdy — mówili oni — nastąpi so-

cyalna rewolucya, każdy powróci spokojnie do swojej fabryki lub warsztatu; cały przewrót zasadzać się będzie na tem, że «wartość dodatkowa», albo zysk z przedsiębiorstwa będzie należeć do całego społeczeństwa a nie do pojedynczego kapitalisty. Ja zaś, przeciwnie, twierdziłem, że przy obecnym ustroju własności prywatnej sama wytwórczość odbywa się w fałszywym kierunku i niezdolną jest zaspokoić nawet najpierwszych potrzeb życiowych: owszem własność prywatna czyni to wprost niemożliwym. Żaden z produktów nie jest wytwarzanym w ilości, przewyższającej zapotrzebowanie ogólne. «Nadprodukcya», o której tyle mówią, powstaje tylko ztąd, że masy są zbyt ubogie, aby mogły pozwolić sobie na zakupienie przedmiotów nawet najpierwszej konieczności. We wszystkich krajach cywilizowanych, wytwórczość, zarówno przemysłowa, jak i rolnicza, powinna i może być bez wielkich trudności podniesioną do takiego poziomu, przy którym wszyscy mogliby używać pełnego dobrobytu. Wychodząc z tego punktu widzenia, zająłem się zbadaniem kwestyi, do jakiego stopnia rozwoju zdolną jest nasza wytwórczość rolnicza w przyszłości i na jakich nowych zasadach należy oprzeć reformę wychowania publicznego, aby każdy mógł oddawać się przyjemnej i odpowiedniej swym skłonnościom i zdolnościom fizycznej i umysłowej pracy. Poświęciłem temu przedmiotowi szereg artykułów, ogłoszonych w «Nineteenth Century» (Dziewiętnasty Wiek); wyszły one potem w oddzielnej książce, pod tytułem: «Fields, Factories aud Workshops». («Pola, Fabryki i Warsztaty»).

Drugie ważne pytanie zwróciło potem moją uwagę Wiadomo, do jakich wyników doszli — w większej swojej części — uczeni zwolennicy Darwina, nawet tacy wybitni, jak Huxley, wychodząc z darwinowskiej

teorii «walki o byt». Nie ma takiego gwałtu ludów białych nad czarnymi, albo silnych w stosunku do słabych, żeby nie starano się usprawiedliwić go słynną tezą.

Jeszcze w czasie pobytu mego w Clairvaux czułem, że samo pojęcie «walki o byt» w świecie zwierzęcym, a tembardziej w swem zastosowaniu do świata ludzkiego, wymaga gruntownej rewizyi. Próby, podjęte w tym kierunku przez kilku socyalistów, nie zadowolniły mię i rozmyślałem właśnie nad tem pytaniem, gdy w mowie rosyjskiego zoologa, Kesslera, wygłoszonej na zjeździe przyrodników rosyjskich, znalazłem nowe, wspaniałe pojęcie walki o byt. «Wzajemna pomoc — mówił on — jest takim samem prawem natury, jak wzajemna walka, ale dla postępowego rozwoju gatunku pierwsza jest nieporównanie ważniejszą od drugiej».

Ta piękna myśl, którą Kessler poparł — niestety — zaledwie bardzo nielicznymi faktami (zoolog Siewiercow stwierdził ją także paru przykładami), posłużyła mi za klucz zadania. Począłem zbierać materyały i kiedy Huxley wystąpił w 1888 r. ze swym okrutnym artykułem: «The Struggle for Existence: a Program» (Walka o Byt — jako Program), postanowiłem nakoniec opracować w popularnej formie materyały, zebrane w ciągu ostatnich paru lat i wyłożyć moje zarzuty przeciw utartym poglądom na walkę o byt wśród ludzi i zwierząt. Rozmawiałem o tem z kilku przyjaciółmi, ale wkrótce przekonałem się, że zasada «walki o byt», przeobrażona w hasło bojowe: «biada słabym», podniesiona do wysokości niewzruszonego, uświęconego przez naukę «prawa natury», puściła zbyt głębokie korzenie w Anglii i stała się prawie dogmatem religijnym. Tylko dwóch mężów popierało mię w tej walce przeciw błędnemu tłumaczeniu faktów przyrody. Wydawca «Nineteenth Century», ze zwykłą sobie nie-

pospolitą bystrością umysłu, zrozumiał natychmiast wielkie znaczenie powyższej kwestyi i z prawdziwie młodzieńczym zapałem zachęcał mię do podjęcia tej pracy; drugim był nieodżałowany Bates, autor powszechnie znanej u nas książki: «Naturalista na rzece Amazonce». Jak wiadomo, fakty, zebrane przezeń w ciągu długich lat poszukiwań, posłużyły za podstawę, na której Darwin i Wallace zbudowali swoje wiekopomne teorye przyrodnicze. Darwin w swojej autobiografii mówi o nim, jako o jednym z najinteligentniejszych, spotykanych przez siebie ludzi. Bates był sekretarzem Towarzystwa Geograficznego i znałem go osobiście. Kiedy zwierzyłem mu się z moim zamiarem, wpadł w prawdziwy zachwyty.

— «Tak, napisz to pan koniecznie», — mówił. — To prawdziwy darwinizm. Wprost wstyd pomyśleć, co oni zrobili z idei Darwina. Napisz pan swoją książkę, a kiedy ją wydasz, przyszlę panu list, który możesz ogłosić». Nie mogłem pragnąć lepszej zachęty i wziąłem się zaraz do pracy, która ukazała się później w «Nineteenth Century», pod tytułami: «Wzajemna pomoc u zwierząt, u dzikich, u barbarzyńców, w miastach średniowiecznych i w nowożytnem społeczeństwie». Żałuję bardzo, że nie posłałem p. Bates moich pierwszych dwóch artykułów o wzajemnej pomocy wpośród zwierząt, które ukazały się jeszcze za jego życia. Myślałem, że uda mi się w prędkim czasie wykończyć drugą część dzieła «Wzajemna Pomoc Między Ludźmi» («Mutual Aid among Men»), ale zajęło mi to kilka lat pracy, a tymczasem Bates umarł.

Przy pisaniu powyższych szkiców musiałem przez gruntowne badania zapoznać się z instytucjami, panującymi w okresie barbarzyńskim i w średniowiecznych miastach wolnych; badania te zaprowadziły mię na drogę dalszych ciekawych poszukiwań, doty-

czących roli, jaką odegrywała w Europie idea państwowa w ciągu ostatnich trzech wieków, od chwili pierwszego jej wystąpienia w dziejach.

Z drugiej strony moje studia nad instytucjami wzajemnej pomocy w ich postępowym rozwoju na różnych stopniach cywilizacji, nasuwały mi same przez się pytanie, w jaki sposób powstawały i rozwijały się w społeczeństwach ludzkich idee moralności i sprawiedliwości w ogóle? Tak powstały moje dwa odczyty: jeden poświęcony państwu i roli jego w historii; drugi pod tytułem «Sprawiedliwość i Moralność».

W ciągu ostatnich dziesięciu lat rozwój socjalizmu w Anglii występuje w nowej formie. Kto uwzględnia tylko liczbę zebrań socjalistycznych i anarchistycznych, oraz ilość ich uczestników, ten gotów przypuścić, że propaganda socjalistyczna upada; a ten, kto wyrokuje o postępie idei z liczby głosów, zdobytych przez kandydatów socjalistycznych przy wyborach do parlamentu, może utrzymywać, że propaganda socjalistyczna jest już na zniknięciu. Ale o głębokości i rozmiarach, z jakimi szerzą się zapatrywania socjalistyczne, nie stanowi liczba osób, obecnych na zebraniach, a tem mniej ilość głosów, które padły na kandydatów, włączających do swego programu mniej lub więcej radykalne postulaty socjalistyczne. Zwłaszcza niesłusznem byłoby to w Anglii. W rzeczy samej, z trzech kierunków socjalistycznych, stworzonych przez Saint-Simon'a, Fourier'a i Roberta Owen'a, w Anglii i Szkocji panuje ostatni. Dla tego o sile ruchu należy wnosić nie tyle z ilości mityngów i głosów, ile raczej z tego, w jakim stopniu idee socjalistyczne przeniknęły do trade-unions, do stowarzyszeń kooperacyjnych i do tak zwanego municypal-

nego socjalizmu, a także z rozpowszechnienia się ich wśród ludności całego kraju. Jedni uświadomili je sobie całkiem jasno, drudzy w sposób jeszcze dość nieokreślony; ale stanowią już one dla wszystkich pewną miarę przy ocenie zjawisk politycznych i ekonomicznych.

Rozpatrując stosunki angielskie z tego punktu widzenia, niepodobna nie uznać, że idee socjalistyczne uczyniły wielki postęp w Angli w porównaniu z 1886 r. Powiem nawet bez wahania, że postęp ten jest olbrzymi, jeśli się weźmie na uwagę stosunki z lat 1876 — 1882. Mogę także dodać, że bezustanne, niezmordowane wysiłki małych anarchistycznych grup przyczyniły się niemało do rozwoju i rozprzestrzenienia się idei o konieczności zniesienia wszelkiego rządu, o prawach jednostki, o niezawisłości miejscowych organizacyi i możliwości ustroju, opartego na zgodzie społecznej. Zważywszy, jak panującymi były dwadzieścia lat temu przeciwne pojęcia o wszechwładzy państwa, o centralizacyi i dyscyplinie, — możemy śmiało powiedzieć, żeśmy nie stracili na próżno swego czasu.

Cała Europa przechodzi teraz bardzo ciężki i przykry okres — rozwoju militarizmu. Jest to nieuniknione następstwo zwycięstwa, które odniosło nad Francją w 1871 r. militarne cesarstwo niemieckie ze swoim systemem ogólnej powinności wojskowej. Wtedy już przewidywano ten stan rzeczy, przepowiadał go zwłaszcza Bakunin. Ale prąd przeciwny daje się już spostrzegać.

Pozbawione swej dawnej koszarowej i klasztornej formy, idee komunistyczne z niewypowiedzianą szybkością rozszerzyły się w Europie i w Ameryce. Mogłem przekonać się o tem naocznie w ciągu ostatnich dwudziestu siedmiu lat, odkąd przyjmuję czynny

udział w ruchu socjalistycznym. Gdy przypominam sobie, jak nieokreślone, mętne, nieśmiałe były myśli, wypowiedane przez robotników na pierwszych kongresach Międzynarodowego Związku Robotniczego, albo te, które znajdowały się w obiegu w Paryżu w czasie Komuny, nawet wpośród najinteligentniejszych jej przywódców, — i kiedy porównam je z zapatrywaniami, szerzącymi się dziś wśród olbrzymiej większości mas robotniczych, muszę wyznać, że wydaje mi się, iż należą one do dwóch całkiem odmiennych światów.

Nie znam drugiego okresu w historii, wyjąwszy może rewolucyjnego okresu XII w., który był świadkiem powstania średniowiecznych miast wiecowych, w którymby panujące idee porządku społecznego uległy tak gruntownemu przeobrażeniu. I dziś — na schyłku sześćdziesiątego roku mego życia — jestem jeszcze niewątpliwiej pewny, niż byłem nim trzydzieści lat temu, że Europa znajduje się w takim położeniu, iż czysto wypadkowy zbieg przyjaznych okoliczności może wywołać rewolucję, która równie szybko ogarnie wszystkie ludy, jak rewolucya 1848 roku, ale będzie mieć przytem daleko głębsze znaczenie: nie będzie to prosta walka dwóch wrogich sobie politycznych obozów, ale szybkie i gruntowne przekształcenie całej budowy społecznej. Jestem głęboko przekonany, że — niezależnie od charakteru tego ruchu w różnych krajach, — wszędzie, w każdym kraju będzie on przeniknięty daleko szerszem zrozumieniem koniecznych zmian społecznych, niż to miało miejsce gdziekolwiekbądź w ciągu ostatnich sześciu wieków. Z drugiej strony wątpić można, aby opór, jaki ruch ten napotka ze strony klas uprzywilejowanych, odznaczał się taką samą ślepą zaciętością,

która tak krwawemi czyniła rewolucya wieków ubiegłych.

To wielkie zwycięstwo godnem jest trudów, podejmowanych w ciągu ostatnich trzydziestu lat przez tysiące bojowników wszystkich ludów i klas.

KONIEC CZĘŚCI SZÓSTEJ I OSTATNIEJ.



SPIS RZECZY.

| | Str. |
|--------------------------------------|------|
| Przedmowa Jerzego Brandesa | 1—9 |

CZĘŚĆ PIERWSZA.

| | |
|---|-------|
| Dzieciństwo | 10—80 |
| Rozdział I. Stara Koniuszna. (Dzielnica w Moskwie) | 11 |
| » II. Śmierć matki | 15 |
| » III. Ród Krapotkiuich.—Ojciec.—Matka | 17 |
| » IV. Mme Burman.—Uljana.—Mr Poulain. Nauka języka francuskiego i historyi rzymskiej.—Rozrywki niedzielne.—Namiętne zamilowanie teatru | 23 |
| » V. Bal na cześć Mikołaja I.—Moja nominacya na pазя | 32 |
| » VI. Obyczaje starego bojarstwa.—Słudzy pańszczyźniami.—Typy Starej Koniusznej | 37 |
| » VII. «Nakazy» (rozporządzenia) burmistrzom.—Dostawa żywności.—Wyjazd do Nikolskiego.—Długie przygotowania.—Mr Poulain objaśnia tryumfy Wielkiej Armii.—Wojenne zabawy.—Przebudzenie się demokratycznego ducha | 46 |
| » VIII. Prawo poddańcze i pańszczyźniane. — Markar.—Małżeństwa z rozkazu.—Krawiec Andrzej.—Oddanie w «soldaty». — Pokojówka Pola.—Sasza-doktór.—Hierasim Krugłow.—Jak Masza otrzymała akt, zwalniający z poddaństwa | 58 |

| | | Str. |
|----------|---|------|
| Rozdział | IX. Wojna Krymska.—Śmierć Mikołaja I. . . | 73 |
| | X. Dobroczynny wpływ nauczycieli — studentów.—N. P. Smirnow.—Obudzenie się literackich skłonności. — Pierwsze próby. — «Wremiennik» (pismo peryodyczne) . . . | 75 |

CZĘŚĆ DRUGA.

| | | |
|----------|--|---------------|
| | Korpus paziów | 81—166 |
| Rozdział | I. Wstąpienie do korpusu.—Egzamina. — Pułkownik Girardot. — Porządki i zwyczaje w korpusie | 81 |
| » | II. Przebudzenie się Rosyi odbija się w korpusie paziów.—Nauczyciele.—Kapitan Suchonin. — Profesor Kłossowski. — Beker. — Ébert.—Hanz.—«Benefis» | 91 |
| » | III. Korespondencya z bratem. — Sasza zapala się do filozofii i ekonomii politycznej. — Wielkie rozczarowanie. — Tajemne odwiedziny brata | 105 |
| » | IV. Jarmark w Nikolskiem.—Pierwsza statystyczna praca. — Wycieczka z «Kozłem». — W «białej garkuchni» | 114 |
| » | V. Burzliwe czasy w korpusie. — Pogrzeb cesarzowej Aleksandry Fiodorowny | 120 |
| » | VI. Zajęcia w korpusie paziów.—Wykłady fizyki, chemii i matematyki.—Wolne chwile.—Opera włoska w Petersburgu | 124 |
| » | VII. Obóz w Peterhofie. — Praktyczne zajęcia w polu.—Rada wychowawcom | 13. |
| » | VIII. Rozpowszechnienie się rewolucyjnych idei. Zniesienie poddaństwa. — Ważne następstwa oswobodzenia chłopów | 137 |
| » | IX. Życie na dworze. — System szpiegowski w carskim pałacu.—Aleksander II.—Cesarzowa Marya Aleksandrowna.—Aleksander Aleksandrowicz | 152 |

CZĘŚĆ TRZECIA.

| | | |
|----------|--|----------------|
| | Syberya | 167—238 |
| Rozdział | I. Wybór pułku.—Pożar w «Gościwym dwo- | |

| | | Str. |
|----------|--|------|
| | rze ¹⁾ .)—Początek reakcyi.—Nominacya na oficera.—Wyjazd na Syberyę | 167 |
| Rozdział | II. Irkuck.—General Kukiel.—Działalność reformacyjna.—Fala reakcyi | 181 |
| » | III. Powstanie polskie 1863 r. — Zgubne jego skutki dla Polaków i dla Rosyan.—Reakcyja w Syberyi.—Koniec reform | 187 |
| » | IV. Przyłączenie Amurskiego kraju do Rosyi.—Wycieczka po Amurze. — Pierwsze próby w roli żeglarza.—Tajfun.—Zostaje wysłany z raportem do Petersburga | 198 |
| » | V. Powrót do Irkucka. — Podróż po Mandżurji.—Przejście przez łańcuch gór Chingan.—Władze chińskie | 213 |
| » | VI. W górę po Sungari. — Girin. — Przyjaciele Chińczycy | 222 |
| » | VII. Badanie zachodnich Sajanów. — Poszukiwanie nowej drogi. — Nauki, wyniesione z Syberyi | 227 |
| » | VIII. Powstanie Polaków na Zabajkalskiej drodze.—Plany zesłańców.—Uśmierzenie «bunt».—Podaje się do dymisyi | 233 |

CZĘŚĆ CZWARTA.

| | | |
|----------|---|-----------|
| | Petersburg. — Pierwszy wyjazd za granicę | 239 - 364 |
| Rozdział | I. Wstępuje na uniwersytet.—Poprawki w orografii i kartografii Azji północnej | 239 |
| » | II. Rosyjscy współcześni podróżnicy: Siewiercow, Mikłucha Makłaj, Fedzenko, Prze-walski. — Projekt wyprawy biegunowej. — Poszukiwania geologiczne w Finlandyi | 243 |
| » | III. Cel życia.—Propozycya objęcia urzędu sekretarza w Towarzystwie Geograficznem.—Cłanawiam | 253 |
| » | IV. Stan rzeczy w Petersburgu. Dwoistość natury Aleksandra II. — Sprzedajność administracyi. — Przeszkody w rozkrzewianiu oświaty ludowej | 257 |
| » | V. Zmiany na gorsze w towarzystwie petersburskiem. — Skutki reakcyi. — Sprawa Ka- | |

¹⁾ bazar handlowy w Petersburgu.

| | Str. |
|--------------|---|
| | rakozowa.—Czy torturowali Karakozowa?— Tragiczna walka 265 |
| Rozdział VI. | Wyższe wykształcenie kobiet.—Walka młodzieży żeńskiej o wyższe kursa i uniwersytety.—Przyczyny zwycięstwa 274 |
| » VII. | Śmierć ojca.—Nowe prądy w Starej Koniusznej 280 |
| » VIII. | Pierwsza wycieczka zagranicę. — Pobyt w Zurychu. — Internacyonal. — Literatura socjalistyczna.—Wodzowie i politykujący 284 |
| » IX. | Mój pobyt u zegarmistrzy jurajskich. — Początki anarchizmu. — Moi nieszatelscy przyjaciele. — Komuniści-emigranci. — Wpływ Bakunina. — Program socjalistyczny 298 |
| » X. | Kraków. — Układy z kontrabandzistami.—Przewóz książek przez granicę 311 |
| » XI. | Nihilizmu. — Jego szczerłość i pogarda dla wszelkich konwenansów 314 |
| » XII. | Kółko Czajkowców. — Dymitr. — Zofia Perowska.—N. W. Czajkowski 321 |
| » XIII. | Polityczne i socjalistyczne prądy. — Aleksander II i rewolucyoniści 326 |
| » XIV. | Wybitniejsi działacze kółka Czajkowców.—Przyjaźń ze Stepniakiem.—Jego wędrówka wśród ludu.—Pomyślna propaganda wśród robotników.—Ich mężstwo 336 |
| » XV. | Aresztacye.—K. w położeniu nielegalnego.—Moje aresztowanie.—Badanie.—Prokurator-klanca.—Uwięzienie w twierdzy Petropawłowskiej 349 |

CZĘŚĆ PIĄTA.

| | |
|-------------|--|
| | Twierdza. Ucieczka 365—401 |
| Rozdział I. | Twierdza Petropawłowska. — Moja kaza- mata. — Męczarnie przymusowej bezczyn- ności. — Pozwalają mi kończyć moje nau- kowe prace 365 |
| » II. | Moje zajęcia naukowe.—Studuję historię Rosyi 372 |
| » III. | Spaceru na podwórzu. — Uwięzienie mego brata.—Zemsta Trzeciego Oddziału 374 |

| | Str. |
|---|------|
| Rozdział IV. Porozumiewanie się uwięzionych za pomocą pukania. — Niespodziewana wizyta W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza | 380 |
| » V. Skutki długiego więzienia. — Zostaje przeniesiony do wojskowego szpitala. — Ucieczka. — Ukrywanie się przed żandarmami. — Na parostatku angielskim | 385 |

CZEŚĆ SZÓSTA.

| | |
|--|----------------|
| Europa Zachodnia | 403—541 |
| Rozdział I. W Edynburgu i w Londynie, — Moje współpracownictwo w «Nature» i w «Times». — Wyjazd do Szwajcaryi | 403 |
| » II. «Międzynarodówka» i niemiecka demokracja socjalna, — Postępy «Międzynarodówki» we Francyi, we Włoszech i w Hiszpanii | 409 |
| » III. Federacya Jurajska i jej wybitniejsi działacze: Schwitzgebel, Spiehiger, Elizeusz Réclus, Lefrançais, — I inni | 416 |
| » IV. Mój pobyt w Chaux-de-Fonds. — Zakaz występowania z czerwonym sztandarem w Szwajcaryi. — Nowy ustrój społeczny | 422 |
| » V. Walka anarchizmu z demokracją socjalną. — Wgnanie z Belgii. — Pobyt w Paryżu. — Odrodzenie się socjalizmu we Francyi | 432 |
| » VI. Moja znajomość z Turgeniewem. — Wpływ jego na młodzież rosyjską. — Turgeniew i nihilści. — Bazarow | 436 |
| » VII. Wzrost niezadowolenia w Rosyi po wojnie turecko-rosyjskiej. — Proces 193-ech. — Zamach na Trepowa. — Cztery zamachy na koronowane osoby. — Prześladowanie Federacyi Jurajskiej. — Zakładamy «Le Révolté». — Czem powinien być dziennik socjalistyczny. — Pieniężne i techniczne trudności | 442 |
| » VIII. Ruch rewolucyjny w Rosyi przyjmuje poważniejszy charakter. — Zamachy na Aleksandra II rewolucyjnego Komitetu Wykonawczego. — Śmierć Aleksandra II | 455 |
| » IX. Powstanie ligi dla walki z rewolucjonistami i obrony cesarza. — Projektowane morderstwa. — Wgnanie ze Szwajcaryi | 465 |

| | Str. |
|---|------|
| Rozdział X. Rok w Londynie.—Zastój w Anglii | 471 |
| • XI. Wyjazd do Thonon. — Szpiedzy. — Układ Ignatjewa z Komitetem Wykonawczym . | 474 |
| • XII. Francya w 1881—82 latach.—Cierpienia robotników w Lugdunie (Lyon). — Wybuch w Café.—Moje uwięzienie i skazanie . . . | 478 |
| • XIII. Zgubny wpływ więzień ze społecznego punktu widzenia. — Pobyt w centralnem więzieniu w Clairvaux. — Zajęcia uwięzionych. — Smutne położenie starych więźniów. — Porozumiewanie się uwięzionych między sobą.—Demoralizujący wpływ więzienia | 488 |
| • XIV. Moje zetknięcie się z tajną policją. — Zabawne sprawozdanie tajnego agenta. — Zdemaskowani szpiedzy. — Mniemany baron. — Smutne następstwa szpiegostwa . . | 505 |
| • XV. «Grabież» Luizy Michel.—Elizeusz Réclus.—Przenoszę się do Harrow.—Naukowe prace mego brata Aleksandra.—Śmierć jego . . | 520 |
| • XVI. Ruch socyalistyczny w Anglii w 1886-ym roku | 529 |
| • XVII. Mój udział w ruchu angielskim. — Teorya «walki o byt» uzupełniona przyrodniczem prawem wzajemnej pomocy.—Wielkie rozkrzewienie się idei socyalistycznych . . . | 534 |

